

Slaughter opowiada mroczną historię, która chwyta za gardło i nie puszcza.

The Times

KARIN SLAUGHTER



NIEWIDZIALNY

TAJNA MISJA AGENTA SPECJALNEGO WILLA TRENTA

KARIN
SLAUGHTER
NIEWIDZIALNY

przełożyła
KATARZYNA BIEŃKOWSKA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Tytuł oryginału: *Unseen*

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Iwona Krynicka*

© 2013 by Karin Slaughter

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Katarzyna Bieńkowska

ISBN 978-83-287-0270-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2016

Wydanie I

Dla Angeli, Diane i Victorii – moich mistrzyń

Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.

Podziękowania

Przypisy

1.

ŚRODA MACON W STANIE GEORGIA

Detektyw Lena Adams skrzywiła się, ściągnając T-shirt. Wyjęła z kieszeni policyjną odznakę, latarkę i dodatkowy magazynek do glocka i cisnęła to wszystko na toaletkę. Zegar w jej telefonie pokazywał, że dochodzi północ. Lena zwlekła się z łóżka przed osiemnastoma godzinami, a teraz marzyła tylko o tym, żeby znów się położyć. Nie żeby ostatnio dużo pracowała. Zmarnowała prawie całe cztery dni, siedząc przy stole w sali konferencyjnej i odpowiadając na pytania, na które odpowiedziała już poprzedniego i jeszcze poprzedniego dnia – zmagając się z typowymi bzdurami, związanymi z koniecznością uzasadniania swoich działań przed Wydziałem Spraw Wewnętrznych.

„Kto dowodził podczas nalotu na dom?”

„Na podstawie jakich informacji zostały podjęte działania?”

„Co spodziewała się pani zastać na miejscu?”

Śledcza z Wydziału Spraw Wewnętrznych policji w Macon miała surową i sztywną osobowość zawodowej biurwy. Codziennie zjawiała się ubrana w takim samym stylu, w czarną spódnicę i białą bluzkę, a strój ten wydawał się bardziej odpowiedni do witania gości w restauracji Olive Garden. Sporządzając notatki, często kiwała głową i jeszcze częściej ściągała brwi. Kiedy Lena nie odpowiadała od razu, sprawdzała magnetofon, by się upewnić, że rejestruje te chwile milczenia.

Lena była pewna, że pytania celowo zostały ułożone tak, by sprowokować ją do wybuchu. Pierwszego dnia była tak otumaniona, że odpowiadała

zgodnie z prawdą w nadziei, że wkrótce będzie po wszystkim. Drugiego i trzeciego dnia była już mniej rozmowna, a jej irytacja rosła z minuty na minutę. Dzisiaj wreszcie wybuchła i wydawało się, że tamta na to właśnie czekała.

„A myślisz, że co spodziewałam się zastać, ty żałosna suko?!”

Gdyby tylko Lena tego nie zastała. Gdyby tylko mogła wziąć brzytwę i wyciąć te obrazy z mózgu. Prześladowały ją. Z każdym mrugnięciem przed jej oczami wyświetlały się zniecałoczone niczym stary film. Przepęłniały ją ciągłym, niesłabnącym smutkiem.

Lena zaczęła trzeć oczy, lecz zaraz się powstrzymała. Odkąd poprowadziła swój zespół na ten nalot, minęło sześć dni, jednak jej ciało wciąż było chodzącym wspomnieniem tego, co się zdarzyło. Siniec rozlewający się w poprzek nosa i pod lewym okiem przybrał kolor moczu. Trzy szwy spinające ranę na głowie swędziały jak wysypka.

No i było też to, czego nikt nie mógł zobaczyć – obita kość ogonowa. Bolące plecy i kolana. Ściskanie w żołądku za każdym razem, gdy myślała o tym, co odkryła w tamtym zdewastowanym domu w lesie.

Cztery trupy. Jeden człowiek nadal w szpitalu. Drugi już nigdy nie będzie nosił odznaki. Nie mówiąc o potwornym wspomnieniu, które Lena najpewniej zabierze do grobu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Przygryzła wargę, walcząc z pragnieniem, by pogрузić się w rozpacz. Czowała się wyczerpana. To był ciężki tydzień. Cholera, to były ciężkie trzy tygodnie. Ale się skończyły. Już po wszystkim. Jest bezpieczna. Nie straci pracy. Śledcza z wydziału szczurów czmychnęła z powrotem do swojej nory. Lena wreszcie wróciła do domu, gdzie nikt nie będzie się na nią gapił, wypytywał, prowokował i szturchał. Nie chodziło tylko o Wydział Spraw Wewnętrznych. Wszyscy interesowali się tym nalotem, chcieli wiedzieć, co znalazła w tamtej ciemnej, zatechłej piwnicy.

A Lena niczego nie pragnęła bardziej, jak o tym zapomnieć.

Zacwierkała jej komórka. Lena wypuściła powietrze, aż poczuła, że płuca ma zupełnie puste. Komórka znów zacwierkała. Wzięła ją do ręki. Przyszedł SMS. Vickery.

Jak tam?

Lena wpatrywała się w litery na wyświetlaczu. Paul Vickery, jej partner. Kliknęła „odpowiedz”. Jej kciuk zawisł nad klawiaturą.

Zamiast wstukać odpowiedź, przytrzymała przycisk zasilania i wyłączyła komórkę. Położyła ją na toalecie obok odznaki.

Usłyszała dudniący ryk górnoszaworowego, dwucylindrowego silnika harleya-davidsona, gdy Jared dodawał gazu, żeby pokonać ich stromy podjazd. Czekala, rozpoznając znajome dźwięki: wyłączenie silnika, metaliczny zgrzyt podpórki, stukot ciężkich buciorów, gdy jej mąż wszedł do domu, po czym cisnął kask i kluczyki na kuchenny stół, mimo że milion razy prosiła go, żeby tego nie robił. Zatrzymał się na moment, pewnie po to, żeby przejrzeć pocztę, po czym ruszył w stronę sypialni.

Lena wciąż stała tyłem do drzwi, nasłuchując kroków Jareda przemierzającego długi korytarz. Wydawały się niepewne, jakby się ociągał. Prawdopodobnie liczył na to, że ona będzie już spała.

Przystanął w drzwiach. Z pewnością czekał, aż Lena się odwróci. Gdy tego nie zrobiła, spytał:

– Dopiero wróciłaś?

– Zostałam dłużej, żeby zamknąć sprawę. – To nie było tak do końca kłamstwo. Ona też liczyła na to, że Jared będzie już spał. – Właśnie miałam wziąć prysznic.

– Dobra.

Lena nie poszła jednak do łazienki, tylko odwróciła się do niego przodem.

Wzrok Jareda ześlizgnął się na jej stanik, po czym szybko przeniósł na twarz. Miał na sobie mundur, włosy przyklepione do czoła – od kasku. On też był gliniarzem z wydziału w Macon, patrolował ulice na motorze, był od Leny o jeden stopień niżej i o dwanaście lat młodszy. Wcześniej żadna z tych różnic jej nie przeszkadzała, ostatnio jednak miała wrażenie, że każdy szczegół ich życia to prowokacja.

Oparł się o framugę drzwi i spytał:

– Jak poszło?

– Pozwolili mi wrócić do pracy.

– To chyba dobrze, co?

Odtworzyła w głowie jego słowa, usiłując rozgryźć ton.

– A dlaczego nie miałyby być?

Jared nie odpowiedział. Dopiero po długiej chwili niezręcznego milczenia spytał:

– Chcesz drinka?

Lena nie zdołała ukryć zdziwienia.

– Chyba teraz już możesz? – Przechylił głowę, wykrzywiając usta w wymuszonym uśmiechu. Był o kilka centymetrów wyższy od Leny, ale jego muskularna sylwetka sportowca sprawiała, że wydawał się większy.

Zazwyczaj.

Odchrząknął, dając jej do zrozumienia, że czeka.

Kiwnęła głową.

– Dobra.

Jared wyszedł z sypialni, ale jego potrzeba pozostała – osaczała Lenę, niemal ją dusiła. Chciał, żeby Lena się załamała. Potrzebował tego. Chciał być dla niej oparciem. Chciał zobaczyć, że to, co się stało, poruszyło ją, że w namacalny sposób ją zmieniło.

Nie rozumiał, że ta odmowa poddania się rozpaczcy jest jedynym, co ratuje ją przed całkowitą rozsypką.

Lena wyjęła piżamę z szuflady komody. Słyszała, jak Jared krząta się w kuchni. Otworzył zamrażalnik i szperał w nim w poszukiwaniu kostek lodu. Zamknęła oczy. Zachwiała się. Czekwała, aż lód stuknie o szklanekę. Ślina napłynęła jej do ust.

Zacisnęła szczęki. Zmusiła się do otwarcia oczu.

Bardzo potrzebowała tego drinka. Kiedy Jared wróci, ona odstawi szklanekę, odczeka parę minut, udowodni sobie, że obejdzie się bez alkoholu.

Udowodni jemu, że wcale tego nie potrzebuje.

Gdy rozpinęła spodnie, bolały ją dłonie. W dniu nalotu tak mocno ścisnęła strzelbę, że miała poczucie, jakby jej palce były zgięte na stałe. Nie bardzo wiedziała, dlaczego wciąż wszystko ją boli. Powinna czuć się lepiej, lecz jej ciało trzymało się tego bólu. Trzymało się tej trucizny, która zżerała ją od środka.

– No. – Wrócił Jared. Tym razem wszedł do pokoju. Nalewał dużą wódkę, idąc w jej stronę, butelka bulgotała, gdy trunek tryskał do szklanki. – A więc jutro wracasz do pracy?

– Z samego rana.

Podał jej szklankę.

– Nie dostaniesz wolnego?

Lena wzięła drinka i wypła połowę jednym haustem.

– To chyba tak samo jak wtedy, gdy... – Jared urwał. Nie musiał kończyć. Wyjrzał przez okno wychodzące na ogród za domem. Ciemne szyby odbijały jego twarz. – Założę się, że po tym awansują cię na sierżanta.

Pokręciła głową, ale powiedziała:

– Może.

Patrzył na nią wyczekująco. Uporczywie.

– Co mówią na posterunku? – spytała.

Jared podszedł do szafy.

– Że masz jaja ze stali. – Ustawił szyfr sejfów na broń. Lena patrzyła na jego kark. Zobaczyła różową kreskę oparzenia słonecznego tam, gdzie kask nie chronił skóry. Musiał czuć na sobie jej wzrok, ale odpiął tylko kaburę od paska i położył swój pistolet obok jej glocka. Blisko, lecz nawet ich broni nie pozwolił się dotknąć.

– Przeszkadza ci to? – spytała.

Zatrzasnął drzwiczki sejfów.

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać?

Lena nie wypowiedziała tych słów, ale rozbrzmiewały jej w głowie:

„Bo myślę, że jestem twardsza od ciebie. Bo twoja żona rozprawiała się z bandziorami, podczas gdy ty jeździłeś sobie na motorze i wlepiełeś mandaty mamuśkom z przedmieścia”.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział Jared swoim racjonalnym tonem, który sprawiał, że Lena miała ochotę dać mu w twarz. – Za to, co zrobiłaś, powinni dać ci medal.

Nie miał pojęcia, co ona zrobiła. Znał jedynie zarys wydarzeń, główne

punkty, które wolno było Lenie wyjawiać osobom postronnym.

Powtórzyła pytanie:

– Przeszkadza ci to?

Wahał się o sekundę za długo.

– Mogłaś zginąć.

Nadal nie odpowiedział na jej pytanie. Lena przyglądała się jego twarzy. Skóra bez zmarszczek, świeża. Poznała Jareda, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, a w ciągu pięciu i pół roku, które minęły od tamtej pory, jakimś cudem zaczął wyglądać młodziej, jakby cofał się w czasie. A może ona po prostu starzała się szybciej? Tyle się zmieniło od tamtych pierwszych dni ich znajomości. Na początku zawsze potrafiła odgadnąć, co Jared myśli. Oczywiście przez wszystkie te lata dostarczyła mu mnóstwo zaprawy, żeby mógł wybudować wokół siebie mur.

Zaczął rozpinać koszulę.

– Chyba skręcę wreszcie te szafki.

Roześmiała się zaskoczona.

– Naprawdę?

Kuchnia była w rozsypce od trzech miesięcy, głównie dlatego że Jared w każdy weekend wynajdywał nowe powody, żeby się do niej nie zabrać.

Rzucił koszulę na podłogę.

– Przynajmniej Ikea będzie wiedzieć, że w tym domu to ja nadal jestem mężczyzną.

Teraz, kiedy te słowa wreszcie padły, Lena nie wiedziała, jak zareagować.

– Wiesz, że to nie tak. – Nawet w jej uszach nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – To przecież nie tak.

– Poważnie?

Nie odpowiedziała.

– No. – Zadzwoiła komórka Jareda. Wyjął ją z kieszeni, sprawdził numer i odrzucił połączenie.

– To twoja dziewczyna? – Lenę nieprzyjemnie uderzyła piskliwość własnego głosu. Żart nie był śmieszny. Oboje o tym wiedzieli.

Jared przetrząsnął kosz z rzeczami do prania i wygrzebał z niego dzinsy i podkoszulek.

– Już prawie północ. – Zerknęła na zegar przy łóżku. – Po północy.

– Nie chce mi się spać. – Ubrał się szybko, chowając telefon do tylnej kieszeni. – Postaram się nie hałasować.

– Potrzebny ci telefon do składania tych szafek?

– Muszę go doładować.

– Jared...

– To nie potrwa długo. – Znów posłał jej sztuczny uśmiech. – Przynajmniej tyle mogę zrobić, co nie?

Lena uśmiechnęła się w odpowiedzi i uniosła szklankę z wódką.

Nie wyszedł od razu.

– Powinnaś wziąć prysznic, zanim się przewrócisz.

Kiwnęła głową, ale nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć, jak opięty podkoszulek podkreśla mięśnie jego brzucha. Od wódki przyjemnie szumiało jej w głowie. Wreszcie zaczęła się odprężyć. Coś w sposobie, w jaki Jared stał, przywołało wspomnienia. Lena pozwoliła myślom powędrować tam, gdzie zwykle ich nie dopuszczała – do miasta, w którym mieszkała, zanim przeniosła się z Jaredem do Macon, miasta, gdzie nauczyła się policyjnego fachu.

To tam, w Grant County, ojciec Jareda wpoił Lenie wszystko, co wiedziała o pracy w policji. No, prawie wszystko. Miała poczucie, że sztuczki, których nauczyła się po śmierci szefa, Jeffreya Tollivera, wkurzyłyby go jak diabli. Chociaż jemu samemu zdarzało się naginać prawo, ilekroć przyłapał Lenę na próbach jakichkolwiek kombinacji, ostro na nią naskakiwał.

– Lee? – odezwał się Jared. Miał oczy Jeffreya i tak samo przechylał głowę, gdy czekał na jej reakcję.

Lena dopiła drinka, choć już i tak kręciło jej się w głowie.

– Kocham cię.

Tym razem to Jared zaśmiał się zaskoczony.

– Nie odpowiesz, że też mnie kochasz? – spytała.

– A chcesz?

Milczała.

Westchnął z rezygnacją i podszedł do niej. Miała na sobie tylko stanik i majtki, lecz on pocałował ją w czoło, jak siostrę.

– Nie zaśnij pod prysznicem.

Odprowadziła go wzrokiem. Ostatnio często nosił ten sam brudny podkoszulek. Na plecach i ramionach widniały plamy od żółtej farby po tym, jak trzy tygodnie temu zaczął przerabiać wolną sypialnię.

Lena mówiła mu, żeby nie malował ścian, żeby poczekał jeszcze kilka tygodni – nie dlatego, że rozpoczął przynajmniej dziesięć innych inwestycji w domu, które należałoby przedtem dokończyć, ale dlatego, żeby nie zapeszać.

Jared nigdy jej nie słuchał.

Oczywiście ona też nigdy go nie słuchała.

Lena zabrała do łazienki butelkę wódki. Odstawiła pustą szklanekę na rezerwuar i piła prosto z butelki, odchylając głowę do tyłu. Pewnie nie było to mądre, zważywszy, że po powrocie do domu wzięła środki przeciwbólowe, ale też nie czuła się w tej chwili zbyt mądra. Pragnęła, by nadeszła amnezja. Chciała, żeby tabletki i alkohol wymazały wszystko z jej umysłu – to, co stało się przed nalotem, w trakcie i po. Chciała, żeby to wszystko zniknęło, żeby mogła się położyć i zamiast tego migoczącego niemego filmu, który prześladował ją przez ostatnie sześć dni, pragnęła widzieć ciemność.

Butelkę też odstawiła na rezerwuar. Miała wrażenie, że jej palce są grube i sztywne, gdy upinała włosy. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Czarne kręgi pod oczami, i to nie tylko sińce. Przycisnęła palce do tafli szkła. Na jej twarzy zaczynało być widać wszystko to, co straciła.

Liczbę trupów, jakie za sobą zostawiła.

Spuściła wzrok. Nie zdając sobie z tego sprawy, przycisnęła dłoń do płaskiego brzucha. Jeszcze dziewięć dni temu był nieco zaokrąglony. Spodnie zrobiły się ciasne. Bolały ją piersi. Jared nie mógł się powstrzymać, by jej nie dotykać. Budziła się czasem i znajdowała jego dłoń na swoim brzuchu, jakby podkreślał swoje prawo do tego, co stworzył. Do życia, które

umieścił wewnątrz niej.

Ale oczywiście to życie tam nie przetrwało. Jego dłoń nie mogła powstrzymać ostrego bólu, który wyrwał Lenę z głębokiego snu. Jego słowa nie mogły przynieść jej ukojenia, gdy lała się krew. W łazience. W szpitalu. W drodze do domu. To była czerwona fala, która pozostawiła za sobą jedynie śmierć.

I teraz za każdym razem, kiedy przechodziła obok tej pieprzonej wolnej sypialni o ścianach pomalowanych na jaskrawożółto, czuła tak gwałtowną nienawiść do Jareda, że aż dygotała z wściekłości.

Popatrzyła na sufit. Wstrzymała na chwilę oddech, po czym wypuściła powietrze ustami niczym mroczny sekret. Dziś wszystko do niej wracało. Strata, żal. Wódka i tabletki nie pomagały. Nigdy tak do końca nie pomogą.

Rozejrzała się za nakrętką od butelki, ale nie zdołała jej znaleźć. Pchnęła drzwi. Sypialnia była pusta. Ubrania Jareda leżały na podłodze tam, gdzie je rzucił, gdy się rozbierał. Lena podniosła jego koszulę. Poczowała spaliny, pot i smar po całym dniu jeżdżenia po mieście. W tylnej kieszeni spodni wciąż tkwił portfel. Wyjęła go i położyła na nocnej szafce. Przednie kieszenie też były pełne. Garść drobnych. Małe pudełeczko pszczelego wosku, którym smarował usta, żeby chronić je przed pierzchnięciem od wiatru. Parę dwudziestodolarówek, prawo jazdy, trzy karty kredytowe, wszystko spięte razem zieloną recepturką. Czarny aksamitny woreczek, w którym trzymał obrączkę.

Lena wsunęła palec do woreczka i wyjęła złotą obrączkę. Jared przestał nosić ją w pracy po tym, gdy jeden z jego kumpli miał wypadek na motorze. Obrączka zahaczyła się na stawie palca i zdarła z niego skórę niczym skarpetkę. Po tamtej historii kazała Jaredowi obiecać, że nie będzie nosił obrączki na służbie. Czarny woreczek stanowił kompromis. Lena chciała, żeby zostawiał obrączkę w domu, ale jej mąż był romantykiem – w znacznie większym stopniu niż jakakolwiek znana Lenie kobieta – i nie mógł znieść myśli, że miałby nie mieć jej przy sobie.

Teraz przypuszczała, że nosi ją z przyzwyczajenia.

Schowała obrączkę do woreczka i otworzyła portfel Jareda. Podarowała mu go w pierwszym roku ich związku, a on nadal wszędzie go zabierał, mimo że nigdy wcześniej nie używał portfela. Tak naprawdę był to po prostu

przenośny album ze zdjęciami. Lena oglądała nieupozowane fotki, których w ciągu minionych pięciu lat Jared napstrykał całe mnóstwo: Lena przed ich domem w dniu, w którym się wprowadzili, Lena na jego motorze, Jared i Lena w Disney Worldzie, mecz Bravesów, rozgrywki futbolowe SEC, mistrzostwa kraju w Arizonie.

Zatrzymała się na zdjęciu z ich ślubu, który odbył się w kancelarii sędziego w gmachu sądu w Atlancie. Po jednej stronie Leny stał jej wuj Hank, po drugiej Jared. Obok Jareda jego matka, ojczym, siostra, babcia, dziadek, dwoje kuzynów i nauczycielka ze szkoły podstawowej, z którą wciąż był w kontakcie.

Wszyscy się wystroili, poza Leną, która miała na sobie granatowy kostium ze spodniami, czyli swój normalny strój służbowy. Rozpuściła włosy, brązowe loki opadały na ramiona. Makijaż robił jej transseksualista ze stoiska z kosmetykami w Macy's przy Lenox Square, który rozplątywał się nad odcieniem jej skóry. Przynajmniej ta jedna kobieta doceniła Lenę tamtego dnia. Skwaszona mina matki Jareda tłumaczyła dobitnie, dlaczego pan młody nie upierał się przy bardziej uroczystej ceremonii. Gdzieś w Alabamie, właśnie teraz, Darnell Long modli się, żeby jej syn się opamiętał i rozwiódł z tą suką, z którą się ożenił.

Czasami Lena zastanawiała się, czy nie trzyma się Jareda wyłącznie po to, żeby zrobić tamtej na złość.

Odwróciła następne zdjęcie i ugięły się pod nią nogi.

Usiadła na łóżku.

Widziała to zdjęcie wiele razy, lecz nie w portfelu Jareda. Pochodziło z pudełka po butach, które trzymała w szafie, i przedstawiało jej siostrę bliźniaczkę, Sibyl. Lena poczuła bolesne ukłucie zazdrości, a po chwili stwierdziła, że zaczyna się śmiać. Jared oczywiście myślał, że to zdjęcie Leny. Nigdy nie poznał Sibyl. Kiedy pojawił się w życiu Leny, nie żyła od dziesięciu lat.

Przyłożyła dłoń do ust i śmiech zamienił się w szloch. Kiedy Lena odkryła, że jest w ciąży, pierwszą osobą, o której pomyślała, była Sibyl. Gdy sięgała po słuchawkę, żeby do niej zadzwonić, poczuła przelotny błysk szczęścia.

I zaraz potem poczucie straty walnęło ją w pierś tak, że nie mogła

oddychać.

Ostrożnie otarła obolałe miejsca pod oczami i nadal wpatrywała się w zdjęcie. Mogła zrozumieć, dlaczego Jared je wybrał. Sibyl siedziała na kocu w parku. Usta miała otwarte, głowę odchyłoną do tyłu. Śmiała się żywo – Lena rzadko okazywała aż taką radość. Wyraźnie widoczne były geny ich meksykańsko-amerykańskiej babci. Skóra Sibyl opaliła się na brązowo. Brązowe kręcone włosy miała rozpuszczone tak samo jak dzisiaj Lena. Chociaż Sibyl, w przeciwieństwie do Leny, nie miała pasemek, no i oczywiście tych kilku siwych kosmyków.

Jak Sibyl wyglądałaby teraz? W ciągu minionych lat Lena często zadawała sobie to pytanie. Przypuszczała, że wszystkie bliźniaczki i bliźniacy zastanawiają się nad tym, gdy jedno z nich umrze. Sibyl nigdy nie miała ostrych rysów i zaciętej ekspresji Leny. W jej twarzy zawsze była łagodność, otwartość, która przyciągała ludzi, a nie odpychała. Tylko głupiec mógł pomylić jedną siostrę z drugą.

– Lee?

Podniosła wzrok na Jareda, jakby to było zupełnie normalne, że siedzi w bieliźnie i płacze nad jego portfelem. Znowu stał w drzwiach, jakby się wahał, czy wejść do sypialni.

– Kto dzwonił? – spytała. – Na twoją komórkę?

– Numer był zastrzeżony. – Zatknął kciuki za pas z narzędziami i oparł się o framugę. – Wszystko w porządku?

– Jestem... hmm... – Głos uwiązł jej w gardle. – Zmęczona.

Po raz ostatni spojrzała na Sibyl i zamknęła portfel. Po jej policzkach płynęły łzy. Zaciśnęła szczęki, próbując zdusić emocje. Jednak bez względu na to, jak bardzo się starała, one znów kipiały, ścisnęły jej gardło i pierś niczym stalowa obręcz.

– Lee? – Nadal nie wszedł do pokoju.

Pokręciła głową. Chciała, żeby sobie poszedł. Nie mogła na niego spojrzeć, nie mogła pozwolić, żeby widział ją w takim stanie. Wiedziała, że czeka na jej załamanie. Spodziewa się go.

Pragnie.

Nagle jednak coś w niej pękło. Wyrwał jej się jeszcze jeden szloch –

głęboki, żałobny. Nie mogła go stłumić, nie mogła też dłużej odpychać Jareda. Nie przywołała go do siebie. Szybko przeszła przez pokój, zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła twarz do jego piersi.

– Lena...

Pocałowała go. Ujęła w dłonie jego twarz, dotknęła karku. Jared z początku się opierał, ale był dwudziestosześcioletnim facetem, który przez ostatni tydzień sypiał na kanapie. Nie trzeba było wiele, żeby zareagował na bliskość żony. Zrogowaciałymi dłońmi pogładził jej nagie plecy. Przyciągnął ją do siebie i zaczął mocniej całować.

I nagle całe jego ciało od niej odskoczyło.

Do jej ust trysnęła krew.

Wystrzał usłyszała parę sekund później.

Po tym, jak Jared został postrzelony. Po tym, jak się na nią osunął.

Był za ciężki. Lena zachwiała się i przewróciła na plecy. Jared runął na nią, przygwoźdżając ją do podłogi. Nie mogła się ruszyć. Próbowwała zepchnąć go z siebie, ale rozległ się kolejny strzał. Przez jego ciało przebiegł spazm, uniosło się na kilka centymetrów, po czym znów na nią opadło.

Usłyszała piskliwe zawodzenie. Wydobywało się z jej ust. Wypełzła spod Jareda, po czym chwyciła go za koszulkę, żeby go odciągnąć z linii ognia. Udało jej się przesunąć męża ponad metr, zanim jego pas z narzędziami zahaczył o dywan.

– Nie-nie-nie – wyjąkała Lena, po czym przyłożyła dłonie do ust, żeby powstrzymać wydawane przez siebie odgłosy. Oparła się plecami o ścianę, walcząc z atakiem histerii. Wódka i tabletki dały o sobie znać. Wymioty podeszły jej do gardła. Chciała krzyczeć. Potrzebowała tego.

Ale nie mogła.

Jared się nie ruszał. Huk wystrzału wciąż dźwięczał jej w uszach. Strzał ze strzelby. Pociski eksplodowały, trafiając go w plecy, w głowę. Jaskrawoczerwone kręgi krwi rozlały się po zaschniętej żółtej farbie na jego podkoszulku. Śrubokręt z pasa wbijał mu się w bok. Coraz więcej krwi tworzyło kałużę pod jego ciałem. Położyła dłoń na jego nodze, poczuła smukły mięsień łydki.

– Jared? – wyszeptała. – Jared?

Nie otworzył oczu. Na wargach pojawiły się pęcherzyki krwi. Palce zadrżały na podłodze. Widziała nieopalony ślad po obrączce, widocznie nadal nosił ją w pracy, chociaż obiecał, że nie będzie.

Lena wyciągnęła rękę, chcąc ująć jego dłoń, lecz zaraz ją cofnęła.

Kroki.

Strzelec szedł korytarzem. Powoli. Metodycznie. Miał na nogach ciężkie buciory. Słyszała, jak twarda podeszwa uderza o nagie deski podłogi, a potem cichszy chrobot, gdy opadał z pięty na palce.

Jeden krok.

Jeszcze jeden.

Cisza.

Strzelec odchylił zasłonkę prysznicza w łazience przy korytarzu.

Lena przebiegła wzrokiem sypialnię: ich pistolety są zamknięte w sejfie. Jej komórka leży w drugim końcu pokoju. Nie mają telefonu stacjonarnego. Okno jest za bardzo na widoku. Łazienka to śmiertelna pułapka.

Komórka Jareda.

Przesunęła dłonią wzdłuż jego nogi, sprawdziła kieszenie. Pusta. Pusta. Wszystkie puste.

Kroki znów rozbrzmiały echem na korytarzu, przypominały odgłos łamanych gałązek.

A potem – nic.

Zatrzymał się przed pierwszym pokojem. Dwa biurka. Pudła z aktami dawnych spraw. Jared zawsze zostawiał drzwi szafy otwarte. Strzelec mógł je zobaczyć z korytarza.

Odchrząknął i splunął na podłogę.

Chciał, żeby Lena wiedziała, że nadchodzi.

Przywarła plecami do ściany, zmusiła się, żeby wstać. Nie zamierzała umierać na siedząco. Zamierzała stać mocno na nogach i walczyć o życie swoje i męża.

Kroki ucichły. Strzelec zaglądał do kolejnego pokoju. Jaskrawożółte ściany. Drzwi szafy leżące na dwóch kozłach, żeby Jared mógł wymalować

na nich balony. Z korytarza można było dojrzeć ich cienkie ołówkowe zarysy, które naszkicował. Można było też zajrzeć do środka pustej szafy.

Strzelec ruszył dalej korytarzem.

Lenie trzęsa się ręka, kiedy pochyliła się nad Jaredem. Młotek przy pasie wysunął się już do połowy z metalowej szlufki. Palcami wypchnęła go do końca i złapała trzonek. W zetknięciu z jej skórą wydawał się ciepły, prawie gorący.

Jared otworzył oczy. Obserwował Lenę, gdy wstawiała, opierając się plecami o ścianę. Miał szkliste spojrzenie. Ból. Silny ból. Przeszył ją na wylot. Jego usta się poruszyły. Lena przyłożyła palec do ust, cicho – zaklinała go w myślach – udawaj trupa, żeby znowu do ciebie nie strzelił.

Kroki zatrzymały się tuż za drzwiami sypialni, może w odległości półtora metra. Najpierw pojawił się cień mężczyzny, pogrążając połowę ciała Jareda w ciemności.

Lena obróciła młotek, tak żeby szpikulec do wyciągania gwoździ skierowany był na zewnątrz. Usłyszała szcęk odbezpieczanej strzelby. Ten dźwięk osiągnął zamierzony efekt: musiała usztywnić nogi w kolanach, żeby nie upaść na podłogę.

Strzelec się zawahał. Jego cień zachwiał się lekko, ale nie wdarł głębiej do pokoju.

Lena trwała w napięciu, odliczając sekundy. Raz, dwa, trzy. Mężczyzna nie wchodził. Po prostu tam stał.

Starła się wniknąć do jego głowy, odgadnąć, co myśli. Dwoje gliniarzy. Oboje mają broń, lecz jej nie użyli. Jeden leży na podłodze. Druga się nie rusza, nie strzela w odpowiedzi, nie krzyczy, nie wyskakuje przez okno ani go nie atakuje.

Lena wycęzała słuch, oboje czekali w ciszy.

Wreszcie strzelec zrobił kolejny krok do przodu – krótki, niepewny. I jeszcze jeden. Pierwszym, co zobaczyła, był czubek lufy strzelby. Odpiłowany. Metal był nierówny, świeżo rżnięty. Chwila wahania, nieznaczna zmiana pozycji, gdy strzelec obrócił się bokiem. Lena spostrzegła, że dłoń podtrzymująca lufę jest wytatuowana: skórę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym wypełniały czarna czaszka i skrzyżowane

piszczele.

Ostatni ostrożny krok.

Lena chwyciła młotek w obie dłonie i zamachnęła się, mierząc w twarz mężczyzny.

Szpiculec młotka wbił się w oczodół. Usłyszała chrzęst kości, gdy stal zagłębiała się w czaszce. Strzelba wypaliła, robiąc dziurę w ścianie. Lena usiłowała wyciągnąć młotek, żeby zadać kolejny cios, lecz szpiculec utknął na dobre. Strzelec zachwiał się, próbując oprzeć o drzwi. Jego palce zacisnęły się na nadgarstku Leny. Z oka tryskała krew, ciekła mu do ust i po szyi.

Wtedy Lena zobaczyła drugiego napastnika. Biegł korytarzem z pięciostrzałowym smithem & wessonem w dłoni. Lena szarpnęła młotek, użyła go jako rączki, żeby przyciągnąć do siebie strzelca i wykorzystać niczym tarczę. Rozległy się trzy strzały, jeden po drugim. Wszystkie trafiły w pierwszego mężczyznę. Lena z całej siły pchnęła go na tego drugiego. Obaj się przewrócili. Rewolwer wylądował na podłodze.

Podniosła strzelbę. Nacisnęła spust, jednak łuska utknęła w magazynku. Próbowała ją wydostać, a w tym czasie drugi facet próbował wstać. Rzucił się w jej stronę, jego palce musnęły wylot lufy, ale zaraz opadł na jedno kolano.

To Jared złapał go za kostkę. Trzymał mocno, jego ręka dygotała z wysiłku. Napastnik odchylił się do tyłu i wymierzył cios pięścią w skroń Jareda.

Lena obróciła strzelbę, złapała za lufę i zamachnęła się nią jak pałką, waląc napastnika w głowę. Ze złamanej szczęki trysnęła krew i posypały się zęby. Mężczyzna runął na podłogę.

– Jared! – krzyknęła Lena, klękając przy nim. – Jared!

Jęknął. Z ust popłynęła strużka krwi. Miał niewidzące spojrzenie, bez wyrazu.

– Już dobrze – powiedziała. – Już dobrze.

Zakaszał. Zadrżał, po czym wyprężył się w gwałtownym ataku.

– Jared! – wrzasnęła. – Jared! – Wszystko zrobiło się rozmazane, gdy łyzy napłynęły jej do oczu. Ujęła jego twarz w obie dłonie. – Popatrz na mnie – błagała. – Tylko na mnie popatrz...

Ruch. Dojrzała go kątem oka. Drugi napastnik pełzł w stronę łóżka, próbując dosięgnąć broni. Połowę ciała miał sparaliżowaną. Opierał się na jednym łokciu, wyglądał jak zraniony karaluch zostawiający za sobą ślady krwi.

Lena poczuła, że serce w niej zamiera. Coś się zmieniło. Powietrze znieruchomiało. Świat przestał wirować.

Spojrzała na męża.

Miał półprzymknięte oczy. Dotknęła jego twarzy, ust. Tak bardzo trzęsa jej się ręka, że opuszki palców uderzały o jego skórę.

Sibyl. Jeffrey. Dziecko.

Ich dziecko.

Wstała.

Poruszała się jak automat. Młotek wciąż tkwił w twarzy pierwszego napastnika. Lena zapała się nogą o jego czoło, chwyciła trzonek w obie dłonie i wyszarpnęła szpikulec z oczodołu.

Karaluch wciąż pełzł w stronę łóżka. Przesuwał się dosłownie o milimetry. Lena się nie spieszyła, poczekała, aż znajdzie się w odległości kilku centymetrów od strzelby, po czym wbiła mu kolano w plecy. Poczowała, jak zebra pękają pod jej ciężarem. Połamane zęby posypały się z jego ust niczym grudki mokrego piasku.

Uniosła młotek nad głowę. Wbił się z miażdżącym chrzęstem w kręgosłup mężczyzny. Wrzasnął, wyrzucił ręce na boki, jego ciało napięło się pod Leną. Wciąż przygniatała go całym ciężarem, była skupiona, zeszywniała z wściekłości. Uniosła młotek wysoko nad głowę i wymierzyła cios w tył czaszki, lecz nagle wszystko zamarło.

Młotek nie chciał się ruszyć. Utknął w powietrzu.

Lena obejrzała się za siebie. Był jeszcze trzeci mężczyzna. Wysoki, chudy, o silnych dłoniach, które powstrzymały Lenę przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

Była zbyt zszokowana, żeby zareagować. Znała tego mężczyznę. Doskonale wiedziała, kto to jest.

Wyglądał jak członek gangu motocyklowego – bandana na głowie,

łańcuch wiszący przy skórzanym pasie. Przyłożył palec do ust, tak samo jak ona przed chwilą, gdy pokazywała Jaredowi, że ma być cicho. Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale pod tą przestrogą ujrzała w jego oczach prawdziwy strach.

Powoli oprzytomniała. Najpierw odzyskała słuch – usłyszała swój chrapliwy oddech. Następnie poczuła rwący ból napiętych mięśni, poparzonej skóry dłoni od gorącej lufy strzelby. Jej nos wypełniła ostra woń śmierci. A tuż pod nią wychwyciła powiew drogi, znajomy zapach spalin, oleju i potu, jaki Jared przynosił do domu każdego wieczoru.

Jared.

Tył jego koszuli był mokry i przyklejony do skóry. Żółte plamy wyschniętej farby zniknęły. Były teraz czarne, podobnie jak jego włosy – pociemniałe od krwi.

Lena opadła z sił. Jej wola walki się wyczerpała. Opuściła rękę i pozwoliła młotkowi upaść na podłogę.

Powietrze przeszło wycie syren. Dwóch, trzech, więcej, niż mogła zliczyć.

Gdzieś z zewnątrz dobiegł ją chrapliwy głos wołający: „Chłopie, co tam robisz?!”.

Syreny rozbrzmiały głośniejsze. Bliżej.

Will Trent popatrzył na Lenę po raz ostatni, po czym wyszedł z pokoju.

2.

CZWARTEK ATLANTA W STANIE GEORGIA

Szpitalne windy słyęły z zawodności, lecz doktor Sara Linton miała poczucie, że w szpitalu Grady Memorial w Atlancie są szczególnie niesolidne. Mimo to, niczym nałogowy hazardzista atakujący automat do gry, za każdym razem wciskała guzik w nadziei, że akurat wyjątkowo zadziała i drzwi się otworzą.

– No, dalej – wymamrotała, wpatrując się w cyfry nad drzwiami i siłą woli wywołując siódemkę. Czekala, trzymając ręce w kieszeniach białego fartucha, gdy na cyfrowym wyświetlaczu pojawiła się dziesiątka, potem dziewiątka, aż wreszcie ósemka, i tak już zostało.

Sara zaczęła postukiwać czubkiem buta o podłogę. Spojrzała na zegarek. A potem poczuła, że całe jej ciało przeszywa zgroza, bo ujrzala, że truchta w jej stronę Oliver Gittings.

Jako pediatra na oddziale urazowym szpitala Grady Sara miała pod opieką kilkoro studentów, którzy – mimo iż istniały przeczące temu przesłanki – zakładali, że kiedyś zostaną lekarzami. Szczególnie męczące były nocne dyżury. To chyba wpływ księżycy przemieniał ich małe mózdzki w papkę. Sara często się zastanawiała, jak niektórym z nich udało się samodzielnie ubrać, a co dopiero dostać na akademię medyczną.

Oliver Gittings był jednym z lepszych przykładów. A właściwie gorszych. W ciągu ostatnich ośmiu godzin zdążył wylać na siebie próbkę moczu i niechcący przyszyć sobie jałowy gazik do rękawa fartucha. W każdym razie Sara miała nadzieję, że to nie było zamierzone działanie.

– Doktor Linton! – zawołał teraz.

– Chodźmy tędy – rzuciła Sara, dając sobie spokój z windą i kierując się w stronę schodów.

– Cieszę się, że panią znalazłem. – Oliver dreptał za nią z gorliwością szczeniaka. – Pojawił się interesujący przypadek.

Wszystkie przypadki uważał za interesujące.

– Przedstaw mi go w zarysie – poleciła.

– Sześciolatnia dziewczynka – zaczął, dwukrotnie szarpiąc drzwi prowadzące na schody, zanim się zorientował, że otwierają się na zewnątrz. – Matka twierdzi, że córka obudziła ją w środku nocy, bo chciała napić się wody. Schodzą na dół. Nagle dziewczynka się potyka. Matka łapie ją za łokieć. Rozlega się chrupnięcie. Dziewczynka zaczyna krzyczeć. Matka przywozi ją tutaj.

Sara pierwsza ruszyła po schodach w dół.

– Rentgen wykazał złamanie spiralne? – domyśliła się.

– Tak. Dziewczynka ma też siniec na ramieniu w tym miejscu...

Sara obejrzała się, żeby zobaczyć, które miejsce wskazuje Olivier.

– A więc podejrzewasz maltretowanie? Zleciłeś zdjęcia całego szkieletu?

– Tak, ale na radiologii mają młyn. Moja zmiana zaraz się skończy. Pomyślałem, że może od razu zadzwonię do sądu i zawiadomię Wydział Rodzinny i Nieletnich, żeby przyspieszyć sprawę.

Sara się zatrzymała.

– Chcesz, żeby mała od razu trafiła do systemu?

Oliver wzruszył ramionami, jakby to była drobnostka.

– Dziewczynka jest zbyt cicha. Matka zniecierpliwiona i rozdrażniona. Interesuje ją tylko to, kiedy będą mogły stąd wyjść.

– A jak długo już tu są?

– Nie wiem. Chyba trafiła na oddział koło pierwszej.

Sara spojrzała na zegarek.

– W tej chwili jest piąta pięćdziesiąt osiem. Były tu przez całą noc. Ja też chciałabym wrócić do domu. Co jeszcze?

Po raz pierwszy Oliver zdawał się mieć jakieś wątpliwości.

– No, to złamanie...

Sara znów zaczęła schodzić po schodach.

– Żadne konkretne złamanie nie jest patognomoniczne dla maltretowanego dziecka – tłumaczyła. – Jeśli zadzwonisz do Wydziału Rodzinnego i Nieletnich, sprawa stanie się oficjalna. Gdy matka maltretuje dziecko, człowiek chce mieć pewność, że nie ucieknie od odpowiedzialności. Potrzebne są dowody. Czy ta dziewczynka sprawia wrażenie, jakby bała się matki? Czy patrzy ci w oczy i odpowiada na pytania? Czy ma jeszcze inne sińce? Jest opóźniona w rozwoju? Ma problemy z trzymaniem moczu? Czy istnieje historia jej wizyt na oddziale urazowym? Jakie ogólne wrażenie sprawia? – Oliver nie odpowiedział od razu. Sara go naprowadziła: – Czy jest zdrowa? Dobrze odżywiona?

– Tak, ale...

– Dosyć. – Sara nie zamierzała wdawać się w dyskusję. Znów spojrzała na zegarek. – Moje obowiązki przejmie doktor Connor, ale masz wszystkie moje numery. Zleć rentgen całego szkieletu, żeby sprawdzić, czy nie było wcześniejszych złamań i pęknięć kości. Zawiadom ochronę, żeby mieli oko na matkę. Zadzwon na inne oddziały urazowe i sprawdź, czy kiedykolwiek przyjmowali tę dziewczynkę. – Sara złagodziła ton głosu, by chłopak nie miał wątpliwości, że chce go czegoś nauczyć, a nie ukarać. – Oliverze, sześćdziesiąt pięć procent przypadków maltretowania dzieci stwierdza się właśnie na oddziałach urazowych. Jeśli zostaniesz na pediatrii, będziesz miał do czynienia z takimi sytuacjami przynajmniej raz w tygodniu. Nie twierdź, że się mylisz. Mówię tylko, że musisz poznać wszystkie fakty, zanim wywrócisz życie tej dziewczynki do góry nogami. Jej i jej matki.

– Tak, pani doktor – rzucił i zbiegł schodami, wciskając dłonie głęboko w kieszenie fartucha.

Sara nie od razu ruszyła za nim, zdając sobie sprawę, że ego Olivera zostało już wystarczająco nadwątlone i nie powinna deptać mu na dokładkę po piętach. Usiadła na stopniu i sprawdziła swój szpitalny blackberry. Oczy jej się zamykały, gdy przeglądała kolejne administracyjne wiadomości zaśmiecające jej skrzynkę. Spotkania, konferencje, odrzucone zamówienia, nowe procedury dotyczące zamówień, udziału w konferencjach

i planowanych spotkań.

Pomacała drugą kieszeń i zamieniła telefon służbowy na prywatny. Od razu poczuła się lepiej. Ojciec przysłał jej głupi dowcip o ślimakach, który usłyszał w restauracji Waffle House, a matka przepis na danie, którego Sara nigdy nie przyrządzi. Przyszedł też długi e-mail od jej siostry ze zdjęciem siostrzenicy Sary w załączniku. Oznaczyła go jako nieprzeczytany i zostawiła sobie na później. Następną wiadomością był SMS od jej chłopaka. Przed godziną przysłał jej zdjęcie swojego śniadania: sześć czekoladowych minipączków, bułka z jajkiem i serem oraz duża cola.

Sara nie była pewna, które z nich pierwsze dostanie zawału.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazała się w nich głowa doktora Felixa Connora. Zmierzył Sarę podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego masz taką radosną minę? – spytał.
- Może dlatego, że wreszcie mogę iść do domu, skoro już tu jesteś.
- Daj mi chwilkę, muszę jeszcze skoczyć do klopa.

Wrzuciła telefon do kieszeni i wstała. Nie tylko Oliverowi spieszyło się, by wyjść. Sara wzięła kilka nocnych dyżurów z rzędu, bo w szpitalu panowała epidemia grypy żołądkowej. Miała poczucie, że spotyka ją kara za to, że sama czuje się dobrze.

Do domu. Spać. Cisza. Idąc przez oddział urazowy, robiła plany. Dzięki temu szaleńczemu harmonogramowi pracy ma przed sobą pełne cztery dni wolnego. Może poczytać książkę. Pobiegać z psami. Przypomnieć swojemu chłopakowi, dlaczego są razem.

Na myśl o nim uśmiechnęła się jeszcze szerzej. W odpowiedzi napotkała zaintrygowane spojrzenia. Niewiele osób cieszyło się z tego, że jest w Grady, ostatnim finansowanym ze środków publicznych szpitalu w Atlancie. Większość personelu przybierała nieczułą, hardą pozę weteranów wojennych. Jeśli uznać, że praktyka lekarska jest ciężką walką, pracę w Grady należałoby porównać do Guadalcanal. Pchnięcia nożem, pobicia, zatrucia, gwałty, postrzelenia, morderstwa, przedawkowanie narkotyków...

I to tylko na pediatrii.

Sara zatrzymała się przy komputerze w dyżurce pielęgniarek. Odszukała pacjentkę Olivera. Na zdjęciu rentgenowskim wyraźnie widać było skręcenie

kości ramiennej. Albo matka mówiła prawdę o tym, co stało się na schodach, albo jest na tyle sprytna, żeby wymyślić wiarygodne kłamstwo.

Sara podniosła wzrok i rozejrzała się po otwartej przestrzeni, którą – jak można było przewidzieć – wypełniali stali bywalcy szpitala. Kilku pijaków odsypiających popijawy. Ćpun, który grozi, że się zabije, za każdym razem, gdy trafia do aresztu, i bezdomna staruszka, która powinna znaleźć się w szpitalu psychiatrycznym, ale wie, jak wykiwać system, żeby móc zostać na ulicy. Dziewczynka Olivera spała skulona na najdalszych noszach na kółkach. Jej matka siedziała obok na krześle. Ona także spała, ale splotła palce z palcami córeczki. Nie zauważyła jeszcze strażnika stojącego w odległości paru metrów od niej.

Nie po raz pierwszy Sara żałowała, że natura nie wynalazła systemu, który ostrzegaliby resztę świata przed ludźmi, którzy maltretują dzieci. Szkarłatnej litery. Piętna bestii. Jakiegoś znaku, który dawałby przyzwoitym ludziom do zrozumienia, że tym potworom nie można ufać.

Jeszcze kilka lat temu Sara mieszkała w małym miasteczku, cztery godziny na południe od Atlanty. Pracowała na dwa etaty jako pediatra okręgowy i lekarz sądowy. Jej ojciec lubił żartować, że dzięki tym dwóm posadom zarówno wita ludzi na świecie, jak i żegna. Choć była to prawda, Sara stykała się również z okropieństwami, jakie ludzie mogą wyrządzić dzieciom. Zdjęcia rentgenowskie ukazujące wielokrotnie łamane kości. Dane dentystyczne ujawniające zęby zepsute z powodu wieloletnich zaniedbań. Skórę na zawsze naznaczoną przez przypalanie i bicie.

Odkąd mieszkała w Atlancie, zdobyła na ten temat dodatkową wiedzę dzięki temu, że spotykała się z mężczyzną, który dorastał w domu dziecka. Chłopak Sary nie lubił opowiadać o swoim dzieciństwie. Kiedy muskała palcami zagojone rany na jego piersi po przypalaniu papierosem albo całowała bliznę na górnej wardze, tam gdzie skóra pękła od ciosu, mogła sobie tylko wyobrażać, przez jakie piekło przeszedł.

A przecież były znacznie gorsze rzeczy, jakie mogły spotkać dziecko. System miał wiele wad, ale też istniał nie bez powodu.

– Wolałbym, żebyś przestała się uśmiechać. – Felix Connor wycierał ręce papierowym ręcznikiem, idąc w stronę Sary. – Muszę powiedzieć, że wciąż do końca nie otrząsnąłem się z tej grypy.

– Lepiej chorować w pracy niż w domu – zażartowała Sara.

– To właśnie mówisz swoim pacjentom?

– Tylko niemowlakom. – Zanim jej zmiennik znalazł jakąś wymówkę, żeby odejść, Sara zaczęła opisywać mu przypadki ze swojego dyżuru. Właśnie kończyła przedstawiać szczegóły dotyczące pacjentki Olivera, gdy nagle poczuła na karku falę gorąca. Obejrzała się przez ramię, bo miała poczucie, że jest obserwowana. Kiedy ujrziała swojego chłopaka, przeżyła wstrząs.

Will Trent stał oparty plecami o ścianę. Ubrany był w trzyczęściowy grafitowy garnitur, który dobrze leżał na jego smukłym ciele. Ręce trzymał w kieszeniach. Rudoblond włosy miał wilgotne, opadały mu na szyję, sięgając niemal kołnierzyka koszuli.

Uśmiechnął się do niej.

Sara odwzajemniła uśmiech, czując znajome mrowienie w piersi. Znała Willa prawie od dwóch lat – poznali się w tym właśnie szpitalu – lecz ostatnio ich znajomość stała się czymś więcej. Głębia jej uczuć była nieoczekiwanym darem. Przed pięciu laty Sara straciła męża. Zakładała, że resztę życia spędzi sama.

I wtedy poznała Willa.

– Feliksie, ja... – zaczęła. Obejrzała się, ale kolegi już nie było.

Will oderwał się od ściany i podszedł do niej.

– Ładnie wyglądasz.

Sara zbyła śmiechem to ewidentne kłamstwo.

– Co ty tu robisz? Sądziłam, że pracujesz.

– Mam jeszcze godzinę do odprawy.

– Zdążysz zjeść drugie śniadanie?

Will powoli pokręcił głową.

– Och. – Sara zrozumiała, że nie przyszedł do szpitala ot, tak sobie. – Co się stało?

– Może moglibyśmy gdzieś usiąść?

Zaprowadziła go do pokoju lekarzy. Od drzwi dzieliło ich około dziesięciu

metrów, więc po drodze Sara zdążyła się porządnie zdenerwować.

Will był agentem specjalnym GBI, czyli Biura Śledczego Georgii. Przez ostatnie dziesięć dni wykonywał tajną misję. Nie mógł – czy też nie chciał – wyjawić Sarze szczegółów zadania, dzwonił jednak do niej z obcych numerów i zjawiał się o dziwnych porach. Nie miała pojęcia, skąd przyjeżdżał ani dokąd się wybierał, a ilekroć go o to pytała, albo zmieniał temat, albo znajdował powód, by wyjść. Sara była na zmianę lekko tym wszystkim zirytowana lub przestraszona, że stanie się coś złego. Albo że już się stało. Jej nieżyjący mąż był gliną. Został zamordowany podczas wykonywania obowiązków służbowych, a jego utrata o mało Sary nie zabiła. Myśl, że to samo mogłoby spotkać Willa, była dla niej nie do zniesienia.

– Pozwól, ja to zrobię. – Will wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi. Na szczęście pokój był pusty. Poczekał, aż Sara usiądzie przy stole, po czym zajął krzesło naprzeciwko niej.

– Co się stało? – powtórzyła.

W milczeniu ujął jej dłoń. Sara patrzyła, jak wodzi palcami po jej wnętrzu, muska nadgarstek. Will też patrzył, jego intensywnie błękitne oczy śledziły ruch palców. W tym, jak przyglądał się sobie, gdy jej dotykał, było coś takiego, że Sara poczuła mrowienie na skórze.

Przytrzymała jego dłoń. Jeszcze tego brakowało, żeby wszedł któryś z jej studentów i zastał ją tu mrużącą jak kotka. Poza tym nauczyła się już rozpoznawać unikowe taktyki Willa.

Pochyliła się do przodu.

– O co chodzi?

Uśmiechnął się niepewnie.

– Dywersja nie działa?

– Niewiele brakowało – przyznała.

Will nabrał powietrza i oznajmił:

– Moja misja trochę się skomplikowała.

Sara spodziewała się tego, ale i tak potrzebowała chwili, żeby przyswoić tę informację.

– Nie mogę ci powiedzieć dlaczego – ciągnął – ale będę teraz dłużej

pracował. Nie dam rady tak często przyjeżdżać do Atlanty. I tak często się z tobą widywać.

Sara wcale nie była taka pewna, czy Will naprawdę nie może opowiadać jej o swojej pracy, ale nie chciała poświęcać cennego czasu, jaki mogli spędzić razem, na wracanie do bezowocnej, jak się już okazało, dyskusji.

– W porządku – powiedziała.

– To dobrze. – Znów popatrzył na ich dłonie. Sara powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Nadgarstki miał opalone, ale tylko do mankietów koszuli. W jego włosach pojawiły się jaśniejsze pasma. Cokolwiek robił, wymagało to przebywania na słońcu.

– Tak naprawdę zamierzałem powiedzieć, że nie chciałbym, żebyś myślała, że znikam z twojego życia, albo że... – Zawiesił głos. – Chodzi o to, co jest między nami. – Will urwał. – Co zaszło między nami...

Sara czekała.

– Nie chciałbym, żebyś uznała moją nieobecność za... – zdawał się szukać właściwego słowa – ...brak zainteresowania? – Nadal wpatrywał się w ich dłonie. – Bo jak najbardziej jestem. To znaczy, zainteresowany...

Sara spoglądała na czubek jego głowy, tam gdzie włosy rosły spiralnie. W niedalekiej przyszłości nadejdzie taki moment, kiedy nie będzie już mogła dłużej znosić jego uników. I albo będzie musiał się przed nią otworzyć, albo ona będzie musiała poważnie zastanowić się nad ich związkiem. Im więcej o tym myślała, tym bliższe wydawały jej się czyhające na nich rozstaje.

Odrzucała tę myśl.

Zamiast tego powiedziała:

– Obiecuj mi tylko, że cokolwiek robisz, będziesz ostrożny.

Kiwnął głową, ale poczułaby się lepiej, gdyby to powiedział. Will nie był jedynym detektywem w tym związku. GBI było dla stanu Georgia tym, czym FBI dla Stanów Zjednoczonych. Nie licząc handlu narkotykami albo porwania dziecka, w każdym przypadku trzeba było prosić agencję o zajęcie się sprawą, lecz lokalne wydziały policji bynajmniej się do tego nie kwapiły, o ile nie były zdesperowane. Niezależnie od tego, z której strony Sara to rozpatrywała, dochodziła do wniosku, że Will dostał to tajne zlecenie, ponieważ zajmowanie się tą sprawą było zbyt ryzykowne dla lokalnej policji.

Co gorsza, działanie w ukryciu oznaczało, że nie miał wsparcia partnera. Był zupełnie sam, prawdopodobnie w otoczeniu ludzi o brutalnie przestępczej przeszłości, uzależnionych od twardych narkotyków.

– Więc między nami wszystko w porządku? – spytał Will.

Sara zacisnęła wargi, żeby zdusić słowa, które cisnęły jej się na usta.

– Oczywiście, że tak.

– To dobrze. – Will opadł ciężko na oparcie krzesła, jego ulga była niemal namacalna. Nie po raz pierwszy Sara zastanawiała się, jak mężczyzna, który przez całe dorosłe życie rozwiązywał zagadki kryminalne, może być tak tępy w życiu prywatnym.

– Jak długo to potrwa? – spytała.

– Dwa, może trzy tygodnie.

Czekała na więcej, lecz on tylko odwrócił wzrok. Ten gest był tak pozbawiony polotu, jakby Will korzystał ze specjalnej listy niezobowiązujących ruchów. Mrugnąć. Podrapać się po głowie. Udawać zainteresowanie napisami na ścianie.

Sara odwróciła się, żeby popatrzeć na afisze, które nagle przykuły jego uwagę. Były typowo szpitalne: ostrzeżenia przed wirusem HIV i zapaleniem wątroby typu C obok bezceremonialnie pomazanych komiksów na temat higieny z udziałem SpongeBoba Kanciastoportego.

Znów przeniosła wzrok na Willa. Nigdy nie była dobra w tych pasywno-agresywnych gierkach.

– Czy możemy przynajmniej jasno powiedzieć, że za tym wszystkim kryje się coś jeszcze? Bo ja czuję, że tak jest, Will. Coś się za tym kryje i myślę, że nie mówisz mi o tym, bo nie chcesz, żebym się martwiła.

Musiła przyznać, że nie zasłonił się nieszczerymi protestami.

– Czy dzięki temu poczujesz się lepiej?

Kiwnęła głową.

– Masz rację.

Sara przygryzła dolną wargę. Czekala, aż on powie coś więcej, ale przypomniała sobie, że chce jednak opuścić szpital, zanim osiągnie wiek emerytalny.

– I tyle?

Wzruszył ramionami.

Była zbyt zmęczona, żeby kolejny raz wtaczać głaz pod górę.

– Doprowadzasz mnie do obłądu.

– W dobrym sensie?

Ścisnęła jego rękę.

– Niezupełnie.

Roześmiał się, chociaż oboje wiedzieli, że nie żartowała.

– Słyszałaś, że służby bezpieczeństwa aresztowały SpongeBoba na lotnisku? – rzucił.

– Will...

– Mówię poważnie. Podawali to w wiadomościach dziś rano.

Sara jęknęła.

– Obraza moralności?

– To się rozumie samo przez się, jednak główny zarzut był taki, że przyłapano go, jak próbował przemycić na pokład zbyt wiele płynów.

Sara pokręciła głową.

– To okropne.

– Twierdził, że został wrobiony. – Will przerwał dla efektu. – Ale oczywiste jest, że nawet jeśli go porządnie przyciskano, nikt nie suszył mu głowy.

Sara nadal kręciła głową.

– Długo nad tym myślałeś?

Will pochylił się i pocałował ją – to nie było przeproszające cmoknięcie w usta czy szybkie pożegnanie, lecz dłuższy pocałunek znaczący o wiele więcej.

Sara pomyślała przelotnie o tym, że za drzwiami jest cały oddział urazowy i każdy może wejść do pokoju i ich zaskoczyć, lecz Will zaczął całować ją jeszcze namiętniej i wszystko inne przestało się liczyć. Zsunął się z krzesła i ukląkł przed nią. Przysunął się bliżej, wciskając ją w krzesło. Sarze zaczęło kręcić się w głowie.

– Galaretki! – rozległ się wrzask z oddziału.

Sara się wzdrygnęła. Will przysiadł na piętach i otarł usta wierzchem dłoni.

– Wybacz – mruknęła, jakby miała jakiś wpływ na swoich pacjentów. Poprawiła mu kołnierzyk, wygładziła krawat. Czuła jego tętno pulsujące gwałtownie z boku szyi. W tym samym rytmie co jej walące serce. – Pijacy się budzą.

– Ja też lubię galaretkę.

– Will...

– Powiniennem jechać do pracy. – Wstał i otrzepał spodnie. – Pamiętaj o tym, co mówiłem, dobra? Nigdzie się nie wybieram. – Uśmiechnął się szeroko. – To znaczy, teraz wyjeżdżam, ale wrócę. Gdy tylko będę mógł. Dobra?

Przyszło jej na myśl tyle rzeczy, które mogłaby mu powiedzieć – że chce, by jej obiecał, że będzie trzymał się z daleka od niebezpieczeństwa, że potrzebuje, by ją zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Wiedziała jednak, że te obietnice nic by nie znaczyły i tylko byłyby dla niego ciężarem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje gliniarz znajdujący się na linii ognia, to zastanawianie się nad tym, czy jego dziewczyna to pochwała, czy nie.

Wreszcie powiedziała tylko:

– Dobra.

Uśmiechnął się do niej, ale Sara znów poczuła, że coś jest nie tak. Widziała to w jego oczach – wahanie, niepokój. Jak zwykle Will nie dał jej czasu, żeby mogła go o cokolwiek zapytać.

Gdy otworzył drzwi i wyszedł, mignął jej zatłoczony korytarz. Zaczęły się poranne godziny szczytu. Kakofonia pikających monitorów i maszyn zaczynała się wzmacniać. Pacjenci leżeli już na noszach na korytarzu. Ten sam pijak znów domagał się galaretki, a drugi wrzeszczał, żeby ten pierwszy się zamknął i że on też chce galaretkę.

Sara splotła dłonie na kolanach, w milczeniu analizując rozmowę z Willem. Co on tak naprawdę próbował jej powiedzieć? Dlaczego przyjechał do szpitala, skoro wszystko, co mówił, można było przekazać przez telefon? Przynajmniej przyznał, że chodzi o coś jeszcze. Potrafił być taki cholernie

tajemniczy, a Sara nie była zbyt dumna, by przyznać, że często czuła się robiona przez niego w balona.

Przyłożyła palce do ust, przywołując dotyk jego warg. Jaki był cel jego odwiedzin? Czy całował ją po to, by mieć pewność, że podczas jego nieobecności o nim nie zapomni? A może chciał oznaczyć swoje terytorium przed wyjazdem z miasta?

Tylko jedna z tych interpretacji była dla niej pochlebna.

Zadzwoniła komórka. Sara szperała przez chwilę w kieszeni, usiłując wymacać wibrujący aparat. Spodziewała się – miała nadzieję – że to Will, ale na wyświetlaczu pojawił się napis „TALLATEGA CO, AL”. W ubiegłym tygodniu Will dzwonił z różnych dziwnych miejsc, ale nigdy z Alabamy.

Odebrała połączenie.

– Halo?

Nie usłyszała odpowiedzi, tylko ciche buczenie.

Spróbowała jeszcze raz. Halo? Nadal nic, buczenie jednak stało się głośniejsze, bardziej zwierzęce niż elektroniczne.

– Halo? – Sara już miała się rozłączyć, ale wbrew rozsądkowi przed oczami stanął jej obraz Willa leżącego na chodniku z ciałem rozplatanym na dwoje. Podniosła się z krzesła. – Will?

Po drugiej stronie rozległo się jakby dyszenie.

– Halo? – Sara otworzyła drzwi. Wybiegła na korytarz, o mało nie wpadając na jednego z pacjentów. To było śmieszne. Willowi nic się nie stało. Wszedł stąd niecałe dwie minuty temu. Nadal czuła dotyk jego ust na wargach.

– Halo? – Sara przycisnęła telefon do ucha. – Kto mówi?

– S-s-s-ara? – Kobieta po drugiej stronie z trudem wydobywała głos.

Sara zasłoniła ręką oczy, czując zalewającą ją falę ulgi.

– Tak?

– Tu... tu... przepraszam, ja...

– Nell? – Sara szybko dodała jedno do drugiego, rozpoznając głos licealnej ukochanej swojego męża. Miał dziecko z Darnell Long, ale poza tym niewiele ich łączyło.

– Nell? – powtórzyła Sara. – Nic ci nie jest?

– To Jared! – wykrztusiła tamta. – O Boże!

Sara oparła się o ścianę. Jared, jej pasierb. Sara spotkała go tylko kilka razy. Był policjantem, tak jak jego ojciec.

– Ja nie... – Nell załamał się głos. – Powinnam była...

– Nell, proszę, powiedz, co się...

– Powinnam była cię posłuchać! – wykrzyknęła tamta. – Teraz przez nią... O Boże...

– Posłuchać, w jakiej sprawie... – Sara urwała. Dobrze wiedziała, o kim mówi Nell.

O Lenie Adams.

Mąż Sary szkolił Lenę tuż po akademii, wziął ją pod swoje skrzydła i awansował na detektywa.

A w zamian za zaufanie, jakie okazał jej Jeffrey Tolliver, Lena Adams doprowadziła do tego, że został zabity.

Nell szlochała.

– O Boże, Saro! Proszę!

– Nell – zdołała wtrącić Sara, z trudem oddychając – powiedz mi, powiedz, co się stało.

Nell była jednak zbyt rozhisteryzowana, żeby mówić z sensem.

– Dlaczego cię nie słuchałam? Dlaczego się nie sprzeciwiłam? Nie zakazałam tego? Dlaczego nie... – Jej słowa rozplynęły się w rozdzierającym jęku.

Sara zmusiła się, by odetchnąć głęboko. Czuła, że pierś jej drży, trzęsą się ręce. Dygotała z przerażenia.

– Nell, proszę, po prostu powiedz, co się stało.

3.

Will Trent stał w gabinecie swojej szefowej na najwyższym piętrze City Hall East, siedziby władz miejskich wschodniej Atlanty, i spoglądał z góry na miasto. Atlanta dopiero się budziła, słońce skrzyło się między wieżowcami, kierowcy bmw i audi jadący do pracy trąbili głośno. Po drugiej stronie ulicy dziesiątki mężczyzn stały w szeregu przed hipermarketem budowlanym Home Depot. Will patrzył, jak furgonetki, jedna po drugiej, stają, a tylne światła jarzą się czerwono. Kierowcy wystawiają ręce przez okna, wskazują palcem, po czym dwóch, trzech, czasem czterech mężczyzn naraz wskakuje na pakę, żeby rozpocząć dzień pracy.

Will też mógł tak żyć. W domu dziecka w Atlancie raczej nie było mowy o doradztwie zawodowym. Kiedy skończył osiemnaście lat, dostał sto dolarów i mapę ze wskazówkami, jak dotrzeć do schroniska dla bezdomnych. Przez następnych kilka miesięcy wskakiwał do furgonetek i wyskakiwał z nich, pracując na budowach i gdzie tylko chciano go zatrudnić. Miał dużo szczęścia, że spotkał na swojej drodze właściwych ludzi. W przeciwnym razie nigdy nie zostałby agentem GBI. Nie miałby swojego domu, samochodu ani swojego życia.

I nie miałby Sary.

Will odwrócił się od okna i rozejrzał po gabinecie Amandy Wagner, który przez tych prawie piętnaście lat, odkąd dla niej pracował, prawie w ogóle się nie zmienił. Kilka razy był przenoszony w inne miejsce, a sprzęt elektroniczny stawał się coraz doskonalszy, w miarę jak Amanda pięła się w górę aż na stanowisko wicedyrektora GBI, urzędowała go jednak zawsze tak samo. Te same zdjęcia na ścianach. Ten sam orientalny dywan pod ogromnym biurkiem. Nawet fotel był tą samą skrzypiącą konstrukcją z drewna i skóry, która mogłaby należeć do pana Pottera, przeciwnika George'a Bailey'a z filmu *To wspaniałe życie*.

Jednym z jej niewielu ustępstw na rzecz nowoczesności był telewizor

z płaskim ekranem. Will znalazł pilota i przeleciał wszystkie kanały informacyjne Atlanty, żeby sprawdzić, czy będzie jakaś wzmianka o tym, co stało się wczoraj w Macon. Oddalone o niecałe dwie godziny jazdy od stolicy stanu Macon było ważnym miastem, mającym ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i doskonale prosperujący system uniwersytecki. Ponieważ geograficznie znajdowało się w samym sercu stanu, stanowiło kompromis dla wielu osób, które uważały Atlantę za zbyt hałaśliwą, a mniejsze miasteczka za nazbyt sennie. Pod wieloma względami Macon lepiej reprezentowało Georgię niż Atlanta. Muzea sąsiadowały tam ze sklepami ze starzyzną. Szanowane uczelnie techniczne z drogimi prywatnymi szkołami, w których wykładano kreacjonizm. Centrum informacji turystycznej zachwalało zarówno Muzeum Afroamerykańskie imienia Harriet Tubman, jak i Hay House, mający osiem tysięcy dziewięćdziesiąt cztery metry kwadratowe przedwojenny dom wybudowany przez strażnika skarbcza konfederatów.

Najwyraźniej serwisy informacyjne z Atlanty nie uważały Macon za aż tak interesujące. Will wyłączył telewizor i odłożył pilota na biurko Amandy. Lepiej uważać, czego sobie człowiek życzy. To pewnie tylko kwestia czasu, a wszystkie kanały zaleją drastyczne szczegóły ataku na Jareda Longa. Dziennikarze pewnie nie zwietrzyli jeszcze tej sensacji. Niekiedy, zanim wykonane zostaną odpowiednie telefony, a ludzie powiadomieni, że ich życie zmieniło się na zawsze, upływa bardzo dużo czasu.

Kiedy zadzwoniła Sara, Will siedział w swoim samochodzie przed szpitalem Grady. Nigdy wcześniej nie był dla nikogo pierwszą osobą kontaktową, ale kiedy działo się coś złego, Sara najwyraźniej myślała o nim. Płakała. Musiała kilka razy przerywać, zanim opowiedziała mu wszystko, nie mając pojęcia, że Will już o tym wie. Mógłby uzupełnić pewne brakujące szczegóły.

Jared został postrzelony.

Jego życie wisi na włosku.

Lena jest w to jakoś zamieszana.

Will wpatrywał się tępo w przednią szybę, gdy słuchał, jak Sara usiłuje wydusić tę relację. Przed oczami stanął mu obraz Leny w tamtej ciasnej sypialni. Półnagiej. Zalanej krwią. Will spanikował, gdy pędził korytarzem, objając się o ściany. Miał poczucie, że ogląda na wideo film puszczony

w zwolnionym tempie. Lena wbiła kolano w plecy tamtego, uniosła młotek wysoko nad głowę. Tempo zwolniło jeszcze bardziej, gdy młotek opadł po raz pierwszy. Korytarz jeszcze się wydłużył. Zupełnie jakby Will usiłował wbiec na górę piasku. Zbliżał się do niej, a jednocześnie z każdym krokiem jakby się oddalał.

Sara nie miała jednak o tym wszystkim pojęcia. Wiedziała tylko, że Jareda postrzelono. Że Lena Adams znów stała obok, gdy kolejny dobry człowiek został wzięty na cel. Pięć lat temu spotkało to męża Sary, a teraz jego syna.

I trudno się dziwić, że Sara zaczęła myśleć, iż Will mógłby podzielić ich los.

Najbardziej frustrujące było to, że Will specjalnie pojechał tego ranka do szpitala, żeby wyznać jej prawdę. Zamierzał powiedzieć Sarze, że skłamał na temat swojej tajnej misji, ponieważ nie chciał jej martwić, a potem musiał skłamać, gdzie pracuje, żeby się czegoś nie domyśliła, a potem musiał kłamać znowu i znowu, aż w końcu uświadomił sobie, że łatwiej byłoby od samego początku mówić prawdę.

Ale wtedy Will zobaczył ją stojącą przy dyżurce pielęgniarek i stracił odwagę. Właściwie to stracił oddech. To nie było nic nowego. Ostatnio za każdym razem, gdy widział Sarę Linton, dosłownie zapierało mu dech. To nie może być dobre dla jego mózgu. Brakowało mu tlenu. I to właśnie dlatego, zamiast się przyznać, wyładował przed nią na kolanach, całując ją tak, jakby już nigdy nie mieli się spotkać.

Bo właśnie tak może się to skończyć. Will był boleśnie świadomy tego, że sprawy wymykają mu się z rąk.

Sara wymyka mu się z rąk.

– Spóźniłeś się – stwierdziła Amanda Wagner, wchodząc do gabinetu i przeglądając wiadomości na blackberry.

Will nie zareagował na tę uwagę – Amanda na ogół rzucała ją na powitanie.

– Godzinę temu wysłałem raport – powiedział.

– Czytałam go. – Kciuki Amandy poruszały się szybko, gdy stała pośrodku pokoju i odpowiadała na e-mail. Miała na sobie czerwony kostium, spódnica sięgała tuż poniżej kolana, biała bluzka była schludnie wpuszczona

do środka. Przyprószone siwizną włosy jak zwykle tworzyły hełm na jej głowie. Paznokcie miała krótko obcięte i pociągnięte lśniącym bezbarwnym lakierem.

Wyglądała na wypoczętą, chociaż Will wiedział, że ubiegłej nocy nie spała zbyt długo. Szef policji w Macon. Dyrektor GBI. Technicy kryminalistyczni GBI. Lekarz sądowy GBI. Laboratorium GBI. Trzeba było ich wszystkich powiadomić, wysłać na miejsce zbrodni lub przekazać im rozkazy. A mimo to Amanda przed wschodem słońca zdołała jeszcze trzy razy zadzwonić do Willa. Zorientował się, jak bardzo jest przejęta, po jej spokojnym tonie, po tym, że mówiła do niego tak, jakby złapał gumę na poboczu drogi, a nie trafił na rozlew krwi. Zazwyczaj Amanda czerpała pewną przyjemność z zatruwania mu życia, lecz ta noc była inna.

Była też krótka.

– No tak. – Skończyła jeden e-mail i przeszła do następnego. – Wpakowałeś się w niezłe bagno, Wilbur.

Nie był pewny, które bagno ma na myśli.

– Nie muszę ci mówić, że nie trzymamy się już grubego konara. Jesteśmy teraz na jego cienkiej odnodze. Na kruchej gałązce.

– Tak, pani dyrektor.

– Kimkolwiek są ci ludzie, bez skrupułów strzelają do gliniarzy. – Amanda zerknęła na niego. – Postaraj się nie dać zabić, dobrze? Nie mam cierpliwości, żeby przyuczać kogoś nowego.

– Tak, pani dyrektor.

Przeniosła uwagę na e-mail.

– Gdzie jest Faith?

Faith Mitchell, partnerka Willa.

– Wyznaczyła pani spotkanie na siódmą trzydzieści. – Popatrzył na zegarek. – Ma jeszcze sześć minut.

– Jak cudownie. Nauczyłeś się posługiwać zegarkiem. – Amanda nadal czytała, podchodząc do biurka i siadając w fotelu. Stara poduszka wydała dźwięk przypominający chrupkanie świni. – Powiadomiłam dyrektora o twoich nocnych eskapadach. Ma cię na oku.

Will nie wiedział, jak powinien na to zareagować, więc usiadł, czekając, co będzie dalej. Dopiero niedawno pogodził się z tym, że Amanda Wagner była dla niego swego rodzaju matką zastępczą – jeśli uznać, że matka byłaby zdolna zamknąć dziecko w zamrażalniku albo związać na tylnym siedzeniu swojego wozu i zepchnąć do jeziora.

Odłożyła blackberry i zdjęła okulary do czytania.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie, pani dyrektor.

Co dziwne, nie nalegała. Włączyła komputer i czekała, aż się uruchomi. Will domyślał się, że Amanda jest sporo po sześćdziesiątce, może nawet dobiega siedemdziesiątki, ale naprawdę nie sposób było odgadnąć, ile dokładnie ma lat. Nadal była w dobrej formie, nadal mogłaby z łatwością prześcignąć mężczyzn młodszych od niej o połowę – czy też, ściślej rzecz biorąc, facetów w wieku Willa. A jednak patrzenie, jak próbuje używać myszki komputerowej, przypominało obserwowanie kota, który usiłuje podnieść kamyk.

Stuknęła myszką o blat biurka, mamrocząc:

– Co jest z tym cholerstwem?

Will wiedział, że lepiej nie proponować jej pomocy. Strzepnął jakiś pyłek z kolana. Pomyślał przy tym o Sarze. Pewnie jest teraz w samochodzie, w drodze do Macon. Jedzie się tam około półtorej godziny. Will powinien był zaproponować, że ją odwiezie. Po drodze mógłby jej wyznać całą paskudną prawdę.

A wtedy Sara postawiłaby go przed takim wyborem: mógłby wracać na piechotę do Atlanty albo resztę drogi do Macon pokonać pieszo.

– Widzę, że jesteś pogrążony w ponurych rozmyślaniach – odezwała się Amanda.

Will zastanowił się nad tym opisem.

– Czy nie trzeba do tego ponurych wrzosowisk?

– Bystrzacha. – Amanda opadła na oparcie fotela, całą uwagę poświęcając Willowi. – Prowadziłeś śledztwo w sprawie Leny Adams w zeszłym roku?

– Półtora roku temu – sprostował Will. – Faith mi pomagała. Partner Leny

został pchnięty nożem. Praktycznie wykrwawił się na ulicy. A potem ona aresztowała podejrzanego, który następnie umarł pod jej kuratelą.

– Lekkomysłne narażenie na niebezpieczeństwo, niedopełnienie obowiązków?

– Tak – potwierdził Will. – Udzielono jej oficjalnej nagany, ale tydzień później opuściła Grant County i wstąpiła do oddziału policji w Macon. Im jakoś nie przeszkadzała jej nadszarpnięta reputacja.

Amanda chwyciła zausznik okularów. Jej głos złągodniał.

– Była partnerką Jeffreya Tollivera, gdy został zamordowany... Kiedy to było? Pięć, sześć lat temu?

Will wyglądał przez okno. Czuł jej wzrok przeszywający mu policzek niczym laser.

– Jest taka piosenka Erica Claptona o mówieniu prawdy – powiedziała. – Coś o tym, że omija cię całe przedstawienie. Wejrzyj w swoje serce. I tak dalej.

Will odchrząknął.

– Czuję się bardzo niezręcznie na myśl o tym, że słucha pani piosenek Erica Claptona.

W westchnieniu Amandy czaił się smutek, nad którym Will wolał się nie rozwodzić.

– I jak twoim zdaniem to wszystko się skończy?

Wskazał szare chmury, które nagle przesłoniły słońce.

– Chyba będzie padać.

– Z całą pewnością zanoszą się na burzę. – Szybko zmieniła ton. – A, major Branson. Dziękuję, że zechciała pani przyjechać.

Will wstał, gdy do gabinetu weszła kobieta w granatowym policyjnym mundurze. Jej pierś zdobiły wstęgi i odznaczenia. W rękę trzymała ciężką, na oko skórzaną teczkę. Była niska i krępa, kędzierzawe czarne włosy miała ostrzyżone tuż przy głowie. Wydawała się równie uszczęśliwiona swoją obecnością tutaj, co Will.

Amanda przedstawiła ich sobie.

– Agent specjalny Trent, major Branson z wydziału policji w Macon.

Denise będzie z nami współpracowała w związku ze sprawą postrzelenia Jareda Longa.

Will poczuł, że przewracają mu się bebecchy.

– Ja mam prowadzić śledztwo?

Na ustach Amandy, zanim odpowiedziała, pojawił się przekorny uśmiezek.

– Nie, Faith je poprowadzi.

– A więc wszystko już zaplanowane? – Branson wyraźnie była na granicy wybuchu. – Będę z panią szczerą, pani wicedyrektor. Nie jestem zachwycona pomysłem, że wasi ludzie depczą po moim poletku, jakby należało do nich.

– A jednak pani szef kazał pani jechać dwie godziny na północ specjalnie po to, żeby przekazała nam pani wszystkie swoje akta – odrzekła Amanda lekkim tonem.

– Półtorej godziny – uściśliła Branson. – A poza tym, nawet jeśli dla niego pracuję, nie zawsze się z nim zgadzam.

– Bywa. – Amanda wskazała krzesło stojące naprzeciwko biurka. – To może my wyrzucimy z siebie wszystkie nasze żale, a w tym czasie agent Trent przyniesie nam kawę?

Branson usiadła, trzymając teczkę na kolanach.

– Czarna, dwie kostki cukru – rzuciła, nie patrząc na Willa.

Amanda uśmiechnęła się swoim kocim uśmiechem.

– Dla mnie po prostu czarna.

Will nie był zachwycony wyznaczoną mu rolą, ale wiedział, że nie ma sensu się ociągać. W przylegającym do gabinetu Amandy pokoiku siedziała przy biurku Caroline, sekretarka Amandy. Uśmiechnęła się do Willa.

– Ze śmietanką. Dwa słodziki.

Will zasalutował, przyjmując jej zamówienie, i wyszedł na korytarz. Buty zapadały mu się w miękki dywan. Czuł chłód klimatyzacji. Władze miejskie miały swoją siedzibę w starym gmachu Searsa, zbudowanym w latach dwudziestych. Kiedy przejęły go w latach dziewięćdziesiątych, odremontowane zostały tylko najważniejsze części, a mianowicie apartamenty dyrektorskie. Trzy piętra niżej, w maleńkiej klitce Willa

powietrze było zatęchłe i na pewno toksyczne. Zardzewiałych okien nie dało się otworzyć. Popękane płytki podłogowe miały czerwone ryski od gliny Georgii, wnoszonej na butach przez prawie sto lat.

Na najwyższym piętrze lepsze było nie tylko powietrze. W bajeranckiej kuchni stały ciemnowiśniowe szafki i sprzęty z nierdzewnej stali. Ekspres do kawy wyglądał jak coś, co odpadło od nogi Transformera. Will domyślił się, że ta wymyślna maszyna wymaga kapsułek. Przetrzęsł szafki i znalazł dwa opakowania. Założył, że Amanda pija różowo-pomarańczową wysokogatunkową odmianę Dunkin' Donuts. Drugie opakowanie zawierało fioletowo-żółte kapsułki z kwiatami i ziarnami wanilii wymalowanymi na folii. Will wyjął trzy orzechowe kapsułki i zamknął drzwi szafki.

Po kilku falstartach zorientował się, jak załadować kapsułki. Minęła kolejna minuta, zanim zdołał podważyć pokrywę zbiornika na wodę i napełnić go do wyznaczonej linii. Zdjął z haczyków trzy kubki i czekał, aż woda się zagotuje.

Z przyzwyczajenia otworzył lodówkę. Stało w niej kilka papierowych torebek, nie zauważył jednak żadnych pudełek z jedzeniem na wynos ani gnijącego żarcia cuchnącego tak, że powinno znaleźć się w kostnicy. Zanim Will zaczął spotykać się z Sarą, jadał „na szybko”, czy to była miseczka płatków śniadaniowych, które pochłaniał na stojąco przy zlewie, czy też hot dogi kupione na stacji benzynowej w drodze do domu.

Teraz, gdy jechał „do domu”, zazwyczaj oznaczało to mieszkanie Sary i obiad, który nie składał się z produktów obracających się przez cały dzień pod lampą podgrzewającą.

W każdym razie tak było do tej pory.

Wreszcie na ekspresie zapaliło się czerwone światełko. Will nacisnął guzik i patrzył, jak ciurka gorący płyn. Jego woń przypominała mu mdlące perfumy, jakich używały niektóre kobiety, usiłując zamaskować zapach papierosów.

Napełnił zbiornik na wodę na drugą porcję. Gdy wsypywał śmietankę w proszku do pierwszego kubka, jego nos wypełniła woń orzechów laskowych. Will nigdy nie lubił smaku kawy, ale każdego ranka parzył ją dla Sary. Lubiła mocną bez wymyślnych dodatków smakowych. Zaczął kojarzyć ten zapach z nią.

Odłożył łyżeczkę i zapatrzył się na ekspres.

Nie było sensu dłużej z tym walczyć. Pogrążył się bez reszty w myślach o Sarze, przywołując to wszystko, co miał teraz stracić. Dotyk jej długich kasztanowych włosów muskających go po twarzy. Wodzenie ustami po piegach na jej plecach. Obserwowanie, jak jej pierś czerwieni się wyraźnie pod jego dotykiem. I to, jak czasami go całowała, pokazując mu ustami, co chce, żeby zrobił.

– Will?

Podniósł wzrok i ze zdziwieniem zobaczył Faith Mitchell stojącą w drzwiach.

– Co się stało? – spytała. – Marnie wyglądasz.

Czerwone światełko znów się zapaliło. Will załadował drugą kapsułkę.

– Ty też się napijesz?

– Jeszcze jedna dawka kofeiny i głowa mi eksploduje.

– Emma nie dała ci spać?

Emma była dziesięciomiesięczną córeczką Faith. Will wiedział, że mała jest w tym tygodniu z ojcem, ale słuchał Faith, jakby dowiadywał się o tym po raz pierwszy.

– Nieważne. – Faith zakończyła litanie narzekań na ojca swojej córki, pytając: – Co sądzisz o zbiegach okoliczności?

Will potrafił rozpoznać podchwytliwe pytanie.

– Pracujesz, dajmy na to, nad tajną sprawą – ciągnęła – i nagle zostajesz wciągnięty w jeszcze jedną masakrę wywołaną przez Lenę Adams. – Wzruszyła ramionami i ostentacyjnie rozłożyła ręce. – Zbieg okoliczności?

– Zawsze wiedzieliśmy, że istnieje możliwość, że się na nią natknę.

– Czyżby? – Powiedziała to takim tonem, jakby rozmawiała z małym dzieckiem.

Will znów skierował uwagę na ekspres do kawy. Wykonywał powolne ruchy, udając niepewność, w nadziei, że Faith go wyręczy.

Ale ona nie dała się na to nabrać.

– Sara dzwoniła do mnie jakieś piętnaście minut temu – oznajmiła.

Will skupił się na napełnieniu zbiornika na wodę dokładnie do linii.

– Wie, że władze prowadzą śledztwo w sprawie ataku na policjantów.

Załadował kolejną kapsułkę.

– Chciała wiedzieć, co z Jaredem. – Faith przerwała na chwilę, po czym dodała: – Nie chciała cię tym obciążać, ale oboje wiemy, że strasznie się boi, że zostaniesz wmieszany w sprawy Leny, więc... – wzruszyła ramionami – obiecałam jej, że spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Will odchrząknął.

– To nie powinno być trudne. Amanda chce, żebyś to ty poprowadziła śledztwo.

– No to super, ale kiedy rozmawiałam z Sarą, jeszcze o tym nie wiedziałam. Po prostu kłamałam. Tak samo jak kłamałam, zgadzając się z nią, że to dobrze, że pracujesz nad tajnym zleceniem Bóg wie gdzie i na pewno nie zostaniesz w to wplątany, bo nie wiem, czy wiesz, ale Sara jest przerażona, że znajdziesz się w pobliżu Leny.

Will przetrząsał szuflady w poszukiwaniu słodzika. Znalazł dwa różowe opakowania i oddał górę.

Faith nie dawała za wygraną:

– Wiesz, że Sara uważa, że to Lena odpowiada za śmierć jej męża? Swoją drogą, tu akurat się z nią zgadzam.

Will wsypał słodzik do kubka.

– Na pewno uzna też, że Jared został postrzelony z winy Leny, co, zważywszy na jej przeszłość, jest całkiem prawdopodobne. – Faith przerwała na moment. – Właściwie widzę tu pewien schemat. Dostrzegłam go, kiedy prowadziłeś dochodzenie w sprawie Leny Adams półtora roku temu. Ludzie, którzy się do niej zbliżą, kończą zabici. Sara ma rację, że się boi. Jared jest tylko ostatnią ofiarą.

Will wyrzucił śmieci do kosza. Z nierdzewnej stali, podobnie jak reszta wyposażenia. Zastanawiał się, czy Amanda zapłaciła za to z własnych pieniędzy.

– Jared, syn zmarłego męża Sary, który jej zdaniem również padł ofiarą Leny – dręczyła go Faith.

Na ekspresie znów rozbłysło czerwone światełko. Will opuścił dźwignię nad kapsułką. Spróbował porozmawiać o pogodzie:

– Chyba będzie dziś padać.

Faith jęknęła.

– Jesteś kretynem, wiesz o tym?

Skrzywił się, głównie dlatego, że nie mógł zaprzeczyć.

– Sarę wkurzy nie tyle sama sprawa, ile próba jej ukrycia. – Faith urwała, ale tylko po to, by nabrać powietrza. – Właściwie to jej nie wkurzy, tylko ją to zrani. Głęboko. Będzie zdruzgotana. A to znacznie gorsze, niż gdyby się wściekła. Złość w końcu mija.

Will wziął trzy kubki.

– Amanda czeka.

Faith wyszła za nim z kuchni. Skulił ramiona, czując emanujące z niej rozczarowanie, ale na szczęście milczała, idąc za nim do gabinetu Amandy. Wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec. Faith prawdopodobnie wyszczególniała w myślach wszystkie punkty, w których miała rację.

Co gorsza, Will nie bardzo wiedział, co powiedzieć, ponieważ Faith naprawdę miała rację. Sara nie będzie zła. Poczuje się dotknięta. Zdruzgotana. A potem pewnie sporządzi listę wszystkich cholernych problemów, jakie on wpuścił do jej normalnego życia, i uzna, że nie warto zwracać sobie nim głowy. Jego dzieciństwo jak z Dickensa. To, co się stało z jego rodziną. Gwałtowna niechęć do poruszania któregokolwiek z tych tematów bez względu na to, jak delikatnie naciskała Sara. Bardzo niewiele przemawiało na jego korzyść. O mało nie został wyrzucony z liceum. Był bezdomny. Z trudem ukończył college. A do tego wszystkiego była jeszcze jego okropna żona, która zniknęła z powierzchni ziemi, gdy tylko złożył papiery rozwodowe, a mimo to udawało jej się jakimś cudem zostawiać co jakiś czas wredne wiadomości zatknięte za przednią wycieraczkę samochodu Sary.

Caroline nadal siedziała za biurkiem. Odebrała od Willa kubki z kawą, biorąc tę ze śmietanką. Uświadomił sobie, że pomylił zamówienia, równocześnie jednak dotarło do niego, że nic go to nie obchodzi.

Niewiarygodne, ale napięcie w gabinecie Amandy było jeszcze większe

niż przed wyjściem Willa. Amanda miała zaciśnięte szczęki. Denise Branson była cała sztywna, dłonie zwinęła w pięści. Najwyraźniej wyrzucanie żalów jeszcze się nie skończyło.

Ton Amandy był tak ostry, że mógłby przeciąć żelazo:

– Major Branson, agentka specjalna Mitchell.

Co dziwne, Denise Branson uśmiechnęła się ciepło do Faith.

– Jako nowicjuszka pracowałam z pani matką. Mam nadzieję, że miło spędza czas na emeryturze?

– Tak. – Faith podała jej rękę. – Przekażę mamie, że pani o nią pytała.

– Evelyn zawsze była profesjonalistką – ciągnęła Branson. Ani razu nie spojrzała na Amandę, ale wszyscy zrozumieli aluzję. – Przykro mi, że nie mam czasu do niej zajrzeć, kiedy jestem w mieście.

Zdawkowy uśmiech Faith i brak odpowiedzi dały jasno do zrozumienia, że nie da się tak łatwo omamić i pozostanie lojalna wobec Amandy.

Żeby rozładować atmosferę, Will pozdał kawę. Amanda przytknęła kubek do ust, lecz gdy poczuła zapach, wzdrygnęła się. Branson spostrzegła jej minę i postawiła swój kubek na biurku.

– Postarajmy się załatwić to szybko. Wszyscy mamy mnóstwo pracy – powiedziała Amanda.

Will odczekał, aż panie usiądą, po czym oparł się o parapet. Czuł się nieswojo w ich towarzystwie. Przywykł do tego, że otaczają go kobiety, ale w tej akurat grupce było coś takiego, że miał ochotę skrzyżować nogi.

– No dobrze, zacznijmy od tej... – Amanda szukała właściwego słowa – młotkowej masakry z udziałem policjantów. – Uśmiechnęła się przy tym nieznacznie, chociaż Will widział na własne oczy, dlaczego ta uwaga nie była zabawna. – Denise, ma pani jakieś podejrzenie, dlaczego Adams i Long zostali zaatakowani?

– Mamy nawet kilka teorii.

Wszyscy czekali, ale Branson nie przedstawiła im owych teorii...

– No dobrze – odezwała się Amanda. – Będziemy musieli przejrzeć akta wszystkich ich ostatnich spraw, porozmawiać z partnerami i członkami ich ekip, żeby sprawdzić, czy podsuną nam jakieś...

– Już to zrobiliśmy – przerwała jej Branson. – Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. To policjanci. Nie dostają liścików z podziękowaniami za to, że aresztują ludzi.

– A jednak nie zostali zaatakowani bez powodu – zauważyła Amanda bez mrugnięcia okiem.

– Przejrzeliśmy wszystkie sprawy Adams z ostatnich dwunastu miesięcy. To samo zrobiliśmy, jeśli chodzi o Longa. Wykonywali głównie rutynowe działania. Żadnych niebezpiecznych zleceń. Nic, co mogłoby przyciągnąć tego rodzaju uwagę.

Amanda uśmiechnęła się złośliwie.

– Fascynujące, że zdołaliście dojść do takiego wniosku w ciągu niecałych sześciu godzin.

– W Macon mamy doskonałą ekipę.

Amanda analizowała tę kobietę. Will też. Branson wyraźnie upajała się tą grą, ale kiedy chciała coś ukryć, kąciki jej ust drżały. Zupełnie jakby usiłowała powstrzymać uśmiech.

– Poznała pani Charliego Reeda? – spytała Amanda.

– To wasz lekarz sądowy? – Branson pokręciła głową. – Nie miałam okazji. Zgodnie z prośbą, jaką skierowała pani do mojego szefa, dom został zabezpieczony zaraz po tym, jak Jareda Longa zabrano do szpitala. Wydawało mi się, że nie wykorzystam dobrze swojego czasu, jadąc tam i czekając beczynn timer, aż wasi ludzie opuszczą miejsce zbrodni.

– Dziękuję za współpracę, pani major. Jestem pewna, że dzięki temu nasze śledztwo będzie przebiegać bardziej gładko. Gdzie kucharek sześć i tak dalej... – Amanda urwała i uśmiechnęła się uprzejmie. – W laboratorium wiedzą, że mają natychmiast zbadać wszystkie ślady, jakie znajdzie Charlie. On będzie zdawał raport bezpośrednio mnie, a ja przekażę wszelkie istotne informacje waszemu wydziałowi. Śledztwo przejmuje Faith. – Zwróciła się do niej: – Proszę pamiętać, żeby informować o wszystkim Macon.

– Tak, pani dyrektor. – Faith wyjęła notatnik i otworzyła go na pierwszej stronie. – Pani major, co może mi pani powiedzieć?

Branson najwyraźniej przygotowała się do tej rozmowy.

– Proszę wyświetlić te zdjęcia z pendrive'a – zwróciła się do Amandy.

Amanda uniosła brew, słysząc to polecenie, ale wykonała je, poruszając myszką i spoglądając na ekran, jakby spodziewała się, że coś się na nim ukáže. Ekran jednak pozostał ciemny.

– Dlaczego to nie działa?

Will milczał, ale Faith spytała:

– Jest włączony?

– Oczywiście, że jest włączony. – Amanda wzięła pilota i wcisnęła czerwony przycisk. Ekran zrobił się jasny, a po chwili ujrzeli zdjęcie. Will domyślił się, że patrzy na zdjęcie z legitymacji policyjnej Jareda Longa. Spotkał już kiedyś tego chłopaka. Long był przystojnym dzieciakiem, uroczo pewnym siebie, co czyniło go naturalnym przywódcą. Podobno bardzo przypominał ojca.

– Jared Long – oznajmiła Branson. – Mąż Leny Adams. Jest w patrolu motocyklowym, pracuje w policji w Macon od siedmiu lat. Dobry w swojej pracy. Lubi jeździć motorem. Żadnych upomnień. Wzorowy policjant.

– W przeciwieństwie do żony – wymamrotała Faith.

Nawet jeśli Branson usłyszała ten komentarz, postanowiła go zignorować.

– Long opuścił salę operacyjną półtorej godziny temu. Wciąż istnieje ryzyko, że nie przeżyje, ale z naszego punktu widzenia niczego to nie zmienia. Został postrzelony policjant. Drugiego o mało nie zamordowano. Ktoś zlecił to zabójstwo. Następne zdjęcie, proszę.

Amanda kliknęła myszką. Wpatrywała się w ekran, czekając, aż zdjęcie się zmieni.

– Och, na miłość bo...

– Proszę wcisnąć spację – podsunęła Faith.

– To na nic. – Amanda wcisnęła spację. Zdjęcie się zmieniło. Nowe ukazywało starszego mężczyznę o dziobatej twarzy i zmrużonych oczach, ubranego w pomarańczową więzienną bluzę. Pod brodą miał tabliczkę z nazwiskiem i numerem więziennym.

– Samuel Marcus Lawrence – przedstawiła go Branson – napastnik, który jako pierwszy wszedł do domu i zmarł w drodze do szpitala niedługo potem. To nasz pierwszy strzelec. Bandzior średniego szczębla, ma na koncie parę

napadów, za które dwa razy trafił za kratki na dwa i trzy lata. Za każdym razem zwalniany warunkowo za dobre sprawowanie. Opowiadał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że swego czasu należał do Hells Angels, jednak nie ma na to żadnych dowodów.

Faith, która nie przestawała notować, spytała:

– Narkotyki?

– Metadon. Miał więcej krost na twarzy niż uliczna dziwka.

– Tak czy owak, już nie żyje – skwitowała Amanda. Znów wcisnęła spację. Na ekranie pojawił się kolejny portret z policyjnej kartoteki. Facet był mniej więcej w tym samym wieku co poprzedni, miał siwe włosy, a na szyi wyblakły tatuaż przedstawiający głowę kobry przechodzącą w tułów indyka.

– Fred Leroy Zachary – oznajmiła Branson. – Odsiedział osiem lat za napaść z ofiarą śmiertelną i całe dziesięć za porwanie i gwałt. Znany na mieście jako zbir do wynajęcia. Żyje, ale ledwo, ledwo. Ma złamaną szczękę. Pęknięty kręgosłup. Połamane żebra. Całe ciało w gipsie. Usta zdrutowane. Nie może mówić, a nawet gdyby mógł, prawnik by mu nie pozwolił.

– No, nie można oskarżyć Adams o brak dokładności – skomentowała Amanda. – Co miała do powiedzenia?

– Niewiele. Lekarze twierdzili, że jest w szoku – odrzekła Branson wymijająco. – Musieli udzielić jej pomocy na miejscu zbrodni. Przedstawiła nam jedynie zarys sprawy: do domu włamał się uzbrojony mężczyzna. Long został postrzelony w plecy. Strzelano ze strzelby z odpiłowaną lufą, dlatego pociski rozprysnęły się na wszystkie strony. Adams wyjęła młotek z pasa na narzędzia Longa i wykorzystała go do obrony. Wtedy zaatakował drugi uzbrojony mężczyzna. Doszło do walki wręcz i udało jej się unieszkodliwić obu napastników.

Wyglądało na to, że Branson skończyła.

– To wszystko? – upewniła się Amanda.

– Jak mówiłam, Adams była pod opieką lekarską z powodu silnego wstrząsu. Widziała, jak postrzelono jej męża. Walczyła o życie. Również jego, taka jest prawda. Wrócimy do niej później, ale mam wrażenie, że należy jej się chwila wytchnienia.

Amanda w milczeniu oparła brodę na złączonych palcach. Faith nadal

skrobała w notesie, a Will prawie widział, jak strzyże uszami. Na końcu tej relacji zabrakło istotnego kawałka. Albo Lena ukryła to, że Will był w jej domu, albo Branson pominęła ten fragment jej zeznania.

– Faith spotka się z Adams – zarządziła Amanda. – Myślę, że wystarczająco już odetchnęła. Musimy wiedzieć, co dokładnie zaszło ubiegłej nocy. Może się to pani nie podobać, ale to nasze śledztwo i tak właśnie zrobimy.

Branson zacisnęła szczęki, lecz skinęła głową.

Tym razem napięcie rozładowała Faith:

– Pani major, może zechce mi pani udzielić podstawowych informacji? – Otworzyła notes na czystej stronie. – Czy mówimy o dzielnicy mieszkaniowej? – Branson kiwnęła głową. – W środku nocy rozlega się huk wystrzału. Ktoś coś widział? Słyszał?

Branson najwyraźniej miała ten sam zwyczaj co Amanda: zwlekała z odpowiedzią na pytania, które jej się nie podobały. Milczała chwilę dłużej, niż było trzeba, po czym odrzekła:

– Z początku sąsiedzi nie byli pewni. To właściwie wiejska okolica. Tuż po północy słyhać huk, może to kłusownicy, a może czyjś silnik strzelił. Są tam gęste lasy. Domy stoją na pięcioakrowych działkach. U nas nie jest tak jak u was w mieście, gdzie wszyscy tłoczą się razem jak szczury.

Faith kiwnęła głową, ignorując ten przytyk, albo może zgadzając się z Branson.

– Kto zadzwonił na policję? – spytała.

– Sąsiadka mieszkająca cztery domy dalej. Jej nazwisko i zeznanie są na pendrivie, o ile pani szefowa zdoła otworzyć plik. – Zerknęła w stronę Amandy, po czym odwróciła się do Faith. – Przy tej samej ulicy mieszka jeszcze dwóch innych gliniarzy. Jeden ma żonę sanitariuszkę, drugi jest w związku z panią strażak. I tylko dlatego Long nie umarł na miejscu. Jego serce stanęło, zanim do niego dotarli. Na zmianę robili mu masaż serca, póki nie przyjechała karetka. Trwało to prawie dwadzieścia minut.

– Gdy Long odzyska przytomność – podchwyciła Amanda – Faith go przesłucha, żeby sprawdzić, czy jego zeznania będą zgodne z zeznaniami żony.

Branson znów odczekała dłuższą chwilę. Kącik jej ust zadrżał, po czym uśmiechnęła się szeroko.

– Nie jest pani ciekawa, skąd wiem, że ten pani chłoptaş był zeszłej nocy w tamtym domu dokładnie w momencie ataku?

Will domyślił się, że to on jest rzeczonym chłoptasiem. Pomyślał o młotku, o tym, że kiedy chwycił metalowe ostrze gołymi rękami, krew wciąż była ciepła. Zawijasy jego odcisków palców w zaschniętej krwi dla tak doświadczonego gliny jak Denise Branson musiały być niczym neon.

Amanda westchnęła ciężko.

– Myślę, że możemy nazwać Willa mężczyzną, jako że to właśnie on i tylko on powstrzymał waszą detektyw przed zarąbaniem podejrzanego na śmierć. To znaczy... drugiego podejrzanego.

– Tak pani sądzi? – warknęła Branson.

Amanda zaryzykowała przypuszczenie:

– Rozumiem, że pomimo poleceń, aby wasi ludzie nie wchodzili na moje miejsce zbrodni, sprawdziła pani odciski palców.

Branson wyprostowała plecy, jakby szykowała się do walki. Prawdopodobnie wysłała swoją ekipę do domu Leny zaraz po tym, jak Amanda kazała go zabezpieczyć. Will mógł sobie tylko wyobrażać wściekłość pani major, kiedy w jej komputerze wyskoczyły jego akta z GBI. Nie mógł jej za to winić. Nikt nie lubił świadomości, że został wystrychnięty na dudka.

– No dobrze. – Amanda zwróciła się do Willa: – Teraz nasza kolej podzielić się informacjami. Zrelacjonuj, proszę, pani major, co robiłeś ubiegłego wieczoru.

Will nie spodziewał się, że też będzie musiał wnieść swój wkład do tej rozgrywki, wykonał jednak polecenie:

– Zeszłego wieczoru zwrócił się do mnie kontakt, który rozpracowuję w ramach tajnej operacji. Powiedział, że potrzebuje czujki w związku z włamaniem. Żadnej przemocy, mieszkańców miało nie być w domu. Jedno i drugie okazało się kłamstwem. Wydawało mi się, że to dobry sposób, żeby wejść w tę grupę, więc się zgodziłem.

– Tak się akurat złożyło, że był pan w Macon? – Gdy nikt nie

odpowiedział, Branson uśmiechnęła się z wyższością. – Ten kontakt jakoś się nazywa?

– Anthony Dell – podsunęła Amanda.

Branson nie zareagowała na jej słowa, tylko zwróciła się do Willa:

– A więc Dell powiedział, że jest robota. Co dalej?

– Pojechaliliśmy tam. Dell wysadził mnie na końcu ulicy i kazał dzwonić na jego komórkę, gdybym kogoś zobaczył. Sam pojechał dalej i zaparkował przed domem ze stromym podjazdem. Na ulicy stała już zaparkowana szara furgonetka. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn, zakładam, że Zachary i Lawrence. Weszli do domu. Dell został przy furgonetce. Nie widziałem, że są uzbrojeni, ale znajdowałem się w odległości około pięćdziesięciu metrów.

– To pół boiska do futbolu – zauważyła Branson. – Zobaczył pan tablicę rejestracyjną furgonetki?

– Była północ.

– Mamy pełnię.

– Tam nie ma latarni. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem jedynie cienie.

Branson przyglądała mu się uważnie, jakby chciała wy badać, czy nie kłamie. Wreszcie powiedziała:

– Kia, którą przyjechał Dell, nadal tam stała, kiedy zjawili się nasi ludzie.

Will poczuł ciężar w żołądku. Zupełnie zapomniał o wozie Tony'ego.

– Dzisiaj rano obudziliśmy Della w jego domu – ciągnęła Branson. – Wydawał się szczerze wstrząśnięty tym, że jego samochód zniknął z podjazdu. Chciał jak najszybciej zgłosić kradzież. Sprawdziliśmy go pod kątem niedawnego kontaktu z bronią palną, przejrzeliliśmy jego kartotekę, która pełna jest drobnych wykroczeń, ale z pewnością już to wiecie.

– Puściliście go? – zdziwiła się Amanda.

– A na jakiej podstawie miałabym go zatrzymać? Ma pani świadka, który powiązałby go z atakiem?

Will zobaczył, że nozdrza Amandy rozszerzają się niebezpiecznie.

– Zauważyłam na przedniej szybie wozu Della naklejkę z parkingu dla pracowników szpitala Macon General – ciągnęła Branson. – To skojarzyło mi się ze śledztwem, które prowadziliśmy w zeszłym miesiącu, gdy ze szpitalnej

apteki zniknęły lekarstwa. Nie znaleźliśmy żadnych konkretnych tropów, ale wiem, że GBI dostaje kopie wszystkich raportów dotyczących kradzieży nielegalnych substancji. Dziś rano wybrałam się do szpitala, żeby sprawdzić współpracowników Della. I jak się panu podoba praca w szpitalu? – zwróciła się do Willa.

Amandzie udało się mówić jednocześnie rozdrażnionym i znudzonym tonem:

– Tak, pani major, doskonała robota. Brawo. Gdzie jest teraz kłania Della?

– W naszym warsztacie. Kazała nam pani zabezpieczyć dom, nie ulicę. Dopilnuję, żeby wszelkie istotne informacje zostały przekazane waszemu wydziałowi – poinformowała Amandę z wyraźną przyjemnością.

– Jak miło. Dziękuję.

– Bardzo proszę. – Branson skierowała uwagę na Willa. – Dwóch mężczyzn weszło do domu, pan i Dell zostaliście na ulicy. Co dalej?

Will musiał się chwilę zastanowić, zanim podjął wątek w miejscu, w którym go przerwał.

– Usłyszałem odgłos wystrzału i pobiegłem w stronę domu.

– Odległego o pół boiska futbolowego – przypomniała Branson. – I?

– Dell próbował mnie powstrzymać przed wejściem do środka. Szamotaliśmy się przez chwilę. Nie wiem, jak długo, ale jest silniejszy, niż wygląda, i był spanikowany. W czasie naszej szarpaniny rozległo się jeszcze kilka strzałów.

Branson zmierzyła go wzrokiem.

– Nie wygląda pan, jakby brał udział w bójkach.

– Próbował mnie powstrzymać przed wejściem do środka, nie znokautować.

– Miły gość.

Will wzruszył ramionami, jednak Dell chciał mu wyświadczyć nie lada przysługę jak na świat przestępczy: próbował skłonić go, żeby zwiewał, zamiast pakować się w sam środek strzelaniny.

– Kiedy wreszcie wszedłem do tego domu – ciągnął Will – obaj napastnicy byli unieszkodliwieni. Lena Adams mnie rozpoznała, w każdym

razie takie odniosłem wrażenie. Skłoniłem ją do opuszczenia młotka, po czym wyszedłem. Della nie było. Nadjeżdżała policja. Słyszałem syreny. Udałem się na tyły domu, przeskoczyłem przez płot do lasu i oddaliłem się.

Will wsunął ręce do kieszeni i stał oparty o parapet. Formalnie rzecz biorąc, nie oddalił się, jednak one nie musiały wiedzieć, że pędził przez las, jakby ścigała go piekielna sfora.

– Miał pan jakiś kontakt z Leną Adams od czasu, gdy pan i pana partnerka prowadziliście w jej sprawie śledztwo półtora roku temu? – chciała wiedzieć Branson.

Will powiedział prawdę:

– Od zakończenia śledztwa żadne z nas nie widziało Leny na oczy.

– Rozmawiał pan z nią po ubiegłej nocy?

Pokręcił głową, a przed oczami stanęła mu twarz Leny, gdy położył palec na ustach, dając jej znak, żeby była cicho. Najwyraźniej wzięła to sobie do serca.

– Wydaje mi się ciekawe, że bez żadnej koordynacji detektyw Adams postanowiła podtrzymać pańską przykrywkę – stwierdziła Branson.

– To chyba w jej interesie, czyż nie? – zauważyła Faith. – To nie Will powstrzymał ją przed rozplątaniem czaszki facetowi numer dwa, sama się powstrzymała.

Branson nie zamierzała publicznie oczerniać jednej ze swoich policjantek.

– Dopilnuję, żeby ta szara furgonetka trafiła do programów informacyjnych jako poszukiwana.

– To dość nowy model – odpowiedział Will. – Chyba ford. Bez okien z tyłu i po bokach. Jasnoszary, nie ciemno.

Branson wyjęła z teczki blackberry.

– I ani słowa na temat tablicy rejestracyjnej, chociaż był pan tuż obok, zanim wszedł do domu. – Zaczęła pisać e-mail.

– Nie szukała pani pojazdów zarejestrowanych na Lawrence'a i Zachary'ego? – spytała Amanda.

– Oczywiście, że szukałam – odrzekła Branson, wciąż pisząc. – Obaj mieszkali na tym samym osiedlu domów na kółkach przy drodze I-16.

Zachary jeździ harleyem. Lawrence pick-upem. Oba pojazdy stały zaparkowane przy ich norach. Szara furgonetka nie należy do żadnego z nich.

– Są z Macon?

– Urodzeni i wychowani.

– Powiadomiono rodziny?

– Lawrence ma byłą żonę, która wydawała się uszczęśliwiona jego zgonem, a Zachary brata, który czeka na wyrok w Holman. Podczas napadu rabunkowego zabił pracownika stacji benzynowej. Zbrodnicze skłonności są widać u nich rodzinne.

– Na ogół tak jest. – Amanda była gotowa zakończyć spotkanie. – Wygląda na to, że mamy co robić. – Zwróciła się do Faith: – Sprawa numer jeden: kiedy pojedziesz do Macon, porozmawiaj z Leną Adams, upewnij się, czy wie, że ma trzymać gębę na kłódkę w związku z Willem. Będziesz musiała przejrzeć jej ostatnie sprawy. Jestem pewna, że pani major nie będzie miała nic przeciwko jeszcze jednej parze oczu, chociaż jej ludzie odwalili dobrą robotę. Porozmawiaj z ekipą Adams, zorientuj się, czym się ostatnio zajmowała. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że poza sprawami ujętymi w raportach robiła coś jeszcze. Zobacz, czy ktoś będzie skłonny o tym porozmawiać.

Branson wrzuciła blackberry do teczki.

– Będzie musiała ją pani przesłuchać w szpitalu. Nie chce odejść od Longa na krok. Powiedziała, że musielibyśmy ją stamtąd zabrać zakutą w kajdanki.

– To się da zrobić – powiedziała Faith. Prowadziła tajne śledztwo w sprawie Leny poprzednim razem i nadal trudno jej było pogodzić się z tym, że nie doszła do żadnych spójnych wniosków. – Przecież Adams próbowała zamordować człowieka.

Branson spiorunowała ją wzrokiem.

– Nie zna pani doktryny zamku, prawa do obrony koniecznej we własnym domu, agentko Mitchell? Państwo gwarantuje obywatelowi prawo do obrony własnego domu przed napastnikami. Moim zdaniem ten incydent stanowi powód, dla którego w ogóle ustanowiono to prawo.

Faith nie mogła się spierać z przepisami prawa, ale niełatwo było jej

odpuścić, gdy żywiła do kogoś urazę.

– Tak czy owak, pani major, Lena Adams wie takie życie, że kiedyś w końcu znajdzie się po niewłaściwej stronie krat.

– Ale na razie Lena siedzi przy mężu i myśli tylko o tym, jak sprawić, żeby odzyskał przytomność. Wszystkim nam na tym zależy. Jared Long to dobry glina. Podobnie zresztą jak Lena i martwi mnie, agentko Mitchell, że pani inaczej podchodzi do sprawy.

– Idę tam, dokąd prowadzą mnie dowody – odcięła się Faith.

– W każdym razie – włączyła się Amanda – musimy przycisnąć Lenę, żeby nie spaliła przykrywki Willa. Nadal mamy coś do rozegrania w tamtym szpitalu, a zważywszy na wydarzenia ubiegłej nocy, gra zrobiła się znacznie bardziej niebezpieczna. Pani major, sądzę, że uszanuje pani naszą prośbę o zachowanie poufności. Poświęciliśmy tej akcji zbyt dużo czasu, żeby teraz wszystko diabli wzięli.

– Tej akcji... – powtórzyła Branson, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Amanda milczała. Nie grała na zwłokę, po prostu kazała Branson czekać. A Denise Branson wydawała się gotowa wyciągnąć śpiwór, gdyby było trzeba.

Wreszcie, gdy upłynęła prawie cała minuta, Amanda zagadnęła:

– Will?

Spojrzał jej w oczy, zastanawiając się, ile chce, żeby wyjawiał. Wykonała ręką taki gest, jakby chciała powiedzieć, że nie powinien niczego ukrywać. Oczywiście to, co sugerowała ze względu na Branson, i to, co naprawdę miała na myśli, to były dwie różne rzeczy.

Will ostrożnie nagiął prawdę:

– Kilka dni temu dostaliśmy cynk, że jakaś duża ryba szykuje się na Macon. Ma ksywę Wielki Białas. Sprawdziliśmy go w systemie i wyskoczył nam na Florydzie, ale to właściwie wszystko, co mamy.

– Gdzie na Florydzie? – spytała Branson.

– Sarasota.

– Macie zdjęcie?

Will wahał się moment za długo. Amanda zrobiła duże zamieszanie,

ostentacyjnie otwierając jedną z szuflad biurka i wyciągając zdjęcie, stopklatkę z kamery monitorującej. Przesunęła je po blacie biurka w stronę Branson, mówiąc:

– Zostało zrobione cztery lata temu.

Branson pochyliła się, wpatrując się z uwagą w ziarnistą fotografię.

Will mógłby opisać to zdjęcie przez sen. Wielki Białas ma na głowie bejsbolówkę Marlinsów z daszkiem nasuniętym niemal na oczy. Ubrany jest w obszerną kurtkę, średnio pasującą do upałów Florydy. Górną część twarzy zasłaniają lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Ma ciemną, gęstą brodę odsłaniającą bardzo niewiele skóry. Ręce trzyma w kieszeniach. Wielki Białas wie, jak pozować przed kamerą ochrony. Nie da się stwierdzić, czy jest wysoki, czy niski, biały czy kolorowy.

– Służby policyjne na Florydzie nie spotkały go twarzą w twarz – wyjaśnił Will. – To ujęcie z kamery ochrony w lokalu ze smażonymi kurczakami przy Tamiami Trail.

– Skąd pewność, że to Wielki Białas? – chciała wiedzieć Branson.

– Jeden z kucharzy go zidentyfikował. Powiedział, że widział go w lokalnej aptece.

– A dlaczego go zidentyfikował?

Will wskazał zdjęcie.

– Jakieś pół minuty po tym, jak kamera zarejestrowała to ujęcie, Białas znalazł się poza jej zasięgiem. Wtedy postrzelił gliniarza w głowę i uciekł tylnym wyjściem, gdzie czekał na niego samochód.

– I w Sarasocie nie stanęli na głowie, żeby złapać zabójcę gliniarza? – W głosie Branson słychać było powątpiewanie.

– Tamten kucharz niewiele o nim wiedział, poza tym, że znał jego ksywę. Zamierzali go jeszcze przesłuchać następnego dnia, ale tamtego wieczoru został zastrzelony przed swoim domem.

– Policja z Sarasoty pozwoliła jednemu ważnemu świadkowi tak po prostu iść do domu?

– Nie wiedzieli, że Białas go dopadnie, poza tym nie mieli podstaw, żeby faceta zatrzymać.

– No i nie połapali się, że Wielki Białas to taka szycha, dopóki nie wkroczył FDLE[1] i ich nie wyręczył – dodała Amanda. Jej głos ociekał sarkazmem, gdy wyjaśniła niepotrzebnie: – Wydział Egzekwowania Prawa na Florydzie działa podobnie jak GBI. Koordynują sprawy międzyokręgowe. Są bardzo dobrzy w uzyskiwaniu pełnego obrazu sytuacji, docierają do szczegółów, których lokalne oddziały policji w ogóle nie dostrzegają z powodu swojej krótkowzroczności.

Branson znów odczekała chwilę, zanim zadała kolejne pytanie:

– Znacie więcej szczegółów dotyczących Wielkiego Białasa?

– Nic świeżego – odparł Will. – FDLE uważa, że pierwotnie był związany z gangiem Palmetto Street Rollers. To była grupa z Miami, głównie Kubańcy, trochę białych. FBI szacowało liczbę członków na około dwudziestu tysięcy, ogarniali całe Wschodnie Wybrzeże. – Branson kiwnęła głową, więc Will mówił dalej: – W wyniku walk o strefy wpływów gang podzielił się na mniejsze grupki. Na Florydzie przypuszczają, choć nie są pewni, że Wielki Białas przejął obszar od Sarasoty aż po archipelag. Zgadujemy, że dwa lata temu przeniósł się w górę wybrzeża do Savannah i Hilton Head.

– Dlaczego tak sądzicie?

– Zarówno w Savannah, jak i Hilton Head co pewien czas pojawia się jego ksywa. Na ogół w ustach kapusiów, chociaż to nigdy nic konkretnego. Z początku lokalna policja sądziła, że to tylko taka miejska legenda, swego rodzaju straszak, zły duch. „Lepiej graj fair, bo dopadnie cię Wielki Białas”. „To nie ja, panie władzo, to sprawka Wielkiego Białasa” – zacytował Will. – W Savannah twierdzą, że on istnieje naprawdę, jednak Karolina rozwiązała oddział specjalny z Hilton Head pół roku temu. Zamiast tego skoncentrowali się na walce z nadbrzeżnym handlem narkotykami, uznając, że to większa siatka.

– Co przekonało Savannah, że ten Wielki Białas nie jest jednak miejską legendą? – Branson najwyraźniej nie mogła się powstrzymać, by nie dodać: – Nie licząc oczywiście wspaniałych dalekowzrocznych służb wielkiego GBI.

Will zignorował jej sarkazm.

– Dostrzegli pewien schemat. Ćpuny i handlarze nagle stali się bardziej wyrafinowani. Przestępczość wzrosła, ale karalność spadła. Przestępcy mieli

więcej pieniędzy na prawników – zazwyczaj tych samych prawników z tych samych firm. Lepsze samochody, lepsze ciuchy, większe splawy. Ktoś wziął zgraję podrzędnych zbirów i przemienił ich w biznesmenów.

– Tak więc Wielki Białas naprawdę istnieje – podsumowała Branson. – Wszyscy przestępcy w mieście weszli z nim w układ?

– O ile nie chcieli skończyć twarzą w piachu. – Will nie powiedział jej, że na swój sposób weszło z nim w układ również wielu gliniarzy. Ci detektywi, którzy nie poprosili o przeniesienie, wnioskowali o wcześniejszą emeryturę. – Większość przestępców mu się podporządkowała. Nie po to zostali dilerami narkotyków, żeby tracić forszę.

– I teraz sądzą, że Wielki Białas próbuje stworzyć taką samą organizację w Macon, bo dostaliście cynk? – dopowiedziała Branson. – Domyślam się, że Wielki Białas specjalizuje się w prochach, które Tony Dell podkradał ze szpitalnej apteki?

– To ważna część jego interesu – przyznał Will – ale końcowa rozgrywka dotyczy heroiny. Białas przenosi się na przedmieścia, rozszerza swoją działalność na bogate białe dzielnice. Zaczynają od prochów, a potem wciąga ich w heroinę.

– W jaki sposób trafiliście na Della? – spytała Branson.

– Dzięki zaufanemu źródłu informacji – zażartowała Amanda.

Branson nawet na nią nie spojrzała.

– Z tego samego źródła dostaliście informacje o Wielkim Białasie?

– Tak to zazwyczaj działa – odparła Amanda.

Branson nadal ją ignorowała, zwracając się wyłącznie do Willa:

– I dlatego właśnie zgodził się pan stać na czatach podczas rzekomego napadu rabunkowego ubiegłej nocy? Żeby zdobyć zaufanie Della?

Will skinął głową.

– No to wszystko ma sens. Dziękuję za poświęcony mi czas. – Branson wzięła z podłogi swoją teczkę i położyła ją na kolanach. – Wie pani, jak się ze mną skontaktować, pani wicedyrektor.

Amandę trudno było zbić z pantafelku, ale Denise Branson udało się ją zaskoczyć.

– To wszystko?

– Widzę, że nie powiecie mi nic więcej, a ja, cholera, nie zamierzam dzielić się z wami żadnymi informacjami, to pewne. – Branson wstała. – Gdybym miała ochotę przejechać dzisiejszy ranek, zostałabym w łóżku ze swoim wibratorem.

Ta kobieta wiedziała, jak zrobić wielkie wyjście. Opuszczając gabinet, trzymała głowę wysoko i ścisnęła teczkę pod pachą.

Will spojrzał na Amandę, która w milczeniu wpatrywała się w drzwi.

– Rany! – Faith przerwała ciszę. – Niezły występ.

Amanda znów zaczęła bawić się zausznikiem okularów do czytania.

– Wiedziała, że to Lawrence strzelał do Longa. Pewnie się okaże, że zleciła jakieś analizy.

Will też tak sądził.

– W pewnym momencie, zanim dom został zabezpieczony, była w środku. Wiedziała, że Lawrence miał na twarzy pryszczę po metadonie, chociaż na zdjęciu tego nie widać. Nazwała Della Tonym, nie Anthonym.

– Miała około dwóch godzin, zanim Charlie i jego ekipa dotarli do Macon – zauważyła Amanda. – Najwyraźniej prowadzi równoległe śledztwo. – Rzuciła Willowi znaczące spojrzenie. – I prędzej piekło zamarznie, niż nam powie, co, jeśli w ogóle, znalazła w wozie Della.

Will przyjął ten zasłużony przytyk pokornym skinieniem głowy.

– Wątpię, czy ten wóz na coś się przyda. – Faith przejrzała swoje notatki. – Branson z pewnością sprawdziła odciski palców napastników, żeby ich zidentyfikować. Zachary i Lawrence nie byli na tyle głupi, żeby wchodzić do środka z portfelami w kieszeniach. Prawdopodobnie zostawili je w furgonetce.

– Dell pewnie zdążył już sprzedać ich karty kredytowe – dodał Will. – Prawa jazdy zatrzyma na własny użytek. Furgonetka za pewno została rozebrana na części. – Pozostawienie kii na miejscu zbrodni było ryzykownym posunięciem, ale Tony Dell nie jest typem, który zrezygnowałby z łatwego łupu.

– Dell nie ma na koncie większych przestępstw, zgadza się? – spytała

Amanda Willa.

– Tak – odparł. Do tej pory Tony Dell miał dużo szczęścia. – Odsiedział trochę w areszcie za drobne wykroczenia, ale nigdy nie trafił do więzienia stanowego.

– Jaką masz dla niego historyjkę, kiedy znów się spotkacie?

– Jestem wściekły. Dlaczego mnie okłamał w związku z tym skokiem? Co powiedział glinom? Czy powinienem wyjechać z miasta? Czy mimo to dostanę forszę?

– Dobrze. Tylko nie przesadz.

Will znów pokiwał głową.

Faith usiadła wygodniej w fotelu.

– Dlaczego Lena nie powiedziała Branson, że tam byłeś?

– Nie mam pojęcia – przyznał Will. – Myślę, że naprawdę była w szoku. Miała rozszerzone źrenice. Ociekała potem. Właśnie zabiła gołymi rękami faceta i szykowała się do załatwienia następnego.

– I co wy na to? – spytała Amanda. – Nie zapominajmy, że była gotowa popełnić morderstwo z zimną krwią.

– Branson miała rację, powołując się na prawo do obrony koniecznej – odparł Will. – Dwóch ludzi wtargnęło do domu Leny i usiłowało ją zabić. Sądziła, że jej mąż nie żyje. Bała się o swoje życie. Można wnieść oskarżenie, ale żadna ława przysięgłych na świecie jej nie skaże.

Taki był właśnie problem z Leną Adams, a w każdym razie problem Willa. Nie pochwalał jej postępowania, ale w głębi duszy ją rozumiał.

– Powiedziałam: nie zapominajmy o tym. – Głos Amandy był energiczny. – Nie mówiłam, że powinniśmy ją za to zamknąć. – Zwróciła się do Faith: – Zobacz, czy uda się umieścić Willa i Lenę w tym samym pomieszczeniu. Może z nim będzie rozmawiała bardziej otwarcie.

– To powinno być łatwe, kiedy Sara będzie siedziała tuż obok na korytarzu. – Faith spojrzała na Willa znacząco. – I nie należy zapominać, z kim mamy do czynienia. Na wypadek gdyby nie było to oczywiste, nadal dręczy mnie to, że Lena ostatnim razem się wywinęła. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tym razem okazało się, że ona doskonale wie, dlaczego

doszło do tego ataku i kto go zlecił. Może zgarnęła forszę z niewłaściwego nalotu? Przyjęła działkę od niewłaściwych zbirów? Możliwe, że to dlatego major Branson prowadzi własne śledztwo. Lena należy do jej ekipy. Branson nie chce wyjść na idiotkę, która nie wiedziała, że ma u siebie skorumpowaną policjantkę.

– Lena nie gra na dwa fronty – sprzeciwił się Will. Przez całe życie miał do czynienia z pokręconymi kobietami w typie Leny Adams. Łatwo było przejrzeć ich motywację, kiedy wiedziało się, czego szukać. – Nigdy nie wzięłaby łapówki. Ona robi złe rzeczy, ale zawsze uważa, że ma po temu słuszny powód.

– Skoro tak twierdzisz. – Faith nigdy nie była zwolenniczką niuansów. – Major Branson sądzi, że to kradzież leków ze szpitalnej apteki jest powodem, dla którego wylądowałeś w Macon. Nie spocznie, póki nie dowie się, kto jest twoim informatorem.

Amanda stwierdziła rzecz oczywistą:

– Dowie się tylko wtedy, jeśli ktoś jej powie.

– Nie sądzi pani, że to dziwne, że zapytała, czy mamy zdjęcie Wielkiego Białasa? – odezwał się Will.

– Tak. Zdjęcie nie jest pierwszą rzeczą, o którą ja bym zapytała.

– Kiedy je zobaczyła, nie zrobiła tego dziwnego grymasu, ale kto ją tam wie? – włączyła się Faith. Zamknęła notes. – Czego jeszcze nam nie mówi, jak sądzicie?

– Więcej, niż my nie mówimy jej – odparła Amanda. – I uważam to za bardzo irytujące. – Podniosła głos: – Caroline, połącz mnie z Gilem Gonzalem z FDLE.

– Tam mają czas środkowoamerykański! – odkrzyknęła Caroline. – Trzeba poczekać jeszcze z pół godziny, chyba że chce pani rozmawiać z którymś z jego podwładnych.

– Oni tam, zdaje się, w ogóle pracują, kiedy chcą – burknęła Amanda. – Will, napisałeś w raporcie, że wczoraj wieczorem Dell zgłosił się do ciebie koło wpół do dwunastej. Od razu zabrał cię na akcję?

– Właśnie skończyłem zmianę w szpitalu. Zaczepił mnie na parkingu. – Willa dopiero teraz zastanowiła ta późna pora. – Może potrzebował mnie na

zastępstwo za kogoś innego?

– Jak Dell przedstawił ci tę robotę? – zainteresowała się Faith.

– Zapytał, czy chcę zarobić pięćset baksów za to, że będę trzymał gębę na kłódkę, a oczy miał szeroko otwarte.

– Pięćset baksów to kupa forsy za stanie na czatach – stwierdziła Faith. – Można kogoś sprzątnąć za mniej.

– Masz rację. – Will zaczynał myśleć, że ubiegłej nocy bardzo dużo mu umknęło. Adrenalina i czysta panika raczej nie poprawiają pamięci krótkotrwałej.

– Zauważyłem, że tam, przed domem Leny, wszyscy podali sobie ręce – powiedział. – Nie szturchali się po kumpelsku, tylko wymienili formalny uścisk dłoni, jakby nie znali się zbyt dobrze.

Faith wykrzywiła wargi, analizując całą sytuację.

– Pewnie plan został sklecony w ostatniej chwili. Nie mieli na miejscu stałej ekipy.

– Dell prawie co wieczór przesiaduje w lokalu o nazwie Tipse's – powiedział Will. – To lokal ze striptizem, głównie na potrzeby gangów motocyklowych i byłych więźniów. Byłem tam z nim kilka razy, żeby nawiązać stosunki.

– Stosunki? – prychnęła Faith.

Will zignorował jej sarkazm.

– Jeśli szukasz kogoś, kto pomoże ci sprzątnąć paru gliniarzy w Macon, nie ma lepszego miejsca niż Tipse's – wyjaśnił.

– Sprawdzę to – powiedziała Faith. – Miejmy nadzieję, że policja w Macon okaże się bardziej pomocna niż major Branson. Jak dla mnie ta babka jest trochę zbyt przebojowa. Kto przypina wszystkie odznaczenia na spotkanie w centrum miasta? I co niby miał znaczyć ten jej drwiący uśmiezek?

– Myślę, że trochę nadrabiała miną – rzekła Amanda. – Próba zamordowania dwojga gliniarzy, jeden napastnik zabity, drugi w stanie krytycznym, a szef wysyła ją, żeby przekazała nam informacje? To na pewno nie jest wymarzone zadanie.

– Zwłaszcza jeśli była na nogach od pierwszej nad ranem – dodała Faith. – Swoją drogą mam wrażenie, że Branson trzyma sztamę z Leną. Historia typu „my przeciwko całemu światu”, jakby obie były osobami tego samego pokroju.

– Może – mruknęła Amanda. – Nieszczęścia chodzą parami.

Will się wyłączył. Myślał o ubiegłej nocy, o jeździe do domu Leny. Dell był podminowany, ale właściwie zawsze sprawiał takie wrażenie. Bawił się radiem, stukał palcami w deskę rozdzielczą, w kierownicę, we własną nogę, gdy prowadził jedną ręką, jadąc do miejsca, gdzie, jak obaj sądzili, czekał ich łatwy zysk. I gadał przez cały czas: o pogodzie, o swojej schorowanej matce mieszkającej w Teksasie, o kobiecie w szpitalu, z którą chętnie by się przespał. Will tylko przytakiwał od czasu do czasu, a tamten ciągnął swoje. Nie potrzebował dodatkowej zachęty. Właściwie gadał za dużo dla własnego dobra. Major Branson dostała całą historię od końca. Pierwotnym celem śledztwa Willa był właśnie Tony Dell. W ciągu pierwszego dnia jego tajnej misji facet bez przerwy nadawał o najważniejszym dilerze, znanym jako Wielki Biały.

Will zdał sobie sprawę, że Amanda i Faith umilkły.

– O co chodzi? – spytała Faith.

Will pokręcił głową, ale i tak im powiedział:

– O Wielkiego Białasa.

– To nie może być zbieg okoliczności – uznała Amanda. – Jesteś tam ze względu na Della. Dell zwraca twoją uwagę na Wielkiego Białasa. Wielki Biały zabija gliniarzy. Niewiele ponad tydzień później zostaje zaatakowanych dwoje policjantów.

– Nie daje mi spokoju tempo zorganizowania ataku – wyznał Will. – Jeśli chcę zabić jakichś gliniarzy, nie robię tego w biegu. Opracowuję plan. Śledzę ich. Poznają ich zwyczaje. Zgromadzenie ekipy trwa kilka dni, może tydzień. Sprawa musiała być pilna, w przeciwnym razie nigdy nie zaangażowałiby Della, a już z całą pewnością nie zatrudniliby mnie w ciemno.

– Myślisz, że ktoś z ich pierwotnej ekipy stchórzył? – spytała Faith i sama sobie odpowiedziała na to pytanie: – To by miało sens, że nie powiedzieli tobie i Dellowi, co naprawdę planują, po tym, jak poprzednie osoby wybrane

do tej roboty zrezygnowały.

– To tłumaczyłoby tych pięćset dolarów – podchwycił Will. – Kiedy chce się uniknąć pytań i kupić sobie łatwą zgodę, to się przepłaca. – Wrócił do kwestii czasu: – Takie zbiry nie bawią się w długie rozgrywki. To było coś świeżego. Akcja została zorganizowana w ciągu ostatnich dwóch tygodni maksimum. Więc musimy się dowiedzieć, co w ciągu tych dwóch tygodni zaszło.

– Macon jest teraz w okręgu Bibb. – Amanda zaczęła stukać w klawiaturę komputera. – To okręg numer...

– Dwanaście – odpowiedział Will.

– Caroline, połącz mnie z Nickiem Sheltonem! – krzyknęła Amanda.

– Codziennie czytałem gazetę z Macon – powiedział Will, ignorując zdziwione spojrzenia obu kobiet. – Jakiś tydzień temu dwóch gliniarzy zostało rannych podczas nalotu na melinę, w której sprzedawano głównie metadon i prochy. Nie podano zbyt wielu szczegółów. Jeden z nich nadal leży w szpitalu. Drugi wnioskuje o niezdolność do dalszej służby.

– Coś jeszcze? – spytała Amanda.

– Zgarnęli trochę forsy na mocy reguły o przechwyceniu narkotyków. W gazecie nie podano dokładnej sumy, ale wydział policji w Macon zamierza wykorzystać te pieniądze na zakup nowych kałasznikowów dla brygady antyterrorystycznej. – Will znowu wzruszył ramionami. – Reszta to zwykłe sprawy z rejestru policyjnego: zaginione nastolatki, marihuanowy nalot w szkole, gość, który wykorkował na kiblu.

Amanda splótła dłonie na biurku. Miała już dość gadania.

– No dobrze. Mamy jakiś plan?

– Moja zmiana w szpitalu zaczyna się o jedenastej. – Will zwrócił się do Faith: – Będziesz musiała coś wykombinować, żebym znalazł się z Leną w tym samym pokoju bez spalania mojej przykrywki.

– Jestem pewna, że będzie z nami współpracowała. – Faith wydawała się sceptyczna. – Sądzi pani, że warto, żebym zajrzała na osiedle domów na kółkach, gdzie mieszkali Zachary i Lawrence? – spytała Amandę.

Ta pokręciła głową.

– Branson zdążyła już pewnie wywrócić to miejsce do góry nogami. Poczekajmy parę dni. I bądź delikatna, żeby stworzyć miły kontrast.

– Dobra. A skoro mowa o Branson, to jeszcze raz sprawdzę informacje, które nam podała, przejrzę akta Zachary’ego i Lawrence’a, żeby się upewnić, że niczego nie pominęła. Mogłabym przy okazji przejrzeć też akta Adams i Longa. Wyślę wszystko do analizy danych, żeby mogli sprawdzić konta bankowe, kredyty hipoteczne, byłych partnerów, członków rodziny i co tam jeszcze wyskoczy.

– To będzie dużo informacji do posegregowania – zauważyła Amanda. – Poproś o pomoc w sztabie. Niech odwalą większość roboty w związku z Jaredem Longiem, żebyśmy mieli porządną dokumentację, na wypadek gdyby sprawa trafiła do sądu. Nie chcemy zostać oskarżeni o uprzedzenia, stronniczość i działanie na czyjąś niekorzyść.

– Jak to? Znowu? – Faith wstała z krzesła. – Zadzwoń do telefonii komórkowej i zdobędę listę połączeń z wieży w pobliżu domu Adams. O północy w wiejskiej okolicy nie mogło być ich zbyt dużo.

– Zawiadom mnie, jeśli będą się opierać – powiedziała Amanda. Ostatnio dostawcy usług telekomunikacyjnych niechętnie udostępniali dane. – Jeśli potrzebny będzie nakaz, to potrwa kilka dni.

– Amanda! – wrzasnęła Caroline. – Nick Shelton na drugiej linii!

Amanda podniosła słuchawkę, ale zamiast przyłożyć ją do ucha, oparła na ramieniu.

– Will, bądź ostrożny. Zawsze miej przy sobie telefon, żebyśmy wiedzieli, gdzie dokładnie jesteś.

– Tak, pani dyrektor. – Ruszył za Faith do drzwi.

– Poza tym... – Amanda odczekała, aż się odwróci – Will ma rację co do kwestii czasu. Cokolwiek spowodowało ten skok, musiało zdarzyć się niedawno. Faith, zrób chronologiczną rozpiskę zdarzeń. Zaczynij od ubiegłej nocy, następnie posuwaj się wstecz dzień po dniu, minuta po minucie, jeśli będzie trzeba. Dowiedz się, co takiego zrobiła Lena Adams, że sprowokowała to wszystko.

4.

MACON W STANIE GEORGIA SIEDEM DNI WCZEŚNIEJ – DZIEŃ NALOTU

Gdy o świcie policyjna furgonetka sunęła z łoskotem żwirową drogą, poranne światło przybrało odcień kobaltowego błękitu. Z tyłu siedziało dziesięciu policjantów, pięciu po jednej stronie, pięciu po drugiej, ściśnięci ramię przy ramieniu tak, że na każdym wyboju wszyscy podskakiwali. Z głośników leciała na cały regulator piosenka rapera Ice-T *Cop Killer*. Powietrze w wozie drżało od wściekłego rytmu.

Cop killer. Better you than me.[\[2\]](#)

Kiedy furgonetką znów szarpnęło, Lena Adams przytrzymała strzelbę. Sprawdziła glocka przypiętego na udzie, upewniła się, że rzepy dobrze trzymają. W miarę jak zbliżali się do celu, głos w jej głowie wrzeszczał razem z Ice'em-T. Odetchnęła szybko kilka razy, nie po to, żeby się uspokoić, lecz by jeszcze bardziej się nakręcić, podnieść poziom adrenaliny do maksimum, świadoma, że od największego nalotu w karierze dzieli ją tylko kilka chwil.

Aż nagle wszystko zamarło.

Muzyka umilkła. Nad ich głowami zapaliła się czerwona lampka.

Cisza.

Dwie minuty do przyjazdu na miejsce.

Furgonetka zwolniła. Pod kołami chrzęścił żwir. Wyciągnęli broń, sprawdzili magazynki. Poprawili hełmy i okulary ochronne. Zapach

testosteronu jeszcze się wzmógł. Dziewięciu facetów i jedna kobieta. Wszyscy ubrani w kevlarowe kamizelki kuloodporne i czarne polowe mundury, objuczeni taką ilością amunicji, że mogliby pokonać małą armię.

Lena oddychała przez usta, czując smak strachu i podniecenia unoszący się w furgonetce. Spojrzała na swoją ekipę. Wytrzeszczone oczy. Źrenice jak dziesięciocentówki. W ich napięciu było coś niemal seksualnego. Czuła panujące wokół ożywienie, koledzy wiercili się, mocniej ściskali broń. Obserwowali ten dom przez ostatnie dwa tygodnie i planowali atak, chociaż ćpuny i dziwki wciąż wchodziły i wychodziły, rojąc się niczym mrówki w mrowisku. W środku będzie kupa forsy. Percocet. Vicodin. Zanieczyszczona heroina. Koka. Broń.

Mnóstwo broni.

Obserwowali dom przez całą dobę i wiedzieli, że w środku jest czterech ludzi. Jednym z nich był pomniejszy bandzior skazany za napad i zwolniony warunkowo. Drugim zdesperowany ćpun, który gotów był zrobić loda psu, byle tylko zaspokoić oksykodonowy głód. Trzeci to Diego Nuñez, egzekutor starej daty, który lubił brudną robotę. Czwartym był ich przywódca, Sid Waller, skurwiel przesłuchiwany w sprawie o gwałt i dwa morderstwa, który jakimś cudem zdołał wywinąć się ze wszystkich zarzutów.

To on był ich głównym celem. Lena śledziła go od ośmiu miesięcy, grając z nim w masochistyczne gierki – zamykając go i wypuszczając, zamykając i wypuszczając...

Nie tym razem.

Za te narkotyki i broń Sid dostanie minimum dwadzieścia lat, jednak dla Leny to było mało. Chciała, żeby przez resztę swojego żalostnego żywota miał świadomość, że to kobieta skuła go, aresztowała i doprowadziła do skazania. Nie żeby czekało go długie życie, kiedy już Lena z nim skończy. Chciała, żeby Sid Waller trafił do celi śmierci. Chciała patrzeć, jak wbijają mu igłę w ramię. Jak gaśnie w nim ostatnia iskierka życia. I gotowa była położyć na szali swoją karierę, byle tylko do tego doprowadzić.

Przez dwa tygodnie walczyła z szefostwem, naciskając na nich, żeby kontynuować operację, błagając o zwiększenie liczby nadgodzin, przydzielenie ludzi i pieniędzy oraz łaskę dla szpicla, który sprowadził ich wszystkich do tego domu w środku lasu.

Ekipa Sida nie wytrzyma długo za kratkami. Diego Nuñez jakoś da sobie radę, ale pozostali dwaj to ćpuny, a kiedy zabraknie przy nich Sida Wallera, możliwość nawalenia się weźmie u nich górę nad lojalnością. Nie miną dwadzieścia cztery godziny, a obaj będą rozpaczliwie chcieli się dogadać. Lena miała prokuratora, który gotów był się nimi zająć. Sid Waller zabił dziewiętnastoletniego dzieciaka. Zgwałcił swoją siostrzenicę i poderżnął gardło siostrze, kiedy zadzwoniła na 911. Każdy gliniarz w furgonetce chciał go dopaść.

Lena nie zawracała sobie głowy chceniem. Ona zamierzała tego dokonać.

Spojrzała na sufit, wpatrując się w czerwone światełko, aż mrugnęło i znów się zapaliło.

Jedna minuta.

Lena zamknęła oczy, przypominając sobie plan. Dom znali jak własny. Objęto go egzekucją mienia, jak wiele innych na obrzeżach miasta. Był jednopiętrowy. Miał ceglane ściany, co było korzystne, bo cegły nie przepuszczają naboju. Stał na środku działki mającej dwa i pół akra, z jednej strony graniczącej z lasem państwowym, z drugiej z wiejską drogą, która przecinała Macon i łączyła się z autostradą międzystanową numer 75, zmierzającą na północ, do Atlanty. Przeszukując biuro poborcy podatkowego, znaleźli plan domu: salon, łazienka i dwie sypialnie od tyłu. Jadalnia i kuchnia od frontu, naprzeciwko zlewu schody do piwnicy.

Przygotowywali ten nalot tak długo i ćwiczili wszystko tyle razy, że Lena postrzegала go niczym taniec o precyzyjnie opracowanej choreografii. DeShawn Franklin i Mitch Cabello wyważą boczne drzwi policyjnym taranem. Lena, wraz z Paulem Vickerym, od roku jej partnerem, zajmie się pomieszczeniami od frontu. Eric Haigh i Keith McVale sprawdzą łazienkę i dwie sypialnie z tyłu. DeShawn i Mitch unieszkodliwią ewentualnych aresztantów. Pozostali będą zabezpieczali teren wokół budynku, pilnowali, żeby nikt się nie wymknął przez okno czy taras. Lena chciała przynajmniej ośmiu ludzi więcej w zespole, ale koszty tej operacji już i tak zbliżały się do miliona dolarów, wiedziała więc, że lepiej nie prosić dowództwa o więcej.

Zawsze działali w parach, nikt nie wchodził nigdzie sam. Rozkład pomieszczeń w domu był skomplikowany, wszystkie miały cztery ściany i dwoje drzwi. Podłogę garażu przy posterunku obkleili szczegółowymi

planami domu. Lena i Paul, zanim dotrą do piwnicy, będą musieli pokonać drzwi prowadzące z salonu do jadalni i te z jadalni do kuchni. Za każdym razem groziło im, że zostaną postrzeleni.

Największe ryzyko stanowiła piwnica. Plan pokazywał otwartą przestrzeń, został jednak sporządzony w latach pięćdziesiątych, kiedy zbudowano dom. W ciągu minionych sześćdziesięciu lat piwnica została z pewnością wykończona, są w niej ściany, o których nie wiedzą. Zamknięte drzwi i szafy. Żadnych drzwi prowadzących na zewnątrz, tylko dwa wąskie, zabite deskami okna, przez które dorosły człowiek nie może się przecisnąć. Piwnica to śmiertelna pułapka.

Na posterunku ciągnęli zapalki, żeby ustalić, kto pierwszy do niej zejdzie. Wygrali Lena i Paul, ale tylko dlatego, że to ona trzymała zapalki.

Furgonetka sunęła teraz w żółtym tempie. Z tyłu nie było okien, Lena mogła jednak dostrzec coś ponad głową kierowcy. Z jednej strony domu zobaczyła gęstwinę sosen. Na zdjęciach lotniczych widać było prostą przecinkę wiodącą do wiejskiej drogi, przez niecałe dwieście metrów biegnącą przez las. Jeśli zbiry zdecydowałyby się uciekać, powinny obrać ten kierunek, dlatego tamten odcinek drogi miały patrolować dwa radiowozy.

Furgonetka stanęła. Czerwone światelko nad ich głowami znowu zamrugowało i tym razem zgasło.

Lena włożyła nabój do magazynka strzelby. Raz jeszcze sprawdziła glocka. Reszta poszła w jej ślady, wszyscy skontrolowali broń. Kierowca, stary Kirk Davis, szeptem zawiadomił szefostwo przez radio, że przybyli na miejsce. Mobilne centrum dowodzenia znajdowało się na oddalonym o półtora kilometra parkingu przed Piggly Wiggly. Sądząc po jej dotychczasowych zagraniach, Denise Branson poczeka, aż ekipa Leny zabezpieczy dom, a potem podjedzie i przypisze sobie wszystkie zasługi.

Niech jej będzie.

Lenie też przypadnie moment chwały, kiedy powali Sida Wallera na ziemię, postawi mu nogę na karku i ściśnie solidnymi plastikowymi kajdankami jego grube nadgarstki. To była ostatnia rzecz, której pragnęła – i mogła – dokonać w swoim życiu. To pragnienie dawało jej siłę, by wstawać rano, a wieczorem kłaść się do pustego łóżka.

Lena położyła rękę na klamce, po czym odwróciła się do swoich

chłopaków i spojrzała każdemu w oczy, żeby mieć pewność, że są gotowi. Wszyscy kiwnęli głowami. Otworzyła drzwi furgonetki.

I rozpoczął się taniec.

Wyskoczyła pierwsza i szybkim truchtem ruszyła w stronę domu. Za sobą usłyszała tupot – dziewięciu chłopów uzbrojonych po zęby i gotowych rozplatać kilka głów. Biegając w stronę wiaty samochodowej, z całej siły przyciskała strzelbę do piersi. Glock obijał się o jej udo. Obrzuciła spojrzeniem las wokół domu, zarejestrowała walające się na ziemi śmieci, rozbite butelki i niedopałki papierosów.

Ekipa, która miała zabezpieczać budynek od zewnątrz, pobiegła zająć strategiczne pozycje. Resztę chłopaków Lena poprowadziła pod wiatę. Ustawili się parami. Paul Vickery dotykał jej ramienia swoim. Mrugnął do niej, jakby to była drobnostka, widziała jednak, że pod kamizelką jego pierś gwałtownie unosi się i opada. Z domu dobiegały śmiechy z jakiegoś programu telewizyjnego, po czym rozbrzmiała muzyka. *Jeffersonowie. Moving On Up.*

Lena włączyła stoper w swoim zegarku. Skinęła głową w stronę DeShawna i Mitcha, którzy trzymali taran, czekając na jej sygnał.

Zamachnęli się dwa razy, po czym wbili w drzwi trzydziestokilogramowy metalowy walec. Drewno pokruszyło się niczym szkło.

Lena wrzasnęła: „Policja!”, i wpadli do środka – z bronią gotową do strzału.

Spóźnili się jednak na imprezę.

Na żółtej sztruksowej kanapie siedziało przed telewizorem dwóch mężczyzn. Zdjęli koszule. Dżinsy opadły im na biodra. Jeden wsunął rękę do kieszeni. Drugi trzymał puszkę z piwem. Obaj mieli otwarte oczy. Rozchylone usta ukazywały braki w uzębieniu. Przed nimi, na zniszczonym stoliku do kawy, leżał cały rząd pistoletów.

Żaden z nich się nie poruszył i nigdy już tego nie zrobi. Będą tak siedzieli, aż zjawi się koroner i stwierdzi ich zgon.

Poderżnięto im gardła. Przez rozciętą skórę widać było białe wierzchołki kręgów wśród ciemnoczerwonych ścięgien szyi. Paul sprawdził im puls, chociaż nawet z odległości trzech metrów Lena mogła stwierdzić, że nie żyją

od wielu godzin. Skóra jak z wosku. Smród rozkładających się ciał. Jednym z zabitych był ten ćpun Elian Ramirez. Jego naga pierś była zapadnięta, żebra sterczały jak wykałaczki. Zabójca oszczędził mu kosztów przewlekłego samobójstwa za pomocą oksykodonu.

Paul sprawdził drugiego faceta, odchylając mu głowę, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Cholera! – zaklął.

Jego rozczarowanie było prawie namacalne.

Diego Nuñez. Prawa ręka Sida Wallera. Lena patrzyła, jak po jego gałce ocznej łązi mucha. Wywalony na wierzch fioletowoczarny język przywodził na myśl psa rasy czau-czau. Zgodnie z zeznaniami Diego także brutalnie wykorzystał siostrzenicę Sida Wallera, kiedy jego szef już z nią skończył. Siedział za kierownicą, gdy zastrzelili z samochodu tamtego dziesiętnastolatka, który był na tyle głupi, że stawiał się Wallerowi. Lena domyślała się także, że w ramach nagrody za wierną służbę Waller pozwolił mu się zabawić ze swoją siostrą. Kobieta została brutalnie zgwałcona i pobita, zanim poderżnięto jej gardło.

Morderca. Gwałciciel. Zbir. Umarł z piwem w ręku i wzrokiem wlepionym w telewizor.

– Cholera – powtórzył Paul.

Znalazł jeszcze jedno ciało. Za kanapą. Temu oszczędzono poderżnięcia gardła, za to brakowało mu kawałka głowy. Czyste cięcie w poprzek. Lena domyślała się, że winna była siekiera oparta o ścianę. Do krawędzi ostrza przylepiły się długie kosmyki włosów, kawałki skalpu i białych kości.

Eric Haigh zasłonił usta dłonią. Gdy biegł do wyjścia, wymiociny trysnęły mu między palcami. Jeśli chodziło o Lenę, mógł sobie biec w cholerę. Nie tolerowała słabości. A już na pewno nie zamierzała pozwolić, by jej ekipa została zaatakowana znienacka, gdy będą tu stali i się nad sobą rozczulali.

Pstryknęła palcami, chcąc zwrócić ich uwagę – ten stanowczy dźwięk przebił się przez refren wydobywający się z telewizora. Lena wskazała trzy trupy, po czym podniosła rękę, pokazując cztery palce. Obserwacja stwierdziła czterech facetów w domu. Muszą jeszcze znaleźć Sida Wallera.

Nie potrzebowali zachęty. DeShawn pilnował drzwi, żeby nie było

żadnych niespodzianek od tyłu. Mitch zajął miejsce Erica i wyszedł za Keithem na korytarz w głębi domu. Lena skierowała się do jadalni, Paul ruszył za nią.

Szli na mocno ugiętych nogach. Na podłodze leżało pełno śmieci – głównie puszki po piwie i opakowania po żarciu na wynos. Dywan zarósł brudem i przyklejał się do podeszew butów Leny, gdy zbliżała się do otwartych drzwi jadalni. Starła się stąpać lekko, pamiętając o piwnicy. Wyobraziła sobie Sida Wallera tam, na dole, z bronią wymierzoną w sufit, nasłuchującego odgłosów, by strzelić w ich kierunku.

Temat z *Jeffersonów* kończył się właśnie gospelową fanfarą. Lena ledwie go słyszała poprzez szum krwi huczącej jej w uszach, gdy stała przy wejściu do jadalni. Ramieniem dotykała ściany. Tynk, siatka podtynkowa, kilka wsporników. Łatwo byłoby ją przebić dziewięciomilimetrowym pociskiem parabellum, a Lena wiedziała na pewno, że to ulubiona amunicja Sida Wallera.

Paul dwa razy stuknął ją w nogę, dając sygnał do wejścia. Obróciła się w przysiadzie, wsparta o futrynę, i wymierzyła broń w stronę pokoju. W jadalni nie było stołu, tylko poplamiony krwią materac leżący na podłodze, wśród typowych dla narkomańskiej meliny odpadów. Fifki do cracku. Przypalona folia aluminiowa. Zużyte igły i strzykawki. Od ostrego octowego zapachu heroiny Lenę piekł nos. Po niedawnym deszczu zawalił się sufit. Na podłodze leżały kawały tynku. Parkiet był wypaczony, wywijał się jak burty kanu. Lena spojrzała w górę, chcąc zyskać pewność, że nikt nie ukrywa się na krokwiach.

Pokój był pusty. Przez wybite okno Lena zobaczyła jednego z detektywów stojących przed domem. Trzymał colta AR-15 na wysokości piersi i rozglądał się na boki, przechylając jak wahadło. Kręcąc głową, dał Lenie znak, że z domu nikt nie wyszedł.

Obejrzała się na Paula i wskazała kolejne drzwi. Były zamknięte. Za nimi znajdowały się kuchnia i schody do piwnicy.

Zgodnie z planem Paul ruszył pierwszy. Lena trzymała strzelbę wspartą na ramieniu i szła odwrócona, ubezpieczając tyły.

Mitch wrzasnął z sypialni:

– Czysto!

Lena postukała Paula w nogę, sygnalizując, że może wchodzić. Wykonał takie same ruchy jak wcześniej ona: kopnięciem otworzył drzwi i wymierzył glocka w głąb kuchni. Lena odwróciła się w jego stronę ze strzelbą.

Pusto.

Żadna z szafek nie miała drzwi. Pół sufitu się zawaliło. Druga połowa była poplamiona na ciemnobrązowo. Zlew został wyrwany. Tynk osypał się w miejscach, gdzie miedziane rury i kable wypruto ze ścian, żeby je sprzedać na złom. Smród z odsłoniętej rury odprowadzającej przyprawiał o mdłości. Paul wymierzył glocka w sufit, wypatrując ewentualnych kryjówek, po czym pokręcił głową na znak, że nie zauważył niczego podejrzanego.

Oboje spojrzeli na drzwi do piwnicy.

Tego się nie spodziewali.

Drzwi zabezpieczone były drewnianą blokadą, jaką można zobaczyć na wrotach obory. Belkę o przekroju pięć na dziesięć centymetrów umocowano na dwóch metalowych obejmach w kształcie litery U, które zostały przyśrubowane do framugi po obu stronach.

Paul rzucił Lenie pytające spojrzenie. Niemal słyszała jego myśli. Dużo rozmawiali o wejściu do piwnicy. We wszystkich scenariuszach zakładali dwie rzeczy: drzwi będą zamknięte na klucz, a po drugiej stronie będzie stał zbir z naładowaną bronią. Zgodnie z planem mieli przesunąć się oparci plecami o ścianę, kolbą strzelby wyłamać klamkę, zamek czy jakiegokolwiek inne zamknięcie, następnie szarpnięciem otworzyć drzwi i wskoczyć do piekła, które czekało na nich w dole.

Blokada zmieniała sytuację, ale może nie tak bardzo.

Lena stanęła z boku, przywierając plecami do ściany, i lufą strzelby próbowała podważyć drewno, było jednak mocno zaklinowane. Nie dało się wysunąć belki z metalowych obejm. Jedno z nich musiałyby dźwignąć ją obiema rękami, a wtedy stałoby się łatwym celem dla tego, kto być może stał po drugiej stronie drzwi.

Lena nie zastanawiała się długo. Rzuciła swoją strzelbę Paulowi. Złapał ją wolną ręką, po czym wycofał się, żeby osłaniać partnerkę.

Musiała zaprzeć się o blokadę ramieniem, przyklękając i pchając ją w górę. To cholerstwo utknęło na dobre. Ani drgnęło. Spróbowała znowu,

przysiadając na piętach i podnosząc się gwałtownym ruchem. Tym razem się udało. No, prawie. Belka wreszcie wysunęła się z obejm, Lena jednak zachwiała się, straciła równowagę i klapnęła na tyłek.

To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia.

Belka runęła z łomotem na podłogę. Lena miała wrażenie, że złamała sobie kość ogonową. Czuła także ostry, piekący ból czaszki w miejscu, gdzie wyrznęła głową o ostrą krawędź laminowanego kuchennego blatu. Jej hełm przesunął się do przodu, wgniatając okulary ochronne w grzbiet nosa. Dotknęła tyłu głowy. Włosy miała mokre. Spojrzała na swoje palce: krew.

Paul patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, jakby nie mógł pojąć, że spieprzyła coś tak prostego. Lena też nie mogła, ale nie było czasu na roztrząsanie tego. Dźwignęła się na nogi, nie spuszczać wzroku z zamkniętych drzwi. Próbowwała jakoś się otrząsnąć. Miała mgłę przed oczami. Wydawało jej się, że w nosie stuka jej metronom. Zdjęła okulary. Pękły na dwoje. Cisnęła je do jednej z otwartych szafek.

Z pomieszczenia obok dobiegł cichy gwizd: „Nie strzelać”. Do kuchni wszedł Keith. Za nim Mitch. Obaj byli potężni, bary mieli tak szerokie, że kuchnia zmniejszyła się do rozmiarów szafy.

Lena poczuła, że po karku spływa jej kropla potu. Sięgnęła, by ją zetrzeć. Miała lepkie palce. To nie był pot, lecz krew.

Paul przygryzał zębami czubek języka – zauważyła ten jego odruch już w pierwszym tygodniu wspólnej pracy. Oznaczało to, że się z nią nie zgadza i zamierza dać temu wyraz. Nie zdarzało się to często, a jeśli już, był stanowczy.

Otworzyła usta, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją, jednak Mitch i Keith w milczącym porozumieniu wyszli do przodu i wyjmując latarki, ustawili się po obu stronach drzwi. Wszyscy patrzyli na Lenę, ale tym razem dostrzegła w ich wzroku rozdrażnienie, a nie wyczekiwanie.

Chcąc nie chcąc, podeszła do zlewu i przyłożyła strzelbę do ramienia, żeby przynajmniej ich ubezpieczać. Śmiech z telewizora zdawał się z niej szydzić. Lena nie mogła rozróżnić słów, rozpoznała jednak grzmiący głos Weezy i piskliwą odpowiedź George'a.

Mitch otworzył drzwi do piwnicy. Nikt do niego nie strzelił, więc ruszył

schodami na dół, a Keith za nim. Paul stał na górze z glockiem skierowanym lufą w dół, na wypadek gdyby ktoś zdołał się przedostać przez połączoną masę ponad dwustu kilogramów glin.

I zaczęło się czekanie.

Tempo, w jakim płynął czas, radykalnie się zmieniło. Nawet cząsteczki powietrza unosiły się z inną częstotliwością.

Paul trwał bez ruchu. Pot kapał mu z dłoni, znacząc plamkami podłogę. Lena wstrzymała oddech, czekając na jakieś rozwiązanie – huk wystrzałów, krzyki. Liczyła w głowie sekundy. Pięć. Dziesięć. Jeszcze jeden wybuch śmiechu z telewizora. Znowu Weezy. I Lionel.

Dwadzieścia sekund. Paul nadal się nie ruszał. Stał niczym posąg.

Lena cichutko wypuściła powietrze. Odetchnęła głęboko.

Trzydzieści pięć sekund.

Czterdzieści.

Wreszcie Keith krzyknął:

– Czysto!

Paul opuścił ręce. Lena westchnęła, czuła, jak cała drży.

– Rozejrzyj się jeszcze raz – poleciła Paulowi, opierając strzelbę o blat, żeby zdjąć hełm. Z dołu dobiegła wiązanka przekleństw, lecz Lena na to nie zważała. Trzy trupy w domu, który był pod dwudziestoczterogodzinną obserwacją. Na tę poronioną akcję wydała milion dolców z pieniędzy wydziału. Rozbiła sobie głowę i posiniaczyła nos. Tyłek boli ją jak cholera. W głowie huczy. Tymczasem Sid Waller wyleguje się pewnie na jakiejś plaży, sącząc margaritę i zastanawiając się, za którą babką pójść dziś wieczorem do domu i ją zgwałcić.

Lena spojrzała na zegarek. Stoper nadal był włączony. Spędzili w tym domu cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy.

– Jasssna cholllera – mruknęła, przeciągając głoski. Popatrzyła na sufit. Na odkrytych krokwiach widać było białe cętki pleśni. Do dziury w asfaltowym gonce wciśnięto kłęb plastikowych worków. Usłyszała ciężkie kroki w pokoju obok – to reszta zespołu przyszła zobaczyć, co się stało.

Podniosła głos, żeby było ją słychać w całym domu:

– Zmywajmy się stąd najszybciej, jak się da! To czynne miejsce zbrodni!

– Branson już tu jedzie! – odkrzyknął DeShawn. – Koroner będzie za pół godziny.

– Super – mruknęła. – Zrobi się jeszcze weselej.

Paul zdjął hełm i przeciągnął ręką po mokrych od potu włosach.

– W porządku?

Lena pokręciła głową, zbyt wściekła, by cokolwiek mówić. Ta akcja miała wszystko zmienić. I to na lepsze. Cholera, jedyne, co jej zostało w życiu i jakoś funkcjonowało, to praca, a teraz udało jej się spieprzyć i to.

Rozpięła rzep przy kamizelce, żeby móc oddychać. Koszulka przylepiła jej się do pleców. Wiedziała, że całą szyję ma we krwi. Nie skończy się na Denise Branson. Szef będzie żądał wyjaśnień. Zjawi się całe dowództwo. Wydział Spraw Wewnętrznych. Lena będzie musiała zadzwonić do męża, by przywiózł jej ubranie na zmianę, żeby nie wyglądała jak łajza, kiedy będą ją maglować. Tyle że Jared nie odbiera telefonów od niej. I pewnie już w ogóle nie uważa się za jej męża.

Lena zakryła twarz dłońmi. Potrząsnęła głową. Musi wziąć się w garść. Nie może się teraz rozsypać.

– Poprę cię przed Branson – odezwał się Paul. – Co tylko zechcesz.

Opuściła ręce.

– Chcę wiedzieć, dlaczego te drzwi były zabarykadowane.

Paul zmarszczył czoło. Widziała, że wcale się nad tym nie zastanawiał.

– Mordujesz trzech koleśków i się zmywasz – ciągnęła. – Nie łazisz po domu. Nie barykadujesz piwnicy. – Wskazała otwarte drzwi. – Popatrz na krawędź tego drewna, ktoś wbił je w obejmę. – Lena otarła pot zalewający jej czoło. W tym domu było jak w piecu. – Niech to cholera. Branson pewnie zdegraduje mnie za to do patrolu.

– Będziecie z Jaredem mogli jeździć razem.

– Idź do diabła!

– Hej. – Paul odłożył glocka na kuchenny blat. Oparł dłoń na jej ramieniu, a potem dotknął twarzy. Uśmiechnął się do niej, chcąc ją jakoś pocieszyć.

Lena wyrwała mu się. Tupnęła w podłogę, żeby usłyszeli ją w piwnicy.

– Cabello? McVale? Co tam robicie tak długo?

– Znaleźliśmy forszę! – odkrzyknął Keith. – Jesteśmy bogaci!

– Dzięki Bogu. – Lena ruszyła w stronę piwnicy. – Proszę, niech to będzie milion dolarów. – Z konfiskaty narkotykowych pieniędzy przynajmniej opłacą te wszystkie nadgodziny. – Wyprowadź ludzi z domu – zwróciła się do Paula. – Powiedz technicznemu, że będą musieli przywieźć lampy. Chcę porozmawiać z koronerem, gdy już przyjedzie.

– Tak jest, szefie – odrzekł krótko i zasalutował.

Lena wyjęła z kieszeni spodni latarkę i ruszyła schodami do piwnicy. Na dole rozejrzała się za włącznikiem światła. Skrzynka elektryczna była otwarta. Widziała stare bezpieczniki korkowe wkręcone w otwory. Wcisnęła kilka z nich, bez efektu.

Zgodnie z przewidywaniami piwnicę podzielono na maleńkie klitki. Snopem światła latarki omiotła wypaczoną tanią boazerię i porozrywane worki ze śmieciami, zrzucane tu z góry. Przestrzeń pod schodami była niezabudowana i pusta, jeśli nie liczyć kolejnych śmieci. Nie było korytarza, tylko szereg otwartych drzwi, z jednego pomieszczenia przechodziło się do następnego. W sumie cztery pary drzwi, a więc pięć pomieszczeń, licząc to, w którym stała.

W głębi dostrzegła nikły blask, pewnie Keith i Mitch liczyli forszę. Lena miała mgłę przed oczami. Przyłożyła rękę do tyłu głowy, powstrzymując wiązanek przekleństw. Krew płynęła równym strumieniem. Rana będzie pewnie wymagała szycia. Ból rozrywał jej czaszkę. Chyba ma złamany nos. Ten dzień to jedno długie pasmo upokorzeń. Jediną szansą na uratowanie tej operacji jest znalezienie stosu studolarowych banknotów sięgającego sufitu.

Otworzyła usta, żeby zawołać chłopaków, ale coś ją powstrzymało. Szósty zmysł. Intuicja gliny. Nie było słycać żadnych głosów. Keith i Mitch nie byli w stanie się wysrać, żeby nie opowiadać o tym wszystkim naokoło. Znaleźli stos pieniędzy i nie żartują na temat tego, jak zamierzają je wydać?

Coś jest nie tak.

Lena zacisnęła dłoń na glocku. Wyłączyła latarkę i poczekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności.

Wyteżyła słuch, żeby wychwycić jakiś dźwięk, starając się nie słyszeć

odgłosów dobiegających z góry.

Nic.

Przeszła do kolejnego pomieszczenia. Chociaż stąpała ostrożnie, nie sposób było poruszać się bezszelestnie. Na podłodze leżało za dużo śmieci – pustych puszek po piwie, szklanych fifek do cracku, folii aluminiowej. Wykładzina pod podeszwami jej butów była gruba i mokra. Ciasna przestrzeń wzmacniała każdy dźwięk. Równie dobrze mogła zacząć śpiewać.

Nie.

Tak naprawdę powinna wrócić na górę po wsparcie. Nigdy nie wchodzi się samemu do żadnego pomieszczenia. Zawsze działają w parach. Lena łamała własną kardynalną zasadę.

Tyle że już klapnęła na tyłek, rozbiła sobie głowę i wydała fortunę na to, żeby złapać trzech umarłaków i zabezpieczyć miejsce zbrodni, w którym pewnie znajdą więcej DNA niż w toalecie przy parkingu dla tirów. Nie zamierzała ryzykować tych nędznych resztek swojej reputacji z powodu złych przeczuć.

Mimo to wymacała pasek kamizelki kuloodpornej i zaciągnęła go mocno w talii. Posuwała się do przodu na ugiętych kolanach, żeby środek ciężkości mieć nisko, na wypadek gdyby musiała rzucić się na ziemię albo odeprzeć atak napastnika. Im bliżej była następnego pomieszczenia, tym większą miała pewność, że coś poszło dramatycznie nie tak.

Siedem metrów. Pięć. Lena znajdowała się w odległości mniej więcej trzech metrów, kiedy zobaczyła czubek buta. Z czarnej skóry. Ze stalowym okuciem na nosku. Takiego samego jak te, które miała na nogach, tylko o trzy numery większego.

I ten czubek zwrócony był w kierunku sufitu.

Lena zamarła. Zamrugła. Zaczęła widzieć podwójnie. Wokół kołnierza kamizelki zbierała się krew. Usta miała suche jak pieprz.

Zrobiła jeszcze jeden krok. Ledwie widziała podłogę przed sobą. Snopy światła z latarek w ostatnim pomieszczeniu skierowane były każdy w inną stronę: jeden na drzwi, drugi na ścianę. Naprzeciwko drzwi leżała walizka. Pieniądze wysypały się na podłogę. Setki, tak jak się modliła.

Lena wzięła glocka w obie ręce. Już się nie pociła. W ogóle nie czuła

strachu. Wszystkie myśli zniknęły. Liczyła swoje kroki – raz, potem dwa i już była w ostatnim pomieszczeniu i mierzyła z rewolweru do Sida Wallera.

Mocnym chwytem zgiętej ręki trzymał Keitha za szyję, drugą przyciskał mu do karku lufę sig sauera dziewięć milimetrów. Mitch leżał na plecach. Miał rozciętą skórę głowy. Krew zalewała mu twarz.

Z chwilą, gdy w akademii dają ci broń do ręki, uczą cię, żeby zawsze opierać palec na osłonie spustu, nigdy na samym spuście. Dzięki temu twój mózg ma kilka milisekund więcej na to, by przeanalizować sytuację, stwierdzić, czy celujesz do przyjaciela, czy do wroga. Nigdy nie umieszcza się palca na spuście, o ile nie jest się gotowym do kogoś strzelić.

Lena położyła palec na spuście.

– Cofnij się – rozkazał Sid Waller.

Lena pokręciła głową.

– Nie.

Waller teatralnym gestem zacieśnił uścisk na rękojeści siga.

– Chcę samochód. I wolną drogę.

– Niczego nie dostaniesz. – Keith wytrzeszczył oczy, gdy Lena podeszła jeszcze krok bliżej. – Puść go.

– Sprowadź negocjatora.

– Ja jestem twoim negocjatorem – oznajmiła. – Puść go albo zginiesz.

– Cofnij się. – Waller mocniej wbił lufę w kark Keitha. – Zrobię to.

– To zrób. – Jeszcze jeden krok. Do diabła, mowy nie ma, żeby pozwoliła mu wyprowadzić Keitha z piwnicy. – Zabijesz go tak czy owak. Zrób to teraz, żebym ja mogła zabić ciebie.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Dostrzegła popłoch w oczach Wallera. Nie po raz pierwszy toczył z Leną pojedynek na spojrzenia, ale nigdy wcześniej nie mierzyła mu przy tym w głowę z broni palnej.

– Jesteś, kurwa, walnięta.

– Masz, kurwa, rację. – Lena zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę.

Była odrętwiała, zupełnie jakby patrzyła na tę scenę z boku. Inna kobieta trzymała jej glocka. Inna kobieta mierzyła wzrokiem tego mordercę, tego gwałciciela dzieci. – Odłóż broń.

Z piersi Keitha wyrwał się szloch.

– Proszę... – wyszeptał.

Waller skierował sigę w stronę Leny.

– W takim razie zabiję ciebie. Co ty na to?

Spojrzała w ciemną nicość lufy.

– Sprawdź, czy uda ci się pokonać te schody.

– Cofnij się, kurwa! – wrzasnął Waller. Ślina tryskała mu z ust. – Zrobię to!

– To zrób. – Lenę dzieliło od niego niecałe pół metra.

– Zrobię!

– Śmiało! – wrzasnęła. – Pociągnij za spust, pieprzony mięczaku!

Dłoń Wallera poruszyła się błyskawicznie. Właściwie niedostrzegalnie. W jednej sekundzie mierzył z sigę w Lenę, w drugiej miał lufę przytkniętą do głowy. Szarpnął palcem. Błysnęło i pół jego głowy eksplodowało.

– Jezu Chryste! – Keith ścierał kawałki czaszki i mózgu, które obryzgały mu szyję. – Chryste! – Odskoczył gwałtownie od Wallera i poślizgnął się na mokrej wykładzinie.

Lena odparła się ręką o ścianę. Opadło z niej całe napięcie.

– Sprawdź, co z Mitchem.

– Kurwa! – Keith dźwignął się na nogi i zataczając się, wyszedł z pomieszczenia. – Jezu!

– Lee? – Paul zbiegał po schodach, w jego głosie słychać było panikę.

– Wezwij sanitariuszy! – krzyknęła Lena. Uklękła obok Mitcha, chcąc mieć pewność, że on wie, że jest przy nim. – Spokojnie – zdołała wykrztusić. – Wezwiemy pomoc.

Mitch zakaszłał. Jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała. Spojrzenie miał równie błędne jak Keith.

– Co do... – Paul rozejrzał się wstrząśnięty. Nie dokończył, tylko wykopał

Wallerowi broń z ręki, zupełnie jakby facet z odstrzeloną połową głowy nadal stanowił zagrożenie.

Z drugiego końca piwnicy dobiegł głos DeShawna:

– Żyjecie tam?

– Żyjemy. Zostań, gdzie jesteś. – Lena przysiadła na piętach i schowała glocka do kabury. Zwróciła się do Paula: – Waller strzelił sobie w głowę.

– Co ty powiesz? – mruknął Paul. – Mitch? Jak...

– Zabierzcie mnie stąd. – Mitch palcami dotykał skóry zdartej z czaszki. Wpatrywał się w Lenę. Nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego twarzy. To, co się na niej malowało, mogło być zarówno przerażeniem, jak i podziwem. Nadal nie była pewna, kiedy powiedział: – Masz, kurwa, skłonności samobójcze.

– No już. – Paul przykrył czaszkę Mitcha płatem skóry, jakby to był kawałek materiału. – Dasz radę wstać?

Mitch spróbował, ale Paul musiał go właściwie dźwignąć z podłogi.

– Branson będzie tu za pięć minut – poinformował Lenę.

Lena poczuła, że coś łaskocze ją w szyję. Strzepnęła grudkę mózgu Sida Wallera. Z drugiego końca piwnicy zbliżały się światła latarek. Lena domyśliła się, że większość zespołu zeszła na dół, kiedy usłyszeli wystrzał.

– Jezu Chryste, wynoście się stąd! – krzyknęła. – Czy naprawdę muszę wam przypominać, że to przecież miejsce zbrodni?

Rozległy się pomruki protestów, ale nikt nie zakwestionował jej rozkazu.

– Wydział Spraw Wewnętrznych dobierze nam się do tyłków – odezwał się Paul.

Lena nie odpowiedziała. Działania wydziału nie były jej obce.

– Pogadam z Keithem, upewnię się, czy jest z nami. – Paul zarzucił sobie rękę Mitcha na plecy. – Przygotowałaś zeznania? – zapytał Lenę.

– Po prostu zaprowadź Mitcha na górę.

Paul właściwie niósł Mitcha, idąc chwiejnie w stronę schodów. Wspinaczka po nich byłaby trudna, ale paru chłopaków najwyraźniej nie posłuchało rozkazu Leny i zostało w piwnicy, żeby pomóc Paulowi wynieść kolegę. Usłyszała, jak drepczą niezdarnie przez kuchnię, aż wreszcie wyszli.

Zapadła cisza. Drewno skrzypiało, wyginając się wraz ze wzrostem temperatury. Słońce szybko wschodziło. Przez szpary w deskach, którymi zabito okna, przenikała odrobina światła.

Cała energia Leny się wyczerpała. Wciąż widziała niewyraźnie. Miała wrażenie, że pomieszczenie się przechyliło. Ogarnęło ją poczucie wyobcowania. I samotności. Pragnęła Jareda. Chciała, żeby przybiegł tu do niej i otoczył ją ramionami. Jeśli myślała o tym wystarczająco intensywnie, mogła niemal poczuć, jak gładzi ją po plecach, i usłyszeć jego kojący głos.

Otarła łzy. Dlaczego tak bardzo tęskniła za Jaredem, gdy nie było go przy niej, ale za każdym razem, gdy stał obok, myślała tylko o tym, żeby sobie poszedł?

Spuściła wzrok. Nieświadomie położyła dłoń na brzuchu, przyciskając ją mocno.

Potrząsnęła głową i spróbowała się skupić, bo Paul miał rację co do jednego: gdy tylko Branson zlezie na dół, będzie chciała usłyszeć spójną relację. Zostało zabitych trzech mężczyzn, podczas gdy gliny obserwowały dom z furgonetki zaparkowanej w odległości niecałych pięciuset metrów. Keith pewnie nadal sra w gacie po tym, jak miał broń przyciśniętą do karku. Mitch o mało nie został oskalpowany. Sid Waller zginął z własnej ręki.

Co Lena mogła powiedzieć? Że w głębi duszy miała nadzieję, że Sid Waller ją zabije? Że wszystkim tak czy inaczej obecnym w jej życiu wyszłoby to na dobre?

Nie. Powie Branson, że postępowała zgodnie z tym, czego ją nauczono. Nigdy nie zostawia się zakładnika z szaleńcem. Nie pozwala im się przenieść w inne miejsce. Strzela się, kiedy tylko nadarza się okazja.

Albo pozwala się strzelić przestępcy.

Skierowała światło latarki na Sida Wallera. Miał otwarte usta. Widziała tytanową koronkę na przednim zębie. Miał na niej wytrawioną trupią czaszkę z pieszczelami. Lena widziała ją na przesłuchaniach tyle razy, że mogłaby ją narysować. Waller siadał przy stole z szeroko rozstawionymi nogami, jakby jego jaja potrzebowały dodatkowego miejsca. Prawie nie patrzył na Lenę, a jeśli już, robił to z takim obrzydzeniem, że czuła się zbrukana przez samo to, że znalazła się w jego pobliżu. Nawet w obecności adwokata szydził

z niej, pluł na nią, wyzywał od głupich cip. Doprowadzał tym Paula do szału, jednak Lena puszczała to mimo uszu. Waller chciał ją sprowokować. Liczył na to, że rzuci się na niego, by mógł śmiać jej się w twarz. Nie trzeba było geniusza, żeby rozpoznać faceta, który nienawidzi kobiet. Skurwiel wolał się zabić niż zostać aresztowanym przez jedną z nich.

Wycelowała strumień światła w lśniąca, moką dziurę z boku głowy Wallera.

Wedle życzenia.

Lena odwróciła się od trupa, oświetlając walizkę. Myliła się co do jej zawartości – było w niej więcej pięćdziesiątek niż stów. W sumie może pół miliona dolarów. Denise Branson znów będzie musiała obwiesić się wszystkimi swoimi wstęgami i odznaczeniami do zdjęcia w gazecie. To, że bandzior przechytrył dwóch doświadczonych gliniarzy, zostanie pominięte w relacji.

Lena chciała to jednak wyjaśnić. Mitch i Keith byli na to za dobrzy. Przynajmniej tak sądziła. Omiotła pomieszczenie latarką, usiłując dociec, co tu zaszło. W jednym miejscu kawałek boazerii zwisał krzywo. Wyciągnęła szyję, żeby za niego zajrzeć. Schowek Wallera. Przy fundamentach wykopano w ziemi dziurę. Keith i Mitch, niczym szczury w pułapce, popędzili prosto do pieniędzy, a Sid Waller wyskoczył zza ściany i unieszkodliwił obu, zanim zdążyli pisnąć.

Najpierw Mitch – pewnie został zderzony w łeb lufą sigi. A Keith, zanim się zorientował, miał tę samą lufę przystawioną do szyi. To o wiele bardziej przerażające niż perspektywa strzału w głowę. Jeśli zostaniesz postrzelony w szyję, możesz przeżyć. Pewnie nigdy już nie będziesz chodzić, będziesz oddychać przez rurkę albo sikać do woreczka do końca swoich dni, ale przeżyjesz.

Ktoś był na schodach. Lena czekała, aż Denise Branson przejdzie przez zarośniętą brudem, zaśmieconą piwnicę.

– Adams? Co tu się stało, u diabła?! – wykrzyknęła. – Będziesz, cholera, miała szczęście, jeśli naczelnik Gray cię za to nie zdegraduje.

Lena słyszała już tę groźbę, i to od osób znacznie straszniejszych niż Denise Branson.

– Waller wziął Keitha jako zakładnika – wyjaśniła. – Wymierzył we mnie broń. Ja wymierzyłam swoją w niego. Dokonał wyboru.

Denise skrzywiła się na widok zwłok Wallera. Wydawała się tak wściekła, że gotowa była splunąć.

– I kto twoim zdaniem wyda nam teraz Wielkiego Białasa?

Lena miała już powyżej uszu tej cholernej ksywy.

– Denise, szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi.

– Lepiej, żebyś zmieniła nastawienie, zanim...

Urwała.

Rozległ się jakiś dźwięk. Obie go usłyszały. Dochodził z kryjówki Wallera. Za tą ścianą było coś jeszcze.

W ręku Leny znalazł się glock. Nawet nie pamiętała, że go wyjęła.

Denise poruszała się wolniej. Cofnęła się, również wyjęła broń.

Znowu ten dźwięk. Lena przesunęła się w prawo, świecąc latarką i próbując dojrzeć coś za boazerią. Podobnie jak przedtem, przywarła ramieniem do ściany. Uklękła, żeby oświetlić dziurę pod innym kątem. Z lewej strony była całkowicie zasłonięta. Lena widziała jedynie czarną moką ziemię i brudną, zwiniętą w kulkę sportową skarpetkę.

Wstała. Obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Zgodnie z przewidywaniem Leny Denise skinęła głową, dając jej znak, żeby przejęła inicjatywę.

Lena czekała, aż wróci odrętwienie i włączy się autopilot. Na próżno. Wcześniejsza brawura całkiem z niej wyparowała. Jej ciało ani drgnęło. Pięć minut temu gotowa była zginąć, ale teraz, gdy znów nadarzyła się okazja, odkryła w sobie opór.

Denise syknęła przez zęby. Lena odwróciła się w jej stronę. Pani major czekała, lufę broni skierowała w dół, palec oparła na osłonie cyngla. Oczy miała wytrzeszczone, rozchylone usta odsłaniały zęby.

Lena znów się odwróciła. Spojrzała na brudną wilgotną skarpetkę, na ciemną dziurę, z której wypełznął Sid Waller.

Dźwięk rozległ się znowu.

Dość rozmyślań.

Lena odchyliła naderwaną boazerię.

5.

Sara była w Macon tylko parę razy, ale zawsze miała wrażenie, że to miasto wiecznie trwa w zawieszeniu pomiędzy postępową stolicą stanu, odległą o niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów, a mniejszymi, bardziej konserwatywnymi miejscowościami, stanowiącymi większość stanu. Mieszkańcy Atlanty przeważnie nie zaprzęтали sobie głowy Macon, natomiast tam wszystko wydawało się nastawione na to, by zrobić wrażenie na bogatszej sąsiadce.

Szpital w Macon był doskonałym przykładem tych bezustannych starań. Wjeżdżając na świeżo wybrukowany parking, Sara nie mogła nie dostrzec różnicy skali pomiędzy strzelistym monolitem Grady a trzema ceglanyimi budynkami o ozdobnej architekturze, tworzącymi znacznie mniejszy okręgowy kompleks medyczny. Aż do początku lat sześćdziesiątych w Grady obowiązywał podział na dwa oddziały – jeden dla czarnych, drugi dla białych. Podobnie jak na wielu innych obszarach współczesnego Południa, w Macon pojawił się inny rodzaj segregacji. Nie dotyczył już rasy, lecz klasy. Wszyscy byli mile widziani, o ile mieli pieniądze, by zapłacić za wstęp.

Sara nie zorientowała się, że dojechała do końca parkingu, dopóki nie zobaczyła znaku wyjazdu. Stała pod jakimiś drzewami. Przez kilka minut po prostu siedziała w samochodzie, zastanawiając się, co dalej. Następnie kontrolę przejął jej mózg i kazał ręce otworzyć drzwi, stopom stanąć na asfalcie, a nogom iść w stronę szpitala. Ogromna fontanna pośrodku okręgowego podjazdu rozpylała wilgotną mgiełkę. Rytmiczny chłupot wody miał prawdopodobnie działać uspokajająco, ale tylko jeszcze bardziej wyprowadził Sarę z równowagi.

Podchodząc do frontowych drzwi głównego budynku, miała wrażenie, że cofnęła się w czasie – nie o dekady, lecz o kilka lat. Znowu znalazła się w Grant County w dniu, w którym zamordowano jej męża. Ciało Sary poczuło to, zanim jej mózg skojarzył fakty. Pewnie z powodu tych

wszystkich policjantów, morza granatu zalewającego parking, główne wejście i hol.

Na ich widok Sara poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny ściskający serce. Zaczęło jej przenikliwie dzwonić w uszach. Rozboliła ją głowa. Mięśnie drgały. Zupełnie jakby wszystkie sznurki łączące jej ciało nagle się napięły.

Chociaż może to nie była adrenalina. Może to był gniew, ponieważ w momencie gdy Sara weszła do szpitala, czuła taką złość, że z trudem się poruszała.

Nie, nie czuła jedynie złości. Była wściekła.

Wściekła, że musi tu być. Wściekła, że nie jest w domu, gdzie mogłaby w tej chwili brać prysznic, jeść śniadanie, wyprowadzać psy na spacer albo położyć się do łóżka i wieść swoje normalne życie. Wściekła, że znowu dała się złapać w kolejną zabójczą sieć Leny Adams.

Jeśli te sznurki się napięły, to dlatego że pociągnęła za nie Lena.

Ta wściekłość zaczęła narastać z wolna jeszcze na oddziale urazowym Grady, w chwili gdy Sara skończyła rozmawiać z Nell. Słyszała jej pomruk w tle, niczym piosenkę, której słów nie pamiętała. Zadzwoiła do Willa. Spakowała ubranie na zmianę i przybory toaletowe, które trzymała w szpitalu. Porozumiała się z osobą opiekującą się psami, z ordynatorem, ze swoimi studentami. Zatankowała samochód. Wyjeżdżając z miasta, odrobinę przekraczała dozwoloną prędkość. Jared jej potrzebował. Nell jej potrzebowała. To właśnie powodowało Sarą. Tylko to się liczyło. Była zobowiązana służyć im wsparciem. Była to winna Jeffreyowi. Była to winna Jaredowi i Nell.

Jednak w połowie drogi do Macon piosenka rozbrzmiała głośniejsze i mózg Sary zaczął dodawać słowa do melodii.

Jeffrey. Partner Leny. Mąż Sary.

Życie Sary.

Trzymała go w ramionach, kiedy umierał. Ostatni raz przeczesywała palcami jego gęste włosy. Ostatni raz dotknęła szorstkiej skóry na jego policzku. Przyłożyła wargi do jego ust i poczuła ostatnie nierówne oddechy. Błagała, żeby jej nie opuszczał, chociaż widziała, jak życie powoli uchodzi

z jego pięknych oczu.

Sara pragnęła odejść wraz z nim. Ból po stracie męża pozbawił jej życie sensu, oderwał ją od wszystkiego, co miało jakiegokolwiek znaczenie. Mijały tygodnie, miesiące, a ból, zamiast słabnąć, uparcie narastał. Wreszcie zażyła za dużo tabletek. Powiedziała matce, że przez pomyłkę, ale to nie była pomyłka. Chciała umrzeć, a kiedy okazało się, że plan się nie powiódł, jedyne, co mogła zrobić, to zacząć wszystko od początku.

Zostawiła rodzinę, dom, całe dotychczasowe życie i przeprowadziła się do Atlanty. Kupiła mieszkanie w niczym nieprzypominające domu, który dzieliła z Jeffreyem. Sprawiała sobie meble, które jemu by się nie podobały, zaczęła nosić ubrania, których on nigdy by się po niej nie spodziewał. Podjęła nawet pracę, w jakiej Jeffrey nigdy jej nie widział. Zbudowała sobie nowe życie, które działało bez niego.

I wtedy poznała Willa.

Will.

Dźwięk jego imienia w jej głowie złagodził trochę furję, która nią targiała. Sara tak bardzo chciała być teraz z nim, że o mało nie zawróciła. Wyobraziła sobie, że wsiada do samochodu, kieruje się w stronę autostrady i wraca do Atlanty.

W szafie Sary wisiała obcisła czerwona sukienka. Włożyłaby ją, a do tego te straszliwie wysokie obcasy, na których widok Will zawsze się oblizywał. Wyszczotkowałaby włosy i je rozpuściła, żeby opadały na ramiona, tak jak lubił. Podkreśliłaby oczy ciemną kredką i nałożyła kilka warstw tuszu do rzęs. Skropiłaby się perfumami wszędzie tam, gdzie chciałaby, żeby ją całował. I gdy tylko wszedłby do domu, powiedziałaby mu, że jest w nim głęboko i nieodwołalnie zakochana. Nigdy wcześniej mu tego nie powiedziała. Jakoś nigdy czas nie był właściwy.

Czas.

Ostre, przerażające wspomnienie wyrwało Sarę z zamyślenia. Była w swoim starym domu i stała przed kominkiem. W co była ubrana? Nie musiała się długo zastanawiać. Miała na sobie tę samą czarną sukienkę, którą włożyła na pogrzeb męża. Minęło wiele dni, zanim matka zdołała nakłonić Sarę, by ją zdjęła, wykąpała się i przebrała w coś, co nie kojarzy się ze śmiercią Jeffreya.

Sara jednak nadal obsesyjnie podchodziła do kominka. Nie mogła oderwać wzroku od zegara z wiśniowego drewna stojącego na gzymsie. Był to piękny stary przedmiot, prezent ślubny dla babki Sary, który Sara odziedziczyła, podobnie jak zegarek na rękę. Jakoś nigdy nie zastanawiała się nad tym, że dostała w spadku aż dwa czasomierze. Z tamtych dni po pogrzebie najlepiej pamiętała wpatrywanie się w dłuższą wskazówkę zegara, śledzenie jej ruchu i słuchanie głośnego tykania mechanizmu oznaczającego, że czas płynie.

Zatrzymała zegar. Zegarek na rękę schowała do szuflady. Wyszarpnęła z kontaktu wtyczkę budzika stojącego przy łóżku – ich wspólnym łóżku, w którym nie mogła już spać. W warsztacie Jeffreya znalazła taśmę izolacyjną i zakleiła nią zegary na mikrofalówce, piekarniku, dekodерze od kablówki. To stało się jej obsesją. Nikt nie mógł wejść do domu z zegarkiem na rękę. Nikomu nie wolno było komentować upływu czasu. Wszystko, co przypominało Sarze, że życie toczy się bez Jeffreya, musiało zostać schowane.

– Pani Tolliver?

Zatrzymała się. Stała nieruchomo jak skała na samym środku szpitalnego holu, jakby trafił w nią piorun.

– Pani Tolliver? – powtórzył mężczyzna. Starszy pan z bujną białosiwą czupryną i starannie przystrzyżonymi wąsami.

Tak jak po odebraniu telefonu Nell, pamięć Sary potrzebowała kilku sekund, żeby zaczerpnąć informacje z jej przeszłości.

– Naczelnik Gray – powiedziała wreszcie.

Uśmiechnął się do niej ciepło, chociaż w jego wzroku dostrzegła znajomą rezerwę. Sara nazywała to wdowim spojrzeniem – nie chodziło o sposób, w jaki patrzy wdowa, lecz w jaki inni patrzą na nią. W tym spojrzeniu można było wyczytać, że patrzący nie bardzo wie, co powiedzieć, ponieważ w głębi duszy cieszy się, że to nie jemu albo jej przytrafiło się takie nieszczęście.

Wyciągnął do niej rękę.

– Lonnie.

– Sara. – Ucisnęła jego dłoń, która wydała jej się mocna i krzepka, jak każda męska dłoń. Lonnie Gray był gliniarzem starej daty, z tych, którzy

nigdy tak naprawdę nie odchodzą z pracy. Nawet na emeryturze zajmował się konsultacjami, jeżdżąc po całym stanie i pomagając w rozwoju różnym agencjom egzekwowania prawa. Sara nie widziała go od pogrzebu. W każdym razie tak jej się wydawało. Podczas uroczystości pogrzebowej była na silnych prochach, tak że jedyne wspomnienia, jakie miała z tamtego dnia, to te, które zaszczepliły jej matka i siostra.

– Nie wiedziałam, że urzęduje pan teraz w Macon – odezwała się.

– Te wszystkie konsultacje okazały się jeszcze nudniejsze, niż można się było spodziewać. Tęskniłem za byciem dobrodusznym dyktatorem. – Gray się uśmiechnął, chociaż oboje wiedzieli, że za tym żartem kryje się prawda. Mimo iż wyglądał jak dobrotliwy dziadunio, Sara nie potrafiła wyobrazić sobie, że udziela rad, do których nikt nie ma obowiązku się zastosować.

– Macon ma szczęście, że pan tu jest – powiedziała.

– Cóż mogę powiedzieć? Cieszę się, że nie zostało to poddane pod głosowanie. – Zerknął na dłoń Sary, pewnie po to, żeby sprawdzić, czy wyszła powtórnie za męża. – Słyszałem, że mieszka pani teraz w Atlancie.

– Tak. Wciąż spotykamy się w nieprzyjemnych okolicznościach. – Sara postanowiła potwierdzić oczywisty fakt.

– Istotnie. – Wydawało się, że Gray jest jej wdzięczny za szczerość. – Stan Jareda jest w tej chwili stabilny. Lekarze dobrze się nim zajmują.

Na tym polu Sara czuła się swobodniej, co przyjęła z ulgą.

– Czy mogę spytać, dlaczego nie został przewieziony do Stanowego Centrum Medycznego, znacznie lepiej przygotowanego do leczenia ran postrzałowych niż Macon General?

Naczelnik Gray uchylił się od odpowiedzi.

– Przepraszam. Nazwałem panią „panią Tolliver”. A pani jest lekarką, prawda?

– Tak. – Sara mogła się jedynie domyślać, dlaczego nie odpowiedział na jej pytanie. Załoga karetki z pewnością liczyła sekundy, nie minuty. Obrażenia Jareda wymagały przewiezienia go na najbliższy oddział urazowy.

– Może być pani pewna, że dowiemy się, kto to zrobił pani pasierbowi. – Gray skinął z godnością głową, jakby chciał przypomnieć Sarze, że oni zawsze dopadną złoczyńcę. Dla niektórych to było tak irytująco czarno-białe.

Sądziła, że zemsta przynosi ulgę, a ona tylko podsyciała cierpienie.

– Brakowało nam Jeffreya przez tych ostatnich kilka lat – ciągnął Gray. – Jego wiedza i umiejętności przydałyby nam się również w tym śledztwie.

Sara знаła już odpowiedź, a mimo to spytała:

– Wezwał pan na pomoc służby stanowe?

– Dodatkowa pomoc nigdy nie zaszkodzi.

To nie była dyplomacja. Lonnie Gray był takim samym naczelnikiem jak swego czasu Jeffrey. Nie zależało im na chwale. Chcieli po prostu, żeby źli ludzie zostali złapani, a dobrzy mogli spokojnie wracać wieczorami do domów.

– Jestem pewna, że odkryjecie, dlaczego do tego doszło – rzekła Sara.

– Ja również, doktor Tolliver. Proszę to potraktować jako obietnicę. – Powiedział to wyćwiczonym tonem, którego zapewne używał zawsze, gdy wzywały go obowiązki. – Jared to dobry chłopak. Chciałbym mieć jeszcze z pięćdziesięciu takich jak on. A detektyw Adams jest wspaniałym dodatkiem do naszej drużyny. Postaramy się, żeby oboje jak najszybciej stanęli na nogi. Pani wie, że dbamy o naszych ludzi.

Sara próbowała wymyślić jakąś stosowną odpowiedź, lecz Lonnie Gray najwyraźniej wcale jej nie oczekiwał. Wyglądał na równie wyczerpanego jak ona. Wiele razy widywała Jeffreya w podobnych okolicznościach. Był przygarbiony, jakby ugiął się pod ciężarem spoczywających na nim obowiązków. Twarz miał ściągniętą. Pilnowanie porządku było jego pracą, ale mało kto trwał w tym zawodzie na tyle długo, by zostać naczelnikiem, o ile nie czuł prawdziwego powołania.

Sara podążyła wzrokiem za spojrzeniem Graya. Lustrował swoich oficerów. Starła się nie katalogować podobieństw z sytuacją sprzed pięciu lat. Plastry z opatrunkiem na ich przedramionach po tym, jak wszyscy oddali krew. Sposób, w jaki z nudów skubali brzegi styropianowych kubków z kawą. Wyczekujące spojrzenia, jakimi obrzucali każdego nowo przybyłego.

– Niedawno zmarł mój syn – powiedział Lonnie Gray.

Sara nie wiedziała, że miał syna.

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. – Wydawał się zrezygnowany. – Na pewno pani wie, że ból nigdy całkiem nie mija.

Sara znów skinęła głową. W gardle miała gulę, której nie mogła przełknąć.

– Powinnam już iść.

– Odprowadzę panią.

– Nie – zaprotestowała gwałtownie, niemal mu przerywając. – Dziękuję, dam sobie radę. Proszę zostać ze swoimi ludźmi.

Wydawało się, że przyjął to z ulgą.

– Matka jest na górze. Mam wrażenie, że niezbyt się lubią z moją panią detektyw. Może mogłaby pani...

Pomimo okoliczności Sara poczuła, że jej wargi rozciągają się w uśmiechu. Mówił do niej tak, jak mówiłby do każdej żony starszego oficera. Wyobrażała sobie, że podobnie jest w wojsku, a także w każdym innym zdominowanym przez mężczyzn zawodzie, gdzie od kobiet oczekuje się, że będą strzegły domowego ogniska, podczas gdy mężczyźni wyruszą na podbój świata.

– Nie jestem pewna, czy to moje miejsce – wyznała.

– Adams była partnerką pani męża.

– To prawda. – Sara domyśliła się, że Gray nie zna ich skomplikowanej przeszłości. – Naprawdę muszę iść – dodała po chwili milczenia. – Nell na mnie czeka.

– Dziękuję. – Ujął jej dłoń w obie ręce. – I proszę pamiętać, gdybym mógł coś dla pani zrobić, wystarczy, że się pani do mnie zwróci.

Sara mogła tylko jeszcze raz skinąć głową i chyba takiej właśnie reakcji oczekiwał naczelnik Gray. Przed odejściem dotknął jej łokcia. Sara patrzyła, jak podchodzi do jednego z detektywów. Swobodnie stojący mężczyzna natychmiast przybrał wojskową postawę. Skinął Sarze głową ze znajomym, przesadnym szacunkiem, do którego zdążyła przywyknąć i który okazywali jej wszyscy funkcjonariusze, gdy dowiadywali się, że jest wdową po policjancie.

Sara również odpowiedziała skinieniem, myśląc o tym, że takie

traktowanie było krzepiące do czasu, potem zaczęło ją przytłaczać. Nie chciała być postacią tragiczną. Przez lata zmagala się z tym piętnem w Grady, gdzie na ogół pod co trzecią salą stał policjant. Co dziwne, dopiero gdy zaczęła spotykać się z Willem, ludzie pozwolili jej zejść z piedestału.

Nie miała ochoty znowu nań się wspinać.

Podążała za zielonym paskiem na podłodze, wiedząc, że zaprowadzi ją do wind, tak jak wiedziała, że niebieskie znaki skierują ją na OIOM. Prywatne szpitale były kojąco podobne, z jasnym oświetleniem i wesołymi obrazkami, które oznajmiały światu, że większość pacjentów płaci za pobyt.

Sara wcisnęła guzik przy drzwiach windy. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu robiła to samo w Atlancie. Tak jak od zewnątrz, również wewnątrz Grady różnił się od szpitala w Macon. W Macon wszystko było czyste i nowoczesne, stosownie do klienteli. Większość szpitalnych pieniędzy pochodziła zapewne z luksusowych apartamentów porodowych, rutynowych kolonoskopii i rezonansów kolan dzieci urodzonych w latach wyżu demograficznego. Farba na ścianach się nie łuszczyła. W strategicznych miejscach nie podstawiano wiader pod przeciekające rury. Na miejscu nie było stałego posterunku policji ani specjalnej sali dla więźniów i groźnych szaleńców.

Szczerze mówiąc, Sara wolala Grady.

Drzwi windy otworzyły się z ledwie słyszalnym piśnięciem. Wsiadła. Była sama. Drzwi się zamknęły. Wcisnęła przycisk przy niebieskim znaczku. Patrzyła, jak kolejne cyfry wyświetlają się i gasną, gdy winda jechała na piąte piętro. Przy każdym kolejnym rozbłysku powstrzymywała ochotę, by wypowiedzieć na głos zdanie, które raz po raz rozbrzmiewało w jej głowie: „Nie chcę tutaj być. Nie chcę tutaj być. Nie chcę tutaj być”.

Jeszcze przed śmiercią Jeffreya Sara nie lubila Leny Adams. Dziewczyna była niebezpieczna. Arogancka. Lekkomysłna. Jeffrey ciągle narzekał na jej upór i samowolę, ale Sara wiedziała, jak działał umysł jej męża. Nie było między nimi seksualnego przyciągania – czasem Sara wolałaby, żeby to nie było takie proste. Lena najzwyczajniej w świecie stanowiła dla Jeffreya wyzwanie, od którego nie mógł się wymigać. Była destruktywną młodszą siostrą, a on jej wyrozumiałym starszym bratem. Jeffrey uwielbiał jej twardość i zawziętość. Zachwycało go, że bez względu na to, jak bardzo

oberwała, Lena zawsze stawała na nogi.

A jeśli nie mogła pozbierać się sama, Jeffrey zawsze wyciągał pomocną dłoń. Łatwo było podejmować ryzyko, mając świadomość, że ktoś inny poniesie tego konsekwencje. I tak właśnie stało się przed pięciu laty. Lena po raz kolejny postąpiła samowolnie, nierozważnie ścigając bardzo złych ludzi. Kiedy okazali się zbyt niebezpieczni, by mogła poradzić sobie z nimi sama, wezwała na ratunek Jeffreya, tak jak robiła to wiele razy wcześniej. Tyle że wtedy ci źli ludzie nie ustąpili i zamiast mścić się na Lenie, zamordowali Jeffreya.

Sara nie miała wątpliwości, że taki sam scenariusz rozegrał się w przypadku Jareda. Chłopcy z patroli motocyklowych na ogół nie muszą się bać, że płatni zabójcy dopadną ich w domu. Sara gotowa była postawić całe swoje oszczędności na to, że Lena znowu wkurzyła jakichś bardzo złych ludzi, którzy uznali, tak jak ci poprzedni, że najlepszym sposobem na ukaranie Leny będzie zabranie jej tego, co najbardziej kocha.

O ile Lena Adams w ogóle jest zdolna do miłości.

Drzwi windy się otworzyły. Ta sama nieskazitelna biel. Te same jasne światła. Sara szła jak na autopilocie za strzałkami kierującymi ją do poczekalni OIOM-u. Minęła wysokiego mężczyznę w niebiesko-pomarańczowej bejsbolówce. Nie poznał jej, ale Sara od razu wiedziała, że to Jerry Long, mąż Nell i kolega Jeffreya z dzieciństwa. Wszyscy mówili na niego Possum w związku z dawnym wypadkiem z udziałem nielegalnych fajerwerków. Darzył Jeffreya tym dziwnym uwielbieniem, do jakiego zdolni są tylko faceci hetero. Possum grał w futbol na pozycji dalszego napastnika, a Jeffrey rozgrywał go. Ożenił się z byłą dziewczyną Jeffreya i wychowywał jego syna.

Sara szła dalej. Spuściła głowę i minęła go niezauważona.

Jako lekarka przez całe życie miała zwyczaj przewidywać zdarzenia, wybiegać kilka kroków do przodu. Ten dzień z jakiegoś powodu odsłaniał się przed nią po kawałeczku. Nie wybiegała poza kolejne prozaiczne zadania. Wyjść z Grady. Teraz jechać autostradą międzystanową. Teraz z niej zjechać. Teraz zaparkować. Teraz wejść do szpitala.

Widok Possuma pozwolił jej zobaczyć ułamek tego, co ją czeka. Będą chcieli snuć wspomnienia o Jeffreyu. Będą chcieli opowiadać stare historie

o rozmaitych psikusach i innych wybrykach, o rozwiązłych kobietach i ich wściekłych mężach, a Sara będzie musiała tam siedzieć i słuchać tego wszystkiego, jakby wraz z jego śmiercią jej życie również się skończyło.

Bo naprawdę się skończyło. Wszystko wtedy zamarło, stanęło w bezruchu. W końcu jednak musiało ruszyć dalej i Sara zbudowała sobie nowe życie – takie, którego oni nie rozumieją.

Poczucie winy było niczym sęp, siedzący na jej ramieniu i czekający na właściwy moment, aby ją pożreć.

Sara mogła jedynie stawiać kolejne kroki i iść dalej korytarzem. Skręciła do małej poczekalni, tuż przed zamkniętymi podwójnymi drzwiami OIOM-u. Salka była pusta, nie licząc starszej pani o włosach bardziej siwych niż brązowych.

– Saro – odezwała się Nell. Siedziała na kozetce pod oknem. Na kolanach miała robótkę, druty i kłębki wełny. Obok niej leżało kilka kolorowych czasopism.

Między nimi było tylko pięć lat różnicy, Nell jednak postarzała się jak typowa, przyzwoita wiejska kobieta – żadnego farbowania włosów, żadnego makijażu ani zabiegów laserem, aby usunąć przebarwienia czy wygładzić zmarszczki. Prawdę powiedziawszy, wyglądała dokładnie na swój wiek, a w Atlantcie Sara nie była przyzwyczajona do widoku takich kobiet.

– Nie wstawaj – powiedziała Sara, pochylając się, żeby mocno ją przytulić. Nell zawsze była korpulentna i silna, teraz jednak Sara wyczuwała w niej kruchość. Jakby skurczyła się z bezradności.

Mimo to Sara powiedziała:

– W ogóle się nie zmieniłaś.

Nell zaśmiała się chrapliwie.

– Cholera, nie kłam, skarbie. W Alabamie też mamy lustra. – Przesunęła czasopisma, żeby Sara mogła usiąść obok niej. Wzięła ją za rękę, co było niezwykle. Nell nie była zbyt czuła. Gadatliwa – owszem, a czasem bezceremonialna, nieuprzejma wręcz, ale przy tym ogromnie życzliwa. Typ kobiety, do której można zadzwonić w środku nocy i bez względu na to, ile lat upłynęło, ona poruszy niebo i ziemię, żeby pomóc.

Taką właśnie kobietą powinna być Sara.

Ścisnęła mocniej rękę Nell.

– Przykro mi, że to się stało.

– Nie powinnam była zawracać ci głowy, po prostu...

– Cieszę się, że mnie zawiadomiłaś – zapewniła ją Sara i w tym momencie naprawdę tak czuła. Mowy nie było, żeby mogła zostać w Atlancie. Jej miejsce jest tutaj. – Czy mogę coś zrobić?

Nell westchnęła ciężko.

– Nie wiem, co mogłabyś zrobić poza czekaniem. Nie chcą mi nic powiedzieć. Twierdzą, że za dwadzieścia cztery godziny będą może wiedzieli coś więcej. Co to w ogóle znaczy?

Sara wiedziała, że to znaczy, że sami nie mają pojęcia. Teraz wszystko zależy od Jareda.

– To znaczy, że jest młody i silny, a jego ciało potrzebuje czasu, żeby się pozbierać – powiedziała, żeby uspokoić Nell.

– Obyś miała rację. – Nell puściła dłoń Sary. Upchnęła robótkę do drelichowej torby. – Miałaś rację co do niej, Sary. Najpierw Jeffrey, a teraz to. Ta kobieta jest zabójcza.

Sara poczuła znajomy ucisk w gardle.

– Teraz powinniśmy skupić się na Jaredzie.

Nell pokręciła głową.

– W ogóle nie opuszcza jego pokoju. Siedzi tam w kącie jak cholerny gargulec. – Zaciśnęła usta w cienką białą kresczkę. – Nie mogę znieść jej widoku. Muszę się powstrzymywać, żeby nie plunąć jej w twarz.

Sara zwalczyła chęć, by się z nią zgodzić. Nakręcanie się nawzajem nie przyniesie im nic dobrego.

– Kto jest jego lekarzem?

– Shammers... Shaman... Nie pamiętam. Jakieś obce nazwisko.

– Pracuje w tym szpitalu czy ściągnęli go z centrum stanowego?

– Nie mam pojęcia. Dał mi wizytówkę. – Nell wzięła torebkę, żeby jej poszukać. – Nie wiem nawet, czy to dobry szpital.

– Dobry – zapewniła Sara, chociaż miała nadzieję, że wezwali

specjalistów z centrum urazowego. – Kiedy skończyli go operować?

Nell spojrzała na zegarek.

– Około godziny temu.

– Podali ci jakieś konkrety?

– Cholera, Saro, nie znam się na tych medycznych sprawach. Został postrzelony z dubeltówki. Pociski rozsypały się wszędzie. Trafiły go w głowę, szyję i plecy.

– Czy jakaś część przebiła czaszkę?

– Monitorują obrzęk mózgu, więc to pewnie oznacza, że śrut dotarł i tam.

– Nell odwróciła się do Sary. – Powiedzieli, że może będą musieli zmniejszyć ciśnienie. Czy to poważne?

– Czaszka ma określoną pojemność. Jeśli mózg puchnie, musi gdzieś się podziać – wyjaśniła Sara.

– Więc odpiłują mu czubek głowy?

– Nie tak, jak myślisz. To bardzo precyzyjny zabieg chirurgiczny. –

Położyła dłoń na ramieniu Nell. – Nie myśl o tym, dopóki nie będziesz musiała, dobrze? – Nell niechętnie kiwnęła głową. – A co z rdzeniem kręgowym?

– To znaczy, czy będzie kaleką? – Matka Jareda nerwowo wzruszyła ramionami. – Jest nieprzytomny. Twierdzą, że tak jest dla niego najlepiej, ale ja znam swojego syna. Gdyby wiedział, że nafaszerowali go środkami przeciwbólowymi, byłby wściekły.

Sara wiedziała, że Nell nie zdołałaby pojąć ogromu bólu, jaki odczuwałby jej syn.

– Czy Jared coś powiedział, zanim go uśpili?

– Naczelnik Gray mówił, że kiedy go przywieźli, był nieprzytomny. Znasz go?

– Graya? – Sara skinęła głową. – Jeffrey pracował z nim nad jakąś sprawą, zanim się poznaliśmy. Ufał mu. Podobnie jak wszyscy. Gray pracował w całym stanie, dostał wszystkie możliwe nagrody.

Na Nell nie zrobiło to wrażenia.

– I co to warte? Nie uchronił Jareda przed postrzałem. – Zaczęła wyciągać

z torebki różne rzeczy. Szczotkę do włosów. Kieszonkową Biblię. Ochronną pomadkę do ust z pszczelego wosku. – Gdzie ja wsadziłam tę cholerną wizytówkę?

– Jaki Jared był ostatnio? – chciała wiedzieć Sara.

– Zdrowy jak koń.

– Nie, nie chodzi mi o jego zdrowie. – Sara nie wiedziała, jak poruszyć ten temat, więc przeszła do sedna: – Czy pracował nad jakąś sprawą, która go niepokoiła? A może Lena coś robiła?

– Och, on słowa nie powie przeciwko niej. To chodząca doskonałość. – Nell wyjęła paczkę gum do żucia i wyciągnęła ją w stronę Sary.

Sara pokręciła głową.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałaś?

– Dzwoni do mnie w każdą niedzielę i środę po kościele. Notabene sam już nie chodzi. Przestał, od kiedy ją poznał.

Był czwartek.

– Czyli rozmawiałaś z nim wczoraj wieczorem? – upewniła się Sara.

– O dwudziestej pierwszej. Był w barze z kolegami. A o czym to świadczy? – Nell nie czekała na odpowiedź. – O tym, że coś jest nie tak, oto cała prawda. W czwartek wieczorem powinien być w domu z żoną, a nie szlajać się po barach i pić z kumplami.

Sara zachowała swoje zdanie dla siebie. Jared był dorosłym facetem. Żonaty czy nie, miał prawo do wieczoru na mieście.

– Czy mówił przez telefon coś, co wydało ci się niepokojące?

– Nie. To co zwykle. „W pracy świetnie. Lena super. Uściski dla taty”. Motylki, słoneczko, żyć nie umierać – prychnęła. – Nie wzięli nawet ślubu w kościele. Zrobili to w urzędzie, jakby zawierali kontrakt. Poznałaś jej wuja? – Sara skinęła głową. – Z jej strony był tylko on. To mówi o niej wszystko. Żadnych przyjaciółek. Nikogo z pracy. Tylko jakiś napakowany palant, który wyglądał tak, jakby jego specjalnością było wystawianie na poboczu i nagabywanie ludzi o pieniądze. – Wskazała swoje odkryte przedramiona. – Miał ślady po igłach na obu rękach. Nawet nie starał się ich ukryć. Bóg jeden wie, czy były stare, czy nowe.

Sara zacisnęła wargi, widząc bezdenną otchłań, z której sama ledwie się wydobyła.

– Nell, nic ci nie przyjdzie z takiego nakręcania się.

Nell trudno było odpuścić, ale w końcu powiedziała:

– Masz rację. Jeśli będę tyle o niej gadać, to w końcu tam wejdę i ją zabiję. – Znów popatrzyła na swoją torebkę i skupiła się na szukaniu wizytówki lekarza. – Będzie mu potrzebna piżama. Poczuje się okropnie, gdy się obudzi w szpitalnej koszuli.

– Przywieziemy mu piżamę – zaproponowała Sara, chociaż wiedziała, że to zbyteczne.

– Chcę zobaczyć dom. Widziałam go tylko na zdjęciach. I co ty na to? Mieszkam zaledwie cztery godziny jazdy stąd, ale ona nigdy nie zaprosiła mnie na Boże Narodzenie ani na żadne inne święta.

Sara nie zamierzała bronić Leny, ale wątpiła, czy Nell ułatwiała ich wzajemne relacje.

– Specjaliści od medycyny sądowej pewnie wciąż tam są.

– Medycyna sądowa – powtórzyła Nell. – Chcę pojechać do tego domu. Chcę zobaczyć, gdzie to się stało.

– To chyba nie jest dobry pomysł – tłumaczyła Sara. – Policja nie sprząta przed zakończeniem śledztwa. Wszystko będzie wyglądać tak jak ubiegłej nocy.

Nell wydawała się wstrząśnięta tą informacją. Szybko się jednak opanowała i wyjęła z torebki mały notesik i długopis.

– Powiem Possumowi, żeby skoczył do sklepu z tanimi rzeczami. Widziałam jeden tuż przy zjeździe z autostrady. – Włączyła długopis i zaczęła pisać. – Będziemy potrzebowały jakichś ścierek. Lizolu w sprayu. Worków na śmieci. Rękawiczek. Czego jeszcze... wybielacza?

– Są specjalne służby, które zajmują się takimi rzeczami – Sara próbowała przemówić Nell do rozsądku.

– Nie pozwolę, żeby obcy ludzie sprząтали dom mojego dziecka. – Nell wydawała się zbulwersowana. – W życiu nie słyszałam czegoś tak niedorzecznego.

Sara wiedziała, że nie ma sensu się z nią spierać.

– Dlaczego ktokolwiek miałby to robić? – ciągnęła Nell. – On zawsze był takim przemiłym chłopcem. Nigdy nie powiedział o nikim złego słowa. Zawsze wszystkim pomagał. I nigdy nie żądał niczego w zamian. Dlaczego, Saro? Dlaczego ktoś miałby go krzywdzić?

Sara pokręciła głową, chociaż na końcu języka miała imię Leny.

– Oczy ma zasłonięte bandażem. Wychodzą z niego różne rurki. Z boku ma takie plastikowe urządzenie, które wygląda jak gra planszowa Czwórka Wygrywa.

– To pewnie elektryczna pompa ssąca – domyśliła się Sara. – Pomaga otwierać się płucem, żeby miały czas się zagoić.

– No to właśnie powiedziałaś mi więcej niż ktokolwiek tutaj, bardzo ci dziękuję.

Sara wątpiła, czy to prawda. Widziała już wcześniej taki szklany wzrok, jaki miała teraz Nell. W traumatycznych sytuacjach trudno zrozumieć informacje przekazywane przez lekarzy, a co dopiero zadawać sensowne pytania.

Sara poradziła Nell to samo, co rodzinom swoich pacjentów:

– Zapisuj wszystkie pytania, jakie ci się nasuwają. Jeśli ja nie będę umiała na nie odpowiedzieć, znajdziemy kogoś, kto to zrobi. Dobrze?

– Świetny pomysł. Powinnam sama o tym pomyśleć. Tyle że byłam taka... – Nie mogła dokończyć zdania. – No wiesz, widząc go w takim... – Jej słowa przerwał gardłowy dźwięk. Położyła notes i długopis na kolanach, zapominając o liście zakupów. Po jej policzkach spływały łzy. Sara zastanawiała się, czy przyzywa w myślach męża, żeby już wrócił. Bardziej prawdopodobne było to, że modli się, by to jej syn pojawił się w drzwiach.

Sara wzięła Nell za rękę, ale nie mogła na nią patrzeć. Ból był zbyt silny. Chociaż niemal każdego dnia miała do czynienia z takimi przypadkami, to, że znała Nell i Jareda, zmieniało sytuację. Straciła perspektywę osoby postronnej.

– To bez sensu – zgaśniła Nell samą siebie. – Płacz jeszcze nikomu nie pomógł. – Wyjęła z torebki paczkę chusteczek i osuszyła oczy. – Nie powiedziałam Delii. – Siostrze Jareda, najmłodszemu dziecku Nell. – Pracuje

nad Zatoką Meksykańską. Jest weterynarzem. Wiedziałaś o tym? – Sara kiwnęła głową. – Kaza jej zeskrobywać ropę z morskich żółwi. Mówi, że całe cholerne wybrzeże to wciąż jedno wielkie wiadro smoły.

– Musisz jej powiedzieć.

– Niby co? „Ta suka, z którą ożenił się twój brat, być może właśnie go zabiła”? – Nell pokręciła głową, była wściekła. – Od razu, jak tylko odkryłam, że się z nią spotyka, wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Sara milczała.

– Ukrywał to przede mną przez cały rok. Wiedział, że tego nie zaaprobuje. I wiedział też dlaczego. – Nell wydmuchała nos w chusteczkę. – Ostrzegaliśmy mnie, Saro. I jego też. Teraz możesz śmiało wygarnąć nam prosto z mostu: „A nie mówiłam!”.

Sara nie odpowiedziała. To, że miała rację, nie dawało jej satysfakcji.

– Jared najzwyczajniej nie chciał słuchać. Wciąż powtarzał, że kiedy Jeffrey przypinał odznakę, zdawał sobie sprawę z ryzyka. Jakby ona nie miała z tym nic wspólnego. Jakby nie zostawiła go samego, kiedy zrobiło się gorąco. – Nell skrzywiła się z odrazą. – Czasami zastanawiam się, czy gdybym tak na nią nie wyrzekała, on nie zainteresowałby się kimś innym.

Ten tok rozumowania był Sarze tak znajomy, że właściwie mogłaby wyrecytować kolejne argumenty razem z Nell. Po śmierci Jeffreya zadreślała się dokładnie tak samo. Powinna była go powstrzymać przed dalszą pracą z Leną. Powinna była się postawić. Powinna była mu powiedzieć, że to zbyt niebezpieczne, zbyt ryzykowne mieszać się w sprawy tej dziewczyny.

On jednak zawsze był skupiony na ratowaniu innych, nigdy na ratowaniu siebie.

– Nie możesz teraz o wszystko się obwiniać – powiedziała do Nell.

– Nie mogę? – Nell objęła gestem poczekalnię. – Mam teraz mnóstwo czasu na myślenie o tym, co zrobiłam źle.

Sara postanowiła zmienić temat.

– Widziałam Possuma na korytarzu.

Nell opadła ciężko na oparcie kozetki. Nie odzywała się przez kilka

sekund.

– Jest w rozsypce. Ciągłe się rozkleja. Nie widziałam go płaczącego tak straszliwie od pięciu lat. Nie chce słuchać lekarzy. Nie chce wejść do pokoju Jareda. To nie z powodu Leny. On zawsze się z nią dogadywał. Wiesz, jaki jest przyjacielski. Ten facet gadałby z pniakiem o jego sękach. Ale to wszystko... – Zamachała ręką, jakby chciała ogarnąć gestem cały szpital. – To przywołuje tamte wspomnienia. Ty pewnie masz podobnie.

Sara popatrzyła nad głową Nell na obrazek przedstawiający kwiaty. Pomyślała o Willu. O tym, jak leżeli razem na kanapie. Oglądali telewizję. On otaczał ją ramionami. Ich psy tłoczyły się obok.

– Wszyscy pojechaliśmy tamtej nocy do szpitala – ciągnęła Nell. Nie musiała mówić, którą noc ma na myśli. – Jechaliśmy prosto na miejsce, bez zatrzymywania. Jakby w szpitalu mogli mu jeszcze pomóc. Wtedy nic już nie można było dla niego zrobić. Cholera, gdyby coś dało się zrobić, sama byś to zrobiła.

Sara poczuła, że obraz Willa w jej głowie się rozplywa. Wrócił sęp winy, wbijając ostre szpony w jej ciało.

Nell mówiła dalej:

– Wiem, że nie bez powodu straciłyśmy kontakt. To wciąż zbyt bolesne, prawda? I teraz znów wciągnęłam cię w to wszystko. Przepraszam cię, Saro. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić.

Sara kiwnęła głową.

– Jeffrey chciałby, żebym tu była – zdołała wykrztusić.

– Szczerze żałuję, że nie powiedziałam mu wcześniej o Jaredzie – wyznała Nell. – Że nie dałam mu szansy, by poznał syna.

– On rozumiał, dlaczego tego nie zrobiłaś – odparła Sara, myśląc, że to tylko połowiczne kłamstwo. Jeffrey przed śmiercią usiłował znaleźć jakiś sposób, żeby skontaktować się z Jaredem. Sprawa była delikatna. Nell bywała trudna, a Possum nie zasługiwał na to, żeby zjawiał się jakiś inny facet i próbował być ojcem dla Jareda.

– Pamiętasz, jak spotkałyśmy się po raz pierwszy? – spytała Nell.

Sara miała poczucie, że to było sto lat temu, jednak przytaknęła.

– Pewnie myślałaś, że Jeffreyowi odbiło, gdy wiozł cię gdzieś na koniec świata.

Sara się uśmiechnęła. Miasteczko Sylacauga w Alabamie było niemal symbolem wiejskiej prowincji, ale Sara czuła się szczęśliwa, że Jeffrey chce, by poznała jego rodzinę i przyjaciół.

– Zwaliliśmy się wam bez zapowiedzi na przyjęcie.

– Powiedziałaś mi, że jesteś striptizerką.

Sara się roześmiała. Zapomniała o tym incydencie. Nell sprowokowała tę odpowiedź, pytając, czy Sara jest stewardesą czy striptizerką. Każdy tam miał własną wizję Jeffrey'a – tego, jakim jest facetem, z jakimi kobietami się spotyka.

A tak bardzo się mylili.

– Nieważne – mruknęła Nell. – Już i tak jesteśmy wystarczająco udęczone, bez przywoływania przeszłości. Wiem, że wciąż zmagasz się z tym każdego dnia. – Wzięła Sarę za rękę i pogładziła palec, na którym Sara nosiła kiedyś obrączkę. – Cieszę się, że ją zdjęłaś, skarbie. Pewnego dnia, gdy upłynie wystarczająco dużo czasu, znajdziesz sposób, żeby rozpocząć nowe życie.

Sara znów pokiwała głową, powstrzymując się przed odwróceniem wzroku.

Pięć lat.

Opłakiwała męża przez pięć lat. Przez pięć lat była sama. Czekala i czekała, aż ból zelżeje. Przez pięć długich samotnych lat.

– Saro?

Sara uświadomiła sobie, że umknęło jej jakieś pytanie.

– Tak?

– Pytałam, czy mogłabyś do niego zajrzeć. Wiem, że to będzie trudne w obecności Leny, ale może porozmawiasz z kimś jak lekarz z lekarzem. Może dowiesz się czegoś, czego nie mówią mnie?

Sara nie bardzo mogła odmówić. Przecież po to właśnie przyjechała. Żeby pomóc Nell. I Jaredowi. Żeby być pełnomocniczką swego męża, gdy jego syn leży na szpitalnym łóżku. Nawet naczelnik Lonnie Gray uznał, że Sara

odegra swoją rolę.

Więc tak właśnie zrobiła.

Wstała z kozetki i wyszła z maleńkiej poczekalni. Wciąż była w szpitalnym stroju. Pielęgniarki omiotły ją tylko wzrokiem, gdy pchnęła drzwi na OIOM i ruszyła korytarzem. Na tablicy w dyżurce znalazła numer pokoju Jareda, ale i tak wiedziałyby, gdzie leży, bo drzwi pilnował policjant. Stał kilka metrów od dyżurki, trzymając rękę na kaburze broni. Salę Jareda oddzielała od korytarza szklana ściana. Zastona była na wpół zaciągnięta, drzwi otwarte.

Policjant powitał Sarę skinieniem głowy.

– Dzień dobry.

Nie odpowiedziała, tylko stanęła w drzwiach pokoju, zachowując się tak, jakby miała do tego pełne prawo.

Górne lampy były zgaszone, delikatna poświata urządzeń pozwalała jednak coś zobaczyć. Twarz Jareda była opuchnięta. Ciało nieruchome. Sara nie musiała patrzeć na jego kartę. Wyposażenie pokoju powiedziało jej wszystko, co powinna wiedzieć. Pleur-evac podłączony do pompy w ścianie ze względu na odmę opłucnej. Respirator wspomagający oddychanie. Trzy kroplówki dostarczające organizmowi płyny i antybiotyki. Rura podłączona do pompy w ścianie opróżniająca żołądek. Monitor tętna. Monitor ciśnienia. Monitor pracy serca. Cewnik. Dreny. Pod ścianą stał wózek z aparaturą ratującą życie, defibrylator był w pogotowiu.

Nikt się nie spodziewał, że Jared w najbliższym czasie stanie na nogi.

Sara zmusiła się, by spojrzeć w kąt pokoju.

Lena spała. A w każdym razie miała zamknięte oczy. Zwinęła się w kłębek w ogromnym fotelu. Kolana podciągnęła pod brodę i obejmowała je rękami. Była ubrana w szpitalny fartuch, prawdopodobnie dlatego, że jej ubranie zostało zatrzymane jako dowód rzeczowy.

Niewiele się zmieniła. Pod lewym okiem widniał żółknący siniec. Na grzbiecie nosa miała długie skaleczenie, na którym zaczynał tworzyć się strup. Nie było w tym nic dziwnego. Sara nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała Lenę bez jakiegoś sińca lub innego wyraźnego śladu jej ostrego stylu życia. Tylko włosy miała teraz inne. Dłuższe niż wtedy, gdy

Sara widziała ją ostatnio. Na pogrzebie? Nie mogła sobie przypomnieć. Nikt w rodzinie Lintonów nie był w stanie wymówić imienia tej kobiety.

Sara odetchnęła głęboko i weszła do pokoju.

Pod wieloma względami widok Jareda ranił ją o wiele bardziej niż widok Leny. Był taki podobny do Jeffreya – ciemne włosy, odcień skóry, delikatne rzęsy. Zbudowany zupełnie jak ojciec. Poruszał się z taką samą gracją sportowca. Miał nawet taki sam głęboki głos.

Sara przyłożyła dłoń do jego twarzy. Nie mogła się powstrzymać. Powiodła kciukiem po jego czole, po łuku brwi. Włosy miał gęste i zaskakująco miękkie, podobnie jak Jeffrey. Nawet jego zarost wydał jej się znajomy, broda odrastała mu tak samo jak ojcu.

Lena się nie poruszyła, ale Sara czuła, że już nie śpi – i patrzy.

Sara powoli odsunęła rękę od twarzy Jareda. Nie pozwolił wpędzić się w poczucie wstydu, tylko dlatego że go dotknęła, że miała oczywiste myśli i skojarzenia.

Lena poruszyła się w fotelu. Rozplotła ręce i postawiła nogi na podłodze.

Sara ujęła dłoń Jareda. Miał zrogowaciały naskórek. Dłonie Jeffreya zawsze były gładkie. Paznokcie miał starannie obcięte, a nie obgryzione do żywego mięsa. Bez sterczących skórek. Sara widziała czasami, jak używa balsamu o zapachu owsianki, który trzymała na stoliku przy ich łóżku.

Lena podniosła się z fotela.

Sara poczuła, że jej serce bije szybko. Nie wiedziała dlaczego. Już samo to, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z Leną, sprawiało, że się denerwowała. Mimo że pod drzwiami stał policjant. Nawet wiedząc, że Lena nie może w żaden sposób jej skrzywdzić, czuła się zagrożona.

A Lena jak zwykle była niepoprawna. Stała przy łóżku. Nie dotknęła Jareda. Nie pochyliła się, żeby go ukoić czy też uspokoić samą siebie, że on wciąż tu jest. Zamiast objąć jego, objęła samą siebie. Oplotła się w pasie rękami. Zawsze była taka cholernie zamknięta w sobie.

– Saro... – wyszeptała. To właściwie był szloch. Lena nigdy nie wstydziła się płakać. Wykorzystywała to ze wspaniałym skutkiem. Z sykiem wciągnęła odrobinę powietrza i aż się zatrzęsa z wysiłku. Jedną ręką złapała się poręczy łóżka. Jej obrączka ślubna była z żółtego złota z maleńkim

diamencikiem, którego oprawa oblepiona była krwią. Czekwała, aż Sara coś powie i doda jej otuchy.

Sara odruchowo przywołała odpowiednie słowa, rady, których udzielała niezliczoną ilość razy przy szpitalnych łózkach: „Możesz go dotknąć. Potrzymać za rękę. Mów do niego. Pocałuj go. Nie zwracaj uwagi na te wszystkie rurki wychodzące z jego ciała i połóż się obok niego. W ten sposób na jakimś podstawowym poziomie dasz mu do zrozumienia, że nie jest sam. Że jesteś tu po to, by pomóc mu walczyć i do nas wrócić”.

Ale nie powiedziała tego. Przygryzła tylko koniuszek języka, aż poczuła krew. Serce nadal jej waliło. Strach zniknął. Ogarnął ją chłód. Czuła, jak opanowuje całe jej ciało, jak lodowe palce oplatają jej tułów, drapią w szyję.

– Nie mogę... – Głos uwiązł Lenie w gardle.

Sara miała wrażenie, że słyszy samą siebie sprzed pięciu lat. Te dwa słowa sprawiły, że wróciły do niej tamte uczucia. Pustka. Strata. Samotność.

– Nie mogę... – powtórzyła Lena. – Nie dam rady. Nie mogę bez niego żyć.

Sara delikatnie puściła dłoń Jareda. Wygładziła koc, otuliła nim szczelniej Jareda. Spojrzała na Lenę – naprawdę popatrzyła jej prosto w oczy.

– I dobrze. Teraz wiesz, jakie to uczucie – powiedziała.

6.

Will jeździł motocyklem po parkingu szpitala w Macon, aż wypatrzył bmw Sary. Było to dość głupie, ale też on czuł się ostatnio dość głupio. Sara minęła miejsca parkingowe przeznaczone dla lekarzy i zaparkowała z tyłu, w cieniu drzew. Powstrzymał pragnienie, by zsiąść z motocykla i dotknąć maski jej wozu. Wmawiał sobie, że chodzi mu tylko o to, żeby sprawdzić, jak dawno tu przyjechała, w głębi serca wiedział jednak, że pragnie jakiegokolwiek formy kontaktu z nią.

Co było tak żenujące i żalosne, że dodał gazu i z nierozważną prędkością śmignął na parking dla pracowników.

Na szczęście palenie gumy na parkingu było dokładnie takim zachowaniem, jakie pasowało do jego alter ego. Will już wcześniej pracował jako tajny agent. Lubił myśleć, że całkiem dobrze mu szło wcielanie się w różne role. Gromada kuraków z północnej Georgii, które z ulgą przeszły na zasłużoną emeryturę, mogłyby zaświadczyć o jego umiejętnościach aktorskich. Może rozbicie siatki organizującej walki kogutów nie było tak niebezpieczne jak jego obecna misja, ale tym razem oficerowie informacyjni GBI zdołali załatwić Willowi jeszcze bardziej imponującą przykrywkę.

Podobnie jak w przypadku robotników zatrudnianych na jeden dzień sprzed Home Depot Will wyobrażał sobie, że postać Billa Blacka, faceta, w którego się wcielał, jest przedsmakiem tego, co by było, gdyby... Black był kilka razy skazany i potrafił obejść system. Na drogę przestępczą wkroczył jako nieletni, jego akta z tamtego okresu zostały utajnione, następnie został dyscyplinarnie zwolniony z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Co ważniejsze, w jego dorosłych aktach widniały trzy poważne oskarżenia – dwa o maltretowanie kobiet, a kolejne o zepchnięcie z ruchomych schodów gliniarza z centrum handlowego.

Z powodu tego ostatniego wykroczenia Bill Black trafił na dziewięćdziesiąt dni do więzienia okręgu Fulton. Został zwolniony

warunkowo za dobre sprawowanie, kurator jednak trzymał go na krótkiej smyczy, a raporty składał bezpośrednio Amandzie. Wpadł już kilka razy bez zapowiedzi do szpitala, żeby go sprawdzić. Bill Black był przerażającym gościem. Policja miała go na oku również w związku z innymi przestępstwami: obrabowaniem stacji benzynowej, niemiłą historią w Kentucky, napadem, w którego wyniku pewien człowiek nie widział na jedno oko. Black był, jak mawiano w branży, osobą wartą uwagi.

GBI zdołało znaleźć paru kapusiów gotowych potwierdzić fikcyjną biografię Blacka w zamian za pobłażliwość. Inny skazaniec przekazał Willowi wszystkie plotki krążące po więzieniu w okresie, kiedy rzekomo przebywał tam Bill Black. Strażnicy potwierdzili drastyczne szczegóły, które przywodziły na myśl sceny z *Nieugiętego Luke'a* połączonego z *Rodziną Soprano*. Zrobiono Willowi kilka niekorzystnych zdjęć, na których trzyma tabliczkę z nazwiskiem Blacka i numerem więziennym. Nie licząc braku żałosnych więziennych tatuaży, Willowi trudno byłoby znaleźć jakieś luki w sylwetce Blacka.

Oczywiście zawsze znajdzie się jakieś „ale”, jednak Will nie zamierzał dzielić się z Amandą swoją największą wadą: imię i nazwisko Bill Black, które Amanda z dumą przedstawiła Willowi, jakby wręczała mu je na srebrnej tacy, sprawiało, że jego mózg czuł się niczym element obrazu Salvadora Dalego.

– Bill rymuje się z Will – oznajmiła, wręczając mu dossier, którego miał nauczyć się na pamięć. – No i oczywiście, Black, czyli czarny, to kolor.

Z jej zachowania Will wywnioskował, że powinien być wdzięczny. Tymczasem prawda była taka, że równie dobrze mogłaby włożyć trykot i odegrać mu to imię za pomocą tanecznej pantomimy.

Will miał dysleksję. Amanda wywlekała to tylko wtedy, gdy nie mogła znaleźć w swojej szufladzie żadnego ostrzejszego narzędzia. Nie zamierzał rozmawiać otwarcie o swoim problemie – od tego był internet – ale gdyby Amanda również raczyła to sprawdzić, dowiedziałyby się, że dysleksja to nie problemy z czytaniem, lecz z przetwarzaniem danych językowych. Dlatego właśnie Will nie miał ucha do rymów ani nie mógł zrozumieć, jak Black może być kolorem, skoro wielka litera oznacza, że to nazwisko.

Will siedział jednak w biurze Amandy i wertował akta Billa Blacka, jakby

wszystko było dla niego zupełnie oczywiste.

– Wygląda nieźle – zapewnił ją.

Nie była przekonana.

– Chcesz, żebym ci pomogła z trudniejszymi słowami?

Will zamknął teczkę i wyszedł z biura.

Potrafił czytać – nie był aż takim imbecylem – ale wymagało to od niego trochę czasu i ogromnej cierpliwości. Przez lata nauczył się kilku sztuczek, które sprawiały, że uchodził za bardziej biegłego. Pod wersem tekstu trzymał linijkę, żeby litery tak nie skakały. Do dyktowania raportów i czytania e-maili używał komputera. W szkole mówiono mu, że czyta na poziomie ucznia drugiej klasy. Skądinąd nauczyciele nie postawili żadnej oficjalnej diagnozy, poza tym, że uważali go za głupka. Will był w college'u, gdy dowiedział się wreszcie, że jego przypadłość nazywa się dysleksja, ale wtedy było już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Pozostawało modlić się do Boga, żeby nikt się nie zorientował.

Na ogół niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę. Amandzie najwyraźniej wystarczało trzymanie tej informacji jako broni w swoim arsenale. Faith zorientowała się podczas ich pierwszej sprawy i od tamtego czasu, ilekroć pojawiała się coś związanego z czytaniem, zaczynała mówić matczynym tonem, który sprawiał, że Will miał ochotę podstawić głowę pod rękaw.

I oczywiście wiedziała Sara. Natychmiast się domyśliła. Will przypuszczał, że jako lekarka szybciej rozpoznała objawy. Dziwne było natomiast to, że wcale nie traktowała go inaczej niż przedtem. Postrzegała dysleksję jako jeszcze jedną cechę Willa, tak samo jak kolor jego włosów czy rozmiar buta.

Postrzegała go jako normalnego.

Jeśli jednak nadal będzie tak szalał na motorze, wyjrzy przez okno i zobaczy go na parkingu.

Will dostrzegał ironię w tym, że przez ostatnich dziesięć dni ukrywał przed Sarą prawdę, a teraz wylądował nie tylko w tym samym mieście, ale wręcz w tym samym budynku, gdzie miał do czynienia z tymi samymi ludźmi. Oddałby wszystko, byle tylko wróciła do Atlanty, gdzie o wiele

łatwiej było kłamać. W Macon przez cały czas istniała możliwość, że Will skręci za róg albo otworzy drzwi i wpadnie prosto na domagającą się wyjaśnień Sarę.

Postawił triumpha na swoim zwykłym miejscu przy wejściu dla personelu. Przez większą część drogi z Atlanty towarzyszył mu deszcz, który pluł mu w twarz drobnymi igiełkami. Will nie miał kasku z osłoną na twarz, tylko taki mały, dający głowie minimum ochrony, na jakie zezwalało prawo. Bardziej przypominał jarmułkę. Za każdym razem, gdy na autostradzie napierała na niego wielka ciężarówka, zastanawiał się, czy zdąży zobaczyć swój mózg na asfalcie, zanim skona, czy też jego śmierć będzie natychmiastowa.

Ta myśl nie była nowa. Jako dwudziestokilkulatek Will jeździł motocyklem Kawasaki, bo był tani, a benzyna droga. I trzeba przyznać, że wtedy dosiadanie wielkiej wibrującej maszyny dla młodego człowieka o bardzo ograniczonych doświadczeniach z kobietami było całkiem przyjemne. Dekadę później historia przybrała zdecydowanie ciemniejszy odcień. Bolały go plecy. Dłonie. Rwały ramiona. Inne obszary jego ciała również odczuwały dyskomfort. Will zsiadł z motoru i rozprostował zdrtwiałe nogi. Rozpiął pasek kasku i zdjął go z głowy.

– Cześć, Bud! – zawołała jedna z pielęgniarek.

Will podniósł głowę. Opierała się o ścianę budynku i zaciągała papierosem. Mówił ludziom, żeby zwracali się do niego Buddy, bo nie chciał przypominać sobie rozmowy z Amandą za każdym razem, gdy usłyszy imię i nazwisko Bill Black. Nie przewidział, że wszyscy jego współpracownicy ze szpitala skrócą to do Bud.

– Dobrze się jechało? – spytała.

Will burknął coś w odpowiedzi – typowa reakcja Billa Blacka.

– To fajnie. – Uśmiechnęła się do niego. Jej tlenione włosy nie poruszały się na wietrze. Opięty różowy strój pielęgniarki zdobiły skaczące delfiny. – Słyszałeś, co się stało zeszłej nocy z tą parą gliniarzy?

– No. – Will ściągnął z głowy bandanę i otarł nią twarz.

– Jeden z nich jest na OIOM-ie. Nie wiadomo, czy w ogóle odzyska przytomność. – Zdjęła coś z czubka języka. – W środku aż roi się od glin.

Will znowu coś odburknął i schował bandanę do tylnej kieszeni spodni.

Pielęgniarka wypuściła długą smugę dymu.

– Tony mówi, że rano byli u niego w domu. Idioci ukradli mu wóz i użyli podczas tego skoku. Uwierzyłbyś?

Will gapił się na nią, próbując dociec, czy to pytanie retoryczne. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie je zignorować.

– Muszę odbić kartę.

Wetknął kask pod pachę i ruszył do wejścia. Pielęgniarka zaciągnęła się ostatni raz. Nie sprawiała wrażenia, jakby miała mu za złe jego gburowatość. To było typowe dla kobiet w otoczeniu Billa Blacka. Spodziewały się po swoich mężczyznach milczenia, pomruków, spojrzeń spode łba, a od czasu do czasu drapania się i spluwania. Will, którego tresowano, by opuszczał klapę kibla, zanim jeszcze wyrósł z pieluch, miał poczucie, że znalazł się na Księżycu.

Albo w jakiejś utopii, zależy od punktu widzenia.

– Uważaj na siebie – rzuciła pielęgniarka i puściła do Willa oko, gdy otwierał drzwi. Nie zadał sobie trudu, by przepuścić ją przodem. Znał ten typ kobiet, przez całe życie spotykał takie w swoim otoczeniu. W domu dziecka. Na ulicach. Często na tylnym siedzeniu radiowozu. Wybierały niewłaściwych facetów, podejmowały niewłaściwe decyzje. Im gorzej facet je traktował, tym mocniej się go trzymały.

Will zawsze wiedział, że jest atrakcyjny dla takich kobiet. Może sprawiały to blizny na jego twarzy. A może jakieś niewidoczne piętno z dzieciństwa, które mogły rozpoznać jedynie osoby o podobnych doświadczeniach. Tak czy owak, ciągnęło je do Willa, bo uważały, że jest skrzywdzony albo niebezpieczny, albo jedno i drugie. Przez całe życie ich unikał. Jedynym sposobem na to, by podtrzymać zainteresowanie zdesperowanej kobiety, było stać się określonym typem mężczyzny. Will nigdy nie chciał nim być.

– Hej! – zawołała pielęgniarka. Stała w otwartych drzwiach, trzymając rękę na biodrze. – Jestem Cayla, tak w ogóle.

Will gapił się na nią. Stał przed szatnią dla pracowników. Ona w odległości dziesięciu metrów od niego. Szare delfiny na jej bluzce wyglądały jak rozbryzgnięta sperma.

Uśmiechnęła się zalotnie.

– Cayla przez „C”.

Will uznał, że kolejne burknięcie nie wystarczy.

– Mam to sobie zapisać czy jak? – Spróbował być dowcipny.

– A pewnie, że tak. – Zaśmiała się w taki sposób, że poczuł się mały. – Co porabiasz po pracy?

Wzruszył ramionami.

– Może wpadniesz do mnie na kolację? Założę się, że odkąd wyszedłeś, nie miałeś okazji jeść domowego żarełka.

Historia Billa Blacka szybko się rozeszła. Will pracuje w szpitalu niecałe dwa tygodnie, a ona już wie, że siedział w więzieniu.

– To co? – nalegała. – Koło siódmej? Potrafię upiec niezłego kurczaka.

Will się zawahał. Znał imię i nazwisko Cayli Martin z kartoteki policyjnej, w której odnotowano jej aresztowanie za jazdę po pijanemu przed czterema laty. Jazda pod wpływem alkoholu wiązała się z wysokimi mandatami. Cayla wciąż miała do zapłacenia tysiąc dolarów, zanim będzie wolno jej jeździć gdzieś dalej niż tylko z domu do pracy i z powrotem. Poza tym była pielęgniarzką pracującą w szpitalnej aptece, co oznaczało, że miała dostęp do tych wszystkich kradzionych prochów.

Cayla tupnęła.

– Daj spokój, Bud. Pozwól sobie przyrzadzić coś dobrego.

Will rozważał wszystkie za i przeciw, kiedy z szatni wyłonił się Tony Dell. Facet spanikował. Jego tenisówki skrzypiały, gdy potykał się o własne nogi, usiłując uciec.

Bandzior czy gliniarz – to bez znaczenia. Kiedy ktoś przed tobą ucieka, ścigas go. Will rzucił kask na ziemię, złapał Tony’ego za kark i przycisnął twarzą do drzwi.

– Hej! – wrzasnął Tony. Był drobnym facetem. Will przewyższał go prawie o pół metra i miał co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów mięśni więcej. Podniesienie go było tak łatwe jak podniesienie Sary.

– W co ty mnie, kurwa, wpakowałeś?! – warknął Will.

– Ja nie... – usiłował wykrztusić Tony. Oczywiście trudno mu było

cokolwiek powiedzieć, bo miał twarz przyciśniętą do drzwi. – Daj spokój, Bud! Próbowałem załatwić ci robotę!

– Już ja cię zaraz załatwię!

– Bud! Serio, stary. Nic nie wiedziałem! – Kopał drzwi czubkami butów, szukając jakiegoś podparcia. – Daj spokój!

Will go puścił. Stopy Tony’ego dotknęły podłogi. Zanim się pozbierał, minęło kilka sekund. Oddychał ciężko. Pot spływał mu z czoła, ale Will nie był pewny, czy to dlatego, że jest naćpany, czy przerażony. Tak czy owak, teraz, gdy Tony przestał się bać, że Will skręci mu kark, postanowił wypomnieć mu tę brutalność.

– Jezu, stary. Co z tobą?

– Kto nagrał tę robotę? – spytał Will.

Tony spojrzał w prawo i w lewo, chcąc się upewnić, że są na korytarzu sami. Cayla zniknęła. Takie kobiety jak ona wiedzą, kiedy zejść facetom z drogi.

– Cholera. – Tony potarł kark. – Człowieku, to bolało.

– Kto to nagrał? – Will wbił palec w ramię Tony’ego. – Mów, gnojku.

Tony odepchnął jego rękę.

– Nie wiem. Dwóch koleśków podeszło do mnie w barze i spytało, czy chcę zarobić trochę forsy.

– Wczoraj wieczorem?

– Tak, po pracy.

– Znasz ich?

– Widziałem ich tu i tam. – Teraz zaczął rozcierać ramię. – Ty też ich widziałeś. To ci koleśki, co przesiadują w tym specjalnym kącie.

W części dla VIP-ów w Tipsie’s. Will widział ten kąt, owszem. Był tak zachęcający jak prysznic w stanowym więzieniu.

– Ile forsy zaproponowali?

Tony zaczął się wiercić.

Will położył rękę na jego piersi i przyparł go do drzwi. Nie włożył w to zbyt dużo siły, ale sama groźba wystarczyła, by kurdupel zaczął mówić.

– Tysiąc pięćset.

Will cofnął rękę.

– Ty skur...

– Zapewniali, że będziemy bezpieczni! – wrzasnął Tony, podnosząc rękę.

– Powiedzieli, że mamy tylko stać na ulicy, właśnie tak jak staliśmy. Nic więcej.

Will trzymał pięść w pogotowiu.

– A więc ty dostaniesz tysiąka, a ja tylko pół?

– Ja byłem bliżej domu. – Tony wzruszył bez przekonania ramionami. – Moja pozycja była bardziej niebezpieczna.

Will opuścił pięść.

– Wiedziałaś, że to coś więcej niż włamanie i rabunek?

Tony otworzył usta, po czym je zamknął. Raz jeszcze upewnił się, że są sami.

– Nie będę cię okłamywał, Bud, wiedziałem, że w domu są jacyś ludzie, którym może stać się krzywda. Ale przysięgam na cały stos Biblii, nie miałem pojęcia, że to gliny. Inaczej za nic nie brałbym tej roboty, a co dopiero wciągał w to ciebie. Jesteśmy kumplami, tak?

– Moi kumple nie pakują mnie w takie gówno, kiedy już i tak jestem na warunku. – Willowi koszula wyszła z džinsów. Wetknął ją z powrotem, rozglądając się po korytarzu. – Lepiej, żeby mi to nie zaszkodziło.

Tony nie był taki głupi, na jakiego wyglądał.

– Po co w ogóle tak się uparłeś, żeby wejść do tego domu? O co chodziło?

Pytanie za milion dolarów. Will przygotował sobie odpowiedź, kiedy tu jechał.

– Potrzebuję tej forsy. A trupy nie płacą.

– Słyszę, co mówisz – prychnął Tony, lecz wyraźnie go to nie przekonało.

– Ale pędziłeś tam jak wariat. O mało nie urwałeś mi przy tym łba. Ja tylko chciałem ci pomóc.

Will znowu się rozejrzał.

– Mam byłą, kapujesz? Dziewczyna mieszka w Tennessee. Jest ze mną

w ciąży. Nie wierzyłem jej, ale przysłała mi wyniki badań. – Will starał się mówić gniewnym tonem. – Suka powiedziała, że wniesie sprawę do sądu, jeśli nie przyślę jej pięciu tysiąków, zanim dziecko się urodzi. – Na koniec powtórzył zdanie, które słyszał z ust wielu skazańców: – Nie mogę znowu wrócić do więzienia, stary. Po prostu nie mogę.

Tony kiwnął ze zrozumieniem głową. Will zorientował się z różnych rozmów w Tipsie's, że bywalcy baru najbardziej boją się testów DNA na ojcostwo. Trudniej było natomiast uwierzyć w to, że slang, który Will czerpał z serialu o gangach motocyklowych, faktycznie się sprawdzał.

– Słyszę, stary. – Tony podrapał się w rękę. Ten nerwowy nawyk pozostawił trwale czerwone pręgi na jego skórze. – Chcesz, to mogę tam z tobą podskoczyć i przemówić jej do rozumu.

– Możesz się przymknąć? – warknął Will. – Na górze są wszystkie gliny z okręgu. Ten gliniarz może z tego nie wyjść. I jak myślisz, co się wtedy stanie?

Dell nadal drapał się w rękę.

– To co tam widziałeś? – spytał. Znowu zerknął na prawo i lewo. – W tamtym domu. Co widziałeś?

– Jednego trupa, drugiego w drodze. – Will próbował wymazać z pamięci koszmarne obrazy Leny siedzącej okrakiem na Fredzie Zacharym i gotowej rozrząbać mu kręgosłup na pół. – I jakąś stukniętą laskę z młotkiem.

– Widziała cię?

– Myślisz, że jeszcze by żyła, gdyby tak było?

– Słyszałem, że to był młotek ze szpikulcem do wyciągania gwoździ – powiedział Tony, ścisząc głos.

– Znasz ją? Tę glinę? Zapudłowała cię kiedyś? – dopytywał Will.

– Nie, cholera. Nie dam się, brachu, dopaść żadnej suce.

Will przypuszczał, że nawet trzykilowy chihuahua z łatwością rozprawiłaby się z Tonym Dellem.

– A tak w ogóle, Tony, to po co chcieli załatwić dwoje gliniarzy? Dawali im w łapę?

– Tamci nic nie mówili, a ja nie pytałem. – Tony przywarł plecami do

drzwi w obawie, że Will znów go do nich przycisnie. – Serio, Bud, nie mam pojęcia.

Will zastanawiał się, o co taki facet jak Bill Black martwiłby się w podobnej sytuacji.

– Co zrobiłeś z furgonetką? – spytał.

Tony najwyraźniej nie spodziewał się tego pytania.

– Jest w porzo. Znam takich jednych koleśków.

– Nie wiem, ile ci za nią dali, ale połowa z tego jest moja.

– Nie dostałem za nią zbyt dużo – kręcił Tony.

– Nie pieprz! – Will złapał go za łokieć, żeby mieć pewność, że tamten go słucha. – Zapytam cię o to jeszcze tylko raz: dla kogo oni pracują?

– Pojęcia nie mam, stary. Serio.

– No to lepiej dobrze się zastanów, bo coś mi się zdaje, że teraz my dwaj jesteśmy następni w kolejce.

– Myślisz, że będą chcieli nas załatwić?

– A ty myślisz, że ten, kto zlecił tę robotę, zaufa ci, że nie będziesz gadał?

– Chryste Panie! – Tony’emu krew odpłynęła z twarzy. – To musi być Wielki Biały. To jedyny koleś, który mi przychodzi do głowy, co ma jaja do takiej akcji.

Will mocniej ścisnął łokieć Tony’ego. O wiele łatwiej przesłuchiwać kogoś, jeśli można napędzić mu stracha.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo on już wcześniej zabijał gliniarzy. Wszyscy to wiedzą. Cholera, stary, słyszałem, że na Florydzie załatwił agenta federalnego.

Kolejne morderstwo do sprawdzenia.

– Jesteś pewny, że nie podałeś im mojego nazwiska? – spytał Will.

– Cholera, brachu, nie. Jasne, że nie.

– Jeśli się dowiem, że kłamiesz...

– Przysięgam! – Głos Tony’ego podniósł się o kilka oktaw. – Słuchaj, stary, nie jestem kapusiem. Mówię ci to, żebyś wiedział. – Wolną ręką sięgnął do tylnej kieszeni spodni. – Zobacz. – Wyciągnął zwitek banknotów.

– To wszystko, co dostałem za furgonetkę. Weź to, dobra? I będziemy kwita. Okej?

Will wziął pieniądze. Zwitek był wilgotny, ale Will starał się o tym nie myśleć, gdy przeliczał banknoty.

– Sześć stów. To wszystko, co masz?

– To więcej, niż myślałeś, że dostaniesz za zeszłą noc.

Will burknął coś pod nosem. Bill Black byłby zadowolony z takiej kwoty.

– Słuchaj – Tony znowu podrapał się w rękę – Wielki Biały to biznesmen. Możemy pójść z nim pogadać. Spróbować go przekonać.

– Mowy nie ma, żebym...

– Posłuchaj mnie chociaż. – Dell nadal się drapał, chociaż ręka zaczęła już krwawić. – Mówiłem ci, że mam tu rozkręcony interes z prochami. We dwóch moglibyśmy go podwoić i...

– Nie – przerwał mu Will – mój kurator naraił mi tę robotę. I jak myślisz, kogo będą podejrzewali, gdy nagle zniknie tona pigułek? – Nachylił się nad Tonym. – Co powiedziałaś glinom, kiedy zadzwonili dziś rano do twoich drzwi?

Wróciło spłoszone spojrzenie.

– Skąd o tym wiesz?

– Od tej pielęgniarki. Pewnie do tej pory zdążyła to już rozgłosić po całym szpitalu.

– Cayla – podsunął Tony. Miętkość, z jaką wypowiedział jej imię, dała Willowi do myślenia. Cayla Martin była dziewczyną, o której zeszłej nocy nadawał Tony w drodze do domu Leny. Facet uzależniony od prochów trzyma z pielęgniarką ze szpitalnej apteki – to ma sens.

– Mówiła o mnie coś jeszcze? – chciał wiedzieć Dell.

– Nie.

– Jesteś pewny?

Will zaczynał mieć tego dość.

– Zaproponowała, że ugotuje mi kolację – oznajmił.

Tony przyjął to gorzej, niż Will się spodziewał. Przycisnął podbródek do

piersi.

– Zgodziłeś się?

– Mów, co powiedziałaś glinom dziś rano.

Tony nie odpowiedział.

– Myślałem, że jesteś moim kumplem, Bud. Nie mogę uwierzyć, że się z nią umówiłeś.

A Will nie mógł uwierzyć, że w ogóle wdał się w tę rozmowę.

– Co powiedziałaś glinom, Tony? Nie zmuszaj mnie, żebym wydusił to z ciebie siłą.

Tony wciąż się dąsał, ale odpowiedział:

– Że ktoś musiał ukraść mi samochód. Powiedzieli, żebym przyszedł na posterunek i zgłosił kradzież.

– Trzymaj się z daleka od tego posterunku – ostrzegł go Will. – Jak raz tam wejdiesz, to już nie wyjdiesz.

– Nic im nie powiem.

– I co z tego? Dwoje gliniarzy o mało nie zginęło. Zwalą to na pierwszego idiotę, który im się trafi.

– Mają już dwóch idiotów – odciął się Tony. – Tych z ubiegłej nocy. Jeden wykorkował, drugi nie może się ruszyć i mowy nie ma, żeby otworzył gębę. Mówię ci, Wielki Białas ma nieograniczony zasięg. Dopadnie ich w szpitalu. W areszcie. W więzieniu. Nie ma takiego miejsca, gdzie Wielki Białas nie mógłby cię dosięgnąć. Uwierz mi, stary. To zły gość.

Will zacisnął zęby. Każda rozmowa, jaką prowadził z Tonym Dellem, w pewnym momencie schodziła na Wielkiego Białasa. Coś tu było nie tak i instynkt kazał Willowi nie ciągnąć tego tematu.

– Nieważne, stary. Ale mnie do tego nie mieszaj.

Tony wyczuł, że traci słuchacza.

– Moglibyśmy z nim pogadać. Przekonać, że go nie zakapujemy. A może się u niego zatrudnić.

– Nie. – Will podniósł z ziemi kask. Przetarł ryski rękawem. Spróbował jeszcze odrobiny motocyklowej gadki: – Muszę opłacić dzieciaka, kurator

siedzi mi na karku. Nie trzeba mi już więcej kłopotów.

– Nie musiałyby tak być.

– Jak sobie chcesz, brachu. Mnie w to nie mieszaj.

Will szarpnięciem otworzył drzwi szatni. Pomieszczenie było puste. Niebieskie szafki dzieliły je na trzy części. Odczekał kilka sekund, ciekawy, czy Tony Dell wejdzie za nim. Ale drzwi pozostały zamknięte, więc Will skierował się do szafek w głębi.

Nazwisko Bill Black zostało napisane na kawałku taśmy izolacyjnej przyklejonej do jego szafki. Jakiś czas temu Will przekreślił je markerem i napisał BUD. Trzy litery. Nie wyszło za ładnie – jego pismo nigdy nie było zbyt piękne – ale i tak biło na głowę szafkę obok, na której ktoś narysował penisa w trakcie ejakulacji, z jednym tylko jądrem.

Will przypuszczał, że to jakiś żart dla wtajemniczonych.

By zamykać szafkę, kupił kłódkę do bagażu, a nie zamek szyfrowy. Zawsze miał problem z odróżnieniem lewej strony od prawej, za to liczby nie nastęrczały mu żadnych trudności. Ustawił dzień i miesiąc, kiedy po raz pierwszy pocałował Sarę. Czy też, formalnie rzecz biorąc, kiedy Sara pocałowała jego. Kłódka nie musiała znać wszystkich szczegółów.

Powiesił kask w szafce i wyjął z niej złożone ubranie robocze: koszulę i spodnie. Praca konserwatora w jego sytuacji nie była taka zła. Will potrafił naprawiać różne sprzęty. Formularze, które dawali mu do wypełnienia, przeznaczone były dla osób ze słabą znajomością angielskiego. Należało tylko postawić (albo nie) ptaszki w czterech okienkach, a na dole była linijka zaznaczona X, co ułatwiało wpisanie imienia nazwiska. Will jednak i tak nie podpisywał się pełnym imieniem i nazwiskiem. Poprzestawał na dwóch wielkich literach B.

Will zdjął ubranie i przebrał się w strój roboczy. Na szyi miał identyfikator Billa Blacka ze zdjęciem. Karta magnetyczna i pęk kluczy umocowane były na wyciąganym druciku przy pasku. Na metalowej szlufce z boku dyndała latarka. Will przełożył nadal wilgotne banknoty od Tony'ego Della do przedniej kieszeni spodni, mając nadzieję, że pieniądze zdążą wyschnąć do czasu, aż przedstawi je jako dowód w sprawie. W niebieskim, zapinanym na rzepy portfelu miał kilka kart kredytowych Blacka, kopię mandatu za przekroczenie prędkości, która służyła mu jako prawo jazdy,

i kilka paragonów świadczących o tym, że pan Black woli robić wszystkie zakupy w całodobowym RaceTrac przy wylocie Ocmulgee Trail.

Sprawdził baterię w iPhone. W prawdziwym życiu Will nie używał smartfona, jednak Bill Black był trochę bardziej wyrafinowany. Zresztą nie trzeba było być wybitnym uczonym, żeby obsługiwać to urządzenie. Większość programów Will rozpracował sam dla zabicia czasu, kiedy siedział w tanim pokoiku w motelu, który Bill Black wynajmował, płacąc z góry za kolejny tydzień.

Główne konto e-mailowe Blacka znajdowało się w szpitalnym serwerze. Drugie założył na Gmailu. Przychodziły na nie coraz bardziej nieprzyjemne wiadomości pisane najwyraźniej przez jakąś wściekłą kobietę w ciąży z Tennessee. Pojawiło się również kilka umiarkowanie rasistowskich przesłań z jakichś fikcyjnych kont. Bill Black nie miał wielu znajomych. Większość jego poczty tworzył spam z list mailingowych reklamujących sprzęt myśliwski albo gołe kobiety, a także kupony na takie specjały jak suszona wołowina czy Old Spice.

Gust muzyczny Blacka skłaniał się w stronę country, z Otisem Reddingiem na okrasę, w ramach ukłonu dla rodzinnego miasta piosenkarza, czyli Macon. W telefonie miał też trochę zdjęć, malowniczych widoczków pstrykanych z autostrady. Black był myśliwym, więc naturalną koleją rzeczy lubił lasy i drzewa. A także kobiety. W smartfonie miał trochę śmiałych fotek ściągniętych z internetu. Głównie blondynki i Azjatki. Will zastanawiał się przelotnie, czy nie dodać paru rudowłosych, ale czułby się z tym dziwnie z powodu Sary. Również z powodu Sary wiedział, że rudy nie jest naturalnym kolorem włosów tych dziewczyn.

Specjalista z GBI wykonał resztę ciężkiej roboty, dodając do telefonu ukryte funkcje. Zainstalowane przez niego aplikacje działały w głębi i były niewidoczne dla kogoś, kto nie wiedział, czego dokładnie szukać. Jedna z nich automatycznie kasowała wszystkie przychodzące i wychodzące połączenia i SMS-y. Inna zmieniała głośniki w urządzenie nagrywające, kiedy wcisnęło się trzy razy przycisk zasilania. Jeszcze inna podstawiała fikcyjny numer, kiedy Will musiał do kogoś zadzwonić, a nie chciał zdradzać, gdzie się znajduje. Najważniejsza łączyła telefon z wojskowym systemem śledzenia – nie z GPS-em, dostępnym dla całego świata, ale z globalnym systemem lokalizującym obiekty w czasie rzeczywistym,

używanym do takich zadań jak nakierowywanie dronów czy bomb.

To z powodu tej ostatniej aplikacji Will ciągle sprawdzał poziom naładowania baterii. Amanda miała rację w wielu sprawach, przede wszystkim jednak w swoim przeświadczeniu, że istnieje jakiś związek pomiędzy śledztwem Willa dotyczącym Wielkiego Białasa i atakiem na Lenę Adams i Jareda Longa. Nawet Tony Dell skojarzył jedno z drugim.

Will nie chciał zniknąć z siatki współrzędnych, tylko dlatego że zapomniał podładować telefon.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Will się odwrócił. Spodziewał się, że zobaczy Tony'ego Della, ale facet, który wszedł do szatni, był muskularny, miał bujną czuprynę i tak kanciastą szczękę, że mógłby nią ciąć szkło.

Will od razu potrafił rozpoznać gliniarza. Zrobił dokładnie to, co zrobiłby Bill Black – zatrzasnął szafkę i skierował się do wyjścia.

Gliniarz pokazał odznakę.

– Detektyw Paul Vickery, policja w Macon.

Partner Leny. To ma sens. Will go zignorował. Najkrótszą drogą zmierzał do drzwi.

Vickery złapał Willa za ramię i obrócił gwałtownie. Był o dobrych kilka centymetrów niższy od Willa, ale miał odznakę i broń, i najwyraźniej poczuł, że to daje mu prawo, by zachowywać się jak dupek.

– Dokąd to? – Zerknął na imię wyszyte na koszuli Willa. – Buddy.

Will próbował załagodzić sytuację:

– Nie chcę żadnych kłopotów, dobra?

Vickery zakołysał się na stopach, najwyraźniej rwał się do bitki.

– No, ale chyba ich nie unikniesz, skurwielu. Gdzie Tony Dell?

Will wzruszył ramionami, uznając, że partner Leny nie powinien stawiać twarzą w twarz z facetem, którego samochód parkował pod domem, gdzie o mało nie został zamordowany Jared Long. I Lena zresztą też.

– Nie wiem, chłopie. Zapytaj w recepcji.

– Pytam ciebie, gnoju. Jesteś Bill Black, zgadza się? – Vickery nie czekał na odpowiedź. Wbił wzrok w szpitalny identyfikator wiszący na szyi Willa. – Twój szef twierdzi, że ty i Dell ze sobą trzymacie. Znacnie się jak łyse konie.

Will wyobrażał sobie, że Ray Salemi powiedziała by wszystko, byle tylko Paul Vickery wyszedł z jego gabinetu.

– To otwarty związek – odparł. – Obaj zgadzamy się, że możemy widywać również innych ludzi.

– Bardzo zabawne, dupku. – Vickery przysunął się bliżej. – Gdzie byłeś zeszłej nocy? Byłeś z Dellem, kiedy on i jego banda próbowali zlikwidować moją partnerkę?

Will załatwił już sobie alibi.

– Spytaj mojego kuratora. Koło północy złożył mi niezapowiedzianą wizytę.

– Sprawdzę to. – Małe oczka Vickery’ego zmrużyły się jeszcze bardziej. – Coś jest z tobą nie tak, dupku. Czuję to w trzewiach.

Will darował sobie oczywisty żart.

– Siedzisz po uszy w tym gównie. Śmierdzisz. – Jakby dla podkreślenia swoich słów Vickery pociągnął nosem. – Dell jest zawodowym kapusiem. To tylko kwestia czasu, kiedy cię zakapuje. Może go w tym ubiegiesz? Powiedz mi, co wczoraj zaszło, a uchronię cię przed więzieniem.

– Przykro mi, że nie mogę pomóc, panie władzo. – Will znowu próbował wyjść, ale Vickery zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersi.

– To twoja ostatnia szansa, żeby powiedzieć mi, gdzie jest twój chłoptaş, albo sam to z ciebie wycisnę – ostrzegł.

– Mówiłem, że nie...

Vickery walnął go pięścią w twarz. Will widział, na co się zanosi, ale nie starczyło mu czasu, żeby się uchylić. Zakręciło mu się w głowie. Strzeliło w szczęce. Poczł w ustach smak krwi. Odruchowo podniósł zaciśnięte pięści.

Zmusił się jednak, żeby je opuścić. Vickery był partnerem Leny. Will nie musiał długo się zastanawiać, by wyliczyć różne głupie rzeczy, które sam mógłby zrobić, gdyby ktoś zagroził Faith albo jej rodzinie.

– No dalej, Buddy. – Vickery pacnął Willa w twarz otwartą dłonią. – Chcesz mi oddać, Buddy? – Zagwizdał, jakby wołał psa. – Dalej, kolego. No już.

Will oderwał palce od wnętrza dłoni, żeby rozluźnić pięści. Zamiast spuścić Paulowi Vickery'emu zasłużony wpierdol, rzucił tylko:

– Wiesz, że tu jest kamera ochrony, prawda?

Vickery spojrział w górny róg szatni. Kamera była wycelowana w dół, czerwone światełko błyskało miarowo. Wydawał się rozważać, czy zatłuczenie Willa na śmierć jest warte utraty odznaki.

Najwyraźniej uznał, że nie.

– To jeszcze nie koniec – zapewnił. Kopnięciem otworzył drzwi i wypadł z szatni, przyciskając pięści do boków.

Will zerknął na kamerę zasilaną dziewięciowoltową baterią i do niczego niepodłączoną, ponieważ Sąd Najwyższy orzekł, że pracownikom przysługuje w szatni prawo do prywatności.

Można by pomyśleć, że detektyw policji o tym wie.

Will przejrzał się w lustrze nad umywalką. Vickery nie zrobił mu żadnej widocznej krzywdy. Wymacał językiem źródło krwi w ustach. Zęby rozcięły wnętrze policzka. Odkręcił kran i przepłukał usta. Rana zaczęła szczypać. Płukał usta tak długo, aż wypluwana ślina stała się tylko lekko różowa.

W kieszeni zabzyczał telefon. Przez słuchawki odsłuchiwał e-mail od Raya Salemiego, swojego uczynnego szefa. Will czytał słowa równoległe z metalicznym komputerowym głosem. Domyślił się, że Faith znalazła sposób, żeby umieścić go w jednym pomieszczeniu z Leną.

Na OIOM-ie przeciekała jakaś rura. Will został wyznaczony do naprawienia awarii.

Wchodził północnymi schodami na piąte piętro. Nie było to łatwe. Skrzynka z narzędziami z każdym krokiem robiła się coraz cięższa. Ciało Willa przypominało mu, że poprzedniej nocy spał zaledwie kilka godzin. Zwykle starał się każdego dnia przebiec osiem kilometrów, ale tryb życia Billa Blacka nie pozwalał na takie luksusy. Na trzecim piętrze Willowi zaczęła drzeć ręka. Przed czwartym dołączył do tego przeszywający ból w łydźwiach. Postawił skrzynkę na podłodze i otarł bandaną pot z czoła.

– Hej.

Spojrzał w górę. Faith przechylała się przez poręcz.

Popatrzyła w dół otwartej klatki schodowej, żeby się upewnić, że są sami, po czym spytała:

– Wchodzisz tu aż z piwnicy?

Chwycił skrzynkę z narzędziami i podjął wspinaczkę.

– Winda jest naprzeciwko poczekalni, przy drugich schodach.

– A nie mogłeś pojechać windą na czwarte piętro i dalej pójść schodami?

Will obserwował, jak kropla potu spływa mu po nosie i skapuje na betonowe schody.

– Will?

Pokonał półpiętro. Uśmiech Faith dawał do zrozumienia, że jej zdaniem jest głupi, ale ona na tyle uprzejma, by nie wyrażać tej opinii głośno.

– Przez ostatnie piętnaście minut bez przerwy sprawdzałam wszystkie drzwi.

– Uszkodziłaś rurę czy tylko udawałaś, że jest nieszczelna? – spytał.

– Pistolet na wodę. Sam zobaczysz. – Kiwnęła głową w stronę kolejnej kondygnacji. – Dasz radę?

Faith przeskakiwała po dwa stopnie. Przebrała się w regulaminowy strój – czarne tenisówki, beżowe spodnie i granatową koszulkę polo z długimi rękawami i jaskrawożółtymi literami GBI na plecach. Jasne włosy schowała pod dobraną kolorystycznie czapkę z daszkiem z tym samym logo. Do uda miała przypiętego glocka.

Will postawił skrzynkę pod drzwiami OIOM-u. Przez wąskie okienko zajrzał na oddział. Za kontuarem siedziała jedna pielęgniarka. Gliniarz, który pełnił straż pod drzwiami pokoju Jareda Longa, był tak młody, że miało się wrażenie, jakby był zrobiony z plastiku. Will uczestniczył już w śledztwach dotyczących postrzelenia policjanta. Jeśli policja w Macon jest podobna do innych oddziałów na świecie, wszyscy doświadczeni gliniarze walą teraz w drzwi i przyciskają informatorów.

Will ruszył schodami na górę w ślad za Faith. Bez dodatkowego obciążenia było to bardzo łatwe.

Pchnął metalowe drzwi. Od nagłego światła słonecznego łzy napłynęły mu

do oczu. Deszczowe chmury rozproszyły się, odsłaniając jasne błękitne niebo. Sądząc po ilości niedopałków, personel szpitala znał to wyjście na dach. Will popatrzył z góry na kompleks szpitalny. Pięciopiętrowy budynek stał pośrodku, dwa niższe budynki po jego bokach. Lekarze wynajmowali w nich gabinety. Na ile zdążył się zorientować, do dyspozycji było mnóstwo położników i pediatrów. Kilka razy naprawiał coś w salach porodowych, które przypominały raczej pokoje hotelowe. Większość zakładów przemysłowych i fabryk została zamknięta podczas recesji, ale mieszkańcy Macon nadal robili dzieci.

– Tutaj! – zawołała Faith.

Wyjście na dach osłaniała metalowa budka. Faith poszła na jej tył, żeby nikt ich nie zaskoczył.

– Sara? – spytał Will.

– Poszła na zakupy razem z Nell, matką Jareda. Nell chce posprzątać dom.

– Dom, czyli miejsce zbrodni?

– Ten sam.

Will zmarszczył czoło. Nie mógł sobie wyobrazić, że Sara pochwała ten pomysł.

– Pojadę tam później, żeby zobaczyć, czy wszystko z nią dobrze – powiedziała Faith. Zmrużyła oczy i przeczytała imię na jego koszuli. – Buddy?

– Należała do poprzedniego koleśka – skłamał Will. – Rozmawiałem rano z Tonym Dellem.

– No i?

– Było tak, jak sądziliśmy. Zachary i Lawrence zagadnęli go w Tipsie's. Mówili, że potrzebują paru ludzi do pomocy przy włamaniu.

– Tony ich znał?

– Twierdzi, że nie, że tylko widywał ich w barze. Wierzę mu na jakieś dziewięćdziesiąt procent. Ci faceci przesiadują z tyłu, razem z innymi wpływowymi typkami. Tony to zdecydowanie nie ta liga.

Faith wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i je założyła.

– Sprawdziłam to, co rano mówiła nam Branson. Nie kłamała, jeśli chodzi

o tych napastników. To zbiry średniego kalibru. Nie mają na koncie innych podobnie brutalnych zbrodni. A już na pewno żadnych morderstw na zlecenie.

– Jakie są rokowania co do Freda Zachary’ego, tego drugiego strzelca?

– Mnie nie pytaj. Nie mam do niego dostępu. Jego prawnik przeniósł interes do szpitalnej sali. Nie odstępuję go na krok.

– To musi chyba kosztować.

– Facet pracuje w bajeranckiej kancelarii z Savannah. Vanhorn i Gresham. Właśnie otworzyli biura w Macon. – Zerknęła na niego, żeby się upewnić, że wszystko chwyta. – To ten sam modus operandi co w Sarasocie i Hilton Head. Wielki Biały wkracza do akcji, organizuje lokalnych przestępców, załatwia im najlepszych prawników i eliminuje gliniarzy, którzy wejdą mu w drogę.

– Uzyskałaś coś od operatorów komórkowych? – spytał Will.

– Koło jedenastej czterdzieści Lena dostała esemesa od Paula Vickery’ego. Nic takiego, pytał tylko, co u niej. Piętnaście minut później do Longa dzwonił ktoś z zastrzeżonego numeru, który próbujemy namierzyć. To może potrwać do jutra.

– Piętnaście minut później?

– Tak, jakieś dziesięć minut przed atakiem.

Will zapatrzył się przed siebie, widok był dość przygnębiający – droga międzystanowa i ciągi sklepów wzdłuż niej.

– Może to po prostu jeden z kumpli Jareda?

– Może.

– Rozmawiałaś z zespołem Leny?

– Z jego pozostałościami. DeShawn Franklin zdaje się uważać, że to nic wielkiego. Paul Vickery to kutas.

Will przesunął ręką wzdłuż szczęki.

– To, że jego partnerka o mało nie została zamordowana, wytrąciło go z równowagi. Był tutaj rano i szukał Tony’ego Della.

– I znalazł?

– Jeśli Tony dostanie łomot, będziemy wiedzieli, że tak.

– Vickery wygląda mi na takiego – przyznała Faith. – Jasno dał mi do zrozumienia, że marnuję jego cenny czas, który mógłby poświęcić na szukanie tego, kto zlecił atak na Lenę i Jareda.

– Vickery uważa, że Bill Black jest w to zamieszany – powiedział Will.

– Pewnie też bym doszła do takiego wniosku. Black ma na koncie brutalne przestępstwa. Samochód Della znajdował się na miejscu zbrodni. Obaj pracują w tym samym miejscu.

– Mój szef powiedział Vickery’emu, że Tony Dell i Bill Black to bliscy przyjaciele.

– To miło. I jak się czujesz z tym piętnem?

– Marnie – przyznał Will. Powinien uważać przy Vickerym, jeśli będzie miał takiego pecha, że znowu spotka go na swojej drodze. – A jak było na posterunku?

– Na pozór są bardzo pomocni, ale jak tylko zaczniesz drażnić, odcinają cię od wszelkich informacji.

– Na przykład?

– Doniesienia o wykroczeniach. Codzienne raporty. Nie mają żadnej dokumentacji, co jest dość dziwne na posterunku policji.

– Wydawało mi się, że policjanci muszą wszystko zapisywać.

– Mnie też. Może powinniśmy zacząć pracować w Macon? – Oparła się o budkę. – Naczelnik Gray ma zgraną załogę, ale prasa siedzi mu na karku, i ta z Macon, i ta z Atlanty, do tego podobno ktoś widział furgonetkę CNN jadącą drogą numer siedemdziesiąt pięć.

– Wspaniale – wymamrotał Will. Rzadko zdarzały się sprawy, przy których obecność mediów działała na ich korzyść.

– Gray wysłał na ulice wszystkich sprawnych fizycznie gliniarzy, w tym siebie samego – powiedziała Faith. – Trzeba to przyznać staremu, że sam zakasał rękawy jak reszta. Zła strona jest taka, że Branson ma cały posterunek dla siebie. Dla siebie i Paula Vickery’ego. Mam przecucie, że DeShawn Franklin nie jest tym zachwycony. Został zwerbowany osobiście przez naczelnika Graya, gdy ten przejął wydział kilka lat temu. Musi mieć

konflikt lojalności.

– Myślisz, że się złamie?

– Nie, chyba że zostanie przyłapany w łóżku z martwą kobietą i żywym chłopcem. – Faith prychnęła. Will widział, że jest sfrustrowana. – Sprawdziłam konta bankowe Jareda i Leny. Przeszli test. Celica Leny została spleciona, jego furgonetce brakuje jeszcze roku. Oboje mają nieznacznie obciążone karty kredytowe. Jared ma jeszcze kilka tysięcy ze studenckiego kredytu. I kolejny tysiąc oszczędności. Żadnych dalekich wycieczek ani domów nad jeziorem. Może przesadzili trochę z kredytem hipotecznym, ale kto nie ma takich problemów?

– A sprawy, którymi się zajmowali?

– Toniemy w tych ich sprawach. Jared próbował wygrać jakiś konkurs na to, kto wypisze najwięcej mandatów. Lena ma na koncie tyle aresztowań. – Faith rozstawiła ręce na pół metra. – Czwooro pracowników wypożyczonych ze sztabu chce mnie zabić za to, że zasypałam ich papierami. Będą pracowali po osiemnaście godzin na dobę.

– Łatwiej ci będzie źle ich traktować, jeśli nie poznasz ich imion.

– Będę o tym pamiętać – odparła Faith. – W pierwszej kolejności poprosiłam o przejrzenie akt tego nalotu na melinę narkomanów, o której czytałeś w gazecie.

Will domyślił się, że wspomina o tym nie bez powodu.

– I?

– Wszystkie akta ma Wydział Spraw Wewnętrznych. Zgarnęli każdy najmniejszy skrawek papieru.

Wydział Spraw Wewnętrznych.

– To by się zgadzało. Podczas tego nalotu dwóch policjantów zostało rannych.

– Keith McVale i Mitch Cabello. Nie dziw się tak. Poznałam ich nazwiska tylko dlatego, że przejrzałam grafik dyżurów.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Jeden jest na Florydzie. Pojechał jako niezdolny do służby. A drugi właśnie dziś rano wypisał się ze szpitala. Nie odbiera telefonu i nie ma go

w domu. – Wyjęła z tylnej kieszeni spodni telefon i musnęła ekran kilka razy, żeby pokazać Willowi zdjęcia policjantów. – DeShawn Franklin. Mitch Cabello. Keith McVale.

Poza kolorem skóry wyglądali tak samo – kanciaste, ostro zarysowane szczęki. Podobnie jak Paul Vickery. Przypominali bardziej jednostkę wojskową niż oddział policji.

– Jest jeszcze trzeci koleś, który zniknął mniej więcej w tym samym czasie. Kolejny detektyw. – Uniosła rękę z telefonem, żeby Will mógł zobaczyć również jego zdjęcie. – Nie wiem, jaki to ma związek z tamtymi, ale Eric Haigh w dniu nalotu poprosił o zwolnienie administracyjne.

Will przyjrzał się fotce, która była taka sama jak poprzednie.

– Nieosiągalny? – domyślił się.

– W ogóle nie odbiera telefonu – potwierdziła Faith. – Déjà vu na całej linii.

Will wiedział, co Faith ma na myśli. Oddziały policji w Hilton Head i Savannah również zaobserwowały, że odkąd Wielki Białas zaczął panoszyć się w okolicy, wzrosła liczba wczesnych emerytur i próśb o przeniesienie.

– Podobną strategię Białas stosuje wobec dilerów – powiedział Will. – Jeśli zabijesz albo zranisz jednego gliniarza, łatwiej podporządkować sobie resztę albo się ich pozbyć.

– A wtedy Wielki Białas przejmuje rynek narkotykowy. – Faith zmieniła temat: – Rano byłam tak zdesperowana, że sprawdziłam nawet te twoje doniesienia prasowe. Uruchomiła wyszukiwarkę w telefonie. Od razu wyświetlił się dziennik „Macon Chronicle Herald”. – Wiemy już o tym nalocie na melinę, a w każdym razie wiemy, że do niego doszło. Te dwie uciekinierki to imprezowe dziewczyny, wróciły do domu następnego dnia po południu. Aresztowanie w szkole dotyczyło znanego dilera, który po raz enty pójdzie na odwyk. Ten facet na kiblu miał atak serca. Opisano go jako czterdziestotrzyletniego przedsiębiorcę. – Faith popatrzyła na Willa. – Szkoda, że nie jestem lepsza w wymyślaniu słownych gier.

– To przychodzi z czasem.

Zachichotała dobrodusznie.

– Ten nalot musiał być punktem krytycznym. Przyznaję to z przykrością,

ale Denise Branson jest dobra. Załatwiła mnie na cacy.

Will pracował już nad takimi sprawami. Oszczędził Faith dalszych domysłów.

– Biuro Spraw Wewnętrznych nie wyda żadnych papierów dotyczących nalotu, dopóki nie podejmie decyzji – wyjaśnił. – Zgodnie z prawem nie mogą omawiać żadnych kwestii związanych z tą sprawą, bo w grę wchodzi reputacja jednego lub większej liczby oficerów albo szykuje się proces sądowy. Wszyscy zamieszani w tę sprawę mają nakaz trzymania gęby na kłódkę, a zresztą i tak nikt by z tobą nie rozmawiał, bo jesteś tą złą z agencji stanowej, która wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Tak to właśnie wygląda w zarysie – zgodziła się z nim Faith. – Mam nastoletniego syna, więc powinnam przywyknąć do tego, że się mnie nienawidzi, ale to jest jednak zupełnie nowy poziom.

Will chciał ją zapewnić, że z czasem będzie lepiej, ale nie mógł kłamać.

Faith schowała telefon do kieszeni.

– Poszłam tam, spodziewając się, że zwrócą się przeciwko Lenie, ale oni ją tam wielbią. Mówią o niej tak, jakby była najlepszym detektywem w wydziale. Nie rozumiem tego. A kiedy ich pytam, co w niej jest takiego wspaniałego, patrzą na mnie, jakby to było zupełnie oczywiste, więc muszę być chyba kretynką, że tego nie widzę.

Will nie potrafił wyjaśnić, czym Lena zasłużyła sobie na tak bezgraniczną lojalność. Widział to już w Grant County. Jak na kogoś, kto bez przerwy coś zawala, miała nadspodziewanie dużo popleczników.

– A co z Denise Branson? – spytał. – Jakie ona wzbudza odczucia?

– Traktują ją chłodno, trudno się jednak dziwić. Stoi wyżej w łańcuchu pokarmowym. Jest pewna siebie. Jest kobietą. Trzy ciosy naraz. Co jeszcze wydobyłeś z Tony’ego Della?

– Wielki Białas to, Wielki Białas tamto...

– Zaczyna mnie to denerwować.

Will nie skomentował tego. Dużo rozmawiali o tym, jakie to niebezpieczne, że Tony Dell ciągle przywołuje jego przezwisko.

– Przekonałem go, że Wielki Białas pewnie będzie próbował nas zabić.

Jesteśmy zbędnymi świadkami.

– To ma sens. – Faith zapatrzyła się na autostradę. Will podejrzewał, że myśli mniej więcej to samo co on: nadeszła pora, by dopaść Wielkiego Białasa. Will będzie musiał jeszcze bardziej zacieśnić stosunki z Tonym Dellem, być może poprzez Caylę, pielęgniarkę ze szpitalnej apteki.

– Tony uważa, że powinniśmy umówić się na spotkanie z Wielkim Białasem – powiedział. – Przekonać go, że nie stanowimy zagrożenia. I zobaczyć, czy uda się ubić z nim jakiś interes.

Faith pokiwała głową, ale nadal nie patrzyła na Willa.

– Podaj mi szczegóły, jak tylko je poznasz – poprosiła.

– Może mogłabyś mi przykleić spluwę w kiblu za rezerwuarem? – Nie odpowiedziała. – Jak w tym...

– Widziałam *Ojca chrzestnego*.

Will także popatrzył na sznur samochodów. Droga międzystanowa numer 475 w porze lunchu zawsze była zakorkowana. Przy zjeździe tłoczyły się wszystkie możliwe sieciówki i fast foody.

– Wymyśliłaś już jakąś grę słów? – spytał. – Dla tego przedsiębiorcy na kłopie?

– Teraz nie wydaje mi się to już takie śmieszne.

Will znów zapatrzył się na samochody. Jakaś ciężarówka skręciła na niewłaściwy pas, żeby wyprzedzić furgonetkę. Rozległy się klaksony. Faith uniosła czapkę i schowała pod nią kosmyk włosów, który wysunął się spod spodu.

– Jak ona się czuje? – spytał.

Faith pokręciła głową.

– Z jej ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Zupełnie jakbym rozmawiała ze ścianą. Nie reaguje na nic. Nie patrzy na mnie. Myślałam nawet, czy nie podstawić jej lusterka pod nos, żeby sprawdzić, czy żyje.

Will czekał, aż Faith zorientuje się, że nie o nią pytał.

– Sara? W porządku – zreflektowała się. – Jest zmęczona. Nic nie mówiła, ale widzę, że obecność tutaj jest dla niej trudna.

Will pokiwał głową.

Wreszcie podniosła na niego wzrok.

– Musisz jej powiedzieć, Will. To się robi zbyt ryzykowne.

Potarł brodę. Czuł zgrubienie tworzące się w miejscu, gdzie uderzył go Vickery.

– Lena nic nie powiedziała?

Faith patrzyła na niego jeszcze przez sekundę i znów pokręciła głową.

– Najpierw weszłam tam do niej, jakby była po prostu jeszcze jednym świadkiem. Potem próbowałam rozmawiać z nią jak glina, ale przez cały czas czułam, jak pot spływa mi po plecach, bo nie mogłam przestać myśleć o tym, że to ja będę następnym gliną, który przez nią zginie. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Albo ty.

Will nie był pewny, co powiedzieć, więc też wzruszył ramionami.

Odwrócili się oboje, gdy usłyszeli rechotliwy śmiech. Na dach wyszła grupa lekarzy. Will ostrożnie wychylił się zza budki. Cały czas przesuwiał się wzdłuż metalowej ściany, przywierając do niej plecami. Żwirek chrzęścił, gdy lekarze szli w stronę krawędzi budynku.

Sprawdził, czy droga jest wolna, po czym wślizgnął się przez drzwi.

Zanim zaczął schodzić, przechylił się przez poręcz schodów. Skrzynka z narzędziami nadal stała przed drzwiami OIOM-u. Wziął ją i pchnął drzwi. Po czym stanęło mu serce, bo nie zajrzał najpierw przez okienko. Na szczęście po drugiej stronie nie było nikogo poza gliniarzem i pielęgniarzką.

Gliniarz położył dłoń na broni.

Will uniósł swój identyfikator.

– Obsługa techniczna. Dostałem zgłoszenie, że gdzieś tu przecieka rura.

Gliniarz zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem. Nadal trzymał rękę na broni.

– W porządku, oficerze Raleigh. – Pielęgniarzka wyszła zza kontuaru. – Jezu, Bud, trochę ci to zajęło. Przepraszam, pewnie to nie twoja wina – dodała zaraz.

– Mimo to przepraszam – odparł Will. – Trochę dłużej zeszło mi przy poprzedniej robocie.

– Jestem Ruth. – Uśmiechnęła się i wskazała gestem, żeby poszedł za nią.

Idąc korytarzem, Will przełożył skrzynkę do drugiej ręki. Był już raz na OIOM-ie w związku z syczącym klimatyzatorem. Oddział miał kształt podkowy i rozszerzał się za dyżurką pielęgniarek. Pokoje były małe, okna wychodziły na korytarz. Will domyślał się, że pacjentom OIOM-u nie zależy na świetle słonecznym, ale on na całym tym piętrze czuł się tak, jakby miał klaustrofobię.

Oficer Raleigh zablokował wejście do pokoju Jareda i chwycił identyfikator wiszący na szyi Willa. Przyglądał się uważnie zdjęciu Billa Blacka. Will stał na tyle blisko, że widział delikatny meszek na policzku młodego policjanta.

– O co chodzi? – Ruth wydawała się zmieszana. – To Buddy. Był już tu u nas wcześniej.

Will przyjrzał się kobiecie. Była od niego starsza, miała ciemne włosy, z siwymi odrostami przy przedziałku. Nie bardzo wiedział, dlaczego za niego ręczy. Will miał dobrą pamięć do twarzy i był pewny, że nigdy wcześniej nie spotkał tej pielęgniarki.

– W porządku. – Raleigh wreszcie przesunął się, żeby przepuścić Willa.

Wchodząc do pokoju, Will starał się nadać twarzy neutralny wyraz, jednak Lena, która siedziała skulona w fotelu w rogu, nie była aż tak ostrożna. Jej usta rozchyliły się w zdumieniu.

Ruth źle zinterpretowała jej reakcję.

– Przykro mi, skarbie – zwróciła się do niej. – Musimy sprawdzić ten zaciek. To potrwa tylko minutkę.

Will nie potrafił nad tym zapanować. Rozglądał się po pokoju, byle tylko nie patrzeć na Jareda.

– To tam. – Ruth wskazała brązową plamkę na suficie.

Will był na tyle wysoki, że gdy wyciągnął rękę, dotknął sufitu. Panel był wilgotny i pachniał jabłkami. Spojrzał na tacę z jedzeniem przy łóżku Jareda. Pojemniczek z sokiem jabłkowym był pusty.

Will opuścił rękę. Ruth obserwowała go w taki sposób, że poczuł się nieswojo.

Puściła do niego oko i powiedziała bezgłośnie:

– Jestem przyjaciółką Cayli.

Will próbował przywołać jedno z burknięć Billa Blacka, gdy wreszcie zjawiała się Faith.

– Co się tu, u diabła, dzieje? – Skierowała swój gniew na gliniarza. – Wiem, że naczelnik Gray nie tego cię uczył. Sprawdziłeś go?

Raleigh zawahał się. Szef wyraźnie budził w nim potężny strach.

– Facet ma identyfikator.

– Można takie kupić w Kinko. – Faith skinęła głową w stronę drzwi. – Idź na dół i sprawdź w dziale kadr.

– Tak jest. – Gdyby Raleigh był kilka lat starszy, powiedziała by Faith, gdzie sobie może wsadzić ten rozkaz, ale był nowy i podrywał się, ledwie pstryknęła palcami.

Ruth spojrzała na sufit i spytała Willa rzeczowym tonem:

– I co myślisz, Bud?

Will też spojrzał w górę.

– Myślę, że coś przecieka.

– Może moglibyśmy przenieść pana Longa do innego pokoju? – zasugerowała Faith.

Ruth pokręciła głową.

– Przez najbliższą godzinę będę tu tylko ja, a sama nie dam rady go przenieść.

– Mogłabym pomóc – zaofiarowała się Faith.

– Tak naprawdę to nie wolno nam...

– Tak czy owak, trzeba będzie opróżnić pokój – przerwał jej Will. Uniósł panel stropu i oświetlił latarką przestrzeń nad podwieszanym sufitem. W ciągu ostatnich dziesięciu dni zaglądał pod szpitalne panele stropowe prawie codziennie. Wiedział, że szansa na to, by znaleźć przynajmniej jedną podejrzanie wyglądającą rurę, jest całkiem spora, a jednak sieć linii przecinających sufit OIOM-u zaskoczyła go.

Odsunął panel, żeby wszyscy mogli zobaczyć, a sam starał się mówić

autorytatywnym tonem:

– To będzie tlen, kondensator klimatyzacji, rura starego typu z PCV. Będę potrzebował planu, żeby...

– Rozumiem – przerwała mu Ruth. – Zaraz zadzwonię do kierowniczkii i zobaczę, czy uda się ją tu ściągnąć.

Wyszła, a Faith deptała jej po piętach. Will nadal kierował strumień latarki na sufit, lecz spojrzenie przeniósł na Jareda Longa.

Twarz chłopaka była spuchnięta jak balon. Rurki wychodziły bodaj ze wszystkich części jego ciała. Powieki miał zaciśnięte. Dziurki od nosa oblepiała zaschnięta krew. Dłonie nabrały woskowożółtego koloru. Żaden gliniarz nie chciał oglądać innego gliniarza na szpitalnym łóżku. Will nie był przesądny, lecz teraz musiał stłumić dreszcz biegnący mu w górę po kręgosłupie.

Jared Long nie był jednak jedyną opowieścią ku przestrodze w tym pokoju.

Powoli, jakby się bała, że coś stłucze, Lena wyprostowała się w fotelu.

– Trzymasz się jakoś? – spytał Will.

– Nie. – Stała po drugiej stronie łóżka, obejmując się w pasie. – Sara nie wie, że to robisz, prawda?

Lena zawsze była przenikliwą obserwatorką, ale Will nie zamierzał rozmawiać z nią o Sarze. Obejrzał się przez ramię, sprawdzając, gdzie jest Ruth. Rozmawiała przez telefon. Faith była jak przyklejona do jej boku.

– Nie powiem jej. Nikomu nie powiedziałam – zapewniła Lena, pocierając górną wargą o dolną. Usta miała spękane i suche. – W końcu się o tym przekonasz. Jestem dobra w trzymaniu języka za zębami. Nauczyłam się robić, co należy.

– Co się stało zeszłej nocy? – zapytał Will.

– Strzelali do niego. – Lena na tym poprzestała, pomijając swój udział w zdarzeniach, co można było zresztą przewidzieć. Will i tak widział, że wciąż nie wyszła z szoku. Oczy miała przekrwione. Siniec pod okiem nadawał skórze ziemistą barwę. Wydawało się, że z trudem utrzymuje równowagę. Źrenice miała rozszerzone, Will nie był jednak pewny, czy to z powodu ciemności panującej w pokoju, czy od jakichś leków.

– Powiedz mi, co spowodowało ten atak – zażądał.

Powoli pokręciła głową.

– Ten nalot z zeszłego tygodnia? – Zamilkł na chwilę. – Dwóch policjantów zostało rannych. Brałaś w tym udział? Byłaś w tym zespole?

Zwlekąca chwilę z odpowiedzią.

– Nie wolno mi mówić o nalocie.

– Oboje wiemy, że nie zawsze przestrzegasz reguł.

– Zapytaj Branson.

– Pytam ciebie.

Znów pokręciła głową. Spojrzała na Jareda. Gdy zwróciła się do męża, jej głos był ledwie słyszalny:

– Przepraszam, kotku. Tak mi przykro.

– Leno, coś musiało spowodować tę napaść – nalegał Will.

Nie odpowiedziała.

– Czy Jared zatrzymał kogoś, kto mógłby chcieć go skrzywdzić? – spytał bardziej dyplomatycznie.

Rzuciła Willowi zdezorientowane spojrzenie, jakby nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że gliniarz patrolujący na motorze narkotykowy korytarz biegnący wzdłuż wschodniego wybrzeża mógłby znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji.

– Myślisz, że naraził się jakimś dilerom?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

Miał wrażenie, że się nad tym zastanawia.

– Zastrzeliliby go na miejscu.

Will wiedział, że ma rację, mimo to spytał:

– Jared o niczym nie wspominał?

– Tak naprawdę ostatnio w ogóle nie rozmawialiśmy.

Will nie skomentował tych słów. Nie zdziwił go ten małżeński konflikt. Pierwsze, co zobaczył, kiedy wszedł do ich domu, to poduszka i koc na kanapie.

– No a ty?

– Co ja?

Will znów obejrzał się na Ruth. Faith gestem dała mu znak, że nie zostało dużo czasu.

Starął się nie tracić cierpliwości.

– Cokolwiek doprowadziło do tego ataku... Wiem, że tego nie chciałaś. Nie jesteś złą osobą, ale zrobiłaś coś, przez co teraz jesteśmy tutaj, i musisz mi powiedzieć, co to było, żebym mógł zatrzymać zbrodniarza, który wydał na was wyrok.

Lena nie przestawała kręcić lekko głową. Trzymała się poręczy łóżka. Rozluźniła uścisk palców, tak że ich koniuszki muskały kołdrę, którą przykryty był Jared.

– Wiesz, że możesz mi zaufać – ciągnął Will. – Jestem tu nie bez powodu.

Nie zareagowała.

– Ta twoja partnerka. Długo z nią pracujesz? – chciała wiedzieć.

– Faith. – Will poczuł krew na języku. Niechcący przygryzł sobie ranę we wnętrzu policzka. – Jakiś czas.

– Jest dobra?

– Tak. – Spróbował zmienić taktykę: – Kim jest Wielki Biały?

To pytanie sprawiło, że otrząsnęła się z letargu. Zobaczył błysk gniewu, gdy na powierzchnię wyłoniła się dawna Lena.

– Co powiedziała Branson?

– Kim on jest?

– Nikim. – Teraz wydawała się naprawdę przestraszona. – On nie istnieje. Jest wymysłem, kłamstwem.

– Leno...

– Przestań. – W jej głosie brzmiał błagalny ton. – Posłuchaj mnie, Will. Jeśli kochasz Sarę, trzymaj się od tego z daleka. – Znowś ścisnęła poręcz łóżka. – Mówię poważnie. Nie mieszaj się do tego.

Will spojrział na pielęgniarkę. Zobaczył, że rozmowa telefoniczna dobiega końca. Zwrócił się do Leny:

– Porozmawiaj ze mną. Pozwól sobie pomóc.

Lena pokręciła głową. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Powinniśmy chronić ludzi. Powinniśmy zapewniać im bezpieczeństwo.

– Najlepszym sposobem, by zapewnić bezpieczeństwo Jaredowi, jest...

– Kto ma o tym decydować? – Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Ten odgłos przebił się przez szum aparatury. – Kto ma decydować o tym, czyje życie jest ważniejsze? – Położyła rękę na brzuchu. Przycisnęła ją, szeroko rozstawiając palce. – On by tego chciał – wyszeptała. – Jared chciałby, żebym tak właśnie zrobiła.

Faith odchrząknęła głośno, żeby zasygnalizować swój powrót.

Ruth była tuż za nią.

– Jak poważny jest ten przeciek? – zapytała Willa. – No wiesz, czy cały sufit się zawali?

Will się nie spieszył, wyłączył latarkę i wsunął ją w pętlę przy pasku. Wreszcie pokręcił głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

– Nie będę tego wiedział, dopóki nie dostanę się na górę.

Ruth westchnęła.

– Minie co najmniej godzina, zanim szefowa pomoże mi go przenieść. Możesz przyjść później?

Bill Black wziął górę nad Willem.

– Trzeba będzie zrobić kolejne zgłoszenie.

Ruth znowu westchnęła, ale najwyraźniej przywykła już do szpitalnej biurokracji.

– W porządku, Buddy. Tak czy owak, dzięki, że przyszedłeś.

Podeszła do Jareda i zaczęła sprawdzać urządzenia. Lena obserwowała ją niczym jastrząb. To było denerwujące, że tak po prostu stała. Poza tym, że prostowała palce, nie próbowała go dotknąć. Prawie nie patrzyła na jego twarz.

Ruth też musiała to odczuć.

– Możesz go dotknąć, skarbie – zwróciła się do Leny. – Nic mu się nie stanie. – Przyłożyła rękę do policzka Jareda. I zatrzymała ją tam, marszcząc

czoło.

Coś było nie tak.

Ruth przeniosła rękę na czoło Jareda. Potem na szyję. Na nadgarstek. Spojrzała na zegarek, sprawdzając mu puls i porównując go z migającą liczbą na monitorze. Will widział, że serce bije szybciej niż normalnie. Ciśnienie było niskie.

– O co chodzi? – spytała Faith.

– Po prostu jest trochę spocony. – Ruth chwyciła dźwignię i uniosła nogi łóżka. Pod stopami Willa zadrżała podłoga. – Jestem pewna, że to nic takiego, ale na wszelki wypadek wezwę doktora, dobrze? – powiedziała sztucznie wesołym tonem.

Energicznym krokiem wyszła z pokoju. Faith ruszyła za nią, chociaż Will wątpił, czy Lena powie mu coś więcej.

Wziął skrzynkę z narzędziami. Spróbował po raz ostatni:

– Leno, wiem, że wydaje ci się, że masz to wszystko pod kontrolą, ale tak nie jest.

Nie podniosła wzroku i wymamrotała:

– Nigdy nie byłam w stanie kontrolować niczego w swoim życiu.

Will czekał, dając jej jeszcze jedną szansę na wyznanie prawdy, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Stała tylko i wpatrywała się w Jareda. Dłoń nadal trzymała przyciśniętą płasko do brzucha. Jej usta poruszały się bezgłośnie, jakby w modlitwie.

Will nie miał innego wyjścia, jak sobie pójść. Ruth rozmawiała przez telefon, stojąc za kontuarem. Właściwie w żaden sposób nie zareagowała na jego widok, co uznał za zły znak. Stan Jareda był ewidentnie o wiele poważniejszy, niż sugerowała.

Ruszył korytarzem w stronę Faith. Czytała e-maile. A raczej udawała, że czyta. Will widział, że ekran jest ciemny.

Zatrzymał się parę kroków od niej i otworzył skrzynkę z narzędziami.

– I co? – spytała Faith cicho.

Znalazł bloczek z formularzami i długopis. Znów zerknął na Ruth. Siedziała tyłem do niego, przyciskając telefon do ucha. Mimo to ściszył głos.

– Ona kogoś osłania.

– Osłania samą siebie.

Will nie był tego taki pewny. Odhaczył kilka rubryczek w formularzu.

– Myślę, że brała udział w tym nalocie na melinę. Powiedziała mi, że nie wolno jej o tym mówić.

– Jasne, że brała udział. Nie zdziwiłabym się, gdyby to ona dowodziła.

– Ostrzegła mnie przed Wielkim Białasem.

Faith podniosła wzrok znad blackberry.

Will nadal wypełniał formularz. Potrzebował chwili, żeby zdecydować, czy powiedzieć Faith resztę. Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma wyboru.

– Powiedziała, że jeśli Kocham Sarę, powinienem zrezygnować z tej sprawy.

Faith znów wpatrzyła się w telefon. Przesuwała palcem po czarnym ekranie. Rzadko okazywała jakiegokolwiek emocje poza rozdrażnieniem, ale tym razem Will widział, że słowa Leny nią wstrząsnęły.

– Dlaczego mam przeczucie, że pięć lat temu powiedziała Jeffreyowi Tolliverowi to samo? – spytała.

7.

DZIEŃ PRZED NALOTEM

Lena siedziała przy biurku i wpatrywała się w monitor komputera. Ekran wypełniały fajerwerki. Wiedziała, że jeśli naciśnie dowolny klawisz, pokaże się pulpit. Wiedziała także, co będą zawierały poszczególne pliki – otwarte sprawy, zamknięte sprawy, dokumenty sądowe, zeznania świadków, zeznania podejrzanych – niekończące się ilości bajtów z danymi, które podsumowywały życie tysięcy ludzi.

Lenę obchodziło tylko jedno życie z tego komputera.

Tyle że ono już przestało istnieć.

Zamknęła oczy. Pozwoliła, by zawładnął nią ból.

Kiedyś została porażona prądem. Nie jak podczas egzekucji na krześle elektrycznym, ale jednak. Miała wtedy piętnaście lat. Pomagała Sibyl suszyć włosy. Obie stały przed lustrem w łazience. Jego tafla była zaparowana po niedawnym prysznicu. W powietrzu unosił się zapach pleśni.

W domu, w którym dorastały, instalację elektryczną zakładał ich wujek Hank, przywykły więc do dymiących gniazdek i strzelających żarówek. Zbudował także pozbawione półek regały na książki i wyburzył ściankę nośną, w wyniku czego dach kołysał się niczym grzbiet wielbłąda. Ledwie człowiek przestępował próg domu, wiedział, że wchodzi na własne ryzyko.

Dlatego Lena powinna wiedzieć, że nie należy włączać suszarki do kontaktu, jeśli najpierw nie wyłączyło się wentylatora. Prąd przeszył jej rękę, przebiegł w dół kręgosłupa, następnie poraził nogi aż po koniuszki palców, które dotykały mokrej po prysznicu podłogi. Wszystko rozegrało się jakby z opóźnieniem. Nie poczuła siły porażenia, dopóki nie zobaczyła wody na

podłodze. To niebezpieczne, pomyślała. Wysiadło światło. Poczuła odrętwienie w całym ciele. A potem, zanim zorientowała się, co się dzieje, leżała na podłodze, a Sibyl wrzeszczała do Hanka, żeby wezwał karetkę.

Teraz czuła się podobnie. Porażona. Sparalizowana. Jakby leżała na plecach. Jej ciało było naprężone. Nerwy w ogniu. Tyle że tym razem w pobliżu nie było nikogo, kto by jej pomógł. Tym razem była zupełnie sama.

Lena przyglądała się kolorowym pękom światła wybuchającym na ekranie komputera. Położyła dłoń na myszce. Przycisnęła ją delikatnie. Pojawił się pulpit. Przesunęła kursor na plik zawierający USG. Lena podarła zdjęcie, ale została jego cyfrowa wersja. Jej dłoń zamarła na myszce. Nie musi otwierać tego pliku. Nie musi oglądać tego zdjęcia. Ten obraz był na zawsze wypalony w jej siatkówkach. Za każdym razem, gdy go widziała, robiło jej się słabo.

Mały czarny pęcherzyk. Białe zagłębienia i wypukłości. Maleńki trzepot bijącego serca nie większego od kropli deszczu.

Jak mogła kochać coś tak bardzo, skoro nawet nie mogła zobaczyć tego gołym okiem? Jak mogła czuć serce bijące wewnątrz niej, skoro trzeba było maszyny, żeby w ogóle się dowiedziała, że ono tam jest?

Jak mogła tak łatwo to stracić?

Jak jedna potworna chwila mogła wymazać kilka tygodni szczęścia i zniweczyć perspektywę całego życia – gdy Lena o tym myślała, serce niemal wyskakiwało z piersi.

Kursor zawisł nad ikonką. Obraz zadrżał.

Zadzwoniła jej komórka. Lena zdjęła rękę z myszki i podniosła telefon.

– Detektyw Adams.

– Och. – Kobieta po drugiej stronie wydawała się zdziwiona tym, że Lena odebrała.

– Tak? – spytała Lena. Dotknęła myszki. Nie musi znów oglądać tego zdjęcia. Powinna się go pozbyć. Wyrzucić je do komputerowego kosza.

– Proszę pani? – odezwała się kobieta. – Halo?

– Tak. – Lena odwróciła się od komputera. Zmusiła się, żeby słuchać, co tamta mówi.

– ...z gabinetu doktora Benedicta? Widziałyśmy się wczoraj?

Nie znosiła ludzi, którzy podnoszą głos na końcu każdego zdania, nadając mu pytającą intonację.

– Dzwoni pani w sprawie rachunku? Jeszcze go nie dostaliśmy.

– Och, nie, oczywiście, że nie. – Kobieta wydawała się urażona. – Chciałam tylko sprawdzić, jak się pani czuje? Pani mąż mówił, że wróciła pani do pracy?

Lena potarła oczy. Zeszłej nocy Jared spał na kanapie. Kiedy obudziła się rano, już go nie było. Gdy przyszła do pracy, sprawdziła grafik. Zamienił się dyżurami z kolegą, żeby nie musieć jej widywać.

– Proszę pani?

Lena opuściła rękę.

– Życzy pani sobie czegoś?

– Doktor Benedict prosił, żebym do pani zadzwoniła i spytała, czy bóle ustały?

Lena położyła rękę na brzuchu.

– Jest lepiej – powiedziała, niepewna, czy mówi prawdę. Za każdym razem, gdy o tym myślała, miała poczucie, że to wszystko dzieje się od nowa. Ten potworny ból, który wyrwał ją z głębokiego snu. Panika, gdy usiłowała się ubrać. Strach, gdy pędzili do szpitala. Rozpacz, gdy usłyszeli słowa lekarza. Straszliwa kłótnia, w jaką wdała się z Jaredem po powrocie do domu.

Nie pozwalał Lenie wyrzucić zakrwawionej pościeli. Twierdził, że ona próbuje udawać, że to się w ogóle nie zdarzyło. Że jest bezduszna. Niezdolna do przeżywania żałoby. Że wyrzucenie pościeli to jej sposób na pozbycie się dowodów.

Jak gdyby Lena potrzebowała wizualnego przypomnienia tego, co straciła.

Co stracili oboje.

– Proszę pani?

Lena potrząsnęła głową, usiłując uwolnić się od tych myśli.

– Tak?

– Pytałam, czy nie występuje nadmierne krwawienie?

Lena nie wiedziała, co oznacza „nadmierne”. Nie miała punktu odniesienia.

– Pani Long? – Kobieta mówiła teraz serdecznym, współczującym tonem, który był dziesięć razy gorszy niż ta idiotyczna pytająca intonacja. – Mogę poprosić, żeby doktor Benedict wypisał pani zwolnienie. Nie powinna pani wracać tak szybko do pracy. Większość kobiet bierze kilka tygodni wolnego, czasami cały miesiąc, a nawet dwa, jeśli mogą sobie na to pozwolić.

– No, ja nie mogę – odparła Lena. Wczorajszy dzień był wystarczająco okropny. Wrócili ze szpitala koło dziesiątej rano. Lena spała przez całe popołudnie, a potem do późna w nocy kłóciła się z Jaredem. Myśl, że znów miałyby siedzieć uwięziona w domu, nie mając nic do roboty poza czekaniem, aż Jared pojawi się w drzwiach, była nie do zniesienia. Zresztą w pracy nikt nawet nie wiedział, że jest w ciąży.

Że była w ciąży.

– Mam mnóstwo pracy – powiedziała tamtej kobiecie.

– Na pewno, pani Long, ale wszyscy rozumieją. Pani strata...

– Dam sobie radę – przerwała jej Lena. Chciała ją poprawić, wyjaśnić, że ma na nazwisko Adams, że Jared poradził, by je zatrzymała, bo Lena Long brzmi jak jakiś produkt z telezakupów. Ale powiedziała tylko: – Nie potrzebuję zwolnienia. Dziękuję.

– Och, kochanie, proszę się nie rozłączać. – Kobieta była bardzo przejęta. – Powinna pani wrócić do domu. Być z mężem. Proszę mi wierzyć, może on tego nie okazuje, ale cierpi tak samo jak pani.

Lena znów przyłożyła palce do oczu. Jared jak najbardziej okazywał, że cierpi. To Lena stanowiła problem. Według męża była maszyną. A nie kobietą, z którą się ożenił. I nie miał pewności, czy jest kobietą, którą nadal chce mieć za żonę.

Lena spojrzała na zegar. Za pięć minut ma odprawę. Jej zespół na nią czeka. Powinna zakończyć tę rozmowę. Powinna się zamknąć. Ale te słowa wydobyły się z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać:

– Zastanawiałam się...

Zamiast zachęcać Lenę albo rzucać puste zapewnienia pytającym tonem,

kobieta milczała. To był dobry fortel. Lena stosowała go podczas przesłuchań. Ludzie mają naturalną potrzebę wypełniania ciszy, zwłaszcza gdy z jakiegoś powodu czują się winni.

– Miałam aborcję – wyznała Lena.

Kobieta nadal milczała.

– Sześć lat temu. – Lena przyłożyła dłoń do twarzy. Skóra była gorąca. – Zastanawiałam się...

– Nie. To nie miało nic wspólnego z tym, co stało się przedwczoraj w nocy. – W tej odpowiedzi czuło się pewną stanowczość. – Gdyby było inaczej, sama nie miałabym swojej dwójki.

Lena poczuła, że część napięcia uchodzi z jej piersi. Otworzyła usta, żeby zaczerpnąć powietrza. Chociaż przez tę jedną chwilę znów mogła oddychać.

– Proszę dać sobie czas na przeżycie żałoby – poradziła kobieta. – Będą państwo mogli spróbować znowu. Proszę mi wierzyć, to, co pani teraz przeżywa... z czasem jest łatwiej. Ból nigdy całkiem nie mija, ale staje się inny.

Lena wyjęła z szuflady biurka paczkę chusteczek. Musi wziąć się w garść. Jest w pracy. Musi przestać to rozpamiętywać. Mowy nie ma, żeby mogła dowodzić swoim zespołem, jeśli zobaczą ją szlochającą przy biurku. Wytarła oczy, wydmuchała nos.

– No dobrze – odezwała się. – Dziękuję. Muszę wracać do pracy.

– Pani Long. Leno. Naprawdę powinna pani pójść do domu. Niech pani sobie tego nie robi. Nikt nie dostaje medalu za bycie twardym.

– W porządku – odrzekła Lena bardziej stanowczym tonem. – Dziękuję za telefon. Muszę kończyć.

– Ale...

Lena rozłączyła się. Jeszcze raz wytarła nos. I oczy, aż zaczęły ją piec. Może w gabinecie lekarskim było inaczej, ale na posterunku policji bez przerwy dawano medale za bycie twardym.

Lena odwróciła się do komputera. Kliknęła na ikonkę pliku ze zdjęciem USG i przeciągnęła ją do kosza. Następnie kliknęła na kosz, plik i polecenie „opróżnij kosz”. Przez cały czas przyciskała palcem lewy klawisz myszki.

Waliło jej serce.

– Lee? – Paul Vickery gwałtownie otworzył drzwi i wszedł do jej pokoju. Nagle stanął. – Co się stało? Ktoś wyrwał ci włos z nosa?

– Głupie przeziębienie. – Lena przesunęła kursor, kliknęła „edycja”, po czym wybrała polecenie „cofnij opróżnij kosz”. Nie spojrzała na Paula, dopóki nie sprawdziła, że plik znów siedzi bezpiecznie na pulpicie. – O co chodzi?

– Podjęłaś już decyzję, szefowo?

Decyzję. Planowali nalot na przyszły tydzień, ale ich informator doniósł, że tej nocy ma być duża dostawa. Nawet zanim straciła dziecko, Lenie nie uśmiechało się przyspieszenie akcji. Chciała mieć więcej czasu na przygotowania. Najwyraźniej jednak nikt inny nie podzielał jej stanowiska. Ze wszystkich stron czuła presję, żeby działać od razu. Więcej forsy, więcej broni, więcej towaru, większe wyroki.

– Tak, wiedzą już wszyscy poza tobą – zwróciła się do Paula.

– Chciałem się tylko upewnić, siostrze. Nie musisz się tak zaraz rzucać.

Usłyszała w komputerze znajome pyknięcie. Nie tylko Paul się niecierpliwił. Denise Branson przysłała kolejny e-mail. Lena zerknęła na pierwszą linijkę, która bez zbędnych wstępów stwierdzała fakt, że po nadgodzinach z ubiegłej nocy śledztwo Leny przekroczyło pułap miliona dolarów.

– Cholera, dziewczyno. – Paul czytał jej przez ramię. – Wkurzyłaś ją nie na żarty. I co teraz zrobisz?

– Przejdzie jej, jak zobaczy swoje zdjęcie w gazecie.

– Vanhorn i Gresham – Paul czytał e-mail. – Prawnik Sida Wallera jest z tej kancelarii, co?

Lena zamknęła pocztę i wstała.

– Będziemy ciągnęli zapalki, żeby ustalić, kto pierwszy zejdzie do piwnicy. Ja będę je trzymała. Ciągnie jedna osoba z każdej ekipy.

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Mam przecucie, że nam się poszczęści, partnerze.

– Skończyliście wyklejać plan budynku?

– Tak. Musieliśmy powstrzymać DeShawna, żeby nie używał kątomierza.

– Świetnie. Musimy to ćwiczyć tak długo, aż będziemy mogli odtworzyć wszystko przez sen. – Lena wzięła kurtkę.

– W warsztacie jest dwadzieścia sześć stopni – zauważył Paul.

– Dzięki za najświeższą prognozę pogody. – Włożyła kurtkę, idąc korytarzem. Wciąż miała rozregulowane hormony. Przez cały czas było jej zimno, chyba że akurat się gotowała. O to powinna zapytać tę kretynekę z gabinetu doktora Benedicta, a nie o coś, co zdarzyło się sześć lat temu.

– Zamierzasz... – zaczął Paul.

– Cholera. – Suwak kurtki zaciął się na koszulce.

– Pokaż. – Paul stanął naprzeciwko niej. Zaczął manipulować przy suwaku, jakby miała trzy lata. Nie tylko on traktował ją ostatnio bardziej delikatnie. Lena domyślała się, że wydziela feromony kobiety w ciąży. A w każdym razie wydzielala.

– Chyba będziemy mieli problem z Erikiem – powiedział Paul. – Dziwnie się zachowuje.

– To znaczy?

– Jest zbyt cichy. Tamto w furgonetce było zabawne, ale on coś ukrywa.

– Co miałby ukrywać?

– No właśnie.

Lena patrzyła na palce Paula, gdy próbował wyciągnąć jej koszulkę spomiędzy ząbków suwaka. Pomyślała o małej niebieskiej kurteczce, którą zamówiła przez internet. Rodzina Jareda uwielbiała drużynę futbolową Auburn University tak bardzo, że przerodziło się to w obsesję. Lena nawrzeszczała na niego, że pomalował pokój dziecinny, ale w zeszłym tygodniu sama nie potrafiła oprzeć się pokusie zamówienia przez internet, na stronie Tiger Rags, bluzy z kapturem w barwach uniwersytetu Auburn w niemowlęcym rozmiarze.

Zapłaciła za kurteczkę z góry. Zastanawiała się, kiedy ją dostarczą. Którego dnia w bliskiej przyszłości wejdzie do domu i zastanie małą kurteczkę czekającą na małe rączki, które nigdy nie będą istnieć.

– Lee? – zagadnął ją Paul. – Jesteś tam?

Pokręciła głową.

– Za późno, żeby znaleźć kogoś na miejsce Erica. Będzie musiał stanąć na wysokości zadania.

Wreszcie udało mu się wyciągnąć materiał z suwaka.

– Ty jesteś szefem.

To słowo zazgrzytało; ostatnio zaczęło nabierać kpiącego odcienia.

– Ale ze mnie szczęściara – mruknęła.

Formalnie rzecz biorąc, ich szefem był porucznik, jednak z równania wykluczyła go szczególnie agresywna forma białaczki, a Denise Branson nie znalazła jeszcze odpowiedniego następcy. Z początku Lena z radością pełniła tę funkcję, teraz jednak dostrzegła minusy swoich nowych obowiązków.

– Cholera, udawaj mądrą – powiedział Paul, wypiął pierś i przywarł plecami do ściany w pozycji na baczność.

Lena nie musiała pytać dlaczego. Korytarzem szedł Lonnie Gray i rozmawiał przez komórkę. Kiedy zobaczył Paula i Lenę, rozłączył się.

– Aktualny stan sprawy? – spytał bez żadnego wstępu.

– Robimy próby. Tym razem nie będzie żadnych wpadek – zapewniła Lena. – Dopadniemy Wallera.

– Tak właśnie powinno się stać, detektyw Adams. – Ton Graya był surowy.

– Tak jest – odparła, wiedząc, że z nim nie ma żartów. Widziała niejednego detektywa, który opuszczał wydział policji w Macon wcześniej, niż planował, ponieważ rozczarował naczelnika. – Ma pan moje słowo, że cały zespół sprawdzi się na sto procent.

– Może pan na nas liczyć, panie naczelniku – dodał Paul takim tonem, jakby był trzecioklasistą, który przyniósł nauczycielowi jabłko.

– Świetnie. – Gray ruszył dalej korytarzem, zegnając ich krótkim skinieniem głowy. Lena prawie słyszała, jak Paulowi trzęsą się jaja. Ona czuła taki sam respekt przed Grayem, miała jednak nadzieję, że nie sprawia wrażenia, jakby robiło jej się mokro w majtkach za każdym razem, gdy naczelnik jest w pobliżu.

Gdy tylko szef zniknął, Paul klasnął w dłonie.

– Słyszałaś, co mówił. Załatwmy tego typa.

Ruszył przed Leną w stronę warsztatu. Był wyraźnie podminowany, i to nie tylko z powodu naczelnika. Stąpał na palcach w dziwny sposób, który nadawał mu nieco zniewieściały wygląd. Lena wiedziała, że odsłużył dwie tury w Afganistanie, zanim kawałek szrapnela utkwiał mu w ramieniu. Terapia przywróciła mu zdrowie fizyczne w stu procentach, lecz po powrocie do domu stracił ochotę do wojaczki.

Mimo to nadal lubił ostrą walkę – była to jedna z wielu cech, które dzielił z Leną. Z początku Lena sądziła, że podobieństwo temperamentów zagwarantuje im dobre partnerstwo, teraz jednak miała poczucie, że właśnie może odmienne podejście zapewniłoby równowagę.

Jednym z powodów, dla których Lena tak bardzo szanowała Jeffreya Tollivera, było to, że jeśli uważał, że ona nie ma racji, zawsze jej to mówił.

Paul kopnięciem otworzył drzwi warsztatu. Stukot metalu o metal poniósł się echem po przypominającym hangar budynku. Do tego warsztatu przywozili przechwycone samochody i łodzie, żeby móc rozłożyć je na części i szukać narkotyków czy innych nielegalnych towarów. Korzystali z dyżurki sierżanta. Gdy się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość, ale rozkaz to rozkaz. Lena dziwiła się, że Denise Branson nie odebrała im tego pomieszczenia. Była wystarczająco wkurzona na Lenę, by dać temu wyraz, a przecież Branson nie doszła do rangi majora, nie nauczywszy się po drodze, jak karać ludzi.

DeShawn Franklin, Mitch Cabello i Keith Vale stali wokół biurka sierżanta. Lena wysunęła się przed Paula. Wydłużyła krok, żeby jej nie wyprzedził. W Grant County była jedyną kobietą w oddziale. Zapisując się do policji, znała zasady. W każdej sekundzie dnia musiała walczyć, żeby utrzymać swoje miejsce w hierarchii.

– Hej, szefowo. – Mitch podniósł wzrok znad planu budynku, który dostali z biura poborcy podatkowego. – Przeziębłaś się?

Lena domyślała się, jak wygląda: oczy zaczerwienione od płaczu. Otarła nos wierzchem dłoni.

– Tak. Jared mnie zaraził.

– Nawet wiem, jak to zrobił. – DeShawn zaczął pojękiwać, a reszta zespołu natychmiast stworzyła pornograficzny chórek.

– Przymknijcie się, dupki. Właśnie wpadłam na korytarzu na naczelnika Graya. Dał jasno do zrozumienia, że albo wrócimy tu z Wallerem, albo możemy spadać z tego miasta. – Rzuciła DeShawnowi znaczące spojrzenie. – Ciebie też to dotyczy, chłoptasiu.

Mitch wydał gardłowy dźwięk rodem z kreskówki ze Scooby-Doo, chociaż wszyscy wiedzieli, że on akurat jest jednym z faworytów Graya.

Lena rozejrzała się po warsztacie. Mechanicy poszli na lunch, a sierżant dyżurny siedział pewnie obrażony w swoim samochodzie. Drużyna B obserwowała dom ubiegłej nocy. Lena pozwoliła im dzisiaj przyjść później. Podczas nalotu mieli za zadanie pilnować terenu przed domem, więc nie musieli powtarzać wszystkich szczegółów akcji wewnątrz budynku, tak jak reszta.

Ale i tak kogoś brakowało.

– Gdzie Eric? – spytała Lena.

– Sądząc po dźwiękach, wysrywa właśnie lunch – poinformował DeShawn.

Zerknęła na Paula, którego twarz wyrażała na ogół każdą myśl, jaka przelatywała mu przez głowę. Nadal niepokoił się o Erica. Może nie bez powodu. Parafrazując stare powiedzenie, żołądek Erica był oknem jego duszy.

– Coś nie tak, szefowo? – zagadnął DeShawn.

Lena próbowała przywołać swoje dawne wcielenie.

– Owszem, mam w zespole grupkę małych dziewczynek.

Jak można się było spodziewać, tę odpowiedź powitały wybuchy śmiechu i wskazywanie palcami.

Lena nie zwracała na nich uwagi. Spojrzała na betonową podłogę, na której wykleili plan budynku w skali jeden do jednego. Pokój telewizyjny, dwie sypialnie, łazienka, jadalnia, kuchnia. Mogli odmierzać kroki, żeby podczas nalotu wszystko robić odruchowo.

Jedyną niewiadomą była piwnica.

Zwykła zasuwka. Wpuszczany zamek. Rygiel. Nie sposób było stwierdzić, jak będą zabezpieczone drzwi, chociaż stracili mnóstwo czasu na rozważanie wszystkich możliwości.

Największy problem stanowiło tych czterech, może pięciu kolesiów, którzy zazwyczaj przebywali w domu. Czasami paru ćpunów zostawało na noc, lecz to zdarzało się na ogół po weekendowym imprezowaniu. Handel zaczynał się koło wpół do ósmej rano – dzieciaki w drodze do szkoły albo dorośli w drodze do pracy. Parę godzin później podjeżdżały dżipami mamy, szukając jakiegoś dopalacza, dzięki któremu przetrwają dalsze obowiązki dnia. W porze lunchu handel był niepewny, ale godziny szczytu zaczynały się o szesnastej trzydzieści i potem ruch nie ustawał właściwie aż do trzeciej nad ranem.

Wtedy właśnie zjawiał się Sid Waller. Jak w zegarku zjeżdżał z autostrady w Allman Road wyjazdem w kierunku północnym, skręcał w lewo w Redding Street i powoli sunął corvetta porytym koleinami zwirowym podjazdem pod melinę.

Zazwyczaj zostawał w domu przez trzy godziny. Nikt nie wiedział, co robił, kiedy tam był. O tej porze dnia wysyłanie informatorów było zbyt ryzykowne. Zresztą i tak zazwyczaj byli już wtedy nieprzytomni. Paul sądził, że Waller wypróbować towar. DeShawn uważał, że posuwa jakieś panienki. Denise Branson była zdania, że liczy forszę.

Lena modliła się, żeby robił wszystkie te trzy rzeczy naraz, żeby, kiedy już wreszcie dotrą do tej ciemnej wilgotnej nory, był zbyt nawalony, wyczerpany i przerażony, by reagować, i patrzył bezradnie, jak Lena zakłada mu kajdanki.

Podniosła wzrok. Wszyscy na nią czekali. DeShawn wpatrywał się w swoje dłonie, jakby próbował ocenić, czy potrzebuje manikiuru. Mitch i Keith mamrotali coś do siebie, bo ci dwaj nie potrafiliby się zamknąć, nawet gdyby przystawić im spluwę do głowy. Twarz Paula mówiła wszystko. Był jak szczeniak, wiercił się, niewiele brakowało, a posikałby się z podniecenia.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Eric Haigh uśmiechnął się z zażenowaniem, wchodząc do warsztatu. Paul miał rację, coś było z nim nie tak. Wydawał się zbyt niepewny, co stało się jeszcze wyraźniejsze, gdy dołączył do reszty zespołu w dyżurce. Wszyscy inni byli gotowi do akcji. Eric wyglądał tak,

jakby miał ochotę wymknąć się przez drzwi, którymi właśnie wszedł.

No cóż, każde z nich ma jakieś problemy w życiu.

– No dobrze, miłe panie – Lena klasnęła – decyzja została podjęta.
Rozwalamy tę spelunę jutro przed świtem.

8.

CZWARTEK

Sara siedziała na fotelu pasażera w furgonetce Nell i patrzyła na pejzaż Macon przesuwający się za oknem. Atlanta była miastem pełnym pięknych ogrodów i drzew, ale tutaj, w otoczeniu lasów, Sara czuła się jak w domu. Grant County, podobnie jak Macon, było miasteczkiem uniwersyteckim położonym w części stanu, która nadal poruszała się z mniejszą prędkością. Na sam widok drzew Sara nabierała poczucia, że jej płuca znów działają jak trzeba. Sęp na jej ramieniu chwilowo opuścił swoje stanowisko. Czuła się bardziej sobą.

Może nie tylko sceneria przyniosła jej ten wewnętrzny spokój. Podczas gdy Nell kupowała środki czystości, Sara zapamiętała wylewała wszystkie żale w długim e-mailu do siostry. Odpowiedź Tessy była równie długa, ale zamiast wypisywać banały w rodzaju „Bądź dzielna” albo „Zemsta jest słodka”, sporządziła listy: Dziesięć rzeczy, które uwielbia w Willu Trencie. Trzy najgłupsze dowcipy, jakie kiedykolwiek opowiedział ich ojciec. Osiem słów, które Tessa wypowiedziała przy Izzie, siostrzenicy Sary, przez które Tessa najpewniej trafi do piekła. Sześć powodów, dla których nikt nigdy nie zdoła upiec równie dobrych bułeczek jak ich babcia. Pięć rzeczy, które robiła ich matka, a one obie przysięgały, że nigdy, przenigdy ich nie zrobią, ale teraz robiły je niemal każdego dnia.

Jedynе bezpośrednie odniesienie do sytuacji Sary pojawiło się w postscriptum:

Proszę, tylko nie zacznij znowu słuchać Dolly Parton.

– Robię to przez cały czas – odezwała się Nell, wyrrywając tym Sarę

z zamyślenia.

– Co takiego?

– Przypominam sobie coś związanego z Jeffreyem i się uśmiecham. – Nell teraz też się uśmiechnęła. – Uwielbiał chodzić po lesie. W liceum ciągle chodził na piesze wycieczki.

Sara już otwierała usta, żeby wyprowadzić ją z błędu, ale się rozmyśliła.

– W porządku – odparła Nell. – Zachowaj tę opowieść dla Jareda, jak się obudzi. Wtedy wszyscy będziemy mogli się uśmiechnąć.

Sara kiwnęła głową. To była stała śpiewka, którą Nell rozpoczęła, gdy tylko wyszły ze szpitala. Musi zdobyć czystą piżamę dla Jareda, żeby ją włożył, jak się obudzi. Musi posprzątać dom, zanim Jared się obudzi. Sara nie miała jej tego za złe. Wiedziała, że tylko to nie pozwala jej się załamać.

Komórka Nell zaczęła pikać. Korzystała z GPS-u, żeby znaleźć dom Leny i Jareda.

– To chyba tutaj – wymamrotała, skręcając łagodnie w prawo.

Sara zacisnęła usta. Nell prowadziła jak staruszka, nigdy nie przekraczała dozwolonej prędkości, zwalniała, żeby przepuścić każdy samochód, który mógł sprawiać wrażenie, że chce włączyć się do ruchu. Od czasu do czasu zatrzymywała furgonetkę, żeby przeczytać drogowskaz albo skomentować zachowanie jakiegoś pieszego. Tkwiła w małomiasteczkowym czasie, gdzie szybka jazda uchodzi za chamstwo i gdzie nie używa się klaksonu, chyba że na jezdnię wybiegnie pies.

Przyglądała się domom stojącym przy ulicy.

– Nie najgorzej – skomentowała, co było z jej strony najbardziej pozytywną uwagą pod adresem Macon, jaką poczyniła, odkąd wsiadły do furgonetki. – Pewnie wszyscy wzięli plany z tego samego pisma.

Sara podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Osiedle cechowała pewna jednorodność, ale domy nie były za duże w stosunku do działek ani przeładowane dodatkowymi sypialniami, z których nikt nigdy nie skorzysta. Zadbane trawniki. Na podjazdach stały minivany. Na słupach werand wisiały amerykańskie flagi. Cała ulica doskonale pasowała na miejsce zamieszkania dwojga policjantów.

Nell nie potrzebowała już GPS-u. Zaparkowała obok białej furgonetki

techników GBI. Przy otwartych tylnych drzwiach stał Charlie Reed. Młodszy kolega podawał mu plastikowe skrzynki, które Charlie ustawiał ostrożnie we wnętrzu furgonetki. Sara rozpoznała szczelnie zamknięte woreczki z materiałem dowodowym, które pamiętała z czasów, kiedy pracowała jako lekarz sądowy. Przeszłość znów zaczynała ją osaczać, zwłaszcza gdy dostrzegła dwóch gliniarzy stojących przy radiowozie zaparkowanym na końcu ulicy.

– No cóż. – Nell westchnęła. Patrzyła na dom z przestraszeniem.

Sara domyślała się, że oczekiwała czegoś bardziej zbliżonego do chaty Baby-Jagi, a nie staroświeckiego, parterowego, oszalowanego na biało domku stojącego na szczycie stromego wzgórza. Tradycyjny podłużny budynek stał prostopadle do ulicy, a frontowe drzwi znajdowały się dokładnie pośrodku elewacji. Zamiast amerykańskiej flagi na werandzie powiewał pomarańczowo-niebieski sztandar Uniwersytetu Auburn.

Nell zdawała się pochwalać ten wybór.

– Przynajmniej nadal manifestuje swoje pochodzenie – powiedziała.

Sara wymamrotała coś, co można było uznać za słowa poparcia. Może to nie Nell, tylko właśnie Sara miała problem z faktem, że w tym domu mieszka Lena. Trawnik wyglądał jak ciemnozielony dywan. Wokół skrzynki na listy rosły wysokie petunie. Ścieżkę wiodącą do domu zdobiły kępy liriope. Frontowe drzwi zostały pomalowane na czerwono. Kolejne petunie wychylały się z drewnianych donic na werandzie. Sara nie wyobrażała sobie Leny dbającej o kwiaty, a co do dopiero siedzącej i robiącej notatki z książki na temat feng shui.

– Idziesz? – spytała Nell.

Sara otworzyła drzwiczki. Powietrze wydawało się chłodne w porównaniu z duszną szoferką furgonetki. Policjanci stojący na końcu ulicy przyglądali im się z ciekawością. Sara pomachała do nich. Odpowiedziały jej dwa skinienia głową.

– Zadzwoń do Possuma, żeby sprawdzić, czy rozmawiał już z pielęgniarką – powiedziała Nell do Sary. Otworzyła klapkę telefonu i wybrała numer. Drugą rękę oparła na biodrze. Czekając, aż Possum odbierze, spoglądała na dom.

Sara miała nadzieję, że Nell zmieni jednak plany. Przez pierwsze pół godziny jazdy dyskutowały zawzięcie o tym, z czym będzie się wiązać sprzątanie miejsca zbrodni. Sara nie szczędziła Nell drastycznych szczegółów. Była dość brutalna, ale wydawało się, że to jedynie potęguje determinację Nell.

– Co z nim? – spytała teraz Possuma.

Sara oddaliła się od furgonetki, by zapewnić jej prywatność. Gdy szła w stronę wozu techników, owiewał ją lekki wietrzyk. Rozcierała ramiona, żałując, że nie pomyślała o tym, by wziąć kurtkę.

– Doktor Linton. – Charlie Reed uśmiechnął się do niej. Byłby całkiem przystojnym facetem, gdyby nie starannie przystrzyżone i podkręcone wąsy, które nadawały mu wygląd piosenkarza zabawiającego gości w barze. – Proszę mi powiedzieć, czyżby Amanda wreszcie zdołała namówić panią na współpracę?

– Boże, nie. – Ostatnią rzeczą na ziemi, jaką Sara chciałaby robić, była praca dla Amandy Wagner. – Przyjechałam tutaj z przyjaciółką. – Wskazała Nell. – Jared Long jest jej synem.

– Och. – Uśmiech Charliego zbladł. – Chyba nie chce oglądać...

– Gorzej. Chce tam posprzątać.

Charlie gestem pokazał Sarze, żeby przeszła wraz z nim na przód furgonetki. Zerknął na Nell, pewnie żeby się upewnić, że ich nie usłyszy.

– Tam jest dość nieprzyjemnie. To znaczy, często bywa jeszcze gorzej, ale strzelali ze strzelby, no i doszło do ostrej walki. Ilość krwi...

Sara podniosła rękę.

– Chętnie natychmiast opuściłabym to miejsce, gdybym tylko zdołała ją przekonać, żeby pojechała ze mną.

Charlie spojrzał na Nell. Musiał dostrzec jej determinację.

– Dobrze chociaż, że ma panią jako wsparcie.

– Nadal próbuję ją przekonać, by tam nie wchodziła.

– Nie wygląda na osobę skłoną do zmiany zdania – zauważył. – Mogę zdać pani szybkie sprawozdanie, jeśli pani chce.

Sara kiwnęła głową, zawstydzona, że tak bardzo chce poznać szczegóły.

Charlie przybrał zawodowy ton:

– Mężczyzna, którego nazywamy napastnikiem numer dwa, wszedł przez frontowe okno. – Wskazał okno. Na białym obramowaniu widniały czarne smugi proszku do odcisków palców. – Najprawdopodobniej użył tutaj scyzoryka. Wsunął ostrze między ramy i wypchnął skobel.

Sara pokiwała głową. Metoda typowa dla włamywaczy.

– Sądząc po odciskach palców – ciągnął Charlie – możemy założyć, że napastnik numer dwa otworzył następnie frontowe drzwi i wpuścił do środka człowieka, którego nazywamy napastnikiem numer jeden. Ze śladów prochu na podłodze i ścianach możemy wywnioskować, że kiedy pierwszy napastnik oddał pierwszy strzał ze strzelby, stał w pokoju od frontu u wylotu korytarza. Miał remingtona osiemset siedemdziesiąt, kaliber dwadzieścia osiem, z odpiłowaną lufą.

Sara wiedziała z dawnych śledztw, że wystrzał z takiej odległości potrafi rozerwać półtoracentymetrową sklejkę. Naboje wylatujące z odpiłowanej lufy rozpryskują się na boki i prawdopodobnie tylko dlatego Jared nie zginął na miejscu.

– Czytałem szpitalny raport z przyjęcia pacjenta – powiedział Charlie. – Moje wstępne śledztwo na miejscu zbrodni potwierdza hipotezę, że naboje śrutowe skupiły się głównie na obszarze dwudziestu centymetrów w okolicy klatki piersiowej ofiary, w przybliżeniu między drugim a siódmym kręgiem piersiowym, kilka zaś przebiło czaszkę. Na miejscu zbrodni znaleziono parę nabojów, które utkwily w drewnie futryny. Możemy założyć, że większość trafiła w ofiarę.

Sara wyszła z wprawy w słuchaniu ludzi, którzy mówią w taki sposób, jakby składali zeznania.

– Jared stał w drzwiach?

– Tak. Ciało ofiary znajdowało się niemal dokładnie pośrodku otworu drzwiowego. Prawdopodobnie stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Według szpitalnego raportu nie stwierdzono ran z tyłu rąk czy dłoni. Miał na sobie pas z narzędziami, z którego, jak możemy domniemywać, detektyw Adams wzięła młotek.

Sara zastanawiała się nad tym już wcześniej. Nie wyobrażała sobie, żeby

Lena trzymała młotek w sypialni, chociaż kto wie, z czym ta kobieta mogła wyskoczyć.

– Adams użyła młotka do zlikwidowania pierwszego napastnika, w drzwiach sypialni – relacjonował Charlie. – Szpon do wyciągania gwoździ trafił tutaj. – Wskazał miejsce tuż poniżej swojego oczodołu. – Utkwił w oczodole i przebił ciało szkliste. Strzelba wypaliła po raz drugi, robiąc mniej więcej trzydziestodwucentymetrową dziurę w ścianie. W pewnym momencie napastnik upadł na podłogę, a młotek został wyszarpięty z jego twarzy. Znaleźliśmy rozbryzgi krwi i kości na ścianach, na wysokości mniej więcej dwudziestu pięciu do czterdziestu centymetrów nad podłogą, więc kiedy narzędzie zostało usunięte, prawdopodobnie leżał na podłodze. Rozbryzgi sięgnęły też sufitu, gdy młotek był unoszony. – Charlie się wzdrygnął. – Proszę wybaczyć, młotki mnie przerażają.

– Nie tylko pana.

– Ale jednak. – Znów się wzdrygnął. – W pewnym momencie napastnik numer dwa próbował przyjść tamtemu na ratunek. Ślady plasują go w odległości mniej więcej dwóch metrów od drzwi sypialni, w momencie gdy oddał trzy strzały z pięciopistoletowego rewolweru Smith&Wesson. Zamiast detektyw Adams trafił swojego kumpla. Nie mam pewności, jak do tego doszło, ale napastnik numer jeden stał tyłem do drzwi, kiedy został postrzelony. Zapewne upadł na podłogę wkrótce potem. Następnie w jakiś sposób upadł drugi napastnik, wtedy Adams ruszyła na niego.

– Drugi napastnik upadł, zanim go uderzyła?

– Padł na kolana – wyjaśnił Charlie. – Przepraszam. Znaleźliśmy we krwi odciski kolan i dłoni w miejscu, gdzie wylądował na podłodze. Najprawdopodobniej stało się to wtedy, gdy detektyw Adams uderzyła go w głowę kolbą strzelby. Na broni znaleźliśmy krew i włosy, a także rozbryzgi na ścianie i łóżku, czyli mniej więcej na wysokości osiemdziesięciu centymetrów od podłogi, co potwierdzałoby bejsbolowy zamach. Zabraliśmy wybite zęby jako materiał dowodowy, więc przynajmniej matka nie będzie musiała ich oglądać. – Znów zerknął na Nell. Skończyła już rozmawiać przez telefon i wyjmowała z tyłu furgonetki torby ze środkami czyszczącymi.

– Co się stało, kiedy drugi strzelec został już unieszkodliwiony? – chciała wiedzieć Sara.

– Przyszli sąsiedzi. – Charlie wskazał głową w górę ulicy. – Niedaleko mieszka dwóch policjantów, a także sanitariuszka i strażak. To znaczy pani strażak. Przywrócili Jaredowi akcję serca. Na szczęście dla mnie oficerowie dyżurni, którzy przyjęli wezwanie, nie wchodzili do sypialni. Kiedy przyjechałem, miejsce zbrodni było w niemal nienaruszonym stanie.

– Powiedział pan, że doszło do zatrzymania akcji serca? – upewniła się Sara. To by tłumaczyło, dlaczego zawieźli go do najbliższego szpitala, zamiast do centrum urazowego.

– Zgadza się. Jak rozumiem, sąsiedzi reanimowali ofiarę przez dobrą chwilę, zanim zjawiła się karetka. Dziwię się, że to przeżył, jeśli chce pani znać prawdę. Stracił dużo krwi. Według moich szacunków, ale proszę mnie nie cytować, dopóki nie dokonam precyzyjnych obliczeń, około dwóch litrów.

Sara przeanalizowała tę informację. Jeśli Charlie się nie mylił, Jared miał krwotok trzeciego stopnia, tracąc trzydzieści do czterdziestu procent objętości krwi. Problemy z oddychaniem i niewydolność poszczególnych organów stanowiły następstwa ostrej tachykardii. Gdyby nie sąsiedzi, którzy przywrócili Jaredowi akcję serca, Sara spotkałaby się z Nell w domu pogrzebowym, a nie w szpitalu.

A jeszcze należało wziąć pod uwagę, jak poważne były rany, które spowodowały krwawienie.

– Dzień dobry – odezwała się Nell. Ucha reklamówek wbijały jej się w dłonie, ale gdy Sara zaproponowała, że weźmie część zakupów, pokręciła głową. – Jestem Darnell Long, mama Jareda – przedstawiła się Charliemu.

– Charlie Reed. Pracuję w agencji stanowej. Bardzo mi przykro z powodu pani syna, pani Long. Wiem, że jest w dobrych rękach.

– Pan Bóg nigdy nie doświadcza nas ciężiej, niż możemy udźwignąć.

Charlie złożył dłonie.

– *Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności*[3].

Nell wydawała się zaskoczona, słysząc, że agent stanowy cytuje Biblię. Sara też się zdziwiła. Charlie nigdy nie wydawał jej się szczególnie pobożny. Ale też urodził się na Południu, a tam dzieci wysysają Pismo Święte z mlekiem matki.

– Powinienem wracać do pracy. – Uśmiech Charliego świadczył o tym, że ich reakcja sprawiła mu przyjemność. – Panie wybaczą. – Skierował się do swojej furgonetki.

– No cóż – mruknęła Nell, spoglądając za nim. Sara zaczynała rozumieć, że w tych słowach kryje się pewien element oceny, a po raz pierwszy Nell wypowiedziała je na widok pełnego parkingu przed lokalem ze striptizem obok sklepu z tanimi rzeczami. – O co chodzi z tymi wąsami? – spytała Sarę.

– Charlie to jeden z najlepszych specjalistów od medycyny sądowej w całym stanie. A przy tym bardzo miły gość. Angażuje się w swoją pracę.

– No cóż. – Nell nie dodała nic więcej. Ruszyła podjazdem pod górę. Torby były ciężkie. Sara widziała, że ich ucha wrzynają się Nell w palce, odcinając krążenie.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym pomogła ci je nieść? – spytała.

– Dam radę, dziękuję – odrzekła Nell, choć stękała, pokonując ostatni odcinek podjazdu.

Policyjny motocykl Jareda stał zaparkowany przed garażem. Reflektor nad drzwiami nadal był zapalony. Sara spojrzała na ulicę. Nie można było się nie zorientować, że mieszka tutaj policjant. Nawet w nocy reflektor oświetlał motocykl.

– Co z tym? – spytała Nell. Drzwi oplatała policyjna taśma, ale Charlie nie zaplombował jeszcze domu.

– Mają jej więcej – odparła Sara, zdejmując taśmę. Nie otwierała jeszcze drzwi. – Nell, muszę cię jeszcze raz ostrzec, że to zły pomysł. Tam będzie znacznie gorzej, niż myślisz. W tym domu doszło do brutalnej walki. Jared stracił dużo krwi. Krew będzie na podłodze, na ścianach, wszędzie. Stanowi zagrożenie biologiczne. Odpady medyczne należy odpowiednio zabezpieczyć. Naprawdę powinnaś zostawić to profesjonalistom.

Nell dźwignęła torby.

– Myślę, że potrafię sprzątnąć bałagan.

– Mogę ci pożyczyć pieniądze. Albo dać. Wszystko jedno...

– Nie – ucięła Nell, a jej ton jasno dawał do zrozumienia, że nie zamierza dyskutować. – Dziękuję.

Stała i czekała. Wreszcie Sara nacisnęła mosiężną klamkę i pchnęła drzwi.

W środku unosił się zapach charakterystyczny dla miejsca zbrodni – nie chodziło o metaliczną woń krwi związanej z utlenianiem żelaza, lecz o atmosferę strachu. Sara zawsze głęboko wierzyła w intuicję. Istniała taka część mózgu, która ostrzegała każdą żywą istotę przed niebezpieczeństwem. Ta część dała o sobie znać z chwilą, gdy Sara przekroczyła próg domu Leny i Jareda.

Tutaj zginął człowiek. Dwaj inni o mało nie zostali zabici. Kobieta walczyła tu o życie. W zatęchłym powietrzu nadal wisiała groźba przemocy.

Sara patrzyła na reakcję Nell. Jej postawa się zmieniła. O mało nie upuściła toreb.

– Może usiądziesz? – zaproponowała Sara.

– Nic mi nie jest.

– Usiądźmy.

Nell pokręciła głową. Rozejrzała się po pokoju od ulicy. Łączył funkcję salonu i kuchni. Przez okna wlewało się światło słońca. Wentylator wiszący pod sufitem nad kanapą pojękiwał cichutko, w miarę jak skrzydła się obracały. W tym pomieszczeniu nic złego się nie stało. Meble nie były przewracane. Ściany pomalowano na zgaszony odcień jasnej szarości. Nieład panował tylko w części kuchennej, która najwyraźniej była w trakcie remontu. Płaskie pudła z nieskręconymi szafkami tworzyły równy stos. Za zlew służyło wiadro wpuszczone w starą szafkę. Zmywarka stała w kącie, kabel i wąż odprowadzający wodę owijały ją niczym kokarda. Kuchenka została odsunięta od ściany, ale Sara widziała, że gaz jest podłączony.

– Jared jest równie beznadziejny jak Jeffrey – stwierdziła bez namysłu.

Jeffrey zawsze musiał mieć jakiś projekt w toku. Odszykowanie starego samochodu. Dodanie drugiej umywalki w łazience. Przerobienie kuchni. Naprawianie różnych rzeczy sprawiało mu satysfakcję, nawet jeśli nie doprowadzał sprawy do końca. Kiedy zaczął spotykać się z Sarą, za zewnętrzną ścianę kuchni służyła gruba plastikowa płyta. Lodówka stała w jadalni. Wąż ogrodowy był przerzucony przez okno i za pośrednictwem różnych zaworów podłączony do maszyny do lodu.

– Jeffrey zawsze lubił majsterkować – powiedziała Nell. Postawiła torby

na kuchennym blacie, czyli kawałku sklejkę opartej na deskach o przekroju pięć na dziesięć centymetrów. Przeciągnęła palcem po drewnie. Omiotła wzrokiem wiadro w zlewie, gołą, lecz porządnie zamiecioną podłogę. – Chyba nie mogę się przyczepić do tego, jak ona prowadzi dom. Niemożliwe, żeby to Jared tak tu wysprzątał.

Sara nie odpowiedziała. Lena zawsze była porządna. Jej biurko na posterunku wyglądało jak z katalogu artykułów biurowych.

– Ściągnę tu jego tatę, żeby to dokończył. – Nell wskazała głową stos pudeł. – Possum zmontuje je w ciągu jednego dnia. Pomogę mu zawiesić górne szafki. Z dołem da sobie radę sam. Nie wydaje mi się, żeby mieli tu blat, ale wybierzemy coś, co... – Urwała. Sara zobaczyła, że spogląda na kanapę. Leżała tam poduszka, a na niej starannie złożony koc. Obok, na stoliku do kawy, znajdowały się okulary, szklanka z wodą i plastikowy pojemniczek na aparat ortodontyczny.

– Hop! Hop! – Przez otwarte drzwi weszła Faith Mitchell. Poznała już Nell i Possuma w szpitalu. Sara przedstawiła ich sobie. – Dopiero przyjechałyście? – spytała agentka.

– Tak. – Nell nie mogła oderwać wzroku od kanapy. Wyglądało na to, że Faith dostrzegła rzeczy Jareda, ale tego nie skomentowała. Uśmiechnęła się do Sary w sposób, który dawał do zrozumienia, że i bez tego jest dość problemów.

– Widzieliśmy Charliego – powiedziała Sara.

– Nadal pakuje furgonetkę.

Nell zaczęła hałaśliwie rozpakowywać torby, z łoskotem stawiając butelkę wybielacza i pudełko rękawiczek na blacie ze sklejkę.

Faith chodziła po pokoju, podnosiła różne przedmioty, najwyraźniej chcąc zapoznać się z tym miejscem. Partnerka Willa była o rok od niego młodsza, ale zanim przeszła do GBI, pracowała w policji w Atlancie i była w równym stopniu pragmatyczna, co cyniczna. Sara nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej agentki jako wsparcia dla Willa. Bystra i kompetentna. Nie znosiła ryzyka. Innymi słowy, całkowite przeciwieństwo Leny Adams.

Była także piekielnie wścibska. Chodziła po pokoju z krytyczną miną, lustrując zasłony i meble z taką samą spostrzegawczością jak Nell.

Sara poczuła się nagle strasznie mało rozgarnięta. Nell nie przyjechała tu tylko po to, żeby posprzątać. Lena wygoniła ją ze szpitalnego pokoju Jareda, więc Nell postanowiła wtargnąć do domu Leny.

Nell skończyła rozpakowywać torby i oparła dłonie o blat.

– Chyba najpierw powinnam to zobaczyć.

Spieranie się z nią nie miało sensu. Nell była zdeterminowana, by przeć naprzód. Sara i Faith w milczeniu ruszyły za nią w stronę korytarza.

Nell nie zaszła daleko. Zatrzymała się przed łazienką dla gości. Zasłonka prysznicowa była odchylona. Obok butelki szamponu Axe leżał brudny kawałek mydła. Klapa sedesu była podniesiona. Na półce tłoczyły się męskie przybory toaletowe – dezodorant, maszynka i krem do golenia, szczoteczka do zębów, którą przydałoby się już wymienić na nową, i do połowy zużyta tubka pasty. Umywalkę, której Jared nie spłukał po goleniu, wypełniały krótkie włoski.

Nell szła korytarzem, mamrocząc:

– Wygląda na to, że z łazienki też go wykopała.

– Nie zgodziłabym się dzielić łazienki z facetem, choćby mieli mi zapłacić – mruknęła Faith równie cicho.

– Amen – westchnęła Sara, podążając za Nell korytarzem. Przeszła nad białym kredowym konturem narysowanym na podłodze w miejscu, gdzie Charlie pobierał jakiś materiał DNA. Sądząc po wyglądzie, Sara domyśliła się, że ktoś splunął na korytarzu, pewnie dla efektu.

Co tylko potwierdzało hipotezę, że napastnicy nie wybrali swoich ofiar przypadkowo.

Po obu stronach korytarza znajdowały się dwa pokoje. W pierwszym z nich urządzono gabinet. Drugi wyglądał na kolejny niedokończony projekt. Ściany pomalowano na wesoły odcień żółci. Drzwi do szafy leżały wsparte na dwóch kozłach. Nell, mijając ten pokój, pokręciła głową, pewnie dodając w myślach kolejny punkt do listy zadań Possuma. Zatrzymała się kilka kroków od sypialni.

Sara usłyszała, jak Nell gwałtownie nabiera powietrza. Gdy złapała się framugi drzwi, trzęsły jej się ręce.

Szacunkowe obliczenia Charliego były zbyt ostrożne. Mimo upływu czasu

kałuża krwi w miejscu, gdzie upadł Jared, wciąż jeszcze krzepła. Na mokrej powierzchni migotało światło. Brzegi kałuży przybrały rdzawy odcień wnikający w deski podłogi.

Reszta krwi wyschła przed wieloma godzinami, pozostawiając ciemnoczerwone ślady, świadectwo przemocy. Sufit i ściany nie były jeszcze najgorsze. Na podłodze odciski wielkich buciorów krzyżowały się wielokrotnie ze śladami gołych stóp Leny. Plamy. Rozbryzgi. Pojedyncze krople. Odciski kolan. Dłoni. Smugi w miejscu, gdzie dywanik musiał się zwinąć pod ciałem Jareda. Ślady sugerujące, że ktoś peźł w stronę łóżka. Kolejne odciski butów wskazujące, któredy sąsiedzi i pierwsi ratownicy podbiegli do rannego. Zapewne wszyscy, gdy stąd wyszli, byli cali we krwi. Krew dostała się nawet między płytki w łazience.

Ale to obszar przy drzwiach sypialni najwięcej mówił o tym, co się tu zdarzyło. To tutaj Jared został postrzelony. Tutaj Lena broniła się przed napastnikami. Rozbryzgi krwi, która już zaschła na ścianach i suficie, mogłyby wypełnić cały podręcznik medycyny sądowej. Różniły się wielkością i kształtem, zasięgiem i skalą, i mogły pomóc w odtworzeniu każdej sekundy bardzo gwałtownej walki, do której tu doszło. Chociaż odłamki zębów i kości zniknęły, a młotek i broń palna zostały zabrane jako materiał dowodowy, w kątach nadal czaił się cień śmierci.

– Nie mogę... Nie wiem, co... – Nell głos uwiązł w gardle.

Sara milczała.

Nell pociągnęła nosem, ale łzy nie popłynęły.

– Myślisz, że przetarcie na mokro mogłoby... – Urwała. Mocniej ścisnęła rozłupane drewno framugi.

Sara spojrzała na Faith, która tylko pokręciła głową.

– No dobrze. – Nell odepchnęła się od framugi i weszła do sypialni, ostrożnie kierując się w stronę komody. Chociaż starała się uważać, nie było sposobu, żeby uniknąć śladów rzezi. Jej tenisówki stąpały po zaschniętych odciskach stóp i dłoni.

– Jaredowi zawsze było wygodniej w pizamie. – Głos Nell był teraz wyższy. Zaczęła otwierać szuflady, które zapewne zostały już sfotografowane, a ich zawartość zinwentaryzowana przez ekipę Charliego. –

Żaden szanujący się mężczyzna nie przesiaduje w szpitalnej koszuli. Wiem, że będzie jak najszybciej chciał włożyć coś normalnego.

Sara stała przed drzwiami razem z Faith. Obie patrzyły w milczeniu, jak Nell przetrząsa rzeczy osobiste Leny i Jareda. Trzy górne szuflady najwyraźniej należały do Leny. Jej bielizna była głównie praktyczna, ale Nell i tak fukała, ilekroć znalazła coś, co jej zdaniem przekraczało granice przyzwoitości. Dolne szuflady zajmował Jared. Wypełniały je koszykarskie szorty, T-shirty i bokserki. Przez osiemdziesiąt procent dnia nosił mundur. Prawdopodobnie miał w szafie jeden garnitur na śluby i pogrzeby oraz kilka koszulek polo i spodni khaki na mniej formalne okazje.

Nell przerwała poszukiwania. Oparła ręce na biodrach i rozejrzała się po pokoju.

– Wiem, że nie przestał nosić piżamy.

Sara stała z zaciśniętymi ustami, dopóki Nell nie podeszła do nocnej szafki.

– Nell...

Podniosła wzrok, ale nadal trzymała rękę na gałce szuflady.

– To pewnie Leny. – Sara wskazała otwartą książkę, jakąś powieść romantyczną leżącą obok kremu do rąk i pomadki ochronnej.

– Chyba nie chce pani wiedzieć, co żona pani syna trzyma w nocnej szafce – odezwała się Faith, gdy Nell się nie poruszyła. I dodała: – Ani pani syn, jeśli mam być szczerą.

– Co to ma niby...

Przerwał jej odgłos silników motocyklowych. Sara odwróciła się. Frontowe drzwi były szeroko otwarte. Zobaczyła na ulicy przynajmniej sześciu motocyklistów. Na ile znała gliniarzy, przyjechali tu, żeby zaopiekować się matką Jareda. W samą porę.

Faith skorzystała z okazji i zaproponowała Nell:

– Może pójdzie pani porozmawiać z kolegami Jareda? Jestem pewna, że chcą się dowiedzieć, jak on się czuje.

– Nie mam czasu, żeby wszystkim matkować – burknęła Nell, jednak wyszła z pokoju.

– Rany! – Faith odczekała, aż Nell znajdzie się poza zasięgiem słuchu. – Ta kobieta ma żyletki zamiast ust.

Sara zachowała swoją opinię dla siebie.

– Rozmawiałas z Charliem?

– Już wcześniej zdał mi raport. – Faith znów zajrzała do sypialni. – Za kilka minut zadzwonią do Nell ze szpitala. Jaredowi skoczyła gorączka.

– Wdało się zakażenie?

– Tak powiedziała pielęgniarka.

Pielęgniarki rzadko myliły się w takich sprawach. Sara pomyślała o żelaznej determinacji Nell, o tych wszystkich planach, które robiła w ciągu ostatnich godzin, przewidując moment, kiedy Jared wreszcie odzyska przytomność.

– Jeśli on umrze, ona się z tego nie podźwignie.

– Silni zawsze załamują się najbardziej.

Sara opuściła nisko głowę.

Faith weszła do sypialni, stąpając po zaschniętej krwi z bezkarnością gliniarza.

– Chyba powinnam poszukać tej piżamy. Może dzięki temu będzie miała poczucie, że mu pomaga.

– Może. – Gdy Faith grzebała w szafie, Sara oparła się o framugę drzwi. Patrzyła na ślady stóp rozproszone po podłodze. Krew była tak zaschnięta, że się kruszyła, lecz Charlie bardzo uważał. Sara nadal mogła prześledzić ślady dzięki temu, że Lena miała małe stopy. Sara zawsze zapominała, jaka ona jest drobna – zaledwie metr sześćdziesiąt i pewnie nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów wagi.

Charlie Reed mówił, że pierwszych czworo ratowników przybyło z sąsiedztwa. Sądząc po krwawych śladach na podłodze, czekali przy drzwiach, podczas gdy inni kolejno reanimowali Jareda. A więc dwa zestawy odcisków wysokich buciorów należały do napastników. Obaj nosili kowbojki o wąskich plastikowych podeszwach, które zostawiły we krwi wyraźne wykrzykniki. Jeden miał w każdym obcasie wyrytą czaszkę z piszczelami. Drugi nosił kowbojki z rowkowaną podeszwą. Obaj bardziej obciążali

wewnętrzną krawędź stopy, pewnie od jazdy na motorze.

To nie były jednak wszystkie ślady.

Sara podeszła do łóżka, uklękła i zapytała Faith:

– Dwóch napastników, tak?

– Zgadza się. – Głos Faith był stłumiony, bo grzebała w szafie.

– Czwooro ratowników?

– Mhm... – Faith przeciągnęła to mruknięcie. – Tak. Dwóch gliniarzy, ratowniczka medyczna po służbie i dziewczyna ze straży pożarnej.

– A to czyje?

Faith się odwróciła.

Sara wskazała odcisk buta tuż przy szafce nocnej Jareda. On także pochodził z buta z cholewką, ale był większy niż pozostałe dwa, a na obcasie miał charakterystyczne logo antypoślizgowej gumowej podeszwy Cat's Paw.

Faith odwróciła się znowu w stronę szafy. Nie wyglądała na zaintrygowaną.

– Jestem pewna, że Charlie się tym zajął.

– Ale popatrz na te ślady. Lena była boso. Napastnicy w kowbojkach. – Wskazała pozostałe odciski. – Dwoje sąsiadów miało tenisówki, trzecia osoba przybiegła prawdopodobnie w kapciach, a czwarta w skarpetkach.

Faith wzięła z półki dwie pary spodni od dresu. Dodała do tego T-shirt z kosza na brudną bieliznę.

– To się chyba nada na piżamę.

Sara wstała powoli.

– Nie interesuje cię to, że być może był tu wczoraj jeszcze trzeci napastnik?

– Chcesz powiedzieć, że nie wykonuję swojej pracy jak należy?

– Nie. – Sara poczuła się słusznie skarcona. – Nie, oczywiście że nie.

– Zapominasz o sanitariuszach z pogotowia. – Faith wyliczała na palcach.
– Trzy ekipy, tak? Najpierw zabrali Jareda. Potem drugiego strzelca, a pierwszego zawieźli do kostnicy, to daje przynajmniej sześciu dodatkowych ludzi, czyli dwanaście możliwych odcisków butów. No i sam

pan Bóg wie, kto tu jeszcze łąził z gliniarzy z Macon.

– Charlie powiedział mi, że gliniarze, którzy przyjęli wezwanie, nie wchodzili do sypialni.

– Naprawdę? – Faith wydawała się niezadowolona, jednak Sara mówiła dalej:

– Powiedział także, że trochę trwało, zanim przyjechała pierwsza karetka. Mniejsza ilość krwi wysycha w ciągu pięciu, góra dziesięciu minut. Więc o ile któryś z sanitariuszy celowo nie wdepnął w kałużę krwi wokół Jareda, a potem nie podszedł tutaj, niemożliwe jest, żeby to którykolwiek z nich zostawił ten trzeci odcisk. Ktokolwiek zostawił ten ślad, był tutaj w chwili dokonania zbrodni. – Postanowiła nie owijać dłużej w bawełnę.

– W tym miejscu upadł drugi napastnik. – Faith starała się nadać swemu głosowi rozsądne brzmienie. – Jestem pewna, że jeden z pierwszych sanitariuszy sprawdził, co z nim. Prawda? Nie wpadli przecież do środka, zobaczyli jedno ciało, a na pozostałe dwa nawet nie spojrzeli.

– Sanitariusze najprawdopodobniej byli w butach firmy Pięć-Jedenaście Tactical. – Sara знаła te buty, specjalnie zaprojektowane dla ratowników medycznych i strażaków. – Ale niezależnie od tego, kiedy tu dotarli, krew na pewno zdążyła już wyschnąć. Nie widać żadnych innych śladów ratowników, prawda? Nawet wokół Jareda.

Faith westchnęła ciężko.

– Zeszłej nocy w tym pokoju sporo się działo. Nie sposób stwierdzić, skąd wziął się ten ślad. W porządku?

Sara kiwnęła głową, ale tylko dla świętego spokoju. Było jak najbardziej możliwe, a wręcz prawdopodobne, że jeden z ratowników, zanim opuścił dom, sprawdził stan drugiego napastnika. Niemożliwe natomiast, żeby stał nad ciałem i się nad nim nachylał. Ratownik uklęknąłby, sprawdzając oznaki życia. O ile nie był człowiekiem gumą, nie miał powodu wpychać nogi pod nocną szafkę.

– Posłuchaj, Saro. – Faith zamknęła drzwi szafy – wiem, że jesteś w tym dobra, ale to robota Charliego. Był tutaj praktycznie od chwili, gdy wyniesiono Jareda. Może to jego but zostawił ten odcisk albo but któregoś z jego ludzi. A może Charlie powiązał go z jednym z ratowników, który się

potknął czy stąpnął tam, gdzie nie powinien, albo coś. Charlie na pewno rozpatrzył wszystkie ewentualności i skojarzył z kimś ten ślad. Sama wiesz, jak to się odbywa. Nie pomija się żadnej hipotezy.

– Masz rację – zgodziła się Sara, jednak wystarczająco dużo razy widziała, jak Faith kłamie, żeby wiedzieć, jak to wygląda. Najwyraźniej wydarzyło się tu coś jeszcze.

– Chodź, zobaczymy, czy mój plan się powiódł – powiedziała Faith i wyszła z pokoju.

Sara uznała, że powinna pójść za nią. Raz jeszcze spojrzała na odcisk buta i wycofała się na korytarz. Nie mogła wyłączyć rozumowania lekarza sądowego, tylko dlatego że od wielu lat nie wykonywała tej pracy. Logo Cat's Paw wiele mówiło o właścicielu buta. Był oszczędny, wolał podzelać but niż go wyrzucić. Sądząc po rozmiarze, facet miał przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu albo i więcej. Wykonywał pracę, która wymagała nieprzewodzących, nieślizgających się podeszew – prawdopodobnie był mechanikiem, elektrykiem albo budowlańcem. Analiza laboratoryjna wykaże, czy na porowatej gumowej podeszwie pozostały ślady oleju czy innego osadu. Dzięki temu można zawęzić poszukiwania wśród znanych współników zbrodniarzy. Poza tym wystarczy podzwonić do szewców w okolicy, żeby zdobyć listę klientów, którzy kupili podeszwy Cat's Paw.

Czym prawdopodobnie właśnie teraz zajmuje się ktoś z ekipy Charliego.

Faith miała rację. Charlie był bardzo dobry w swoim fachu. Podobnie zresztą jak Faith. Jeśli coś ukrywali, prawdopodobnie mieli dobry powód. Chociaż Sara czuła co innego, musiała sobie przypominać, że patrzy na tę sprawę z zewnątrz.

Faith stała w otwartych frontowych drzwiach. Na ulicy policjanci na motocyklach otaczali Nell opiekuńczym kręgiem. Wszyscy wydawali się zrelaksowani i rozmowni. Sara była pewna, że opowiadają Nell o rozmaitych wyczynach Jareda. I nie miało znaczenia, czy te historie są prawdziwe, czy wysrane z palca. Nie ma lepszego łgarza niż gliniarz snujący niesamowite opowieści.

– Jestem w szoku, że mnie posłuchali – wyznała Faith. – Powiedziałam im, żeby zorganizowali zrzutkę na firmę sprzątającą. Uznałam, że nawet

nasza Żyleta nie będzie na tyle nieuprzejma, żeby im odmówić.

Sara mimowolnie się roześmiała.

– Całkiem sprytnie.

– To jedna ze sztuczek Amandy, ale nie mów jej, że ją stosuję. Ludzie myślą, że jeśli zatrudnią kogoś innego do sprzątnięcia własnych brudów, inni będą ich oceniać. Mam wrażenie, że to typowe dla Południa. – Cofnęła się do kuchni. – Zobaczą, czy uda mi się ich nakłonić, żeby dokończyli tę kuchnię. Jezu, sama bym go zabiła, gdybym przez niego musiała zmywać w wiadrze.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – uznała Sara. Wiadro miało dziurę w dnie prowadzącą do odpływu. Na kran nałożono kawałek węża ogrodowego, żeby zwiększyć jego zasięg. Dokładnie coś takiego zrobiłby Jeffrey – wszystko sklecone na słowo honoru, ale bezsprzecznie funkcjonalne.

Will natomiast byłby przerażony taką prowizorką. Miał wiele cech wspólnych z Jeffreyem, ale nie spoczął, dopóki nie dokończył projektu, i to porządnie i dokładnie. Albo przynajmniej w sposób, który go zadowalał. Willa do szału doprowadzało to, że robotnicy, którzy remontowali mieszkanie Sary, nie pomalowali górnych krawędzi wszystkich drzwi.

– Wyświadczysz mi przysługę? – Faith przetrząsała stos korespondencji leżącej na kuchennym stole. – Sprawdź, czy Nell nadal jest na zewnątrz.

Sara stanęła na palcach, żeby zobaczyć, co się dzieje u stóp wzgórza. Nell wciąż rozmawiała z gliniarzami.

– Tak. Bo co?

Faith rozdarła jedną z kopert.

– To nie jest sprzeczne z prawem? – spytała Sara.

– Tylko jeśli mnie złapią. – Przebiegła wzrokiem pismo, które wyglądało na fakturę. – Jared to otworzył, tak? Tyle że nie pamięta z powodu urazu głowy.

– Ściągniesz na siebie złą karmę.

– I nawet nie było warto. – Faith złożyła fakturę. – Miło mi cię poinformować, że cytologia Leny jest w normie. – Wsunęła kartkę do koperty. – Muszę powiedzieć Nell o Jaredzie. Lekarz powinien już do niej zadzwonić.

– Zaczekaj. Wiem, że ten temat pewnie się nie pojawi, ale Nell nie wie o Willu. To znaczy o mnie i o Willu. Razem. – Sara poczuła, że serce zaczyna jej walić, jakby wciskała kit własnej matce. – I chciałabym, żeby tak zostało.

Jeśli Faith była zdziwiona, nie okazała tego.

– Dobra, nie puszczę pary z ust.

Sara czuła się w obowiązku jakoś to wyjaśnić.

– Chodzi o to, że Will nadal jest oficjalnie żonaty i... – Zawiesiła głos. Nie było powodu kłamać. – Oni po prostu tak bardzo kochali Jeffreya. Nie zrozumieliby, jak zdołałam otrząsnąć się z żałoby. – Znowu urwała. – Czasami mnie samą to zdumiewa.

– Cieszę się, że tak się stało. – Faith oparła się o blat. – Will cię kocha, wiesz? Do szaleństwa. Z Angie nigdy taki nie był. Od dnia, w którym cię spotkał, jego stopy przestały dotykać ziemi.

Sara uśmiechnęła się, chociaż ostatnim, o czym chciała teraz myśleć, była nieuchwytna żona Willa.

– Poważnie – ciągnęła Faith – nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Zmieniłaś go. Sprawiałaś, że jest... – wzruszyła ramionami, jakby sama nie mogła w to uwierzyć – szczęśliwy.

Sara poczuła, że ni z tego, ni z owego łzy napływają jej do oczu.

– Ja też jestem dzięki niemu szczęśliwa.

– W takim razie tylko to się liczy. – Faith poruszyła brwiami. – *To także przeminie*[\[4\]](#).

Sara otarła oczy.

– Niepokojąca liczba osób cytuje mi dziś wersety z Biblii.

– Matka nadała mi biblijne imię. Mam być ucieleśnieniem wszelkich nadziei. To się nazywa myślenie życzeniowe. – Faith odsunęła się od stołu. – Naprawdę powinnam pójść po Nell. Jak poważna może być infekcja na tym etapie?

– Prawdopodobnie ściągną kogoś z Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób. – Centrum miało oddaną ekipę obsługującą okolice Atlanty. – Dobrze, że jesteśmy blisko.

– Nie brzmi to zbyt wesoło.

– Nie – przyznała Sara. – Infekcje są nieprzewidywalne. Ludzie różnie reagują na leczenie. Nie ma dwóch pacjentów, u których wynik byłby taki sam. Jeśli infekcja dotyczy serca czy mózgu, szanse na przeżycie są niewielkie, a powrót do zdrowia trudny. – Czują potrzebę, by dodać: – On jest młody i ogólnie zdrowy, a to ma ogromne znaczenie.

– Cholera, idzie. – Faith poczekała, aż Nell pokona stopnie werandy. W jednej ręce trzymała przesyłkę FedExu, w drugiej niewielką kopertę.

– Wygląda na to, że waszemu życzeniu stanie się zadość. – Nell wsunęła kopertę do tylnej kieszeni. – Mówią, że kiedy zdarza się coś takiego, organizują zbiórkę. Nie chciałam być nieuprzejma, ale przecież nie jestem inwalidką. – Jej ton był ostry, jednak Sara widziała ulgę malującą się na twarzy Nell. Głębokie zmarszczki na czole wygładziły się. Napięcie szczęki zelżało. – To miłe chłopaki. Nie powinnam narzekać.

– Czują się równie bezradni jak pani, pani Long – powiedziała Faith. – Dzięki temu, że mogą coś dla pani zrobić, nawet jeśli jest to coś, z czym dałaby sobie pani radę sama, czują się lepiej.

– Pewnie tak – przyznała Nell. Uniosła przesyłkę FedExu. Na odwrocie czerwonym markerem napisano słowo OSOBISTE. – Kurier zostawił to nam, kiedy staliśmy na ulicy. Przesyłka jest adresowana do Leny. Z adnotacją: „osobiste”. Nie wiedziałam, czy powinnam to otworzyć, czy nie.

– Jest adres zwrotny? – Faith nie sprawiała wrażenia zainteresowanej, ale Sara ją rozgryzła.

Nell zerknęła na nalepkę z adresem nadawcy.

– Rozmazany. Powinnam otworzyć?

Faith wzruszyła ramionami. Prawie przekonująco.

– Jeśli pani chce. Może to coś, czego Lena potrzebuje?

Nell zaśmiała się głośno.

– Czy tutaj funkcjonuje takie samo powiedzonko jak w Alabamie: „Możesz mi nasikać na twarz, ale nie wmawiaj mi, że pada deszcz”?

Faith odsłoniła zęby w uśmiechu.

– Tak myślałam. – Nell weszła do kuchni i wzięła z blatu swoją torebkę.

Sara nie zdziwiła się, gdy wyjęła z niej duży nóż gospodarczy, lecz Faith najwyraźniej tak. Uniosła brwi.

– Zobaczmy, co my tu mamy takiego osobistego. – Nell rozcięła kopertę z bąbelkami. Zajrzała do środka, mrużąc oczy, jakby nie była pewna, co właściwie tam widzi.

– Co to? – zainteresowała się Sara.

Nell wsunęła rękę do koperty.

– Nie...

Koperta upadła na podłogę.

Nell trzymała w rękach maleńką kurteczkę, taką, jaką kupuje się dla niemowlęcia. Była granatowa, z pomarańczowymi lamówkami na rękawkach i logo Uniwersytetu Auburn na plecach.

Nell rozchyliła usta ze zdumienia. Spojrzała na Sarę, potem na Faith i znów na kurteczkę. Uniosła kaptur wszyty w kołnierz i bez słowa wybiegła na korytarz, uderzając ramieniem o futrynę drzwi. Sara deptała jej po piętach, gdy Nell weszła do jednego z pokoiów.

– Nic mi... – Głos uwiązł Nell w gardle. Stała na środku pokoju, z całej siły ściskając kurteczkę w dłoniach. – Jak on mógł nic mi... – Z jej ust wydobył się zduszony płacz. Ukryła twarz w kurteczce. – O Boże!

Faith stanęła za Sarą. Usta miała zaciśnięte. Poczucie winy niemal promieniowało z jej skóry.

– To pokój dziecienny – wyszeptała Nell, przyciskając kurteczkę do piersi. – Urządzał pokój dziecienny. – Powiodła palcami po wyjętych drzwiach szafy. Narysowano na nich ołówkiem kontury kilku balonów. Na podłodze stały puszki z farbą w żywych kolorach. Obok leżały pędzle, gąbki i tacki na farbę.

Nell popatrzyła na Faith.

– Wiedziała pani – powiedziała zabójczo ostrym tonem.

Tym razem Faith nie uciekła się do kłamstwa.

Rozległ się dźwięk telefonu. Nell wyjęła komórkę z kieszeni.

– Possum, o co chodzi? – spytała drżącym głosem. – Jestem teraz zajęta. – Słuchała, pokiwała kilka razy głową, po czym zamknęła telefon i schowała go do kieszeni. – Jared ma infekcję – oznajmiła rzeczowo. – Mówią, że

powinnam wracać do szpitala.

– Zawiozę cię – zaproponowała Sara.

– Nie. – Nell przyłożyła kurteczkę do piersi. – Muszę pobyć sama, dobrze? Może ją pani odwieźć? – zwróciła się do Faith. – Potrzebuję trochę czasu dla siebie.

Nie czekała na odpowiedź. Wyszła z pokoju. Można było odnieść wrażenie, że wraz z nią uszło całe powietrze.

Faith westchnęła przeciągle.

– To było straszne.

Sara milczała.

Faith przyjrzała jej się uważnie.

– Sara?

Sara pokręciła głową, rozglądając się po pokoju dziecięcym, patrząc na smugi światła na podłodze. Żółte ściany były wesołe i ciepłe. Wyobrażała sobie firanki w oknach, szeleszczące w powiewach letniego wietrzyku. Na ścianach zostaną namalowane balony, takie same jak na drzwiach szafy. Kurteczka zawiśnie na maleńkim plastikowym wieszaczku – kolorowy akcent pasujący do wystroju wnętrza. To nie było ubranko dla noworodka, ale w wieku trzech do sześciu miesięcy dziecko Leny będzie wystarczająco duże, by je nosić.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam – odezwała się Faith.

Sara mogła tylko nadal kręcić głową. Bała się odezwać.

Jednym z ostatnich wspólnych planów Sary i Jeffreya była adopcja. Sara nie mogła mieć dzieci. Zanim ona i Jeffrey doszli do porozumienia w kwestii adopcji i zdecydowali, że są gotowi wychowywać razem dziecko, minęło wiele lat.

A potem Jeffrey zmarł, a Sara się rozsypała. Agencja adopcyjna odesłała ich podanie. Wtedy do Sary ledwie to dotarło. Nie potrafiła zająć się sama sobą, a co dopiero dzieckiem.

– Sara? – zagadnęła Faith. – Proszę, powiedz coś.

Żółć napłynęła jej do ust.

To nie w porządku.

Sara chciała to powiedzieć. Wykrzyzczyć na całe gardło.

To po prostu jest nie w porządku.

Lena nie jest silna. Ugnie się, ale nie załamie. Dojdzie do siebie po tej tragedii tak szybko, jak po wszystkich poprzednich.

Nawet jeśli straci Jareda, zawsze będzie wiedziała, jakie to uczucie nosić w sobie jego dziecko. Zawsze będzie mogła trzymać to dziecko za rękę i myśleć o tym, jak trzymała za rękę Jareda. Będzie mogła patrzeć, jak jej dziecko śmieje się, uczy, rośnie, uprawia sporty, realizuje szkolne projekty, kończy college, i Lena zawsze, zawsze będzie przypominała sobie zmarłego męża. Będzie widziała Jareda w swoich wnukach i prawnukach. Na łożu śmierci ukojenie przyniesie jej świadomość, że razem stworzyli coś pięknego. Że nawet po śmierci oboje będą żyli.

– Sara, co się dzieje? – spytała Faith.

Sara otarła oczy, wściekła, że znalazła się w tym samym mrocznym miejscu, z którego uciekła dziś rano.

– Dlaczego wszystko przychodzi jej tak cholernie łatwo? – Z trudem wydobywała głos. Gardło zaciskało się wokół każdego słowa, które chciało wydostać się z ust. – Wszystko układa się tak, że zawsze wychodzi bez szwanku z każdego doświadczenia... – Sara musiała przerwać, żeby nabrać powietrza. – Wszystko idzie jej tak gładko. Jest jej w życiu tak cholernie łatwo.

– Chodź. – Faith wskazała drzwi.

Sara nie była w stanie się ruszyć.

– Wyjdźmy stąd. – Faith ujęła Sarę pod rękę i wyprowadziła ją z pokoju. Sara sądziła, że wyjdą z domu, Faith jednak zatrzymała się przy kuchennym stole. Wzięła kopertę, którą wcześniej otworzyła.

Sara nie wzięła jej od niej.

– Mam gdzieś wynik jej cytologii.

– Zobacz, skąd to jest.

Sara rzuciła okiem na adres nadawcy. Centrum Medyczne Macon. Driscoll Benedict, ginekolog-położnik.

– I co z tego?

Faith otworzyła kopertę i rozłożyła fakturę z gabinetu lekarskiego. Podsunęła ją Sarze. Rachunek dotyczył wizyty sprzed dziesięciu dni. Kwota została wyzerowana, a obok widniała informacja, że szpital wystawi Lenie osobny rachunek za przyjęcie na oddział urazowy.

Na samym dole ktoś napisał: *Niech Bóg błogosławi Was oboje. Będziemy się za Was modlić.*

Sara wzięła fakturę od Faith. Ugięły się pod nią nogi. Usiadła przy stole. Nawet bez tych wyrazów współczucia rozpoznałaby medyczny kod na fakturze.

Lena straciła dziecko.

9.

Will jechał na motocyklu zaniedbaną drogą stanową, kręcąc głową niby wieżyczką strzelecką. Na takich podrzędnych drogach co jakiś czas trafiały się tiry, ale najbardziej niepokoiły go jelenie. Niecałe dziesięć minut temu jeden wypadł z lasu tuż przed nim. Wspaniałe stworzenie. Nie było na to innego słowa. Na jego piersi i grzbiecie falowały imponujące mięśnie. Smukłe nogi stawiał jak baletnica. Poroże miał rozłożyste niczym korona drzewa. Zwierzę nawet nie spojrzało w stronę Willa i dobrze, bo Will czułby się upokorzony, gdyby jakakolwiek żywa istota dostrzegła na jego twarzy paniczny strach. Nie potrzebował matematyka, żeby obliczyć swoje szanse na przeżycie po zderzeniu rozpędzonego motocykla z rozpędzonym jeleniem. Koroner do końca swoich dni wydobywałby kawałki Willa z klatki piersiowej zwierzęcia.

Domyślał się, że również w okolicach Atlanty żyją przeróżne dzikie zwierzęta, jednak prawdopodobieństwo spotkania z nimi było znikome, gdy stało się wśród drapaczy chmur i spoglądało na przejeżdżające obok autobusy, samochody i pociągi.

Natomiast jedno z jego najbardziej zaskakujących odkryć w Macon dotyczyło nie dzikich zwierząt, lecz przepaści, jaka dzieliła bogatych i biednych. W Atlancie skromny domek Willa od penthouse'u Sary, który z kolei znajdował się niedaleko kliniki dla narkomanów, dzieliło zaledwie kilka przecznic.

W Macon nie istniała dosłowna zła strona torów, lecz kręta aleja biegnąca skrajem miasta zdawała się wyznaczać granicę, za którą kończyła się lepsza część miasta. Stare rezydencje ustępowały małym domkom, te oszalowanym chałupkom i podupadłym osiedlom domów na kółkach, aż wreszcie niemalowanym budom. Prowadząc różne śledztwa w całym stanie, Will nieraz miał do czynienia z biedą, ale widok świeżego prania wiszącego przed budynkiem, który wyglądał tak, jakby nie było w nim bieżącej wody, działał

na niego szczególnie przygnębiająco.

Zwolnił. Mrużąc oczy, obserwował drogę przed sobą, wypatrując w oddali jeleni. W bliższej odległości dostrzegł żółtego volkswagena. To nie był nowy model garbusa, którym mógłby jeździć George Jetson, ale stary, wydający takie odgłosy jak prychające z pogardą dziecko. Tylny zderzak cały oblepiony był naklejkami. Zamiast świateł hamowania włączały się migacze. Will zredukował bieg. Garbus zjechał na przeciwległy pas, wykonując zniechęcający manewr zawracania, kierując się w stronę rzędu skrzynek na listy ustawionych na piaszczystym poboczu. Z okna wysunęła się ręka, zawartość skrzynki została sprawdzona, po czym garbus znów gwałtownie zawrócił. Gdyby Will nie uważał, mógłby wypaść z drogi.

Znów zredukował bieg i zjechał na pobocze naprzeciwko skrzynek. Sprawdził na komórce, która godzina. Na przebycie drogi, którą pewnie można by pokonać w dwadzieścia minut, zostawił sobie prawie sześćdziesiąt. Miał słabą orientację przestrzenną, a telefon, który wydawał instrukcje, by skręcić w lewo albo w prawo, dla dyslektyka nie był szczególnie przydatny. Poza tym wpadł w pułapkę poczucia winy. Sara nie była zachwycona jego tajną misją. A jeszcze mniej podobałaby jej się perspektywa jego randki z inną kobietą. Formalnie rzecz biorąc, nie wybierał się na randkę z Caylą Martin, jednak to, że pielęgniarka zdawała się tak właśnie traktować ich spotkanie, czyniło całą sytuację trochę niezręczną.

Po rozmowie z Faith Will uznał, że przyszła pora na konfrontację z Wielkim Białasem. Strawił prawie godzinę na szukanie Tony'ego Della. Cayla wydawała się całkiem dobrym planem awaryjnym. Z nią sprawa była znacznie prostsza – i to z wielu powodów. Will jadł lunch w szpitalnej stołówce, kiedy czyjaś ręka ukradkiem wsunęła liścik pod jego tacę. Zrobiła to z dużą wprawą. Wyglądało na to, że nikt niczego nie zauważył. Will chciał wierzyć, że stanął na wysokości zadania, dyskretnie chowając liścik do kieszeni, niczym Aldrich Ames[5]. Chociaż był przekonany, że słynny szpieg nie czytał swoich listów, ukrywając się w kabinie w toalecie.

19:00. Zjazd nr 12 z autostrady w lewo, potem w prawo w drogę gruntową. Jedyne domy z włączonymi światłami. Nie spóźnij się!!

Cayla narysowała uśmiechniętą buźkę pod wykrzyknikami, co jeszcze

wzmogło poczucie winy Willa. On zostawiał czasem takie buźki Sarze. Wysyłał je w SMS-ach. Ona też mu je wysyłała. A kiedyś, gdy wygłupiali się w łóżku, wycalowała mu je na całym brzuchu.

Zsiadając z motoru, Will westchnął boleśnie i przeciągle. Wysunął klawiaturę iPhone'a i wstukał dwunastocyfrowy kod dostępu do tajnych aplikacji. Ekran rozbłyskał jedynie na moment, więc trzymał palec w pogotowiu, żeby wybrać program maskowania numerów. Otworzyła się aplikacja. Wprowadził dziesięciocyfrowy numer.

Brzeg telefonu stukał o kask. Will rozpiął pasek i zawiesił kask na kierownicy motoru. Zanim Sara odebrała, rozległy się cztery wyjątkowo długie sygnały. W tle Will usłyszał dźwięki pianina i cichy szmer rozmów.

Zamiast „halo” Sara zapytała:

– Brunswick?

Will domyślił się, że program maskowania numerów zadziałał jak należy.

– Niezupełnie. – Usiłował zidentyfikować dźwięki w tle, które brzmiały raczej barowo, a nie szpitalnie. – Gdzie jesteś?

– Gdzie ja jestem? – Bardziej przeciągała samogłoski, co zdarzało się, gdy wyjeżdżała z miasta. – Piję szklaneczkę whisky w barze hotelowym Macon Days Inn.

Will natychmiast pomyślał o tych wszystkich łajdakach, którzy najpewniej próbują ją poderwać. Starał się zachować spokój.

– Ach tak?

– Tak. – Końcowe „k” zabrzmiało gardłowo. Will pomyślał o kształcie jej ust. O łuku warg. A potem wyobraził sobie jakiegoś idiotę ze złotym łańcuchem na szyi, przysuwającego się do niej bokiem i pytającego, czy chce dolewkę.

– To nie w twoim stylu przesiadywać w barze – zauważył.

– Nie – zgodziła się Sara. – Ale dzisiaj robię wiele rzeczy nie w moim stylu.

Will nie potrafił rozszyfrować jej tonu. Nie wydawała się pijana, co przyjął z ulgą. O ile wiedział, Sara nigdy dużo nie piła.

– Mógłbym tam pewnie dotrzeć koło północy, najpóźniej o pierwszej –

zapropował.

– Nie, słoneczko. Nie chcę cię widzieć nigdzie w pobliżu.

Will poczuł ukłucie strachu. Sara zazwyczaj mówiła do niego „słoneczko”, kiedy czegoś nie rozumiał. Czy domyśliła się, że jest w Macon? Rozważył wszystkie ewentualności, szukając słabych punktów. Faith by jej nie powiedziała – a w każdym razie najpierw uprzedziłaby Willa. Denise Branson nie była taka głupia, a nawet jeśli, nie miała pojęcia, kim jest Sara. Lena obiecała, że będzie milczeć, ale co za idiota ufa kobiecie, która zabiła faceta młotkiem, a potem kłamała na temat tego, co stało się później?

– Will?

Przemógł swoją paranoję. Jedno, co wiedział o Sarze na pewno, to to, że nigdy nie bawiła się w żadne gierki. Jeśli jego przykrywka byłaby spalona, żądałaby wyjaśnień, a nie słuchała pianina w barze.

– Jak Jared? – spytał.

– Niedobrze. – Przerwała, żeby się napić. Will usłyszał, jak odstawiana szklaneczka stuka o bar. – Jedna z ran pooperacyjnych uległa zakażeniu. Organizm doznał wstrząsu. Sprowadzili gościa z centrum kontroli chorób, żeby prowadził leczenie. Facet wie, co robi, ale... – Urwała. – Lena była w ciąży. Straciła dziecko dziesięć dni temu.

Nadal nie potrafił rozszyfrować jej tonu, był ostry. Sara nie mogła mieć dzieci, jednak to nie musiało mieć nic wspólnego z Leną.

– Czy Faith wie? – zapytał.

– Była tam ze mną. Można powiedzieć, że rozsypałam się na jej oczach.

Will spojrzął na motor. Powinien teraz zawrócić i jechać do Sary. Motel Days Inn znajdował się tuż przy zjeździe z drogi międzystanowej, niecałe pół godziny drogi stąd.

– Faith była dla mnie bardzo miła – mówiła Sara. – Myślę, że jeśli człowiek ma się rozsypać, dobrze mieć obok kogoś takiego jak ona.

– Tak. – Will usłyszał dudnienie dużej ciężarówki nadjeżdżającej drogą, jej światła przecinały zmierzch. Wibrujący hałas silnika zagłuszył słowa Sary. – Co mówiłaś?

– Nieważne. – Usłyszał dzwonienie kostek lodu i odgłos przełykania. –

Stoisz na poboczu?

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie. Rano byłeś dość wzburzona.

– No cóż, wieczorem nadal jestem dość wzburzona – zażartowała. – Wiesz, tata powiedział mi dawno temu, że pragnienie zemsty to tak naprawdę sączenie trucizny samemu i czekanie, aż znenawidzona osoba umrze.

– Czy to właśnie robisz?

– Nie wiem. – Urwała. – Mam poczucie, że bezprawnie wtargnęłam na jej teren. Że coś Lenie ukradłam. Coś osobistego, co nie należało do mnie. – Zaśmiała się ostro. – Wygląda na to, że zemsta nie jest tak słodka, jak sądziłam.

Will wpatrywał się w skrzynki na listy. Numery na drzwiczkach zostały namalowane lakierem w sprayu przez różne osoby, były w różnych kolorach. Na jednej skrzynce ktoś narysował stokrotkę. Na innej widniało logo Georgia Bulldogs.

– Tęsknię za tobą – powiedziała Sara.

Will widział ją niecałe dwanaście godzin temu, lecz słysząc te słowa, uświadomił sobie, że on też za nią tęskni. Próbował wymyślić jakiś sposób na wybrnięcie z tej matni. Powinien jej powiedzieć, jak bardzo mu przykro, że ma przed nią tajemnice. Jak bardzo mu przykro, że nie jest teraz przy niej. Że jest tchórzem i kłamcą i nie zasługuje na nią, ale wie na pewno, że bez niej rozsypie się w nicość.

– A zresztą – nagle jej ton się zmienił – jako że jedna szklaneczka whisky to zdecydowanie mój limit, powinnam wrócić do szpitala i dotrzymać towarzystwa Nell. Powiedziałam jej, że Lena straciła dziecko, ale ona już wiedziała. Pewnie od Leny. Nie wiem. Niewiele mówi. Oczywiście ja też, w każdym razie do Nell. – Sara zaśmiała się sztucznie. – Wybacz, że plotę bez sensu. Padam ze zmęczenia. Jestem na nogach od wczorajszego popołudnia. Próbowałam zasnąć, ale nie mogłam.

– Jedziesz potem do domu? – Will zaczął robić plany. Skończy z Caylą, a potem wskoczy na motor i pojedzie prosto do Atlanty.

Sara unieważniła ten pomysł.

– Zarezerwowałam już tutaj pokój na tę noc. Psom nic nie będzie, a ja nie

powinnam w tej chwili prowadzić taki kawał.

– Mógłbym po ciebie przyjechać. – Starał się nie błagać. – Pozwól mi.

– Nie. – W jej głosie nie było cienia dwuznaczności. – Nie chcę cię tutaj, Will. Nie chcę cię w to wszystko wciągać.

Poczuł, że wpadł w pułapkę własnych kłamstw.

– Tak mi przykro.

– Nie chcę, żeby ci było przykro. – Znowu urwała, jakby zabrakło jej powietrza. – Chcę, żebyś zrobił do końca to, co teraz robisz, gdziekolwiek to jest, a potem wrócił do mnie do domu, tak żebyśmy mogli zjeść kolację, porozmawiać i pośmiać się, a potem chcę, żebyś zabrał mnie do sypialni i...

Przejechała kolejna ciężarówka, Will usłyszał jednak każdy pornograficzny szczegół tego, co Sara wyszeptała do telefonu.

– Dasz radę to zrobić? – zapytała na koniec.

Will miał poczucie, że język nie mieści mu się w ustach. Odchrząknął.

– Zrobię to wszystko.

– To dobrze, bo tego mi właśnie trzeba, Will. A dzięki temu chcę poczuć, że znów jestem mocno osadzona w moim życiu. W moim życiu z tobą.

Pianino umilkło. Lód stuknął o szkło. Ktoś się roześmiał.

– To, co jest między nami, jest dobre, prawda?

– Tak. – Przynajmniej w tej kwestii mógł jej udzielić szczerzej odpowiedzi.

– To jest naprawdę dobre.

– Też tak uważam.

– Sara... – Will usłyszał desperację w swoim głosie, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, poza jej imieniem.

– Muszę kończyć.

– Nie musisz.

– Po prostu pomyśl o tym, co będzie później, dobrze? O nas w domu, o tym, co chcesz zjeść na kolację, albo może poszlibyśmy do kina lub na spacer z psami. Tak żebyśmy żyli naszym życiem. Ja o tym właśnie teraz myślę. I to mi pozwala przetrwać ten koszmar.

– Zrobimy to. Zrobimy to wszystko. – Czekał, aż Sara powie coś jeszcze,

ona jednak zakończyła rozmowę.

Will wpatrywał się w telefon, jakby w ten sposób mógł przywołać ją z powrotem. Nie żeby miał jej do powiedzenia coś szczególnie pocieszającego. Właściwie to podczas rozmowy był zbyt małomówny. Teraz to sobie uświadomił. Zmusił Sarę, żeby to ona mówiła, a oczywiście było, że czekała, aż on powie coś – cokolwiek – co przyniesie jej ukojenie.

– Idiota – mruknął.

Znów wybrał dwunastocyfrowy kod dostępu do aplikacji. Nie był dość szybki, kiedy ekran rozbłysnął. Zaczął od nowa wstukować kod, ale zatrzymał się przed ostatnimi dwiema cyframi.

Nie wiedział, co miałyby Sarze powiedzieć. Chciał do niej jechać. Mógłby tam dotrzeć w ciągu dziesięciu minut, gdyby zignorował wszystkie czerwone światła. Zrobiłby wszystko, czego chciała, i jeszcze więcej.

Ale potem ona zapytałaby go, jakim cudem przyjechał tak szybko.

Will miał dziesięć minut na wykombinowanie, jak jej to wyjaśnić. Piętnaście, jeśli w pobliżu Day Inn trafi na korki. Zdjął kask z kierownicy motocykla. Zauważył, że spory kawałek lakieru jest zdrapany. Zapiął pasek pod szyją. Wsiadł na motocykl i skręcił przednim kołem w stronę, z której przyjechał.

Nie miał już wyboru. Po tym telefonie jedyne, co mógł zrobić, to od razu jechać do hotelu lub do szpitala, usiąść z Sarą i powiedzieć jej, co dokładnie się dzieje. Faith miała rację, to robi się zbyt ryzykowne. Coś, co zaczęło się od małego przemilczenia, nawet nie kłamstwa, przerodziło się w gigantyczne oszustwo, które może zniszczyć ich związek.

Will nie zamierzał pozwolić, by Sara kiedyś z jego powodu sączyła truciznę. Podniósł wzrok na ciemniejące niebo. Hotel znajdował się koło lotniska, więc mógłby wykorzystać samoloty, by mieć pewność, że jedzie we właściwym kierunku. W każdym razie zakładał, że to o tym Days Inn mówiła Sara. To duża sieć. Prawdopodobnie w Macon jest więcej niż jeden ich hotel.

Opuścił wzrok akurat w porę, żeby zauważyć czarnego pick-upa stojącego na środku drogi. Przeciwniegi pas blokowała biała honda. Zwolnił, żałując, że nie ma przy motocyklu klaksonu. Nie było sposobu, żeby przejechać którąkolwiek stroną drogi – w każdym razie jeśli nie chciało się ryzykować

zsunięcia z nasypu. Will szorował butami po nawierzchni, zatrzymując maszynę.

– Hej! – krzyknął. – Zjedźcie z drogi!

– Wstrzymaj konie! – Kierowca pick-upa wychylił się z szoferki niemal do pasa. Will rozpoznał głos Tony’ego, zanim jeszcze dojrzał jego twarz. – Cholera, Bud, co ty robisz po tej stronie drogi? Cayla mieszka tam.

Wskazywał drogę gruntową odchodzącą w bok pod ostrym kątem. Wysokie drzewa zasłaniały skręt. Nie było żadnego znaku, żadnego drogowskazu, że jest tam coś jeszcze poza samą drogą. Will nigdy nie zdołałby jej znaleźć, a Cayla miała wystarczająco duże doświadczenie w takich gierkach, by wiedzieć, że lepiej będzie, jeśli da facetowi adres, który będzie musiał odszukać, a nie numer telefonu, który mógłby łatwo skasować.

– Chodź. – Tony machnął ręką, dając Willowi znak, by jechał za nim.

Will dodał gazu, udając, że nie stara się dostrzec kierowcy białej hondy. Zanim okno się zamknęło, zobaczył czubek głowy, ciemne falujące włosy i wysokie czoło.

Tony skręcił w drogę gruntową. Radio miał nastawione tak głośno, że melodia docierała do Willa. Lynyrd Skynyrd. *Free Bird*. Nie był szczególnie zdziwiony.

Will jechał w pewnej odległości za pick-upem, który wzbijał takie ilości czerwonego pyłu, że udusiłby słonia. Teraz nie mógł się już z tego wykręcić. Spędzi u Cayli góra dwie godziny, a potem znajdzie Sarę i zrobi to, co powinien był zrobić na samym początku.

Pewnie jedzie teraz do szpitala. Will nie bardzo może zaskoczyć ją w obecności przyjaciół, poza tym to, co ma jej do powiedzenia, powinien wyznać na osobności. Powie jej w hotelu. Nigdy dotąd tak naprawdę się nie pokłócili. Nie potrafił przewidzieć, jak Sara zareaguje. Może będzie rzucać przedmiotami i wyzywać go jak psa. Z drugiej strony nigdy nie widział, by rzucała czymkolwiek ze złości, rzadko też przeklinała – skutek uboczny przebywania przez cały dzień z dziećmi.

Może po prostu robi się milcząca, jak zawsze, gdy się czymś martwi. Will nie znosił, kiedy taka była. Chociaż to może być lepsze niż ta pierwsza ewentualność. Na pewno wiedział tylko to, że gotów jest położyć się przed

rozpędzonym pociągiem, byle tylko go nie zostawiła.

Tylne koła pick-upa Tony'ego zabuksowały, gdy wjechał w koleinę. Will ominął ten dół pełen błotnistej wody. Droga zwęziła się do jednego pasa. Will próbował rozeznac się w okolicy, ale widział tylko zarysy kilku domów. Dzień przechodził w noc. Tony był za daleko, żeby przednie światła jego auta mogły przynieść Willowi jakiś pożytek. Kolesz jechał z nogą na hamulcu. Tylne światła przemieniały czerwoną drogę w lodowatą czerń.

Will zastanawiał się, czy Tony prowadzi go na to odludzie, żeby go zabić. Facet nie wydawał się zdolny do popełnienia morderstwa, ale Will miał już okazję bardziej się zdziwić. Śmierć na ogół nadchodzi bez zapowiedzi. Mógłby się założyć, że ten czterdziestotrzyletni przedsiębiorca, który wykorkował na kiblu w zeszłym tygodniu, raczej nie planował tego, że znajdą go z opuszczonymi spodniami.

Mały podświetlony znak oznajmiał wjazd na osiedle domów na kółkach. Jego nazwę, wypisaną literami z mnóstwem zawijasów, otaczały palmy. Miejsce było zadbane, zaprojektowane na potrzeby rodzin. Przed werandami porządnie ustawiono dziecięce rowerki. Wszystkie kosze na śmieci wzdłuż drogi zostały opróżnione. Samochody parkowały równo na swoich miejscach. Przez zaciągnięte zasłony Will widział delikatną poświatę telewizorów.

Gdy osiedle domów na kółkach zniknęło z bocznego lusterka Willa, droga znów zrobiła się szersza. Spojrzał przed siebie, mrużąc oczy. Dostrzegł uniesioną rękę Tony'ego. Pstrykał palcami w takt muzyki. *I want your sex* George'a Michaela. W takim miejscu, z dala od cywilizacji, za podobną piosenkę można zostać zabitym, ale Will domyślał się, że Tony ma to gdzieś.

Nagle droga gruntowa przemieniła się w brukowaną uliczkę. Motor wierzgnął. Na szczęście Will nie jechał szybko, bo inaczej wywinąłby kozła przez kierownicę.

Latarnie oświetlały każdy skrawek brukowanej nawierzchni. Wylano fundamenty na setki domów, ale deweloperowi albo skończyły się pieniądze, albo uciekł z miasta. Pewnie jedno i drugie. Z wylanych kawałków betonu rury sterczały niczym wykałaczki. Co absurdalne, przy niektórych podjazdach stały skrzynki na listy, bez domów. Na innych chwasty rozsadzały białe betonowe chodniki.

Dom Cayli Martin był jednym z czterech ukończonych budynków na końcu ślepej uliczki. Macon nie było jedynym miastem w Ameryce, gdzie można było spotkać porzucone w trakcie roboty tereny pod zabudowę, ale działka Cayli prezentowała się wyjątkowo smutno. Trawnik porastały chwasty. Jedyne smętne drzewko przy frontowych drzwiach było pochylone i na wpół uschnięte. Od samego początku nikt nie dbał o ten dom. Z elementów dekoracyjnych odłaziła farba położona na niegruntowane drewno. Część okien wstawiono krzywo. Nawet frontowe drzwi przechylały się dziwnie, jakby zostały zamontowane na odczepnego. Will zastanawiał się, czy ktoś, kto budował ten dom, był spokrewniony z leniwym osłem, który remontował apartament Sary.

Tony Dell wjechał na krótki podjazd i zaparkował pick-upa za czarną toyotą. Drzwi się otworzyły i Tony właściwie wypadł ze środka. F-250 był dla niego za duży, wyglądał w nim jak dzieciak paradujący w butach ojca. Tony podszedł do Willa w półmroku takim właśnie radośnie chwiejnym krokiem.

– Cholera, Bud, nie odmarzają ci jaja na tym rumaku?

Will wzruszył ramionami, chociaż Tony miał rację, było zimno. Wskazał głową pick-upa.

– Skąd go masz?

– Pożyczyłem od znajomego.

– Miły ten znajomy – stwierdził Will. Pick-up był zdecydowanie lepszy od skonfiskowanej kii Tony’ego.

– Mam nadzieję, że nie planowałaś niczego romantycznego na ten wieczór. – Tony wsunął ręce do kieszeni, idąc w stronę domu. – Można powiedzieć, że trochę się wprosiłem. Od jakiegoś czasu Cayli cieknie kran, więc powiedziałem, że wpadnę i go naprawię.

– Ona wie, że przyjedziesz?

– Jasne – odparł Tony, ale jego głos zrobił się trochę bardziej piskliwy, niż nakazywałaby uczciwość. – Wcześniej skończyłaś pracę?

– Trochę. – Szefowi Willa zostało sześć miesięcy do emerytury i miał kobitkę na boku. Will już miał powiedzieć coś obraźliwego o zwyczajach Salemięgo, ale Tony Dell stanął pod lampą werandy i Willowi odebrało

mowę.

Ktoś skopał małemu gębę. Trudno było ująć to inaczej. Nos miał przekrzywiony. Oczy podbite. Długie, otwarte rozcięcie na policzku zostało zszyte grubymi czarnymi szwami.

Tony uśmiechnął się pomimo bólu, jaki musiało mu to sprawić.

– Gliniarz mnie dopadł.

– Vickery? – domyślił się Will. Wcześniej żartował na ten temat z Faith, ale teraz, kiedy zobaczył dzieło Paula Vickery’ego, to przestało być śmieszne. – Jak to się stało?

– Spoko, Bud. – Tony podniósł ręce w obronnym geście. – Nic mu nie wygadałem. Chłopak chyba po prostu musiał komuś wpieprzyć. To mogłeś być ty. Ale padło na mnie.

Will nie mógł uwierzyć w nonszalancję małego.

– Złożysz na niego skargę?

Tony dosłownie ryknął śmiechem.

– Cholera, nie rozśmieszaj mnie, Bud. Jakby oni dla nas pracowali, czy jak! – Uniósł rękę, żeby zapukać do drzwi. – Zachowuj się tak, jakbyś to ty mnie zaprosił, dobra?

– Jak...

Cayla otworzyła drzwi, uśmiechając się promiennie. Ale potem zobaczyła Tony’ego Della i zrobiła taką minę, jakby chciała go zabić.

– A ty co tu robisz?

– Bud mnie zaprosił. – Poklepał Willa po plecach. – Co nie, Bud?

– No – wymamrotał Will.

Cayla nie wyglądała na przejętą tym, że Tony został pobity.

– Ty mały podstępny kutasie. – Uśmiechnęła się drwiąco.

– Aj, nie bądź taka. – Tony wepchnął się do domu. Żeby to zrobić, musiał prześlizgnąć się pod pachą Cayli.

Po raz pierwszy, odkąd poznał Tony’ego Della, Will cieszył się, że ma tego dziwaka obok siebie. Cayla wyraźnie przygotowała się na randkę. Warstwa jej makijażu była tak gruba, że zbiła się w grudki w kącikach oczu.

Dżinsy dosłownie przepoławiały ją na dwoje, a biała koronkowa bluzka odsłaniała ciemnofioletowy stanik. Nawet stojąc na werandzie, Will czuł zapach jej perfum. Nie znał się na tym tak dobrze, by wiedzieć, czy są tanie czy drogie, ale sądząc po tym, ile ich użyła, miał nadzieję, że dostała rabat.

Tony zaczął ostentacyjnie niuchać.

– Cholera, dziewczyno, ładnie pachniesz.

– Zamknij się, Tony. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie mówił do mnie w ten sposób. – Rzuciła Willowi ciasno zwinięty uśmiech, gestem zapraszając go do środka. – To mój brat.

– Przyrodni – sprostował Tony i puścił do Willa oko. – Nie łączą nas więzy krwi.

Cayla jęknęła, zamykając drzwi.

– Mój tatuś ożenił się z jego mamą, kiedy byliśmy w gimnazjum. Od tamtej pory jest jak lepki kawał gówna, którego nie mogę zdrapać z buta.

Śmiech Tony'ego świadczył o tym, że traktuje to jak komplement.

Will tylko coś burknął, nie dlatego że pozował na Billa Blacka, ale najzwyczajniej zabrakło mu słów.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała Cayla, chociaż Will specjalnie ubrał się na tę okazję byle jak. Nogawki dżinsów miał postrzępione. Ciemnoniebieska koszula była ładna dwa lata temu, ale teraz kołnierzyk się poprzecierał. Czarny T-shirt, który włożył pod spód, miał dziury pod pachami.

– Chcesz piwa? – spytała Cayla.

– Na razie nie. – Will nie pił ani nie palił, co stanowiło poważne utrudnienie, jeśli chodziło o wiarygodność jego przykrywki. – Może później.

– Ja bym się napił zimnego – włączył się Tony.

– No to zawlecz swój chuderlawy tyłek z powrotem do pick-upa i sobie kup – zasugerowała Cayla. W odpowiedzi Tony mruknął coś z urazą. Z całą pewnością ci dwoje rozmawiali ze sobą jak brat z siostrą.

Will rozejrzał się po pokoju, żeby jakoś przeczekać ich sprzeczkę. Dom był czysty, choć niezbyt porządny. Cayla lubiła bibeloty. Niemal wszystkie płaskie powierzchnie zajmowały wielkie lalki w strojnych sukienkach. Niektóre znajdowały się pod szkłem jak krążki sera. Inne miały podpórki,

które pomagały im trzymać parasole albo pchać wózki z dziećmi. Cayla urządziła dom w pastelowych kolorach, głównie różach i błękitach. Wielki telewizor z płaskim ekranem zajmował honorowe miejsce naprzeciwko złożonej z segmentów bladoniebieskiej kanapy.

Kłótnia dobiegła końca. W każdym razie Tony tak sądził. Przeskoczył przez oparcie kanapy i klapnął przed telewizorem.

– Zjemy tutaj? Zaraz chyba zaczyna się mecz.

– Możesz tu sobie jeść, jeśli chcesz. – Cayla gestem pokazała Willowi, żeby szedł za nią, i powiedziała: – Na przyszłość wolałabym, żebyśmy spotykali się tylko we dwoje.

Will burknął coś, drepząc za nią do kuchni. Dom był w kiepskim stanie, co wydawało się trochę dziwne, jak na nowo postawiony budynek. Ściana oddzielająca kuchnię od pokoju dziennego wyglądała jak przyklejona taśmą. Wahadłowe drzwi zamontowane pośrodku nie były nawet zawieszane na tym samym poziomie. Górne krawędzie miały się przynajmniej o dwa centymetry, jak klocki w grze Tetris.

– Możemy zjeść tutaj. – Cayla otworzyła jedno skrzydło drzwi.

Will rozejrzał się po kuchni, która była mała i zagracona, ale pachniało w niej tak ładnie, że zaczęło mu burczeć w brzuchu. Nawet smród papierosa dopalającego się w popielniczce nie mógł przyćmić woni pieczonego kurczaka, bułeczek i jakiegoś owocowego deseru.

– Głodny?

Will kiwnął głową. Do ust napłynęło mu tyle śliny, że nie mógł odpowiedzieć. Sara potrafiła robić wiele rzeczy, ale w ogóle nie umiała gotować.

– Mówiłam ci, że zrobię pysznego kurczaka. – Cayla wyjęła talerz z szafki. Na kuchence coś podgrzewało się w garnkach. Wzięła łyżkę i zaczęła nakładać jedzenie na talerz.

Will usiadł przy stole.

– Słyszałeś, że nie najlepiej z tym gliną?

Will nie odpowiedział.

– Ma infekcję czy coś. Dostał szoku septycznego.

Will próbował ją skłonić, by mówiła dalej:

– Co to znaczy?

– To znaczy, że doszło do zatrucia krwi. – Wzięła papierosa z popielniczki, stawiając jednocześnie przed Willem kopiasty talerz jedzenia. Pieczony kurczak, fasolka szparagowa, czarno nakrapiana fasola, tłuczone ziemniaki z pieczeniowym sosem i dwie bułeczki niebezpiecznie balansujące na szczycie.

Włożyła papierosa do ust i zaciągnęła się głęboko.

– Po operacjach często zdarza się sepsa. Pacjenci są podłączeni do tych wszystkich rurek. Do krwiobiegu przedostają się bakterie. Serce tego nie wytrzyma. Trucizna przepływa przez ciało i paraliżuje cały organizm.

Will zauważył, że Cayla nagle zaczęła mówić innym językiem. Widocznie miała odmienny sposób mówienia na każdą okazję.

– Brzmi niewesoło.

Raz jeszcze mocno się zaciągnęła i zgasiła papierosa.

– Bo może być niewesoło. Chcesz teraz piwa?

Will kiwnął głową.

– Wyjdzie z tego?

– Ten gliniarz? – Stała przy lodówce. Obejrzała się przez ramię. Pod całym tym makijażem Cayla Martin nie była nieatrakcyjna. Wydawało się, że ma tę dziwną cechę, która sprawia, że bystrzy faceci robią głupie rzeczy. – Może i wyjdzie. Jest młody. Dosyć silny. Co cię to obchodzi?

Will wzruszył ramionami, sięgając po nóż.

– Nie obchodzi.

Wahadłowe drzwi otworzyły się. Tony zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem. Jego zazdrość była niczym światło latarni morskiej przeszywające kuchnię.

Cayla rzuciła mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Myślałam, że oglądasz mecz.

– Chciałabyś. – Tony wszedł do kuchni, zaciskając dłonie w pięści. – Słyszałem, że byłeś dziś tam, na górze – zwrócił się do Willa. – Na OIOM-

ie.

Will włożył do ust fasolę. Stopiony boczek i sól pieściły jego kubki smakowe.

– Rozpoznała cię? – chciał wiedzieć Tony.

Will zerknął na Caylę.

– W porządku. – Otworzyła piwo i postawiła puszkę przed Willem. – On mówi mi wszystko, czy chcę tego słuchać, czy nie.

– Glina – nalegał Tony. Był równie zmienny jak jego przyrodnia siostra. Nagle zaczął mówić nie jak utrapienie, a jak przestępca.

Will odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

– Co glina?

– Rozpoznała cię?

– Nie. – Will wpakował do ust kolejną porcję fasoli. A ponieważ zostało mu jeszcze trochę miejsca, wepchnął na dokładkę pół bułeczki, żeby lepiej wchłonęła tłuszcz.

Tony wysunął krzesło spod stołu. Usiadł w odległości paru kroków od Willa, skrzyżował ręce na piersi, rozstawił szeroko nogi. W ostrym kuchennym świetle jego obrażenia stały się jeszcze bardziej widoczne. Po rozcięciu na twarzy zostanie mu brzydka blizna.

– To było sprytnie posunięcie, Bud – powiedział. – Upewnić się, czy cię nie rozpozna. Sprawdzić, czy nie mamy problemu.

Will przełknął z wysiłkiem.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie mam problemu.

Cayla roześmiała się, zaraz jednak zrobiła wściekłą minę.

– Co ty tu robisz na dole?

Will odwrócił się. W drzwiach stał mały chłopiec. Włosy miał potargane. Za luźną pizamę na wiotkim ciałku. Przyciskał do piersi książkę z obrazkami. Wydawał się za duży na taką lekturę, ale Will nie był ekspertem w tych kwestiach.

– Cholera – zaklęła Cayla. – Co ci mówiłam o siedzeniu na górze?

Chłopiec otworzył usta, ale ona nie dopuściła go do głosu.

– Mówiłam, że zgłodniejesz. – Wstała od stołu, żeby wyjąć jeszcze jeden talerz. Przedstawiła chłopca Willowi: – To Benji, syn mojej siostry. Benji, to jest pan Black.

– Syn jej prawdziwej siostry – uściślił Tony. Odsunął krzesło tak, że dotykało blatu. Benji nie mógł przejść koło niego, więc obszedł stół i usiadł naprzeciwko Willa, kładąc sobie książkę na kolanach.

– Proszę. – Cayla z impetem postawiła przed nim talerz z porcją o wiele mniejszą niż ta, którą nałożyła Willowi. – Ciebie pewnie też muszę nakarmić? – rzuciła do Tony’ego.

– Daj mi jedną pierś. – Próbował chwycić ją za pierś, chichocząc, jakby to była taka zabawa.

Cayla odepchnęła jego ręce.

– Jezu, Tony. – Odwróciła się w stronę kuchenki, mamrocząc coś pod nosem.

Will spojrział na Benjiego, który wpatrywał się w swoje kolana. Starał się nie przyglądać chłopcu zbyt ostentacyjnie. Benji miał znajomą aurę, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może zdarzyć się coś złego. Ramiona zgarbione i skierowane do środka. Cały czas siedział ze spuszczoną głową. Niemal było widać, jak strzyże uszami, nasłuchując zmiany tonu, oznaki niebezpieczeństwa. Will rozpoznał tę taktykę przetrwania. Kiedy dorośli się wściekali, dzieci zazwyczaj kończyły jako skutki uboczne.

– Jesteś z Macon? – spytał Benjiego.

Zamiast odpowiedzieć, chłopiec popatrzył na ciotkę.

– Z Baton Rouge – odparła Cayla. – W każdym razie tam przebywali ostatnio. Jego mama ćpa. Nie może zerwać z nałogiem. Gliny złapały ich, jak mieszkali w samochodzie. – Położyła rękę na kościstym ramieniu Benjiego. Will mógłby przeoczyć to, że chłopiec się wzdrygnął, gdyby nie przyglądał mu się tak uważnie.

– Nie mogłam pozwolić, żeby Benji znów trafił do domu dziecka – wyjaśniła Cayla. – Ostatnim razem o mało go tam nie zabili. I to dosłownie, a nie sponiewierali czy coś.

Will domyślał się, że Benji wie o tym wszystkim, ale nie podobało mu się, że dzieciak musi jeszcze raz tego wysłuchiwać.

– Ile masz lat? – zagadnął go.

Tym razem Benji odpowiedział sam, pokazując mu dziewięć palców.

– Co czytasz?

Benji uniósł książkę. Will nie potrafił czytać pochyłego druku, ale litera C na początku i uśmiechnięta małpka powiedziały mu, że patrzy na Ciekawskiego George’a. Książka wyglądała na wielokrotnie czytaną. Strony miały pozaginane rogi. Okładka była wytarta. Will zastanawiał się, czy może z chłopcem coś jest nie tak.

– Do jakiej szkoły chodzisz?

Benji odłożył książkę na kolana. Wpatrywał się w swoje dłonie.

Cayla westchnęła z rezygnacją.

– Co w ciebie wstąpiło, dziecko? Powiedz panu, gdzie chodzisz do szkoły.

Benji miał piskliwy głos.

– Jestem w czwartej klasie panny Ward w szkole podstawowej Bardena przy Anderson Drive.

Will gwizdnął cicho, dając do zrozumienia, że jest pod wrażeniem.

– To mi wygląda na miłą szkołę. Podoba ci się tam?

Smukłe ramiona chłopca uniosły się nieznacznie.

– Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

Benji zerknął na Caylę, ale zanim zdążyła odpowiedzieć za niego, powiedział sam:

– Matematyka.

– Ja też lubię matematykę – odparł Will, co było zresztą prawdą. Liczby dawały mu wytchnienie, stanowiły swego rodzaju dziwny dowód na to, że chociaż nie potrafił czytać jak inne dzieci, istniała przynajmniej jedna dziedzina, w której był dobry.

– Ułamki – wyszeptał Benji. – Mama odrabia je ze mną. – Spojrzał na Willa, oczy miał mokre od łez. W świetle lamp fluorescencyjnych błyszcząły w kącikach. Wydawał się tak zrozpaczony, że Will nie mógł na niego patrzeć.

– Jedz, skarbie. – Cayla przysunęła Benjiemu talerz. Nałożyła mu łyżkę

fasoli, bułeczkę i udko kurczaka. Taki posiłek wydawał się za mały, ale Benji nie narzekał. Nie zaczął też jeść. Zupełnie jakby czekał na pozwolenie.

Will chwycił duży kawał pieczonego kurczaka, którego Cayla udusiła w sosie pieczeniowym. Miała rację co do swoich talentów kulinarnych. Chrupiąca skórka dosłownie rozpływała się w ustach. Szkoda, że nie był już głodny.

Will widział mnóstwo straumatyzowanych dzieci, które przewinęły się przez dom dziecka w Atlancie, ale Benji był najbardziej samotnym dzieckiem, z jakim kiedykolwiek siedział przy stole. Rezonował na innej częstotliwości. Ruchy miał sztywne. Buzia była jak maska, jednak oczy – nie było na świecie drugiego dziewięciolatka, który opanowałby skrywanie takiego bólu, jaki Will widział w oczach Benjiego.

Tęsknił za matką. Z pewnością go zaniedbywała, prawdopodobnie również źle traktowała, ale on mimo to jej potrzebował. Pomagała mu w ułamkach. Może odrabiała z nim także resztę lekcji. Bez wątpienia targała go to tu, to tam, żeby ubiec opiekę społeczną, bo nawet dziwki uzależnione od cracku nie chcą przyznać, że są złymi matkami.

Brak akcentu wiele mówił o Benjim. Prawdopodobnie nigdy nie przebywał w jednym miejscu na tyle długo, żeby go nabyć. Wydawał się bardziej kulturalny niż troje dorosłych w tym domu. Umiał także lepiej zachowywać się przy stole. Używał widelca i noża do obrania ze skórki udka kurczaka.

– Gdzie się nauczyłeś takich manier? – parsknął Tony.

– Zostaw go w spokoju – syknęła Cayla. – Podoba ci się praca w szpitalu?
– zwróciła się do Willa łagodniejszym tonem.

Will kiwnął głową i spytał z pełnymi ustami:

– Jak długo tam pracujesz?

– Jakies pięć lat – odparła, co było kłamstwem. Na podstawie danych z urzędu skarbowego wiedział, że pracowała na część etatu u kilku różnych lekarzy, zanim zatrudniła się w szpitalnej aptece pół roku temu. Nawet teraz w wolne dni dorabiała dorywczo w różnych gabinetach, pewnie po to, żeby zdobyć pieniądze na zapłacenie mandatu za jazdę pod wpływem alkoholu. I spłacać kredyt za dom, który będzie pochłaniać jej dochody jeszcze przez

wiele lat.

– Szpital jest w porządku – powiedziała. – Pasują mi godziny pracy w aptece. Teraz, gdy mam tu Benjiego, muszę być w domu, kiedy kończy szkołę.

Benji zeszywniał, jakby zdumiały go te słowa.

– Od jak dawna z tobą mieszka? – spytał Will.

– Tym razem? – Wzruszyła ramionami. – Będzie z parę tygodni. Jakoś tak. Zgadza się, Benji?

– Miesiąc – powiedział Benji Willowi. Pewnie miał w głowie kalendarz, w którym zaznaczał kolejne dni. – Zabrali mnie miesiąc temu – dodał ciszej.

– Ja pracuję w szpitalu od roku – włączył się Tony. – Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobało. Przez cały dzień sprzątam gówna i rzygi. Ludzie traktują mnie jak służącego.

Na twarzy Cayli pojawił się grymas wściekłości.

– To dlaczego nie wrócisz do Beaufort, tam gdzie twoje miejsce?

Will zignorował jej ostry ton, skupiając się na słowach.

– Beaufort? To tam są Sea Islands, prawda? W Karolinie?

Tony spojrzał na Willa, mrużąc oczy.

– Dlaczego pytasz?

Will wzruszył ramionami.

– Jakiś czas temu przejeżdżałem tamtędy na motocyklu. Dotarłem do Charleston, Hilton Head. Stamtąd do Savannah. Ładne wybrzeże.

Rozległo się pstryknięcie zapalniczki, gdy Cayla przypalała kolejnego papierosa.

– No, Tony nie pochodzi z ładnych stron. Wakacje spędzał z mamą po gorszej stronie Broad River.

Will nie był zdziwiony, że Tony znajdował się po gorszej stronie czegokolwiek, natomiast bardzo zaciekała go ta nowa informacja. GBI bardzo szczegółowo sprawdziło przeszłość Antony'ego Della. Urodził się niedaleko Macon. Ze wszystkich danych wynikało, że przez całe życie mieszkał w okolicy, jednak w aktach nie było wzmianki o tym, gdzie Tony

spędzał wakacje.

– Byłeś kiedyś w Hilton Head? – zagadnął go Will.

Zamiast odpowiedzieć, Tony tylko wgapił się w Willa. Jego podejrzliwość była wręcz namacalna.

Will wytrzymał jego spojrzenie, zastanawiając się, jak bardzo powinien go cisnąć. Stwierdzono, że Wielki Biały działał zarówno w Hilton Head, jak i w Savannah. Tony prawdopodobnie słyszał o tym człowieku od lat. Will nagle zrozumiał, dlaczego tak desperacko próbował się do niego przyłączyć. Małe pieski zawsze chcą biegać razem z dużymi.

– Tony trzy razy spędzał wakacje w Hilton Head – włączyła się Cayla. Spojrzała na Tony'ego, unosząc brew. – Jego mama była kelnerką, o ile nie rozkładała właśnie nóg, żeby zarobić na czynsz.

Tony zrobił kwaśną minę, ale nie zaprzeczył.

– Kręciła się po wszystkich spelunkach, póki nie zaczęli mieć jej dość albo nie zorientowali się, że za dużo kradnie – ciągnęła Cayla, zaciągając się papierosem. – Tony spędzał z nią każde wakacje, odkąd był... nie wiem... w wieku Benjiego? Miałeś osiem, dziewięć lat, kiedy rodzice się rozwiedli?

Tony z nadąsaną miną wzruszył jednym ramieniem, lecz teraz przynajmniej Will wiedział, dlaczego ta część jego przeszłości nie wyszła podczas sprawdzania akt. O ile dzieciak nie został aresztowany albo nie trafił do poprawczaka, istniało bardzo niewiele oficjalnych danych, dopóki nie osiągał wieku, by móc kupić samochód, wynająć mieszkanie czy zacząć płacić podatki.

– Podoba mi się tam, na północy – powiedział Will.

– Na jakiej niby północy? – zachnął się Tony. Oczy miał teraz jak paciorki. – To niedaleko stąd.

– Niedaleko, ale na północ, ty idioto – fuknęła Cayla.

– Wiem, jak wygląda mapa.

Will pozwolił im się sprzeczać. Geografia nigdy nie była jego mocną stroną, wiedział jednak, że nizinne tereny Karoliny Południowej znajdują się nad wybrzeżem Georgii. Poczekał na przerwę w kłótni i rzucił:

– W każdym razie mają tam lepsze plaże niż te na Florydzie.

– Co ty wiesz o Florydzie? – prychnął Tony. Wydawał się bardziej rozdrażniony, niż wynikałoby z tej rozmowy, więc Will uznał, że jest na dobrym tropie.

– To stan – mruknął Will.

– Nie zadzieraj ze mną, synku.

– Jezu, Tony. – Cayla wypuściła kłęb dymu. – Co cię ugryzło w ten chudy tyłek?

Tony pochylił się do przodu, wbijając pięści w blat stołu.

– Kiedy to byłeś na Florydzie? – zapytał Willa.

– On jest z Georgii – rzuciła Cayla. – Gdzie niby miał jeździć na wakacje?

Tony nie dał się tak łatwo udobruchać. Jego złość wypełniała całą kuchnię. Benji cały się skulił i zsunął z krzesła. Szyję schował w ramionach. Wpatrywał się w swoją książkę, jakby nigdy wcześniej jej nie czytał.

Will odgryzł kawałek kurczaka. Żuł powoli, grając na zwłokę. Tony wiercił się niespokojnie. Nie należał do cierpliwych. Will wreszcie przełknął.

– Stacjonowałem w MacDill.

– Byłeś w wojsku? – spytała Cayla.

– W lotnictwie. – Will przyglądał się Tony’emu, odgryzając kolejny kęs kurczaka. Dell miał wszelkie powody, by być podejrzliwym. Zbiegi okoliczności zaczynały się piętrzyć. Baza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych MacDill znajdowała się w południowej części Tamy, niedaleko Sarasoty, gdzie Wielki Biały zabił podobno swojego pierwszego gliniarza przy Tamiami Trail.

– Byłeś oficerem czy coś? – zainteresowała się Cayla.

– Byłem mięsem armatnim. – Will kawałkiem bułki zebrał tłuszcz z talerza. Włożył bułkę do ust, nadal nie spuszczać wzroku z Tony’ego.

– Wywalili cię? – spytała Cayla.

– Uznaliśmy, że lepiej będzie się rozstać.

Zaśmiała się, jakby to był dowcip.

– Chciałabym cię zobaczyć w mundurze. Masz jakieś zdjęcia?

Will udawał, że nie słyszał pytania. Tony’emu to się natomiast nie udało.

– Po co ci jego zdjęcie?! – ryknął. – O moje zdjęcia jakoś, cholera, nigdy nie prosiłaś!

Cayla przewróciła oczami.

– Byłeś kiedyś w Miami? – zwróciła się do Willa.

Pokręcił głową.

– Uznałem, że nie warto. – Ponieważ Tony miał rasistowskie skłonności, dodał: – Trochę tam za ciemno, jak na mój gust.

Tony kiwnął głową, ale nadal był podminowany. Najwyraźniej uważał, że Will ma chrapkę na Caylę, co było w równym stopniu niepokojące, co obrzydliwe. Will doszedł do wniosku, że lepiej, by Tony był zazdrosny niż podejrzliwy. Tak czy owak, miał na niego oko. Kurduple zawsze pogrywają nieczysto.

– Hej, Tony – Cayla próbowała rozładować napięcie – pamiętasz, jak kilka lat temu pojechałam w górę Tamiami? Odwiedziłam Naples, Venice, Sarasotę. Wybraliśmy się z Chuckiem jego harleyem.

– Z tym pieprzonym kutasem – burknął Tony, któremu imię Chuck wyraźnie działało na nerwy.

Will udawał niezainteresowanego. Oddzielił od kości i włożył do ust ostatni kawałek kurczaka. W postawie Tony’ego pojawiła się hardość, której przedtem nie widział. Faith miała teorię, że Tony Dell jest bardziej niebezpieczny, niż można by sądzić. Will odrzucił ją jednak, bo jemu ten facet wydawał się raczej irytujący jak komar. Patrząc teraz na Tony’ego, zastanawiał się, czy Faith nie miała jednak racji.

– Pijesz to? – spytał Tony.

Miał na myśli piwo. Will wzruszył ramionami.

– Często się.

Tony wychylił piwo niemal jednym haustem. Gdy przełykał zbyt szybko, jego jabłko Adama podskakiwało, a z kącików ust ciekły mu strużki śliny. Potem nastąpiło wymagane beknięcie i trzask, gdy odstawił puszkę na stół.

Cayla zignorowała ten pokaz. Obracała czubek papierosa w popielniczce, strącając popiół.

– Za co siedziałaś? – spytała.

Miała na myśli więzienie. Will wzruszył ramionami.

Cayla zmierzyła go wzrokiem.

– Założę się, że masz wybuchowy charakter. – To miał być komplement. – To przez to wpakowałeś się w kłopoty?

Will wzruszył ramionami w taki sposób, by dać jej do zrozumienia, że ma rację.

– Chyba wezmę jeszcze jedno. – Tony obszedł stół, opierając dłoń na głowie Benjiego. Kiedy otwierał drzwi lodówki, zadzwoniły butelki. Cayla miała wystarczającą ilość piwa na apokalipsę żywych trupów. Natomiast prawie nie było jedzenia.

– Dlaczego odpadłeś z lotnictwa? – zapytał Tony Willa.

Will obgryzał kości kurczaka, wysysając szpik.

Cayla znów próbowała włączyć się do rozmowy.

– Uwielbiam plaże nad zatoką z tym ich białym piaskiem. Nie uważasz, Tony? Atlantyk jest za zimny.

Tony uśmiechnął się promiennie. Wystarczyło okazać mu trochę serdecznej uwagi. Twardziel zniknął. Wrócił bzyczący komar.

– Cholera, dziewczyno, nie masz pojęcia, o czym mówisz – zażartował.

– Wiem, jakie lubię plaże.

– Nic nie wiesz.

Will zostawił Tony'ego i Caylę roztrząsających zalety plaż i barów dla turystów i przyglądał się Benjiemu. Chłopiec poruszał się jak ptak, łokcie przyciskał do boków, jakby się bał, że coś strąci. W domu dziecka wszyscy jedli jak wygłodniałe zwierzęta, rzucali się na jedzenie i obejmowali talerze rękami, broniąc ich przed złodziejami. Ten dzieciak został nauczony, jak prezentować się w miejscu publicznym. Położył sobie serwetkę na kolanach. Wycierał ręce i buzię. Starannie żuł każdy kęs, zanim przełknął.

Will dopiero jako nastolatek uświadomił sobie, że za każdym razem dławi się przy jedzeniu, dlatego że źle je pogryzł.

Benji rzucił Willowi ukradkowe spojrzenie. Wiedział, że jest obserwowany. Will mrugnął do niego. Benji szybko spuścił wzrok. Prawdopodobnie myślał o matce – zastanawiał się, gdzie jest, czy też o nim

myśli, i nad tym, co złego zrobił, że go zostawiła.

Will widział już takie spojrzenie.

– Hej. – Tony pstryknął Willowi palcami przed nosem.

Will nie musiał nawet przywoływać Billa Blacka. Odruchowo odepchnął rękę Tony’ego.

– Cholera! – Tony przycisnął dłoń do piersi i skinął głową w stronę kranu.
– Pytałem tylko, czy mógłbyś mi z tym pomóc.

Will uświadomił sobie, że odkąd wszedł do kuchni, słyszy kapanie wody.

– Pewnie potrzebna będzie nowa uszczelka – mruknął.

Głos Cayli zrobił się wysoki i śpiewny, jak zdarza się to niektórym kobietom, ilekroć proszą jakiegoś mężczyznę o pomoc.

– Mógłbyś mi to naprawić, co, Bud? Nie bardzo sobie radzę z takimi sprawami.

Will zawahał się. Naprawianie rzeczy w domu było czymś, co robił dla Sary, jak choćby wymiana przepalonej żarówki czy pomalowanie górnych krawędzi drzwi.

– Nie mam odpowiednich narzędzi.

– Ja mam jakieś w pick-upie – podchwycił Tony.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, że jest pożyczony – rzucił Will, zanim zdążył się powstrzymać.

Tony uśmiechnął się szeroko.

– Pożyczyłem go z całą zawartością, synu.

– Masz uszczelkę? – spytał Will. – Pewnie dlatego kapie. Możliwe, że jest ceramiczna. To nie jest tani kran.

Cayli najwyraźniej miło było to słyszeć.

– Kupiłam go w Home Depot. Uznałam, że raz mogę zaszaleć.

– Sklep jest jeszcze otwarty. – Tony zaczął majstrować przy kranie. – Może skoczylibyśmy we dwóch po uszczelkę i od razu naprawili ten zlew?

Will opadł na oparcie krzesła. Czuł się rozdarty między swoją pracą a Sarą. Nie zapomniał o ich rozmowie. Jego dziewczyna go potrzebuje. A w każdym razie będzie tak, dopóki Will nie wyzna jej prawdy. Z drugiej

strony, Tony wydawał się rozluźniony i gadatliwy. Może okaże się bardziej rozmowny i opowie coś o swojej przeszłości, gdy Cayli nie będzie w pobliżu.

Tony odwrócił się od zlewu.

– Cholera, Bud, daj spokój. Przecież nie zapraszam cię na randkę.

– A skoro już o tym mowa – wtrąciła się Cayla – Bud, może pojechałbyś za Tonym na motorze? W ten sposób będziesz mógł tu potem wrócić sam.

– Hej, to nie było miłe – poskarżył się Tony.

– Tak sądzisz? – odparowała. – Proszę, Bud, ten zlew doprowadza mnie do szału już od tygodni.

Will spojrział na Benjiego. Dzieciak odwzajemnił jego spojrzenie.

– Co ty na to? – zapytał go Will.

Benji przygryzł wargę. Usta miał spękane. Powieki ciężkie. Will widział cienie pod jego oczami. Może nie spał po nocach, tylko stał przy oknie i czekał na matkę. A może nie mógł spać, bo nie pozwalało mu na to poczucie winy z powodu jej utraty.

Will wstał od stołu. W obecności dzieci coś mu się robiło z głową.

– Dobra – rzucił do Tony'ego. – Jedźmy.

Will siedział obok Tony'ego w pikupie. Jego motocykl jechał z tyłu, przypięty gumowymi linkami, które Cayla miała w garażu. Przy każdym skręcie Will słyszał, jak maszyna jęczy na znak protestu, ale wieczór zrobił się zimny i deszczowy, więc był wdzięczny, że może siedzieć w ciepłej, suchej szoferce.

Tony miał go wysadzić pod hipermarketem z artykułami budowlanymi. Will wciąż nie mógł się zdecydować, czy pojedzie jeszcze do Cayli. Ona wydawała się pewna, że wróci. Wciąż go dotykała – masowała mu plecy, chwytiała go za ramię. Zanim wyszedł, pocałowała go nawet w policzek. Will zniósł jakoś ten kontakt, ale niedobrze mu się robiło na myśl, że miałyby wrócić do tego zagraconego domu z wypchanymi lalkami i aurą desperacji.

Poza tym Tony wydawał się lepszym przewodnikiem po ciemnym świecie narkotykowym Macon. Podczas jazdy rozluźnił się. Opowiadał trochę o Hilton Head, o wakacjach, kiedy to spał na plaży i kradł portfele głupim

turystom, którzy zostawiali swoje rzeczy na widoku i szli popływać w oceanie.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, kiedy jechali do domu Leny, Dell wydawał się niespokojny – majstrował przy radiu, postukiwał palcami o deskę rozdzielczą, jedną rękę trzymając na kierownicy. Jego wybór muzyki był zdumiewający. Płyta Madonny w odtwarzaczu pochodziła z lat osiemdziesiątych. Przy *Like a Virgin* wcisnął guzik ponownego odtwarzania.

– Widziałem ją w Atlanta Omni w osiemdziesiątym siódmym. – Tony upił łyk piwa. Połknął też parę tabletek z plastikowej torebki, którą trzymał w schowku na drobiazgi. – Jest malutka. Miała taki dziwaczny stanik, w którym jej cycki wyglądały jak naboje.

Will wyglądał przez okno.

– Przepraszam za tamto – powiedział Tony. – Kiedy się wściekłem o Florydę.

Will wzruszył ramionami.

– Jak miałem szesnaście lat, wdepnąłem w Sarasocie w niezłe gówno.

Zamiast wypytywać o szczegóły, Will znów wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy.

– Trafiłem do aresztu. O mały włos nie wylądowałem w pierdlu. – Odbiło mu się głośno. – Podałem glinom nazwisko swojego brata. Przyrodniego. Głupi gnojek. Dostał dwadzieścia lat za napad na bank. – Tony się zaśmiał. – Kretyn zrobił skok na bank. Możesz w to uwierzyć?

Will pokręcił głową. Jeśli chodzi o przestępstwa, napad na bank dawał najniższy zysk przy najwyższym ryzyku.

– Niezbyt mądre.

– Bez dwóch zdań. Złapali go u jego własnej mamuśki. – Tony dokończył piwo, opuścił szybę i wyrzucił puszkę. – Nie powtarzaj Cayli, że podałem glinom jego nazwisko.

– Ode mnie tego nie usłyszysz.

– Wielkie dzięki. – Otworzył kolejną puszkę piwa. – Cayla upiera się, że jesteśmy rodziną, ale mój tatulek był z jej mamą niecałe dwa lata. To tyle co nic. A nawet gdyby, i tak mnie to nie obchodzi.

Will powstrzymał się od komentarza.

– Widziałem, jak na nią patrzysz, Bud. Nie mam ci tego za złe. Wiem, że jest ładna. Wielu facetów lubi na nią patrzeć. – Wycelował w Willa palec. – Tylko jej nie dotykaj!

Will usłyszał w jego głosie groźbę, ale był tak daleki od interesowania się Caylą Martin, że nie mógł traktować tego poważnie.

– Jej mama miała jeszcze czworo dzieci. Umieścili mnie w przyziemiu razem z chłopakami. Schodziła tam do mnie, kiedy była pijana, i pokazywała mi, jak się zabawić.

Szok Willa musiał być widoczny.

Tony parsknął, wciągając piwo nosem. Wykasłał je ustami.

– Nie, stary, nie mama. Mówię o Cayli. Schodziła po schodach w majteczkach i obcisłej koszulce i już po chwili pościel, pod którą leżałem, wyglądała jak mały namiot. – Zachichotał na to wspomnienie. – Nie mogę ci nawet powiedzieć, co tam wyprawialiśmy na dole. W każdym razie było gorąco.

Will miał wielką nadzieję, że szczegóły Tony zachowa dla siebie.

– Jak długo się znacie?

Tony nie musiał się nad tym zastanawiać.

– Bujam się w niej, stary, odkąd mieliśmy po piętnaście lat.

– To długo.

– Jak cholera.

Will spoglądał przez okno, a Tony jednym haustem wychylił piwo. W sześciopakach zostały jeszcze trzy puszki. Will domyślał się z kształtu i koloru tabletek w woreczku, że Tony wziął też oksykodon.

– Zwolnij – powiedział.

Tony już trzymał nogę na hamulcu. Wcisnął go, lecz prędkość prawie się nie zmieniła.

– Wiem, że Cayla czasem daje mi wycisk, ale to do mnie zawsze dzwoni, jak czegoś potrzebuje. – Zerknął na Willa. – Po tym można poznać, co kobieta do ciebie czuje. Jak się robi gnój, to do kogo dzwoni?

Will starał się nie myśleć o Sarze.

– Słyszysz, co mówię?

Will kiwnął głową.

– Serio, Bud. Kocham ją. Czasem to ona jest jedynym powodem, dla którego wstaję rano. – Przesunął wierzchem dłoni pod oczami. – Ona jest wszystkim, co mam.

Will nie miał zbyt wielu kumpli, ale domyślał się, że siedzenie i gadanie o miłości przy piosenkach Madonny nie znajduje się zbyt wysoko na liście męskich rozrywek.

– Jak będziesz tak głądził, urośnie ci wagina – rzucił.

Tony parsknął śmiechem.

– Hej, Bud, ona po prostu tak na mnie działa. Nigdy nie byłeś zakochany?

Will był tak zakochany, że wzrok mu się mącił.

– Jak było w MacDill?

Will nie spieszył się z odpowiedzią – nie dlatego, że musiał przypomnieć sobie szczegóły, ale dlatego że Bill Black nie był typem, który chętnie udziela informacji na swój temat.

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem, stary. Jestem ciekaw. Znam paru pilotów stamtąd. Sprzedawałem im amfę, żeby nie zasypiali podczas długich lotów.

Więc to tym Tony Dell zajmował się w Sarasocie.

– To jak tam było? – nalegał Tony.

– Gorąco.

– Jak to na Florydzie.

Will spojrzał w okno. Byli teraz na autostradzie. Towarzyszyło im kilka samochodów, maruderów dojeżdżających daleko do pracy.

– Co to za historia z tym waszym siostrzeńcem?

– Benjim. – Tony wymówił to imię w nieprzyjemny sposób, który nie spodobał się Willowi. Pewnie Tony uważał, że dzieciak wchodzi mu w drogę. – Jego matka to dziwka. Gliny złapały ją na paleniu cracku przy małym.

– A to pech.

– To mały gnojek. Ciągłe pyskuje w szkole. Cayla musiała zwolnić się z pracy, żeby po niego jechać. Zawiesili go na dwa dni.

Will nie mógł sobie wyobrazić Benjiego pyskującego komukolwiek.

– Chudy ten dzieciak.

– Tak, no, tak się właśnie dzieje, jak matka jest zbyt zajęta jaraniem cracku, żeby pamiętać o nakarmieniu dzieci. – Tony znów włączył radio. Przełączył kilka piosenek i zatrzymał się na Cyndi Lauper.

– Poważnie? – spytał Will.

– Lubię silne kobiety. – Tony włączył kierunkowskaz i zwolnił przed zakrętem.

– Dokąd jedziemy? – spytał Will. Home Depot znajdował się przy szpitalu. Kierowali się w złą stronę.

Tony uniósł puszkę z piwem.

– Pomyślałem, że napijemy się czegoś mocniejszego.

– Nie chce mi się pić.

– Ty nie prowadzisz. – Tony wjechał w zakręt. Jego ton się zmienił. Wróciła postawa twardziela. – Służyłeś za granicą?

– Bo co?

– Tak się zastanawiałem. – Tony łyknął piwa. – Ile jesteś w Macon, dwa tygodnie?

– Prawie.

– Przedtem mieszkałeś w Atlancie?

Will nie odpowiedział.

– Jak dostałeś tę robotę w szpitalu?

Will próbował odwrócić sytuację.

– Zadajesz pytania jak glina.

– Cholera. – Tony się zaśmiał. – Myślisz, że jestem gliną?

– A jesteś?

Tony spojrzał na Willa znad puszek piwa.

– A ty?

– Cholera, nie, nie jestem gliną. – Wbrew miejskiej legendzie stróże prawa mogli bezkarnie kłamać. – Inaczej wsadziłbym cię za kratki dziesięć dni temu, kiedy widziałem, jak bierzesz tabletki z wózka.

Tony zaśmiał się na to wspomnienie.

– O mało nie zesrałem się w gacie, jak zobaczyłem, że patrzysz.

Will wątpił, czy to prawda. Tony wyraźnie go wtedy sprawdzał.

Szyba znów została opuszczona. Dell wyrzucił kolejną puszkę.

– Swego czasu Cayla sprzedawała mi je przez serwis internetowy Craigslist.

– To niebezpieczne dla kobiety.

– To ja zawsze zajmowałem się ich rozprowadzaniem. – Tony otworzył kolejne piwo. – Głównie wśród studentów. Nie sprzedajemy taniego towaru.

Will nie wypytywał o szczegóły, jednak zobaczył teraz Tony'ego Della w innym świetle. Faith będzie musiała podzwonić do Hilton Head i Sarasoty. Will widział w Tonym ten typ przestępcy, który doniósłby na własną matkę, gdyby mógł w ten sposób uniknąć odsiadki.

– W każdym razie – ciągnął Tony – nie sprzedajemy już tego gówna przez Craigslist. Wielki Biały pchnął mnie o klasę wyżej. Mam więcej forsy, niż mogę wydać.

– Przez Craigslist jest bezpieczniej.

– Ale zarobki marne.

– Grubsza kasa to grubsze problemy.

– Jak masz dość kasy, możesz sobie kupić wyjście z każdego problemu.

– Tony skręcił gwałtownie na zatłoczony parking.

Will rozpoznał budynek. Byli przed Tipsie's. Neon na dachu ukazywał kobietę zjeżdżającą i wjeżdżającą po rurze.

– Jesteś pewny, że chcesz tu wracać?

– Spoko. – Tony zaparkował pick-upa. – Byłem tu już, zanim pojechałem do Cayli.

Will poczuł, że jeżą mu się włoski na karku.

– Po co miałbyś to robić?

– Tak samo jak ty z tym gliną na OIOM-ie. Żeby sprawdzić, czy ktoś mnie rozpozna.

Will nie uwierzył mu.

– No i?

– I... jest spoko. – Znienacka wrócił przyjacielski ton. Tony wyjął kluczyk ze stacyjki i pchnął ramieniem drzwi. – No chodź, Bud. Nadal chce mi się pić.

Will wysiadł, chociaż każdy atom jego ciała mówił mu, że stanie się coś złego. Tak naprawdę nie miał wyboru. Jared Long leży w szpitalu. Lena Adams ledwie uszła z życiem. W okolicy działa diler narkotyków, który najwyraźniej lubi robić ludziom krzywdę. Jeśli Will nie wykona jak należy swojej roboty, jeszcze więcej ludzi wyląduje w szpitalu. Albo na cmentarzu.

– No chodź, Bud. – Tony szedł niczym karłowaty kogut. Coś ukrywał. I był w związku z tym bardzo z siebie zadowolony.

Will zwolnił kroku, próbując się domyślić, co czeka go w środku. Nie po raz pierwszy złapał się na tym, że rozważa, czy Tony Dell nie jest tak naprawdę Wielkim Białasem.

Faith dopuszczała tę możliwość od samego początku. Na ogół była dobra w dostrzeganiu tego, czego nie widzieli inni, ale w tym przypadku Will się z nią nie zgodził. Poznał Tony'ego Della. Spędzał z nim czas. Facet nie sprawiał wrażenia mistrza strategii.

Może o to właśnie chodziło.

Wszystko przemawiało za tym, że Tony jest drobnym przestępcą. Miał gównianą pracę. Jeździł gównianym samochodem. Zaledwie troje drzwi oddzielało jego mieszkanie od ciągu sklepów przy szosie. Jeśli chodzi o akta policyjne, był dwukrotnie aresztowany za takie wykroczenia jak picie alkoholu w miejscu publicznym. Było też jedno oskarżenie o posiadanie narkotyków, które zostało anulowane po udanym pobycie Tony'ego na odwyku. Kolejne oskarżenie o dilerkę zniknęło z akt sądowych z powodu uchybień formalnych. Włóczęgostwo. Nieprawidłowe przejście przez jezdnię. Tony był utrapieniem, a nie poważnym przestępcą.

Jeśli Tony Dell okazałby się Wielkim Białasem, oznaczałoby to, że jest

geniuszem.

iPhone Willa był w przedniej kieszeni jego dzinsów. Will zastanawiał się, czy czip naprowadzający będzie działał, mimo że klub ma metalowy dach. Sara miała w samochodzie GPS. System wyłączał się z chwilą, gdy wjeżdżała na podziemny parking. Will domyślał się, że to stal i beton zakłócają sygnał. Być może to samo stanie się z jego telefonem w Tipsie's.

Znajdowali się około dziesięciu metrów od wejścia, ale łomot muzyki był tak głośny, że Will czuł, jak wibruje asfalt. Jego bębienki odbierały hałas jako monotonne dudnienie.

Zanim Tony pchnął drzwi, obejrzał się na Willa. Nie uśmiechał się, co Will powinien potraktować jako pierwsze ostrzeżenie. Drugie ostrzeżenie było bardziej oczywiste. Gdy tylko za Willem zamknęły się drzwi, czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

Odwrócił się. Przywykł do tego, że góruje nad wszystkimi, jednak facet stojący za nim był wielki jak lodówka. I to nie taka zwykła, tylko chłodziarka Sub-Zero z silnikiem na górze.

Zadawanie pytań nie miało sensu.

Lodówka wskazał głową w głąb lokalu. Will zrozumiał ten gest. Ręka tamtego pozostała zaciśnięta na jego ramieniu i służyła za ster, gdy facet popychał Willa przez zatłoczony bar.

Tony szedł przodem. Nie wyglądał na zaskoczonego rozwojem wydarzeń. Z pewnością nie był zaniepokojony. Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech, który Will widział za każdym razem, gdy Tony oglądał się przez ramię, żeby się upewnić, czy Will idzie za nim. Migające światła i lustrzana kula podkreślały rany i sińce na jego twarzy, które wyglądały teraz jak źle nałożony makijaż. Tony musiał odczuwać ból, mimo to był rozanielony.

Trzeba przyznać, że rozegrał to wspaniale. Wprosił się do domu Cayli. Podstępem skłonił Willa, by z nim pojechał. Naprawa zlewu to był pomysł Tony'ego. Podobnie jak przywiązanie motocykla Willa do ciężarówki. Wszystko przewidział. Na pace była akurat korba i parę desek, które posłużyły za rampę. Kiedy już będzie po wszystkim, wykorzysta je pewnie, żeby zepchnąć maszynę do rzeki.

Will odetchnął najgłębiej, jak mógł. Płuca wypełnił mu kwaśny zapach

alkoholu i potu. Wsunął rękę do kieszeni. Odszukał kciukiem przycisk zasilania w telefonie. Wcisnął go trzy razy, żeby uruchomić urządzenie nagrywające. Albo Amanda usłyszy, jak Will rozmawia z jakimiś zbirami, albo jak te zbiry mordują Willa.

Lodówka szarpnął go na bok, żeby wyminąć grupkę hałaśliwych pijaków. Szli okrężną drogą na zaplecze klubu. Estrada wiła się przez salę niczym wąż. Przy każdej rurze jakaś kobieta robiła coś obscenicznego. Faceci tłoczyli się przy scenie, napierając na nią, dopóki któryś z bramkarzy nie odepchnął ich do tyłu, po czym znów zaczynali przesuwać się do przodu w nadziei, że za trzecim, czwartym albo setnym razem ten manewr się uda.

Tony zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami z jakimś napisem. Wredny uśmieszek nie schodził mu z twarzy. Czekał, aż Will i Lodówka go dogonią. Uśmieszek zrobił się jeszcze szerszy, kiedy Tony pchnięciem otworzył drzwi. Pokój za nimi był ciemny. Ręka na ramieniu Willa pchnęła go do przodu. Will zobaczył, że to nie pokój, tylko długi korytarz. Do środka wpadało jedynie nikłe światło przez otwarte właśnie drzwi. Ostatnie, co Will zobaczył, to Lodówka zamykający je za nimi.

Usta Tony'ego zbliżyły się do ucha Willa: „Ruszaj się”. Pchnął Willa w głąb korytarza.

Will rozważył wszystkie możliwości. Mógłby łatwo powalić Tony'ego Della. Już raz wytarosił go jak szmacianą lalkę. Ale wtedy to był dawny Tony, a nie Być Może Wielki Białas Tony. Czasami fizyczna wielkość człowieka ma mniejsze znaczenie niż jego chęć walki.

No i Tony miał pomocników.

Mnóstwo pomocników.

Idąc korytarzem, Will przyciskał dłoń do ściany z pustaków. Miał bolesną świadomość, że jego pęcherz jest pełny. Pot spływał mu po plecach. Wyobraził sobie swojego glocka, dotyk jego rękojeści, to, że odbezpiecza się go spustem zwalnianym lekkim dotknięciem, wbudowanym w główny spust, który uruchamiał się dopiero po cofnięciu palca. Nie żeby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. Pistolet był zamknięty w sejfie w jego szafie w Atlancie.

Zaplecze klubu musiało być wyciszone, bo łomot muzyki przestał być aż tak nieznośny. Will poczuł coś przed sobą. Ogarnęła go panika, ale zaraz

uświadomił sobie, że dotyka zasłony. Rozchylił materiał. W tej części korytarza było jaśniej, dzięki podświetlanemu na zielono napisowi „Wyjście” nad drzwiami. Will rzuciłby się pędem w jego stronę, gdyby nie drugi Lodówka blokujący mu drogę. Przy nim tamten pierwszy Lodówka wydawał się miniaturowy. Ramiona wypychały mu rękawy. Bary miał niemal tak szerokie jak drzwi. W uchu słuchawkę Bluetooth. Gdy Will zbliżył się do niego, postukał w mikrofon i coś wymamrotał.

Lodówka dwa odsunął zasłonę na ścianie. Wyłoniły się jeszcze jedne drzwi z napisem. Will potrafił rozpoznać słowa, które widział już miliony razy. Napis głosił: BIURO. Drugi Lodówka otworzył drzwi. Miał tak wielką dłoń, że klamka całkiem w niej znikła.

Will osłonił oczy przed nagłym ostrym światłem. Zaplecze klubu wyglądało zupełnie jak w filmach o mafii: czarny sufit, ciemnoczerwone ściany. Plakaty z nagimi kobietami. Biały włosy dywan. Wielkie biurko z metalu i szkła. Czarna kanapa obita skórą, na której siedziały rozwalone trzy tłuste oprychy.

Faceci jedli pizzę z pudełka leżącego na niskim szklanym stoliku przed nimi. Od zapachu sera i kiełbasy Willowi zrobiło się niedobrze. Poczul w ustach żółć, zjedzona u Cayli fasola podeszła mu do gardła.

Oprychy przyglądały się Willowi i Tony’emu z leniwym zaciekawieniem. W filmie gangsterskim byliby to dobrze ubrani Włosi. Wersja z Macon była znacznie gorszej jakości. Mieli na sobie T-shirty, które rozciągały się na ich brzuszyskach. Dżinsy opadały im nisko na biodra, ale tylko dlatego, że grubasy nie chciały kupić spodni o sześć rozmiarów większych, żeby pomieścić swoje rozrośnięte cielska.

Lodówka dwa zamknął drzwi. Will zorientował się, że przeoczył coś naprzeciwko kanapy.

Był tam mężczyzna przywiązany do krzesła. Sznur wbijał mu się w nagie ciało na ramionach i piersi. Głowę miał zwieszoną, a na jej czubku rozciętą skórę. Ta rana nie była jedynym źródłem krwi. Dłonie i stopy również miał pocięte. Na piersi i brzuchu widniały dziesiątki nacięć na krzyż. Nie były na tyle głębokie, by go zabić, wystarczająco jednak, żeby sprawiały nieznośny ból.

Ten mężczyzna był torturowany.

– Cholera! – wykrzyknął Tony, jednak nie pod wpływem szoku, lecz z podziwem. – Nie wiedziałem, że macie towarzystwo.

– Przymknij się – warknął jeden z tłuściochów. Wydłubywał sobie szczyrykiem brud spod paznokci. – Zrobiłeś, co ci kazałem?

– A czy kiedyś zrobiłem inaczej? – zapytał Tony.

– Uważaj, jakim tonem do mnie mówisz, chłopcze.

– Tak jest. – Tony spokorniał.

To tyle, jeśli chodzi o podejrzenie, że Tony jest Wielkim Białasem. Will domyślił się, że ten oprych tu dowodzi. Miał aurę człowieka obarczonego odpowiedzialnością. Jego dwaj pomocnicy jedli pizzę, zupełnie jakby czekali na swoją kolej w kręgielni. Jeden z nich popijał piwo, drugi dietetyczną colę.

Główny oprych nadal czyścił sobie paznokcie. Nikt nie wydawał się zainteresowany popędzaniem go.

Will po prostu tam stał. Nie po raz pierwszy tego wieczoru zastanawiał się, czy Tony Dell prowadzi go na śmierć, ale teraz po raz pierwszy zobaczył, w jaki sposób mógłby umrzeć. Facet na krześle wciąż żył. Jeśli serce przestaje bić, krew tak nie ciurka. Oddech miał płytki. Przez mięśnie przebiegały skurcze – najpierw na ramieniu, potem na łydce. Z gardła wydobywał się cichy pomruk. Prawdopodobnie modlił się o śmierć. Pocięli go. Pobili. A potem zrobili sobie przerwę obiadową, bo im się nie spieszyło, żeby zakończyć jego cierpienie.

Tony nie był taki cierpliwy. A może po prostu był głupi. Wyjął z kieszeni woreczek z tabletkami i cisnął je na biurko.

– Gdzie szef? Mówiliście, że będziemy rozmawiać.

– Przymknij się – warknął oprych. Skończył czyścić paznokcie. Ostrze noża miało może dziesięć centymetrów – nie było długie, lecz ostre, o złowrogo wygiętym czubku. Powoli złożył nóż, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z Willa. – Masz jakiś problem?

Will pokręcił głową.

– A my będziemy mieli?

Will znów pokręcił głową.

Oprych wstał, stękając z wysiłku. Był potężny, nie tak umięśniony jak

tamta para lodówek, ale gruby w pasie.

Podszedł do biurka. Chód miał powolny, niezgrabny. Wziął z blatu teczkę.

– William Joseph Black.

Will czekał.

Oprych wyjął z kieszeni okulary do czytania. Nie założył ich jednak, tylko użył jako lupy.

– Urodzony w Milledgville w stanie Georgia – czytał. – Ujawnione akta z sądu dla nieletnich. W wieku dwudziestu dwóch lat wstąpił do lotnictwa. Wyrzucony w wieku lat dwudziestu pięciu. Parę napaści na kobiety. Pobicie gliniarza w centrum handlowym. Odsiedział wyrok w więzieniu w Atlancie. Wkurzył federalnych w Kentucky. Poszukiwany w sprawie zeznań związanych z napadem rabunkowym i paroma włamaniami. – Oprych czekał.
– Zgadza się?

Will nie odpowiedział.

Oprych rzucił teczkę na biurko.

– Wynajmujesz pokój w motelu Star-Gazer przy drodze międzystanowej. Numer piętnaście. Parkujesz ciemnogrnatowy motor Triumph dwa wejścia dalej. Jadasz w RaceTrac. Pracujesz w szpitalu. Przychodzisz tutaj, żeby fiut ci stanął. Twoja matka zmarła, kiedy służyłeś w Iraku. Ojciec nieznany. Nie masz rodzeństwa ani żadnej rodziny godnej wzmianki.

Will rozchylił usta, żeby zaczerpnąć powietrza. Tylko dlatego zdecydował się na motocykl, by mieć pewność, że nikt nie pojedzie za nim do Atlanty. Do Sary. Serce mu waliło, gdy czekał, aż facet poda mu jej adres.

Zamiast tego oprych spytał:

– Zeb-deeks?

Tym razem Will nie odpowiedział, bo nie miał bladego pojęcia, o co tamtemu chodzi.

– Zeb-deeks? – powtórzył oprych. – Znasz go?

To było imię. Facet.

Oprych czekał. Wyglądało na to, że ma niewyczerpane zapasy cierpliwości.

Will przeleciał w myślach życiorys Billa Blacka. Nie obejmował szkoły

średniej ani college'u, tylko wojska lotnicze i więzienie. To imię brzmiało z cudzoziemska, ale jego akta wojskowe nie zawierałyby takich szczegółów. Zeb-deeks to pewnie ksywa, co w innych okolicznościach nie pomogłoby Willowi, a w życiu Billa Blacka był tylko jeden facet, którego imię zaczynało się na Z.

Zebulon Deacon został zadźgany na śmierć w więzieniu w Atlancie za to, że zakapował kumpli. Bill Black siedział w tym samym więziennym bloku. Musiał znać tego gościa. A już na pewno znał jego ksywę.

Co ważniejsze jednak, Black wiedział także, że nie kapuje się nikogo bezkarnie.

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami.

– Nie znasz go?

Will znów wzruszył ramionami.

– Junior? – rzucił oprych.

Jeden z tłuściochów zwlekł się z kanapy. Junior był równie gruby jak jego szef, ale młodszy. I bez wątpienia silniejszy.

Nie było żadnych wstępów. Junior walnął Willa w twarz tak mocno, że pokazały mu się gwiazdy. Głowa odskoczyła do tyłu. Łupnęło w karku. Grzbiet nosa zakłuł go tak, jakby wbito mu w niego siekierkę aż do kości.

– Zeb Deeks – powtórzył oprych.

Will potrząsnął głową – nie na znak protestu, ale po to, by oprzytomnieć. Obrywał w nos więcej razy, niż mógł zliczyć. Najgorszym momentem był ten, kiedy wciągało się powietrze, a skrzepła krew tkwiąca w głębi spływała do gardła. Starał się nie zwymiotować, gdy ją przęłykał.

– Zeb Deeks? – Oprych po raz czwarty powtórzył tę ksywę.

Junior podniósł pięść.

– Dobra, dobra – odezwał się Will. – Tak, znam go. Kapuś dostał to, na co zasłużył.

– Gdzie to dostał?

– W pierdłu.

– Gdzie?

– Przy śmietniku. Zadźgali go ułamaną szczoteczką do zębów. Wykrwawił się na dziedzińcu.

Tony zachichotał.

– To musiało boleć.

Pierś oprycha unosiła się i opadała. Przyglądał się przez chwilę Willowi, po czym kiwnięciem głowy przywołał ostatniego zbira siedzącego na kanapie. Ten dźwignął się równie wolno jak pozostali, strzelało mu w kolanach, brzuch sterczał. Jednak jakby wbrew fizyce on i Junior działali szybko. Zanim Will zdążył się zorientować, co się dzieje, przytrzymali mu ręce za plecami.

Oprych podszedł do Willa. Cuchnął pizzą i alkoholem. Był palaczem. Sapał jak maszyna parowa. Był duży i był biały, ale Tony jasno dał do zrozumienia, że nie jest Wielkim Białasem. Will wątpił, czy kiedykolwiek pozna człowieka, który dowodzi tą bandą brutalnych prostaków. Wątpił, czy w ogóle zobaczy coś jeszcze poza tym zatęchłym czarnym zapleczem klubu w reszcie życia, która mu została.

Oprych podniósł ręce, żeby Will mógł śledzić, co robi. Rękojeść jego składanego noża była perłowa ze złotymi akcentami. Światło rozbłysło na ostrzu, gdy je otworzył. Na zawiasie była krew, oblepiała nity, pewnie po wycinaniu iksów na skórze mężczyzny przywiązanego do krzesła. Oprych był urodzonym nożownikiem. Trzymał rękojeść lekko, jakby to był jeszcze jeden palec.

Will wzdrygnął się, gdy poczuł, jak ostrze z nierdzewnej stali sunie w poprzek jego szyi. A potem z boku wzdłuż twarzy. I pod okiem. Oprych przycisnął trochę mocniej, rozcinając skórę. Will był tak przerażony, że nawet nie poczuł bólu. Nie wiedziałby, że został zraniony, gdyby nie kropla krwi, która spłynęła mu po policzku.

Zamknął oczy. Nie znajdował się tutaj. Nie było go w tym pokoju. Może to ta rozmowa z Caylą i Tonym o plaży tak go rozstroiła? Czuł zapach soli i ciepły, łagodny wietrzyk znad oceanu.

Trzy miesiące temu Sara nauczyła Willa puszczać latawiec. Byli na plaży na Florydzie. Latawiec był żółto-niebieski i miał długi biały ogon. Will nigdy przedtem nie był na wakacjach nad morzem. Cała jego wiedza na temat Florydy pochodziła z Wikipedii i serialu *Miami Vice*. Sara była dobrą

nauczycielką. Cierpliwą, serdeczną. I cholernie seksowną w kostiumie kąpielowym. Ojciec nauczył ją puszczać latawce, gdy była mała. Niepokoił się, że Sara po narodzinach siostrzyczki poczuje się zepchnięta na drugi plan, więc w wolne dni zabierał ją na krótkie wycieczki, żeby podkreślić, że jest wyjątkowa.

Will gwałtownie otworzył oczy. Nóż był w jego uchu, nie w tej miękkiej, mięsistej części, lecz w samym środku, tam, gdzie cienka chrząstka styka się z czaszką.

Tłuścioch uśmiechał się, napawając wywołanym efektem. Miał idealnie białe zęby. Dziąsła wydawały się przy nich prawie niebieskie.

Will się nie poruszył. Nóż był ostry jak igła. Czubek przebił skórę, rozcinając chrząstkę. Kropla krwi spłynęła mu do ucha. Niemożliwie wolno wędrowała kanalikiem w dół. Will poczuł nadchodzący dreszcz. Zaczynał się powoli niczym łoskot nadjeżdżającego pociągu. Lekkie drżenie, a potem dygot, który narastał i narastał, aż Will zaczął szczerkać zębami i poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Oprych wyszarpnął nóż w ostatniej chwili.

– Kurwa! – Will energicznie potrząsnął głową. Uścisk na jego rękach jeszcze się wzmocnił. Znowu potrząsnął głową. Krew nadal spływała mu do ucha.

Oprych zaśmiał się, składając nóż.

– Rozbieraj się.

Junior i numer trzy puścili go. Will wsadził mały palec do ucha i poruszał nim niczym sercem dzwonu.

– Rozbieraj się – powtórzył oprych.

Will rzucił mu piorunujące spojrzenie.

– Pierdol się. – Ruszył w stronę drzwi, ale Junior go zatrzymał.

– Możemy to załatwić ostrzej – oznajmił i pchnął Willa na swojego partnera, który z kolei grzmotnął nim o ścianę.

– Ostro czy łagodnie? – zapytał szef oprychów.

Will nie był już w stanie myśleć o plaży. Nie mógł myśleć o Sarze ani o niczym innym, tylko o tym, żeby przeżyć.

Bill Black by sobie z tym poradził. Był już na niejednym zapleczu. Przez całe życie miał do czynienia z mętami społecznymi i przestępcami. Według jego akt on sam przez całe życie był mętym społecznym i przestępcą.

Will wiedział, jak wygląda obóz szkoleniowy dla rekrutów tylko z filmów, za to doskonale znał proces przyjmowania osadzonych w więzieniu w Atlancie. Bill Black byłby jednym z co najmniej stu nowych więźniów, których strażnicy sprawdzali tamtego dnia. Rozebraliby go, przeszukali, ogolili, odwszyli, a potem wrzucili do celi dwa metry na trzy z drugim facetem i otwartą dziurą ściekową jako toaletą. Pysznice były wspólne. Co jakiś czas zdarzały się kontrole osobiste. Nie było gdzie się ukryć.

Rozebranie się przed kilkoma brutalnymi gburami nie było czymś, co speszyłoby takiego faceta jak Bill Black.

Will szarpnięciem rozpiął koszulę. Kilka guzików się urwało. Następnie ściągnął T-shirt i dżinsy. Czubkiem jednego buta zepchnął piętę drugiego i wyskoczył z butów. Skopał z siebie spodnie.

W pokoju zapadła cisza, jeśli nie liczyć przytłumionego łomotu klubowej muzyki.

Wgapiali się w niego, jakby to było zoo.

Will nie przyglądał się zbyt często swojemu ciału. Chociaż był ogromnie wdzięczny Sarze, nie wiedział, jak ona może to znieść. Nie było skrawka Willa, który nie nosiłby jakichś śladów maltretowania – przypaleń papierosami w okolicy żeber, czarnego pyłu pod skórą od rażenia prądem. Blizn na plecach tam, gdzie podrapała go babka, która nawdychała się lakieru w sprayu i wydawało jej się, że pod jego skórą pełzają robaki.

A do tego były jeszcze rany, które zadał sobie sam.

Milczenie przerwał Tony:

– Cholera, Bud, co ci się, u diabła, stało?

Will nie odpowiedział.

Po raz pierwszy oprych zdawał się dostrzegać w Willu ludzką istotę, a nie problem do rozwiązania.

– Irak? – zapytał.

Will rozważył, jakie ma możliwości. Blizny nie były częścią jego

przykrywki. Oprych najwyraźniej zdołał dorwać policyjne akta Billa Blacka. Popytał też trochę w kryminalnym światku. Czy miał wystarczające wpływy, żeby zdobyć akta wojskowe? GBI było dobre, ale rząd Stanów Zjednoczonych zapewniał jedynie pobieżne potwierdzenie działań Billa Blacka w siłach zbrojnych.

– Dopadł cię jeden z tych szmaciarzy? – naciskał oprych.

Zamiast odpowiedzieć, Will odwrócił głowę do ściany. Uznał, że Bill Black czułby się tak samo jak Will. Ktoś bardzo go skrzywdził, a on nie jest z tego dumny.

– Nieważne. – Oprych najwidoczniej pogodził się z tym, że nigdy nie pozna odpowiedzi, ale bynajmniej nie skończył jeszcze przeszukania. – Slipy też zdejmij.

Will rzucił mu ostre spojrzenie.

– Znałem faceta, którego dopadł gliniarz, co miał podsłuch przyklejony do jaj – wyjaśnił oprych niemal przepraszającym tonem.

Will wiedział, że nie ma wyboru. Albo sam się rozbierze, albo zrobią to te zbiry. Zsunął slipki.

Oprych spojrzał w dół, popatrzył jeszcze raz, zanim rzucił:

– W porządku.

Tony uniósł brwi.

– A niech mnie.

Will wciągnął slipki. Sięgnął po dzinsy, lecz wyrwano mu je z ręki.

Junior przeszukał kieszenie. Znalazł portfel i telefon Billa Blacka. Zwitek banknotów, który rano dostał od Tony'ego, został ciśnięty na biurko.

– Zobaczmy, co tu mamy. – Oprych zaczął od portfela. Rozpiął rzep. W przegródce na zdjęcie był adres zapisany przez Caylę. Oprych rzucił tylko okiem i sprawdził inne przegródki. Znalazł cztery dwudziestodolarówki, dwie karty kredytowe i mandat za przekroczenie szybkości, który służył Billowi Blackowi za prawo jazdy. – Osiemdziesiąt na godzinę w strefie szkolnej. – Oprych mlasnął z dezaprobatą językiem.

Junior podał mu telefon. Will wziął swoje dzinsy.

– Jakie jest hasło? – spytał oprych.

– Cztery, trzy, dwa, jeden – odpowiedział Will. Wciągał dzinsy, a tamten wpisał kod.

Oprych przeglądał kolejne ekrany z większą wprawą niż Will. Czytając, poruszał ustami.

– Co to za babka w Tennessee?

Will włożył T-shirt. Dziura pod pachą powiększyła się, prując boczny szew.

– Zrobił jej dziecko – podpowiedział Tony. Czuł potrzebę, żeby zapytać Willa: – To ona lubi równo przystrzyżone krzewy?

Will włożył koszulę. Z przodu zostały trzy guziki. Skupił się na ich zapinaniu, chociaż palce odmawiały posłuszeństwa.

Wyglądało na to, że oprych przegląda wszystkie aplikacje. Will sam testował telefon zaraz po tym, jak go dostał, chcąc sprawdzić, czy można w jakiś sposób przypadkiem ujawnić tajne aplikacje. Nie udało mu się to ani razu, ale każdy system ma jakąś wadę. Nigdy nie sprawdzał telefonu z włączonym nagrywaniem. Może w oprogramowaniu jest jakiś feler, który odśłoni aplikacje i sprawi, że oprych znów wyciągnie nóż.

– Gdzie to jest? – Pokazał Willowi zdjęcie, jedno z tych, które pstryknął z autostrady.

– Przy drodze numer szesnaście – odparł Will. – Pomyślałem, że to ładny widok.

– Geotag podaje, że to przy drodze czterysta siedemdziesiąt pięć – sprzeciwił się tamten.

Will wzruszył ramionami. Poczuł, że usta wyschły mu na wiór. Zapomniał o geotagach. Stanowiły część usług lokalizacyjnych iPhone'a i podawały współrzędne geograficzne miejsca, gdzie robiono zdjęcie. Will nie miał pojęcia, czy program GBI maskuje je, czy nie.

– Ściągnęłaś je z internetu? – Pokazał Willowi nagie kobiety.

Przelotne poczucie bezpieczeństwa Willa wyparowało. Ściągnął te zdjęcia ze swojego komputera w Atlancie. Nie wiedział, co geotag odnotuje – miejsce, gdzie znajdował się Will w chwili, gdy je ściągał, czy to, gdzie zostało zrobione.

Will czekał, patrząc, jak paluch tamtego przesuwają się po ekranie.

– Ja tam nie lubię Azjatek. – Oprych przeglądał dalej.

Will zapiął mankiety koszuli, starając się nie pokazać, że przed chwilą o mało się nie posikał. Jeden guzik wisiał na nitce. Został mu w ręku. Will nie wiedział, co z nim zrobić. Schował go do kieszeni.

Zastanawiał się, kto znajdzie ten guzik w jego koszuli, jeśli tu umrze. Pewnie lekarz sądowy. Pete Hanson przeszedł na emeryturę kilka miesięcy temu, ale Amanda ściągnęła nowego koleśka, który był młody i arogancki i wierzył we wszystko, co wydobywało się z jego ust. Will zastanawiał się, do jakich wniosków dojdzie chłopak w związku z tym guzikiem. Zastanawiał się, czy Sara się o nim dowie. Czy będzie myślała o Willu za każdym razem, gdy będzie wkładać bluzkę?

Wyjął guzik z kieszeni i rzucił go na podłogę.

Tony mlasnął językiem. Will popatrzył na niego. Kurdupel mrugnął, jakby tkwili w tym razem. Jakby to nie on wydał Willa tym zbirom na rzeź.

Co sprawiło, że Tony zwrócił się przeciwko niemu? Pewnie kolacja. Tony mógł dowiedzieć się o tej randce jedynie od Cayli. Musiała wiedzieć, że Tony się zjawi. Will widział, że podobało jej się napuszczanie ich na siebie nawzajem. Brat przyrodni czy nie, najwyraźniej zwodziła Tony'ego od lat.

A może to było coś bardziej niebezpiecznego? Może Tony nadal sądzi, że Will jest glina? To, że ubiegłej nocy wpadł do domu Leny, nie było najmądrzejszym posunięciem. Żaden były więzień przy zdrowych zmysłach nie leci na linię ognia, nawet jeśli ma setkę dziewczyn w ciąży grożących mu sądem.

– W porządku – powiedział wreszcie bandzior i oddał Willowi telefon.

Will nie wiedział, co innego mógłby zrobić, więc go od niego wziął. Etui było ciepłe. Will miał tak spocone dłonie, że o mało nie upuścił aparatu, zanim zdołał wsunąć go do kieszeni.

Oprych nachylił się nad biurkiem i wcisnął przycisk telefonu. Rozległo się buczenie, po czym wcisnął przycisk jeszcze raz. To był jakiś sygnał. Wszyscy czekali. I czekali. Will odliczał w głowie sekundy, niestety szybko stracił rachubę i musiał zacząć od nowa.

Zadzwoiła komórka. Oprych się nie spieszył. Jego aparat był przykryty

stertą papierów na biurku. Odebrał po szóstym dzwonku. Słuchał, od czasu do czasu kiwając głową. Zerkał na Willa.

– Tak, pewnie ma pan rację – powiedział i się rozłączył.

– To Wielki Białas? – spytał Tony. Był gorliwy jak dzieciak. – Powiedział ci, że jesteśmy spoko? – Klepnął Willa w plecy. – Mówiłem ci, że załatwię to jak trzeba, stary.

Oprych wyciągnął z kieszeni plik studolarówek. Zerknął na woreczek z tabletkami, który Tony rzucił na biurko, i odliczył dziesięć banknotów. Podał gotówkę Tony'emu.

– To więcej, niż ci się należy za to, że wciągnąłeś tę szmatę do naszych interesów. Pozbądź się go.

Will poczuł przyływ paniki, ale zaraz sobie uświadomił, że bandzior ma na myśli mężczyznę przywiązanego do krzesła. Will zerknął w tamtą stronę. Zupełnie o nim zapomniał. Dotarło do niego, że w jakimś sensie uznał go za zmarłego.

– Wyrzuc go gdzieś, gdzie go znajdą – polecił oprych.

– Nie ma sprawy. – Tony podszedł do krzesła i trzepnął mężczyznę w głowę.

– Chodź, chłopie, idziemy.

Mężczyzna jęknął. Z jego otwartych ust ciekła ślina.

– No już. – Tony uderzył go mocniej. – Wstawaj, kutasie. Czas na ciebie.

Mężczyzna szarpnął sznur. Nawet gdyby chciał, nie mógłby wstać.

– Widziałeś tego dupka? – Oczy Tony'ego płonęły. Najwyraźniej lubił sprawiać innym ból. Znowu kopnął krzesło. Nie było w nim teraz nic z komara, był po prostu żylastym twardzielem, który nie miał problemu z walką w wyższej wadze.

Oprych miał dość.

– Przestań się zgrywać i zabierz go stąd.

Tony wyciągnął z buta nóż. To nie był scyzoryk, tylko dwudziestopięciocentymetrowy nóż myśliwski o groźnie wyglądającym ząbkowanym ostrzu. Przeciął sznur wokół krzesła. Mężczyzna runął do przodu, jęcząc z ulgą. Tony złapał go, zanim upadł na podłogę. Podrzucił

nóż, kierując rękojeść w stronę Willa.

– Uwolnij mu stopy.

Will przepiłował sznur, którym nogi mężczyzny przywiązane były do krzesła. Przecinając ostatnie włókna, zerknął w górę. Oczy tamtego zamieniły się w spuchnięte szparki, ale Will dostrzegł zakrwawione białka. Krew ciekła mu po czole i osiadała na rzęsach. Przednie zęby miał połamane. Grzbiet nosa zmiażdżony. Mimo to mężczyzna wyglądał znajomo, ale Will nie miał czasu dociekać, z jakiego powodu.

– Zbudź się, dupku. – Tym razem pięść Tony’ego uderzyła od dołu. Głowa mężczyzny odchyliła się do tyłu. Trysnęła krew. – Ja nie żartuję, chłopie. Wstawaj, kurwa.

Mężczyzna próbował wykonać polecenie. Jego bose stopy przykleiły się do dywanu. Nogi mu dygotały. Kolana nie chciały się wyprostować.

Will wkroczył do akcji. Nie mógł na to patrzeć. Dźwignął mężczyznę na nogi, podpierając go i praktycznie niosąc.

– Proszę... – wyszeptał błagalnie mężczyzna ledwie słyszalnym głosem.

Will rozejrzał się po pokoju, ale nikt nie wydawał się poruszony tym błaganiem. Byli raczej rozdrażnieni.

– Zabierzcie go stąd – rozkazał oprych. Wrócił na kanapę i usadowił się przed otwartym pudełkiem z pizzą.

Will próbował dowlec mężczyznę do drzwi. Gdyby zdołał wyjść z tego pokoju, gdyby udało mu się wydostać z tego klubu, może znalazłby jakiś sposób, by go uratować.

Oprych wziął kawałek pizzy.

– Będę z tobą w kontakcie, Bud. Mamy robotę, która zdaniem pana Białasa będzie odpowiadać twoim szczególnym umiejętnościom.

Will mruknął coś, ale tylko z wysiłku, jakiego wymagało dźwiganie mężczyzny. Nie wystarczyło pomóc mu iść. Zarzucił go sobie na plecy. Półtora metra do drzwi. Pewnie kolejny metr do wyjścia. Naokoło budynku i dalej na parking. Will weźmie pick-upa Tony’ego. Zdzieli go zniecka od tyłu, zabierze kluczyki. Zawiezie tego nieszczęśnika do szpitala. Poprosi Faith o objęcie go ochroną. A potem znajdzie Sarę, padnie jej do stóp i będzie ją błagał, żeby wszystko naprawiła.

- Otwórz drzwi! – rozkazał Will Tony’emu.
- A co z dywanem? – zapytał Junior. – Tych plam nie da się wywabić.
- Cholera, nie jestem czyścicielem dywanów – jęknął Tony.
- Zabierzcie go i spalcie. – Oprych dokończył kawałek pizzy. – Wyrzućcie trupa na trawnik przed jego domem. To powinno być dość publiczne miejsce.

Tony dał jasno do zrozumienia, że jego zdaniem wyświadcza im wielką przysługę. Podciągnął spodnie, opadł na kolana i zaczął zwijać brzeg dywanu. Will odwrócił się, bo nie miał nic do roboty poza przyglądaniem mu się i czekaniem.

Wtedy właśnie mężczyzna postanowił wykonać swój ruch.

Bez uprzedzenia oderwał się od Willa. Sięgnął do klamki. Miał zaburzoną koordynację. Dłonie śliskie od krwi. Zamiast otworzyć drzwi, upadł na nie. Zaczął krzyczeć i walić w drzwi, jakby po drugiej stronie mógł uzyskać jakąś pomoc.

Instynkt Willa wziął górę. Ze wszystkich facetów w pokoju on był najmniej śmiercionośny. Chwytał mężczyznę w pasie. Usiłował zasłonić mu usta. Tamten kopał go, gryzł, okładał pięściami, aż Will nie był już w stanie dłużej go trzymać.

Nie miał dokąd uciec – żadnych okien ani drzwi poza tymi, którymi weszli. Mężczyzna był tak oszalały ze strachu, że dosłownie kręcił się w kółko. Dywan zwijał mu się pod nogami. Obijał się o stolik do kawy, o biurko. Tony złapał go od tyłu i rzucił twarzą do podłogi. Usiadł na nim okrakiem. W rękę miał nóż myśliwski. Wbijał ostrze w plecy, ramiona i szyję leżącego. Nóż raz za razem unosił się w górę i opadał w dół niczym tłok. Ostrze przekłuwało skórę z głośnym plaśnięciem. Wokół Tony’ego fruwały strumienie krwi, długie i cienkie niczym spaghetti, jakby znajdował się w jakiejś upiornej szklanej kuli z pawilonu strachów.

Junior przyłożył Willowi spluwę do piersi, jasno dając do zrozumienia, żeby się do tego nie mieszał. Will miał poczucie, że lufa dotyka nagiej kości. Junior był niesamowicie spokojny, gdy Tony szalał z nożem. Napotkał wzrok oprycha i krótko pokręcił głową, jakby pytał: „Co w tego kolesia wstąpiło?”. Jego pomagier tkwił na kanapie i przyglądał się morderstwu w taki sposób,

jakby obserwował grę w karty.

Tony dźgał mężczyznę jeszcze długo po tym, jak umarł. Przestał dopiero wtedy, gdy zabrakło mu sił. Przysiadł na piętach. Dyszał ciężko. Spocił się. Otarł twarz rękawem koszuli. Czoło, usta, policzki. Wszędzie rozsmarował krew.

Junior schował broń do kabury przy pasku. Will mógł się teraz ruszyć, ale nie miał dokąd pójść. Od wczoraj już drugi raz patrzył, jak jedna istota ludzka atakuje inną.

Lena przynajmniej reagowała na zagrożenie. Tony Dell był niczym szakal uśmiercający swoją ofiarę. Rozkoszował się każdą sekundą mordu. Wydawał pomruki i okrzyki, gdy nóż wbijał się w ciało. Bryzgi krwi, które zalewały mu twarz, sprawiały jedynie, że chciał jeszcze więcej.

A teraz się śmiał.

Krew zabrudziła mu zęby niczym szminka.

– I co ty na to, Bud? – zwrócił się do Willa. – Widziałeś, jak ten świrus biegał w kółko? Ale, kurwa, heca!

Oprych nie był zadowolony.

– Widzisz, jakiego narobiłeś bałaganu?

– I tak mieliście wyrzucić dywan.

– Nie zapaprałeś tylko dywanu, prawda?

Tony rozejrzał się, podziwiając swoje dzieło. Pokręcił głową, po czym wytarł nóż o spodnie i usiłował wepchnąć go z powrotem do buta. Ostrze wykrzywiło się, prawdopodobnie od uderzenia w twardą kość czaszki. Żeby schować nóż, Tony musiał obrócić rękojeść. I wtedy zobaczył, że we wnętrzu dłoni ma otwartą ranę.

– Cholera, musiała ześlizgnąć mi się z rękojeści. Mógłbyś zawieźć mnie do szpitala, Bud? – zapytał Willa. – Takie rzeczy łatwo ulegają zakażeniu.

Oprych wydawał się bardziej urażony niż oburzony.

– Junior, przyprowadź kilka dziewczyn, żeby to posprzątały. Zabierz stąd ciało – zwrócił się do Tony'ego. – Wyrzuć je przed jego domem, jak mówiłem.

– Jesteś tego pewny? – zapytał Tony.

– Polecenie bezpośrednio od Wielkiego Białasa. Umieścić go gdzieś, gdzie zostanie znaleziony. Jedyne sposoby na przekazanie wiadomości to upewnić się, że wszyscy będą mieli szansę ją odczytać. – Następne polecenie oprych skierował do Willa: – Miej na niego oko. Pilnuj, żeby tego nie spieprzył.

– Niczego nie spieprzę! – wrzasnął Tony. – Powiedz Wielkiemu Białasowi, że to ja mu to załatwiłem.

– Naprawdę chcesz sobie przypisać tę zasługę? – spytał oprych. Pokręcił głową, spoglądając na Juniora, który odpowiedział takim samym gestem.

– Zajmiemy się tym – zapewnił Will, ponieważ sądził, że dzięki temu szybciej stamtąd wyjdą. Uklęknął na podłodze. – Zawień ciało w dywan.

– Bierz przykład ze swojego kumpla, Tony. Dobrzy żołnierze wykonują rozkazy. – Oprych usiadł na kanapie. Znowu wyciągnął scyzoryk, żeby wyczyścić paznokcie. – Tak jak mówiłem, panie Black, będziemy w kontakcie.

Will nie zamierzał czekać na więcej. Gestem ponaglił Tony'ego.

– Pospiesz się. Zawień go w dywan.

Tony pchnął ciało, ale fizyka działała przeciwko niemu. Trup był bardzo ciężki. Buty Tony'ego ślizgały się na betonowej podłodze. Jego wykrzywiona twarz przemieniła się w maskę skrajnej determinacji. Wreszcie mężczyzna przewrócił się na plecy. Ramię zasłaniało mu oczy, jakby nie chciał już niczego więcej widzieć.

Tony uniósł jego ręce i skrzyżował je na piersi. Przeszedł na drugą stronę dywanu.

– Nie – zaprotestował Will – musimy turlać ciało. – Chwycił mężczyznę za ramiona, bo ta strona była cięższa, a nie mógł już dłużej patrzeć, jak Tony szamocze się ze zwłokami.

– Gotowy? – zapytał Tony.

Will spojrzał na twarz zabitego. Teraz go rozpoznał, choć nawet po śmierci ból wykrzywił mu rysy. Faith pokazała Willowi zdjęcie tego człowieka w swoim telefonie zaledwie kilka godzin temu.

Mężczyzną na krześle był detektyw Eric Haigh.

10.

PIĄTEK

Właśnie minęła północ, a Sara znów siedziała na kanapie w poczekalni OIOM-u. Kartkowała jakiś magazyn, próbując wyłączyć się i nie słuchać prowadzonych wokół rozmów. Po południu przyjęto więcej pacjentów. Członkowie ich rodzin wypełniali małą salkę. Nowo przybyli okazali się bardzo towarzyscy. Chcieli wymieniać się opowieściami. Pragnęli porównywać tragedie. Nell nie była tym zachwycona. Nie mogła znieść tego wścibstwa i tłoku. Sara przekonała ją, żeby wróciła do hotelu i trochę się przespala.

Zresztą i tak siedzenie w szpitalu nie miało sensu. Stan Jareda się nie zmieniał, mimo że wpompowywano w niego antybiotyki. Sara miała już do czynienia z zakażeniami pooperacyjnymi. Były równie bezlitosne, co niewybredne. Istniało bardzo niewiele antybiotyków, które mogły je skutecznie zwalczyć.

Tak więc po raz kolejny tego dnia Sara znalazła się w tym samym punkcie, z którego wyruszyła rano. Dwudziestoczworogodzinny zegar został przestawiony. Jared przetrzymał operację. Czas pokaże, czy przetrzyma również zakażenie.

Sara odłożyła magazyn na stolik. Trzy razy czytała tę samą plotkarską relację z życia celebrytów i nadal nie mogła skupić się na jej treści. Trwała w jakimś dziwnym otumanieniu. Po raz kolejny żałowała, że wypila wieczorem dużą whisky. Takie leczenie się na własną rękę nigdy nie było dobrym pomysłem, ale stres, alkohol i trzydzieści godzin bez snu to zabójcza mieszanka. Sara miała wyłącznie kaca, z pominięciem rauszu. Bolała ja

głowa. Była roztrzęsiona. To, że już pijąc whisky, zdawała sobie sprawę, iż popełnia wielki błąd, jeszcze wzmagało jej udrękę. Jedyne pocieszeniem było to, że po rozmowie z Willem nie zamówiła kolejnej szklaneczki.

Żałowała, że ta rozmowa w ogóle się odbyła. Albo Sara jest bardzo marną pijaczką, albo ich związek nie zmierza w stronę, w którą zdawało jej się, że zmierza. Jej rozpaczliwe seksualne kuszenie zostało przyjęte z takim entuzjazmem jak kontrola urzędu skarbowego. Dzięki Bogu, nie powiedziała mu, że go kocha. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak bardzo czułaby się zażenowana, gdyby jej wyznanie spotkało się z milczeniem. Will najwyraźniej się wycofywał. Sara albo zrobiła, albo powiedziała coś nie tak. Pewnie poczuł ulgę, że nie poprosiła, żeby do niej przyjechał. Z daleka lub z bliska, z tej czy z tamtej strony. Nadal nie miała pojęcia, gdzie on jest.

W każdym razie cieszyła się, że nie tutaj.

Sama zresztą wolałaby być gdzie indziej.

Nie mogła dłużej siedzieć. Wstała i rozprostowała plecy. Miała poczucie, że kręgi stopiły się ze sobą. Powitały ją życzliwe uśmiechy. Wyszła na korytarz, żeby mieć choć odrobinę prywatności.

Światła były przygaszone ze względu na późną porę. Possum znajdował się dokładnie tam, gdzie widziała go pół godziny wcześniej. Stał plecami do Sary przed zamkniętymi drzwiami OIOM-u i zaglądał do środka przez szybę. Pod tym kątem nie mógł zobaczyć wnętrza pokoju Jareda. Na linii jego wzroku znajdował się gliniarz. Sara widziała, że to jego czuwanie drażni chłopaka. Wciąż zerkał na Possuma, a potem przenosił wzrok na pielęgniarkę w dyżurce, jakby ta biedna kobieta mogła mu pomóc.

Possum prawie nie rozmawiał z Sarą – nie dlatego, że był nieuprzejmy, ale dlatego że za każdym razem, gdy na nią patrzył, łzy napływały mu do oczu. Nie wiedziała, czy płacze z powodu utraty Jeffrey'a, zagrożenia życia Jareda, czy też tak działa na niego niemożliwe do zniesienia połączenie jednego i drugiego.

Sara wiedziała tylko, że ma dość przebywania tutaj.

Podeszła do windy, uznała jednak, że schody przynajmniej zapewnią jej trochę ruchu. Chciała się przewietrzyć, znaleźć w pomieszczeniu, które nie przesiąkło atmosferą strachu i tragedii. I chyba powinna odbyć ze sobą szczerą rozmowę na temat Willa. Może była ślepa na głębszą prawdę kryjącą

się za jego milczeniem. Nigdy nie wyznała Willowi, że go kocha, ale Will także nigdy nie wypowiedział tych słów.

Z doświadczenia wiedziała, że najprostsze wytłumaczenie zwykle jest najbardziej do dupy.

Zeszła dwa piętra w dół, gdy zobaczyła różowo-niebieski znak. Oddział położniczy. Skierowała się w tamtą stronę. Zawsze gdy miała szczególnie okropny dzień w Grady, chodziła popatrzeć na noworodki. Było coś krzepiącego w obserwowaniu, jak nowiutkie oczka otwierają się, mrugając, jak bezzębne buźki marszczą się w uśmiechu. Noworodki są dowodem na to, że życie nie tylko nadal będzie się toczyć, ale wręcz rozkwitać.

Sara uznała, że o tej porze nie będzie tam wielu osób, i miała rację. Godziny odwiedzin dawno się skończyły. Nie było też pielęgniarki, która odprawiałaby maruderów. Nikt nie zadał sobie trudu, by opuścić rolety na ogromnych szybach, żeby maluszki mogły spokojnie spać.

Przyćmione światło z korytarza rzucało ciepły blask na rzędy łóżeczek. Wszystkie noworodki miały na główkach różowe albo niebieskie czapeczki z dzianiny. Były ciasno opatulone dobranymi kolorystycznie kocykami. Ich małe twarzączki wyglądały jak rodzyнки, niektóre maluszki urodziły się tak niedawno, że kołysały łagodnie główkami, jakby nadal pływały w łonie matki.

Sara przycisnęła czoło do szyby. Szkło było zimne. Jedno z dzieci nie spało. Zmrużonymi oczkami wpatrywało się w sufit. Zdobiły go kolorowe obrazki – tęcze, puszyste obłoczki i wesołe króliczki. Namalowano je bardziej dla rodziców niż dla dzieci. Noworodki są skrajnie krótkowzroczne. Podstawowa struktura oka już jest, ale miną miesiące, zanim niemowlęta nauczą się jej używać. Na razie te malunki na suficie stanowiły dla nich przyjemny kleks.

Drzwi za plecami Sary się otworzyły. Odwróciła się, oczekując, że zobaczy pielęgniarkę wychodzącą z łazienki.

Zamiast niej ujrzała Lenę Adams.

W ręku trzymała chusteczkę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Sara dostrzegła w jej oczach popłoch, a potem jakby rezygnację.

Lena skierowała się w stronę windy.

– Zaczekaj! – zawołała za nią Sara.

Lena stanęła, jednak się nie odwróciła.

Sara natychmiast pożałowała swojego impulsu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czy jest jej przykro? Z pewnością poruszyło ją to, że Lena straciła dziecko. Ale to nie zmienia tego, co zdarzyło się wcześniej.

Sara zdobyła się tylko na to, by powiedzieć:

– Nie musisz wychodzić.

Lena odwróciła się powoli. Nie patrzyła na Sarę. Zamiast tego podeszła do szyby, za którą leżały noworodki. Oparła palce na krawędzi parapetu. Przycisnęła czoło do szyby tak samo jak wcześniej Sara. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się odgradzić od wszystkiego wokół niej. Było coś tragicznego w sposobie, w jaki patrzyła na te nowo narodzone dzieci. Jej tęsknota zdawała się przenikać przez szkło.

Sarę ogarnęło znajome poczucie, że narusza prywatność Leny. Otworzyła usta, by się pożegnać, lecz Lena jej na to nie pozwoliła.

– Nadal u niego bez zmian? – spytała.

– U Jareda? – spytała Sara. – Tak.

Lena kiwnęła tylko głową, wciąż patrząc prosto przed siebie. Przeniosła dłoń na brzuch, kładąc ją na nim płasko.

I znowu Sara zwalczyła odruch, by nieść pocieszenie, by ukazać tę sytuację w bardziej pozytywnym świetle. Ostatecznie jednak nie starczyło jej energii. Gdzieś w głębi jej piersi kryła się zdolność do współczucia tej kobiecie. Sara czuła czasem, jak coś tam drga, niczym silnik samochodu usiłujący zapalić w mroźny dzień. Terkotał i ryczał, ale w końcu zawsze tylko prychał i gasł.

Sara znów spróbowała odejść.

– Powinam...

– Nie zdawałam sobie sprawy, że są takie małe. – Rysy Leny złagodniały, gdy patrzyła na maluszka, który leżał najbliżej. – To musi być straszne wiedzieć, jak bardzo są kruche. – Szyba zaszła mgłą od jej oddechu. Wydawało się, że Lena czeka na odpowiedź.

– Człowiek uczy się, co robić. – Sara dorastała wśród dzieci. Nie

wyobrażała sobie życia bez nich.

– Nigdy dotąd nie trzymałam na rękach niemowlęcia.

– Nie masz żadnych kuzynów?

– Nie. Nigdy też nie opiekowałam się czyimiś dziećmi. – Zaśmiała się cicho. – Nie byłam typem nastolatki, której ludzie powierzyliby swoje dzieci.

Sara mogła to sobie wyobrazić.

Lena westchnęła głęboko.

– Nie sądziłam, że można pokochać coś, co było ode mnie tak kompletnie zależne.

– Przykro mi – powiedziała Sara. – O ile to coś warte.

– O ile to coś warte – powtórzyła Lena. – Nell już mnie tak nie nienawidzi.

Sara też odczuła tę zmianę, ale nie była pewna, na ile okaże się ona trwała.

– Lepiej było, kiedy mnie nienawidziła – wyznała Lena. – Wiedziałam, jak sobie z tym radzić. Obie wiedziałyśmy. – Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Sarę. – Zupełnie jakby uważała, że utrata dziecka czyni mnie lepszą osobą.

Sara ważyła słowa, próbując rozszyfrować jej pobudki. Lena czegoś chciała. Ona zawsze czegoś chciała.

– Dziękuję, Saro. – Lena odwróciła się do szyby. – Wiedziałam, że mogę na tobie polegać. Ty nie będziesz się nade mną litowała.

Sara chciała odejść. Nie mogła w tej chwili przywołać starej nienawiści, wiedziała jednak, że łatwo dałaby się przekonać.

– Powinnam sprawdzić, co z Possumem.

– Kontakt z tobą tylko rozwała go psychicznie.

Sara nie mogła się z tym spierać.

– Mimo to...

– Dostałaś mój list?

Ten list.

Cztery lata temu Sara otworzyła skrzynkę i znalazła w niej napisany odręcznie list od Leny. Wepchnęła zaklejoną kopertę do torebki. Spieszyła

się do pracy. Nie chciała go czytać. Najwidoczniej nie chciała także go wyrzucać. Przez prawie rok nosiła list przy sobie. Do pracy, do sklepu, na obiad, do domu. Przekładała go, kiedy zmieniała torebkę. Widziała go za każdym razem, gdy wyjmowała portfel albo szukała kluczy.

Lena jej się przyglądała.

– Przeczytałaś go?

Sara nie chciała się do tego przyznać, powiedziała jednak:

– W końcu tak.

– Nie miałam racji.

– Czyżby? – List był długi, na trzy strony formatu A4. Trzy nudne, płaczliwe strony pełne samousprawiedliwień, kłamstw i zrzucania winy na innych. – W czym konkretnie?

– We wszystkim. – Lena oparła się ramieniem o szybę. – Wiedziałam, że Jeffrey przyjdzie mi na ratunek. Wiedziałam też, że narażam go na niebezpieczeństwo.

Sara poczuła, że jej twarz robi się czerwona. Serce trzepotało niczym ptak w klatce. Tak długo czekała na to wyznanie winy, na jej potwierdzenie, a teraz mogła myśleć tylko o tym, że Lena ma jakiś ukryty motyw.

– Nie można zapalić zapalki, a potem udawać zdziwienia, kiedy spłonie ci dom – powiedziała Lena.

Sara starała się zapanować nad głosem.

– Próbowowałaś go ostrzec. – W każdym razie tak Lena napisała w liście. Poświęciła cztery rozwlekłe akapity na wyrażenie żalu, że Jeffrey nie skorzystał po prostu z jej rozsądnej rady. – Twierdziłaś, że kazałaś mu się do tego nie mieszać.

– Wiedziałam, że mnie nie posłucha. – Lena patrzyła teraz na Sarę. – To ja powinnam być martwa, nie on.

Sara nie wierzyła w to nagłe nawrócenie. Próbowowała podejść Lenę, cytując słowa, które Jared wypowiedział do Nell:

– On zdawał sobie sprawę z ryzyka, kiedy przypinał odznakę.

– Myślisz, że Will też tak do tego podchodzi, kiedy idzie do pracy?

Ni stąd, ni zowąd Sarę opanowała chęć, żeby wytrącić jej imię Willa

z ust. Prowadził śledztwo w sprawie Leny niecałe dwa lata temu, kiedy pozwoliła podejrzanemu umrzeć w areszcie i była przy tym, jak inny gliniarz o mało nie został zadźgany na śmierć. Sara była bardziej rozczarowana niż Will, że nie udało mu się wtedy niczego dowieść.

– Jedyne, co wiesz o Willu Trencie, to to, że omal nie posłał cię do więzienia – powiedziała do Leny.

– Omal. – Usta Leny rozciągnęły się w uśmiechu. Maską zaczęła opadać.
– Wiesz, co pamiętam z tamtych czasów z agentem Trentem? – W jej głosie pojawił się dziwny zaśpiew. – To, że już był w tobie zadurzony. Ty też go kochasz, prawda? Widzę to w twojej twarzy. Zawsze byłaś taka dobra w byciu zakochaną.

Sara pokręciła głową. Zrozumiała, do czego zmierza Lena.

– To niczego nie zmienia.

– Widzę, że rozpoczęłaś nowy rozdział życia. Obie to zrobiliśmy.

– Ja nie miałam wyboru, Leno. Musiałam rozpocząć nowy rozdział, ponieważ mój mąż został zamordowany. – Sara starała się nie być zjadliwa. – Nie miałam wyboru.

– Bez względu na to, co myślisz, nie jestem złym człowiekiem. Chociaż sama długo tak uważałam. Pozwoliłam ci, żebyś mi wmówiła, że nie jestem dość dobra. Że się nie sprawdziłam.

– No cóż, bardzo mi przykro – szydziła Sara. – Powiedz mi, proszę, jak mogę ci to wynagrodzić.

– W końcu się przekonasz, że się zmieniłam.

– Nie zmieniłaś się. Gdybyś się zmieniła, nie byłoby nas tutaj. – Sara starała się zapanować nad kipiącym w niej rozgoryczeniem. – Wszystko zawsze jest dla ciebie grą. To, co teraz robisz, to też gra. Nigdy nie odpuszczasz. Nigdy nie pozwalasz, by ktokolwiek miał nad tobą przewagę. Uważasz, że jesteś dobrą policjantką, ale nie zależy ci na tej pracy ani na nikim innym, kto ją wykonuje. Po prostu chcesz mieć pewność, że wygrasz, bez względu na koszty.

Lena uśmiechnęła się złośliwie.

– Skoro tak twierdzisz, pani doktor.

- Nie bawię się w to. – Sara zaczęła odchodzić.
- Nie mogę uwierzyć, że kiedyś ci zazdrościłam.

Sara odwróciła się, rozdziawiając z niedowierzaniem usta.

– Twojej rodziny. Twojego życia. Twojego małżeństwa. Wszyscy w mieście szanowali cię. Wielbili. – Lena wzruszyła ramionami. – Aż pewnego dnia dotarło do mnie, że wcale nie chcę być taka jak ty. I nie mogłabym być, choćbym nie wiem jak się starała. Nikt nie może. Jesteś zbyt doskonała. Zbyt wymagająca. Nikt nie sprosta twoim wysokim standardom. Jeffrey nie mógł. – Pokręciła głową, jakby naprawdę było jej przykro. – Will nie ma nawet szans.

Sara zaniemówiła – nie z powodu tego, co Lena powiedziała, ale dlatego że tak po mistrzowsku nadała rozmowie nowy kierunek.

- Chcesz, żebym czuła się winna, dlatego że moje życie toczy się dalej?

Złośliwy uśmiezek na ustach Leny mówił sam za siebie. Powtórzyła wcześniejsze słowa Sary:

- Teraz wiesz, jakie to uczucie.
- Będziemy teraz w to grały? Naprawdę będziemy? – zapytała Sara.
- Nie boisz się, że to ja wygram?

Sara skrzyżowała ręce na piersi i czekała.

– Te wszystkie lata, które zmarnowałam, myśląc, że jesteś lepsza ode mnie. Biedna Sara, tragiczna wdowa. Aż tu nagle dowiaduję się, że wskoczyłaś z powrotem na siodło z pierwszym gliniarzem, który ci się nawinął.

Poczucie winy sparaliżowało Sarę. Lena zawsze była rekinem, który potrafi wyczuć najmniejszą kroplę krwi w wodzie.

- To nie było tak.

– Dokładnie tak było – odparowała Lena. – Jesteś po prostu luksusową policyjną dziwką. Wiesz o tym?

Sara się roześmiała, czując ulgę, że tylko o to chodziło. Policyjna dziwka – tak się mówi o kobiecie, która sypia z policjantami.

- No i? – spytała.

– Wiesz, co kochałaś w Jeffreyu? To, że ryzykował. Że wychodził na ulicę i rozprawiał się z każdym, kto wszedł mu w drogę.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

Lena podeszła bliżej.

– Nigdy byś się nim nie zainteresowała, gdyby był jakimś oferą pozwalającą, by inni bili się za niego.

– Czyli kimś takim jak ty?

Lena zacisnęła usta. Była to jedyna wskazówka, że usłyszała słowa Sary.

– Widziałam, w jaki sposób na niego patrzyłaś, na tego twojego bohatera, twojego dużego, twardego gliniarza. Założę się, że z Willem jest tak samo. Zabawne, że po prostu zamieniłaś jednego gliniarza na innego. Ciekawe, co Jeffrey by na to powiedział...

Sara pokręciła głową, jakby te ciosy jej nie dosięgały.

– Czy to do czegoś prowadzi?

– Chciałaś, żeby Jeffrey wychodził na ulicę i walczył. Uwielbiałaś, gdy ruszał do akcji, żeby skopać tyłki bandziorem. Powiem ci coś, Saro, on ryzykował, bo ty właśnie tego chciałaś. Czerpałaś tanią podniecie z popychania go na skraj przepaści. Ja wskazywałam mu miejsce, gdzie miał iść, ale to ty, ty go potem za to nagradzałaś.

– Zamknij się – warknęła Sara. Rana była zbyt głęboka. – Po prostu się zamknij.

– Niezbyt miłe uczucie, co? Być obwinianą o coś, na co nie miałaś wpływu.

– Ta rozmowa jest skończona. – Sara próbowała odejść, ale Lena złapała ją za łokieć. – Zabieraj łapę.

– Myślałam, że w to gramy.

Sara wyszarpnęła łokieć z uścisku Leny.

– Wydaje ci się, że jesteś taka cholernie mądra, ale nie potrafisz dostrzec nawet tego, co masz przed samym nosem – wycedziła Lena. Jej zdziwiony śmiech odbił się echem w pustym korytarzu. – Hej, chyba jednak zdarza ci się popełniać błędy.

– Uważasz, że nie popełniam błędów? – Sarze z wściekłości drżał głos.

Z trudem nad sobą panowała. – To ja powiedziałam Jeffreyowi, żeby cię zatrudnił. To ja nalegałam, żeby cię awansował. To ja myślałam, że potrafisz wykonywać swoją cholerną robotę i będzie przy tobie bezpieczny.

Lena stała plecami do szyby. Sara nachylała się nad nią. Nie pamiętała, żeby się ruszyła, nie rozumiała, jakim cudem jej palec wbijał się w pierś Leny ani jak jej ręka zacisnęła się w pięść.

Lena powoli odwróciła głowę, nadstawiając policzek.

– Śmiało – powiedziała głosem gładkim jak jedwab. – Uderz mnie.

Sara czuła w stopach dziwne łaskotanie. Miała wrażenie, że stoi na krawędzi bezdennej otchłani. Zmusiła się, by popatrzeć ponad ramieniem Leny na rzędy noworodków opatulonych w kocyki. Na wesołe tęcze i obłoczki wymalowane na suficie nad nimi.

Nie mogła pozwolić Lenie wygrać. Nie tym razem. Nie w taki sposób. Cofnęła się znad krawędzi. Opuściła rękę. Wyprostowała się. I z podniesioną głową odeszła długim korytarzem.

– To wszystko?! – zawołała za nią Lena.

Sara musi tylko zejść na dół. Kiedy już będzie na dworze, kiedy nabierze w płuca świeżego, chłodnego powietrza, znajdzie jakiś sposób, żeby puścić to w niepamięć. Ostatnie pięć minut nie może wymazać minionych pięciu lat. Lena nie ma pojęcia, przez co Sara przeszła. Z czym się zmagала. Z jakim trudem stworzyła sobie nowe życie. Nie znała Jeffreya, a już z pewnością nie zna Willa.

W korytarzu rozbrzmiały echem powolne oklaski. Sara starała się nie wzdrygać. Każde klaśnięcie brzmiało jak wystrzał.

– Brawo, pani doktor. – Lena klaskała coraz głośniejsze. – Ty przecież jesteś ponad to.

Sara się nie odwróciła. Nie mogła. Inaczej wdałaby się z Leną w bójkę, do której tamta tak się rwała.

Pchnęła drzwi prowadzące na schody. Nie mogła rozluźnić dłoni. Pierwsze półpiętro pokonała truchtem. Z każdym krokiem jej złość narastała.

Oczywiście, że kochała Jeffreya dlatego, że był twardy. Nie ma kobiety, która nie chciałaby mieć silnego mężczyzny. To nie czyniło Sary odpowiedzialną za to, że został zamordowany. Błagała go, żeby nie ufał

Lenie, żeby choć raz zostawił ją własnemu losowi. Myśl, że Sara mogłaby po prostu zastąpić Jeffreya Willem, była niedorzeczna. Ci dwaj nie mieli ze sobą nic wspólnego, poza tym, że obaj spraliby Lenie tyłek, gdyby słyszeli, w jaki sposób zwraca się do Sary.

Kiedy dotarła na parter, z ulgi o mało się nie rozpląkała. Znalazła się w kolejnym słabo oświetlonym korytarzu. O tej porze w nocy nie było tu żadnych maruderów ani odwiedzających. Szła wzdłuż zielonej linii na podłodze, wiedząc, że zaprowadzi ją do wind i do wyjścia.

Zbyt wymagająca.

Zbyt idealna.

Żeby tylko.

Sara nie mogła się powstrzymać od popełniania błędów. Błędy dosłownie ją przytłaczały. Małe. Większe. Zmieniające całe życie, stawiające świat na głowie pomyłki towarzyszyły jej przez ostatnich pięć lat życia, a ich kulminacja nastąpiła w drodze do tego nieszczęsnego szpitala.

Zadzwoiła jej komórka. Sara nie odebrała. Minęła zamknięty sklepik z upominkami. Mylarowe balony przytulały się do sufitu. Lodówka była zamknięta na łańcuch. Komórka przestała dzwonić. Niemal natychmiast zaczęła znowu. Sara poczekała, aż włączy się poczta głosowa. Na kilka sekund zapadła cisza, po czym telefon znów się rozdzwoił.

Sprawdziła tożsamość rozmówcy.

JASPER, GA.

Will.

Kilka godzin temu jego telefon twierdził, że jest na wybrzeżu. Teraz dla odmiany, że w górach.

Sara odebrała. Starła się zapanować nad głosem.

– Nie mogę teraz rozmawiać.

– Gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– Na górze?

– Nie. – Otarła łzy. Główne wejście było tuż przed nią. Światła z parkingu zalewały hol nieziemskim blaskiem. – Wychodzę.

– Wracasz do hotelu?

– Wracam do domu. – Dopiero kiedy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że to prawda. Jej torebka była zamknięta w samochodzie. Kluczyki miała w kieszeni. Reszta rzeczy została w hotelu. Przywiozła ubrania na zmianę i trochę przyborów toaletowych, które trzymała w swojej szafce w Grady. Nic z tego nie było warte odwlekania ucieczki. Personel hotelu będzie mógł wyrzucić te rzeczy albo zatrzymać. Sarze było wszystko jedno. Wyjeżdżając z miasta, zadzwoni do recepcji.

– Sara? – odezwał się Will.

– Nie mogę rozmawiać. – Zaciskała i rozluźniała dłoń. Od zgrzytania bolały ją zęby. – Zadzwonię później.

– Nie rozłączaj się.

Pokręciła głową.

– Teraz naprawdę nie mogę.

– Chcę, żebyś się zatrzymała. Teraz.

– Will, ja...

– Sara, przestań iść.

Sara stanęła.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Sara popatrzyła na telefon. Potem podniosła wzrok. Skąd Will wie, że ona idzie? Rozejrzała się po pustym holu.

– Gdzie jesteś?

– Muszę ci powiedzieć, co się stało. – Wydawał się zdesperowany. – Nie teraz, ale wcześniej. Wczorajszej nocy.

Teraz go zobaczyła. Stał na zewnątrz za szklanymi drzwiami wejściowymi. Miał na sobie ciemne spodnie i szarą koszulę. Sara widziała już taki strój. To był uniform pracowników technicznych szpitala.

Podniósł rękę i oparł ją na szybie.

Ułatwiła mu to. W tym swoim obłędzie mu to ułatwiła.

– Pracujesz z Faith.

Will nie odpowiedział, a Sara wreszcie zrozumiała. Różne numery

telefonu. Tajna misja, o której nie chciał rozmawiać. Poczucie winy malujące się dziś rano na jego twarzy. Odmowa wyznania jej, co ukrywa. Był tylko jeden powód, dla którego ją okłamywał.

– Znowu prowadzisz śledztwo w sprawie Leny – powiedziała Sara.

– Nie, ale ona wie, że tu jestem – odparł Will. – Przepraszam, kochanie. Tak mi przykro.

Sarę oczy piekły od łez. Lena nie tylko wiedziała, że Will tu jest. Wiedziała także, że Sara nie ma o tym pojęcia.

„Wydaje ci się, że jesteś taka cholernie mądra, ale nie potrafisz dostrzec nawet tego, co masz przed samym nosem”.

– Ty dupku – wysyczała Sara do telefonu. Śmiech Leny wciąż dzwonił jej w uszach. – Przez ciebie wyszłam przed nią na idiotkę.

– Przepraszam. – Will znów podniósł rękę. Przycisnął dłoń do szklanych drzwi. – Nie wybiegałem myślami tak daleko w przyszłość. Ja nie... – Urwał. – Chcę, żebyś mi wybaczyła, Saro. Proszę.

– Okłamałeś mnie. – Głos znów jej drżał. Wszystko w niej buzowało. Zarzucała sobie, że go odpycha, a tymczasem to Will przez cały czas trzymał ją na dystans. – Patrzyłeś mi prosto w twarz i kłamałeś.

– Nie powiedziałem ci, bo myślałem, że mnie zostawisz.

Poczuła, że coś w niej pęka.

– I miałeś rację.

– Sara...

Ten ból był nie do zniesienia. Ścisnęła telefon, żałując, że nie może połamać go na kawałki. Aż nagle uświadomiła sobie, że właśnie może. Rozbiła telefon o ścianę. Odłamki plastiku i szkła strzeliły jej w twarz. Pozbierała te kawałki i znów cisnęła nimi o ścianę.

– Sara! – krzyknął Will. Nadal był na zewnątrz i szarpał zamknięte szklane drzwi. – Sara!

Ależ była idiotką. Otworzyła przez tym człowiekiem serce. Dzielila z nim łóżko. Mówiła mu rzeczy, których nigdy nie powiedziała nawet mężowi.

A on dał Lenie Adams nóż, żeby tamta mogła wbić go Sarze w plecy.

– Sara! – Szczękały rygle zamkniętych drzwi.

Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów.

– Zaczekaj!

Szła dalej. Nie zamierzała na niego czekać. Już nigdy nie będzie na niego czekała. Musi wydostać się z tego budynku. Z tego miasta. Jak najdalej od Leny. Jak najdalej od Willa i jego kłamstw. Nie ma innego wyjścia, jak tylko uciec. Była głupia i ślepa. A on ją zdradził. Dała mu wszystko, a Will ją zdradził.

– Sara! – Głos Willa stał się donośniejszy. Był w budynku.

Przyspieszyła. Kroki Willa dudniły w pustym holu i odbijały się echem w korytarzu. Szedł jej tropem.

Sara zaczęła biec. Nie mogła znieść myśli, że znów miałyby zobaczyć jego twarz. Machała rękami, unosiła wysoko kolana. Kroki Willa były coraz głośniejsze. Drzwi uderzyły o ścianę, gdy wbiegła na klatkę schodową. Zamiast iść na górę, zeszła na dół. W piwnicy jest pewnie szatnia dla personelu. Obsługa techniczna. Magazyny. Kostnica. Znajdzie rampę towarową albo wyjście, którym będzie mogła się wymknąć.

– Sara!

Była na półpiętrze, kiedy drzwi nad nią drzwi otworzyły się z hukiem.

– Zaczekaj! – krzyknął Will.

Potknęła się i złapała poręczy, zsuwając się z ostatnich kilku schodków. Szarpnięciem otworzyła drzwi. Kolejny korytarz. Jaskrawe światło kłuło ją w oczy niczym igły.

– Stój!

Will był już na półpiętrze. Był szybszy od Sary. Za nic nie zdoła dobiec do wyjścia tak, żeby jej nie złapał. Buty ślizgały jej się na podłodze, gdy rzuciła się do otwartych drzwi.

– Pozwól mi wyjaśnić! Sara!

Zatrzasnęła za sobą drzwi, gorączkowo szukając jakiegoś sposobu, by je zablokować.

Drzwi otworzyły się do środka, pchnięte gwałtownie. Poleciała do tyłu. Will chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Sara zamachnęła się na niego z całej siły. Złapał ją za jedną rękę. Uderzyła go drugą. Nienawidziła

go. Chciała wydrapać mu oczy. Wyrwać mu serce z piersi, tak jak on zrobił to jej.

– Sara, proszę...

Znowu go uderzyła. Nie mogła przestać. Bicie go sprawiało jej zbyt dużą przyjemność. Trzepnęła go w twarz. Rozorała mu ją paznokciami do krwi. Jedną ręką złapał obie jej dłonie. Sara nie mogła mu się wyrwać. Pchnął ją na ścianę. Walnęła głową o żużlobeton. Uniosła kolano, ale Will stał zbyt blisko, żeby mogła zrobić mu jakąkolwiek krzywdę.

Pocałował ją. Stuknęli się zębami. Palcami rozluźnił jej szczękę. Jego język wypełnił jej usta. Sara zdzieliła go pięścią w pierś. Gwałtownymi szarpnięciami zsunął z niej dzinsy. Sara go nie powstrzymywała. Pomagała mu. Była odrętwiała. Opadły z niej wszystkie emocje poza jedną: miała dość troszczenia się o innych. Miała dość bycia dobrą przyjaciółką, robienia tego, co należy, godzenia się z losem.

Will napluł na dłoń. To nie wystarczyło. Sara zachłysnęła się, gdy się w nią wbijał. Wszedł głęboko. Zbyt głęboko. Zaparło jej dech. Mimo to złapała go za ramiona, trzymała mocno i wychodziła naprzeciw wszystkim jego ruchom, aż jej ciało przejęło kontrolę i poczuła, że się poddaje.

Usta Sary odnalazły jego usta. Ssała jego język. Ugryzła go w wargę. Wbijała pięty w jego uda. Will wzdrygnął się, kiedy jej dłonie wsunęły mu się pod koszulę. Nie dbała o to. Drapała blizny na jego plecach. Z jej ust wydobywały się słowa – sprośne słowa, które mówiły mu dokładnie, co ma robić, aż musiała zacisnąć zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

Nie było stopniowego narastania, tylko niepohamowana fala rozkoszy, która rozkwitła głęboko w niej. Ta ekstaza była nie do zniesienia. Sara zacisnęła zęby na ramieniu Willa. Poczowała sól jego potu. Każda cząsteczka jej ciała pulsowała od tej intensywności. Wykrzyknęła jego imię. Nie mogła się powstrzymać, nie mogła powstrzymać tej porażającej fali rozkoszy.

Will runął na nią. Żadne z nich nie mogło ustać na nogach. Osunęli się na podłogę, oboje bez tchu, oboje wstrząśnięci tym, co zrobili.

– Sara...

Zakryła twarz. Nie mogła na niego patrzeć. Nie mogła przyjąć do wiadomości tego, co właśnie się stało.

– Sara... – Usta Willa były tuż przy jej uchu. Muśnięcie jego warg wywołało mimowolny dreszcz. – O, Boże – szepnął. – Sara, proszę...

Odepchnęła go. Wciąż czuła jego pulsowanie między nogami. Czuła się splugawiona. Zboczona.

– Sara...

Pokręciła głową, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Idź – błagała. – Proszę, idź sobie.

– Sara...

– Idź! – wrzasnęła.

Will podniósł się z trudem. Usłyszała, jak zapina rozporek, upycha koszulę w spodniach. Rozległ się głośny trzask otwieranych, a zaraz potem zamykanych drzwi.

Sara podniosła wzrok.

Już go nie było.

CZTERY DNI PRZED NALOTEM

Lena siedziała w ciasnej furgonetce obserwacyjnej, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Przed sobą miała trzy monitory. Komputery pod biurkiem buchały gorącem. DeShawn i Paul byli w koszulkach z krótkimi rękawkami. Obaj się pocili, Lenie jednak było tak zimno, jakby siedziała w igloo. Była dopiero w szóstym tygodniu ciąży, a jej organizm już się kompletnie rozregulował. Dlatego właśnie kobiety w ciąży są często takie grymaśne i nieprzewidywalne.

DeShawn przeglądał obrazy z kilku kamer, mamrocząc:

– Gdzie jesteś, Panie Szpicel?

– Pan Szpicel – powtórzył Paul, przeciągając tę ksywę z emfazą showmana.

Wszyscy tajni informatorzy mieli pseudonimy. Ochrona tożsamości informatora stanowiła część paktu z diabłem. Używało się tej ksywy we wszystkich raportach. Używało się jej w terenie, gdzie jedno nieopatrzne słowo mogło oznaczać śmierć informatora. „Pan Szpicel” nie było zbyt kreatywnym pomysłem, ale pasowało do ćpuna, którego namówili do współpracy kilka dni temu. W tym facecie było coś oślizgłego, co przywodziło na myśl węża. Lena sądziła, że to może przez jego łuszczącą się skórę i małe jak paciorki oczka.

– No chodź, Szpicelku. – DeShawn stukał w klawiaturę, przełączając obraz z kolejnych kamer zainstalowanych przed restauracją Chick-fil-A. – Kici, kici.

– Nie bez powodu wzięliśmy dodatkową godzinę – przypomniał mu Paul.

Lena obserwowała, jak obraz na monitorach się zmienia, w miarę jak DeShawn przestawia widok z kamer. Od zawsze nienawidziła ćpunów – pewnie dlatego, że jej wujek ćpał. Hank był teraz czysty, ale to nie zmieniło jego osobowości ćpuna. Wszystko w nim zdawało się pytać: „Co będę z tego miał?”.

– Jest. – Paul wskazał jeden z monitorów. Na miejsce parkingowe przy drzwiach wjechał biały samochód. Hamulec ręczny został zaciągnięty. Okna zamknięte.

– Ma włączony mikrofon? – spytała Lena.

DeShawn poruszał pokrętłem, który regulował odbiór z nadajnika Pana Szpicla. Usłyszeli dźwięki z jego radia – reklamę jakiejś pizzerii. Dźwięk się urwał. Zabrzęczały kluczyki. Otworzyły się drzwi.

Szpicel był niski, żylasty i nieogolony. Bejsbolówkę miał nasadzoną nisko na czoło. Ciemne okulary zakrywały mu twarz. Ubrany był w czarne dżinsy i czarny T-shirt. Idąc w stronę restauracji, co chwila oglądał się przez ramię, zerkał na prawo i lewo.

– Debil – jęknął Paul. – Szkoda, że nie zainstalował sobie neonu!

Po wejściu do środka Pan Szpicel nadal się rozglądał. Stanął w kolejce do kontuaru. Jakaś kobieta ominęła go z daleka, kierując się do bocznego wyjścia. Lena zaplanowała spotkanie na tuż po porze lunchu, ale kilkoro maruderów czekało jeszcze na dolewkę. Przez szelest ubrań słyszała cichą rozmowę. Szpicel przesuwiał się w kolejce. Zamówił mrożoną herbatę. Bez przerwy się drapał i przestępował z nogi na nogę.

– Ćpun potrzebuje swoich tabletek – zauważył DeShawn.

– Ćpun musi najpierw zrobić to, co ma zrobić, zanim zagwarantuję mu nietykalność.

Pan Szpicel czekał przy kontuarze. Cały czas się wiercił. Lena miała ochotę sięgnąć przez monitor i go uspokoić.

Cała operacja zależała od tego cholernego ćpuna. Przez prawie dwa tygodnie zespół Leny obserwował melinę narkomanów na podstawie anonimowego cynku. Nie chcieli po prostu jej zamknąć. Chcieli zakończyć działalność Sida Wallera. To zadanie szybko zamieniło się w trening nieskuteczności. Zwykle trafiał się jakiś męt gotowy donosić w zamian za

forse czy inne korzyści. Tym razem było inaczej. Nikt nie chciał wydać Sida Wallera. Nikt nie chciał, by założono mu podsłuch, kiedy będzie kupował u niego towar. Nikt nie chciał składać zeznań dotyczących narkotyków i broni.

Nikt, dopóki nie objawił się Pan Szpicel.

Paul zdawał się czytać jej w myślach.

– Nadal uważasz, że Pan Szpicel działa na dwa fronty? – spytał.

– Nie wiem – przyznała Lena. Pan Szpicel chciał rozmawiać właśnie z nią. Kiedy odebrała telefon, wychodziła od lekarza. Uroczysta kolacja z Jaredem, którą chcieli uczcić dobre wieści, przemieniła się w żarcie na wynos na posterunku.

– Trochę dziwne, że objawił się akurat w momencie, kiedy nasze śledztwo zaczęło się sypać.

– Skąd miałby wiedzieć, że się sypie? – zapytał Paul.

Lena wzruszyła ramionami.

– Szpicel siedział w areszcie niecałe dwie godziny, kiedy poprosił strażnika, żeby mnie wezwał. Skąd w ogóle znał moje nazwisko?

Paul i DeShawn ryknęli śmiechem. Lena lubiła grać ostro. Każdy ćpun w mieście znał jej nazwisko.

– Dobra, dobra – zreflektowała się. – Ale i tak wszyscy siedzimy w tym na tyle długo, żeby wiedzieć, że nikt nie wyświadcza takich przysług bez powodu.

– No nie wiem – mruknął Paul. – Taki cherlak, pierwszy raz za kratkami... Dwie godziny to chyba dość długo, żeby koleś się załamał.

– W ciupie trudno o oksykodon – dodał DeShawn.

– Chyba że robi się dużo lodów. – Paul podniósł rękę, żeby przybić piątkę z DeShawnem, który odwzajemnił ochoczo ten gest.

– Gdzie on się podział? – Lena pochyliła się do przodu, patrząc na monitory.

DeShawn znów zaczął przełączać obrazy z kamer.

– Tam jest.

Lena dostrzegła zamykające się drzwi. Szpicel wyszedł na plac zabaw. Piaskownicę otaczały kolorowe plastikowe zjeżdżalnie i huśtawki. Dwoje dzieci bawiło się na sznurowej siatce, chłopiec i dziewczynka. Na placu zabaw było więcej kamer niż w restauracji. Widać było każdy zakamarek.

Szpicel usiadł na ławce. Słońce świeciło mu w oczy. Założył ręce za głowę i wyciągnął się, jakby miał mnóstwo czasu. Przez mikrofon przyklejony do jego piersi słyszeli, jak sobie nuci.

– Wykopią go stamtąd – powiedział Paul. – Dorosły facet nie ma prawa przebywać na placu zabaw bez dziecka.

– Chyba nic mu nie będzie. – Lena widziała personel ruszający się ospale za kontuarem. Była cisza po lunchu i wszyscy zwolnili. Jeden z chłopaków podrzucał kubek. Inni przyglądali mu się z mieszaniną nudy i wyczerpania.

– Z mamuszką chyba nie będzie problemu. – DeShawn wskazał samotną kobietę siedzącą w jednym z boksów. Pisała coś na iPadzie i jednocześnie rozmawiała przez komórkę. Na stole miała rozłożone papiery. Pracowała.

– Założę się, że opowiada mężowi, jak to spędza czas z dziećmi.

Lena powstrzymała się od odpowiedzi. Teraz, gdy sama miała zostać matką, stwierdziła, że nie jest już taka szybka w osądzaniu innych.

– Mamy czterdzieści pięć minut, zgadza się? – spytała.

– Mniej więcej – odparł DeShawn. – Waller znany jest z tego, że się spóźnia.

Paul zawsze musiał mieć inne zdanie.

– Może pojawić się wcześniej, żeby obczaić lokal.

– Zadzwońcie na moją komórkę, jeśli przyjdzie. – Lena pchnęła drzwi. – Zaraz wracam.

Przeszła przez parking z opuszczoną głową. Istniały niewielkie szanse, że ktoś ją zobaczy. Ustawili się przed Targetem, pięćdziesiąt metrów od Chick-fil-A. Podłączanie się do bezprzewodowego systemu bezpieczeństwa nie było do końca legalne, ale też kierownik powinien lepiej zakodować swój bezprzewodowy hotspot. Zresztą i tak nie zamierzali wykorzystywać tych filmów. DeShawn ich nie nagrywał. Trzymali Pana Szpicla na krótkiej smyczy. W każdym razie Lena go trzymała. Nie ufała samemu przekazowi dźwiękowemu. Chciała zobaczyć wszystko na własne oczy.

Z tym facetem coś było nie tak. Lena poznała go zaledwie kilka dni temu, ale intuicja mówiła jej, żeby na niego uważać. Wyczuła to, kiedy po raz pierwszy siedziała naprzeciwko niego w areszcie. A już zwłaszcza wtedy, gdy oznajmił, że może jej wystawić Sida Wallera.

Sidneya Michaela Wallera.

Lena doskonale знаła to nazwisko. Podobnie jak wszyscy na posterunku. Waller nie był tylko dilerem narkotyków. Nie był tylko alfonsiem i handlarzem bronią. W ubiegłym roku wszyscy pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby udowodnić mu, że zgwałcił siostrzenicę i zamordował siostrę. Nagle jednak siostrzenica się wycofała. Świadkowie zaczęli znikać. Ludzie zmieniali zeznania. Sprawa rozsypała się trzy dni przed rozpoczęciem procesu i we wszystkich, a zwłaszcza w Lenie, pozostał niesmak.

Aż tu nagle zjawił się Pan Szpicel ze złotym biletem. Nie mogłaby napisać temu typowi lepszego scenariusza. Potwierdził szczegółowe informacje na temat meliny przy drodze międzystanowej. Broń. Dziwki. Ogromna ilość narkotyków krążąca po mieście, podczas gdy Sid Waller siedział na dupie i liczył forszę. Sprawa właściwie sama złożyła się do kupy. Waller spędzi za kratkami długie lata. Dostanie znacznie większy wyrok za broń, niż dostałby za gwałt.

Pod warunkiem, że Lena zignoruje swoją intuicję. Musiała tłumić ten głosik w głowie, który mówił jej, że coś za łatwo to poszło. Od roku szukała haka na Wallera i nagle podawano go jej na tacy? Co Pan Szpicel będzie z tego miał? Gwarancja nietykalności to dobry układ, ale czy dla uniknięcia ośmiu miesięcy więzienia naprawdę warto ryzykować życie?

Lena nie mogła sobie pozwolić na zbyt długie roztrząsanie tych wątpliwości. Nie mogła dopuścić, by ta operacja zakończyła się klęską.

Prawda była taka, że Sid Waller załazł jej za skórę. Lena była zdeterminowana, by mu się odwzajemnić. Ściągała go na przesłuchania za każdym razem, gdy znalazła wiarygodny powód. Nie mogła wsadzić go za kratki – na razie – ale z całą pewnością mogła zwiększyć jego wydatki na prawników. W ubiegłym tygodniu Waller podczas przesłuchania nazwał ją pizdą. Dwa tygodnie wcześniej powiedział jej, na ile sposobów mógłby ją zerznąć. To, że wszystko było nagrywane dla potomności, jakoś mu nie przeszkadzało. Waller miał dobrego adwokata, takiego, który znał się na

prawie lepiej niż większość gliniarzy.

Może dlatego sędzia robił im takie trudności. Lena próbowała uzyskać nakaz przeszukania meliny w oparciu o podejrzany handel o najróżniejszych porach dnia i nocy. Sędzia odmówił. Denise Branson przedstawiła dowód na to, że Pan Szpicel, tajny informator, wskazał to miejsce policji. Sędzia odmówił. Tylko ich zawzięta wytrwałość sprawiła, że udało im się uzyskać jego zgodę na nagrywanie dzisiejszego spotkania. A i tak pozwolił tylko na nagranie audio.

To była ich ostatnia szansa. Lena wiedziała, że sędzia nie będzie już mógł odmówić, jeśli dostarczą mu nagranie. Pan Szpicel musi tylko nakłonić Wallera do rozmowy o tamtym domu, sprowokować, by wspomniał o broni, narkotykach czy pieniądzach, a wtedy oni będą mogli zrobić nalot i dorwać paru złoczyńców.

W każdym razie Lena się o to modliła. Sid Waller to była ostatnia duża sprawa, jaką będzie się zajmowała w najbliższym czasie. Czeka ją kilka miesięcy życia pod znakiem ciąży, a potem parę tygodni, może kolejny miesiąc, w domu z dzieckiem, zanim wróci do pracy.

Denerwowała się na samą myśl, że na tak długo będzie musiała wycofać się z policyjnych akcji. Zawsze była gliną. Nie mogłaby stracić tej części swojej tożsamości. Ostatnio wyglądało jednak na to, że nie będzie miała wyboru. Była zbyt zmęczona, żeby zasnąć, zbyt senna, żeby się skoncentrować. Co chwila musiała sikać. Było jej zimno. Było jej gorąco. Potem znowu zimno. Jeśli taka właśnie jest ciąża, Lena nie była pewna, czy da sobie radę. I te nieustające nudności. Dlaczego nazywają to porannymi mdłościami, skoro czuje się je przez cały dzień?

Usiadła na ławce przed Targetem. Musiała rozpiąć kurtkę, bo w pewnym momencie, podczas wolnego spaceru przez parking, zaczęła się pocić. Znalazła w kieszeni chusteczkę i wydmuchała nos. Nie bardzo wiedziała, dlaczego teraz przez cały czas leci jej z nosa. Jared mówił, że produkuje smarki za dwoje.

Sprawdziła w telefonie, która godzina. Sid Waller miał się zjawić dopiero za czterdzieści minut. Lena odpocznie tu sobie chwilkę, a potem wróci do furgonetki. To znaczy, o ile wcześniej nie zaśnie. Powieki jej ciążyły, kiedy rozglądała się po parkingu.

Złapała się na tym, że zastanawia się, czy na świecie zawsze było tyle dzieci, czy też ona dostrzega je teraz wszędzie, bo jest w ciąży. Jakiś malec wrzeszczał, gdy mama ciągnęła go w stronę sklepu. Inne dziecko uciekało z piskiem naokoło vana, a jego udręczona mama je goniła. Tuż przed wejściem do sklepu inna nieszczęsna kobieta kołysała na biodrze płaczące niemowlę.

Zwieńczeniem tego radosnego obrazka była kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży, ładująca torby z zakupami do bagażnika samochodu. Brzuch miała wielki jak piłka plażowa. Pot przykleił jej włosy do głowy. Zaparkowała na jednym z tych miejsc dla kobiet w ciąży, które zawsze Lenę wkurzały, ale teraz rozumiała, jak bardzo są potrzebne. Ta kobieta zasługiwała na to, by postawić samochód bliżej wyjścia. Wyglądała żałośnie. Wyjmując z wózka ostatnią torbę, masowała sobie pięścią plecy. Miała zdecydowanie zbyt opiętą sukienkę. Nawet z daleka Lena widziała jej stringi wystające spomiędzy pośladków niczym nić dentystyczna.

– Jezu – szepnęła. Czuła się jak krowa, która zajrzała za ladę sklepu mięsnego.

Wzdrygnęła się. Miała zimne dłonie. Tak to się zwykle zaczyna. Zmiana temperatury zaczyna się od końcówek. Schowała ręce do kieszeni kurtki. Zacisnęła palce na fotografii. W każdym razie zakładała, że ten wydruk z USG można nazwać fotografią. Tak czy owak, był to obraz tego, co działo się wewnątrz niej.

Przez lata Lena naoglądała się zdjęć rentgenowskich i wyników badań lekarskich. Widziała zdjęcia USG przyklejone do lodówek, pokazywane w telewizji, a nawet przedstawiane jako dowód podczas rozpraw sądowych dotyczących zamordowania matki.

Te obrazy nigdy jakoś szczególnie jej nie poruszały. Były to po prostu czarno-białe plamy. Sądziła, że jest pozbawiona zdolności do wydawania „ochów” i „achów” nad tymi maleńkimi kleksami i dziwnymi fałdami. Poza tym było coś niepokojącego w oglądaniu człowieka od środka. Może Lena była pruderyjna, ale chyba nie tylko ona uważała, że pokazywanie innym wydruku z USG jest równoznaczne z dostarczaniem światu niezbitego dowodu na to, że uprawiało się seks.

Ale to było, zanim jeszcze zobaczyła na USG swoje własne dziecko. Dwa

dni temu wszystko się zmieniło. Sama nie mogła tego zrozumieć. Jak to możliwe, żeby ta małeńka pulsująca fasolka otworzyła takie ogromne przestrzenie w jej sercu?

I jakim cudem sprawiła, że Lena tak bardzo kochała teraz Jareda? Nie mogła pojąć tej zmiany. Miłość do męża nie była niczym nowym, ale ta nagła głębia uczuć ją przerażała. Lena nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego do faceta. Zupełnie nad tym nie panowała, nie potrafiła ukryć swoich słabości. W nocy przytulała się do niego ze wszystkich sił. W ciągu dnia nie mogła przestać go dotykać. Z początku Jared był tym nieco zirytowany. Generalnie nie przepadał za dotykaniami, jeśli do niczego nie prowadziło, ale w ciągu ostatnich paru tygodni stał się bardziej otwarty. To pewnie jakiś hormon, który Lena wydzielala. Nawet chłopaki w pracy patrzyli na nią inaczej.

Praca.

Lena wolala nie myśleć, co będzie, gdy ciąża stanie się widoczna. Zresztą już była. Tamci pewnie myśleli, że Lena utyla – bo tak też było. Spodnie cisnęły ją w pasie. Piersi wylewały się ze stanika. Jared był tym zachwycony, ona jednak potrafiła myśleć tylko o tym, że w żadnym razie nie będzie mogła ścigać bandziorów, mając cycki skaczące jak piłki. Za kilka miesięcy pewnie wyląduje za biurkiem. Będzie zajmowała się papierkową robotą i sprawdzała zeznania świadków, gdy wszyscy inni zabiorą jej całą frajdę.

Czy to było tego warte?

Spojrzała na wydruk USG. Dotknęła małeńkiej fasolki spoczywającej w białych łukowatych ramionach.

Oczywiście, że było.

W kieszeni jej kurtki zawibrowała komórka. Denise Branson. Pewnie przemierza niespokojnie posterunek, czekając na wieści.

– Co tam, D? – zagała Lena.

– Jakieś wieści?

Lena sprawdziła, która godzina. Powinna wracać do furgonetki.

– Ma jeszcze pół godziny, ale zawsze się spóźnia.

– Już i tak przekładam zebranie – odparła Denise. – Wiesz, że obie ryzykujemy tyłki.

– Wiem. – Lena niechętnie podniosła się z ławki. – Doceniam to.

– Słuchaj – Denise była wyraźnie podekscytowana – mam kolejny kawałek układanki Wielkiego Białasa.

– Denise...

– Po prostu mnie wysłuchaj, tak jak ja słucham ciebie, okej?

Tyle Lena była jej winna.

– Okej.

– Znalazłam artykuł w „Savannah Tribune”. Osiemnaście miesięcy temu dwie białe dziewczynki zostały znalezione martwe za kościołem. Uciekinierki z dobrych domów. Obie przedawkowały heroinę. W ciągu niecałego miesiąca z wzorowych uczennic przemieniły się w zimne jak lód ćpunkki. Wciąż miały igły wbite w żyły. Brzmi znajomo?

– Wzorowe uczennice bez przerwy przedawkują – zauważyła Lena. – Mogłabym znaleźć sto innych przypadków z tego samego dnia. Może nawet tysiąc.

– To zupełnie jak to, co stało się tutaj.

Nie było sensu się spierać.

– Denise, mówię ci to jako przyjaciółka. Masz obsesję na tym punkcie. Za bardzo się angażujesz.

– I co z tego?

Lena wracała przez parking do furgonetki. Pokręciła głową. Tylko w policji obsesja jest uważana za atut.

– Ty masz obsesję na punkcie Sida Wallera – zauważyła Denise.

– I zaraz go nakryję – oznajmiła Lena. – Prowadzę śledztwo. Mam świadka. Tropy, zdjęcia, rozkład dnia. A ty masz tylko ducha.

– Od razu miałas to wszystko czy musiałas to zebrać do kupy?

Lena nie chciała tego przyznać, ale Denise miała rację. Zanim w cudowny sposób objawił się Pan Szpicel, Denise mogłaby zadawać Lenie te same pytania w związku z Wallerem. Nie robiła tego. Dała Lenie wsparcie i czas na konieczne działania.

– Dotarłas do tej kancelarii prawniczej? – spytała.

– Pracuję nad tym. To wszystko jakoś się ze sobą wiąże.

– Jeśli masz rację, to może będziemy mogli nawzajem sobie pomóc. Sid Waller to gruba ryba. Jeśli go dopadniemy, może nam wydać Wielkiego Białasa.

Denise parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że Sid Waller będzie donosił? On ma takie same wpływy w kiciu, jak i poza nim.

Miała rację. W więzieniach rządzą gangi, a Waller byłby ich bossem. Mimo to powiedziała:

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie będę wchodzić z Wallerem w żadne układy. Niech sobie zbok gnije w więzieniu. Sama dorwę Wielkiego Białasa.

Lena uświadomiła sobie, że przyciska pięść do pleców, podobnie jak tamta kobieta przed sklepem. Opuściła rękę.

– W porządku. Jeśli uważasz, że uda ci się sklecić tę sprawę, to powinnaś uzyskać pomoc. To za duża rzecz dla jednej osoby. Dwóch, jeśli liczyć mnie, bo wiesz, że jestem do twojej dyspozycji.

Denise prychnęła.

– Wiesz, że działałam na własną rękę. Jak mam prosić Lonniego o pomoc, skoro kazał mi zamknąć to śledztwo kilka miesięcy temu? On nie wyda grosza z pieniędzy wydziału na Wielkiego Białasa. Zmięknie dopiero, kiedy będzie za późno.

Znów miała rację. Z powodu ograniczeń budżetowych oddziały policji ostatnio częściej reagowały niż prowadziły działania prewencyjne.

Lena wpadła na pewien pomysł.

– Znam kogoś w policji stanowej, kto mógłby nam pomóc.

– Nie mogę przeskoczyć Lonniego.

– Wiem o tym. – Gray był stosunkowo nowy w Macon, ale przez ostatnich piętnaście lat dowodził różnymi oddziałami w całym stanie. Obie zbyt go szanowały, żeby wbijać mu nóż w plecy. Nie wspominając o tym, że gdyby przyszło co do czego, naczelnik mógł łatwo obrócić ostrze tego noża przeciwko nim. – Mogłabyś się do nich zwrócić nieoficjalnie. Znam agenta,

który jest dyskretny. – Nie wspomniała o tym, że przed niespełna dwoma laty ten agent prowadził śledztwo w jej sprawie. – To gliniarz, ale nie zachowuje się jak gliniarz. Udzieli ci potrzebnego wsparcia. A w najgorszym razie może ci pomóc zebrać to wszystko do kupy.

– Myślisz, że pozwolę GBI wejść na mój teren i przypisać sobie wszystkie zasługi? – Branson zaśmiała się ostro. – Wiesz, ile godzin na to poświęciłam? Ile mil przejeździłam swoim wozem? Ile nocy nie przespałam? Przypląciłam to własną krwią, Lee. Nie zrezygnuję teraz.

Lena rozpoznała święte oburzenie w jej tonie. Pięć lat temu ona mówiłaby to samo, takim samym tonem. Zanim Jeffrey zginął, była taka pewna siebie. Zawsze miała rację. Nie potrzebowała żadnej pomocy. Nie życzyła sobie, żeby jakiś dupek przywłaszczył sobie jej zasługi. Lena każdego dnia w pojedynkę stawiała czoło całemu światu – aż świat dał jej prztyczka w noc i wylądowała twardo na tyłku.

– Gdybyś rozmawiała z tą dziewczyną, słuchała jej mamy, czułabyś to samo co ja – powiedziała Denise.

– Wiem. – Lena cieszyła się, że nie rozmawiała z żadną z nich, bo wtedy pewnie wdepnęłaby w to równie głęboko jak Denise. – To ty pracujesz nad sprawą. Nie pozwól, żeby sprawa przejęła nad tobą kontrolę.

– Co to ma znaczyć? – zachnęła się Denise.

– Ten duch, którego ścigasz – on wpływa na twoje życie.

– W jakim sensie?

Lena nie odpowiedziała. Denise potrzebowała kręgli, które mogłaby przewrócić. Lena wiedziała z doświadczenia, że ta praca nie jest łatwa dla samotnych kobiet. Można stać się zbyt ambitną. Zbyt twardą. A to może odstraszać ludzi.

Obecność Jareda w życiu Leny to zmieniła. Jared wziął część odpowiedzialności na swoje barki. Dzięki niemu nabrała poczucia, że czasem można odpuścić.

No i było jeszcze dziecko. Lena położyła sobie rękę na brzuchu. Palila ją twarz. Na jej ustach pojawił się idiotyczny uśmiech. To przez hormony. Cieszyła się, że nie siedzi w furgonetce z Paulem i DeShawnem. Pewnie świeciła jak żarówka.

– No, dalej, Adams – popędzała ją Branson. – Wywal mi to, kawa na ławę.

Lena zbyła tę prowokację wzruszeniem ramion.

– Słyszałaś, że DeShawn znowu się rozwodzi?

– I uważasz, że skoro on jest czarny i ja jestem czarna, to bylibyśmy dobraną parą?

– Och, proszę, byłby taki szczęśliwy. – I chociaż mogło się to wydać hipokryzją, dodała: – Chcę tylko powiedzieć, że nie można być ożenionym z pracą i jednocześnie mieć żonę. A jaki jest sens pracować, skoro nie masz potem do kogo wracać?

– Chyba męża – sprostowała Denise dobitnie.

Na linii zapadła martwa cisza. Denise Branson w każdą niedzielę chodziła do kościoła. Wydawała stosowne pomruki, kiedy w pobliżu przechodził przystojny facet. Ale siostra Leny zachowywała się tak samo, a Sibyl była stuprocentową lesbijką.

Branson znów stała się rzeczowa:

– Zadzwoń do mnie zaraz po spotkaniu. Jeśli nie uda ci się nagrać Wallera, Lonnie palnie nam niezłe kazanie. A ja nie zamierzam się z nim spierać, bo będzie miał rację.

– Denise, odpuść mi.

– Dziewczyno, ja ci mogę odpuścić, ale pomyśl lepiej, ile kasy przepuściłaś. Wiesz, ile ta operacja kosztuje wydział? Dwudziestoczwierogodzinna obserwacja trwająca przez dziesięć dni. W ubiegły weekend przekroczyliśmy pół miliona. Boję się liczyć, ile to będzie teraz. Mam nadzieję, że to spotkanie się uda, bo może wtedy, gdy przedstawię sytuację Lonniemu, nie wywali mnie na zbity pysk.

– Wiem, że robi się gorąco.

– Kurde – mruknęła Denise – gorąco to mało powiedziane. Mam poczucie, że stoję w cholernym kręgu ognia.

Lena była już prawie przy furgonetce. Rozejrzała się, żeby mieć pewność, że nikt jej nie obserwuje.

– Dopadnę Wallera. Obiecuję.

– Jeśli nie, to kup gazetę. Obie będziemy musiały zacząć szukać pracy. – Lena usłyszała dźwięk zatrząskiwanego telefonu.

Wsunęła rękę do kieszeni i powiodła palcem wzdłuż krawędzi zdjęcia USG, podchodząc do białej furgonetki z logo AT&T z boku. O ile wiedziała, nikt nie zaprzętał sobie głowy proszeniem tej firmy telefonicznej o pozwolenie. Lena sądziła, że powinni się zamknąć i cieszyć z darmowej reklamy.

– Hej, szefowo. – Zza furgonetki wyłonił się DeShawn. Był taki wielki, że Lena cała się skryła w jego cieniu.

Złapała się za gardło.

– Cholera, jak na takiego wielkoluda bardzo lekko się poruszasz.

– Każda mi to mówi. – Puścił do niej oko. – Wszystko w porządku?

Lena poczuła, że automatycznie się spina.

– Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Bez powodu.

– Odrywasz się od monitorów i czekasz tu na mnie, ot tak, bez powodu?

Miał na tyle przyzwoitości, by przyznać, że go przejrzała.

– Wiem, że cała ta historia z Wallerem nieźle daje ci w kość.

– A co? Czy Lonnie coś mówił? – Lena wiedziała, że DeShawn jest oczami i uszami Graya, ale nigdy nie uważała go za plotkarza. – Co powiedział?

– Nic, i ja też nic mu nie mówiłem. – DeShawn spojrzał na nią tak, jakby miała paranoję. – Wyluzuj, dziewczyno. Wiesz, że jestem w twojej drużynie.

– Co się dzieje? – spytała. Teraz, gdy mu się przyjrzała, wydał jej się spięty, jakby chodziło o coś jeszcze. – Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

DeShawn westchnął ciężko.

– Zauważyłem, że ostatnio jesteś zmęczona.

– I co z tego? Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Przecież od tygodni zasuujemy jak wariaci.

Znowu westchnął.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że zrozumiem, jeśli będziesz chciała usiąść na tylnym siedzeniu w czasie...

– Pieprzyć twoje tylne siedzenie! – wybuchnęła Lena. – Nigdy w życiu nie siedziałam na tylnym siedzeniu.

– W porządku. – Uniósł ręce. – Po prostu martwiłem się o ciebie, to wszystko.

– Martwiłeś się o mnie?

Wykrzywił usta, jakby się zastanawiał, czy ma jej coś powiedzieć, czy lepiej nie. Lena wiedziała, że siostra DeShawna ma dwie córeczki. Może się domyślił, że Lena jest w ciąży. W takim razie musi szybko zdusić jego podejrzenia.

– Daj se siana, DeShawn. Doceniam twoją troskę, ale teraz najlepiej będzie, jeśli ty zajmiesz się swoją pracą, a ja swoją. W porządku?

Znów podniósł ręce w geście poddania się.

– Ty tu jesteś szefem.

Zapukała w bok furgonetki.

– To ja.

Eric Haigh uchylił drzwi. W środku była cała ekipa.

– Dzwonił ogon Wallera – poinformował Eric. – Będzie tu za jakieś pięć minut.

Paul nie mógł się powstrzymać, by nie dodać:

– Miałem rację. Pewnie przyjdzie wcześniej, żeby obczaić restaurację.

Lena nie zamierzała wyrażać uznania. Już miała wyciągnąć rękę, żeby ktoś pomógł jej wsiąść, zaraz jednak zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli pokaże DeShawnowi, że potrafi dźwignąć własny ciężar. Mimo to, podciągając się, stęknęła.

DeShawn wskoczył do środka bez niczyjej pomocy, pewnie po to, żeby postawić na swoim. Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Jezu Chryste. – Lena zakryła twarz dłońmi. W środku panował straszliwy smród. – Co wy tu, chłopaki, robiliście?

– Przepraszam – odezwał się Eric. – Jadłem na lunch meksykańskie żarcie.

– Wielkie dzięki, dupku. – Paul szturchnął go w ramię. Eric odwzajemnił mu się najgłośniejszym pierdnięciem, jakie Lena kiedykolwiek słyszała.

– O Boże. – Ścisnęła nos palcami i oddychała przez usta. – Powiedzcie mi, proszę, że Pan Szpicel wciąż tam jest.

– Pan Szpicuś siedzi na ławce i gapi się na dzieci – odparł Paul.

– Jak się niby gapi? – Lena spojrzała na monitor, żeby zobaczyć to na własne oczy. Szpicel wciąż miał na nosie ciemne okulary, ręce rozłożył na oparciu ławki. – Jesteście pewni, że on nie śpi?

– Spójrz na jego nogi.

Miał rację. Pięty Szpicla podrygiwały w górę i w dół tak szybko, że kamera z trudem rejestrowała ten ruch.

– Gdzie mamuśka? – spytała Lena.

DeShawn znów siedział na krześle i ustawiał odpowiednią kamerę. Matka nadal rozmawiała przez telefon, wyciągnięta w boksie, jakby zamierzała zostać tam na dłużej.

– Dobrze, że on nie jest pedofilem – mruknęła Lena. Gestem zgoniła Erica ze swojego miejsca.

– Siedzenie może być trochę nagrzane – uprzedził Eric.

Paul znów się zaśmiał, a ona pacnęła go w tył głowy.

– Dlaczego oprócz mnie w tym wozie są sami kretyni?

– Wszystko w porządku, szefowo? – spytał Paul.

Lena spojrzała na niego spode łba.

– Od kiedy to jestem szefową?

– Ty tu rządzisz, prawda? – Paul wskazał jej swoje puste krzesło. – Co się z tobą dzieje? Jesteś czerwona na twarzy.

Przyłożyła sobie dłoń do policzka. Skórę miała gorącą.

– To pewnie zatrucie gazem.

– Jesteś pewna? – Spojrzał na nią, unosząc brew, ale nie ciągnął tematu.

– No dobrze, moje panie i Leno. – DeShawn zatarł ręce. – Przyjechał pan

Waller.

Przez parking sunął powoli czerwony chevrolet corvette. Szyby były opuszczone. Sid Waller dwa razy okrążył parking, zanim zaparkował na miejscu od strony szosy. Nie przyjechał sam. Na fotelu pasażera siedział Diego Nuñez. Łokieć opierał o otwarte okno. Z palców zwisał mu papieros.

Eric wpatrywał się w monitor, mrużąc oczy.

– Czy to joint?

DeShawn przyjrzał się uważnie.

– Na to wygląda.

– Cholera – zaklął Paul – w Chick-fil-A nie lubią podejrzanych typów. Co oni zrobią z Latynosem palącym marychę?

– Przymknijcie się – syknęła Lena. Próbowwała nie słyszeć ich głosów, gdy patrzyła, jak Sid Waller wysiada z wozu. Metalowy łańcuch przy jego portfelu kołysał się, gdy dumnie kroczył przez parking. Długie tłuste włosy ściągnął w kitkę. Miał na sobie postrzępione džinsy i flanelową koszulę z oderwanymi rękawami. Obydwa przedramiona pokrywały tatuaże. Podobnie jak Paul nie potrafił po prostu otworzyć drzwi – szarpnął je z rozmachem, żeby zaznaczyć swoją obecność.

Wszyscy czworo równocześnie odwrócili głowy, spoglądając na monitor ukazujący obraz z kamery w holu. Waller wywołał zaskoczenie kilku osób w restauracji, ale to było Macon, a tu trudno odróżnić nieszkodliwego długowłosego faceta od długowłosego przestępcy. Dziewczyny za kontuarem szybko się zorientowały. Lena zawsze sądziła, że kobiety szybciej niż mężczyźni dostrzegają niebezpieczeństwo. Dlatego też sama nie potrafiła tak do końca odrzucić złych przeczuć związanych z Panem Szpiclem.

Ćpun zauważył przybycie Wallera. Wyprostował się na ławce i uniósł rękę, żeby mu pomachać. Machał tak dobrą chwilę, bo Waller nie patrzył w jego stronę. Wreszcie Szpicel wstał i podszedł do drzwi. Zamiast jednak wejść do środka, gestem przywołał Wallera, żeby dołączył do niego na placu zabaw.

Lena zerknęła na kobietę w boksie – kiedy zobaczyła Sida Wallera, opadła jej szczęka.

– No, dalej, mamuśka – odezwał się DeShawn. – Pora sprawdzić, co

z dziećmi.

Waller gwałtownie otworzył drzwi. Lena przestraszyła się, kiedy jego głos ryknął z głośnika w furgonetce:

– Co jest, kurwa!?

Szpicel spojrzał nerwowo na dzieci.

Na szczęście ich matka rzuciła się do drzwi po drugiej stronie placu zabaw. Usłyszeli jej niespokojny głos przez ukryty mikrofon Pana Szpicla:

– Britney. Randall. Do mnie.

Dzieciom nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Sid Waller z łatwością potrafił pozbyć się niepotrzebnych świadków.

– Posuń się – rzucił, a Szpicel przesunął się na koniec ławki. – Co ty tu robisz? Myślałem, że tu nie wpuszczają pedziów.

Szpicel zachichotał, jakby ten dowcip go rozbawił.

– Przymknij się, złamasie. – Waller wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki.

Szpicel rozejrzył się.

– Coś cię trapi? – spytał Waller. Trzymał odkryty płomień zapalniczki w odległości kilku centymetrów od papierosa.

Szpicel pokręcił głową.

– Zdejmij te pieprzone okulary.

Szpicel zdjął okulary.

Waller zapalił papierosa. Wciągnął chyba z połowę, zanim wydmuchał długi strumień dymu.

– Co my tu robimy?

– Mam jeszcze trochę prochów. – Szpicel sięgnął do kieszeni.

Waller powstrzymał go wzrokiem.

– Czy ja wyglądam na dilerę narkotyków?

Ćpun zamarł z ręką w połowie drogi do kieszeni. Kazali mu dać Wallerowi tabletki, żeby w najgorszym razie dopaść go za przyjęcie kradzionych narkotyków.

W furgonetce wszyscy czekali w napięciu.

– Spójrzcie na niego – odezwał się Eric. – Facet pęka.

Miał rację. Szpicel panikował.

Waller wstał z ławki.

– Daj spokój – odezwał się ćpun. – Nie bądź taki.

Zamiast otworzyć drzwi, Waller oparł się o nie i skrzyżował ręce na szerokiej piersi. Papieros zwisał mu z ust.

Lena wstrzymała oddech. Patrzyła na obu mężczyzn. Odbywali swego rodzaju pojedynek na spojrzenia.

Niewiarygodne, ale Szpicel wygrał. Waller spuścił wzrok i strzepnął popiół z papierosa.

– Chcę awansować – oznajmił ćpun.

Waller włożył papierosa do ust.

– Mogę zdobyć więcej towaru.

– Skąd myśl, że go potrzebuję?

Szpicel wstał. Zdjął czapkę i przeczesał palcami włosy.

– Czy to jakiś sygnał? – spytała Lena.

– Myślę, że po prostu się poci – odparł Paul. – Patrzcie, jak co chwila poprawia sobie spodnie.

Miał rację. Pan Szpicel bez przerwy dotykał się w kroku.

– No i? – dopominał się Waller. – Wyłuszcysz swoje racje?

Co zdumiewające, Szpicel pamiętał, co ma powiedzieć.

– Mam pewne źródło w szpitalu. Mogę zdobyć dobry towar. Firmowy. Nie to chińskie gównno.

Dym przesłonił Wallerowi oczy. Zastanawiał się. Lena wiedziała, że się zastanawia.

– No już – syknęła.

Wszyscy w furgonetce przysunęli się bliżej monitorów. To był kluczowy moment – być może ich jedyna szansa na to, by go dopaść.

Waller odwrócił się i otworzył drzwi.

– Kurwa. – DeShawn walnął pięścią w stół. Monitory zadrżały. – Nie mogę uwierzyć, że to schrzanił.

Szpicel najwyraźniej myślał to samo. Znowu zdjął czapkę.

– Głupek z ciebie.

Waller stanął.

– Jasna cholera – wyszeptał Eric.

– Przymknij się – rozkazała Lena.

Waller właśnie się odwracał. Nie odezwał się, dopóki nie zamknął drzwi.

– Co ty powiedziałaś?

– Powiedziałem, że głupek z ciebie.

Lena miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Waller zwinął się jak wąż. Będą musieli oderwać go od Szpicla, zanim go zabije.

– Uważasz mnie za głupka? – spytał Sid, jakby chciał mieć jasność w tej sprawie.

Zamiast się wycofać, Szpicel powiedział:

– Proponuję ci podwojenie moich dostaw, zapewniam pierwszorzędny towar, a ty się ode mnie odwracasz? – Zrobił krok w stronę Wallera, najwyraźniej nie dostrzegając tego, że tym samym ryzykuje życie. – Chcę piąć się w górę, Sid. Zawsze byłem dobrym żołnierzem, ale pewnego dnia chcę zostać generałem.

– Ach tak? – Waller wydawał się rozbawiony.

– Tak. – Szpicel wcisnął czapkę na głowę. – Myślę, że zasłużyłem na odrobinę uznania.

Waller znów wyjął paczkę papierosów i odpalił nowego od starego.

– A co ja będę z tego miał?

– Wiesz, że jestem gotowy na wszystko. Wiesz, że nie boję się brudnej roboty.

– Mam wrażenie, że nawet lubisz brudną robotę.

– Chcesz mnie wypróbować?

Waller nie odpowiedział, a Lena pokręciła głową. Szpicel posunął się za daleko. Pytał Wallera, czy chce, żeby kogoś zamordował.

Waller cisnął niedopałek do piaskownicy.

– Trzymajmy się tego, co potrafisz robić. Podwój zamówienia. Przywieź towar do domu przy Redding. Ćpuny walą do nas drzwiami i oknami.

DeShawn w milczeniu przybijał wszystkim piątki. Dom przy Redding to była ich melina. Zdobyli nagranie potwierdzające prawdopodobieństwo winy. Nie tylko Szpicel dobrze na tym wyjdzie.

– Na kiedy to ma być?

– Najszybciej, jak się da. W tym tygodniu dostawa się opóźniła. – Sid wydmuchał dym. – Straciliśmy ciężarówkę w Miami. Kubańczycy przejęli partię oksykodonu wartą sto tysięcy.

W Szpiclu doszedł do głosu jego wewnętrzny ćpun:

– Zapłata przy odbiorze. Tak się umawiamy.

Waller się zaśmiał.

– Proszę, proszę, i kto tu wydaje rozkazy. – Poklepał Szpicla po plecach tak mocno, że ten o mało nie przewrócił się na huśtawkę. – Jestem w domu codziennie o trzeciej nad ranem. Nie bądź głupi i się nie spóźnij.

– Ożeż kurwa! – Lena zaśmiała się z niedowierzaniem, gdy Sid Waller opuszczał plac zabaw. – Jasna cholera!

Paul też się śmiał.

– Szykuj się na dłuuuugą odsiadkę, Waller.

Eric puścił głośnego bąka, na co faceci ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem.

Lena jęknęła, przepychając się między nimi na przód furgonetki.

– Wszyscy jesteście obrzydliwi.

Klapnęła na fotel kierowcy, opuściła szybę i napełniła płuca czystym, świeżym powietrzem. Modliła się, żeby dziecko nie okazało się chłopcem. Albo jeszcze gorzej – dwoma chłopcami. W rodzinie bliźniaki lubią się powtarzać. Doktor Benedict mówił, że będą wiedzieli na pewno, kiedy zrobią następne USG.

Lena wyjęła telefon i wybrała numer Denise Branson. Przez przednią szybę widziała budynek Chick-fil-A. Odległość była zbyt duża, by dojrzeć

szczegóły, ale zorientowała się, że Pan Szpicel wciąż jest na placu zabaw. Wrócił na ławkę, ręce i nogi rozłożył szeroko. Znow założył ciemne okulary. Lena nie widziała wyrazu jego twarzy, jednak domyślała się, że jest bardzo z siebie zadowolony. Wiedział, że teraz jest bezpieczny. Z chwilą gdy skłonił Wallera do rozmowy o domu, układ dotyczący jego nietykalności został przypieczętowany.

Lena usłyszała, że włącza się poczta głosowa Denise Branson. Rozłączyła się. Denise jest pewnie na spotkaniu. Lena napisała jej szybkiego SMS-a:

Za kilka godzin Łysol dostanie przesyłkę.

Łysol to była ksywka, nadana sędziemu, który ciągle im odmawiał. Lena pewnie miała paranoję, ale nie chciała ryzykować włamania do swojego telefonu.

Obejrzała się przez ramię. Koledzy nadal świętowali, prześcigając się w grubiańskich dowcipach o gwałtach w więzieniu.

Lena przewróciła oczami i znow spojrzała przez przednią szybę. Szpicel nadal siedział na ławce na placu zabaw. Słońce świeciło mu na twarz. Dzieci bujały się na huśtawce tuż przed nim. Nie miał żadnych zmartwień.

Lena nienawidziła tej części swojej pracy. Pan Szpicel został przyłapany na sprzedaży prochów dzieciom, a teraz wróci do tego zajęcia, ponieważ policja będzie musiała go puścić. Lena w żadnym razie nie mogła siedzieć mu na ogonie i czatować na nieuniknioną wpadkę. Żaden przestępca nie wejdzie już z nią w układ, jeśli rozniesie się, że nie można jej ufać. Będzie musiała siedzieć beczynn timer i czekać, aż Pan Szpicel sam się wykończy.

Chociaż może jednak nie będzie musiała.

Lena uruchomiła internet w komórce. Wybrała konto Google, którego używała do zamówień przez internet. Pewnie dałoby się do niej dotrzeć przez ten adres, ale tak naprawdę było jej wszystko jedno. Zamierzała zastosować się do rady, której dopiero co sama udzieliła Denise Branson. Żaden glina nie powinien działać sam. Nic jej nie szkodzi poprosić o pomoc. Poza tym Szpicel zawarł układ w sprawie nietykalności z policją z Macon, nie ze stanową.

Lena nie mogła tknąć Anthony'ego Della, ale Will Trent mógł.

12.

PIĄTEK

Will chwiejnym krokiem wyszedł ze szpitala. Nawet na dworze wciąż słyszał krzyk Sary. Czuł ślady, jakie zostawiła na jego skórze. Czuł jej zapach i smak.

Minął swój motor i przeciął parking. Natrafił stopą na krawężnik. Przekroczył go i wszedł do lasu za budynkiem szpitala. Nie uszedł daleko. Padł na kolana i otworzył usta, próbując zwymiotować kwas, który trawił go od środka.

Co on zrobił?

Przycisnął czoło do zimnej ziemi. Jego umysł wciąż odtwarzał wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Tyle przemocy. Tyle cierpienia. To wszystko, co widział. W czym uczestniczył. Lena z młotkiem. Tony z nożem. No i jeszcze Sara.

Co on jej zrobił?

Stracił ją. W tym jednym brutalnym momencie stracił ją na zawsze.

– Hej, dupku!

Will podniósł wzrok. W jego stronę pędził Paul Vickery. Zanim Will zdążył zareagować, tamten kopnął go w głowę.

Will padł na ziemię. Przed oczami rozbłysły mu gwiazdy. Nie mógł oddychać.

Vickery skoczył na niego. Grzmocił go jak wiatrak. Will szarpał się, usiłując go z siebie zrzucić. Vickery złapał go za szyję, z całej siły miażdżąc mu tchawicę. Will próbował rozewrzeć mu palce. Otworzył szeroko usta.

Vickery wzmocnił uścisk, dusił go. Willowi nabrzmał język. Piekły go oczy. Zaczął tracić przytomność. Czy tak właśnie ma się to skończyć? Po tym wszystkim, co przeszedł, umrze w taki sposób?

Nagle uścisk zelżał. Will zakrztusił się nieoczekiwanym haustem powietrza.

Paul Vickery z impetem wylądował na asfalcie i wyrznął głową w krawężnik.

Will kaszlał tak bardzo, że aż wierzgał nogami.

– Żyjesz? – To Faith. W rękę trzymała półmetrową, stalową policyjną pałkę. – Żyjesz? – znów spytała Willa. – Cały czas spoglądała to na Vickery’ego, to na niego. – Widzisz mnie?

Will widział ją podwójnie, a potem potrójnie.

Vickery usiłował się podnieść.

Faith walnęła go pałką w nerki. Dwa brutalne uderzenia, jedno po drugim.

– Suka! – wrzasnął Vickery, wijąc się na ziemi. – Jezu!

Faith przytknęła mu pałkę do twarzy.

– Leżeć!

– On zamordował gliniarza!

Faith nie odsunęła pałki od jego twarzy. Wycelowała w Willa z glocka.

– Wstawaj – warknęła.

Will zamrugał na widok broni. Palec trzymała na osłonie spustu. Nie był pewny, czy zdoła się poruszyć. Ból był zbyt silny. Bolało go wszystko.

– Black, kazałam ci, kurwa, wstawać!

Black.

Will nie rozumiał, co ona mówi. Czy to jakiś szyfr?

– Wstawaj – powtórzyła Faith. Mówiła policyjnym tonem, tym, który dawał do zrozumienia, że mierzyła już z broni do podejrzanego i jest gotowa to powtórzyć. – Powiedziałam wstawaj, kurwa!

Wreszcie mózg Willa zdołał nawiązać kontakt z jego rękami i nogami. Dźwignął się do pozycji siedzącej.

Ten wysiłek go wyczerpał.

– Zostań tu – rozkazała Faith, jakby Will miał jakiś wybór. – Billu Black, jesteś aresztowany za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego.

– Zwolnienia warunkowego! – wykrzyknął Vickery. – On, kurwa, zabił gliniarza!

– Masz dowód? – Ponieważ Vickery nie odpowiedział, Faith zwróciła się do Willa: – Masz prawo zachować milczenie.

– Głupia cipa – mruknął Vickery.

Faith mówiła dalej, nie zważając na niego:

– Wszystko, co powiesz albo zrobisz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie.

Will pochylił się i wymiotował. Groszek. Coś białego. Fasolka szparagowa. Nie pamiętał, żeby cokolwiek z tego ostatnio jadł.

– Masz prawo do adwokata...

Will pociągnął nosem. Wrażenia zapachowe o mało nie sprawiły, że znów wymiotował.

– Jeżeli nie stać cię na adwokata, sąd przydzieli ci obrońcę z urzędu.

– Dobra. – Will podniósł rękę, żeby ją uciszyć. Brzmienie jej głosu było niczym szpikulec do lodu dźgający jego mózg. – Zrzekam się swoich praw.

Faith schowała glocka do kabury, ale pałkę trzymała w pogotowiu. Rzuciła Willowi kajdanki.

– Załóż je!

Vickery zobaczył nadarżającą się sposobność. Spróbował wstać.

Faith machnęła pałką, uderzając nią Vickery'ego w kostkę. Rozległ się dźwięk przypominający trzask łamanej gałęzi.

– Suka! – wrzasnął Vickery, zwijając się z bólu. – Ty jebana suko!

– Wstawaj. – Faith chwyciła Willa pod rękę. Nie mogła go podnieść. – No już. – Pochyliła się, by mu pomóc. Słyszając jej szept przy swoim uchu, Will miał wrażenie, jakby mówiła pod wodą: – Proszę.

Will znalazł jakoś siłę, żeby wstać. Chwiał się jak źrebak stawiający pierwsze kroki. Faith trzymała go pod rękę i ciągnęła w stronę parkingu. Znów potknął się o krawężnik. Faith ze wszystkich sił starała się utrzymać go

w pionie.

– Idź dalej. Po prostu idź dalej – zachęcała go.

Will spróbował jej posłuchać. Nogi miał miękkie, jakby puściły mu ściegna. Ziemia wyglądała dziwacznie. Wszystko było za duże albo za małe. Szedł na wprost zniekształcającego lustra z lunaparku. Gdyby Faith go nie podtrzymała, upadłby na twarz.

Paul Vickery nie dawał za wygraną:

– Mam świadka, który widział go dziś wieczorem na zapleczu Tipsie's. – Kuśtykał za nimi, zachowując jednak dystans. – W tym samym miejscu, gdzie byli tamci, którzy napadli na Lenę.

Faith nie odpowiedziała. Ciągnęła Willa, zachęcając go, żeby szedł szybciej.

– Zapytaj go, dokąd poszedł potem – ciągnął Vickery. – Zapytaj go, gdzie był, kiedy moja pieprzona ekipa została zaatakowana.

Faith podniosła pałkę w ostrzegawczym geście.

Vickery został z tyłu.

– Dopadnę go na posterunku – zapowiedział.

– On nie jedzie na posterunek. – Faith oparła Willa o czarnego chevroleta suburba. – Zabieram go do biura sztabu. Jest pod kuratelą policji stanowej.

– Nie uda ci się go tam zatrzymać.

Faith otworzyła tylne drzwiczki. Pomagając Willowi wsiąść do wozu, przez cały czas stała odwrócona w stronę Vickery'ego. Will był dla niej za ciężki. Ostatecznie po prostu wpadł do środka.

– Będzie musiał mieć proces w sądzie – ostrzegł Vickery. – Wyślecie go do więzienia okręgowego, wyślecie go do Fulton, i jakoś go w końcu dopadnę.

Will nadal miał skute nadgarstki. Napiął mięśnie brzucha, żeby wyprostować się na siedzeniu. Ból był nie do wytrzymania. Otworzył usta. Chyba znowu wymiotuje.

– Nie zbliżaj się, Vickery. Mówię poważnie. – Faith zatrzasnęła drzwiczki i zablokowała je pilotem. Przechodząc na przód wozu, wciąż trzymała w ręku pałkę.

– Już jesteś trupem, Black, słyszysz? – Vickery uderzył w drzwiczki. Walił pięściami w szybę. – Słyszysz mnie? Jeszcze ci dobieję!

Will zamknął oczy. Wszystko wirowało. Samochód cały czas się trząsał. Vickery napierał na niego ramieniem, jakby sądził, że zdoła przewrócić wóz ważący dwie tony.

– Cofnij się, kurwa! – ryknęła Faith. Była przed samochodem. Powiedziała coś jeszcze, ale słuch Willa pojawiał się i znikał. Słyszał, jak Vickery obrzuca ją wszystkimi wyzwiskami, jakie mężczyzna może skierować do kobiety. Faith nie pozostawała mu dłużna, przeklinając, jak umiała.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

– Masz to jak w banku, złamasie! – wrzasnęła Faith, wsiadając i zatrzasnąwszy je za sobą. W uszach Willa zabrzmiało to jak wystrzał armatni. Silnik zawarczał. Gdy wrzuciła bieg, samochód szarpnął. Zapiszczały koła.

Will pochylił się do przodu i oparł głowę na kolanach. Dłonie miał ściśnięte, uwięzione między piersią a nogami. Z otwartych ust ciekły mu ślina i krew. Czekał, aż Faith coś powie. Zacznie na niego wrzeszczeć. Spyta go, co, u diabła, tam robił.

Opuściła szybę na kilka centymetrów. Will czuł, jak zimne nocne powietrze wiruje wokół niego. Zamknął oczy. Oddychał przez usta. Światło złagodniało. Opony szurały o nawierzchnię drogi.

Faith jechała dalej. Nie powiedziała ani słowa. Nawet się nie odwróciła.

Oddech Willa powoli się wyrównywał. Mdłości wreszcie ustały. Niestety ośpienie także. Całe jego ciało przeszył ból. Chyba ma złamany nos i rozciętą wargę. Powieki mu pulsowały. Czuł się tak, jakby szyję podrapano mu brzytwą, a w głowie pulsowało mu w rytm uderzeń serca.

Faith dodała gazu. Byli na autostradzie. Will poznał to po równej, cichej pracy silnika. Nie wiedział, ile minęło czasu, zanim wreszcie zwolniła przed skrętem. Dźwięk wewnątrz wozu zmienił się z delikatnego szumu w urywany chrzęst. Pisnęły hamulce, gdy Faith zatrzymała wóz. Wrzuciła tryb parkowania. Gdy wcisnęła pedał, zaskoczył ręczny hamulec.

Faith otworzyła drzwiczki. Will usłyszał, jak obchodzi samochód naokoło.

Uniósł głowę. Musiał poruszać nią powoli. Skrzywił się z bólu. Bolało go

gardło. Wciąż czuł w ustach smak krwi.

Tylne drzwi się otworzyły. Faith nadal nic nie mówiła. Zapaliła lampkę w środku. Will zamrugał i zmrużył oczy. Zdjęła mu kajdanki. Roztarł nadgarstki, usiłując przywrócić krążenie. Faith wyjęła spod siedzenia zestaw pierwszej pomocy. Wyciągnęła zwitek wacików, różne paczuszki, maść z antybiotykiem, plastry z opatrunkiem. Will słyszał samochody po obu stronach. Faith zaparkowała na obszarze ograniczonego ruchu przecinającym pas zieleni pośrodku autostrady. Otaczały ich drzewa. Na ziemi leżały potłuczone butelki po piwie i zużyte kondomy.

– Popatrz na mnie – powiedziała.

Will odwrócił głowę w jej stronę. Zamknął oczy. Paczuszki zostały rozdarte. Nasączone alkoholem chusteczki. Środek dezynfekujący. Gdy Faith opatrywała jego zadrapania i rany, przez cały czas miał zamknięte oczy. Robiła to sprawnie, choć niezbyt delikatnie. Will był jej za to wdzięczny. Wcześniej opatrywała go Sara. Zawsze dotykała go tak delikatnie. Głaskała go, całowała miejsca, które – jak mówiła – potrzebowały dodatkowej pomocy, by się zagoić.

Faith otarła mu oczy chusteczką.

Will rozchylił usta, żeby zaczerpnąć więcej powietrza. Chciał jej podziękować, dać do zrozumienia, jak wiele dla niego znaczy jej milczenie. Faith na ogół zachowywała się wobec niego jak słoń w składzie porcelany. Will był w tej chwili zbyt załamany, żeby jej opowiedzieć, co zaszło wieczorem między nim a Sarą.

Faith starła mu krew z okolic nosa.

– Eric Haigh nie żyje – powiedziała.

– Wiem. – Will z trudem mówił. Usiłował odchrząknąć, by pozbyć się z przełyku tego, co przywodziło na myśl tampon.

– Znaleźliśmy ciało godzinę temu – dodała Faith.

– W ogrodzie przed jego domem – wyszeptał Will. – Pomagałem Tony’emu Dellowi go tam położyć.

Ręka Faith się zatrzymała.

Will otworzył oczy.

– Widziałem, jak go zabijał. Tony Dell zabił Erica. – Will zakaszał. Tampon zamienił się w brzytwę. – To było w Tipse's. Nożem myśliwskim. Dell nosi go w bucie. Nosił. – Will próbował przełknąć, ale jego gardło odmówiło współpracy. – Wrzuciliśmy nóż do rzeki. Nie wiem, do której. Betonowy most. Żadnych domów.

– Znajdziemy go.

– Musicie znaleźć Tony'ego.

– Zniknął. W jego domu nikogo nie ma. Samochód nadal jest skonfiskowany. – Faith rozerwała paczuszkę z antybiotykiem. – Skorzystał z karty płatniczej, żeby wyczyścić swoje konto bankowe. – Wycisnęła trochę maści na patyczek higieniczny. – Ogłosiliśmy, że jest poszukiwany.

Will nadal nie mógł przełknąć. Rozległo się tylko jałowe mlaśnięcie.

– Było tam trzech mężczyzn. Prostacków. Wielkie chłopcy. Grube. – Will nie mógł sobie przypomnieć, czy mówił jej już, gdzie to się stało. – W Tipse's. Tam Tony zabił Erica Haigha.

Przyłożyła wacik do jego czoła.

– Wyślę kogoś do klubu.

– Byli w pokoju na zapleczu. Dell zabrał mnie tam na spotkanie z nimi. Dopiero gdy znaleźliśmy się w środku, zorientowałem się, że o to mu chodziło.

Faith wycisnęła więcej antybiotyku na wacik.

– Znali fikcyjny życiorys Billa Blacka. W szczegółach. Obserwowali mnie. Nie, jak wracałem do Atlanty na motocyklu, wtedy nie mogli mnie śledzić, ale wiedzieli o hotelu, znali moje zwyczaje. – Will wymacał w kieszeni telefon. Popatrzył na strzaskane szkło.

Sara rzuciła swoim telefonem o ścianę. Will patrzył, jak rozlatuje się na kawałki. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Sara rzucała cokolwiek w ten sposób.

– Will? – odezwała się Faith.

Trzymał w ręku telefon. Szkło było rozbite. Will wsunął telefon do kieszeni.

– Jeden z nich nazywał się Junior. – Wreszcie zdołał przełknąć. O mało

nie zemdlął z bólu. – Przystawił mi broń do piersi. Smith and wesson z perłową rękojeścią. Nóż też miał perłowy trzonek. Tamtego oprycha, nie Tony’ego. Ten zrzuciliśmy z mostu.

Faith przyłożyła wacik pod oko Willa. Przypomniawszy sobie, że oprych go zaciął, to była jego pierwsza rana tej nocy.

– Moje ubrania są w worku na śmieci w mojej szafce – powiedział. – Musiałem się przebrać, wziąć prysznic. Tony był na oddziale urazowym. Skaleczył się w rękę, jak dźgał nożem Haigha. Musieli założyć mu szwy. Nie wiem ile – dodał.

– Żona go znalazła – powiedziała Faith.

– Tony ma żonę?

– Eric Haigh. Żona znalazła jego ciało przed domem. Z początku był straszny zamęt. Nie poznała go.

– Kazali nam zostawić go na trawniku przed domem – przypomniał sobie Will. – Rozkaz wydał Wielki Biały. – Zobaczył pytanie w jej oczach. –

Przez telefon. Nie spotkałem go. Oprych odebrał telefon, po czym powiedział Dellowi, gdzie wyrzucić ciało, mówiąc, że to polecenie bezpośrednio od Wielkiego Białasa.

– Sprawdzimy, czy uda nam się powiązać ten telefon z klubem.

– To była komórka, pewnie na kartę.

– I tak sprawdzimy. – Faith wrzuciła patyczek do zestawu pierwszej pomocy. Wacik był przesiąknięty krwią. – Haigh zginął dwa dni temu. Jego żona nic nie mówiła, bo od tamtego nalotu zachowywał się dziwnie. Wiedziała, że w sprawę zaangażowany był Wydział Spraw Wewnętrznych. Nie chciała wpakować męża w kłopoty.

– Tamten nalot – powtórzył Will. Faith mówiła mu o nim wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć tej rozmowy. – Torturowali go.

– Wiem.

– Ten oprych powiedział Dellowi... – Stracił wątek. – Co mówiłem?

– Ten oprych powiedział Dellowi... Rozmawiamy o Ericu Haighu – przypomniała mu.

Jej podpowiedź nie pomogła.

– Powiedział, że się ze mną skontaktuje. Że ma dla mnie robotę.

– Która była godzina, gdy pojechaliście do klubu?

– Godzina? – To pytanie nie miało sensu.

– Która?

Will wyjął z kieszeni telefon. Szkło było strzaskane. Mimo to po wciśnięciu przycisku ekran się rozświecił.

– Jest pierwsza trzydzieści jeden w nocy – poinformował Faith.

Odchyliła mu głowę do tyłu, by mu się przyjrzeć.

– Czy powinnam zawieźć cię do szpitala? To znaczy, do innego szpitala.

Will pokręcił głową. Nie zamierzał jechać do żadnego szpitala.

– Wydaje mi się, że masz wstrząśnienie mózgu.

– Dlaczego?

– Paul Vickery kopnął cię w głowę.

– Kiedy? – zapytał Will, ale to nie było właściwe pytanie. Wiedział, że Vickery go kopnął. – To znaczy, dlaczego Paul był w szpitalu?

– Ktoś do niego strzelał. – Faith uznała, że powinna wyrazić się bardziej precyzyjnie: – Paul Vickery był w szpitalu, bo ktoś próbował go dziś zabić.

– Przepraszam, że ciągle o wszystkim zapominam.

– Nie ma sprawy. – Faith mówiła wolniej, niż było trzeba. – Vickery był w domu. Strzelono do niego przez frontowe okno. Dlatego miał zabandażowaną rękę.

Will nie pamiętał, żeby widział jakiś bandaż.

– Czy to coś poważnego?

– Cóż, czuje się na tyle dobrze, że mógł cię zaatakować. – Ściągnęła brwi.

– On się bije jak baba. Masz zadrapania na szyi. – Faith obróciła jego głowę.

– Czy on cię ugryzł?

Will odwrócił wzrok. To nie Paul Vickery zostawił te ślady. Sara go tak podrapała. Kopała go i gryzła, ale Willa to nie powstrzymało, bo wszystko, co robiła, tylko jeszcze bardziej go podniecało.

Faith dała sobie spokój z wacikiem. Posmarowała palec antybiotykiem i wodziła nim po twarzy Willa.

– Napadli też na DeShawna Franklina. Zaskoczyli go pod kinem. Jego dziewczyna zaczęła krzyczeć. Zadzwoiła na dziewięćset jedenaście.

– Zabrali go do szpitala?

– Will, spójrz na mnie. – Upewniła się, że słucha uważnie. – Ktoś zaatakował Franklina i Vickery’ego tego samego wieczoru, kiedy ciało Erica Haigha zostało wyrzucone na trawnik przed jego domem.

Will znał już te fakty, ale kiedy Faith przedstawiła mu je tak zwięźle, wreszcie coś zaskoczyło w jego mózgu.

– To wszystko było ustawione.

– Właśnie. Ktoś chciał nam przekazać wiadomość. – Otworzyła opakowanie plastra z opatrunkiem.

– Tak właśnie powiedział tamten oprych: nie ma sensu wysyłać wiadomości, jeśli wszyscy nie będą mogli jej przeczytać.

– No to jeśli jeszcze kiedyś go zobaczysz, powiedz mu, że wiadomość została odczytana głośno i wyraźnie. Odwróć głowę.

Will wykonał polecenie. Faith przykleiła mu plaster na szyi, zakrywając zadrapania.

– I dlatego byłeś w szpitalu? Bo oni zostali zaatakowani? – spytał.

– Szukałam ciebie.

– Z powodu DeShawna Franklina. – Will pokręcił głową. To nie tak. – Pojechałaś do szpitala z powodu Erica Haigha. Zobaczyłaś go i pomyślałaś, że to samo zrobili ze mną.

– Myślałam, że to ty – odparła Faith. – Własna żona go nie rozpoznała. Pojechałam do szpitala, sądząc, że będę musiała zidentyfikować twoje ciało.

– Przykro mi.

– Dzięki Bogu, Sara nie odbierała telefonu. – Gestem kazała mu znowu podnieść głowę. Zadrapania były zbyt rozległe, żeby wystarczył jeden plaster. – Zaraz potem imprezka się rozkręciła. Paula Vickery’ego i DeShawna Franklina przywieźli akurat w momencie, gdy wychodziłam z kostnicy. Rozmawiałam przez telefon z Amandą.

– Musiałaś im powiedzieć, że Haigh nie żyje?

– Tak – odpowiedziała Faith z naciskiem. – Ale potem zobaczyli, jak Tony’emu Dellowi szyją rękę, i postanowili wyładować się na nim. – Nie czekała, aż Will zapyta o szczegóły. – Sześciu gliniarzy musiało ich od niego odciągać.

– Dlaczego się na niego rzucili?

– Pewnie dlatego, że samochód Della był zaparkowany pod domem Leny tamtej nocy, kiedy zostali z Jaredem zaatakowani. Jestem pewna, że ten świadek Vickery’ego, który widział cię w klubie, kimkolwiek on jest, widział też Tony’ego. Więc hipoteza, że obaj mieliście coś wspólnego z morderstwem Haigha, nie jest naciągana.

Hipoteza nie jest naciągana, bo to prawda.

– Co mówił Tony?

– Kto to wie? – Faith wydawała się rozdrażniona. – Pięć sekund temu mówiłam ci, że sześciu gliniarzy musiało siłą odciągać od niego DeShawna i Vickery’ego. Zanim komukolwiek przyszło do głowy, żeby na niego spojrzeć, Dell zniknął. Przewróciliśmy cały szpital do góry nogami, ale udało mu się wymknąć.

– Pewnie miał przygotowanych dziesięć dróg ucieczki. – Will coś sobie przypomniał. Wyjął portfel. Odręczny liścik od Cayli Martin nadal tkwił w przegródce na zdjęcia. – To przyrodnia siostra Tony’ego. Sprawdźcie jej dom.

Faith wzięła od niego karteczkę ze sceptyczną miną.

– O ile nam wiadomo, Dell nie ma rodzeństwa.

– Byli rodzeństwem tylko kilka lat – wyjaśnił Will. – On się w niej kocha.

Mina Faith świadczyła o tym, że znów rozważa zawiezienie go do szpitala.

– Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to prawda. Ona pracuje jako pielęgniarka w szpitalu.

– Wyślę tam samochód.

Will zakaszłał. Spojrzał na swoją dłoń, spodziewając się krwi.

– Vickery nazwał mnie mordercą gliniarza.

Faith pokręciła głową, jakby też tego nie rozumiała.

– Może widział cię pod domem Erica Haigha? – spytała i zaraz sama sobie odpowiedziała: – Nie, gdyby zobaczył cię pod jego domem, zabiłby cię na miejscu. Pamiętasz, czy widziałeś dzisiaj Vickery’ego? Albo któregoś z nich?

Will zastanowił się nad tym. Miał poczucie, że to pytanie toczy mu się po mózgu jak szklana kulka i nie może się zatrzymać.

– Zadzwoń do Sary – powiedziała Faith.

– Nie rób tego.

– Ona ma prawo wie...

– Nie. – Will złapał ją za rękę. I równie szybko puścił. – Ona o wszystkim wie.

Faith przyjrzała mu się uważnie. Zastanawiał się, co zobaczyła w jego twarzy. Sińce pojawią się dopiero za kilka godzin. Z boku głowy ma pewnie odcisk buta Paula Vickery’ego. Grzbiet nosa musi być czerwony. Pęknięta warga podbiegła krwią. Zadrapania. Ugryzienia. Co ona z tego wszystkiego wyczyta?

– Musimy cię zawieźć do siedziby sztabu – oznajmiła.

Will chciał wrócić do Atlanty. Musi zabrać psa z mieszkania Sary. Szczoteczkę do zębów, ubrania, które zostawił w zwolnionych dla niego przez Sarę szufladach. Nie powinna oglądać żadnych śladów po Willu. Może zrobić dla niej chociaż tyle.

– Wszystko skończone – wyznał. – Z Sarą. Skończone.

– Jesteś pewny?

– Tak. – Will nigdy w życiu nie był niczego tak pewny.

Faith zamknęła zestaw pierwszej pomocy. Zatrzasnęła plastikowy zamek.

– No to jej strata.

– Ma powody.

– Nieprawda. Jeśli nie może ci wybaczyć, bez względu na to, co zrobiłeś, to nie jest taka, jak myślałam.

Will ugryzł się w język. Faith już niedługo pozna prawdę.

– Przesiądź się do przodu – zażądała. – Spóźnimy się.

– Dokąd?

– Na spotkanie z Branson. – Sądząc po tonie Faith, mogła mu to mówić już wcześniej. – Widziałam ją w szpitalu. Jest gotowa mówić.

– Dlaczego teraz?

– Ktoś próbował sprzątnąć dwóch jej detektywów. Trzech, jeśli liczyć Lenę. Eric Haigh był torturowany i został zadźgany nożem. Jared Long ledwie uszedł z życiem. O tak, teraz będzie z nami rozmawiać. Przygotowuje swoje akta. Mamy spotkanie w siedzibie sztabu. – Faith popatrzyła na zegarek. – Zaczęło się dziesięć minut temu.

– Jakie akta?

– Te z nalotu na melinę. – Faith gestem kazała Willowi się ruszyć. – Denise Branson przez cały czas nas okłamywała. Wreszcie pokaże nam akta z nalotu.

Will przeglądał się w lustrze w łazience siedziby sztabu GBI, oceniając szkody na swojej twarzy. Życie sprawiło, że stał się ekspertem od ran. Potrafił odróżnić ranę ciętą, która zabił się w cienką białą kresczkę, i taką, po której zostanie jedynie blade wspomnienie. Według jego szacunków jedyną trwałą pamiątką po tej nocy będzie ślad po nożu oprycha. Małe nacięcie pod okiem wymaga prawdopodobnie przynajmniej jednego szwu. Ale to wiązałoby się z wizytą w szpitalu, a Will nie zamierzał już nigdy więcej wchodzić do żadnego szpitala.

Przynajmniej mdłości minęły. Głowa łupała go teraz z mniejszą częstotliwością. Przestał się trząść, co uznał za dobry znak – nie dostał wylewu ani jakiegoś ataku. Przełykanie nadal sprawiało mu trudność. Przekonał się o tym boleśnie, kiedy Faith kazała mu wypić dwie butelki coli. Następnie stała nad nim, pilnując, żeby wmusił w siebie dwie paczki serowych krakersów. Willa wkurzało, że tak nim rządzi, co pewnie świadczyło o tym, że jej zabiegi przynoszą oczekiwany skutek.

Obejrzał sobie szyję, delikatnie dotykając czerwonych smug, które zaczynały podbiegać krwią. Jeśli Will miał jakiś talent, była nim zdolność przetrwania. Przeżył jakoś tę noc. Oprych zbyt go nie uszkodził. Tony Dell go nie zabił, choć z pewnością byłby do tego zdolny. Paul Vickery zadał sporo solidnych ciosów, lecz Faith najpewniej strzaskała mu kostkę, co jest

wystarczająco przykrym rewanzem.

Tak więc Will przetrwał. I miał prawo czuć z tego powodu satysfakcję.

Ale była jeszcze Sara.

Gdy Will był mały, wyobrażał sobie, że ze wszystkimi ciosami, jakie na niego spadały, łatwo się upora. Nie musi trzymać w sobie bólu. Złe rzeczy może poupychać do pudełek. Po pewnym czasie tych pudełek nzbierało się mnóstwo. Nie miał już na nie miejsca. Unosiły się nad jego łóżkiem w domu dziecka. Towarzyszyły mu w szkole. Goniły go jak szkolni dręczyciele, gdy uciekał ulicą. Kiedy dorósł, przechowywanie tych pudeł stało się problematyczne. A może po prostu ta koncepcja ewoluowała wraz z nim? Latające pudełka przemieniły się w kartki. Trafiły do teczek. Teczki zostały umieszczone w segregatorach. Segregatory zamknięte na klucz, żeby już nigdy nie musiał ich oglądać.

Gdy w jego życiu pojawiła się Sara, Will zapomniał o swoim archiwum. Zapomniał o tych niezliczonych kartkach. O zardzewiałych zamkach segregatorów, które czasem nie chciały się przekręcić.

Teraz to wszystko się skończyło.

Stojąc w łazience, Will umieścił Sarę Linton w osobnej teczce i zamknął szufladę.

– Will? – Faith lekko zapukała do drzwi. – Wszystko w porządku?

Odkręcił kran, żeby dać jej znak, że żyje. Woda była lodowata. Chciał ochlapać sobie twarz, ale pewnie zaraz by z niej spłynęła. Faith wysmarowała go taką ilością maści z antybiotykiem, że aż się świecił.

Otworzył drzwi. Na progu stała Faith z butelką wody w każdym ręku.

– Bałasz się, że umrę na kiblu? – Jego głos brzmiał jak głos starca.

– To nie jest śmieszne.

– Takie rzeczy się zdarzają – wychrypiał. – Czytałem o tym w gazecie.

Podawała mu wodę.

– Nie wymiotowałeś już?

– Nie. – Brakowało mu jej wcześniejszego milczenia, ale nie był na tyle okrutny, by jej to powiedzieć. – Już czuję się lepiej. Dzięki.

– Wypij całą wodę. – Poprowadziła go w głąb korytarza. – Wysłałam

radiowóz z niezapowiedzianą wizytą do Cayli Martin. Wieki trwało, zanim znaleźli jej dom. Tego osiedla nie ma w MapQuest, w Google, nigdzie.

Will kiwnął głową. Sam nigdy nie znalazłby tej drogi bez pomocy Tony'ego.

– No, ale grunt, że w końcu ją znaleźli. Była w domu. Powiedziała, że jeśli o nią chodzi, to Tony Dell może iść do diabła. A potem spytała, czy przewidziana jest nagroda za pomoc w jego odnalezieniu.

Will znów kiwnął głową. To było podobne do Cayli Martin.

– Radiowóz będzie jeszcze krążył po okolicy, zanim chłopaki skończą zmianę, żeby mieć pewność, czy Dell się nie pokaże. W międzyczasie zdałam Amandzie relację z wydarzeń dzisiejszego wieczoru. Próbuujemy połączyć się z nią przez Skype'a w sali konferencyjnej, ale są jakieś trudności techniczne.

Will domyślał się, że nie z ich strony.

– Jest tu Lonnie Gray. Naczelnik policji w Macon.

– Amanda go wezwała?

– Denise Branson. Chylę przed nią czoło, że odważyła mu się postawić. Rozmawiają teraz przed budynkiem, podczas gdy my usiłujemy podłączyć sprzęt. Ta ich rozmowa polega głównie na tym, że Denise wysłuchuje jego wrzasków. Gray wyżywa się na niej za wszystkie czasy.

Will upił łyk wody.

– Wyleci z roboty?

– Jeśli będzie miała szczęście, skończy się tylko na tym. Gray nie wie, że pani major nas okłamywała. Może trafić przed sąd za utrudnianie śledztwa, albo i gorzej. – Faith obejrzała się przez ramię. – Jeszcze nie mówiłam Grayowi, co Vickery ci zrobił.

Will pokręcił głową.

– Nic mu nie mów. Sam to załatwię z Vickerym.

– Jeśli zdążysz przed Amandą. Jest gotowa go oskalpować.

Will nadal kręcił głową.

– Niepotrzebnie jej mówiłaś.

– No wiesz, niepotrzebnie też straciłam cnotę podczas nocnego seansu *Szklanej pułapki*. Daj se siana. – Faith pchnęła drzwi do sali konferencyjnej.

Sala była upiornie podobna do każdej innej sali konferencyjnej w każdym innym biurze sztabu GBI w całym stanie. Na ścianach boazeria imitująca dąb. Długi stół pośrodku. Zniszczone biurowe krzesła stłoczone tak ciasno, że dwóch tęższych mężczyzn nie mogłoby siedzieć wygodnie obok siebie. Mały plazmowy telewizor na metalowym stoliku na kółkach. Kabelki prowadziły do różnych urządzeń elektronicznych na półeczce pod spodem. Na ekranie widać było zdjęcie Amandy, najwyraźniej jej identyfikator ze Skype'a. Musiało zostać zrobione w latach osiemdziesiątych. Amanda była w stroju do tenisa. Na ramieniu opierała drewnianą raketę. Włosy przytrzymywała opaska w stylu Jane Fondy. Amanda się uśmiechała, co było chyba w tym wszystkim najbardziej groteskowe.

W głośniku na stole zaskrzeczał jej głos:

– Widzicie, jak macham ręką?

– Nie, pani dyrektor. – Agent Nick Shelton, szef sztabu, nie dotykał leżącego przed nim laptopa, tylko zatykał uszy palcami i kręcił głową. – Próbuję wszystkiego, co się da. Jest pani pewna, że problem nie leży po pani stronie?

– Tak, jestem pewna – odwarknęła Amanda. – Nie widzę niczego poza logo GBI. W ogóle nie ma obrazu.

Nick pokręcił głową, spoglądając na Faith. Podał rękę Willowi.

– Agencji Trent.

– Jest tam Will? – spytała Amanda. – Nic nie widzę.

Will starał się mówić najgłośniej, jak mógł:

– Tak, pani dyrektor.

– Dlaczego szepczesz?

– Bo o mało nie został uduszony – włączyła się Faith.

Amanda jak zwykle okazała się mało współczująca.

– To usiądź bliżej mikrofonu. Nie chcę co dwie minuty prosić cię, żebyś powtórzył, co mówiłeś.

– Tak, pani dyrektor.

– Będę musiała rozmówić się z tym idiotą, który programował mój komputer – powiedziała. – Był tu już trzy razy, a gdy tylko wychodzi, ten grat przestaje działać.

Faith nie mogła się powstrzymać:

– Wie pani, że więcej much można złapać na miód.

– Tak, Faith, bardzo ci dziękuję. Jeśli czegoś mi brakuje, to właśnie większej liczby much.

Gdy obie kobiety wymieniały bardziej pomocne uwagi, Will opadł na krzesło. Stół został przygotowany na oficjalne spotkanie. Przy pięciu krzesłach stało pięć butelek wody. Obok położono bloki biurowe i długopisy. Will brał udział w wielu spotkaniach, podczas których różni gliniarze tracili pracę, jednak to dzisiejsze przepełniało go smutkiem. Denise Branson popełniła błąd przekreślający jej karierę, ale prawdopodobnie zrobiła to z powodów, które uważała za słuszne.

Było kwestią czasu, kiedy Lena Adams pójdzie w jej ślady.

Will spojrział na zegar cyfrowy wiszący na ścianie: 3:01. Powinien być wyczerpany. Może kofeina z coli tak go pobudziła? A może jego ciało wreszcie pogodziło się z tym, że jednak będzie żył.

Wpatrywał się w butelki z wodą, które Faith wcisnęła mu w dłoń. Pierwszą opróżnił może w jednej czwartej. Usta wyschły mu na wiór, ale na samą myśl, że miałby wypić jeszcze jeden łyk, zaczynało go boleć gardło. Miał poczucie, jakby tonął w oceanie.

Drzwi się otworzyły. Nick wstał.

– Pani dyrektor, naczelnik Gray oraz major Branson weszli do sali.

Denise Branson nie paradowała już w galowym mundurze. Miała na sobie dżinsy i luźną bluzkę. Jej wcześniejsza wyprostowana postawa zniknęła. Wydawała się zgnębiona. Tylko skórzana teczka świadczyła o tym, że to ta sama kobieta, z którą Will wczoraj rano rozmawiał w Atlancie.

Lonnie Gray z kolei stawiał się w pełnym rynsztunku. Złote epolety migotały w świetle sufitowej lampy. Czapkę trzymał pod pachą. Był starszym panem, sprawiał jednak wrażenie faceta, który zaczyna dzień od stu pompek, zanim jeszcze wzejdzie słońce. Poza tym wydawał się wściekły jak cholera. Usta zacisnął w białą kreskę ledwie widoczną pod wąsem. Jego

zmarszczone czoło przypominało zaorane pole.

Wszyscy podali sobie ręce. Will nie wstał z krzesła w nadziei, że pozostali to zrozumieją.

– Naczelniku Gray – odezwała się Amanda – przepraszam za utrudnienia techniczne. Korzystam ze Skype’a u siebie w domu.

Will nie wiedział, co jest gorsze, zdjęcie Amandy grającej w tenisa czy myśl, że rozmawia z nimi ubrana w nocną koszulę.

– Nie szkodzi. – Lonnie Gray usiadł naprzeciwko Willa i aż się wzdrygnął na jego widok. Denise Branson zareagowała podobnie. Powoli osunęła się na krzesło obok swojego szefa, rozchylając ze zdumienia usta.

Will doszedł do wniosku, że będzie musiał przyzwycząić się do tego, że przez jakiś czas wszyscy będą się na niego gapić.

– Pani dyrektor, wszyscy zajęli miejsca – oznajmił Nick.

– Dziękuję – odparła Amanda. – Lonnie, przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci syna. Nie wiedziałam, że zmarł.

– Dziękuję. – Gray wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać o swoim życiu prywatnym. Szybko przeszedł do interesów: – Mandy, pragnę przeprosić cię, twoich agentów i całą agencję za karygodne poczynania jednej z moich podwładnych. Możesz mieć pewność, że mój wydział zostanie doprowadzony do porządku. – Rzucił Branson miażdżące spojrzenie. – Począwszy od zaraz.

– Doceniam to, Lonnie. – Ton Amandy jednak o tym nie świadczył. – Major Branson, muszę panią poinformować, że ta rozmowa jest nagrywana, ponieważ została pani objęta oficjalnym dochodzeniem. Wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane przeciwko pani. Ma pani prawo do adwokata...

– Nie potrzebuję adwokata – przerwała jej Branson, chociaż wszyscy wiedzieli, że jest inaczej. – Poproszę o formularz.

Nick był przygotowany. Podsunął Branson kartkę, by mogła oficjalnie potwierdzić, że została zapoznana ze swoimi prawami.

Branson nie czytała formularza. Pewnie widziała go tysiące razy. Pstryknęła długopisem i złożyła podpis, po czym popchnęła kartkę w stronę Nicka.

Lonnie Gray skinieniem głowy polecił jej, by zaczynała.

Branson nie zrobiła tego od razu – nie dlatego, że znowu bawiła się w jakieś gierki, ale prawdopodobnie dlatego, iż wiedziała, że to ostatnie takie spotkanie w jej życiu.

Wreszcie odetchnęła głęboko i przemówiła:

– Mniej więcej trzy i pół tygodnia temu detektyw Lena Adams zwróciła się do mnie w związku z podejrzaną meliną narkomanów przy Redding Street. Wyraziłam zgodę na wszczęcie śledztwa. Detektyw Adams obserwowała dom przez kilka dni i stwierdziła, że informacje na jego temat były prawdziwe. – Branson przerwała. Zaczęła bawić się długopisem, obracając go w palcach. – W toku śledztwa detektyw Adams ustaliła, że melinę prowadzi człowiek nazwiskiem Sidney Waller.

Tu włączył się Gray:

– Waller to niezwykle brutalny przemytnik narkotyków na szeroką skalę. Kiedy przed dwoma laty przybyłem do Macon, moim priorytetem stało się złapanie go i postawienie przed sądem. Jednak mimo pełnego zaangażowania całego wydziału nigdy nie zdołaliśmy zebrać przeciwko niemu wystarczających dowodów.

Will uznał, że to przyzwoite z jego strony, że przyznał się do porażki.

Branson też zdawała się to doceniać. Skinęła mu głową, po czym mówiła dalej:

– Wiedzieliśmy, że moglibyśmy dość szybko zamknąć melinę, ale skoro stał za tym Sid Waller, dostrzegliśmy szansę na coś więcej. Rozmawiałam z detektyw Adams i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy rozszerzyć operację i postawić sobie za cel aresztowanie i skazanie Wallera.

– W tym momencie do akcji wkroczyłem ja – wtrącił Gray. – Zyskaliśmy przychylność prokuratora okręgowego i utworzyliśmy wewnętrzny oddział specjalny. Sprawa była zakrojona na szeroką skalę. Denise i ja koordynowaliśmy wszystko.

Will spostrzegł, że Branson wzdrygnęła się, gdy nazwał ją po imieniu, zamiast wymienić jej stopień oficerski. Mimo to podjęła:

– Operacja trwała od dziesięciu dni, gdy uświadomiliśmy sobie, że schwytanie Wallera jest mało prawdopodobne. Nikt nie chciał zeznawać

przeciwko niemu. Ludzie się go bali. Ćpuny pochowały się pod ziemię. Nikt nie chciał nosić podsłuchu. Wyglądało na to, że będziemy musieli wkroczyć do domu i zadowolić się aresztowaniem tych, których zastaniemy w środku. Mogliśmy przeprowadzić nalot w takim momencie, żeby Waller akurat też tam był, ale to marna pociecha.

– Skoro nie mogliście udowodnić, że to Waller jest szefem, trzeba było go potraktować tak samo jak resztę tych ćpunów – odezwała się Amanda. Wydawała się zniecierpliwiona. – Ale najwyraźniej coś się zmieniło?

– Do detektyw Adams zgłosił się zaufany informator – odparła Branson. – Został aresztowany za sprzedaż prochów studentom Uniwersytetu Mercera. Nie w kampusie, a w jednej z kafejek.

To było ważne rozróżnienie. Sprzedaż czy dystrybucja nielegalnych substancji na terenie szkoły oznaczała znacznie większy wyrok.

– Czy to był jeden ze stałych informatorów Adams? – spytała Amanda.

– Nie, nigdy wcześniej go nie spotkała. Przebywał w areszcie niecałe dwie godziny i poprosił o rozmowę właśnie z nią. Adams jest znana wśród okolicznych ćpunów – dodała Branson – więc to niekoniecznie była czerwona flaga.

Mózg Amandy pracował szybciej niż mózg Willa.

– Tym kapusiem był Tony Dell?

Branson się zawahała.

– Tak, pani dyrektor. Powiedział jej, że wyda Sida Wallera w zamian za gwarancję nietykalności w związku ze swoją dilerką.

Will zerknął na Faith. Teraz wiedzieli przynajmniej, dlaczego Lena napisała e-mail do Willa. Nie chciała, żeby Dell pozostał bezkarny.

Amanda zwróciła się do Branson:

– Mielicie nagranie Wallera, co dawało wam prawdopodobieństwo winy jako podstawę do uzyskania nakazu aresztowania?

– Tak – potwierdziła Branson. – Cztery dni później przeprowadziliśmy nalot. Kapuś twierdził, że spodziewali się dużej dostawy. Detektyw Adams i jej ludzie włamali się do domu. Oto, co tam zastali. – Skinęła głową w stronę Nicka.

Postukał w klawiaturę laptopa i tenisowa fotka Amandy została zastąpiona przez zdjęcie z miejsca zbrodni.

Will wpatrywał się w ekran. Dwóch zabitych mężczyzn. Latynosów. Rozebranych do pasa. Siedzieli na starej, podartej kanapie. Obaj mieli podejrzięte gardła.

– Widzi to pani, pani dyrektor? – spytał Nick Amandę.

– Tak.

– Ten z prawej strony to Elian Ramirez, ćpun uzależniony od oksykodonu, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie – wyjaśniła Branson. – Ten po lewej to Diego Nuñez. Był prawą ręką Wallera. Zawodowy bandzior. Między dwudziestką a trzydziestką siedział za zabójstwo, wyrok został przedłużony za złe sprawowanie.

Branson skinieniem głowy poprosiła o kolejne zdjęcie, a Nick przysunął jej laptopa, żeby sama mogła je zmieniać.

Branson przeszła do kolejnego, na którym widać było mężczyznę z odrąbanym czubkiem głowy.

– Thomas Holland. Nowy w narkotykowym świecie, uzależnił się od cracku w ostatniej klasie szkoły średniej. Nie wiemy, dlaczego przebywał w tamtym domu, poza tym, że pewnie chciał się nawalić. Został zamordowany siekierą. – Pojawiło się zbliżenie głowy Hollanda, a następnie jego twarz pod innym kątem. Był młody, wyglądał na siedemnaście lat. Jasne włosy, przeszywające spojrzenie niebieskich oczu. Gdyby nie brakujący kawałek głowy, mógłby znaleźć się na plakacie jakiegoś filmu Disneya.

Branson otwierała kolejne nieszkodliwe zdjęcia ukazujące wnętrza sypialni, łazienki i jadalni. Will bywał już w takich melinach. Widok był znajomy: fifki do cracku, igły rozrzucone po podłodze, materace w każdym pomieszczeniu. Nigdy nie mógł zrozumieć, skąd biorą się te materace ani też po co komuś, kto wstrzykuje sobie truciznę w żyły, wygodne miejsce, żeby stracić przytomność.

– O, tutaj. – Branson zatrzymała się na jednym ze zdjęć. Pokazywało otwarte drzwi do piwnicy. Po obu stronach widniały metalowe kłamry. Na podłodze leżała deska o przekroju pięć na dziesięć centymetrów. – Piwnica – oznajmiła Branson. – Tu ukrywał się Sid Waller.

Will zastanawiał się, czy z jego głową wciąż jest coś nie tak. Jeśli ktoś został zamknięty w piwnicy, to nie ukrywa się, tylko jest w potrzasku.

– Do piwnicy wtargnęło dwóch detektywów, Mitch Cabello i Keith McVale – relacjonowała Branson.

Faith zeszywniała. Oboje z Willem rozpoznali nazwiska detektywów. McVale zwolnił się z pracy, a Cabello trafił do szpitala w dniu nalotu.

– Detektywi Adams i Vickery zostali w kuchni – ciągnęła Branson. – Cabello i McVale krzyknęli, że piwnica jest czysta. Przekazali detektyw Adams informację, że znaleźli mnóstwo pieniędzy. Sądzymy, że niedługo potem Sid Waller wyłonił się ze swojej kryjówki.

Pokazała następane zdjęcie, które ukazywało naderwany kawałek boazerii, a za nim ciemną wilgotną dziurę, którą ktoś wykopał w ziemi. Zdjęcie było nie najlepsze, ale Will widział, że dziura jest na tyle duża, by pomieścić dorosłego mężczyznę.

– Waller ogłuszył Cabella uderzeniem w głowę. Następnie wziął McVale'a na zakładnika – wszystko bezgłośnie. Potem na dół zeszła detektyw Adams, żeby pomóc zabezpieczyć pieniądze. Zastała tam podejrzanego trzymającego zakładnika. Wymierzyła do Sida Wallera, który przystawiał broń do głowy McVale'a. Sytuacja była patowa. Zamiast poddać się detektyw Adams, Waller strzelił sobie w głowę.

Will powtórzył w głowie te nieoczekiwane słowa.

– Sid Waller sam się zastrzelił? – zdołał wykrztusić.

– Każde z trojga detektywów mówiło dokładnie to samo... – Branson podniosła rękę, żeby powstrzymać oczywiste pytanie. – Technicy badający miejsce zbrodni potwierdzają każde słowo ich zeznań. Autopsja potwierdziła, że rana rzeczywiście jest wynikiem samobójczego postrzału. Analiza krwi wykazała, że Waller był tak nafaszerowany prochami, że nawet buddyjski mnich nie zdołałby ukryć szoku. Fakty są zbieżne w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko wskazuje na to, że Waller sam odebrał sobie życie.

– Lonnie? – Amanda chciała usłyszeć jeszcze drugą opinię.

Gray poprawił się na krześle.

– Nasz szpicel nagrał Wallera skarżącego się na problemy z dostawą towaru. Jedna z jego ciężarówek została przejęta przez jakichś Kubańczyków

w Miami. Wykorzystałem pewne kontakty, jakie nadal mam na Florydzie. Waller był o krok od rozpoczęcia wojny z kubańskim kartelem.

– Sid wiedział, że nie przetrwałby w więzieniu dłużej niż jeden dzień – podjęła Branson. – Lepiej połknąć kulkę niż oberwać nożem od jakiegoś Kubańczyka na spacerunku.

– Jak się ma do tego wszystkiego Wielki Białas? – ponagliła ich Amanda.

Gray spojrział na Branson. Wydawał się smutny, jakby rozczarowało go jedno z jego dzieci.

– Pracowałam nad tym nieoficjalnie – wyjaśniła Branson. – Naczelnik Gray zakazał mi kontynuowania śledztwa, nawet po godzinach, ale ja miałam obsesję na punkcie wytropienia Wielkiego Białasa.

– Czy to ma związek z Wallerem? – chciała wiedzieć Amanda.

– Nie bezpośrednio.

– Mogłaby nam to pani jakoś wyjaśnić?

Branson znów zajrzała do aktówki i wyjęła z niej grubą na kilka centymetrów teczkę. Potem kolejną. I jeszcze jedną. Ułożyła je w stertę na stole.

Faith bez wahania przysunęła cały stos do siebie.

– Wielki Białas pojawił się na moim radarze osiemnaście miesięcy temu – powiedziała Branson. – Lubię statystyki. Lubię dokonywać obliczeń, tropić zbrodnie, zastanawiać się, dokąd wysłać moich ludzi, żeby powstrzymać zbrodniarzy. – Umilkła. Will domyślał się, że właśnie do niej dotarło, że nie będzie już mogła tego robić. – No, w każdym razie, tak jak to zostało powiedziane wczoraj, zaczęło się u nas to samo co wcześniej w Savannah i Hilton Head. Jakby nagle doszedł jakiś szerszy czynnik organizacyjny. Nasze zwykłe męty zaczęły awansować. Dotychczas wszyscy korzystali z porad podrzędnej i taniej firmy prawniczej, specjalizującej się w namawianiu ofiar wypadków na procesy o odszkodowanie. I nagle ta firma połączyła się z ekskluzywną kancelarią z Florydy.

– Vanhorn i Gresham. – Faith podniosła wzrok znad czytanego raportu. – Bandzior, który postrzelił Jareda, też jest przez nich reprezentowany.

– Zgadza się – potwierdziła Branson. – I nagle takie zbiry drugiego sortu jak Fred Zachary dzięki tym facetom zaczęły się rozkręcać. Rozmawiałam

z ludźmi, spotykałam się z moimi detektywami i doszłam do wniosku, że w mieście pojawił się nowy gracz.

– Wielki Białas – podsunęła Faith.

– Zgadza się. Białas zaczął od otwarcia legalnych klinik opieki paliatywnej. Na ogół tak to właśnie działa. Wykorzystywali okolicznych ćpunów do rozprowadzania prochów. Głównie wsiowych oprychów. To oni kontrolują handel metadonem, więc naturalne było, że Białas wykorzystał istniejący rynek.

Gray poczuł potrzebę złożenia wyjaśnień:

– Nie byłem przekonany, czy Wielki Białas istnieje naprawdę. Były jakieś szkieletowe informacje z Florydy, ale żadnego nazwiska, opisu ani powiązań. Był duchem. – Wzruszył ramionami. – A my mieliśmy w tamtym okresie dużo roboty. W jednej z prywatnych szkół nastąpiła seria przedawkowań heroiny. Młode dziewczęta z dobrych domów. Nie z rodzaju tych, które widzimy zazwyczaj w takich sytuacjach.

– Bogate białe dziewczyny – podsumowała Faith, nie bawiąc się w polityczną poprawność. – Umarły czy tylko wylądowały w szpitalu?

– Trzy umarły. Sześć trafiło na oddział urazowy, a potem zostały przewiezione do więzienia dla białych dziewcząt. – Bransen miała na myśli odwyk. – Pochodziły ze znanych w okolicy rodzin. Pojawiły się naciski, żeby jak najszybciej aresztować winnych. Jak już mówiłam, Białas handlował prochami za pośrednictwem miejscowych oprychów. Większość naszych pozafarmaceutycznych dilerów to czarni albo Latynosi. Łatwo się zorientować, kto dla kogo pracuje.

Faith ujęła to zwięźlej:

– Tak więc biali zaczęli panikować i domagać się sprawiedliwości. Aresztowaliście grupę czarnych i Latynosów. Jestem pewna, że wszystko poszło jak z płatka – zakończyła z sarkazmem.

Bezpośredniość Faith była dla Graya krępująca, a może po prostu miała świadomość, że całe spotkanie jest nagrywane.

– Aresztowaliśmy dilerów znanych ze sprzedaży heroiny. W moim wydziale nie ma i nigdy nie będzie uprzedzeń rasowych.

Z tonu Graya Will wywnioskował, że ten już wcześniej odpierał podobne

zarzuty. Atlanta sama miała tyle skandali politycznych, że mogła wypełnić całe lokalne wiadomości, ale Will przypominał sobie niejasno, że widział jakieś doniesienia o zamieszkach w Macon. Pewnie Lonnie Gray codziennie szedł do pracy targany niepewnością, jak długo utrzyma się na swoim stanowisku.

– Z powodu tej obławy rozgromiliśmy konkurencję Białasa na ulicach – odezwała się Branson z pewnym ociąganiem. – Wywołaliśmy też falę protestów rasowych, które podzieliły miasto na dwie części i sprawiły, że wszyscy politycy zaczęli domagać się krwi.

– Wtedy właśnie zamknąłem śledztwo Denise – dodał Gray. – Mieliśmy za dużo na głowie, żeby trwonić środki na faceta, co do którego nie byliśmy nawet pewni, czy istnieje.

– I to... – Will starał się mówić jak najmniej zgrzytliwie – to było celem Wielkiego Białasa? Przejąć handel heroiną?

– Przejął wszystko – potwierdziła Branson. – Proszę pamiętać, że chodziło mu o szachownicę, nie o pionki. Zjawia się w mieście i nawiązuje znajomości, płaci i małym płotkom, i facetom pokroju Sida Wallera, więc wszyscy są zadowoleni. Białas ma kapitał operacyjny. Otwiera kilka klinik opieki paliatywnej, pozyskuje stałych klientów, wciąga ćpunów na listę płac, żeby zaczęli handlować dla niego. Następnie rozszerza działalność na centra handlowe i przedmieścia. Uzależnia od prochów dzieciaki z forszą, a kiedy chcą czegoś więcej, podsuwa im heroinę. – Pokręciła głową, chociaż Will widział, że w pewnym sensie jest pod wrażeniem działania Białasa. – A kiedy już biznes się kręci, zaczyna eliminować konkurencję.

– Skąd pani wie, że taki jest jego model działania? – zapytała Amanda.

– Bo pojechałam do Savannah i pogadałam z kilkoma emerytowanymi detektywami, którzy za bardzo się bali powiedzieć mi to przez telefon.

Zaciśnięte pięści Graya świadczyły o tym, że słyszy to po raz pierwszy. Rzucił Branson piorunujące spojrzenie.

Willowi jedno nie dawało spokoju.

– Naczelniku Gray, pan uważał, że Białas tak naprawdę nie istnieje? – zapytał.

Gray z trudem oderwał wzrok od Branson.

– Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego wyrafinowania w naszym świecie przestępczym. Mandy, wiesz, że pracowałem na terenie całego stanu, ale to jest coś takiego, z czym ma się do czynienia raczej w Miami albo w Nowym Jorku.

W tym, że Białas celował w mniejsze miasta, można było doszukiwać się logiki spod znaku dużej ryby i małego stawu. Dziwnym trafem wybrał także dwa obszary w Georgii, gdzie wśród mieszkańców przeważali Afroamerykanie. Zupełnie jakby udzielał koncesji na swój model biznesowy.

Teraz Will zwrócił się do Branson:

– Pani major, a dlaczego była pani taka pewna, że Wielki Białas istnieje?

– Mogę? – Branson skierowała to pytanie do Faith. Chciała odzyskać jedną z teczek.

– Proszę. – Faith pchnęła stertę w jej stronę.

Branson przeglądała zawartość jednej z teczek, aż znalazła zdjęcie. Położyła je na stole. Młoda dziewczyna na zdjęciu była ładną blondynką, przybrała uwodzicielską pozę, pewnie – jak to nastolatka – nie zdając sobie sprawy z tego, że może się to okazać niebezpieczne.

– Marie Sorensen. Szesnaście lat. Pracowała w sklepie z serami w River Crossing, jednym z naszych ekskluzywnych centrów handlowych. Kręci się tam sporo znudzonych dzieciaków z przedmieścia. Sorensen była z nich zdecydowanie najładniejsza. Wpadła Wielkiemu Białasowi w oko.

– Zeskanuję pani to zdjęcie – zaproponował Nick Amandzie.

– Nie trzeba. Wielki Białas uzależnił Sorensen od heroiny? – domyśliła się.

– Zabrał ją do swojego samochodu. – Branson wyjęła inne zdjęcie. Na tym Sorensen wyglądała na dziesięć lat starszą i dziesięć kilogramów lżejszą. Miała podbite oczy. Otwarte rany na twarzy. Łyse placki na głowie.

– Kolejny ze wzorów postępowania Wielkiego Białasa – wyjaśniła Branson. – Tyle że tu działa osobiście, bo sprawia mu to przyjemność. –

Położyła zdjęcia na stole, jedno obok drugiego. – Wciska im kit, że pracuje w agencji modelek. Dają się na to nabrać, bo przez całe życie mówiono im, jakie są piękne. Zabiera je do samochodu, zmusza, żeby wsiadły do bagażnika i wywozi do jakiegoś hotelu na wybrzeżu: Tybee, Fort King

George, Jekyll. Gwałci je. Potem gwałcą je jego kumple. Wstrzykuje im heroinę. Sprzedaje. – Branson urwała. Odwróciła wzrok od zdjęć. – Sorensen z początku się buntowała. Trzymał ją w psiej klatce, żeby dać jej nauczkę. Trwało tydzień, zanim wreszcie ją złamał, a wtedy wystawił ją na sprzedaż w internecie. Sto sześćdziesiąt dolarów w ramach oferty specjalnej w porze lunchu, dwieście pięćdziesiąt za godzinę. Czteryście dolarów za dwie godziny. Sorensen obsługuje dziesięciu, piętnastu klientów dziennie. Jej nałóg kosztuje paręset dolarów. Niezły model biznesowy. Możecie sobie policzyć.

Faith patrzyła prosto przed siebie. Ona też nie mogła spojrzeć na zdjęcia. Will zastanawiał się, czy myśli o swojej córce.

– Co się z nią stało? – zapytał.

– Bardzo szybko się zestarzała. To jest właśnie problem z tymi młodziutkimi dziewczynami. Po niedługim czasie nie są już takie młode. Po dwóch miesiącach została przeniesiona gdzie indziej. Tak właśnie działają ci faceci: przewożą dziewczyny, nie pozwalają im zatrzymać się nigdzie na dłużej. – Branson znów przerwała. Widać było, że ból jest zbyt świeży. – Ostatecznie dziewczyny zostają wysłane do Kalifornii, gdzie sprzedawane są na ulicach. Sorensen wyładowała w L.A. Kilka razy udało jej się zadzwonić do matki i opowiedzieć, co się stało. Matka wynajęła prywatnego detektywa, żeby spróbował ją odnaleźć.

– Nie zgłosiła jej zaginięcia w Macon? – zdziwiła się Faith. – Dziewczyna miała szesnaście lat.

Mina Branson mówiła sama za siebie. To właśnie tu zawaliła. To dlatego miała obsesję na punkcie tej sprawy.

– Przyjeliśmy zgłoszenie o jej zaginięciu. Kiedy matka powiedziała mi o telefonach, porozumiałam się z policją w L.A. Powiedziano mi, że to przegrana sprawa. Do miasta przyjeżdża tyle dziewczyn, że musieli zamknąć dworzec autobusowy w Hollywood.

Faith ściągnęła usta w taki sposób, jakby miała pomalować je szminką.

Branson wyjęła kolejne zdjęcie. W małej linijce przy głowie Marie Sorensen Will rozpoznał narzędzie używane przez lekarzy sądowych podczas autopsji.

– Prywatny detektyw wytropił w L.A. pewien adres – mówiła Branson. –

Policja przeszukiwała mieszkanie trzy razy, zanim ją znalazła. Była wciśnięta do walizki pod łóżkiem. Jeszcze żyła. – Branson powoli wypuściła powietrze. – Wciąż jeszcze żyła.

Popatrzyła na zdjęcie z autopsji. Nikt jej nie poganiał.

Branson znów głęboko odetchnęła.

– Jej matka poleciała pierwszym samolotem do Kalifornii. Marie leżała w szpitalu przez trzy tygodnie. Łatają ją tam, karmią, odstawiają od heroiny, ale nie mogą wyleczyć jej mózgu. Dwa tygodnie po tym, jak matka przywozi ją do domu, dziewczyna wymyka się i popełnia samobójstwo. Heroina. Gliniarze znaleźli ją za kościołem. Od dnia, w którym wyszła z tamtego centrum handlowego w towarzystwie Wielkiego Białasa, minęło zaledwie pół roku.

Wszyscy milczeli. Will patrzył na trzy zdjęcia. Branson nie przesadzała. Sorensen była piękna. Mógł sobie wyobrazić, że ta dziewczyna uwierzyła, że interesuje się nią agencja modelek. Zdjęcie z autopsji stanowiło ostry kontrast, ponure przypomnienie, że jedyną osobą, która ją teraz chciała, była jej zrozpaczona matka.

Wreszcie odezwała się Amanda:

– Rozmawiała pani z Sorensen po jej powrocie do Macon?

– Tak. – Branson wpatrywała się w swoje dłonie. – Nigdy nie podał jej swojego imienia ani nazwiska. Od początku kazał się nazywać Wielkim Białasem. Nie znała jego prawdziwej tożsamości, nie potrafiła podać nam żadnych obciążających go informacji. Przez większość czasu miała zawiązane oczy, a kiedy nie była akurat sprzedawana, zamykano ją w szafie albo w walizce. Opis, który nam podała, był zbyt ogólny: ciemne włosy, ciemne oczy. Żadnych cech szczególnych.

– Sądzi pani, że kłamała? – spytała Faith.

– Tak – przyznała Branson. – Panicznie się go bała. Nie mogła spać we własnym łóżku. Przez cały ten czas, kiedy była w domu, siedziała w szafie, plecami do ściany, i czekała, aż on po nią przyjdzie.

– Została porwana w centrum handlowym. Co z kamerami ochrony? – zainteresowała się Faith.

– Były wyłączone. Nie wiemy, czy Białas opłacał kogoś z ochrony, czy

miał po prostu szczęście. On zawsze ma szczęście – prychnęła Branson.

– Nikt niczego nie zauważył w centrum handlowym ani na parkingu? – dopytywała się Faith. – Klienci albo jej znajomi?

– Nie. Nie było też żadnego śladu w jej komórce ani w skrzynce e-mailowej, więc najwyraźniej dobrze jej pilnował. Jest w tym naprawdę dobry, w byciu niewidzialnym – dodała Branson.

Amanda wreszcie przemówiła i Will uświadomił sobie, że nie milczała przez szacunek. Milczała, bo była wściekła.

– Bardzo mnie ciekawi, panno Branson, jak to się stało, że w waszym mieście prowadzono śledztwo w sprawie seksualnego handlu ludźmi, a GBI nic o tym nie wie?

Policzki Branson pociemniały.

– Ma pani rację. To wszystko moja wina. Było mi wstyd, że nie mogłam nic zrobić, by ją ocalić, poza tym byłam wściekła, że kazano mi zaprzestać ścigania Wielkiego Białasa. – Zwróciła się do naczelnika Graya: – Powinnam była panu powiedzieć, Lonnie. Chciałam za wszelką cenę udowodnić, że nie miał pan racji. Zamiast działać za pańskimi plecami, powinnam była zwrócić się do pana po pomoc.

Gray nie bawił się w uprzejmości.

– Tu akurat ma pani cholerną rację.

– Przepraszam...

– Wystarczy tego – przerwał jej. – Niech im pani powie, co znaleźliście w tamtym domu.

– Ma pan na myśli melinę narkomanów? – Faith wydawała się zdziwiona. Najwyraźniej sądziła, że tę część mają już z głowy.

Will miał potworne przeczucie, że zna odpowiedź, a mimo to spytał:

– Co było za tą boazerią?

Branson odwróciła się w stronę laptopa. Stuknęła w klawiaturę, żeby odświeżyć ekran, po czym przeszła do kolejnego zdjęcia.

Na ekranie pojawiła się twarz małego chłopca. Zdjęcie było ziarniste, najpewniej zrobione komórką. Oczy chłopca wyglądały jak czarne szparki. Podobnie jak Marie Sorensen miał wychudzoną twarz. Spękane usta.

Poranioną skórę. Ale to jego oczy sprawiły, że Will wreszcie odwrócił wzrok. Nie mógł znieść pustki w spojrzeniu chłopca.

Amanda przerwała ciszę, pytając:

– Przyczyną śmierci było odwodnienie? Niedożywienie?

Branson wydawała się zdziwiona.

– Nie, on żyje.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia tego spotkania Will był wstrząśnięty.

– Nie mamy pojęcia, kim on jest – powiedziała Branson. – Może mówić, ale nie chce.

Faith miała taką minę, jakby chciała przechylić się przez stół i potrząsnąć Branson.

– Przez cały tydzień nic nie powiedział?

Branson milczała. Tak długo trzymała to wszystko w tajemnicy, że straciła właściwą perspektywę. Wypowiedzenie tego na głos oczywiście natychmiast ujawniło jej katastrofalne błędy.

– Nie widziałam w wiadomościach żadnej informacji na jego temat – powiedziała Faith.

– Wprowadziłam to do baz danych FBI, ale nie włączałam Macon do śledztwa. – Branson zerknęła na naczelnika Graya, a on tak mocno zacisnął dłonie, jakby chciał połamać sobie kości. – Gdyby lokalne stacje przekazały tę informację, Białas wiedziałyby, że chłopiec żyje. Jedyne, co wiemy na pewno o tym facecie, to to, że morduje każdego, kto wejdzie mu w drogę. Zabiłby tego chłopca na sto procent.

– W którym szpitalu przebywa? – zapytała Faith.

– Pozostaje pod stałą opieką lekarską. – Branson nie wdawała się w dalsze wyjaśnienia. – Możliwe, że został porwany w innym stanie – zwróciła się do szefa. – Skądkolwiek jest, lokalna policja została powiadomiona o jego zaginięciu. Choć nie wiadomo, czy to coś da.

Will wiedział, że teoretycznie wszyscy na tej sali otrzymali powiadomienie o zaginięciu chłopca. Nie było sposobu, by przeczytać wszystkie takie zgłoszenia. Co roku ginęło około ośmiuset tysięcy dzieci, co oznaczało ponad dwa tysiące takich powiadomień dziennie.

– Chłopiec nie ma żadnych znaków szczególnych – dodała Branson. – Nie wiemy, z jakiego rejonu pochodzi. Nie wiemy, kiedy został uprowadzony. Sprawdzamy wszystkie zgłoszenia porwania przez obcą osobę, ale... – Sprawiała wrażenie, jakby zdawała sobie sprawę z tego, jak marne są jej wymówki. – To jedyny żyjący świadek, który może zidentyfikować Wielkiego Białasa – dokończyła bez przekonania.

– Skąd pani wie, skoro chłopiec nic nie mówi? – zapytała Faith.

– Z powodu jego reakcji na ksywkę Wielki Białas. Dlatego że ma... charakterystyczne ślady... na ciele, takie same jak Marie Sorensen...

– Chwileczkę – przerwała jej Faith – kto jeszcze o tym wie?

– Mogę wszystkich zliczyć na palcach jednej ręki. – Branson zaczęła wymieniać. – Detektyw Adams została na dole, gdy kazałam wszystkim opuścić miejsce zbrodni. Pozwolenie na zejście do piwnicy dostały tylko dwie sanitariuszki. To dziewczyny, które znam od liceum. Obie na zmianę doglądają chłopca dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mogłyśmy zawieźć go do szpitala. Miejsce jego pobytu pozostaje tajemnicą. Opiekuje się nim doktor Dean Thomas. Znam go od dzieciństwa. Jeszcze jedna policjantka pilnuje chłopca, gdy ja nie mogę tego robić. Jedynie ludzie, którym ufam bezgranicznie, wiedzą, gdzie jest ten mały.

Will spojrział na Lonniego Graya, wnioskując z jego miny, że dowiedział się o tym spisku zaledwie kilka minut przed nimi wszystkimi. Twarz miał intensywnie czerwoną. Jego wąsy wyglądały jak kawałek kredy nad ustami.

– A kim dokładnie jest policjantka, która teraz pilnuje chłopca? – zapytał Gray.

– Pracuje w biurze szeryfa. To moja dobra przyjaciółka. – Branson nie patrzyła na Graya. Jej policzki znów pociemniały. Will domyślał się, że ta zastępczyni szeryfa to dla Branson ktoś więcej niż przyjaciółka. – Ufam jej.

– Najwyraźniej bardziej niż mnie – mruknął Gray.

– Przykro mi, panie naczelniku. Zdawałam sobie sprawę, że gdyby się pan o tym dowiedział, miałby pan obowiązek zgłosić to policji stanowej. Dowiedzieliby się również inni w wydziale. Nie moglibyśmy zapewnić chłopcu bezpieczeństwa. Wielki Białas ma zbyt duży zasięg. Dzieciak byłby martwy w ciągu kilku godzin.

– Znowu to samo. – Gray skierował te słowa do głośnika na stole, czyli zapewne do Amandy. – Denise upiera się przy teorii, że Wielki Białas ma wtyczkę w moim oddziale.

Will pomyślał o teczce na biurku tamtego oprycha. Mieli policyjne akta Billa Blacka. Znali szczegóły jego służby wojskowej. Koncepcja, że Białas ma po swojej stronie paru gliniarzy, nie była zbyt naciągana. A skoro schemat jego działania od tak dawna się nie zmienił, mógł mieć ich nawet więcej.

Faith inaczej zinterpretowała tę sytuację.

– Uważa pani, że ktoś uprzedził Wielkiego Białasa o planowanym nalocie? – zwróciła się do Branson.

Ta wzruszyła ramionami.

– Policjanci wchodzą do domu i znajdują w środku trzy trupy. Sid Waller jest zamknięty w piwnicy razem z porwanym chłopcem. Dla mnie sprawa jest oczywista.

– Kogo pani podejrzewa? – naskoczył na Branson Gray. – Vickery i Franklin o mało nie zostali dziś zabici. Adams została zaatakowana. Erica Haigha torturowano i zamordowano. Dlaczego, jak pani sądzi? Dlaczego go torturowali? – Sam odpowiedział sobie na to pytanie: – Bo szukają tego chłopca. Gdyby mieli wtyczkę na posterunku, nie musieliby nikogo torturować, żeby wydobyć informacje.

Branson wbiła wzrok w blat stołu. Wszyscy milczeli.

Will myślał o Lenie Adams na OIOM-ie. Powiedziała mu, że w końcu się przekona, że postąpiła słusznie. Powiedziała to w taki sposób, jakby mogła dzięki temu odkupić dawne winy. Czy sądziła, że ocalenie chłopca wynagrodzi jej utratę własnego dziecka? A może wynikało to po prostu z wewnętrznego przeświadczenia Leny, że wszystko, co robi, służy większemu dobru?

– Czy Lena wie, gdzie jest chłopiec? – zapytał Will.

– Ja z pewnością nie wiem – prychnął Gray.

Will spróbował jeszcze raz:

– Wie?

Branson pokręciła głową.

– Lena nie ma o niczym pojęcia. Dałam jej do zrozumienia, że sprawę przejęła policja stanowa i aby zapewnić mu bezpieczeństwo, musimy milczeć na temat tego, co się stało. Wątpię, czy powiedziała nawet Jaredowi.

– Okłamała Wydział Spraw Wewnętrznych – skwitował Gray. – Podczas przesłuchań w ogóle o tym nie wspomniała. – Nie krył oburzenia. – Jezu Chryste, Denise, zmusiła ją pani do złożenia fałszywych zeznań.

– Lena chroniła chłopca – broniła się Branson. – Wiedziała, co zrobiłby Wielki Biały, gdyby odkrył, że jest świadek.

– I jak się domyślam, dała jej pani do zrozumienia, że ja to aprobuję? – Gray machnięciem ręki powstrzymał Branson od odpowiedzi na to pytanie. – Na miłość boską, nie mogę uwierzyć, że pani ufałam!

– Najwyraźniej ktoś odkrył, że chłopiec żyje – włączyła się Faith. – Co innego tłumaczyłoby atak na Lenę w środku nocy? Albo prześladowanie reszty drużyny, która przeprowadziła nalot? Dzięki za zmarnowanie mojego pieprzonego czasu. Przez panią mój partner o mało nie zginął. – Ostatnie słowa skierowała do Branson.

– Gdzie jest teraz chłopiec? – włączyła się Amanda.

Gray odwrócił się do swojej podwładnej, dając jej do zrozumienia, że też czeka na odpowiedź.

Branson nie odpowiedziała wprost.

– Wolalabym nie mówić tego przez otwartą linię, ale zabiorę pani ludzi do chłopca, gdy tylko to spotkanie dobiegnie końca – zwróciła się do Amandy.

Co zaskakujące, ta nie protestowała.

– Denise, proszę przekazać swoim sanitariuszkom, żeby były gotowe do przewiezienia chłopca. Będziemy działać po cichu, ale musimy przewieźć go do Atlanty.

W Branson odezwał się gliniarz.

– Logistyka może zająć trochę czasu. Będzie potrzebna karetka. Moje sanitariuszki pracują na zmianę. Doktor Thomas będzie musiał chłopca przygotować.

Amanda wyprzedziła Willa o ułamek sekundy:

– Sara Linton nadal jest w Macon, prawda?

Faith spojrzała na Willa.

– Tak – odparła.

– Will, zrób wszystko, co będzie trzeba, żeby Sara znalazła się w tej karetce. Jeśli naprawdę jest tam jakiś przeciek, musimy korzystać z własnych ludzi, na ile się da.

Willowi zaschło w ustach. Znowu nie mógł przełykać.

Amanda uznała jego milczenie za zgodę.

– Tony Dell nadal jest intensywnie poszukiwany. Nawet jeśli chłopiec nie będzie mówił, może zdołamy skłonić do tego Della. Will, o której zaczyna się twoja zmiana?

Will zapomniał o szpitalnej pracy Billa Blacka.

– O ósmej.

– Nie jedź tam zbyt wcześnie. Podtrzymuj swoją przykrywkę. Jesteś byłym przestępcą. Dell zniknął. W szpitalu roi się od policji. Naturalne będzie, że zaczniesz zadawać pytania.

– Jest jedna pielęgniarka, którą rozpracowywałem – powiedział. – Przyrodnia siostra Della. Wie, że siedziałem za napaść. Myślę, że jeśli dobrze to rozegram, mogę groźbą zmusić ją do mówienia.

– Sterroryzuj ją, jeśli będzie trzeba. – Amanda chciała działać. – Lonnie, będziemy w kontakcie.

– Dziękuję – rzucił Gray. – Doceniam twoje...

– Panie naczelniku, już się rozłączyła – rzekł Nick przepaszającym tonem.

Naczelnik Gray nie tracił czasu na formalności. Naskoczył na Branson jak wściekły lew:

– Masz tupet, paniusiu, żeby mnie tu ściągać w środku nocy, jakbym był jakimś cholernym uczniakiem wzywającym do gabinetu dyrektora! Robić ze mnie idiotę przed jedną z najbardziej szanowanych funkcjonariuszek porządku publicznego w stanie. I domyślam się, że nadal odmawiasz podania mi miejsca pobytu chłopca?! – Czekał przez chwilę na jej odpowiedź. Gdy stało się jasne, że jej nie otrzyma, wymamrotał: – Jesteś nic niewartym

śmieciem. Niedobrze mi się robi na myśl o tym, że nosiłaś mundur.

Branson łzy napłynęły do oczu, gdy usiłowała się bronić:

– Z całym szacunkiem...

– Nie wiesz nawet, co to słowo znaczy. – Gray wziął ze stołu swoją czapkę. – Odezwie się do ciebie ktoś z działu kadr. Nie próbuj kontaktować się ze mną ani z kimkolwiek z moich podwładnych. Nie próbuj się usprawiedliwiać. W ogóle nie wymawiaj mojego imienia ani nazwiska. Jeśli o mnie chodzi, twoje powiązania ze mną i z moim wydziałem są skończone!

Wypadł z sali jak burza.

Branson drżała broda. Spuściła głowę, dłonie położyła płasko na blacie stołu, jakby potrzebowała chwili, żeby się pozbierać.

Faith nie dała jej zbyt wiele czasu.

– Jest pani lesbijką? – spytała.

Will był zaskoczony obcesowością tego pytania. Branson wyglądała na zawstydzoną. Odwróciła wzrok.

– Dzwoniła pani do Jareda Longa na komórkę kilka minut przed atakiem – powiedziała Faith.

Branson najwyraźniej zrozumiała. Otarła oczy.

– Myślała pani, że mam z nim romans?

– A z jakiego innego powodu dzwoniłaby pani w środku nocy do męża Leny?

– Martwiłam się o nią. Coś było nie tak.

– Z powodu nalotu?

– Nie, jeszcze wcześniej. Była po prostu... – Branson próbowała znaleźć właściwe słowa. – Jesteśmy przyjaciółkami. Tylko przyjaciółkami. Ale od jakiegoś czasu coś było z Leną nie tak. Była szczęśliwa, nabuzowana w związku z planowanym dorwaniem Wallera, a potem nagle, kiedy już wszystko zaczęło układać się w całość, nagle posmutniała. Nie chciała ze mną o tym rozmawiać. Myślałam, że może Jared mi powie, co się dzieje.

Will domyślił się, że Lena nie powiedziała Denise Branson o dziecku.

Faith szybko zmieniła temat:

– Gdzie trzymacie chłopca?

Branson nabrała powietrza i zatrzymała je na chwilę w płucach. Will widział niepokój malujący się na jej twarzy. W ciągu ostatnich ośmiu dni każdą sekundę życia poświęciła na zapewnienie temu chłopcu bezpieczeństwa. Ryzykowała, że zrazi do siebie znajomych, straci pracę, wkurzy szefa. Żaden gliniarz nie chciał przekazywać innym swojej pracy, zwłaszcza tak chwytającej za serce.

– Dobra – powiedziała wreszcie Branson. – Trzymamy go na farmie mojej dziewczyny.

– Tej z biura szeryfa?

– Tak. Pracuje dwa okręgi stąd. Jesteśmy ze sobą od około roku. Nikt o nas nie wie.

– Świetnie – skwitowała Faith. – Jak daleko jest ta farma?

– Niedaleko, ale zorganizowanie wszystkiego trochę potrwa. Nie dzwoniemy do siebie. Jak doskonale wiecie, każde połączenie można wytropić, nawet z zastrzeżonego numeru. Nie chciałam, żeby jakiegokolwiek istotne numery pokazały się na mojej linii. Zostawiamy sobie wiadomości na internetowym portalu dla gejów i lesbijek. – Branson spojrzała na zegarek. – Doktor Thomas odwiedza chłopca o szóstej, przed pójściem do pracy. Moja była dziewczyna już tam jest, to jedna z sanitariuszek. Jej dziewczyna zjawi się o szóstej, żeby ją zmienić. Moja szeryfka zastępuje mnie. Miałam mieć nocny dyżur, ale nagle wszystko wzięło w łeb.

Faith spojrzała na zegarek.

– A więc wszyscy będą tam za ponad dwie godziny?

– Chyba że sprawdzają wiadomości o czwartej nad ranem. Mogę skorzystać z pańskiego komputera? – spytała Branson Nicka.

– Komputer w moim gabinecie zapewni pani większą prywatność – odrzekł. Zgarnął akta dotyczące Wielkiego Białasa, rzucając do Faith: – Zacznę je przeglądać.

Branson podeszła za nim do drzwi, ale się zatrzymała.

– Przepraszam, że zmarnowałam wasz czas. Zawsze staram się być twarda, ale nigdy twardsza niż to konieczne.

Will skinął głową, ale Faith nie zareagowała. Odczekała, aż Branson wyjdzie, po czym wypuściła głośno powietrze.

– Co myślisz? – zapytał Will.

– Myślę, że Tony Dell jest bliżej Wielkiego Białasa, niż sądziliśmy.

Znów skinął głową, chociaż oboje wiedzieli, że nie o to pytał.

– Kimkolwiek jest Wielki Białas, to pieprzony geniusz. – Faith nie potrafiła ukryć podziwu. – Przerobił ich na całego.

– Ci dwaj faceci w domu. – Will zakasłał parę razy i dopiero potem mógł mówić dalej. – Mogę sobie wyobrazić, że to Tony Dell poderznął im gardła, a potem załatwił tego trzeciego faceta siekierą. To zabójca. Lubi używać rąk. Załatwia tamtych trzech, barykaduje drzwi do piwnicy, tak że Sid Waller jest uwięziony, po czym znika.

– Dostarczał informacje Lenie. Wiedział, na kiedy planowany jest nalot. –

Faith przeczekała kolejny atak kaszlu Willa. – Nadal uważasz, że Tony to nie Wielki Białas?

Will napił się wody.

– Nie wiem już, co myśleć. Widziałbym w nim raczej ostrze czyjegoś miecza. – Will znów zakaszał. – I wiem, że łączy go dość dziwna relacja z siostrą. Przyrodnią siostrą. Natomiast nie widzę go jakoś z małymi chłopcami. Nie mógł wytrzymać w jednym pomieszczeniu z własnym siostrzeńcem.

– Nigdy nie wiadomo, do czego ludzie są zdolni – zauważyła Faith. – Myślisz, że ta przyrodnia siostra coś wie?

Will wzruszył ramionami, żeby oszczędzać głos. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby skłonić Caylę Martin do mówienia. Nie ma innego wyjścia.

Faith wpatrywała się w ziarniste zdjęcie z komórki na ekranie.

– Biedactwo. Nie może mieć więcej niż siedem lat.

Will nie chciał patrzeć na ekran, ale kiedy już spojrzął, nie mógł oderwać wzroku od chłopca. Wydawało się niemożliwe, że przeżył. Jak przetrwał w tej zatęchłej ciemnej dziurze? I co mu robiono, kiedy tam był?

– Zadzwoń do Sary. – Faith wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer.

Will otworzył usta, żeby powiedzieć jej, że to bezcelowe. Ale nie wydobył

się z nich żaden dźwięk. Nie mógł mówić, ale nie z powodu bolącego gardła. Przyszło mu do głowy, że ten chłopiec nic nie mówi, bo nie ma nic do powiedzenia.

Wyraz jego twarzy na zdjęciu mówił sam za siebie. Ten chłopiec nigdy już nie będzie taki jak przedtem. Nigdy nie będzie spał tak samo głęboko ani bawił się z takim samym zapamiętaniem. Goniąc za piłką, puszczając latawiec, pomagając matce nakrywać do stołu, będzie wypatrywał niebezpieczeństwa. Ten chłopiec nie chce wracać do rodziców. Nie poznają go. Spojrzą tylko na niego i zapytają, kim jest ta skrzywdzona istota i co zrobiła z ich prawdziwym synem. To wszystko zostało uchwycone na tym ziarnistym zdjęciu – strach, samotność, przytłaczający wstyd.

Marie Sorensen miała taki sam wyraz twarzy. Została porwana. Wykorzystana w potworny sposób. Wyrzucona na śmietnik. Nawet kiedy wróciła do domu, nigdy nie czuła się bezpiecznie. Dokonała jedyne go wyboru, który był naprawdę jej.

Will nie mógł jej za to winić.

Na całym świecie nie było na tyle dużego pudła, żeby pomieścić te potworności. To wszystko, co przeżyła, sprawiło, że chciała umrzeć. Kto mógłby winić tego chłopca, że ma takie same myśli?

– Sara nie odbiera. – Faith się rozłączyła. – Myślisz, że jest w szpitalu?

Nie odpowiedział.

Sara skończyła z Willem. To było oczywiste. Lecz jakimś cudem, przez ten krótki czas, kiedy byli razem, zdołała go odmienić. Poskromiła dręczące go potwory. Sprawiała, że poczuł się bezpiecznie. Sprawiała, że poczuł się pełnowartościowy. Nie odcięła go całkowicie od jego archiwum, sprawiała jednak, że wydawało mu się bardziej odległe – jakby to były czyjeś inne wspomnienia, czyjeś inne życie.

Will musi jej to powiedzieć, wyjaśnić, dlaczego tak rozpaczliwie jej potrzebuje.

– Znajdę ją – powiedział do Faith.

Jeśli ktokolwiek może skłonić tego chłopca do mówienia, tą osobą jest Sara Linton.

13.

– Sara?

Sara odwróciła się na drugi bok, próbując uciec przed tym hałasem. Ubiegłego wieczoru nie tyle zasnęła, ile padła z wyczerpania.

– Sara? – odezwała się Nell. – Sara?

Sara budziła się powoli, wyłaniając się z głębokiej, pozbawionej snów otchłani. Zasłoniła ręką oczy.

– Która godzina?

– Dopiero po wpół do piątej.

Sara opuściła rękę. Spojrzała na Nell. Były w pokoju hotelowym. Po zajściu z Willem zeszłego wieczoru Sara nie czuła się na siłach jechać do Atlanty.

– Co z Jaredem?

Nell uśmiechnęła się dziwnie.

– Właśnie dzwonił Possum. Mówi, że będą go wybudzali. Właśnie miałam jechać do szpitala.

Sara zmusiła się, żeby usiąść. Czuła ból we wszystkich niewłaściwych miejscach.

– Pojadę z tobą.

– Na razie musisz podejść do drzwi. Przyszedł jakiś człowiek, który chce z tobą rozmawiać.

Sarze wreszcie udało się zrozumieć coś z tej wymiany zdań. W Macon przebywał w tej chwili tylko jeden człowiek, który mógłby chcieć z nią rozmawiać. Nie była natomiast pewna, czy ona ma ochotę rozmawiać z nim. Mimo to przeczesła palcami włosy i podeszła do drzwi.

Kiedy zobaczyła Willa, była w szoku.

Przez krótką chwilę myślała, że to ona jest odpowiedzialna za rany na jego twarzy.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że Will został pobity.

– Co się stało? – Uniosła rękę do jego twarzy, ale nie było tam ani jednego miejsca, którego mogłaby dotknąć, żeby ominąć skaleczenia i sińce. Nawet naczynka krwionośna w oczach miał popękane. – Czy ktoś cię dusił?

Przełknął ślinę. Aż skulił się z bólu. Głos miał ochryply.

– Amanda mnie przysłała.

Sara ledwie mogła go zrozumieć.

– Wejdz.

Nie poruszył się, więc złapała go za łokieć i wciągnęła do pokoju.

– Nell, to mój przyjaciel. – Sara wmawiała sobie, że nie podaje szczegółów z powodu tajnej misji Willa. – Mieszka w Atlancie.

– Miło mi pana poznać. – Nell szukała czegoś w torebce, ale spojrzenie miała utkwione w ręce Sary, która przez cały czas trzymała Willa za łokieć.

Sara opuściła rękę.

– W porządku, Saro – powiedziała Nell. – Cieszę się z twojego szczęścia. – Uniosła hotelową kartę magnetyczną. – Będę w szpitalu.

Wychodząc, skinęła Willowi głową. Drzwi zamknęły się automatycznie, trzaskając o metalową framugę.

Sara wiedziała, że nie ma sensu biec za Nell.

– Co się stało? – spytała Willa raz jeszcze.

Przyłożył palce do krtani, jakby mógł w ten sposób wspomóc swój głos.

– Mamy mniej więcej godzinę.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co?

– Wiem, że mnie tu nie chcesz. – Zakaszłał, mówienie wymagało zbyt dużego wysiłku. – Amanda prosiła mnie, żebym... – Znowu zakaszłał. I znowu. Poczerwieniał na twarzy.

– Usiądź. – Sara nadal była wściekła, ale nie mogła pozwolić, żeby zemdlał na jej oczach. Znalazła w hotelowym barku małą buteleczkę

whisky. – Wypij połowę.

Will usiadł, ale nie chciał wziąć butelki. Nienawidził alkoholu.

– Taką ilością się nie upijesz – zapewniła go Sara. Mimo to nie chciał przyjąć buteleczki, więc podetknęła mu ją pod nos. – Potraktuj to jak lekarstwo. Uśmierzy ból gardła.

Will niechętnie wziął buteleczkę. Odkręcił zakrętkę. Zamiast wypić alkohol, powąchał go. Skrzywił się z obrzydzeniem. Popatrzył na etykietkę, chociaż Sara wiedziała, że nie potrafi czytać pochyłego druku.

– Will, wypij tę cholerną whisky.

Jej ton był ostrzejszy, niż zamierzała, ale poskutkował.

Zanim Will się zakrztusił, zdołał przełknąć łyżeczek.

– Chryste! – Szarpnął nim kaszel wydobywający się głęboko z piersi. Łzy napłynęły mu do oczu. Potrząsnął głową jak pies.

Sara skrzyżowała ręce na piersi, żeby powstrzymać odruch pocieszania go. Wieczorem była zbyt zmęczona, żeby przed zaśnięciem pomyśleć o czymkolwiek, ale teraz wszystko do niej wróciło. Każda odrobina troski, jaka ją przepełniała, była wypierana przez złość.

Will zakasłał jeszcze kilka razy. Zakręcił buteleczkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

– Powiesz mi, co się stało? – spytała Sara.

Zamrugał, żeby odzyskać wzrok.

– Amanda...

– Słonko, jeśli jeszcze raz wymówisz jej imię, jedno z nas będzie musiało stąd wyjść. I to nie będę ja.

Zacisnął szczęki.

Sara nie zamierzała się poddać.

– Mówię poważnie, Will. Zjawiasz się tutaj z pokiereszowaną twarzą. Ta rana pod okiem powinna zostać zszyta. Masz krew w uchu. Prawdopodobnie powinni zrobić ci rezonans. A ja mam tak po prostu udawać, że to wszystko nie istnieje, tak samo jak udaję, że nie miałeś dzieciństwa, a twoje ciało nie jest całe pokryte bliznami... – Nie mogła mówić dalej. Ta lista nie miała końca. – Porozmawiaj ze mną, Will. Mogę znieść twoją siłę, ale nie zniosę

dłużej twojego milczenia.

Jak można się było spodziewać, zareagował dokładnie odwrotnie. Założył nogę na nogę. Zobaczyła podeszwę jego buta. Na obcasie widniało logo Cat's Paw.

Sara musiała zamknąć na chwilę oczy, żeby nie stracić panowania nad sobą. Policzyła do dziesięciu, potem do dwudziestu, zanim znów mogła na niego spojrzeć.

– Will, tkwimy teraz w tym bagnie właśnie dlatego, że nigdy nic mi nie mówisz.

Przełknął ślinę. Alkohol zadziałał. Tym razem się nie wzdrygnął.

– Przepraszam.

Sara czuła się jak pani nauczycielka, ale nie mogła się powstrzymać, by nie spytać:

– Za co?

Skubał szew przy bucie.

– Kiedy cię goniłem. Kiedy... – Urwał. – Za to, co zrobiłem, kiedy cię dogoniłem.

Sara zaczerwieniła się na to wspomnienie.

– Poniosło mnie – wyznał.

Nie mogła pozwolić, by wziął całą winę na siebie.

– Oboje nas poniosło.

– Zrobiłem ci krzywdę.

– Nie jestem amiszka, Will. Zdarzało mi się już uprawiać ostry seks.

Jego zaskoczona mina świadczyła o tym, że jego zdaniem to było coś innego.

– Nie powiedziałam ci, żebyś przestał. – Sara nie mogła zrozumieć, jak mógł mylić się tak bardzo w tak oczywistej sprawie. – Ani przez chwilę się ciebie nie bałam. Byłam wściekła. Chciałam sprawić ci ból. Ale się nie bałam.

Oczy mu błyszczały. Sara nie była pewna, czy to od whisky.

– Will, byłam na ciebie wściekła, nadal jestem, bo mnie okłamałeś. I to

nie raz, ale wiele razy. Najwyraźniej poprzedniej nocy też coś ci się przydarzyło. Odreagowaliśmy to na sobie nawzajem. Dorośli ludzie czasami tak robią. Ale musisz wiedzieć, że nie możesz tak po prostu pieprzyć mnie jak szalony i uważać, że wszystko w ten sposób naprawisz.

Nadal się tym dręczył. W jego głosie słychać było poczucie winy.

– Nigdy nie chciałem być taki wobec ciebie.

– Kotku... – To słowo jej się wyrwało, zupełnie naturalnie. Sara widziała, jak na niego podziałało, i zrozumiała, że chociaż dla niej ta ostatnia noc była potworna, dla Willa stała się jeszcze znacznie gorsza po ich rozstaniu.

Sara usiadła na brzegu łóżka.

– Proszę, porozmawiaj ze mną.

Nie patrzył na nią. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach. Widziała, jak zaciska i rozluźnia szczęki. Z boku czoła miał ciemnoczerwony kratkowany ślad. Wyglądał zupełnie jak odcisk buta, jakby ktoś kopnął go w głowę.

– Przyjechałem tu ze względu na kogoś innego.

– Kogo?

Will splótł dłonie. Wpatrywał się w podłogę. Kiedy wreszcie się odezwał, głos miał tak cichy, że ledwie go słyszała.

– Mam poczucie, że znikam.

Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć, to było najmniej spodziewane. Sara nie wiedziała, jak zareagować.

Will najwyraźniej nie oczekiwał żadnej reakcji. Zaciskał i rozluźniał szczęki. Widziała, że całym sobą pragnie przestać mówić. Mimo to powiedział:

– Przez całe życie byłem niewidzialny. W szkole. W domu dziecka. W pracy. Pracuję. Wracam do domu. Następnego ranka wstaję i znowu powtarza się to samo. – Mocniej zacisnął splecione dłonie. Zanim podjął, minęło kilka sekund. – Ty to zmieniłaś. Sprawiałaś, że chcę budzić się rano. Sprawiałaś, że chcę wracać do ciebie do domu. – Wreszcie napotkał jej spojrzenie. – Jesteś pierwszą osobą w moim życiu, która naprawdę mnie zobaczyła.

Sara nadal nie mogła wydobyć słowa, ale tym razem dlatego, że była nazbyt przejęta. Ten wyraz jego rozpaczy zupełnie ją poraził.

– Nie mogę do tego wrócić. – Dodał szorstkim tonem. – Nie mogę.

Sara nie mogła do tego dopuścić. Jej złość zniknęła niepostrzeżenie niczym przesypywany przez palce piasek. Delikatnie przyłożyła dłoń do jego twarzy. Znała tego mężczyznę. Znała jego serce. Will nie zranił jej celowo. Był głupi i uparty, ale nie złośliwy. A Sara nie może być kobietą, za jaką uważa ją Lena Adams. Nie może żądać od nikogo doskonałości. Nie może ustawiać swoich standardów tak wysoko, że nikt nie zdoła im sprostać.

Straciła już pierwszą miłość swojego życia. Nie może stracić drugiej.

– Już dobrze. – Położyła mu dłoń na karku. – Wszystko będzie dobrze.

Uważnie przyglądał się jej twarzy, jakby szukał potwierdzenia lub zaprzeczenia tych słów.

– Naprawdę tak myślisz? – Kiwnęła głową. – Przepraszam, że cię skrzywdziłem. Źle zrobiłem.

– Proszę, nie rób tego nigdy więcej. – Sara przysunęła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. – Jestem twoją dziewczyną. Tu nie chodzi tylko o to, że coś przede mną ukryłeś. Chodzi o zaufanie. Mogę czegoś nie zrozumieć albo mieć inne zdanie, ale musisz ufać mi na tyle, żeby mówić prawdę.

– Masz rację. – Przytulił ją do piersi. Gładził po włosach. Poczwała jego usta na czubku swojej głowy. – Musisz mi coś obiecać.

Cofnęła się, żeby na niego popatrzeć.

– W porządku – wyszeptała.

– Obiecuj mi, że nigdy już ze sobą nie zerwiemy.

Miała ochotę się roześmiać, ale szczerść brzmiąca w jego głosie ją powstrzymała.

– Ja też obiecuję – powiedział. – Nigdy cię nie opuszczę. – Dotąd nie słyszała, by mówił coś z takim przekonaniem. – Możesz kazać mi odejść, ale ja tego nie zrobię. Będę spał w samochodzie pod twoim domem. Będę jeździł za tobą do pracy. Na siłownię. Jeśli wybierzesz się gdzieś na kolację, będę siedział przy sąsiednim stoliku. Jeśli pójdziesz do kina, usiądę w rzędzie za

tobą.

Sara zmarszczyła czoło.

– Będziesz mnie śledził?

Wzruszył ramieniem, jakby to rozumiało się samo przez się.

– Kocham cię.

Wreszcie się roześmiała.

– No, wyznałeś to w naprawdę beznadziejny sposób.

– Kocham cię.

Odpowiedź przyszła jej równie naturalnie, tak jak nabiera się powietrza przed skokiem na głęboką wodę.

– Ja też cię kocham.

Pochylił się w jej stronę, ale jej nie pocałował. Mimo mocnych słów, które wypowiedział, czekał na pozwolenie. Sara musnęła wargami jego usta najdelikatniej, jak mogła. Pocałunek był niewinny, ale taki wystarczył.

– Wszystko będzie dobrze – obiecał.

– Będzie dobrze – powtórzyła.

Ujął jej dłoń w obie ręce. Ucałował palce. Po czym odwrócił jej rękę i popatrzył na jej zegarek.

– Musimy jechać.

– Dokąd?

Wstał gwałtownie.

– Powiem ci po drodze. Lena coś znalazła.

– Wygrany los na loterię? – domyśliła się Sara.

– Nie. – Pomógł jej wstać. – Znalazła małego chłopca.

Sara zaparkowała bmw w otwartym blaszanym garażu. Stały tam już dwa inne samochody. Garaż znajdował się w odległości kilku metrów od parterowego, dość dużego budynku. Znajdowali się na końskiej farmie. Przy czerwonej stajni Sara widziała kilka kłaczy i źrebaka. Słońce właśnie chowało się za horyzont. Konie skubały spokojnie trawę i patrzyły, jak drzwi

garażu się zamykają.

Sara rozpoznała rządowy wóz – czarnego chevroleta suburban zaparkowanego obok. Uznała, że na miejscu jest już albo Faith, albo Amanda. Radiowóz szeryfa stojący na najdalszym stanowisku należał zapewne do właścicielki farmy. Hodowla koni była równie kosztowna, co ryzykowna. Hodowcy amatorzy musieli zazwyczaj szukać jakiegoś stałego zatrudnienia. Sara dwa razy w życiu została zrzuciona przez konia. Wyobrażała sobie, że posiadanie końskiej farmy jest tylko trochę mniej niebezpieczne niż praca w biurze szeryfa.

Will wysiadł z samochodu. Otworzył tylne drzwi, wziął z siedzenia torbę lekarską Sary i ruszył przed siebie.

– Tędy – powiedział, kierując się w stronę bocznych drzwi.

Sara szła za nim, wymijając różne urządzenia, które zajmowały ostatnią część podzielonego na cztery stanowiska garażu. Gdy przechodziła nad doczepianym do traktora narzędziem, które wyglądało jak gigantyczne grabie, złapała Willa za rękę, żeby nie upaść. Podtrzymał ją dłużej, niż to było konieczne. Pogłaskała kciukiem jego palce, żałując, że nie może wymazać ostatnich dwudziestu czterech godzin i zacząć wszystkiego od nowa. Chociaż może jednak wcale tego nie chciała. Pod wieloma dziwnymi względami Will był jej teraz jeszcze bliższy niż przedtem.

Faith otworzyła drzwi, zanim Will zdążył to zrobić. Nie patrzyła na Sarę.

– Trafiliście bez problemu?

– GPS doprowadził nas prosto do celu – odparła Sara.

– To doskonale. – Faith sięgnęła do torebki i wyjęła z niej garść cukierków owocowych Jolly Rancher. – Chłopiec jeszcze śpi. Nie chciałyśmy go budzić, dopóki nie będziemy musiały. Denise i jej dziewczyna są w domu razem z jedną z sanitariuszek. Lekarz przeczytał wiadomość, którą Denise zostawiła mu na portalu, więc wie, że ma nie przyjeżdżać.

– A więc wszystko w porządku. – Will wziął cukierki i schował je do kieszeni. – Mam mniej więcej dwie godziny do rozpoczęcia mojej zmiany w szpitalu. Jaki jest plan?

Sara poczuła, że żołądek jej się ściska na myśl, że Will wróci jeszcze do szpitala w ramach tajnej misji, jednak zachowała swoje myśli dla siebie.

– Druga sanitariuszka jedzie tu karetką – powiedziała Faith. – Właśnie wybierałam się do dyspozytorni. Chcę stamtąd nadzorować trasę karetki, żeby nikt nie panikował, jeśli łączność się urwie. Nie wiemy, jaki jest zasięg. Zostanę tam, dopóki nie dostanę informacji, że chłopiec dotarł do Atlanty.

– Kto będzie jechał za karetką? – chciał wiedzieć Will. – Nie puszczę Sary bez wsparcia.

– Denise będzie za nimi przez cały czas. Z pistoletem i strzelbą. Amanda uważa, że większa eskorta zaalarmowałaby Wielkiego Białasa.

Will podał Sarze swój telefon.

– Weź go, żeby porozumiewać się z Faith co pół godziny.

Sara starała się nie wzdragać, że tak jej rozkazuje.

– Mam służbowe blackberry.

– Ten numer zaczynający się od sześćset osiemdziesiąt dziewięć? – Kiwnęła głową, a on schował swój telefon do kieszeni. – Mówię poważnie. Ci ludzie na nic nie zważają. Musisz dzwonić do Faith co pół godziny, dopóki nie dojedziesz bezpiecznie do szpitala.

Sara nie była przekonana, że to konieczne, ale Will nie dał jej szansy na protest. Ruszył w stronę domu. Zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni cukierek. Zamiast rozwinąć go z papierka, oddał papierek zębami.

Znów poszła za nim. Szybko wrócił do formy – znowu rządził. Nawet w tym okropnym kombinezonie konserwatora wyglądał jak dawny Will. Patrzyła, jak idzie, obserwowała jego swobodny, wysportowany chód, muskularną linię szerokich ramion. Jej wielki, twardy gli niarz. Nawet jeśli Sara jest policyjną dziwką, przynajmniej nie zadowala się byle kim.

Faith szła obok Sary. Milczała, gdy przemierzały podwórze. Napięcie trzaskało między nimi jak ładunek elektrostatyczny.

– Jesteś fantastyczną kłamczuchą – odezwała się Sara.

– Prawda? – Faith się rozpromieniła.

Sara musiała uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Will wprowadził cię w sprawę? – spytała Faith.

– Powiedział mi wszystko.

Faith uniosła brew.

– Wszystko, co zdarzyło się w Macon – poprawiła się Sara.

Will zaczął mówić, gdy tylko wyszli z pokoju hotelowego. Nigdy wcześniej nie słyszała, by mówił przez tak długi czas. Powiedział jej o e-mailu od Leny, o oprychach, o chłopcu znalezionym w piwnicy i o roli Denise Branson w zapewnieniu mu bezpieczeństwa. Jedynym szczegółem, którego Sara wolałaby nie poznać, było to, że Will jeździ na motocyklu, ale nawet gdy krzyknęła z przerażenia, nie przestał mówić. W pewnym momencie zwolniła, pragnąc dłużej napawać się jego nagłą otwartością i mając nadzieję, że opowie jej także resztę swojego życia. O swoim dzieciństwie. Rodzinie. Nieudanym małżeństwie.

Na to wszystko droga była jednak za krótka.

– Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś mi, że musisz stać po stronie Willa?
– spytała Faith.

Sara dobrze pamiętała tamtą rozmowę. Faith pytała ją o szczegóły dotyczące przeszłości Willa. Sara uznała, że nie ma prawa dzielić się z nią tymi nielicznymi informacjami, które poznała.

– Rozumiem. Ty też musisz stać po jego stronie.

Faith uśmiechnęła się z ulgą.

– Czy ten lekarz przekazał ci jakieś informacje dotyczące leczenia chłopca? – spytała Sara.

– Przez pierwszych kilka dni podawał mu płyny i antybiotyki, ale to wszystko. Wpadał tu przede wszystkim po to, żeby zapewnić chłopcu poczucie stałości i mieć pewność, że nie pojawi się nic nowego.

– To prawdopodobnie pomogło mu bardziej niż cokolwiek innego. Dzieci zawsze potrzebują regularnego planu dnia.

– Nadal jest bardzo nieufny. Denise podejrzewa, że kiedy go więzili, mogli mu dodawać narkotyki do jedzenia. Nie chce pić coli, ale pije butelkowaną wodę. Wszystko rozrywa na kawałki, jakby szukał ukrytej w środku tabletki. Zjada jeden kęs, po czym czeka, żeby się przekonać, czy nie robi mu się niedobrze albo nie zachce mu się spać, dopiero potem bierze do ust następny. Dziewczyny próbowały karmić go produktami, przy których trudno majstrować, jak batony owocowe czy paczkowana wędlna, ale nawet to dzieli na małe kęsy.

Sara pokiwała głową, bo nie było nic więcej do powiedzenia. Czuła się przytłoczona świadomością, jak potworne rzeczy przydarzają się dzieciom. Faith musiała czuć podobnie. Milczała, aż doszły do domu.

Drzwi otworzyła drobna ciemnoskóra kobieta. Ubrana była w dżinsy i T-shirt, ale na biodrze miała spluwę i widać było, że nie zawahałaby się jej użyć. Umięśnione ręce świadczyły o tym, że praca na farmie nie jest jej obca.

– Pani jest tą lekarką? – spytała zaskakująco cichym głosem.

– Tak – potwierdziła Sara.

Gdy kobieta przesunęła się, by wpuścić je do środka, położyła rękę na kolbie broni.

Kuchnia była ciepła i wesoła. Widać było, że właścicielka nie jest specjalistką od dekorowania wnętrz, ale udało jej się stworzyć przyjazną przestrzeń z mnóstwem naturalnych odcieni drewna. Sara domyśliła się, że kobieta siedząca przy stole to Denise Branson. Wyglądała na osobę, która straciła wszystko, co miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Zgarbiła się. Przed nią stał kubek z herbatą, ale zamiast ją pić, bezsensownie poruszała torebką trzymaną za sznureczek.

– Denise? – odezwała się Faith.

Denise podniosła wzrok i zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Doktor Linton?

– Sara. – Wyciągnęła rękę. – Słyszałam, że wspaniale opiekowała się pani moim pacjentem.

Denise rzuciła jej nieufne spojrzenie, jakby zastanawiała się, czy to nie jest okrutny żart.

Faith przełamała ten niezręczny moment. Otworzyła drzwi kuchenne.

– Ruszam do dyspozytorni. Zadzwońcie do mnie, jak będziecie gotowi. Will, miej cały czas telefon przy sobie.

Will kiwnął głową. Sarze nie podobały się spojrzenia, jakie wymienili, zanim Faith wyszła.

Zastępczyni szeryfa zamknęła drzwi na klucz i schowała go do kieszeni.

– Jestem Lila, tak w ogóle. Jasmine jest z chłopcem. Pan jest Will?

– Tak – odparł, po czym postawił torbę Sary na blacie i podał Lili rękę.

Zastępczyni szeryfa musiała zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Mówiłam to już pana partnerce, ale jeszcze raz dziękuję, że przyjechaliście. Radzimy sobie same już dość długo.

– Już nie jesteście same – odparł Will. A zaraz potem wzrok mu się rozjaśnił, bo dostrzegł koło kuchenki pudełko wafelków Pop-Tarts. – Mogę?

Podawała mu pudełko.

– Proszę się częstować.

Will połknął cukierek, który miał w ustach. Zakaszła kilka razy, ale to nie powstrzymało go przed rozdarciem paczuszki wafelków.

– Chłopiec śpi – zwróciła się Lila do Sary. – Jeszcze nie jadł śniadania. Zamierzałam zrobić naleśniki. Wczoraj nie chciał jeść racuchów. Myślę, że były za grube.

– Czy jecie razem z nim, czy tylko podajecie mu posiłki? – spytała Sara.

Lila stała przy otwartej lodówce. Wyglądała na rozczarowaną, że sama o tym nie pomyślała.

– Cholera. Gdyby zobaczył, że jemy to samo, co on, wiedziałby, że jedzenie jest bezpieczne. – Pokręciła głową, wydając z lodówki pojemnik z jajkami i dzbanek mleka. – Podawałam mu tylko tacę, pewnie dokładnie tak samo, jak to robili porywacze.

Sara chciała jakoś zmniejszyć jej poczucie winy.

– Byłyście tu przy nim przez cały czas. Mnie łatwiej jest dostrzec takie rzeczy, bo patrzę świeżym okiem.

– Nie chce wychodzić z pokoju – powiedziała Lila. – Wstawiłam mu tam telewizor. Wyłącza dźwięk i czyta napisy. Denise przywiozła mu trochę książek, ale nawet ich nie dotknął. Dzieci w tym wieku potrafią chyba czytać, prawda?

– Tak – odparła Sara. – Ale pewnie jest przyzwyczajony do czytania na głos.

– Czytał swojej mamie – dodała Denise, bardziej do siebie niż do nich.

Will skończył jedną paczuszkę wafelków i otworzył następną.

– Próbowaliście gier wideo?

Lili znów zrzęda mina.

– Gry wideo. Dlaczego o tym nie pomyślałyśmy? – zwróciła się do Denise. Wrzuciła bryłkę masła na patelnię. – Powinam była pożyczyć od brata Xboxa. On i tak jest już za duży, żeby w to grać.

– Powinniśmy od razu przekazać go w ręce specjalistów – powiedziała Denise.

– Zapewniłyście mu bezpieczeństwo – podkreśliła Sara. – Tylko to się liczy.

Denise znów wbiła wzrok w kubek z herbatą. Lila zaczęła wbijać jajka do miseczki.

Sara zastanawiała się, co się stanie z tymi kobietami. Denise Branson czeka postępowanie dyscyplinarne, być może także sprawa karna, ale jej los spoczywa w rękach Lonniego Graya. Z tego, co Sara wiedziała o tym człowieku, gra fair, ale jest także zwolennikiem szybkiego wymierzania sprawiedliwości. Miała nadzieję, że Lili nic nie grozi. O ile nikt nie doniesie na nią szeryfowi, jej udział w tym przedsięwzięciu nie powinien wyjść na jaw.

– Obudził się. – Sara domyśliła się, że kobieta, która stanęła w drzwiach, to Jasmine, ponieważ miała na sobie strój sanitariuszki. Podobnie jak jej przyjaciółki była drobna, czuło się jednak, że lepiej z nią nie zadzierać. Faith miała podobną aurę. Sara domyślała się, że świadomość, iż używając stalowej pałki, potrafisz powalić stukilowego byłego żołnierza piechoty morskiej, takiego jak Paul Vickery, dodawała pewności siebie.

– Chciałabym teraz go zobaczyć – powiedziała Sara.

Lila zdjęła patelnię z palnika.

– Pójdziemy z panią.

– Może nie wszystkie naraz. – Sara starannie dobierała słowa. – Byłyście dla niego takie dobre. Opiekowałyście się nim. Denise, pani najdosłowniej uratowała mu życie. – Urwała. – On może mieć poczucie, że jeśli wam powie, co się stało, przestaniecie go lubić.

Lila znów zaczęła się obwiniać:

– Obchodząc się z nim jak z jajkiem, wzmagaliśmy tylko jego milczenie.

– Zapewniłyście mu bezpieczne otoczenie, żeby mógł dojść do siebie – poprawiła ją Sara.

Lila wróciła do gotowania. Nie wydawała się uspokojona.

Sara zwróciła się do Willa:

– Ty też chodź.

Wydawało się, że ten pomysł nikomu się nie spodobał.

– Wiem, że to się wydaje sprzeczne z intuicją, ale czasami ofiary czują się bezpieczniej w towarzystwie mężczyzn. Uważają, że męska siła może je obronić – wyjaśniła Sara.

– Zdarza się, że ofiary gwałtów proszą o detektywów mężczyzn – przyznała Lila. – Czasami, nie zawsze.

Najbardziej sceptyczny ze wszystkich wydawał się Will.

– Jesteś pewna?

– Jak wejdiesz do pokoju, od razu usiądź – poradziła mu Sara. – Najpierw pozwól mu się przyzwyczaić do twojej obecności. Siedmioletnie dzieci szybko się przystosowują. Są także bardzo dociekliwe. Będzie chciał wiedzieć, co się teraz dzieje, co stanie się potem, ze szczegółami.

– My nic mu nie mówiłyśmy – powiedziała Lila. – Powtarzałyśmy tylko, że jest bezpieczny.

– Bo tego właśnie potrzebował, Lila – włączyła się Jasmine. – Słyszałaś, co powiedziała pani doktor. Potrzebował poczucia bezpieczeństwa, a my mu je zapewniłyśmy. – Popatrzyła na Willa. – Jednak co do pana obecności, nie jestem przekonana. Proszę mi wybaczyć, ale to tylko mały chłopiec, a ludzie, którzy go skrzywdzili, wyglądali tak jak pan.

Sara nie chciała za bardzo naciskać, powiedziała jednak:

– Naprawdę chciałabym, żeby wszedł tam ze mną. Myślę, że to bardzo pomoże.

Miała wrażenie, że napięcie sięgnęło zenitu. Milczenie przerwała Lila:

– Pani doktor miała rację w innych sprawach. Uważam, że powinniśmy zaryzykować. Jeśli chłopiec się przestraszy, Will zawsze może wyjść z pokoju, prawda?

– Jasne – odparł ochoczo Will.

Denise i Jasmine wymieniły spojrzenia. Sara widziała, że przywykły działać jednomyślnie.

– Dee, jeśli coś nie działa, trzeba to przerwać i spróbować czegoś innego – powiedziała Lila.

– Chłopiec już jest rozbity – przypomniała Denise.

Lila wymierzyła w jej stronę łopatkę do naleśników.

– Może pora, żebyśmy pozwoliły profesjonalistom spróbować poskładać go do kupy.

Denise objęła kubek dłońmi i zapatrzyła się w ciemną toń herbaty.

– No dobra – powiedziała wreszcie. – Ale musi pan obiecać, że jeśli tylko chłopiec choćby zacznie wyglądać na zdenerwowanego, pan natychmiast wyjdzie.

– Obiecuję – odparł Will, chociaż nadal wydawał się najmniej przekonaną osobą z nich wszystkich.

Denise wstała zza stołu.

– Będę tuż za drzwiami, żeby wiedział, że jestem blisko.

– Dziękuję. – Sara wzięła z blatu swoją torbę.

Denise pierwsza ruszyła korytarzem. Sara czuła, że najchętniej wstrzymałaby to wszystko, wypchnęła ich oboje, Willa i Sarę, z domu i wróciła do tego, co robiła od momentu, gdy uratowała chłopca z tamtej ciemnej piwnicy. Razem z przyjaciółkami chroniły to dziecko przez ponad tydzień. Opiekowały się nim, karmiły i strzegły niczym anioły stróże. Wpuszczanie do jego pokoju mężczyzny mającego metr osiemdziesiąt siedem wzrostu wydawało się ostatnią rzeczą, jakiej ten chłopiec potrzebuje.

Z początku wyglądało na to, że chłopiec jest tego samego zdania. Na widok Willa wytrzeszczył oczy, podskoczył na łóżku i przywarł plecami do oparcia.

– Wszystko dobrze, skarbie – przemówiła Denise łagodnym, kojącym tonem. – To nasi przyjaciele. Są tutaj, żeby ci pomóc.

Chłopiec podciągnął wyżej kołdrę. Ubrały go w piżamę ze Spidermanem, pościel też była ozdobiona wizerunkiem superbohatera. Wszystkie możliwe powierzchnie zastawione były zabawkami – matchboxy, gigantyczny

Transformer, ilość klocków lego wystarczająca, by wybudować małe miasteczko. Na komodzie piętrzyły się książki z obrazkami. Wszystko to wyglądało na nietknięte. Ktoś najwyraźniej wybrał się do pobliskiego sklepu z zabawkami i zapytał sprzedawczynię, co kupić siedmioletniemu chłopcu. Niestety, ten konkretny siedmiolatek nie był tym zainteresowany.

– Dzień dobry. – Sara weszła do pokoju, starając się mówić jak najspokojniej. Zawsze przestrzegała zasady, by nie traktować dzieci protekcjonalnie. – Jestem doktor Linton. A ten pan to agent Trent. Jest policjantem, ale pracuje w policji stanowej, dlatego nazywa się go agentem, a nie detektywem. – Gestem dała Willowi znać, żeby wszedł do pokoju. – Doktor Thomas dziś do ciebie nie przyjdzie. Prosił, żebym cię pozdrowiła. Teraz ja będę się tobą zajmowała, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Chłopiec się nie poruszył, ale też nie zaprotestował.

Sara przyjrzała mu się szybko. Doktor Thomas wykonał dobrą robotę. Praktycznie rzecz biorąc, chłopiec wyglądał jak każdy zdrowy siedmiolatek. Nie był szczególnie blady. Jego waga wydawała się pozostawać w dolnych granicach normy. Nie było żadnych oznak odwodnienia czy zaniedbania. Rany na twarzy goiły się dobrze. Gdyby nie kulił się tak ze strachu, Sara nigdy by się nie domyśliła, że chłopiec został porwany.

Wskazała Willowi fotel stojący w rogu pokoju.

– Agent Trent walczył z bardzo złymi ludźmi. Dlatego ma posiniaczoną twarz. Widzisz te czerwone ślady na jego szyi? Za kilka tygodni się zagoją. Byłeś już kiedyś posiniaczony?

Chłopiec wpatrywał się w Willa. Podciągnął kołdrę pod samą szyję.

– Za jakieś dwa dni – mówiła Sara – sińce agenta Trenta zrobią się ciemnofioletowe albo nawet czarne. – Otworzyła torbę. – Mniej więcej za dziesięć dni staną się zielone, potem brązowe, a za jakieś dwa i pół tygodnia po prostu znikną. Byłeś już kiedyś posiniaczony, prawda?

Chłopiec nadal nie odpowiadał, ale patrzył teraz na Sarę, a nie na Willa.

– Położę ci palce na nadgarstku, dobrze? – Chłopiec nie wzdrygnął się, gdy Sara mierzyła mu puls. Skoro miał siedem lat, prawdopodobnie był w gabinecie lekarskim dziesiątki razy. Wiedział, jak przebiega badanie.

– Wiesz, skąd się biorą siniaki? – spytała Sara.

Chłopiec nie odpowiedział, ale widziała, że słucha.

– To krew uwięziona pod skórą. Trochę paskudne, co?

Wpatrywał się w Sarę.

– No, mnie się to wydaje paskudne, a jestem lekarką.

Spojrzenie chłopca znów powędrowało ku Willowi; teraz przyglądał mu się z zainteresowaniem, a nie z przerażeniem.

Sara wyjęła z torby stetoskop. Był stary, zapasowy. Rodzice kupili go jej, kiedy zdała na medycynę. Przyłożyła końcówkę do ust i ogrzała ją swoim oddechem. Nie musiała mówić chłopcu, co ma robić. Pochylił się do przodu, żeby Sara mogła osłuchać mu płuca.

Podwinęła mu piżamę na plecach. Na skórze miał oparzenia. Sara udawała, że ich nie dostrzega.

– Oddychaj głęboko – poprosiła, słuchając dłużej, niż było trzeba. Doktor Thomas zaleczył oparzenia, ale nie założył opatrunków, żeby uniknąć zakażenia. Pozostaną blizny – podobne do tych, jakie ma Will.

– Rety – powiedziała wreszcie. – Masz bardzo silne płuca. – Chłopiec odchylił się do tyłu, żeby mogła posłuchać serca. Przytrzymał teraz kołdrę w pasie, ale cały czas ruszał głową, jakby rysował brodą trójkąt. Patrzył na Denise, która stała w drzwiach, potem na Willa w głębi pokoju, a następnie w górę, na Sarę. Bez przerwy sprawdzał otoczenie. Miął w palcach skraj powłoczki, jakby chciał być gotów, by w każdej chwili móc się schować pod kołdrę.

– Wiesz, że jesteś w stanie Georgia, prawda? – zapytała Sara. – To zaraz nad Florydą.

Chłopiec nie odpowiedział, ale coś w wyrazie jego twarzy dało Sarze do zrozumienia, że mówi mu rzeczy, które on już wie.

– Za kilka minut pojedziemy karetką, tak jak jechałeś już wcześniej. Tyle że tym razem zabierzemy cię do Atlanty. – Przerwała. Słuchał jej teraz bardzo uważnie. – Podróż potrwa około półtorej godziny. Kiedy dotrzemy na miejsce, znajdziesz się w szpitalu. Przez cały czas będę z tobą.

Chłopiec spojrzał na Denise.

– Jasmine i Vivica zawiozą cię tam – wyjaśniła. – Ja będę jechała

samochodem za karetką. Lila odwiedzi cię później. – Uśmiechnęła się, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę. – Mówiłam ci, że cię nie zostawimy.

Sara domyśliła się, że Vivica to ta druga sanitariuszka.

– Nie będziemy jechali na sygnale – tłumaczyła mu Sara – bo to nie jest nagły wypadek. Nie jesteś chory. Prawdopodobnie jesteś tylko zmęczony i bardzo przestraszony. I nic nie mówisz, więc będę musiała zajrzeć ci do gardła, żeby sprawdzić, czy nic ci w tym nie przeszkadza. Zgoda?

Chłopiec odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na Sarę. Wiedział, że lekarka nie znajdzie medycznego uzasadnienia jego milczenia.

– Sekundkę. – Sara grzebała w torbie tak samo, jak Nell, gdy chciała sprawiać wrażenie zaabsorbowanej. – Nie mam szpatułki – skłamała. Odwróciła się do Denise. – Macie tu jakieś lody na patyku?

Denise nie rozumiała, o co jej chodzi.

– Lody?

– Mogłabym użyć drewnianego patyczka od lodów jako szpatułki. Może znalazłoby się coś w zamrażalniku. – Wpatrywała się znacząco w Denise. – Mogłaby pani sprawdzić?

Denise najwyraźniej nie chciała odejść, powiedziała jednak do chłopca:

– Będę w kuchni, dobrze?

Nie kiwnął głową, ale między nim a Denise nawiązało się milczące porozumienie. Zrozumiała, że wyraził zgodę na to, by odeszła od drzwi.

Sara znów zaczęła szperać w torbie.

– Bardzo lubię Denise. A ty, agencie Trent?

Will musiał najpierw odchrząknąć.

– Tak. Tu są same miłe osoby.

– Agent Trent tak dziwnie mówi, bo boli go gardło – wyjaśniła Sara chłopcu.

Chłopiec znów spojrzał na Willa, prawdopodobnie przyglądając się sińcom na jego szyi.

– Agent Trent nie lubi się chwalić – ciągnęła Sara – ale zna świetne kawały. Prawda, agencie?

Will wydawał się zdumiony, a po chwili nawet lekko spłoszony.

Starła się nie zwracać do niego takim samym tonem jak do chłopca.

– Może opowiesz nam jakiś kawał?

Will zaniemówił, choć przecież zawsze opowiadał jej głupie dowcipy. Nie miała pojęcia, dlaczego teraz nie może żadnego wymyślić.

– Może coś o SpongeBobie? – zachęcała go. – Nie miał ostatnio jakichś kłopotów?

Will wyjął z kieszeni cukierek. Przez chwilę zmagął się z papierkiem. Sara już miała mu odpuścić, gdy ni z tego, ni z owego oznajmił:

– Motyle smakują nogami.

Chłopiec wpatrywał się w niego. Sara też. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

Will włożył cukierek do ust.

– Motyle nie mają ust, którymi mogłyby żuć czy gryźć, mają tylko te takie jakby słomki, przez które wysysają nektar. W ten sposób jedzą. –

Odchrząknął. – Skąd jednak wiedzą, co mają jeść? Lądują na liściach i innych powierzchniach nogami i w ten sposób sprawdzają, czy coś jest smaczne, czy nie. Mają kubki smakowe w nogach.

Chłopiec zmrużył oczy. Był sceptyczny, ale zaintrygowany.

Will oczywiście też to widział. Przysunął fotel trochę bliżej łóżka.

– Wiedziałaś, że większość żółwi potrafi oddychać tyłkiem?

Chłopiec rzucił Sarze zachwycone spojrzenie, pewnie dlatego że Will użył słowa „tyłek”.

– To prawda. – Will przysunął fotel jeszcze bliżej. – Mają w tyłkach takie małe pęcherzyki powietrzne, więc trzymają głowę pod wodą i gdy muszą zaczerpnąć powietrza, wystawiają tyłki.

Chłopiec przestał ścisnąć kurczowo kołdrę. Wpatrywał się w Willa i był wyraźnie zaintrygowany.

– Prawdę powiedziawszy – gadał Will – słyszałem niedawno, że w lesie od pewnego czasu trwa swego rodzaju walka. – Znowu odchrząknął. Sara miała nadzieję, że nie przeszkodzi mu kolejny atak kaszlu. – Owady przeciwko ssakom. Słyszałaś o tym?

Chłopiec nadal nie odpowiadał, ale pochylił się lekko do przodu.

– Chyba czytałam o tym w gazecie – włączyła się Sara.

– Na pewno. Było o tym we wszystkich wiadomościach. Widziałeś to może w telewizji? – zapytał Will chłopca.

To był prawie niedostrzegalny ruch, ale chłopiec pokręcił głową.

– Wreszcie postanowiły jakoś to rozstrzygnąć – ciągnął Will. – Ssaki i owady. Zorganizowały mecz futbolowy. Zwycięzca zostanie królem lasu na zawsze i jeden dzień. To znaczy na zawsze i jeszcze na dokładkę przez jeden cały dzień. – Will oparł łokcie na kolanach. – Jesteś pewny, że nie słyszałeś o tym meczu? – zapytał chłopca. – To była wielka sensacja.

Tym razem kręcenie głową było wyraźniejsze.

– To był imponujący mecz – opowiadał Will. – Niezapomniany. Owady i ssaki będą opowiadać o tym swoim dzieciom przez długie lata.

Chłopiec jeszcze bardziej pochylił się do przodu, w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

– Przez pierwsze dwie kwarty nie było w ogóle żadnej rywalizacji. Ssaki ścierały owady na miazgę. To znaczy, miały oczywiście przewagę fizyczną. – Will udawał, że rzuca piłką. – Raz za razem zdobywały kolejne triumfalne sześć punktów. Normalnie zdominowały boisko. – Will podniósł ręce jakby na znak, że wszystko wydawało się przesądzone. – Owady płakały w szatni jak dzieci. Wiedziały, że przegrają mecz. Czuły to w swoich egzoszkieletach. Upokorzenie do końca życia. Mimo to wróciły na boisko. Nie mogły tak po prostu odejść, prawda? Nie po tych wszystkich latach. Może są bezkręgowcami, ale mają swoją godność. Dobrze mówię?

Chłopiec kiwnął głową. Teraz chłonał każde słowo Willa.

– Tak więc zaczyna się trzecia kwarta i nagle na boisko wchodzi gąsienica. I daje prawdziwy popis. Zajmuje pozycję skrzydłowego i gra naprawdę dostaje skrzydeł! Możesz sobie wyobrazić, jaki gąsienica ma promień skrętu. Tak więc świerszcz rzuca piłkę i nagle: ziuu! – Will wyrzucił ręce w górę. – Gąsienica startuje. Przejmuje piłkę, biega po boisku jak szalona. Sześć punktów i sześć punktów. Gąsienica jest normalnie jak opętana. Ona nie tylko wygrywa ten mecz. Nabija im niesamowitą liczbę punktów. Ostateczny wynik to trzydzieści cztery punkty dla ssaków

i dwieście dwanaście dla owadów.

Chłopiec rozchylił usta ze zdumienia.

– Owady wiwatuja – ciągnął Will. – Wszystkie wybiegają na boisko. Podrzucają gąsienicę. Noszą ją naokoło stadionu. Nie mogą w to uwierzyć. Będą królami lasu na zawsze i jeszcze jeden dzień dłużej. Ale nagle ktoś mówi do gąsienicy: „Hej, ty, mogliśmy to wygrać przed końcem pierwszej połowy. Gdzie byłaś tyle czasu?”. – Will przerwał dla efektu. – A gąsienica odpowiada: „Wkładałam buty”.

Chłopiec najpierw wciągnął powietrze, po czym wybuchnął śmiechem. Otworzył szeroko usta. Zgiął się wóół. Zacisnął maleńkie piąstki. Popatrzył na Sarę, jakby chciał zapytać: „Możesz w to uwierzyć?”. Sara nie musiała udawać, że też się śmieje. Niepohamowana radość tego chłopca była najśłodszą rzeczą, jaką widziała od bardzo dawna.

Przewrócił się na bok. Dawno zapomniał o miętoleniu pościeli. Przez tę krótką chwilę znowu był dzieckiem.

Potem jednak, zupełnie jakby ktoś zaciągnął zasłonę, śmiech zamarł i wróciły potworne wspomnienia. Chłopiec usiadł powoli, oparł się o ramę łóżka i ciasno owinął kołdrą w pasie.

Will wyjął z kieszeni garść owocowych cukierków.

– Chcesz jednego?

Chłopiec wybrał arbużowego. Starannie i sprawnie rozwinął go z papierka. Sara wyciągnęła rękę po papieraek, żeby wyrzucić go do śmieci. Chłopiec wykrzywił usta, ssąc cukierek. Coś się zmieniło. Wiedziała, że nadal ma się na bacności, ale teraz przez szpary w murach obronnych, jakie wzniosł wokół siebie, przenika światło.

– Wiesz – odezwał się Will – człowiek, który tak urządził mi twarz, będzie miał poważne kłopoty, jak go złapiemy. – Swobodnie założył nogę na nogę. – Trafi do więzienia na resztę życia. Może aresztuje go Denise albo Lila. A może ktoś inny. Jest wielu dobrych policjantów. Pilnują, żeby źli ludzie zostali zamknięci w więzieniu i nie mogli już nikogo skrzywdzić.

Chłopiec obracał cukierka w buzi. Sara słyszała, jak postukuje o jego zęby.

– Ci, którzy robią złe rzeczy, zawsze zostają złapani – oznajmił Will. –

Wiedziałaś o tym?

Chłopiec wyglądał tak, jakby się nad tym zastanawiał. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie wiesz o tym czy uważasz, że to nieprawda? – zapytał Will.

Chłopiec znów pokręcił głową. Zamiast mówić, podniósł w górę dwa palce.

– Uważasz, że to nieprawda? – upewnił się Will.

Chłopiec kiwnął głową.

– Wiem, że bystry z ciebie chłopiec, ale tu się mylisz. Na tym właśnie polega moja praca. Ścigam złych ludzi i zamykam ich w więzieniu.

Chłopiec spuścił wzrok. Znów zaczął skubać brzeg poszwy.

– Kilka miesięcy temu aresztowałem paru naprawdę złych ludzi. Wmówili małemu chłopcu, że jeśli powie coś policji, jego mamie i tacie stanie się krzywda.

Chłopiec podniósł wzrok, był wstrząśnięty.

– Ci źli ludzie kłamali – ciągnął Will. – Chcieli tylko tego chłopca nastraszyć. Jego mama i tata przez cały czas byli bezpieczni. A kiedy powiedział mi, co się stało, aresztowałem tych złych ludzi, a chłopca odwiozłem do domu. – Will pochylił się do przodu. – Rozumiesz, co mówię?

Chłopiec zdawał się rozumieć, ale tego nie potwierdził.

– Im szybciej mi powiesz, co się stało, tym szybciej będę mógł odwieźć cię do twoich rodziców. A możesz mi wierzyć, oni bardzo chcą cię odzyskać. Nie mogą myśleć o niczym innym. Bez względu na to, co tamci źli ludzie ci zrobili, oni chcą tylko cię odzyskać, żeby znów mogli się tobą opiekować i dbać o twoje bezpieczeństwo.

Chłopiec znów opuścił wzrok na kołdrę. Po jego policzkach spływały łzy.

– Możesz mi wszystko powiedzieć, kolego – zapewnił go Will. – Cokolwiek cię spotkało, to nie była twoja wina. Jesteś tylko dzieckiem. A twoi rodzice bardzo cię kochają. Chcą, żebyś wrócił do domu. Tylko to się dla nich liczy. Nieważne, co ci zrobili tamci źli ludzie, oni zawsze, zawsze będą cię kochali.

Chłopiec nadal miał spuszczoną głowę. Ale jego usta się poruszyły.

Musiał się zastanowić, w jaki sposób znów przemienić dźwięki w słowa.

– Co z Benjaminem?

Will zerknął na Sarę.

– Czy to twój brat? – spytała.

Chłopiec skinął głową.

– Jestem pewny, że on też chce cię odzyskać – rzekł Will. – Nawet jeśli się kłóciliście czy nie dogadywaliście, to teraz bez znaczenia. Benjamin chce, żebyś wrócił do niego do domu.

Chłopiec wreszcie popatrzył na Willa.

– On nie jest w domu – wyszeptał. – On też był tam w piwnicy.

Sara poczuła, że jej serce przestaje bić. Była sparaliżowana, nie mogła wydusić słowa. Inny chłopiec, jego brat, nadal znosi gdzieś straszliwe okrucieństwo. Albo jeszcze gorzej: nie żyje i leży w płytkim grobie.

Will najwyraźniej rozważał tę samą ewentualność. Widziała, że ze wszystkich sił stara się zachować spokój.

– Benjamin był razem z tobą w piwnicy?

Chłopiec kiwnął głową.

– Zły człowiek go zabrał.

Will zaczął tracić panowanie nad sobą. Głos mu się łamał.

– Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Chłopiec się nie odezwał.

– Wczoraj wieczorem spotkałem chłopca, który znał nazwę swojej szkoły. A ty znasz nazwę swojej?

Chłopiec nadal milczał. Znów zaczął się bać, martwił się, że powiedział za dużo. Osunął się po oparciu i nakrył głowę kołdrą.

Will otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie chciał się teraz poddać, ale też nie wiedział, w jaki sposób kontynuować.

Sara położyła dłoń na ręce chłopca. Cały się trząsł. Spod kołdry dobiegał jego płacz.

– Już dobrze, kochanie – wyszeptała. – Nie musisz na razie mówić nic

więcej. Byłeś bardzo dzielny, że powiedziałeś to wszystko agentowi Trentowi. I nadal jesteś bezpieczny. Nic złego ci się nie stanie.

Denise Branson odchrząknęła. Znow stała w drzwiach.

– Zostawimy cię teraz samego, ale wszyscy będziemy w pobliżu, gdybyś nas potrzebował. – Sara wstała i gestem nakazała Willowi, by zrobił to samo.
– Będę w kuchni, dobrze? Nie musisz już nic mówić, póki nie będziesz gotowy.

Wyszła z pokoju z poczuciem, że część jej serca została z chłopcem. Jego brata też porwano. Dlaczego nie znaleźli go w tamtym domu? Dokąd go zabrano?

– Spróbuję znowu za kilka minut – szepnęła do Willa.

Will wyjął z kieszeni telefon. Szkiełko było strzaskane, ale wyglądało na to, że aparat działa. Sara sądziła, że dzwoni do Faith, tymczasem on powiedział:

– Tu agent William Trent. W imieniu wicedyrektor Amandy Wagner proszę o natychmiastowe ogłoszenie ogólnokrajowego alarmu. Dwaj zaginieni bracia, obaj zniknęli tego samego dnia, możliwe, że ponad tydzień temu. Nie znamy imienia pierwszego chłopca, ale ma około siedmiu lat, ciemne włosy i brązowe oczy. Drugi chłopiec nazywa się Benjamin.

– Albo Ben. Czy Benji – odpowiedziała Sara.

Na twarzy Willa odmalował się szok. O mało nie upuścił telefonu.

– Co ty powiedziałaś?

Wiedziała, że Will ma problem ze zdrobnieniami.

– Benjamin czasami skraca się do formy Ben albo Benji.

– Benji? – Will oparł się ręką o ścianę. Wyglądał na osłupiałego.

– O co chodzi? – spytała.

– Daj mi swoje kluczyki.

14.

Wskazówka szybkościomierza bmw minęła sto sześćdziesiąt, gdy Will oddalał się od farmy Lili. Mieszkała kilka kilometrów od drogi międzystanowej. Na zakręcie zwolnił tylko nieznacznie. Opony ślizgały się po nawierzchni, ale auto utrzymało równowagę. Will przeciął sznur samochodów, włączając się do ruchu. Jechał szybko, ale i tak miał poczucie, że nie dość szybko. Minął wyjazd w stronę Macon General. Silnik ryczał, gdy jeszcze dodawał gazu.

Zbliżał się do wyjazdu prowadzącego w kierunku domu Cayli Martin, gdy wreszcie zadzwonił jego telefon. Odebrał, trzymając kierownicę jedną ręką.

– Dotarli do niego?

– Nie mogą znaleźć ulicy Cayli Martin – odparła Faith.

Will zaklął pod nosem.

– A co z tymi gliniarzami, którzy wczoraj wieczorem pukali do jej drzwi?

– Obaj są już po służbie. Żaden nie odbiera telefonu. Pewnie śpią.

– To wyślij kogoś, żeby ich obudził.

– Myślisz, że tego nie zrobiłam?

Will starał się uspokoić.

– Muszą znaleźć ten dom, Faith. Powiedz im, żeby wysłali helikopter.

– Jej kod pocztowy obejmuje pięćdziesiąt kilometrów drogi stanowej, Will. Dzwoniliśmy do pogotowia drogowego. Do służb parku narodowego, do przedsiębiorstwa usług komunalnych, na pocztę i do lokalnego gimnazjum. Teren przeczesują trzy radiowozy. Robią, co mogą.

– To droga gruntowa. Najpierw jest osiedle domów na kółkach, a potem...

– Znajdziemy ten dom.

– Powiedz im, żeby szukali mnie. Właśnie minąłem Macon General. Teraz

skręcam w wyjazd numer dwanaście.

Słyszał stłumione dźwięki, gdy Faith przekazywała te informacje. Po chwili znów odezwała się wyraźnie:

– Pół godziny temu widziano Caylę Martin w szpitalu. Pobierała wypłatę. Jej samochód nadal stoi na parkingu, ale jej samej nie możemy znaleźć.

– Trzeba sprawdzić wejście dla pracowników. Ona chodzi tam palić.

– Zaczekaj. – Faith znowu zasłoniła ręką telefon, żeby porozumieć się z dyspozytorem. – Teraz sprawdzają.

– A sprawdziliście, czy nikt nie poszukuje dwóch zaginionych braci?

– Niczego nie znaleźliśmy.

– To niemożliwe. Dwaj bracia zaginęli tego samego dnia. Dlaczego nic o tym nie słyszeliśmy?

– Może policja sądziła, że chłopców uprowadziło któreś z rodziców? – Faith stwierdziła oczywisty fakt: – Coś takiego nie trafiłoby do wiadomości, o ile nie znaleziono by ciał dzieci. Jesteś pewny, że chłopiec mówił prawdę? – spytała Willa. – Chłopcy w tym wieku często zmyślają. Może ten drugi chłopiec to jego kuzyn, kolega albo...

– On nie zmyślał – przerwał jej Will. – Sama przecież nie wierzysz w zbiegi okoliczności. Benjamin to nie jest popularne imię w tych stronach.

– Masz rację – przyznała Faith. – Amanda rozmawia z federalnymi z Kanady. – Wiadomości stamtąd rzadko do nas przenikają, najwyżej do przygranicznych stanów. Pomyślała, że może chłopcy pochodzą stamtąd.

– A co z francuskojęzycznymi rejonami Kanady? Federalni nie obsługują tamtych terenów.

– Czy któryś z chłopców wydawał ci się francuskojęzyczny?

– Może są dwujęzyczni? Nie wiem, Faith. Po prostu powiedz jej, żeby obdzwoniła wszystkich.

– Już wysyłam jej esemesa – odparła Faith.

Will milczał, czekając, aż Faith wstuka wiadomość. W głowie mu huczało. Nie mógł zrozumieć, jak do tego doszło. Benjamin siedział naprzeciwko niego. Prawie błagał Willa, żeby mu pomógł. Powiedział, że został zabrany miesiąc temu. Will sądził wtedy, że chłopcu chodziło o to, że

policja zabrała go od matki, a nie że został porwany przez sadystę.

Przez Wielkiego Białasa.

Will wiedział, co stało się z Marie Sorensen. Widział ślady po przypalaniu papierosem na plecach chłopca na farmie. Denise Branson uratowała go z piwnicy. Ale co się stało z chłopcami, których nikt nie uratował? Jakie potworności wyrządzano Benjaminowi właśnie teraz?

– Dobra – odezwała się Faith. – Wysłałam esemesa Amandzie. Otrzymałam też informację, że Cayli Martin nie ma przed wejściem dla pracowników. Nie ma jej też na dachu ani na schodach. Jak daleko od jej domu jesteś?

Will wcisnął hamulec. Samochodem szarpnęło. Wrzucił wsteczny bieg. O mało nie przegapił skrętu.

– Ta droga odchodzi pod ostrym kątem od drogi głównej, w przybliżeniu jest jakieś piętnaście kilometrów do międzystanowej. – Wyrzucił sobie, że kiedy zjeżdżał z autostrady, nie wyzerował licznika. – Ten skręt jest zarośnięty drzewami. Kawalek dalej stoi przydrożna reklama. – Rozpoznał logo. – Zapowiada osiedle domów na kółkach. Na rysunku są palmy.

– Zawiadomię radiowóz.

Will dodał gazu, prując drogą gruntową. Zostawiał za sobą tumany rdzawego pyłu. Ekran na desce rozdzielczej wozu Sary zrobił się czarny. W systemie GPS tej drogi nie było na mapie. Will przeklinał swoją głupotę. Przez cały czas miał przed sobą ten ekran.

– Śledź mój telefon – powiedział do Faith. – Może te drogi pokażą się na wojskowym GPS-ie.

– Już go włączyłam – odparła Faith. – Zadzwoń, jak dotrzesz na miejsce.

Will się rozłączył i cisnął telefon na siedzenie. Po namyśle jednak wepchnął go do tylnej kieszeni spodni. Poprzedniego wieczoru też myślał, że nie dojedzie do domu Cayli, ale tego ranka miał wrażenie, że ta podróż będzie trwała wiecznie. Przed nim ciągnęła się droga bez końca. Wydawało mu się, że zanim wreszcie zobaczył osiedle domów na kółkach, minęło pół godziny. Na podwórzu bawiły się dzieci. Will zwolnił, przyglądając się ich twarzom, wypatrując Benjaminą. One też na niego patrzyły. Kilko zawróciło do domu. Pewnie nauczono je, że jeśli będzie im się przyglądał

obcy mężczyzna, mają uciekać.

Gdy koła wpadły w duże wgłębienie w drodze, szarpnęło kierownicą. Wyrównał, ale trochę przesadził. W ostatniej chwili wyprostował koła, zanim nastąpiło kolejne ostre szarpnięcie i huk, gdy samochód wreszcie wjechał na twardą nawierzchnię. Dotarł już do terenu pod zabudowę. Za dnia puste parcele i niedokończone budynki robiły jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Na szczęście Will z łatwością dostrzegł skupisko ukończonych domów. Zahamował przed podjazdem Cayli. Jej samochodu nie było. Wyskoczył z bmw. Zajrzał przez okna do garażu. Pusto.

Wybrał numer Faith, biegnąc w stronę domu.

– Jestem na miejscu – oznajmił. – Nie ma wozu. Dom wydaje się pusty.

– Ci gliniarze z wczoraj już tam jadą. Towarzyszą im dwa dodatkowe radiowozy. Wiem, że nie masz przy sobie broni. Czekać na wsparcie.

– Nie zamierzam czekać. – Will się rozłączył. Odsunął się od drzwi frontowych, po czym otworzył je kopniakiem. – Benjamin! – zawołał. Jego głos odbił się echem w głębi domu. – Benjamin!

Will otworzył szafę na wierzchnie okrycia. Sprawdził, czy w tylnej ścianie nie ma ukrytej wnęki. Następnie wszedł do garażu. Był niewykończony, składał się jedynie ze słupów szkieletowych. Nie było w nim żadnych kryjówek.

Kuchnia wyglądała tak samo jak poprzedniego wieczoru. Pusty talerz Willa nadal stał na stole, a garnki i patelnie na kuchence. Puszki po piwie Tony’ego Della zostały ustawione na blacie.

– Benjamin! – znów zawołał Will. Wbiegał na górę, przeskakując po dwa stopnie. Zatrzymał się przed łazienką, ale nie wszedł do środka. Na drzwiach jednej z sypialni była zasuwka. Zamykał ją skomplikowany zamek szyfrowy.

– Benjamin? – Will zastukał w drzwi. – Nazywam się Black. Poznaliśmy się wczoraj wieczorem. Jestem policjantem. Przyjechałem, żeby ci pomóc. – Zamek był umocowany na bolce, nie zwykłe wkrety. Nie było szans, by Will zdołał go podważyć. – Benjamin, odsuń się od drzwi. Będę musiał je wyłamać.

Will odczekał kilka sekund, po czym podniósł nogę i kopnął w drzwi. Zamek zagrzechotał o drewno. Kopnął jeszcze raz. Drewno wokół framugi

zaczęło się rozszczepiać. Kopnął jeszcze raz. I jeszcze. Wreszcie – dzięki kolejnym kopnięciom – zdołał wyłamać drzwi. Odskokczyły na zawiasach. Z płyty gipsowo-kartonowej sterczała klamka.

Benjamin był przykuty łańcuchem do podłogi. Siedział w kącie, plecami do ściany. Był przerażony.

– Już dobrze – uspokoił go Will. – Jestem policjantem. Przyjechałem, żeby ci pomóc.

Chłopiec nie zareagował. Will szybko dokonał oceny sytuacji. Benjamin był połączony z łańcuchem kajdankami założonymi na kostkę. Koniec łańcucha umocowano do metalowego kółka przyśrubowanego do podłogi. Ktoś zalał je klejem budowlanym, żeby chłopiec nie mógł odkręcić śruby. Pewnie Tony. To był akurat pomysł godny takiego przygłupa jak on. Tony powinien wziąć pod uwagę to, że Benjamin nie będzie mógł skorzystać z toalety. Drewno rozmiękło od moczu. Will z łatwością wyrwał kółko z podłogi.

Wtedy właśnie usłyszał trzask zamykanych drzwiczek samochodu.

Will podbiegł do okna od frontu. Z białej hondy wysiadł Paul Vickery. Miał w ręku pistolet.

– Cholera – mruknął Will. Powinien był się domyślić, że Vickery jest w to zamieszany.

Will wyjął z kieszeni iPhone'a.

– Umiesz wysyłać esemesy? – zapytał Benjamina.

Benjamin kiwnął głową, choć oczy nadal miał szeroko otwarte z przerażenia.

– Wyślesz wiadomość do mojej partnerki. – Will wybrał odpowiednią aplikację, po czym wprowadził numer Faith i podał telefon Benjaminowi. –

Wpisz swoje imię. Napisz jej, że ukrywasz się w domu Cayli. Każ jej się pospieszyć. – Will wziął chłopca na ręce i wyniósł go z pokoju. Na korytarzu był właz prowadzący na strych. Will widział go, kiedy po wejściu na piętro zatrzymał się u szczytu schodów. Podniósł Benjamina. Nie musiał mu mówić, co ma robić. Chłopiec pchnął klapę i wdrapał się na strych.

– Bądź cicho – nakazał mu Will. – Jeśli cię znajdą, nie ruszaj się nigdzie bez tego telefonu. Rozumiesz? Ma wmontowane urządzenie, które pozwala

go namierzyć. Dzięki niemu będziemy mogli cię znaleźć. Schowaj go do kieszeni. Nie zgub go.

Benjamin podciągnął łańcuch wiszący przy kostce. Kłapa opadła na miejsce dokładnie w momencie, gdy na dole trzasnęły frontowe drzwi.

Will pędem zbiegł po schodach. Paul Vickery zaatakował go już dwukrotnie, ale za każdym razem działał z zaskoczenia. Tym razem to Will miał nad nim przewagę. Wiedział także, że nawet jeśli Vickery przeszedł na złą stronę, to jest wyszkolonym policjantem. Zrobi dokładnie to, co zrobił Will. Zajrzy do szafy. Sprawdzi garaż i kuchnię.

Vickery wychodził właśnie z kuchni, kiedy Will skoczył na niego ze schodów. Policjant otworzył usta, ale nie zdążył krzyknąć. Will powalił go na podłogę niczym kafar. Vickery'emu pistolet wypadł z ręki. Will wyrzucił go pięścią w twarz. Mimo potworności całej sytuacji nie mógł nie poczuć słodkiego smaku zemsty, gdy nos tamtego eksplodował jak pęknięta opona.

Will zamachnął się do kolejnego ciosu, ale Vickery ani drgnął. Jak większość takich niby to twardzieli miał ten problem, że łatwo było go znokautować. Jeden cios i był nieprzytomny. Will przysiadł na piętach – był bardzo rozczarowany.

– Cholera, Bud – odezwała się Cayla Martin. Stała w szeroko otwartych drzwiach frontowych. W rękę trzymała paralizator wymierzony w pierś Willa.

Taser M26c zawierał pocisk ze sprężonym azotem, który wystrzeliwał dwie maleńkie zaopatrzone w haczyki sondy na odległość do pięciu metrów. Sondy były podłączone do izolowanych przewodów. Te z kolei do ośmiu baterii AA, które wytwarzały prąd elektryczny do pięćdziesięciu tysięcy woltów. Wystarczająco dużo, by spowodować całkowity paraliż nerwowo-mięśniowy.

Will rzucił się po pistolet Vickery'ego, ale nie był wystarczająco szybki, by prześcignąć azotowy pocisk. Sondy wbiły mu się w kark.

Stracił przytomność, zanim jeszcze upadł na podłogę.

15.

PIĘĆ DNI PRZED NALOTEM

Lena leżała na stole w gabinecie doktora Benedicta. Głowę miała uniesioną, nogi zwisały jej niewygodnie. Usiłowała obciągnąć podjeżdżającą jej ciągle papierową koszulę. Na próżno. Szybko się nauczyła, że musi wybierać pomiędzy byciem w ciąży a byciem wstydliwą. To był pierwszy z wielu kompromisów, jakie Lena przewidywała na przyszłość. Już miała poczucie, że jej ciało nie należy do niej. Więcej siusiała. Więcej spała. Cholera, nawet więcej oddychała. Najdziwniejsze było to, że zamiast czuć się zagrożona, Lena była szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– Mogę wejść? – Jared wyjrzał zza drzwi. Zobaczył Lenę i gwizdnął cicho, podchodząc do stołu. – Kotku, widzę tu pewne nowe sypialniane możliwości.

Przewróciła oczami, chociaż kiedy wygadywał takie rzeczy, czuła dziwne podniecenie. A ostatnio zdarzało mu się to często.

– Jak ci się udało wyrwać z pracy? – spytała.

– Powiedziałem, że potrzebuję trochę czasu na sprawy osobiste. Pewnie myślę, że mam romans.

Klepnęła go w rękę.

– To nie jest zabawne.

Roześmiał się dobrodusznie, rozglądając się po gabinecie.

– Co to za ustrojstwa?

– Mnie pytasz? – mruknęła Lena, chociaż rozpoznała aparaturę do USG. Zaczynała się denerwować od samego patrzenia na nią. Nie wiedziała, co by

zrobiła, gdyby coś było nie tak. Brak tętna. Mózg dziecka rozwijający się poza jego głowę. W internecie było mnóstwo takich koszmarnych historii. Ubiegłego wieczoru wyłączyła komputer i zwymiotowała w łazience.

Jared pociągnął za jedno ze strzemion.

– Myślisz, że sprzedają takie stoły w Costco?

– Musisz być taki obrzydliwy? – Wsunęła strzemię piętą. – Wystarczy, że będę co chwila oglądana i obmacywana przez kolejne osiem miesięcy.

– Siedem i pół. – Podniósł plastikowy model macicy. Jego kawałki rozsypały mu się w rękach. – Cholera, dziecko wpadło pod stół.

Lena patrzyła, jak na czworakach wyciąga plastikowy płód. Wypiął tyłek. Spodnie od munduru naprężyły się w całkiem pociągający sposób. Ćwiczyli razem na siłowni prawie każdego ranka. Czasami Lena przyglądała mu się, jak robi przysiady, podczas gdy sama truchtała na bieżni.

– Mam je. – Jared podniósł się, trzymając płód niczym wykałaczkę między kciukiem a palcem wskazującym. – Wszystko w porządku? Masz czerwoną twarz.

Lena przyłożyła dłoń do policzka. Zmieniła temat:

– Wczoraj w sklepie widziałam kobietę w ciąży. Kasjerka poklepała ją po brzuchu jak psa i powiedziała: „Dobra robota, mamusiu”, jakby zrobienie sobie dzieciaka wymagało jakichś specjalnych umiejętności.

Jared uśmiechnął się szeroko.

– Myślisz, że ludzie będą klepali mnie po kroczu i chwalili za dobrze wykonaną robotę?

– Tylko jeśli chcą, żebym im wepchnęła w tyłek mojego glocka.

Roześmiał się, wkładając plastikowe dziecko do macicy i łącząc wszystkie kawałki.

– Wiesz, że kiedy to się stanie, moja mama będzie chciała przyjechać?

Lena nie zamierzała o tym rozmawiać. Dziś miał być szczęśliwy dzień.

– Tylko cię uprzedzam. Oraz informuję, że chcę, by przyjechała.

– Czy mam jakiś wybór?

– Twój szemrany wujek pewnie też przyjedzie.

– Hank będzie przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, żeby zatrzymać się w hotelu i wyjechać następnego dnia.

Z tym Jared nie mógł się spierać. Hank od ich ślubu odwiedził ich ledwie kilka razy. Bardzo uważał, by nie nadużyć gościnności.

– Mówienie o tym już teraz przynosi pecha – powiedziała Lena. – Podobnie jak malowanie pokoju dziecięcego. – Nie mogła się powstrzymać, by tego nie dodać. – I oglądanie łóżeczek dla niemowląt. Powinniśmy poczekać z tym jeszcze parę tygodni.

Z łoskotem odłożył macicę na blat.

– Poza tym – ciągnęła – jeśli już bierzesz się za remonty w domu, powinienes wreszcie dokończyć kuchnię.

– Zanim dziecko się urodzi, będzie skończona.

– Mam nadzieję. – Lena czuła, że zanosi się na kłótnię. Wycofała się, nie chcąc zepsuć tego dnia. Jared od tygodnia mówił o tym, jak to po raz pierwszy zobaczą dziecko. Nie mogła odbierać mu tej radości.

– Nigdy się nie spóźniasz. Co cię zatrzymało? – spytała.

– Dziś rano postawili nagrobek synowi Lonniego. Niektórzy z nas pojechali oddać mu hołd.

– To miło. – Lenę ogarnęła fala współczucia dla naczelnika. Jego syn zmarł po długiej chorobie. Lonnie nie chciał się z tym pogodzić, nawet wtedy, gdy stało się jasne, że nic już nie da się zrobić, żeby uratować chłopaka. Pod koniec podłączono go do wszystkich możliwych urządzeń na OIOM-ie.

– Jeśli mnie się przydarzy coś takiego, obiecaj, że odłączysz mi aparaturę podtrzymującą życie – poprosił Jared.

– Gotowa jestem zrobić to już teraz.

– Mówię poważnie. Nie pozwól, żeby mnie tak przetrzymywali. Sikającego do woreczka. Dotykanego przez wszystkich, jakbym był dzieckiem. Jaki jest sens dotykać kogoś, kto jest nieprzytomny? A jeśli ten ktoś sobie tego nie życzy? Ale nie może cię powstrzymać. Jest tam uwięziony. Makabra. – Wzdrygnął się. – I nie pozwól, żeby mama ubierała mnie w piżamę. Wiesz, że na pewno by z tym ścirowała.

Lena poczuła, że zaczyna jej się trząść broda.

Jared patrzył na nią zmieszany.

– Ty płaczesz?

– Tak, płaczę, głupku. – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Dlaczego gadasz o umieraniu w szpitalu, kiedy ja noszę, kurwa, twoje dziecko?

– Jezu – mruknął. Wyjął chusteczkę z pudełka na blacie. Została tylko jedna. Podał ją Lenie. – Nie płacz tak, jak lekarz tu wejdzie. Pomyśli, że cię uderzyłem albo co.

Lena wydmuchała nos.

– Mówmy o czymś innym.

Jared z łatwością znalazł inny temat.

– Jak przygotowania do nalotu?

To Jared dał jej cynk w związku z meliną narkomanów przy Redding Street. Śledził tę sprawę niby hazardzista, który postawił na coś dużą sumę.

– Do dupy – mruknęła, ocierając oczy brudną chusteczką. – Potrzebuję więcej chustek.

Jared otworzył drzwi i zawołał:

– Siostro! Czy możemy dostać więcej chusteczek? – Stojąc w drzwiach, zapytał Lenę: – Masz kogoś, kto by zakapował Sida?

– A jak myślisz? – Znowu wytarła nos. – Denise chyba niedługo dostanie wylewu. Jest przekonana, że dzięki temu dotrzemy do Wielkiego Białasa.

Jared przewrócił oczami. Lubił Denise, ale takie dziewczyny jak Marie Sorensen ciągle uciekają z domu. Wykorzystując Wielkiego Białasa jako złego ducha porywającego nieostrożne dziewczynki, zdejmowała ze swoich barków część winy.

Lena czuła potrzebę, by stanąć w obronie przyjaciółki.

– Może on jednak istnieje? Denise natrafiła na jego ksywę w depeszy z Florydy.

Jared pokręcił głową z takim lekceważeniem, że miała ochotę go walnąć.

– Tu akurat zgadzam się z Lonniem. To ślepa uliczka.

– Sid Waller stanowi klucz do tej sprawy – upierała się Lena, chociaż

ostatnio zaczęła godzić się z myślą, że kiedy jej dziecko ukończy szkołę średnią, Waller nadal będzie na wolności. – Jak trafi za kratki, zaczniesz śpiewać.

– Ten wasz Wielki Białas załatwi Wallera, zanim do tego dojdzie. Mam rację?

Lena zmrużyła oczy. Jared znowu wciskał jej kit.

– Możesz mi wierzyć, jak tylko Sid Waller kipnie, naczelnik Gray wycofa się z całej tej akcji z Wielkim Białasem. To dla niego w tej chwili zbyt niebezpieczne. A oboje wiemy, że po śmierci syna stracił pazur.

– No tak – odparła Lena podobnym tonem. – Lonnie Gray wycofa się po raz pierwszy w życiu.

Pielęgniarka podała Jaredowi nowe pudełko chusteczek. Podziękował jej, po czym odwrócił się do Leny.

– Może Lonnie to tak naprawdę Wielki Białas? Przyszło ci to kiedyś do głowy? – Drzwi zamknęły się cicho. Jared uśmiechnął się do Leny. – To by dopiero było. Naczelnik Gray w sekrecie handluje narkotykami i stręczy dzieci.

– Przestań pleść bzdury. – Lena wzięła garść chusteczek i wydmuchała nos najgłośniej, jak tylko mogła. Wkurzało ją, że ten idiotyczny pomysł tak naprawdę ma pewien sens. Gray zaczynał na Florydzie. W ciągu kolejnych lat albo pracował, albo udzielał konsultacji w różnych miastach na wybrzeżu, w tym również w Savannah. Cały ten chaos, jaki ostatnio ogarnął Macon, zbiegł się w czasie z objęciem dowództwa przez Graya. Jeśli Denise ma rację i w wydziale jest jakaś wtyka, musi to być ktoś, kto wie wszystko. Trudno o lepszą przykrywkę niż bycie naczelnikiem policji.

I o większą idiotkę niż kobieta, która wierzy w każdą nedorzeczną teorię, jaką wysnuje jej mąż. Niecałe pięć minut temu Jared upierał się, że Wielki Białas w ogóle nie istnieje. W ubiegłym tygodniu twierdził, że słyszał od jakiegoś gościa, że z Fort Knox ukradziono całe złoto. Dlaczego ona w ogóle go słucha?

Lena pokręciła głową, mając nadzieję, że to tylko ciążowe hormony tak ją rozstrajają, a nie że traci rozum.

– Dlaczego kręcisz głową? – spytał Jared.

Nie odpowiedziała, wiedząc, że to nie ma sensu.

– Denerwuję się, że ten nalot tak się rozłązi. Obie z Denise ryzykujemy tyłki, a wiesz, że Lonnie nie zapomina ani nie wybacza.

Jared złagodził nieco ton.

– Słuchaj, coś się jeszcze wydarzy. – Odczekał, aż Lena znów wytrze nos.
– Zawsze w końcu zdarza się coś, co zmienia sytuację. Jesteś dobrym gliniarzem, kotku. Jesteś bystra, ambitna i nigdy się nie poddajesz. Uda ci się.

Lena nie mogła nic na to poradzić. Jared patrzył na nią w taki sposób, że znów zachciało jej się płakać. Wsunęła rękę w jego dłoń. Napiął mięśnie, ale nie cofnął dłoni. Nie przywykł do okazywania czułości. Jego matka była zimna jak ryba. Oczywiście Lena też nie należała do nadmiernie uczuciowych. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego ostatnio dotykanie Jareda jest jedynym, co koi jej nerwy. O coś takiego nie mogła pytać doktora Benedicta. Usiłowała poczytać o tym w internecie, ale wyglądało na to, że większość ciężarnych kobiet w sieci nienawidzi swoich mężów. A w wyszukiwarce można było wpisać ograniczoną liczbę wyrażen związanych z ciążą, bo inaczej zalewała człowieka naprawdę obrzydliwa pornografia.

– Wszystko w porządku? – spytał Jared.

Przygryzła wargę, w duchu upominając się, żeby znów nie zacząć płakać.

Spojrzał na nią nieśmiało.

– Wiesz, że cię kocham, tak?

– Tak – zdołała wykrztusić. – Powiedz mi to, kiedy będę wyglądała tak, jakbym była mieszkanką oceanarium SeaWorld.

– Kotku, dopóki w innych miejscach też będziesz robiła się większa, nie mam nic przeciwko temu.

Lena przewróciła oczami. Gdy drzwi się otworzyły, wyszarpnęła rękę z jego dłoni.

Doktor Benedict podszedł do umywalki, żeby umyć ręce.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – zwrócił się do Leny.

Jared puścił do niej oko. To były pierwsze słowa, które wypowiadał lekarz za każdym razem, gdy wchodził do gabinetu. Żartowali, że jego żona pewnie tę samą odzywkę słyszy w łóżku.

– Proszę się położyć. – Benedict wyciągnął przedłużenie stołu.

Lena położyła głowę na poduszce i wyprostowała nogi. Spojrzała na Jareda. Położył jej rękę na czole. Zrobił to niezdarnie – jakby sprawdzał, czy ma gorączkę – ale nie narzekała.

Lekarz włączył ultrasonograf. Bezceremonialnie uniósł papierową koszulę Leny i zobaczyła to, czemu próbowała zaprzeczać przez cały tydzień. Jej bielizna zrobiła się ciasna. Już niedługo będzie jej się rolować pod brzuchem. Popatrzyła na Jareda, spodziewając się jakiegoś żartu. Ale on się nie śmiał. Wpatrywał się w monitor, chociaż jeszcze nic nie było na nim widać.

Benedict wytrząsnął trochę żelu z butelki na brzuch Leny.

– Trochę zimny – uprzedził, praktyczny jak zawsze. Ścisnął butelkę. Nic z niej nie wypłynęło. – Chwileczkę – zwrócił się do Leny, po czym podjechał na krzesło do drzwi i krzyknął: – Może mi pani przynieść jeszcze trochę żelu?

Wrócił do stołu. Dotknął brzucha Leny zimnymi rękami, nie uznając za stosowne wyjaśnić, co właściwie próbuje wymacać. Lena po raz kolejny zastanawiała się, czy nie powinna wybrać ginekologa kobiety. Chociaż z drugiej strony jej lekarka ogólna była kobietą, a miała podejście do pacjenta godne psa dingo.

Drzwi znów się otworzyły. Lena cieszyła się, że nie ma nóg włożonych w strzemiona. Na korytarzu było pełno ludzi.

– Proszę bardzo. – To była ta sama pielęgniarka, która przyniosła chusteczki. Podała lekarzowi nową butelkę z żelem. – Zdjęłam ją z podgrzewacza?

Lena nie wiedziała, co było bardziej denerwujące – pytająca intonacja czy to, że nikt nie ogrzał pierwszej butelki.

Benedict najwyraźniej nie zauważył różnicy. Potrząsnął butelką i powtórzył:

– Trochę zimny.

Gdy żel wylądował na jej brzuchu, Lena spojrzała na Jareda. Znów puścił do niej oko. Poczuła, że głowica ultrasonografu uciska jej brzuch. Starła się nie myśleć o tym, jak jej sadło przetacza się z boku na bok. Zamiast tego wpatrywała się w monitor, w przesuwaną się po nim białą-czarne fałdy.

W życiu nie robiła czegoś równie głupiego. Lena rozumiała, dlaczego lekarz musi to oglądać, ale nie było powodu, żeby Jared patrzył, jak przewalają się jej wnętrzności. Na ich posterunku była sekretarka w ciąży, która oprawiała w ramki zdjęcia z kolejnych badań USG. Lena nie mogła przejść obok jej biurka, żeby nie śledzić rozwoju tej małej dziwacznej plamki, przywodzącej na myśl obcego, istotę pozaziemską. Czyżby w dzisiejszych czasach nic już nie było sprawą osobistą?

Benedict ściągnął brwi. Wpatrywał się w ekran, mocniej przyciskając głowicę do jej brzucha.

Lena wreszcie wypowiedziała te przerażające ją słowa:

– Czy coś jest nie tak?

Lekarz nie odpowiedział, przez co napięcie Leny wzrosło dziesięciokrotnie.

– Proszę posłuchać – odezwała się pielęgniarka. Przekręciła jedno z pokręteł w aparaturze. Z głośników dobiegał powolny odgłos wah-wah, brzmiący jak coś, co można by usłyszeć w filmie o podwodnym świecie.

Lena już myślała, że przegapiła to, co miała usłyszeć, gdy nagle pokój wypełniło szybkie bicie serca.

Jared gwałtownie wciągnął powietrze.

– Czy to... – Popatrzył na Lenę. – To serce. – Przycisnął dłoń do jej piersi, szukając serca. – Biję inaczej.

Miał rację. Serce Leny biło w zwyczajnym powolnym rytmie, podczas gdy serduszko dziecka przywodziło na myśl skrzydła kolibra trzepoczące o szybę.

– Widzi pani dziecko? – spytała pielęgniarka.

Lena spojrzała na monitor i zobaczyła wtuloną w fałdy małą czarną kropkę. Doktor Benedict przesunął głowicę i kropka zmieniła się w fasolkę. Lena widziała migające serce.

– Jasna cholera – wyszeptał Jared. – Jasna cholera.

W głowie Leny rozbrzmiewały te same słowa. Jak oni tego dokonali? Jak zdołali stworzyć coś tak doskonałego? Nie mogła oderwać wzroku od tej maleńkiej fasolki. Okrągłe brzegi, w środku wypukłość, która stanie się

zołądkiem. Wkrótce tej fasolce wyrosną prawdziwe ręce i nogi, a także głowa z małymi słodkimi oczkami i usteczkami jak półksiężyc.

Ale na razie to była tylko maleńka trzepocząca fasolka.

Jej własna.

Lena nigdy w życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku – oznajmił doktor Benedict. – Jest pani w szóstym tygodniu ciąży. Proszę przyjść za tydzień o tej samej porze. – Wcisnął jakieś przyciski na ultrasonografie. Zawarczała drukarka. Benedict wstał i podszedł do umywalki, żeby umyć ręce. – Dopilnuję, żeby dostali państwo płytę z nagraniem badania. Zdjęcie powinno być gotowe za kilka minut.

Jared nachylił się nad Leną i popatrzył jej w oczy.

– To jest to, kotku. Ty i ja, i początek wszystkiego.

Mózg Leny skwitował te słowa jako okropnie melodramatyczne, ale jej serce przyjęło to wszystko – łzy w jego oczach, głupkowaty uśmiech, dotyk jego palców splecionych z jej palcami, i zaczęło omdlewać.

– Nic już nie będzie takie samo – ciągnął Jared. – Pewnego dnia oboje będziemy siedzieć w pieluchach w domu spokojnej starości i wspominać tę chwilę, która wszystko zmieniła.

Lena położyła dłoń na jego policzku. Powiodła kciukiem po jego ustach, po czym łagodnie go odepchnęła. Nie zamierzała znowu płakać przy obcych.

Jared zrozumiał. Mrugnął do niej i odezwał się żartobliwie do doktora Benedicta:

– Dzięki, doktorze. Dobra robota.

– Proszę bardzo. – Benedict najwyraźniej nie lubił zbaczać z wytyczonej trasy. Wycierając ręce, przyglądał się pielęgniarce. – Zastępuje pani Margery, tak?

– Tak, panie doktorze. – Kobieta uśmiechnęła się ciepło i zaczęła ścierać żel z brzucha Leny. – Pracowałam już kiedyś w pana gabinecie? Jestem Cayla Martin?

16.

PIĄTEK

Mózg palił Willa wewnątrz czaszki. Mięśnie wciąż drżały od paralizatora. Ale przynajmniej jego ciało nie było już napięte niczym pięść. Dłonie i stopy nie były kurczowo zaciśnięte. Mógł rozprostować łokcie i kolana. Jednak mimo tych postępów podniesienie się do pozycji siedzącej wydawało mu się zadaniem niewykonalnym. Leżał na plecach na podłodze. Słyszał, jak na górze Cayla Martin chodzi tam i z powrotem po jednej z sypialni. W każdym razie zakładał, że to Cayla. Paul Vickery leżał związany i zakneblowany obok niego. Osoba, która krzątała się na górze, miała buty na obcasach.

Praca detektywistyczna.

Pulsujący ból w jego głowie musiał pochodzić od czegoś jeszcze, nie tylko od paralizatora. Will został już kiedyś potraktowany takim urządzeniem. Amanda twierdziła, że to był wypadek, ale jej rechot świadczył o czymś innym. Will poruszył ostrożnie głową. Bolące miejsce znajdowało się z tyłu. Zamrugał, zastanawiając się, ile to już razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin miał zaburzenia widzenia, jednak teraz nie mógł tego roztrząsać. Prawdę powiedziawszy, nie mógł teraz roztrząsać czegokolwiek, bo jego umysł znowu nie potrafił skupić się na jednej myśli.

Benjamin.

To jedno słowo nie dawało się zapomnieć. Benjamin jest na strychu. Nadal ma łańcuch wokół kostki. Will kazał chłopcu wysłać SMS-a do Faith. Gdzie ona jest, do diabła? Powiedziała, że radiowozy są już w drodze.

Will musi się stąd wydostać. Musi znaleźć policję, zanim Cayla zniknie. Paul Vickery jest nieprzytomny i to nie tylko dlatego, że Will go uderzył.

Z boku głowy ma głęboką ranę ciętą. Potrzebuje pomocy medycznej. Najwyraźniej, mimo podejrzeń Willa, Vickery nie współpracował z bandziorami. Mniej jasne było natomiast to, czy to wynik ostatnich wydarzeń, czy też nie.

Will spróbował usiąść. Jego mięśnie nie reagowały. Zdołał jedynie przewrócić się na bok. Wtedy zobaczył swoje nadgarstki. Zostały związane sznurkiem. Węzły były mocne. Sznurek wrzynał mu się w skórę. Will próbował poruszyć nogami. One także zostały związane w kostkach. Teraz wiedział przynajmniej, dlaczego nie ma czucia w palcach.

Mimo wszystko znów spróbował usiąść. Stopy mu się ślizgały. Dłonie nie mogły znaleźć punktu oparcia. Wreszcie tak się wykręcił, że zdołał jakoś usiąść. Musiał tylko na kilka sekund zamknąć oczy, żeby minęły mdłości. Gdy otworzył oczy, znów zrobiło mu się niedobrze.

Na kanapie siedział jakiś facet. Mierzył z glocka w głowę Willa.

Will nigdy nie spotkał detektywa DeShawna Franklina, rozpoznał go jednak dzięki zdjęciu w telefonie komórkowym Faith. Był zbudowany jak zawodnik drugiej linii, miał szerokie bary i nogi jak atleta. Zajmował aż dwie poduszki na kanapie Cayli. Pistolet wyglądał w jego dłoni jak zabawka, chociaż Will wiedział, że policyjny glock ma potężną siłę rażenia.

Znowu zerknął na Paula Vickery'ego. Nadal był związany. Zupełnie jak świnia przed ubojem. Co jednak nie wyjaśniało, dlaczego DeShawn Franklin mierzy z pistoletu do Willa.

Franklin opuścił glocka, opierając broń na kolanie.

– Paul przyjechał tu, żeby cię ratować.

Will nie dał mu tej satysfakcji i powstrzymał wiązaną przekleństwami cisnących mu się na usta.

– Moja partnerka go przysłała? – spytał.

– Twoja partnerka przysłała każdego, kto słuchał jej komunikatów. – DeShawn uśmiechnął się. – Dzięki, że załatwiłeś Paula, zanim ja tu dotarłem. Jest krewki, ale to uczciwy glina. Trudno byłoby mu wytłumaczyć, dlaczego muszę was obu związać.

Will zignorował tę uwagę. Musiał przyjąć, że system namierzający w jego telefonie przestał działać. Faith wie, że jest w domu Cayli. Wyśle radiowozy.

To tylko kwestia czasu, zanim do środka wpadnie dwudziestu gliniarzy.

Franklin chyba czytał Willowi w myślach. Odbierał mu jego nadzieje, jedną po drugiej.

– Powiedziałem glinom, że Paul i ja zabezpieczymy dom. Ostatnio widzieliśmy cię idącego pieszo w stronę lasu. Przeczesują teren po drugiej stronie autostrady – oznajmił. – Cała cholerna policja cię tam teraz szuka, synu.

Will potarł twarz. Palce miał zimne, pewnie dlatego że sznurek ściskający mu przeguby odcinał krążenie.

– Współpracujesz z Caylą?

– Oddaję przysługę staremu przyjacielowi.

Will miał poczucie, że Franklin wcale się z tego nie cieszy.

– Gdzie chłopiec?

– Ty mi to powiedz. W domu go nie ma. Nie ma go też w twoim bmw. – Znow się uśmiechnął, pokazując zęby. – Niezła bryka. W policji stanowej muszą wam płacić o wiele więcej niż nam w Macon.

– Ty jesteś Wielki Białas? – spytał Will.

Franklin zaśmiał się, szczerze rozbawiony.

– Ja jestem Wielki Czarnuch, do kurwy nędzy. Nie odróżniasz kolorów?

Will nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Kim jest Wielki Białas?

Franklin nie odpowiedział od razu. Popatrzył na glocka, obracając go w prawo i w lewo na kolanie.

– Przyjaźniłem się z jego synem. Chuck i ja dorastaliśmy razem. Ukończyliśmy akademię w tym samym czasie. Razem pieliśmy się w górę. On dostał belki porucznika przede mną, ale tak to czasem bywa.

Will pokręcił głową, starając się odświeżyć sobie pamięć.

– Osiem, może dziewięć miesięcy temu poszliśmy pobiegać. I nagle Chuckowi noga łamie się jak gałązka. Bez powodu, po prostu trzask i tyle.

Will słyszał już o takich przypadkach.

– Białaczką? – domyślił się.

- Widzę, że zaczyna ci się to układać w całość.
- Nie bardzo – mruknął Will.
- Chuck miał przejąć rodzinny interes. Ale teraz, gdy odszedł, kto wie?
- Chuck – powtórzył Will. To imię brzmiało znajomo.
- Myślałem, że wy, agenci stanowi, jesteście jednak bystrzejsi.
- Miałem parę kiepskich dni – powiedział Will.
- Słyszałem, bracie. I nie wygląda na to, że w najbliższej przyszłości będzie lepiej.

Will usłyszał, że na górze coś ciężkiego upadło na podłogę. Zbiegło się to z otwarciem się jakiejś klapki w jego głowie.

– Cayla Martin mówiła, że jeździła po Tamiami Trail z kolesiem o imieniu Chuck – powiedział.

Franklin się uśmiechnął.

– Może jednak nie jesteś aż tak głupi.

Will uświadomił sobie, że za plecami ma ścianę. Przesunął się do tyłu, by móc się o nią oprzeć. Odpoczynek dobrze mu zrobił.

– Naczelnikowi Grayowi niedawno umarł syn – powiedział. Przypomniał sobie coś, co Faith mówiła mu wczoraj rano. – Gray wybrał cię osobiście, żebyś przyjechał wraz z nim do Macon, kiedy przejął tutejszą policję.

Franklin czekał.

– Naczelnik Gray jest Wielkim Białasem – domyślił się Will.

Franklin nie skomentował tych słów, powiedział natomiast:

– Lonnie pracował w Jacksonville, ale mieszkał w Folkston. Ja, moja młodsza siostra i nasza mama mieszkaliśmy kawałek dalej. Nie było tam zbyt wielu czarnych dzieciaków, ale kiedy Lonnie zobaczył mnie siedzącego przy stole w jego jadalni, nawet nie mrugnął okiem.

– Ciesz się, że cię nie porwał i nie zgwałcił.

Pistolet poderwał się w górę. Franklin znów mierzył w głowę Willa.

– Nie wiedziałeś, że Lonnie lubi dzieci, prawda? – zapytał Will.

Franklin przez chwilę piorunował go wzrokiem. Wreszcie położył pistolet na kolanie.

– Wychowywał mnie dłużej niż mój własny ojciec. – Na jego twarzy odmalowało się obrzydzenie. – Nigdy nie słyszałem, żeby Lonnie mówił coś o dzieciach. Nigdy nie widziałem, żeby na nie patrzył, rozmawiał z nimi ani nic. Myślę, że tak jak Lonnie był dobry w mydleniu oczu obcym co do jednej rzeczy, tak jeszcze lepiej nabierał przyjaciół co do tej drugiej.

– Jak się poczułeś, kiedy się o tym dowiedziałeś? – chciał wiedzieć Will.

Milczenie Franklina mówiło samo za siebie.

– Być bezwzględnym dilerem i mordercą to jedno, a gwałcenie dzieci to zupełnie inna kategoria – powiedział Will. Widział, że Franklin się z nim zgadza. – To już przekroczenie granicy, prawda? Gdy wsadzasz kapsułkę w tyłek ćpuna, to tak jakby sam się o to prosił, ale dzieci są niewinne. One o nic się nie prosiły.

– Mówiłem ci, że nie wiedziałem.

– Denise Branson wiedziała.

– Kto by tam słuchał tej głupiej lesby?

Will powstrzymał się od uwagi, że ta głupia lesba przez cały czas miała rację.

– Lonnie był dla mnie Bogiem. Dla nas wszystkich. Nie miałem pojęcia, że jest... – Franklin nie mógł nawet wypowiedzieć tych słów. – Cieszę się, że Chuck tego nie dożył i nigdy się nie dowie. To by go zabiło jeszcze raz.

– A jak ty się dowiedziałeś?

– W tamtym domu – odparł Franklin. Miał na myśli melinę przy Redding Street. – Przed nalotem wysłałem tam swojego człowieka, żeby zlikwidował Wallera i jego zgraję.

Will domyślił się, że człowiekiem Franklina był Tony Dell. W tej rozgrywce nie było drugiego gracza, który byłby tak biegły w zabijaniu.

– I co zastał tam twój człowiek? – spytał Will.

– To, czego się spodziewaliśmy. Trzech z nich siedziało w pokoju od frontu i oglądało telewizję. Mój człowiek likwiduje ich po cichu, bez żadnego problemu. Schodzi do piwnicy w poszukiwaniu Wallera i zamiast niego znajduje tych dwóch chłopaczków. – Franklin pokręcił głową, a Will widział, że naprawdę to przeżywa. – Jeden z chłopców już nie żył. Po prostu tam

leżał, jak powiedział mój człowiek.

Will pomyślał o chłopcu na farmie Lili. Udawanie trupa oszczędziło mu niezliczonych dalszych nieszczęść.

– Drugi dzieciak ledwie dychał – ciągnął Franklin. – Mój człowiek przywiózł go tutaj, żeby Cayla się nim zajęła.

Will zastanawiał się, czy Franklin wiedział, w jaki sposób Cayla to robiła.

– Dzieciak zidentyfikował Wielkiego Białasa? – Franklin kiwnął głową, a Will starał się nie myśleć o tym, że Benjamin musiał czuć się bezpiecznie, bo Franklin miał policyjną odznakę. – Twój człowiek powiedział, że Wallera nie było w piwnicy?

– Zgadza się. Ale jak wychodził z dzieciakiem tylnymi drzwiami, usłyszał, że Waller wpada do środka frontowymi. – Franklin wzruszył ramionami. – Waller zbiegł na dół do piwnicy, żeby sprawdzić swoją kryjówkę. Mój człowiek zabezpieczył drzwi, uwięził go tam na dole i wyszedł.

– Dlaczego chciałeś zlikwidować zgraję Wallera przed nalotem?

Franklin wyraźnie nie kwapił się do odpowiedzi, lecz w końcu się przemógł.

– Bałem się, że Lenie stanie się krzywda.

Will musiał jakoś okazać swoje powątpiewanie, bo Franklin dodał:

– Nie jestem zwierzęciem, bracie. Mam dwie siostrzenice. Po śmierci taty pomagałem wychowywać moją siostrę. Wiedziałem, że Lee jest w ciąży. Cayla bierze zastępstwa w wielu gabinetach lekarskich. Słyszała, jak Jared mówi Lenie, że jego zdaniem Lonnie to Wielki Białas.

Will odtworzył sobie te słowa w głowie, chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiał.

– Cayla podsłuchiwała?

– Nie. Jared stał w otwartych drzwiach. Pół poczekalni słyszało, co wygaduje o Lonniem.

– I Cayla myślała, że on tak na poważnie rzuca podobną teorię przy wszystkich, w gabinecie lekarskim?

– Tak mówiła.

– A ty co myślisz?

– Że plótł bzdury. – Franklin wzruszył ramionami. – Jared lubi sobie pogadać. Jak te wszystkie dzieciaki z motocyklowego patrolu. Zgrywają ważniaków, ale nie mają o niczym pojęcia.

Przyswojenie tej informacji znów zajęło Willowi chwilę. Jeśli to, co mówił DeShawn, było prawdą, w takim razie Lena miała rację. To nie ona sprowadziła na nich to wszystko, tylko Jared Long.

– Czy Lena uwierzyła Jaredowi?

– Nie sądzę. W każdym razie nic o tym nie mówiła ani mnie, ani reszcie chłopaków – przyznał DeShawn. – Ale ona jest bystra, jak już raz coś zajarzy. Skoro Jared zasiał jej w głowie tę myśl, to może zacznie zwracać uwagę na rzeczy, których nie zauważała wcześniej. Musiałem ją czymś zająć. Była zaabsorbowana sprawą Wallera. Wiedziałem, że skwapliwie skorzysta z okazji, by go dopaść.

Will poczuł, że wreszcie wszystko układa się w całość.

– A więc Cayla mówi ci o rozmowie w gabinecie lekarskim. Sięgasz po dilerę prochów nazwiskiem Tony Dell. Tony zostaje aresztowany. Dwie godziny później donosi na Wallera i dostarcza Lenie dowody, których ona potrzebuje, żeby ruszyć na jego melinę.

– Wiem, że uważasz mnie za zimnego drania, ale próbowałem ją chronić – tłumaczył Franklin. – Gdyby Lena przymknęła Wallera, ugrzęzłaby w papierach na kolejne pół roku. Uznałem, że to by ją wyeliminowało z gry na czas ciąży, a potem może, kiedy już miałyby dziecko, uznałaby, że chce być mamą i już nie wróci do pracy.

Will zastanawiał się, czy w życiu Leny Adams był kiedyś choć jeden mężczyzna, który nie chciałby podejmować dla niej ryzyka.

– Lena straciła dziecko.

– Wiem – odparł Franklin z żalem. – Cayla dzwoniła do niej, usiłowała ją nakłonić, by wzięła trochę wolnego. Lena nie chciała jej słuchać. Ta dziewczyna nigdy nikogo nie słucha.

Z tym Will nie mógł się spierać.

– A co z Jaredem?

– Co z nim? Wypisuje mandaty i zmiata z jezdni pokruszone szkło z przednich szyb. Nie może wszcząć śledztwa.

– Lonnie Gray by tak tego nie zostawił – domyślił się Will. Widział na własne oczy, jak zawzięty potrafi być ten facet. – Ty mu nie powiedziałaś o tej rozmowie w gabinecie lekarskim, prawda? Zrobiła to Cayla. A Gray był bardziej przewidujący niż ty.

Franklin nie odpowiedział, ale obaj wiedzieli, że Cayla potrafi być podła. Franklin postanowił postawić ją w korzystniejszym świetle, mówiąc:

– Cayla chodziła z Chuckiem przez sześć lat. Trwała przy nim, kiedy umierał. Pod koniec zbliżyła się z Lonniem. Zależy jej na nim.

Will był tego pewny. Caylę ciągnęło do dramatu jak ćmę do światła.

– Dlatego właśnie tu jesteś, to ta przysługa dla starego przyjaciela.

– Nie mogę pozwolić, żeby ją zapuszkowali. Jestem to winien Chuckowi.

Will wiedział, że nawet przestępcy mają kodeks honorowy, wątpił jednak, czy Cayla Martin na coś takiego zasługuje.

– Lonnie nasłał tych zbirów na Lenę i Jareda?

Franklin kiwnął głową.

– I kazał im torturować Erica Haigha na śmierć.

Franklin sposepniał.

– Wyrzucili go, jakby był śmieciem.

– Lonnie próbuje posprzątać – stwierdził Will. – Zeszłego wieczoru zostałeś zaatakowany przed kinem. Ktoś strzelał do Vickery’ego. Tony Dell nadal działa. Wielki Białas nie spocznie, dopóki wszyscy nie zginiecie.

– Mnie Lonnie nie tknie. On szukał tych chłopców. Dowiedział się, że ktoś znalazł ich w piwnicy. Obaj widzieli jego twarz, wiedzą, kim jest. Nie mówię, że go popieram, tylko że to by go mogło załatwić.

– Czy to byłoby takie złe, gdyby ktoś wreszcie załatwił Lonniego? Powstrzymał go przed krzywdzeniem kolejnych dzieci?

Franklin wzruszył ramionami, niewątpliwie jednak mówił to wszystko nie bez powodu.

– Nie wiedziałaś o dzieciach aż do nalotu – stwierdził Will.

– No i?

– I zleciłeś zabójstwo Sida Wallera i jego ekipy, zanim dowiedziałeś się o dzieciach. – Will doszedł do wniosku, że Wielki Biały faktycznie chciał komuś przekazać swój patent na robienie interesów.

– Po śmierci Chucka wszystko się zmieniło – wyjaśnił Franklin. – Nie byliśmy już z Lonniem tak blisko. Z początku myślałem, że przez żalobę, potem jednak zorientowałem się, że to coś innego.

– Waller i Lonnie to pedofile. Nie robili tego dla pieniędzy. Lonnie podejmował ryzyko tylko wtedy, kiedy urabiał nowe dziecko.

– Masz rację – przyznał Franklin. – Tyle że dopiero po śmierci Wallera odkryłem, że robili to razem.

– Razem dręczyli dzieci?

– Wszystko robili razem. – DeShawn miał taką minę, jakby chciał splunąć, by pozbyć się obrzydliwego smaku z ust. – Lonnie powiedział, że nigdy tak dobrze się nie bawił.

Will domyślił się, że ci dwaj odbyli kilka długich rozmów, z których żadna nie była przyjemna dla DeShawna Franklina.

– To się zaczęło sypać jeszcze przed nalotem. Wiedziałeś, że coś jest nie tak. Widziałeś, że Lonnie i Waller bardzo się zbliżyli. Martwiłeś się, że Lonnie przekaze interes Wallerowi.

Franklin parsknął śmiechem.

– Nie martwiłem się, że tak się stanie. Wiedziałem już, że tak będzie. Lonnie powiedział mi o tym przed nalotem. Zanim Cayla usłyszała Jareda. Zanim jeszcze to wszystko się rozpętało, posadził mnie i oznajmił, że wygląda na to, że Waller lepiej sobie radzi w interesach. Chciał, żebym był pomocnikiem tego sukinsyna. I zachowywał się przy tym tak, jakby wyświadczał mi przysługę. – Franklin zaśmiał się z goryczą. – Chyba jednak nie kochał mnie jak syna.

– Kto cię nie kochał? – spytała Cayla Martin. Schodziła wolno po schodach, taszcząc ciężką walizkę. Za dużo do niej zapakowała. Nie miała siły jej nieść. Walizka spadła ze schodów i zatrzymała się dopiero przed frontowymi drzwiami.

Cayli najwyraźniej to nie przeszkadzało. Pokonała resztę schodów,

stapając ostrożnie na wysokich obcasach. Była wystrojona, w każdym razie Will miał takie wrażenie. Obcisła skórzana minispódniczka wyglądała na nową, a dobrana kolorem jedwabna bluzka miała taki dekolt, że widać było różowy łuk stanika.

– Zaczekaj w samochodzie – polecił jej Franklin.

– Ee-e. – Wyjęła z torebki paczkę papierosów. – Muszę powiedzieć, Bud, że naprawdę mnie wkurwiłeś tym, że wypuściłeś Benjiego.

Will spojrzał na Franklina, ale ten nie wyraził swojego zdania.

– Miałam już rodzinę w Niemczech, gotową zapłacić za niego trzydzieści tysiaków.

– Rodzinę? – Will nie wiedział, czy ona oszukuje jego, czy samą siebie.

– Dobrze, że mam chociaż ten cholerny bilet na samolot. – Włożyła papierosa do ust, ale go nie zapaliła. – Gdyby Shawn nie przyjechał po mnie do szpitala, mój słodki tyłeczek siedziałby już pewnie w pudle. Dobrze mówię, skarbie?

Franklin nie odpowiedział. Siedział na kanapie z taką miną, jakby uważał, że nigdy już nie zdoła z niej wstać. W jakiejś części nadal musiał być gliną. Usiłował chronić Lenę. Paul Vickery był związany, nie zamordowany. Franklin starał się jak mógł, żeby nie łączyć nazwiska Tony'ego Della z tą historią. No i był jeszcze niezaprzeczalny fakt, że Will nadal oddychał.

DeShawn Franklin miał już szczerze dość tego wszystkiego. Może sprawiły to dzieci. Może zdrada Lonniego Graya. Tak czy owak, miał dość.

– Cholera, Shawn. – Cayla najwyraźniej wyczuła jego wahanie. Podeszła do Franklina, kołysząc się na wysokich obcasach. – Wiesz, że musisz to zrobić.

Franklin sięgnął do kieszeni. Wyjął kluczyki od samochodu.

– Po prostu zostaw go na parkingu.

– O, do diabła, nie. – Cayla zaczęła kręcić głową. – Nie, proszę pana.

– Wyjeżdżasz z miasta – warknął Franklin. – Cokolwiek zrobię, to moja sprawa. To nie ma nic wspólnego z tobą. Dopilnuję, żeby nikt nie łączył twojego nazwiska z tą sprawą. Jestem to winien Chuckowi.

– Cholera, Shawn, nic nie możesz zrobić, a ja nie zamierzam jeść sznycli

wiedeńskich do końca swojego pieprzonego życia. – Cayla zapaliła zapalniczkę i przytknęła płomień do papierosa. – No już. Dokończ to i tyle. Nie mamy czasu na rozterki twojego sumienia.

– Nie zamierzam...

Cayla chwyciła glocka i strzeliła do Paula Vickery'ego cztery razy.

Huk wystrzału wypełnił niewielkie pomieszczenie. Powietrze drżało od hałasu. Ciało Vickery'ego szarpnęło się gwałtownie, gdy kule trafiły go w plecy.

Ręce Willa uniosły się ku jego twarzy. Kolana podciągnęły się w górę, jakby jakaś część jego mózgu sądziła, że jeśli cały się skuli, powstrzyma naboje. Czekał, aż Cayla wyceluje w niego broń. Czekał i czekał.

Ale nic się nie stało.

Will zerknął w górę, spodziewając się, że ujrzy tuż przed sobą wylot lufy glocka.

Tymczasem zobaczył, że Franklin odebrał Cayli broń. Oddychał ciężko, chociaż najwyraźniej nie musiał się z nią szarpać.

– Kurwa, Cayla! – wrzasnął. – Co to, kurwa, miało być?! – Uklęknął przy Vickerym. Przyłożył mu palce do szyi. – Zabiłaś go!

– I bardzo dobrze, skurwielu. – Papieros podskakiwał w jej ustach. – Słyszałam cię z góry, Shawn. Wszystko mu wyśpiewałeś. Nic dziwnego, że Lonnie nie chciał przekazać ci interesu.

– Przymknij się! – Franklin wymierzył pistolet w Caylę. – Weź się, kurwa, przymknij!

Papieros wypadł jej z ust.

– Zabieraj tę spluwę sprzed mojej twarzy.

– Powiedziałem, przymknij się! – Franklin przyłożył jej broń do piersi. – Mówiłem ci, żebyś pozwoliła mi to załatwić. Mówiłem ci, żebyś choć raz w tym swoim żalonym życiu stuliła pysk i pozwoliła mi zrobić to, co mam zrobić.

– A co niby chcesz zrobić, Shawn? – spytała Cayla. – Oddać się w ręce policji stanowej? Iść do glin i powiedzieć im, jak bardzo ci przykro?

– Stul pysk.

– Strzelisz mi prosto w pierś, Shawn? Czy to właśnie obiecałeś Chuckowi? Że mnie ukatrupisz? – Mimo tych mocnych słów cofnęła się o krok. – Wiesz, że musimy się go pozbyć, bo inaczej pójdzie prosto na policję.

– Nigdzie nie pójdzie! – wrzasnął Franklin. – To kryminalista. Jest na zwolnieniu warunkowym!

Will wbił wzrok w podłogę, żeby się nie zdradzić. Nie miał pojęcia, dlaczego Franklin podtrzymał jego przykrywkę.

I nigdy nie miał się dowiedzieć.

Tony Dell pchnął drzwi wahadłowe prowadzące do kuchni. Will nie wiedział, jak długo za nimi stał. Najwyraźniej usłyszał wystarczająco dużo.

Trzema krokami pokonał pokój i wbił nóż w szyję Franklina.

Franklin otworzył usta. Upuścił broń. Jedną rękę przyłożył do szyi, drugą usiłował przytrzymać rękojeść noża.

I wtedy Tony wyciągnął ostrze.

Krew trysnęła z rany jak z pistoletu na wodę.

Franklin upadł na jedno kolano. Usiłował zaczerpnąć powietrza. Will słyszał, jak jego oddech świszczę przez otwór w szyi.

– Jezus, Tony, dokończ to – syknęła Cayla.

Ale Tony nie chciał. Napawał się widokiem agonii Franklina. Krwi tryskającej z jego szyi. Drżeniem palców, które wyciągał po ratunek. Wreszcie DeShawn stracił równowagę. Całym ciężarem runął do przodu, kolano ześlizgnęło się do tyłu. Wyrznął ramieniem w podłogę. Krew utworzyła kałużę wokół głowy. Palce przestały drżeć. Pokój wypełniła ostra woń. Potężna pierś Franklina uniosła się, by po raz ostatni zaczerpnąć powietrza, którego już nie miał wypuścić.

I było po wszystkim.

– Cholera – wyszeptał Tony. – Chyba zesrał się w gacie.

Cayla walnęła go w tył głowy.

– Ile razy mam do ciebie dzwonić? Przysięgam na Boga, myślałam, że Shawn aresztuje mnie pod szpitalem. Mówiłam ci, że on się do tego nie nadaje.

– Może przestaniesz kłapać jadaczką i podziękujesz mi, że nadstawiałem karku, żeby tutaj dotrzeć? – Tony wytarł ostrze noża o dzinsy i schował narzędzie do buta. – Po drugiej stronie autostrady jest ze dwadzieścia radiowozów. Musiałem jechać okrężną drogą.

– Biedaczek. – Cayla podniosła z podłogi tłącego się papierosa. Wzięła glocka Franklina i cisnęła go do kuchni. – Zajmij się Budem i weź moją walizkę. Jeśli mamy jechać bocznymi drogami, spóźnię się na samolot.

– Cholera, nie musisz tam być cztery godziny przed czasem. Jesteś pasażerem, nie pilotem – warknął Dell.

– Leciałeś kiedyś międzynarodowymi liniami? – spytała. Mina Tony’ego mówiła sama za siebie. – Pospiesz się i nie zapomnij mojej walizki. – Otworzyła drzwi, ale nie wyszła. Podeszła do Willa i wsunęła palce do przedniej kieszeni jego spodni. Siedział tak nieruchomo, jak tylko mógł. Wyciągnęła kluczyki do bmw Sary. – Równie dobrze mogę zajechać tam z fasonem.

Tony klepnął ją w tyłek.

– O tak, kotku.

Cayla rzuciła Willowi nienawistne spojrzenie. Jej głos przeszedł ze zwykłego piskliwego zaśpiewu w skrzeczenie czarownicy.

– Zrób tak, żeby go bolało. Ten dupek kosztował mnie trzydzieści tysięcy. – I zatrasnęła za sobą drzwi.

W ciszy, jaka zapadła, Will słyszał dziwne mlaskanie. Po chwili uświadomił sobie, że to jego własny urywany oddech przeciska się przez rozchylone usta.

Tony pokręcił głową.

– Ta dziewczyna to niezły numer, mówię ci.

Will nie odpowiedział. Już dwa razy widział, do czego zdolny jest Tony Dell. Patrząc, jak dźgał nożem Erica Haigha, mógł myśleć tylko o tym, że za nic nie chciałby umierać w taki sposób. Teraz, gdy widział alternatywne rozwiązanie, nie był już taki pewny.

Tony westchnął ciężko.

– Wstawaj, Bud. Nie zabiję cię przecież na podłodze.

Will usiłował dźwignąć się na kolana. W końcu Tony chwycił go za łokieć i szarpnął w górę. Will próbował mu się wyrwać, ale to nie miało sensu. Ręce i nogi miał związane. Był w potrzasku. Umrze w tym domu, na tej podłodze, obok Paula Vickery’ego i DeShawna Franklina.

Jedynie, co przynosiło mu ukojenie, to świadomość, że Benjamin jest bezpieczny na strychu. Ma telefon Willa. Odnajdą go. Zabiorą do brata. Obaj chłopcy wrócą wkrótce do domu.

Tylko Sara zostanie z niczym. Will nadal oficjalnie jest mężem Angie Polaski. Sądów nie będzie obchodzić to, że nie widział jej od miesiąca, że wynajął prawnika od rozwodów, żeby ją wytropił. Jego żona nadal ma do niego wszelkie prawa – nie tylko do jego ciała, ale i do jego wspomnień. Angie dorastała razem z Willem. Dzięki wieloletniej bliskości wiedziała o nim więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Była jego puszką Pandory, która otwierała się tylko po to, by zadać mu ból.

Sara miała psa Willa, jego szczoteczkę do zębów i trochę ubrań, które zostawił w jej mieszkaniu.

– No. – Tony wyjął nóż z buta. – Miejmy to już za sobą. – Podsunął nóż pod nos Willa, żeby mógł mu się przyjrzeć. Najwyraźniej nauczył się tej sztuczki od tamtego oprycha. Podobnie jak wcześniej, zadziałała i teraz. Will poczuł, że skręcają mu się wnętrzności.

Tony uśmiechnął się, zadowolony z efektu.

– Boisz się, Bud?

Will usiłował przywołać Billa Blacka. Nie mógł umrzeć jako tchórz.

– Śmiało, zrób to, stary. Nie przeciągajmy tego.

Tony zawsze był przekorny. Opuścił nóż.

– Coś mi się widzi, że nieźle kogoś wkurzyłeś. – Wskazał twarz Willa. – Masz podbite oba lima i złamany nos. Wiem, że to nie robota Juniora.

Will przełknął ślinę. Gardło nadal go bolało. Pomyślał o whisky, do której wypicia zmusiła go Sara. Miała rację. Dzięki temu poczuł się lepiej. Cokolwiek robiła, od razu czuł się o wiele lepiej.

– Kto cię tak urządził? – zainteresował się Tony.

Will wiedział, że naprawdę chce poznać odpowiedź. To nie należało do

rytuału zabijania.

– Ten gliniarz. Dopadł mnie zeszłego wieczoru. Pobił mnie skurwiel. – Spojrzał na Paula Vickery’ego. – Chyba już więcej tego nie robi.

Tony się zaśmiał.

– A to dobre, Bud. Chyba już tego nie robi. – Czubkiem noża zaczął czyścić sobie paznokcie. Ostrze wbiło się w skórę pod kciukiem. Zamiast się wzdrygnąć, Tony patrzył, jak z ranki wypływa kropla krwi. – Skąd masz tę luksusową brykę?

Bmw Sary. Dowód rejestracyjny na jej nazwisko jest w przegródce na drobiazgi.

– Zwędziłem ją jednej babce w stołówce.

– Serio?

– Zostawiła kluczyki na stole. Wyszedłem na parking i tak długo wciskałem guzik na pilocie, aż znalazłem właściwy wóz.

– Niezła sztuczka. Muszę ją zapamiętać. – Tony ważył nóż w rękach, po czym zaczął go podrzucać. – Zastanawiałem się nad czymś, Bud. – Obejrzał się przez ramię, jakby chciał się upewnić, że są sami. – Nie jestem pedziem ani nic, ale widziałem, że wyszykowałeś się tam, na dole. – Wyjaśnił, o co mu chodzi: – W klubie, kiedy Denny kazał ci ściągnąć gatki.

Will pokręcił głową.

– To co?

– Mam wrażenie, że facet nie dba tak o siebie, o ile nie robi tego dla kobitki. Mam rację?

Will znów przełknął ślinę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że umrze, rozprawiając o swoich genitaliach.

Tony nadal podrzucał nóż.

– Cayla namówiła mnie kiedyś, żebym ogolił sobie jaja. Tak mnie swędziało, że myślałem, że je sobie urwę. – Wzruszył ramionami. – To, co ty zrobiłeś, jest chyba lepsze?

Will nie był pewny, czy to prawdziwe pytanie, czy tylko retoryczne.

Tony złapał nóż za rękojeść. Uśmiechnął się, jakby właśnie dokonał jakiegoś odkrycia.

– Nadal bujasz się w tej babce z Tennessee, co?

Will próbował wymyślić jakąś odpowiedź w stylu Billa Blacka, ale przypomniał sobie, że to jest dokładnie taka śmierć, jaka mogłaby spotkać faceta pokroju Billa Blacka.

– Tak – odparł. – Kocham ją. Tam właśnie się wybierałem, do Tennessee. Nie chcę, żeby moje dziecko dorastało bez ojca.

– Tak też myślałem. Chciałeś tylko wzbudzić jej zazdrość, co? Umawiając się z Caylą?

Will kiwnął głową

– Tak.

– Przyjechałeś tu, żeby powiedzieć to Cayli, prawda? Że między wami do niczego nie dojdzie?

– Wiem, że to twoja dziewczyna, Tony. – Will skorzystał z okazji, żeby wytłumaczyć, dlaczego tu jest. – W szpitalu usłyszałem, że jej szukają. Przyjechałem tu, żeby ją ostrzec, że przez jakiś czas nie powinna się wychylać. Chciałem ją chronić, na wypadek gdybyś ty nie mógł.

Tony poruszał szczęką, rozważając to wyjaśnienie.

– Prawdziwy z ciebie dżentelmen, Bud, że tak się o nią troszczysz – uznał wreszcie. – Zawsze wiedziałem, że dobry z ciebie chłop. – Urwał. – Ale o co chodzi z tym wyjazdem z miasta?

Will starał się nie wzdrygać przy przełykaniu śliny.

– Wybierałem się do Tennessee zaraz po tym, jak sprawdzę, co z Caylą. W Macon nic mnie już nie trzyma.

– Tak? Zamierzałeś złamać warunki zwolnienia?

– Tu się już robi za gorąco. Za dużo martwych gliniarzy. To tylko kwestia czasu, zanim gliny powiążą to wszystko ze mną.

– Zawsze możesz sypać.

– Ja nie donoszę na kumpli. I nigdy tego nie zrobię... – Will urwał, żeby nie zacząć błagać. Tony lubił, gdy się go błagało. – Chcę patrzeć, jak mój dzieciak dorasta. Nie mam powodów, żeby kiedykolwiek tutaj wracać.

– To naprawdę słodkie, Bud. Założę się, że byłbyś dobrym tatą.

– Zawsze o tym marzyłem – skłamał Will. Za dużo jest potworności, które mogą przydarzyć się dzieciom, żeby Will chciał mieć własne. Mimo to powiedział Tony’emu: – Mnie ojciec zostawił, jak byłem mały. Nie chcę robić tego samego swojemu dziecku.

Tony przyjrzał mu się uważnie. Wreszcie powiedział:

– Mnie też ojciec zostawił.

Wszystkie mięśnie w gardle Willa napięły się, żeby podtrzymać tę rozmowę, stworzyć jakąś fikcyjną opowieść o kobiecie z Tennessee i ich cudownym wspólnym życiu.

Wiedział, że już na to za późno. Tony skończył ze słuchaniem. Teraz próbował podjąć decyzję. Will widział to po sposobie, w jaki tamten wodził oczami tam i z powrotem, jakby czytał Willowi w myślach.

Wreszcie schował nóż do buta.

– Uważaj na górskich drogach.

Will poczuł, że jego usta się otwierają. Niespodziewanie wrócił do drobotliwy Tony.

– Słyszałem, że w Tennessee jest naprawdę ładnie. – Tony podszedł do drzwi, po czym przypomniał sobie o walizce Cayli. Musiał chwycić ją obiema rękami. – Cholera, chyba załadowała tam wszystko, co miała w domu.

Will nic nie mówił.

– Lubię cię, Bud – powiedział Tony. – Szkoda, że już nigdy się nie zobaczymy. – Rzucił Willowi srogie spojrzenie. – Prawda?

Will pokiwał energicznie głową.

– Prawda.

Tony wywleknął walizkę Cayli za drzwi. Nie zawracał sobie głowy zamykaniem ich za sobą.

Will poczuł, że się ślania, gdy słuchał, jak walizka szura po podłodze ganku, uderza o betonowe schody i chrobocze na podjeździe.

Tony i Cayla nie mogli sobie poradzić z kluczami Sary. Włączył się alarm, ale zdołali jakoś powstrzymać przeszywające wycie, zanim stało się zbyt głośne. Drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym otworzyły się

i zatrzasnęły kolejne. Kilka sekund później znów te same odgłosy.

Silnik zaczął pracować. Opony zazgrzytały, gdy Tony gwałtownie dodał gazu.

Ciało Willa powoli przyzwyczajało się do tego, że jednak nie zostanie zakłuty na śmierć.

Musiał się oprzeć na rękach i ciągnąć nogi po podłodze, żeby dotrzeć do frontowych drzwi. Zobaczył światła hamowania z tyłu bmw Sary, gdy wyjeżdżali z osiedla.

Will przysiadł na piętach. Zamknął oczy i po prostu oddychał. Serce waliło mu tak mocno, że niemal czuł, jak uderza o żebra.

Benjamin.

Chłopiec nadal był na strychu.

Will nie chciał go wołać, na wypadek gdyby Tony zmienił zdanie. Poza tym miał związane ręce i nogi. Nie bardzo mógł wbiec na górę i złapać chłopca, gdy ten zeskoczy przez właz.

No i na dole były dwa trupy. Benjamin widział już dość okropności, które i tak będą go prześladować przez resztę życia.

Paul Vickery leżał na boku. Rana w jego głowie przestała krwawić. W miejscu, gdzie sznurek wrzynał mu się w ciało, nadgarstki były jaskrawoczerwone.

Will przycisnął dłonie do podłogi i pełzł, myśląc, że porusza się jak gąsienica. Nie do wiary, że zaledwie przed kilkoma godzinami opowiadał tamtemu chłopcu futbolowy dowcip. Mały pewnie jest już w szpitalu Grady. Podobnie jak Sara. Jest bezpieczna. A tak naprawdę tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Will zatrzymał się przy ciele Vickery'ego. Sprawdził mu kieszenie, szukając telefonu komórkowego. Znalazł portfel, komplet kluczyków do samochodu i garść drobnych, ale komórki nie było. Poklepał pierś policjanta. Pod jego koszulą było coś twardego.

Vickery jęknął, a Will rzucił się do tyłu jak wąż, który już szykował się do ataku.

– Uch. – Vickery wyjął knebel z ust. Zaklął kilka razy, rozluźniając

kołnierzyk. Will zobaczył, że pod koszulą ma kamizelkę kuloodporną.

– Co tu się, u diabła, stało?

– Zostałeś postrzelony. – Will obejrzał plecy Vickery’ego. W kamizelce tkwiły cztery spłaszczone pociski.

– Przez ciebie?

– Nie. – Will przysiadł na piętach. – Widziałem cię zeszłej nocy na drodze, jak rozmawiałeś z Tonym Dellem.

Vickery zamrugał, jakby nic nie rozumiał.

– Nie, to nie ja.

– Biała honda. Zatrzymałeś się przy furgonetce Tony’ego.

– Wiesz, ile białych hond jeździ po drogach? – Vickery próbował przekręcić się na plecy. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś gliną?

– Bo nazbyt pochłaniało mnie przyjmowanie twoich ciosów.

Vickery zachichotał, jakby to było miłe wspomnienie, ale spojrzał na DeShawna Franklina i spochmurniał.

– Ufałem temu skurwielowi bezgranicznie.

Will nie powiedział, że prawdopodobnie miał rację.

– Gdzie twój telefon?

– W przedniej kieszeni. – Vickery usiłował do niej sięgnąć, ale sznurek mu to uniemożliwił.

Will wiedział, że kieszeń jest pusta.

Niechętnie podpełzł do ciała Franklina. Wraz z zatrzymaniem akcji serca krew przestała krążyć. Z rany w szyi już tylko kapało. Will starał się nie wzdrygać, gdy przeszukiwał ubranie Franklina. Nadgarstki miał praktycznie zlepione, co nie ułatwiało mu zadania. Zanim znalazł telefon w kieszeni koszuli Franklina, minęła wieczność.

Will odsunął się od trupa, zanim w ogóle spojrzał na komórkę. Z konieczności trzymał aparat w obu rękach. Przesunął kciukiem po ekranie. Zamiast klawiatury zobaczył ikonkę mikrofonu. Poniżej świecił się czerwony guziczek. Był też zegar odliczający sekundy, a pod nim pozioma kreska jak na monitorze pracy serca.

Ta kreska podskoczyła w górę i w dół, kiedy Will powiedział do Vickery'ego:

– Chyba nas nagrywał.

Vickery pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

Dwanaście minut, dwadzieścia trzy sekundy. Tyle czasu był włączony dyktafon. Franklin musiał go uruchomić, kiedy Will ocknął się po przygodzie z paralizatorem.

– Zadzwonisz do kogoś czy jak? – zapytał Vickery.

Will wcisnął czerwony guziczek. Zegar się zatrzymał. Nie znał systemu operacyjnego tego telefonu, na szczęście wszystkie są do siebie podobne. Dotknął kciukiem ikonki z domkiem. Dotknął symbolu słuchawki. Pokazała się klawiatura. Will wybrał numer Faith. Czekaając na połączenie, przyciskał rękę do twarzy.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Franklin, o co chodzi?

– To ja – powiedział Will. – Jestem w domu Cayli.

– Will? – Faith podniosła głos. – Sześćdziesięciu gliniarzy przetrząsa lasy, żeby cię znaleźć. Nie możemy namierzyć twojego telefonu.

– Ogłoś poszukiwania samochodu Sary. Tony Dell i Cayla Martin go ukradli. Jadą bocznymi drogami na lotnisko w Atlancie. Międzynarodowy terminal. Cayla wybiera się do Niemiec.

Faith nie zawracała sobie głowy zasłanianiem telefonu, gdy wydawała polecenia swojej ekipie. Kiedy skończyła, spytała Willa:

– Co z Benjaminem?

– Jest bezpieczny. – Will spojrzał na Paula Vickery'ego. Nadal mu nie ufał. – A co z tamtym drugim?

– Są w Grady. Sara dzwoniła ponad godzinę temu. Oboje są cali i zdrowi.

Will poczuł, że zalewa go potężna fala ulgi.

– Chłopiec zaczął mówić w karetce – dodała Faith. – Nazywa się Aaron Winser. Amanda miała rację. Jego rodzice mieszkają na Nowej Fundlandii. Toczą zażartą walkę o opiekę nad dziećmi. Ojciec pojechał na ryby. Mama sądziła, że to on porwał chłopców. Policja właśnie miała go aresztować. –

Faith chyba uświadomiła sobie, że mówi za szybko, i trochę zwolniła. – Rodzice już są w drodze do Atlanty. Jezu, Will, śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

– Zaczekaj. – Will nie mógł dłużej wytrzymać na kolanach. Nie chciał też siadać, więc wstał, opierając się o ścianę. Oczy Vickery’ego śledziły każdy jego ruch. Obaj usłyszeli w oddali syreny.

– Jak daleko są radiowozy? – zapytał Will.

– Pięć minut góra – odparła Faith. – Zadzwoń do Sary.

– Pewnie jest zajęta.

– Nie bądź idiotą.

Will usłyszał trzask, gdy się rozłączyła. Zerknął na Paula Vickery’ego. Nadal leżał na plecach, łokcie i kolana miał zgięte pod niewygodnym kątem.

– Pomożesz mi? – spytał. – Kurewsko mnie boli.

– Rzeczywiście wygląda dość niemiło. – Will poczuł, że sznurek wrzynający mu się w kostki odrobinę się poluzował. Po kilku nieudanych próbach odbicia się Will pokicał do kuchni.

– Dokąd idziesz? – krzyknął Vickery. – Wracaj tu!

Will zatrzymał się dopiero, gdy zamknęły się za nim wahadłowe drzwi. Oparł się o blat, żeby złapać oddech. I żeby się przytrzymać, bo kicanie ze związanymi nogami było trudniejsze, niż sądził.

Na telefonie DeShawna Franklina pojawił się wygaszacz ekranu – zdjęcie dwóch dziewczynek z uszami Myszki Miki. Will nie chciał myśleć o tym, że ktoś będzie musiał powiedzieć jego siostrzenicom, co się stało. Przesunął palcem po ekranie i wybrał numer Sary.

Była przyzwyczajona do odbierania telefonów od nieznanymi rozmówców dzwoniących na jej służbowy numer. Mimo to, gdy odebrała, w jej głosie słychać było napięcie:

– Doktor Linton.

– Nic mi nie jest – powiedział Will tonem, który świadczył o czymś dokładnie odwrotnym.

– Jesteś pewny?

– Tak. – Teraz, gdy miał ją na linii, Will poczuł, że wszystko zaczyna do

niego wracać. Sara po raz kolejny go uratowała. Gdyby nie dbał tak o siebie ze względu na nią...

– Will?

– Wszystko w porządku. – Nadał głosowi mocniejsze brzmienie. – Po prostu mam w tej chwili trochę związane ręce. – Starał się nie rozeźmiać z własnego dowcipu, wiedząc, że Sara nie uznałaby tego za szczególnie zabawne. – Nie wiem natomiast, co z twoim samochodem.

– Słonko, myślisz, że obchodzi mnie mój samochód?

Will miał nadzieję, że jej nastawienie się nie zmieni, kiedy włączy wiadomości i zobaczy swoje bmw ścigane na drodze międzystanowej numer 75.

– Jesteś w szpitalu?

– Jestem w domu. Denise mnie podwiozła, kiedy Amanda przesłuchiwała chłopca. Potem miała wrócić do Grady, żeby zostać z Aaronem, dopóki nie przyjadą jego rodzice. Faith ci powiedziała?

– Tak. – Will zamknął oczy. Napawał się myślą, że Sara jest już bezpieczna w domu. – Co robisz?

– Leżę na kanapie. Zamierzałam wziąć prysznic, ale czuję się tak, jakby przejechała po mnie ciężarówka. Jestem zbyt obolała, żeby się ruszyć.

Will pomyślał o poprzednim wieczorze.

– To przeze mnie?

– Trochę też – przyznała. – Jak myślisz, kiedy wrócisz do Atlanty?

– Przyjadę wieczorem. – Will postanowił w tym momencie, że rzuci pracę, jeśli tylko w ten sposób mógłby spełnić tę obietnicę. – Zadzwoń do ciebie, jak już będę dojeżdżał. – Zakrył dłonią dolną część telefonu, co przy ściśniętych nadgarstkach było dość łatwe. Mimo to ściszył głos, kiedy powiedział:

– Chcę, żebyś naląła wody do wanny, jak zadzwonię.

Wydawała się zdziwiona, ale powiedziała: „Dobrze”.

– Kiedy przyjadę, chcę, żebyś weszła do wanny razem ze mną.

Tym razem jej „dobrze” było zupełnie inne.

– Wtedy pogadamy.

Jej głos znów się zmienił.

– Tylko pogadamy?

– Odpowiem na każde pytanie, które mi zadasz.

– Na każde? – powtórzyła. – Woda robi się zimna.

– Zagrzejemy ją. Mówię poważnie, Saro. Koniec tajemnic. – Will wyrzwał przez kuchenne okno i zobaczył radiowóz wzbijający w oddali tumany kurzu. Jego determinacja zaczęła słabnąć. Miał poczucie, że balansuje na linie. Dłonie miał tak śliskie, że z trudem mógł utrzymać telefon.

Mimo to zdołał jeszcze wydusić to, co powinien był jej powiedzieć na samym początku:

– Ufam ci.

Sara nie odpowiedziała, ale słyszał jej oddech.

Will poczuł, że ściska go w gardle. Pewnie powinien zakończyć tę rozmowę. Chciał to zrobić, zapytał jednak:

– I co myślisz? Czy to dobry pomysł?

– Kotku – to słowo zabrzmiało jak westchnienie – myślę, że to doskonały pomysł na rozpoczęcie reszty naszego życia.

MACON W STANIE GEORGIA
PIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Lena siedziała przy stole naprzeciwko kolejnego śledczego z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Biało-czarny strój Brocka Pettersona przypominał jej kobietę, która przesłuchiwała ją przed tygodniem. Lena zastanawiała się, czy takie są wymagania dotyczące stroju w tym wydziale, czy też oni wszyscy potajemnie pracują na nocną zmianę w Olive Garden. Jeśli zarabiają podobnie jak Lena, to całkiem zrozumiałe.

– Detektyw Adams? – odezwał się Patterson. Widocznie zadał jej jakieś pytanie. Lena przestała słuchać uważnie, kiedy rozgryzła już oparty na ciągłym powtarzaniu system tego przesłuchania. Co dwadzieścia minut wszystko się zerowało i Patterson zadawał jej te same pytania co wcześniej, tylko nieco inaczej sformułowane.

„Kiedy znalazła pani chłopca?”

„Znalazła pani chłopca – kiedy?”

„Gdzie był chłopiec, kiedy go pani znalazła?”

Chłopiec. Aaron Winsler. Był już bezpieczny, wszyscy jednak nadal bali się wymawiać publicznie jego imię i nazwisko.

Prawdę powiedziawszy, Lena nie chciała już nigdy więcej myśleć o tym chłopcu. Nie ze złości, po prostu tak nakazywał jej instynkt samozachowawczy. Przez cztery dni odtwarzała wszystkie koszmarnie szczegóły tamtego nalotu – trupy, zimny strach w dole brzucha, gdy toczyła z Sidem Wallerem pojedynkę na spojrzenia. I najgorsza część, ta, którą pominęła podczas pierwszego przesłuchania – znalezienie chłopca.

Nadal miała koszmary, w których powracał ten moment, gdy odchyliła boazerię w piwnicy i zobaczyła dwoje wpatrzonych w nią przerażonych oczu. Źrenice Aarona były czarne jak węgiel i osadzone w czerwonej bieli. Kiedy wyjęła go z tej dziury, nie powiedział ani słowa. Był taki lekki. Jak kocyk. Tulila go w ramionach i przemawiała do niego czule. Nigdy nie miała silnego instynktu macierzyńskiego, ale z Aaronem wyszło to naturalnie. Gładziła go po włosach. Przyłożyła usta do jego suchego czoła. Trzymając dłoń pod plecami chłopca, czuła przyspieszone bicie jego serca i myślała o swojej maleńkiej fasolce, na zawsze zachowanej w pliku ze zdjęciem z USG, który trzymała w komputerze na posterunku.

– Detektyw Adams? – powtórzył Patterson. – Zechce się pani skupić?

– A nie może pan po prostu zajrzeć do notatek i przepisać tego, co powiedziałam za pierwszym razem?

– Za pierwszym razem, kiedy była pani przesłuchiwana, czy kiedy po raz pierwszy powiedziała pani prawdę?

Trafiony, zatopiony.

Lena opadła na oparcie krzesła. Było celowo niewygodne, pokój zimny: pomalowane cegły z żużlobetonu, przybrudzone przy winylowych listwach przypodłogowych. Popatrzyła w lustro za plecami Pattersona, zastanawiając się, kto obserwuje ich z drugiej strony. Jej ostatnie spotkanie z Wydziałem Spraw Wewnętrznych odbywało się w sali konferencyjnej. Lena domyślała się, że teraz, kiedy Lonnie Gray siedzi w więzieniu, wszyscy jego podwładni są traktowani inaczej.

Na stole stała opróżniona do połowy butelka coli. Lena upiła długi łyk, po czym ją odstawiła.

– Niech mi pan powie, dlaczego to się stało.

Kąciki ust Pattersona powędrowały w dół. Wyglądał jak ucieleśnienie emotikonu z niezadowoloną miną.

– Nikt nie chce mi powiedzieć, dlaczego Jared i ja zostaliśmy zaatakowani – powiedziała Lena. – Czy to z powodu chłopca? Myśleli, że wiem, gdzie on jest?

Jak było do przewidzenia, Patterson nie uległ.

– Zadawanie pytań jest moją rolą.

– A czy naprawdę moją rolą jest na nie odpowiadać? – spytała Lena. Miała już dość tej niewiedzy. Myślała tylko o tym. Co takiego zrobiła, że ściągnęła na nich ten koszmar? Jaki głupi błąd popełniła? Jakiego dupka wkurzyła? – Mój mąż o mało nie został zabity – przypomniała Pattersonowi. – Zostałam zaatakowana we własnym domu. Nie uważa pan, że należy mi się jakieś wyjaśnienie?

– Dochodzeniem w sprawie ataku zajmuje się moja koleżanka. Jak pani wie, spotkaliśmy się tu dzisiaj z innego powodu. – Patterson miał kamienną twarz bankiera odmawiającego udzielenia pożyczki. – Pani współpraca ma nam pomóc...

– W czym? – przerwała mu. – Nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego. Wykonywałam jedynie rozkazy dowódcy.

– Skłamała pani pod przysięgą.

– Czyżby? – Lena się uśmiechnęła. Była na to zbyt ostrożna. Pierwsza oficer śledcza nie pytała ją o chłopca. A o ile Lena wiedziała, nie ma żadnego prawa, które nakazywałoby dobrowolnie udzielać informacji.

Patterson rozparł się na krześle, wyraźnie starając się naśladować jej swobodną postawę.

– Oboje jesteśmy po tej samej stronie, detektyw Adams. – Silił się na rozsądny ton, chociaż oboje wiedzieli, że jest żywo zainteresowany wynikiem tego śledztwa. Jeśli zdołałby wyplenić jeszcze paru złych gliniarzy, czekał go awans. Zresztą od początku jasno dawał Lenie do zrozumienia, że jej nie ufa. – Chcemy mieć tylko pewność, że oskarżenia wobec pana Graya mają wystarczająco mocne podstawy. Wydaje mi się, że jest to naszym wspólnym celem.

– Wobec pana Graya – powtórzyła Lena. Nikt nie nazywał go już naczelnikiem. Nikt się do niego nie przyznawał. – Moim celem jest jak najszybszy powrót do męża. A tak w ogóle, czuje się już lepiej. Dziękuję, że pan pyta.

Patterson przycisnął podbródek do piersi. Robił to, ilekroć Lena się stawiała i czuł się przyparty do muru.

– Zaraz wracam. – Wstał. – Może pani skorzystać z łazienki, jeśli pani potrzebuje.

Kiedy wychodził z pokoju, Lena zasalutowała. Niewątpliwie szedł naradzić się z osobą, która znajdowała się za lustrem weneckim. Lena domyślała się, że to Amanda Wagner. Pani wicedyrektor z pewnością szczyliła się tym, że aresztowała Lonniego Graya, chociaż prawda była taka, że na najwyższe uznanie zasłużył Will Trent. To on ryzykował życie.

I to on powstrzymał Lenę przed zabiciem człowieka.

Chociaż miewała już krew na rękach, rozprawienie się z tymi dwoma oprychami, którzy wtargnęli do jej domu, to było co innego. Jeśli zbyt długo o tym myślała, żądza krwi wracała. Czowała, jak wzbiera jej w gardle. Mięśnie się napinały. Dłonie zaciskały w pięści. Nawet stojąc na OIOM-ie przy łóżku Jareda, walczyła z odruchem, by zejść piętro niżej i wykończyć potwora, który chciał zabić jej męża.

Ale mu się nie udało.

Jakimś cudem lekarz twierdził, że Jared wróci do zdrowia. Czeka go kilka miesięcy rehabilitacji, ale ma po swojej stronie zdrowie i młodość. Oczywiście teraz te same atuty działają na jego niekorzyść. Odkąd Jared wrócił do domu, minęło niecałe trzydzieści sześć godzin, a już go rozsadzało – za często wstawał, za dużo się ruszał, za bardzo wtrącał w sprawy Leny.

Korciło ją, żeby wysłać go do matki. Nie nienawidziła już tej kobiety aż tak bardzo, bo tylko dzięki Darnell Long miała normalną kuchnię. Na szczęście matka Jareda zdawała się rozumieć, że ich rozejm najlepiej działa na odległość. Wyjechała już do Alabamy. Jeśli Lena będzie miała szczęście, Nell wróci do Macon dopiero na proces.

Chociaż, zdaniem Leny, być może wcale do procesu nie dojdzie. Właśnie tego ranka Fred Zachary, drugi napastnik, zawarł ugodę z sądem w zamian za wydanie oprychów z Tipse's. Na razie oprychy odmawiały składania zeznań, ale najpewniej było tylko kwestią czasu, kiedy zdecydują się na współpracę.

Pozostawał więc tylko Tony Dell, a Pan Szpicel postawił sprawę jasno: nie chce ugody. Przyznał się, że był na ulicy tamtej nocy, kiedy Jared został postrzelony. Przyznał się, że zadźgał na śmierć Erica i DeShawna. Potwierdził wszystko to, co DeShawn powiedział Willowi Trentowi o Wielkim Białasie i Sidzie Wallerze. Właściwie pogrzyzył wszystkich, w tym siebie. Nie minie dużo czasu, a ktoś uzna, że Dell powinien przestać gadać. Lena sądziła, że on planuje samobójstwo. Bo prawda była taka, że Tony Dell

nie miał nic do stracenia.

Policja z Atlanty złapała Della i Caylę Martin przed międzynarodowym terminalem lotniska Hartsfield-Jackson w Atlancie. Dell był oczywiście psychopata, ale miał jednak instynkt samozachowawczy. Wiedział, że to koniec pieśni. Podniósł ręce i wysiadł z samochodu.

Cayla Martin nie chciała poddać się tak łatwo. Wskoczyła za kierownicę i usiłowała wymknąć się obławie. Niestety, ruszyła w niewłaściwym kierunku. Lena zastanawiała się, co działo się w głowie pielęgniarce, kiedy zobaczyła autobus pędzący prosto na nią. Zgodnie z raportem z wypadku, od momentu, kiedy Martin próbowała skrócić kierownicę, do czołowego zderzenia upłynęły dwie sekundy. Lena wiedziała, jakie to uczucie, kiedy człowiek myśli, że zaraz umrze. Dwie sekundy to wieczność. Martin nie zapięła pasa. Prawdopodobnie kolejna sekunda minęła, kiedy wleciała do autobusu głową naprzód i skręciła sobie kark na jednym z oparc.

Lena nie mogła powstrzymać myśli, że najlepsza w tym wszystkim była nie brutalna śmierć Martin, tylko to, że warte sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów bmw Sary Linton zamieniło się w najdroższą na świecie kostkę Rubika.

Śmiech łaskotał Lenę w gardle, gdy wstała z krzesła. Zaczęła chodzić po pokoju, starając się nie liczyć kroków, bo wiedziała, że to pomieszczenie ma cztery metry wszerz i trzy metry wzdłuż. Popatrzyła w kamerę. Uśmiechnęła się, chociaż miała ochotę warczeć. Chciała przebrnąć przez ten stos papierów na biurku. Chciała sprawdzić, co z Jaredem. Chciała jechać do domu i robić rzeczy, dzięki którym czuła się normalna: generalne porządki, pranie, zadbanie o ogród przed domem. Zima czaiła się tuż za rogiem. Lena powinna pewnie powyrywać petunie, ale teraz nie potrafiłaby uśmiercić czegokolwiek.

Była ostatnio na zbyt wielu pogrzebach.

Ciało DeShawna Franklina zostało bezceremonialnie spalone w krematorium pod Macon. Poza pracownikiem zakładu pogrzebowego Lena była jedyną żegnającą go osobą. Jego siostra nie chciała, by dzieci w tym uczestniczyły. Była żona się do niego nie przyznawała, a obecna nie chciała pokazywać się publicznie. Jared nie chciał, żeby Lena tam jechała, ale też nie próbował jej powstrzymać. Popełniła w życiu wiele błędów. Uznała, że pod koniec DeShawn próbował postąpić właściwie. Włączył dyktafon

w telefonie. Lena nie знаła całego nagrania – nikt na posterunku go nie znał – najwyraźniej jednak DeShawn dostarczył Willowi Trentowi wystarczająco dużo dowodów, żeby rozbić całą organizację Wielkiego Białasa. Chociażby z tego powodu DeShawn zasłużył na to, by choć jedna para życzliwych oczu patrzyła, jak odchodzi do Stwórcy.

Pochówek Erica Haigha był zupełnie inny. Tuż przed pogrzebem wczoraj rano policja stanowa uwolniła go od podejrzeń, tak więc miał uroczystą ceremonię z oficerami w galowych mundurach i pełną eskortą policyjną. Lena przypuszczała, że nie ona jedna spośród policjantów myślała o tym, że ostatnio wszyscy razem byli na pogrzebie Chucka Graya. Syn Lonniego zmarł na białaczkę trzy miesiące temu. Lena płakała na cmentarzu – nie dlatego, że lubiła Chucka, który był dokładnie takim zepsutym dupkiem, jak można się tego spodziewać po synu naczelnika – ale dlatego, że tak bardzo współczuła Lonniemu Grayowi.

Wyobrażała sobie, jak teraz Lonnie się nad sobą użala. Broniła go wprawdzie znakomita kancelaria prawnicza, ale chociaż Lonnie był bardzo sprytny, popełnił jeden potworny błąd. Lena doszła do wniosku, że zgubiła go arogancja. Nigdy nie brał pod uwagę ewentualności, że GBI przechwyci jego domowy komputer. Nawet bez morderstw, porwań i handlu narkotykami policja stanowa znalazła na twardym dysku naczelnika tyle dziecięcej pornografii, że można by go skazać na sto lat więzienia.

Głupi chory skurwiel.

W zeszłym miesiącu Lena startowała razem z Lonniem w biegu na dziesięć kilometrów. Zbierali pieniądze na badania nad białaczką. Lonnie był od niej trzydzieści lat starszy, ale do mety przybiegł pierwszy. Lena rozkoszowała się wyobrażaniem sobie, jak jego silne serce odlicza swym biciem czas odsiadki do końca żałosnego życia. Miała nadzieję, że jakiś wielki wredny zbir zrobi Lonniemu Grayowi dokładnie to samo, co on zrobił Marie Sorensen i wszystkim innym biednym dzieciom. Lena miała nadzieję, że będą mu to robić w każdej sekundzie każdego dnia, aż Lonnie padnie z wyczerpania. A potem – miała nadzieję – podniosą go i zaczną od początku.

Lena chciała myśleć, że uwięzienie Lonniego pomoże matce Marie Sorensen i rodzinie Winserów lepiej spać w nocy, wiedziała jednak

z doświadczenia, że niektóre demony nigdy nie odchodzą.

Drzwi znowu się otworzyły. Patterson stał, trzymając dłoń na klamce. Nie wszedł do pokoju. Wyglądał na bardzo zirytowanego, a jego mina powiedziała wszystko, co Lena chciała wiedzieć.

– Coś mi się zdaje, że szczur nie dostał sera – odezwała się.

Nie czekała na odpowiedź Pattersona. Przecisnęła się obok niego, obnażając zęby, podobnie jak wcześniej do kamery. Wiedziała, że nie powinna przeginać, że tak naprawdę nic nie uszło jej płazem, jednak ilekroć ktoś wychodził z przesłuchania w Wydziale Spraw Wewnętrznych, nie tracąc odznaki, był to powód do świętowania.

Lena poczuła, że jej uśmiech gaśnie gwałtownie, kiedy zobaczyła Denise Branson stojącą na korytarzu. Wiedziała, że jest w budynku, modliła się jednak żarliwie, żeby już nigdy w życiu nie musiała oglądać tej kobiety. Swoją drogą jeszcze nigdy w życiu żadna modlitwa Leny nie została wysłuchana.

Ani też jeszcze nigdy w życiu nie widziała Denise Branson tak zmieszanej. Trudno było na nią patrzeć. Przesępowała z nogi na nogę. Nie patrzyła Lenie w oczy. Towarzyszyła jej aura upokorzenia, jakby w ciągu ostatnich czterech dni została zgnojona tyle razy, że zapomniała, jak się po tym pozbierać.

– Pani Branson? – odezwał się Patterson.

W jego tonie słychać było wzgardliwą nutę, która nie spodobała się Lenie. Gdyby milczał, Lena prawdopodobnie już nigdy nie porozmawiałaby z Denise. Ale w tej sytuacji zagadnęła ją:

– Chcesz skorzystać z łazienki?

Denise zaskoczyło to pytanie. Mimo to kiwnęła głową i obie udały się w jedyne miejsce, w które Brock Patterson nie mógł za nimi pójść. Gdy drzwi toalety zamykały się za nimi, Lena zobaczyła jego zawiedzioną minę.

Denise od razu przeszła do rzeczy. Mówiła wyćwiczonym tonem osoby, która przywykła do przeproszania.

– Przepraszam. Nie mam usprawiedliwienia dla tego, co ci zrobiłam.

– Ale? – ponagliła ją Lena.

– Żadnych „ale” – ucięła Denise stanowczo. Jej dawna buta zniknęła. – Wprowadziłam cię w błąd w związku z tym chłopcem. Wciągnęłam cię w to wszystko bez twojej wiedzy. Przez mnie wewnętrzni wzięli cię pod lupę, a ty nie zrobiłaś nic złego.

– Czy usiłowali zabić mnie i Jareda, ponieważ sądzili, że wiem, gdzie jest chłopiec?

Denise pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Lee. To bez sensu, że napadli na was, a nie na mnie.

Lena wciąż dochodziła do tego samego wniosku. Była jak pies goniący własny ogon.

– Komu jeszcze powiedziałaś o chłopcu?

– Przyjaciołom. Ludziom, którym mogłam zaufać.

– Sądziłam, że ja też jestem przyjaciółką, której możesz zaufać.

Tym razem Denise miała usprawiedliwienie:

– Wydawało mi się, że cię chronię.

– Kłamiesz – prychnęła Lena. – Nie ufałaś nikomu w pracy. Ani mnie, ani Lonniemu. Wiedziałaś, że coś jest nie tak. Podejrzewałaś, że w wydziale jest wtyka, i myślałaś, że to może być każdy, od góry do dołu.

Denise westchnęła ciężko. Sprawiała wrażenie, jakby nie miała już siły, żeby się spierać.

– Podejrzewałaś, że Lonnie to Wielki Biały? – spytała Lena.

– Nie wiem. – Lena widziała po minie Denise, że mówi prawdę. – Wydawało mi się dziwne, że Wielki Biały zawsze wiedział, co się szykuje. Myślałam, że może to jedna z sekretarek Lonniego albo ktoś z twojego zespołu przekazuje mu poufne informacje.

– Albo ja?

Denise utkwiała wzrok w jakimś punkcie za plecami Leny.

– Nie myślałam tak, ale stawka była zbyt wysoka, żeby podejmować ryzyko.

Lena przyglądała się Denise Branson, nie po raz pierwszy mając wrażenie, że patrzy na siebie samą sprzed pięciu lat. Tamta dawna Lena próbowałaby

działać sama. Nie ufała nikomu. Nie szukała niczyjzego wsparcia. Nigdy nie prosiła o pomoc. Uważała, że na całym świecie była tylko jedna osoba, która mogła załatwić wszystko, jak należy. Nawet dzisiaj te wszystkie skłonności nadal w niej tkwiły. Lena poświęcała sporo czasu i energii na zwalczanie podłych odruchów. Czasem jej się to udawało. Często przegrywała. Pocieszała się myślą, że przynajmniej próbowała.

– Słyszałam, że Lonnie był w biurze burmistrza, kiedy go złapali. Wyprowadzili go z ratusza głównymi drzwiami, tak że wszyscy mogli go zobaczyć – powiedziała Lena.

Denise uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej znała już tę historię.

– Aresztowała go ta blondynka, agentka Mitchell. Założę się, że przez cały czas wbijała mu kolano w tyłek.

Lena nie wątpiła w to ani przez chwilę.

– Gdyby Lonnie był choć w połowie takim twardzielem, za jakiego się podawał, znalazłby jakiś sposób, żeby się zabić i oszczędzić sądom fatygi.

– Daj mi, kurde, nóż, a sama to zrobię.

– Ustaw się w kolejce. – Lena westchnęła przeciągle. – Nie mogę tracić więcej czasu na tego łajdaka. Jak się mają chłopcy?

Twarz Denise rozjaśniło coś, co można by opisać jedynie jako czystą radość.

– Mają się dobrze, Lee. Sama oddałam Aarona jego mamie. Jest otoczony rodziną. Znow są razem z bratem. Będzie im ciężko, ale mają siebie nawzajem.

I znow Lena miała to dziwne wrażenie, że patrzy na samą siebie. Te wszystkie piłeczki, którymi żonglowałaś, były tego warte, o ile umiałaś utrzymać je w górze. Patrzenie, jak latają w powietrzu, dawało większego kopa niż jakikolwiek narkotyk dostępny na ulicy. Oczywiście ta euforia nie trwała wiecznie. Nikt nie może żonglować tyloma piłeczkami w nieskończoność. Kiedy za pierwszym razem któraś spadła, miałaś ochotę umrzeć. Za drugim razem – czułaś się podle. Za trzecim czy czwartym po prostu znajdowałaś inną piłeczkę, którą mogłaś podrzucać, i przechodziłaś nad tym do porządku dziennego.

Lena upuściła w swoim życiu tyle piłeczek, że już straciła rachubę.

– Wybaczam ci – powiedziała do Denise.

Denise wyglądała na zdziwioną, a potem na nieufną.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – wyznała Lena. Sama była żywym dowodem na to, że warto czasem skorzystać z drugiej szansy, ale jakoś nigdy dotąd nie było jej stać na to, by dać tę możliwość komuś innemu. Utrata Jeffreya Tollivera dużo ją nauczyła, ale wizja utraty Jareda rozwaliała ją kompletnie.

– Chcesz to sobie przemyśleć? – zapytała Denise.

– Nie. – Lena przedstawiła nagą prawdę, bez upiększeń. – DeShawn i Eric nie żyją. Lonnie okazał się szatanem. Paul złożył podanie o pracę w policji w Atlancie. Jared o mało nie zginął. – Lena poczuła, że ma gulę w gardle. Nie umieściła na tej liście swojej fasolki, ale to wspomnienie wciąż było bolesne. – Chyba po prostu nie mogę sobie pozwolić, by stracić jeszcze kogoś.

Denise nadal była sceptyczna.

– To prawdopodobnie moja wina, że ty i Jared o mało nie zostaliście zabici. Przeze mnie mogli cię zwolnić. Wyłącznie łasce boskiej zawdzięczasz to, że te dupki z wewnętrznego ci uwierzyły.

– Myślisz, że mi wierzą? – zaśmiała się Lena. – Nie jestem teraz na ulicy ani w celi więziennej tylko dlatego, że nie mogą mi niczego udowodnić. – Podeszła do umywalki i odkręciła kran. Woda była lodowata. Lena schyliła się i napiła prosto z kranu.

– Byłam złą przyjaciółką – oświadczyła Denise. – Wiem o tym. – Ściszyła głos. – I wiem, że przeżywałaś trudne chwile. To znaczy, przed tym wszystkim.

Lena zakręciła kran. Nie tylko Denise miała problemy z zaufaniem. Lenie nigdy nie przyszło do głowy, żeby rozmawiać z kimś o utracie dziecka – ani z Jaredem, ani z Denise, ani nawet z sobą samą. Prawda była taka, że miała zbyt silne poczucie porażki, jakby to było coś, czego powinna się wstydzić.

Ale nawet gdyby nie to, Lena nie zamierzała wywnętrzać się w damskiej toalecie na posterunku policji.

– W porządku – powiedziała do Denise. – To było coś, przez co musiałam przejść sama.

– Rozumiem. – Denise też nie należała to kobiet, które siedzą i grzebią w swoich emocjach. – Ale gdybyś chciała pogadać, jestem do twojej dyspozycji.

Lena spojrzała na swoją rękę. Opierała ją o umywalkę, nie leżała już płasko na jej pustym brzuchu. Zastanawiała się, czy tak to się właśnie dzieje – stopniowo. Tamta pielęgniarka od doktora Benedicta w jednym miała rację: ból całkiem nie mija, ale staje się inny.

Lena znów westchnęła przeciągle. Spojrzała w lustro, myśląc o tym, że odkąd to wszystko się zaczęło, postarzała się o jakieś dwadzieścia lat.

– Jared piekielnie mnie wkurza. Przydałby mi się jakiś pretekst, żeby wyjść z domu.

Denise napotkała w lustrze wzrok Leny.

– Mnie też.

Lena czekała.

Denise odchrząknęła. Wyraźnie toczyła wewnętrzną walkę. Wreszcie powiedziała:

– Ma na imię Lila. Spotykamy się już od jakiegoś czasu.

Lena nie naciskała.

– Jak długo ci z wewnętrznego będą cię tu trzymać?

– Tyle, ile będzie trzeba.

– Zadzwoń do mnie, jak już będzie po wszystkim. Pójdziemy do Barney's.

Denise odwróciła wzrok. Znów miała zgnębioną minę. Barney's to bar dla gliniarzy. Najwyraźniej nie chciała pokazywać się na oczy ludziom, którymi jeszcze niedawno dowodziła.

– Wiesz co? – Lena wzięła garść papierowych ręczników. – O ile wiem, byłaś jedyną osobą w całym wydziale, która zobaczyła, że z Lonniem jest coś nie tak. Uratowałaś temu porwanemu chłopcu życie. Ukryłaś go i zapewniłaś mu bezpieczeństwo. Dopilnowałaś, żeby wrócił do domu, do rodziny. Sprawiałaś, że matka Marie Sorensen wie, kogo winić za śmierć córki. Usunęłaś groźnego przestępcę z ulic naszego miasta. I podałaś to wszystko GBI na tacy. – Wrzuciła papierowe ręczniki do śmieci. – Mam rację? Zrobiłaś to wszystko?

– Można to i tak ująć.

– Jeśli o mnie chodzi, można to ująć wyłącznie tak, bez względu na to, jaki dupek będzie o to pytał – przekonywała Lena.

Denise pokręciła głową. Wiedziała już, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Wewnętrzni nie będą widzieli we mnie bohaterki, Lee. Wyleją mnie na zbity pysk.

– To im powiedz, że pójdziesz prosto do pierwszej stacji informacyjnej, która będzie chciała cię słuchać. Cholera, idź do telewizji ogólnokrajowej. Albo jedź do Kanady. Powiedz im, co zrobiłaś, żeby ratować tego chłopca, a potem niech policja w Macon tłumaczy się, dlaczego cię za to wylali. – Lena zaśmiała się na tę myśl. – Jeśli będą potrzebowali kogoś, kto potwierdzi twoją historię, daj im mój numer.

Denise wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Jesteś niezłe stuknięta. Wiesz o tym? – powiedziała wreszcie.

– Może i tak. – Lena położyła rękę na klamce, ale nie otworzyła drzwi. – Zbyt wiele razy byłam w takiej samej sytuacji jak ty teraz, żeby nie wiedzieć, jak się z tego wykaraskać.

– Naprawdę myślisz, że to się uda?

– Nigdy nie należy lekceważyć awersji współczesnej policji do złej sławy – powiedziała Lena, myśląc, że powinna umieścić tę sentencję na tabliczce przy drzwiach swojego gabinetu. – Nie pozwól, żeby obniżyli ci emeryturę. Tego będą próbowali najpierw. I nie pozwól się zdegradować niżej niż do stopnia detektywa. – Lena uśmiechnęła się, bo coś przyszło jej do głowy. – Jakie twoim zdaniem są szanse Paula na dostanie się do policji w Atlancie?

Denise też się uśmiechnęła.

– Biały mężczyzna, były wojskowy? Rozłożą czerwony dywan.

– Tak czy owak, będę potrzebowała nowego partnera.

– Jak sól i pieprz?

– Bardziej jak z serialu *Chico and the Man*. – Lena otworzyła drzwi. Po raz drugi tego dnia uśmiech zgasł na jej ustach.

Will Trent opierał się o ścianę. Jego twarz wyglądała strasznie. Czarne i granatowe sińce i ciemnoczerwone cętki mniej więcej wielkości knykci

dorosłego mężczyzny.

Lena zwróciła się do Denise:

– Zadzwoń do mnie w sprawie tego piwa.

– Masz to jak w banku. – Denise nie spojrzała na Willa, tylko skierowała się do pokoju przesłuchań. Patterson stał na straży w drzwiach. Spiorunował Lenę wzrokiem. Powstrzymała ochotę, by pokazać mu język.

Will odczekał, aż Denise zamknie za sobą drzwi.

– Widzę, że Jared doszedł już do siebie – rzucił do Leny. Musiała mieć zdezorientowaną minę, ponieważ dodał: – Właśnie odprowadziłem go do szatni.

Lena poczuła, że zaciskają jej się szczęki. Miała ochotę zamordować Jareda. Po tym wszystkim, co ten jej głupi mąż przeszedł, udusi go teraz gołymi rękami.

Will wskazał głową drzwi w głębi korytarza, za którymi zniknęła Denise.

– Nic jej nie będzie?

– A jak myślisz? – mruknęła Lena. Ale nie powiedziała tego napastliwym tonem. Policja stanowa będzie miała duży wpływ na los Denise.

– Myślę, że ten wydział ma już dość kłopotów z mediami, żeby jeszcze wkurzać kogoś takiego jak Denise Branson – stwierdził Will.

Lena zastanawiała się, ile Will usłyszał, kiedy stał na korytarzu.

– Mam wrażenie, że jest gotowa przełknąć tę pigułkę.

– Z doświadczenia wiem, że takie osoby jak ona na ogół nie czekają na macie, aż zacznie się odliczanie. – Popatrzył na nią znacząco. Oboje wiedzieli, że Lena ma zwyczaj odradzać się z popiołów.

– No tak. – Lena popatrzyła na zegarek, chociaż jej najbliższe plany ograniczały się do zawleczenia durnego męża za kołnierz do domu. – Nie będę ci przeszkadzać w pracy.

– Już skończyłem na dziś. Czekałem tu na ciebie, żeby z tobą porozmawiać.

Lena poczuła paraliżujący strach.

– O czym?

– Chciałem ci powiedzieć, że miałaś rację.

Roześmiała się, myśląc, że to żart.

– W związku z czym?

– Z tym atakiem. Wewnętrzni chcieli, żebym z tym zaczekał, aż zostaniesz oczyszczona z zarzutów.

Lena już się nie śmiała.

– Co miałeś mi powiedzieć?

– To nie była twoja wina. Tamci dwaj wtargnęli wtedy do waszego domu, ponieważ Jared powiedział coś w gabinecie twojego lekarza.

Lena nie mogła zrozumieć sensu tych słów. Zupełnie jakby Will mówił po japońsku.

– Kiedy tam byliście, jedną z pielęgniarek w gabinecie doktora Benedicta zastępowała Cayla Martin. Usłyszała, jak Jared mówi o Wielkim Białasie.

Lena nie otworzyła tak po prostu ust ze zdumienia – szczęka opadła jej prawie do podłogi. Cayla Martin. Kiedy po raz pierwszy usłyszała to nazwisko trzy dni temu, wydało jej się znajome, ale za nic nie złożyłaby tego wszystkiego w całość.

– Myślałam, że pracowała w szpitalu. Że była przyrodnią siostrą Tony’ego Della.

– Dorabiała w gabinecie doktora Benedicta. – Will mówił wyraźnie, jakby tłumaczył to dziecku. – Cayla przypadkiem usłyszała, jak Jared mówił ci, że Lonnie Gray to Wielki Białas.

– Nie. – Lena poczuła, że drapie ją w gardle suchy śmiech. To brzmiało jak bardzo kiepski dowcip. – On nie mówił poważnie!

– Cayla odebrała to inaczej. Powiadomiła o tym DeShawna Franklina, który uznał, że to pewnie nic takiego, a potem powiedziała o tym Lonniemu Grayowi, a ten zlecił atak na ciebie i twojego męża.

To wszystko nie miało sensu.

– Skąd ona...

– Cayla spotykała się z Chuckiem Grayem, zanim umarł na białaczkę. Była blisko z Lonniem. W każdym razie na tyle, na ile to możliwe w przypadku dwojga tego rodzaju ludzi. – Will włożył ręce do kieszeni. –

Jeśli chcesz znać moje zdanie, to myślę, że Cayla należała po prostu do kobiet, które lubią intrygi.

Lena poczuła, że kręci głową, podczas gdy jej mózg wciąż usiłował przyswoić tę informację. Pamiętała tamtą wizytę u doktora Benedicta. Pamiętała, że Jared wygadywał bzdury. Pamiętała także, że przez krótką chwilę potraktowała go poważnie, ale zaraz potem odrzuciła tę teorię, tak jak wszystkie inne durne pomysły swojego męża.

– Nie wierzę ci – zdołała wykrztusić.

– Dlaczego? To prawda. – Na twarzy Willa nie było uśmiechu i nic nie wskazywało na to, że zaraz wyjawi puentę dowcipu. – To nie była twoja wina. Jareda zresztą też nie można za to winić. Po prostu tak wyszło.

Lena oparła się plecami o ścianę. Przez cały czas zachodziła w głowę, próbując dojść, co zrobiła źle, gdzie popełniła błąd, a ostatecznie okazało się, że jest niewinna.

– Zakładałam... – Lena znowu pokręciła głową, zupełnie jak lalka. – Myślałam, że to miało coś wspólnego z pracą.

– Sensowne założenie – zgodził się Will. – Wszyscy myśleliśmy, że to miało związek z twoją pracą. Ale nie miało.

– Byliśmy... – Lena urwała. Nie była w stanie wypowiedzieć tej najbardziej przerażającej myśli: człowiek spodziewa się, że może stać się coś złego, gdy jest na ulicy, ale byli przecież w gabinecie jej lekarza. Lena sądziła, że są bezpieczni. – Nawet nie pamiętam, że ją spotkałam – powiedziała Willowi. – Widziałam jej twarz w wiadomościach, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy... – Nagle coś sobie przypomniała. – Ona chyba nawet do mnie dzwoniła.

– Jeśli to ci jakoś pomoże, to naprawdę wkurzyłaś moją partnerkę. Ona zawsze powtarza, że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

Lena nie przestawała kręcić głową. Sama też nigdy nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

– To co? – odezwał się Will. – Masz jakieś pytania?

Lenie przyszło do głowy tylko jedno:

– Czy Sara wie, że to nie była moja wina?

Zawahał się, ale odpowiedział:

– Tak.

Lena nawet nie próbowała powstrzymać uśmiechu.

– I wie, że tu jesteś i mi o tym mówisz?

– Tak.

– Nie próbowała cię powstrzymać?

– Powinienem wracać do Atlanty. – Odepchnął się od ściany, wyraźnie skrępowany tym tematem. – Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło dla ciebie i dla Jareda.

Nie chciała go jeszcze puścić.

– Dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniłeś? Albo nie wysłałeś e-maila?

Rzucił jej znaczące spojrzenie.

– Bo kiedy spotykamy się nieoficjalnie, zawsze lepiej na tym wychodzisz.

Lena nie musiała prosić go o wyjaśnienie. W pamięci mignęła jej tamta noc w domu, kiedy trzymała młotek nad głową. Jared wykrwawiał się na podłodze. Jeden napastnik już nie żył. Lena nadal miała na kolanie bolesny siniec po tym, jak z całej siły wbiła kolano w kręgosłup Freda Zachary'ego. Gdyby bardziej wysiliła pamięć, mogłaby usłyszeć w głowie trzask pękających kości.

Doktryna zamku stanu Georgia gwarantowała każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie prawo do użycia we własnym domu śmiertelnej siły wobec napastnika, jeśli tylko sądzą, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Will Trent wiedział równie dobrze jak Lena, że Fred Zachary nie stanowił już zagrożenia.

Skłonił jej się lekko, tylko w ten sposób nawiązując do łączącej ich tajemnicy.

– Do następnego razu.

– Nie będzie następnego razu.

– Lena – zabrzmiało to niemal rzewnie – naprawdę mam nadzieję, że masz rację.

Gdy Will odchodził korytarzem, nadal trzymał ręce w kieszeniach. Lena przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. W trzyczęściowych garniturach i z łagodnym usposobieniem wyglądał raczej na przedsiębiorcę pogrzebowego niż na gliniarza. Lena starała się uczyć na własnych błędach, a Will Trent udzielił jej kilku ważnych lekcji życia. Ten przedsiębiorca pogrzebowy o mało nie posłał jej za kratki.

I to nie bez powodu.

Lena dała Willowi wystarczająco dużo czasu, by zdążył wyjść z budynku, po czym podeszła pod drzwi pokoju przesłuchań. Wytężyła słuch, ale niczego nie usłyszała. Denise mówiła cicho, a Brock Patterson miał głos jak wiekowa zakonnica. Przyłożyła dłoń do drzwi w geście milczącej solidarności. Sama tyle razy była po drugiej stronie i tyle razy miała świadomość, że za drzwiami nikt na nią nie czeka.

– Hej.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona, że Jared stoi tuż za nią. Szok szybko minął.

– Ty debilu, co tutaj robisz? Jak tu...

Pocałował ją namiętnie, żeby zamknąć jej usta.

Lena rzuciła mu wściekłe spojrzenie, wyrывая się z jego objęć. Miał na sobie niebieskie spodnie od dresu i jaskrawopomarańczową bluzę Uniwersytetu Auburn. Zdjął bandaż. Z tyłu głowy włosy sterczały mu niczym kaczy kuper. Na skórze miał szwy godne Frankenstein, które zostały już udokumentowane na kilku stronach na Facebooku.

– Jak tu przyjechałeś? – spytała. – Nie powinieneś prowadzić.

– Estefan mnie przywiózł, by pokazać nowe harleye.

– Estefan – prychnęła. Ci dwaj mieli razem pół mózgu. – Musisz wracać do domu.

– To mnie tam zabierz. – Objął ją w pasie.

– Jared.

– Zabierz mnie do domu. – Złapał ją za tyłek, żeby ją sprowokować. Lena jednak strąciła jego rękę. Kamery obejmowały niemal każdy kąt budynku. Wyobraziła sobie, że sierżant w dyżurce w tym właśnie momencie włącza

nagrywanie.

– Powinieneś być teraz w domu i spać – powiedziała. – Dopiero co wyszedłeś ze szpitala. Omal nie umarłeś.

– Nie chce mi się spać.

– Bzdura. Oczy same ci się zamykają.

– Szkoda, że ty nie możesz choć na chwilę zamknąć ust.

Rzuciła mu ostre spojrzenie, ale zrozumiała aluzję. Spędziła wystarczająco dużo czasu w towarzystwie Nell, żeby wiedzieć, jakiego rodzaju żoną nie chce być. Jak najbardziej była za tym, by mężczyzna znał swoje miejsce, ojciec Jareda był jednak tak wykastrowany, że pewnie sikał na siedząco.

Gdy szli do wyjścia, Jared wspierał się na niej.

– Te motocykle będą jeździć niesamowicie, kotku. Mają automatycznie otwierane bagażniki, silniki o pojemności skokowej tysiąca sześciuset osiemdziesięciu ośmiu centymetrów sześciennych...

Lena przestała słuchać. Myślała o tym, co powiedział jej Will. Cayla Martin. Gabinet doktora Benedicta. Żeby nie wiem jak się starała, i tak nie mogła sobie przypomnieć spotkania z tą kobietą. Była jedną z tych osób pozbawionych twarzy, które wtapiają się w tło.

Jared też jej nie pamiętał. W każdym razie, gdy oglądał wiadomości razem z Leną, nic nie powiedział. Na ekranie pojawiła się twarz Cayli Martin, a on wyłączył telewizor, zanim zaczęła się relacja na jej temat.

W przeciwieństwie do Leny Jared nie wydawał się zainteresowany wyjaśnieniem przyczyn tego ataku. Po prostu cieszył się, że napastnikom się nie udało. Najprawdopodobniej myślał, że to przez Lenę zostali napadnięci, ale nie chciał, by miała z tego powodu poczucie winy.

Lena nie miała problemu z tym, by pozwolić mu trwać w błogiej nieświadomości. Skoro Fred Zachary poszedł na ugodę, nie będzie procesu. Nie będzie składania zeznań wyjaśniających, dlaczego tamci dwaj zostali nasłani na Lenę i Jareda. Jared nigdy nie musi się dowiedzieć, że to on wywołał ten koszmar. Dla innych jest wyrozumiały, sobie samemu tak łatwo nie wybacza. Lena była bardziej przyzwyczajona do życia w poczuciu winy niż on.

Nie zamierzała natomiast czuć się winna z powodu tego, że zataiła przed

mężem prawdę.

Wreszcie dotarli do holu. Jared się zatrzymał. Oparł się ręką o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Oboje wiedzieli, że są w miejscu nieobjętym zasięgiem kamery. Wszyscy gliniarze wiedzieli, jak unikać bycia sfilmowanym.

Jednak Jared, zamiast zrobić coś lubieżnego, powiedział do Leny:

– Trochę pachniesz potem.

– Wielkie dzięki. – Dała mu kuksańca w ramię.

Uśmiechnął się słodko.

– Zawsze miałaś brązowe oczy?

– Zawsze byłeś takim idiotą?

Przestał się uśmiechać. Ale zmarszczki w kącikach jego oczu całkiem nie zniknęły.

– Chcę spróbować jeszcze raz.

Lena poczuła, że jej twarz oblewa rumieniec. Nie musiał mówić, czego chce spróbować jeszcze raz.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Cholera, nie. – Zaśmiał się. – Za pierwszym razem jakoś nas to nie powstrzymało.

Lena nie potrafiła odpowiedzieć. Nie była pewna, co czuje, czy jest już gotowa, czy nie. Ostatnim razem to była wpadka. Zrobienie tego celowo wydawało jej się kuszeniem losu.

– Lee. – Jared wziął ją za rękę. Ostatnio często to robił. Lena czekała, kiedy zacznie ją to denerwować, ale na ogół cieszył ją dotyk jego dłoni, mocny uścisk, który upewniał ją, że Jaredowi nic nie będzie. – Chcę mieć z tobą dziecko – powiedział. – Chcę, żebyśmy stworzyli nowe życie. Rodzinę.

Słyszając te słowa, od razu też zapragnęła tego wszystkiego, jednak bała się odpowiedzieć, bała się znów wzbudzać w sobie nadzieję.

Dlatego powiedziała tylko:

– Dobrze.

Jared uśmiechnął się jak głupek.

– Naprawdę?

– Tak. – I powtórzyła to, żeby upewnić samą siebie. – Tak.

Pocałował ją, dłużej niż zwykle, przyciskając wargi do jej ust. Ujął w dłonie jej twarz. Popatrzył w oczy. Powiódł kciukiem po ustach, jakby chciał zetrzeć z nich ślad swoich warg.

– I chcę rozebrać kuchnię, bo mój tata źle to wszystko zmontował.

Wiązaną przekleństw, jakie wydobyły się z ust Leny, zagłuszył ryk motocykli wjeżdżających na parking. Widziała je przez oszklone drzwi. Sześć policyjnych harleyów-davidsonów błyszczało w słońcu dzięki forsie Sida Wallera znalezionej w piwnicy meliny narkomanów.

– Jasna cholera! – Jared cieszył się jak dziecko. Pokuśtykał w stronę parkingu, przytrzymując się oparcia krzesła, klamki, wszystkiego, czego tylko mógł, byle tylko jak najszybciej dotrzeć do maszyn.

Lena pokręciła głową, wydając z kieszeni klucz. Do budynku, w którym trzymano więźniów, nie można było wносить broni, więc przy frontowych drzwiach był szereg szafek. Wsunęła klucz do właściwego zamka. Lena nigdy nie należała do kobiet noszących torebkę. Tyle razy wpychała swoją płócienną torbę do maleńkiej szafki, że materiał przetarł się w miejscach, gdzie ocierał się o metalowe krawędzie. Z przyzwyczajenia dokonała szybkiego przeglądu jej zawartości, sprawdzając, czy jej glock, portfel, kluczyki i długopisy są w środku.

Po namyśle zajrzała także do zewnętrznej kieszeni. Poczta była na miejscu – z nalepionym znaczkiem, gotowa do wysłania. Lena nosiła ją ze sobą przez trzy dni, wkładała ją do torby, chowała do kieszeni, ciskała na komodę. Teraz wyjęła pocztówkę i popatrzyła na fotografię przedstawiającą centrum Macon. *Dziękujemy za odwiedziny w sercu Georgii* – napisano na górze żółtą kursywą.

Lena odwróciła pocztówkę. Ten sam adres co tamten wypisany na kopercie, którą przed laty wysłała do Atlanty.

Z listem.

Lena zdawała sobie sprawę, że zawsze przywiązywała zbyt dużą wagę do opinii Sary Linton. Przez lata pozwalała, żeby poczucie winy z powodu

śmierci Jeffereya kładło się cieniem na każdym jej kroku. W pewnym momencie pogrzyżyła się w tak głębokiej rozpacz, że aby dotknąć dna, musiała podnieść rękę. Lena napisała ten list, żeby błagać Sarę o wybaczenie, szukać rozgrzeszenia. Nakreśliła swoją sytuację w taki sam sposób, w jaki opisywałyby przebieg śledztwa w sądzie. Zaświadczała o swoim dobrym charakterze. Przedstawiała dowody. Podkreślała sprzeczności. Wprawnie obracała rozbieżne fakty na swoją korzyść. Lena nie formułowała przeprosin. Błagała o przywrócenie jej duszy.

Ta pocztówka była inna. Jedno słowo, nie trzy strony. Tym razem to ona coś dawała, a nie prosiła.

Prawda była taka, że Lena sama zdołała odzyskać własną duszę. Kiedy teraz spoglądała na swoje życie, widziała same jasne strony. Jest dobra w swojej pracy. Dobra dla swoich przyjaciół. Poślubiła dobrego człowieka, nawet jeśli za dużo gada. Kiedyś będą mieli dziecko. Może nawet więcej niż jedno. Założą rodzinę. Będą jakoś znosili odwiedziny Nell. Będą urządzali przyjęcia urodzinowe, święta Bożego Narodzenia i Dziękczynienia, i bez względu na to, co Sara Linton sądzi o jej wyborach, ona zawsze będzie wiedziała, że postępuje słusznie.

Moralność sama w sobie jest rozgrzeszeniem.

Przy szafkach stała skrzynka na listy, na górze widniała mosiężna tabliczka ze słowami U.S. MAIL wygrawerowanymi tłustym drukiem. Codziennie w porze lunchu kobieta z dyżurki zabierała wychodzące przesyłki i zanosila je na pocztę – jedna z dodatkowych zalet pracy na posterunku policji. Zwłaszcza jeśli lubi się długie przerwy na lunch.

Lena wpatrywała się w pocztówkę. Przez krótką chwilę pomyślała o tym, żeby ją podrzeć. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Lenie niczego nie brakuje. To Sara potrzebuje wybaczenia. To ona nie potrafi odpuścić. Uwolnienie jej nic Leny nie kosztuje.

Wsunęła pocztówkę do szczeliny w skrzynce. Przytrzymała ją przez sekundę, po czym pozwoliła wpaść do środka.

Na zewnątrz ryczał silnik harleya. Jared siedział już na siodełku. Za nim usadowił się Estefan, bo Jared sam nie utrzymałby równowagi.

Lena zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę drzwi.

Do Jareda.

Do swojego życia.

Uśmiechnęła się na myśl o Sarze czytającej pocztówkę. Wiadomość była prosta. Lena równie dobrze mogłaby ją napisać do siebie samej:

Wygrałaś.

Podziękowania

Mam wielkie szczęście, że w moim zespole znalazły się naprawdę wspaniałe osoby, a wśród nich Angela Cheng Caplan, Diane Dickensheid i Victoria Sanders. Bardzo Wam dziękuję za to, że jesteście klejem, który spaja to wszystko.

Jak zawsze słowa pochwały należą się moim redaktorkom, Kate Elton i Jennifer Hershey, za ich wnikliwość i hojność.

Doktor David Harper po raz kolejny bardzo mi pomógł w kwestii szczegółów medycznych. Przez lata chronił Sarę przed uśmierceniem wielu ludzi i ogromnie sobie cenię jego przewodnictwo. Winna jestem także wiekuiącą wdzięczność wspaniałym agentom z Biura Śledczego Georgii za odpowiedzi na wszystkie moje pytania, które z pewnością muszą wydawać się szalone. Przysięgam, że wypytuję o sposoby dokonania kolejnych zbrodni wyłącznie pod kątem swoich książek. Doktor Chip Pendleton jest znakomitym lekarzem i wspaniałomyślnym doradcą we wszelkich sprawach dotyczących szpitala Grady. Dziękuję Panu, Panie Doktorze, za Pańskie sprośne poczucie humoru i – co ważniejsze – za Pański czas.

Beth Tindall z Cincinnati Media, znana też jako Webmaster Beth oraz moja bliska przyjaciółka: dzięki, że jesteś przy mnie przez te wszystkie lata i nie pozwalasz mi używać za dużo flesza.

Wszystkim moim wydawcom na całym świecie i dobrym ludziom, którzy pracują nad moimi książkami: naprawdę doceniam Wasze wsparcie.

Moim czytelnikom: nadal jestem Wam wdzięczna za życzliwość i te wszystkie zdjęcia kotów, które zamieszczacie na Facebooku.

Mojemu tacie: dzięki, że zawsze trwałeś przy mnie, nawet jak byłam młoda i głupia.

D.A.: dzięki za obietnicę, że wytrwasz przy mnie, nawet jak będę stara i mądra. Przykro mi, że na razie zanoszę się tylko na jedną z tych możliwości.

- [1] FDLE – Florida Department of Law Enforcement (przyp. red.).
- [2] *Cop killer...* (ang.) – Zabójca glin. Lepiej ty niż ja (przyp. red.).
- [3] J 8,12, Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 2003.
- [4] Często cytowane zdanie przypisywane któremuś ze średniowiecznych poetów perskich, czasem przytaczane jako cytat z Biblii.
- [5] Aldrich Hazen Ames – pracownik CIA, aresztowany w 1994 r. za szpiegowanie na rzecz ZSRR.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz